

NELSON

DE MILLE

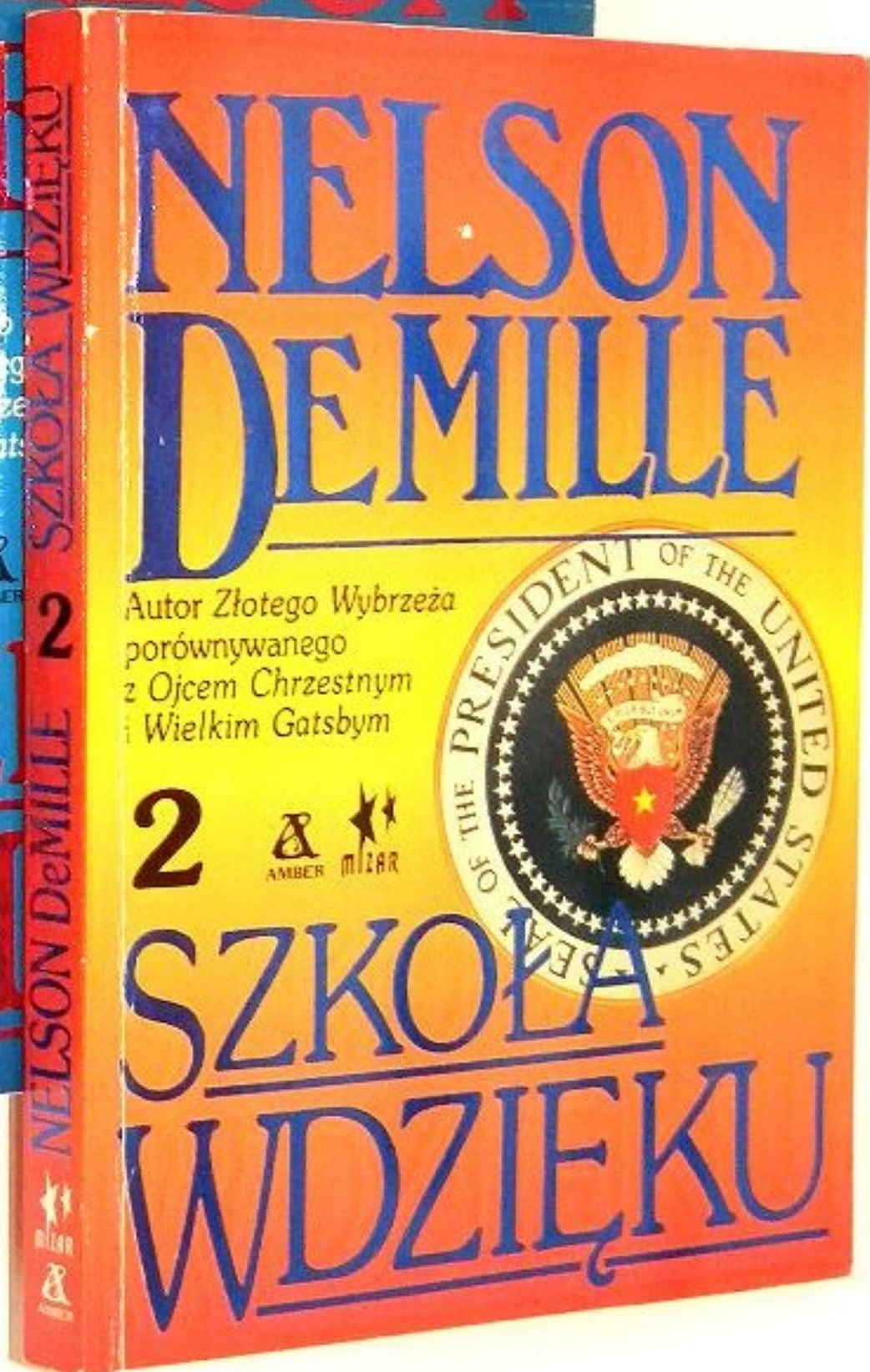
Autor Złotego
porównywanego
z Ojcem Chry
i Wielkim Gats

1



SZKOŁA

W DZIEKU



NELSON
DEMILLE

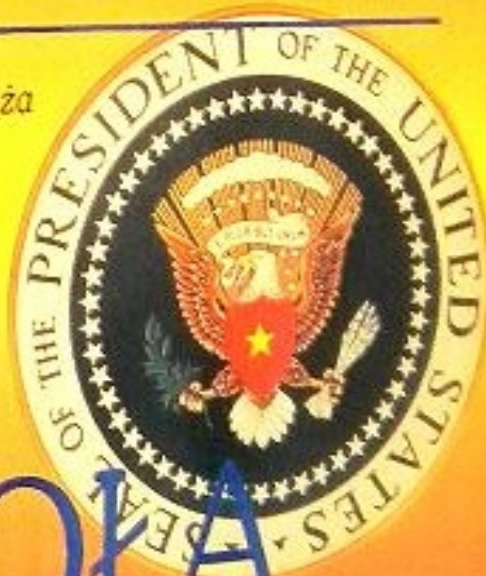
Autor Złotego Wybrzeża
porównywanego
z Ojcem Chrystnym
i Wielkim Gatsbym

2



SZKOŁA

W DZIEKU



Spis treści

- Karta tytułowa
- Dedykacja
- TOM PIERWSZY
 - CZĘŚĆ I
 - .1.
 - .2.
 - .3.
 - .4.
 - .5.
 - .6.
 - .7.
 - .8.
 - CZĘŚĆ II
 - .9.
 - .10.
 - .11.
 - .12.
 - .13.
 - .14.
 - .15.
 - .16.
 - .17.
 - .18.
 - .19.
 - .20.
 - .21.

- CZĘŚĆ III
 - .22.
 - .23.
 - .24.
 - .25.
 - .26.
 - .27.
 - .28.
 - .29.
 - .30.
- OKŁADKA
- TOM DRUGI
- CZĘŚĆ IV
 - .31.
 - .32.
 - .33.
 - .34.
 - .35.
 - .36.
- CZĘŚĆ V
 - .37.
 - .38.
 - .39.
 - .40.
 - .41.
 - .42.

NELSON DEMILLE

SZKOŁA WDZIĘKU

(THE CHARM SCHOOL)

TOM 1

Przekład: Andrzej Szulc



AMBER

Wydawca światowych
bestsellerów

AMBER: 1993

Pamięci Joanny Sindel

TOM PIERWSZY

CZEŚĆ I

Kiedy jesteś nieszczęśliwy, jedź do Rosji. Ktokolwiek pozna ten kraj, będzie zachwycony, żyjąc gdzie indziej.

Markiz de Custme - *Listy z Rosji*
Przełożyła Beata Geppert.

.1.

– W Smoleńsku przebywał pan już był przez dwa dni, panie Fisher? - zapytała.

Gregory'ego Fishera nie wprawiała już w zakłopotanie ani nie śmieszyła szczególna składnia i dziwne użycie angielskich czasów w tej części świata.

– Tak - odpowiedział - jestem w Smoleńsku od dwóch dni.

– Dlaczego nie zgłosił się pan do mnie zaraz po przyjeździe?

– Była pani nieobecna. Rozmawiałem z policjantem... to znaczy milicjantem.

– Czyżby? - Przez chwilę z zatroskanym wyrazem twarzy przerzucała papiery na biurku, po czym rozchmurzyła się. - A tak. Doskonale. Mieszka pan w Hotelu Centralnym.

Fisher przyjrzał się urzędnicze Intouristu. Mogła mieć jakieś dwadzieścia pięć lat, kilka lat więcej od niego. Nie wyglądała najgorzej. Choć może zbyt długo już był w drodze.

– Tak, wczorajszą noc spędziłem w „Centralnym”.

Spojrzała na jego wizę.

– Turystyka?

– Zgadza się. *Turizm*.

– Zawód?

Fisher zaczynał mieć już dosyć tych nie kończących się wewnętrznych kontroli. Czuł się tak, jakby przekraczał granicę państwową w każdym mieście, w którym musiał się zatrzymać.

– Były student college'u - odparł - obecnie bezrobotny.

Skinęła głową.

– Tak? W Ameryce jest olbrzymie bezrobocie. Ludzie nocują na ulicach.

Rosjanie, jak zauważył, mieli istną obsesję na punkcie amerykańskiego bezrobocia, bezdomności, przestępczości, narkomanii i konfliktów rasowych.

– Nie pracuję z własnej woli - odparł.

– Sowiecka konstytucja gwarantuje każdemu obywatelowi prawo do pracy, do mieszkania i czterdziestogodzinnego tygodnia pracy. Wasza konstytucja tego nie gwarantuje.

Miał na końcu języka kilka dowcipnych odpowiedzi, ale zamiast tego powiedział tylko:

– Zwrócę się w tej sprawie do mojego kongresmana.

– Tak?

– Tak.

Ściany biura pomalowane były na jasnożółty kolor.

Kobieta skrzyżowała ręce na piersiach i pochyliła się do przodu.

– Jak się panu podobał Smoleńsk?

– Piękne miasto. Żałuję, że nie mogę zostać dłużej.

Rozłożyła na biurku dokument, na którym wypisana była jego marszruta, a potem energicznym ruchem przybiła na nim dużą czerwoną pieczęć.

– Odwiedził pan nasz park kultury?

– Wypstrykałem tam całą rolkę.

– Tak? A miejscowe muzeum historyczne przy ulicy Lenina?

Fisher nie chciał wystawiać na szwank swojej wiarygodności.

– Nie. Zapomniałem. Zwiedzę w drodze powrotnej.

– Doskonale.

Przez kilka sekund przyglądała mu się z zaciekawieniem. Fisher pomyślał, że jego towarzystwo sprawia jej chyba przyjemność. Trudno się było dziwić. Całe biuro smoleńskiego Intouristu wydawało się puste i zapomniane niczym Izba Handlowa w małym miasteczku na Środkowym Zachodzie.

- Nie widzimy tutaj wielu Amerykanów.
 - Trudno w to uwierzyć.
 - I niewielu ludzi z Zachodu. Głównie wycieczki z bratnich krajów socjalistycznych.
 - Po powrocie opowiem wszystkim, jakie tu u was atrakcje.
 - Tak? - Zabębniła palcami o biurko, a potem dodała zamyślona. - Możecie jeździć, gdzie chcecie.
 - Słucham?
 - Mówił mi jeden Amerykanin. Każdy może dostać paszport. Kosztuje trzydzieści dolarów. Trwa to dwa, trzy, cztery tygodnie.
 - Czasami dłużej. A poza tym nie możemy jeździć do Wietnamu, Korei Północnej, na Kubę i jeszcze do paru innych miejsc.
- Pokiwała z roztargnieniem głową.
- Interesuje pana socjalizm? - zapytała po chwili.
 - Interesuje mnie Rosja - odparł Fisher.
 - A mnie interesuje pański kraj.
 - Niech pani nas odwiedzi.
 - Tak. Może kiedyś. - Spuściła wzrok na zadrukowany kwestionariusz. - Ma pan w samochodzie obowiązkowy zestaw narzędzi i apteczkę? - zapytała.
 - Jasne. Te same, które miałem w Mińsku.
 - To dobrze. Musi pan się ściśle trzymać wyznaczonej trasy. Między Smoleńskiem a Moskwą nie ma żadnego hotelu, w którym mógłby pan

przenocować. Cudzoziemcom nie wolno w nocy jeździć po kraju. Musi pan znaleźć się w granicach Moskwy przed zapadnięciem zmroku.

– Wiem.

– Po przyjeździe musi pan się natychmiast zgłosić w przedstawicielstwie Intouristu w hotelu „Rossija”, gdzie ma pan zarezerwowany pokój. Zanim pan to zrobi, wolno panu zatrzymywać się wyłącznie po to, żeby kupić benzynę albo spytać milicjanta o drogę.

– Albo skorzystać z toalety.

– Oczywiście. - Zerknęła do jego marszruty. - Wolno panu zboczyć z drogi koło Borodina.

– Tak, wiem.

– Ale nie radziłabym panu tego robić.

– A to dlaczego?

– Jest już późno, panie Fisher. Będzie się pan spieszył, żeby zdążyć do Moskwy przed zmrokiem. Radziłabym panu zatrzymać się dzisiaj na noc w Smoleńsku.

– Już wymeldowałem się byłem z hotelu. Tak?

Nie zorientowała się, że parodiuje jej angielski.

– Mogłabym panu załatwić inny pokój. To należy do moich obowiązków.

– Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję. Jestem pewien, że uda mi się dojechać do Moskwy przed zmrokiem.

Wzruszyła ramionami i przesunęła papiery w jego stronę.

– *Spasibo* - powiedział Fisher, wpychając je do torby. - *Do swidanija* - dodał, unosząc na pożegnanie rękę.

– Proszę nie jechać zbyt szybko - odparła. - Niech pan będzie ostrożny, panie Fisher - dodała po chwili.

Fisher wyszedł na dwór. Zastanawiając się nad jej ostatnią tajemniczą uwagą, wciągnął do płuc chłodne smoleńskie powietrze i podszedł do otaczających jego samochód Rosjan. Przecisnął się bokiem przez tłum.

– Przepuście mnie, ludzie.

Otwierając drzwi swego pontiaca trans am uśmiechnął się, po czym pokazał im rozłożone w geście zwycięstwa dwa palce i wślizgnął się do środka. Zamknął drzwi, uruchomił silnik i ruszył powoli przez rozstępujący się tłum.

– *Do swidanija, smoleńczycy.*

Przejechał powoli przez centrum Smoleńska, często rzucając okiem na leżącą obok niego na siedzeniu mapę. Po dziesięciu minutach znalazł się na głównej, łączącej Mińsk z Moskwą, szosie, kierując się na wschód, w stronę sowieckiej stolicy. Mijał pojazdy rolnicze, ciężarówki i autobusy, ale ani jednego samochodu osobowego. Dzień był wietrzny, a po niebie sunęły szare chmury, zasłaniając mizerne słońce.

Fisher zauważył, że im dalej posuwa się na wschód, tym późniejsza wydaje się jesień. W przeciwieństwie do ruchliwej krzątanimy, którą obserwował na leżących przecież na tej samej szerokości geograficznej polach wschodnich Niemiec i Polski, tutaj zboża po obu stronach szosy były już uprzątnięte, a pojawiające się co jakiś czas sady pozbawione owoców i liści.

Przed oczyma Gregory'ego Fishera przesuwiał się krajobraz, a on pogrążył się w rozmyślaniach. Doszedł do wniosku, że tutejsze restrykcje i zakazy są nie tylko denerwujące, ale również trochę przerażające. Jednak napotkani dotąd sowieccy obywatele odnosili się do niego dobrze. „Paradoksem jest - napisał w pocztówce do rodziców - że to jedno z ostatnich miejsc, gdzie jeszcze lubią Amerykanów”. On też raczej polubił

Rosjan; imponowało mu zainteresowanie, jakie wzbudzał jego samochód, zatrzymując uliczny ruch i przyciągając oczy, gdziekolwiek się pojawił.

Metalicznie błękitny trans am miał rejestrację stanu Connecticut, aluminiowe felgi, spoiler na bagażniku i wymalowane po bokach wąskie paski - stanowił prawdziwą kwintesencję amerykańskiego sportowego wozu. Fisher podejrzewał, że takiego samochodu nie oglądano jeszcze na ulicach Moskwy.

Z tylnego siedzenia dolatywał go zapach owoców i warzyw, którymi obdarowywali go mieszkańcy miasteczek i wsi, gdziekolwiek się zatrzymał. On dawał im w zamian flamastry, amerykańskie kalendarze, maszynki do golenia i inne drobne przedmioty, które poradzono mu zabrać ze sobą. Greg Fisher czuł się jak ambasador dobrej woli i świetnie się bawił.

Kamienny słupek poinformował go, że ma jeszcze dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów do Moskwy. Popatrzył na cyfrowy zegar umieszczony na tablicy rozdzielczej. Była 2.16 po południu. W tylnym lusterku zobaczył doganiający go konwój Armii Czerwonej. Jadący jako pierwszy, pomalowany na matowo zielony kolor gazik znalazł się parę metrów za jego zderzakiem.

– Hej - mruknął Fisher - to się nazywa siedzieć komuś na ogonie.

Samochód błysnął światłami, ale Fisher nie dostrzegwał miejsca, gdzie mógłby zjechać - dwupasmowa droga ograniczona była z obu stron rowami. Dodał gazu. Pięciolitrowy, ośmiocylindrowy silnik w układzie V zaopatrzony był w boczny wtrysk paliwa, ale miejscowa benzyna najwyraźniej nie była w stanie się przezeń precyzyjnie przelimitować. Silnik zakaszłał i strzelił.

– Niech to diabli!

Samochód sztabowy wciąż siedział mu na zderzaku. Fisher spojrzął na szybkościomierz, który pokazywał sto dziesięć kilometrów na godzinę, o

dwadzieścia więcej, niż dopuszczały przepisy.

Nagle gazik zjechał na sąsiednie pasmo i zrównał się z nim. Kierowca nacisnął klakson. Opuściła się tylna szyba i Amerykanin zobaczył wlepiającego weń oczy oficera w złotych galonach. Zdejmując nogę z gazu wykrzywił do niego twarz w uśmiechu. Minął go długi konwój ciężarówek i pojazdów opancerzonych, wypełniony żołnierzami, którzy machali rękami, posyłając mu tradycyjne, *krasnoarmijne* Uuura!

Konwój szybko zniknął mu z oczu i Greg Fisher wziął głęboki oddech.

– Co ja tutaj, do diabła, robię?

To właśnie chcieli wiedzieć jego rodzice. Samochód i pieniądze na wakacje dali mu w nagrodę za ukończenie studiów administracyjnych w Yale. Wysłał więc samochód statkiem do Hawru i spędził lato podróżując po Europie Zachodniej. Wycieczka do Bloku Wschodniego była jego własnym pomysłem. Niestety uzyskanie wizy i zezwoleń na samochód zajęło więcej czasu, niż się spodziewał i, podobnie jak Napoleon i Hitler, wjechał do Rosji miesiąc później, niż powinien.

Krajobraz, pomyślał Fisher, w zupełności zasłużył sobie na miano monotonnego i bezkresnego. A niebo wydawało się odbiciem rozciągającej się pod nim ziemi - od ośmiu dni przewalały się po nim szare, ponure chmury; niezmierny przestwór, na którym nie sposób było zatrzymać oko. Mógłby przysiąc, że słońce przestało świecić, kiedy wyjeżdżał z Polski.

Podniecenie, które odczuwał przemierzający Związek Sowiecki turysta, niewiele miało wspólnego z krajobrazem (nudny), ludźmi (bezbarwni) czy pogodą (nieprzyjemna). Jego źródłem był fakt, że człowiek znajdował się w miejscu, dokąd docierało stosunkowo niewielu mieszkańców Zachodu, w kraju, który nie popierał turystyki i gdzie ksenofobia stanowiła głęboko

zakorzeniony element narodowej psyche - w kraju, który był państwem policyjnym.

Niebezpieczne wakacje i niebezpieczne miejsce.

Gregory Fisher włączył samochodowe radio, ale nie był w stanie złapać ani „Głosu Ameryki”, ani „BBC” - obie stacje słyhać było najwyraźniej tylko w nocy.

Przysłuchiwał się przez chwilę mężczyźnie przemawiającemu stentorowym głosem przy akompaniamencie marszowej muzyki; kilka razy powtórzyły się słowa *agriesija* i *amierikaniec*. Wyłączył radio.

Po wyjeździe z Tumanowa zauważył, że szosa stała się szersza, a nawierzchnia bardziej gładka, ale poza tym nic nie wskazywało, że zbliża się do wielkiej moskiewskiej metropolii. W gruncie rzeczy, pomyślał, brak było jakichkolwiek oznak działalności gospodarczej, którą ktoś mógłby skojarzyć z dwudziestym wiekiem.

– Odbija mi szajba.

Wsunął do magnetofonu kasetę z lekcją języka rosyjskiego i powtarzał:

– *Ja płocho siebia czuwstwuju*. Czuję się źle. *Na czto żałujeties’?* Co panu dolega?

Trans Am toczył się po asfaltowej szosie. Na polach kobiety zbierały ziarno pozostawione przez zniwiarzy.

Po jakimś czasie Fisher zobaczył przed sobą wioskę, której nie było na mapie. Widywał już takie jak ta wioski, przyklejone do szosy, a także odsunięte od niej bardziej nowoczesne zabudowania, do których prowadziły zwykle szerokie drogi dojazdowe i w których, jak się domyślał, mieściły się sowchozy. Ale ani jednego samotnego domu.

I krajobrazy, które raczej nie nadawały się na pocztówkę.

Całkiem inaczej niż w Europie Zachodniej - tam każda wioska stanowiła przyjemność dla oka, każdy zakręt odsłaniał przepyszne widoki. Tak mu się

teraz w każdym razie wydawało. Uświadomił sobie jednak, że na pierwszy rzut oka wiejska Rosja nie różniła się tak bardzo od wiejskiej Ameryki; i tu, i tam niewiele było miejsc o znaczeniu historycznym, ani jednego zamku czy pałacyku, nieliczne ślady przeszłości. Wszystko, co wokół siebie widział, podporządkowane było kierowanemu z Moskwy, mało efektywnemu przemysłowi rolnemu.

– Nie podoba mi się to - powiedział na głos.

Przejeżdżał teraz przez środek wioski. Składała się głównie z drewnianych chat, których drzwi, framugi okien i skrzynki na kwiaty pomalowane były wszystkie na ten sam niebieski kolor.

– Państwowa Fabryka Lakierów Numer Trzy przekroczyła plan produkcji niebieskiej farby numer dwa. Tak?

Wioska ciągnęła się po obu stronach szosy przez jakieś pół kilometra, przypominając bungalowy zagubionego w Appalachach motelu. Zobaczył parę starszych osób kopiających warzywa na małych, ogrodzonych płotami przyzagrodowych działkach. Jakiś staruszek zatykał zaprawą szpary między dwoma belkami chaty, a grupa dzieci goniła z uciechą stadko kurczaków.

Wszyscy zatrzymywali się i wlepiali oczy w mijający ich błękitny bolid. Fisher pozdrawiał ich uniesioną dłonią, a kiedy minął ostatnią chatę, ponownie dodał gazu. Obejrzał się przez prawe ramię i zobaczył, jak na południowym zachodzie wyjrzało na chwilę, wiszące nisko nad horyzontem, słońce.

Jakieś pół godziny później skręcił ze swojej szosy na mniejszą, równoległą do niej drogę, stanowiącą niegdyś główny szlak, którym wjeżdżało się z zachodu do Moskwy. Po paru minutach znalazł się na przedmieściach Możajska, sto dwadzieścia osiem kilometrów od stolicy, i zwolnił do prędkości obowiązującej w mieście.

Wydany przez Intourist przewodnik poinformował go, że miasto zostało założone w trzynastym wieku i wchodziło w skład dawnego Księstwa Moskiewskiego, ale wokół widział tylko drewniane i betonowe zabudowania - ani jednego budynku o wartości historycznej. Zobaczył na mapie, że gdzieś w pobliżu stoi sobór Nikołajewski, ale nie miał czasu ani ochoty go zwiedzać. Fakt, że zapuszczał się swoim pontiakiem w najbardziej zapadłe zakątki Rosji miał i swoje gorsze strony. Kiedy człowiek wzbudza bez przerwy powszechną sensację, może mu się w końcu to znudzić.

Jechał przez Możajsk, trzymając nonszalancko kierownicę i unikając groźnego wzroku milicjanta regulującego ruch na jedynym większym skrzyżowaniu w mieście.

W końcu, zostawiwszy za sobą zabudowania, zobaczył to, czego szukał: stację benzynową, w której miał zatankować, położoną na wschodnim krańcu miasta i poprzedzoną znakiem drogowym przedstawiającym pompę. Wjechał na biały betonowy podjazd i zatrzymał się przy żółtym dystrybutorze. Mężczyzna w czystym niebieskim kombinezonie siedział przed budynkiem z białego betonu i czytał książkę. Nie odkładając jej uniósł wzrok. Fisher wysiadł z samochodu i ruszył w jego stronę.

– Jak idzie interes? - zapytał wręczając mężczyźnie wydane przez Intourist kupony na trzydzieści pięć litrów 93-oktanowej benzyny. - Okay?

– Okay - odparł facet w kombinezonie, kiwając głową.

Fisher wrócił do swego samochodu i zaczął sam nalewać sobie benzynę. Pracownik stacji zbliżył się i patrzył ponad jego ramieniem na licznik. Amerykanina nie dziwiło, dlaczego wszystkie stacje są samoobsługowe, skoro personel i tak stoi obok i przygląda się nalewającemu. Dawno przestał się dziwić takim rzeczom. Na liczniku dystrybutora pojawiło się trzydzieści pięć litrów, ale bak wciąż nie był pełny, więc dolał jeszcze

cztery i dopiero wtedy odstawił wąż. Facet zaglądał akurat do środka pontiaca i chyba tego nie zauważył.

Fisher wsiadł do samochodu, uruchomił potężny silnik i trochę przygazował. Opuścił elektrycznie otwieraną szybę i wręczył pracownikowi stacji komplet pocztówek z Nowego Jorku.

– Mieszkają tam sami bezdomni. Tak?

Mężczyzna przeglądał powoli pocztówki. Fisher wsunął do magnetofonu kasetę z Bruce'em Springsteenem, zwolnił sprzęgło i zostawił za sobą na białym betonie sześć stóp spalonej gumy. Zawrócił z piskiem opon o sto osiemdziesiąt stopni i wyjechał na szosę.

– Nierzeczywiste. Naprawdę.

Zasunął szybę i słuchając muzyki naciskał pedał gazu, aż znacznie przekroczył obowiązujący limit prędkości.

– Od tysiąca kilometrów nie widziałem gliniarza z drogówki. Nie słyszeli chyba tutaj o czymś takim jak radar.

Pomyślał o hotelu „Rossija” w Moskwie. To będzie jego pierwszy przyzwoity nocleg od czasu opuszczenia Warszawy.

– Marzę o steku i szkockiej whisky.

Zastanawiał się, co robi z leżącymi na tylnym siedzeniu owocami i warzywami. Potem przyszło mu do głowy co innego. „Niech pan unika kontaktów seksualnych”. To właśnie usłyszał od pracownika sowieckiej ambasady w Bonn, kiedy tam poszedł odebrać wizę.

Jak na razie stosował się do tego zalecenia, z wyjątkiem pobytu w Warszawie. Wciąż jednak wiózł ze sobą piętnaście par rajstop i tuzin szminek.

– Zobaczymy, jak mi pójdzie w „Rossiji”.

Przez cały czas wypatrywał drogowskazu, który skierowałby go z powrotem na główną szosę. Po jakimś czasie dojechał do skrzyżowania i

zatrzymał się na poboczu pustej drogi. Na kamiennym słupku widniał napis: „108 km”. Strzałka w prawo wskazywała jednopasmową, pokrytą popękkanym asfaltem drogę, która wiodła z powrotem do głównej szosy. Droga w lewo prowadziła lekko pod górę i była zdecydowanie w lepszym stanie. Napis na drogowskazie był w cyrylicy, ale udało mu się odczytać nazwę miejscowości. BORODINO.

Spojrzał na zegar. Była 4.38. Kierując się nagłym impulsem skręcił do Borodina, w stronę zachodzącego słońca. Nie wiedział dokładnie, co spodziewa się tam zobaczyć i jakich szuka wrażeń, ale coś podpowiadało mu, że nie wolno zmarnować takiej okazji. Nie dalej jak w czerwcu stał na normandzkiej plaży, poruszony tym, co się tam wydarzyło. Uważał, że coś podobnego nastąpi teraz, gdy znajdzie się w miejscu, gdzie stanęli naprzeciwko siebie Napoleon i Kutuzow i gdzie pięćdziesiąt lat później Lew Tołstoj zastanawiał się nad zarysem *Wojny i Pokoju*.

Przynajmniej to jestem winien Rosjanom, zanim wjadę do Moskwy, pomyślał.

Droga skręcała pod łagodnym kątem i wciąż się wznosiła. Wysadzana była po obu stronach topolami, co Fisherowi bardzo się spodobało. Między wysokimi kamiennymi kolumnami zobaczył otwartą żelazną bramę i powoli przez nią przejechał.

Z niewielkiego pagórka rozciągał się widok na pole, na którym rozegrała się kiedyś bitwa między napoleońską Grande Armée i dowodzonym przez marszałka polnego Kutuzowa wojskiem rosyjskim.

Fisher zjechał na dół na mały parking, obok którego stał budynek z białego piaskowca, z czerwoną dachówką i neoklasycystycznym portykiem. Po obu stronach portyku widniały zwieńczone łukiem francuskie okna. Przy wejściu stały dwie stare, ładowane z przodu armaty. W budynku, o czym

wiedział z wydanego przez Intourist przewodnika, mieściło się muzeum bitwy pod Borodinem.

Pogrzebał w swoich kasetach i odnalazł *Uwerturę na rok 1812* Czajkowskiego. Wsunął ją do magnetofonu, nastawił głośniej i wysiadł z samochodu, zostawiając otwarte drzwi. Przez pograżone w ciszy pole bitwy potoczyły się głośne dźwięki muzyki symfonicznej, a w powietrze wzbiło się stado dzikich gęsi.

Fisher wspiał się po schodach muzeum. Próbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte.

– Normalne.

Odwrócił się i spojrzał na porośniętą trawą kotliny i pagórki, na których pewnego wrześniowego dnia 1812 roku spotkało się ćwierć miliona francuskich i rosyjskich żołnierzy; Francuzi z zamiarem zdobycia Moskwy, Rosjanie - jej obrony. Przez piętnaście godzin, z tego, co wyczytał w swoim przewodniku, obie strony prowadziły przeciwko sobie ogień artyleryjski, potem Rosjanie wycofali się w kierunku Moskwy, a Francuzi pozostali na polu bitwy i opanowali małą wioskę Borodino. Zabitych i rannych było sto tysięcy.

W oddali zobaczył pomnik wzniesiony ku czci francuskich oficerów i żołnierzy, którzy walczyli tutaj w roku 1812, a jeszcze dalej nowszy pomnik poświęcony rosyjskim obrońcom, którzy w tym samym miejscu starali się zatrzymać w roku 1941 Niemców.

Zauważył, że nie było żadnego pomnika poświęconego Niemcom.

Kiedy tak patrzył na spokojne teraz, martwe w jesiennym zmierzchu pole, nagle odczuł cały tragizm i historyczność tego miejsca. Zimny wschodni wiatr pędził brzozowe liście po granitowych schodach, a potężne akordy uwertury Czajkowskiego grzmiały nad uśpionym polem.

– Rosja - powiedział cicho sam do siebie. - *Rodina...* ojczyzna. Krwawiąca Rosja. Ale ty także nieźle ich wszystkich pokrwawiłaś. Uśmiercałaś ich całymi milionami.

Wrócił powoli do samochodu. Zrobiło się teraz znacznie chłodniej i poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Wsiadł, zamknął drzwi, przyciszył magnetofon i ruszył wolno alejką, mijając czarny granitowy obelisk wzniesiony ku czci Kutuzowa, zbiorowy grób sowieckich gwardzistów, którzy zginęli tutaj w roku 1941, pomnik ku czci Grande Armée i kilkadziesiąt mniejszych pomniczków upamiętniających poszczególne rosyjskie pułki, zarówno te z roku 1812, jak i 1941.

W zapadającym zmroku wydawało mu się, że słyszy stłumione odgłosy bitwy i krzyki ludzi. Za bardzo ich się czepiam, pomyślał. Nie mieli lekkiego życia. No i Zachód ciągle wystawiał ich do wiatru.

Stracił poczucie czasu i zbyt późno zorientował się, że zrobiło się zdecydowanie ciemniej. Próbował wrócić tą samą trasą, mijając niskie pagórki i brzozowe laski, ale po jakimś czasie uświadomił sobie, że zabłądził. W końcu znalazł się w wysokim sosnowym lesie.

Niechętnie jechał wznoszącą się, wąską asfaltową dróżką, rozglądając się za szerszym miejscem, w którym mógłby zawrócić. Włączył długie reflektory, ale po obu stronach widać było tylko ściany gęstego ciemnozielonego lasu.

– Chryste przenajświętszy...

Nagle w światłach reflektorów ukazała się duża, przybita do drzewa, drewniana tablica i Fisher zatrzymał samochód. Gapił się przez szybę na wypisane cyrylicą litery, ale był w stanie odczytać tylko znajomy napis STOP. Cała reszta była niezrozumiała z wyjątkiem równie znajomych czterech liter CCCP. Własność państwowa. Ale co nią w tych czasach nie było?

– Naprawdę potrzebne mi to do szczęścia? - Usłyszał drzenie we własnym głosie i dodał pewniejszym tonem: - Nie chcę mieć żadnych kłopotów. Zgadza się?

Zastanawiając się, co robić dalej, zauważył po prawej stronie małą polankę. Położona była już za znakiem, a ponieważ nie chciał mijać go samochodem, wyjął spod siedzenia latarkę i wysiadł. Przeszedł dzielące go od polanki dziesięć metrów. Była wysypana żwirem i szeroka na mniej niż pięć metrów - pomyślana najwyraźniej jako rodzaj ronda, na którym mógłby zawrócić nieostrożny, pragnący się zastosować do znaku automobilista.

– Rosyjska pomysłowość - powiedział głośno.

Kopnął kamyk i postanowił, że tak właśnie zrobi. Odwrócił się do samochodu i nagle zamarł w bezruchu. Poprzez warkot silnika usłyszał trzask łamanych gałązek. Nie ruszał się z miejsca, oddychając przez nos. Chłodne, wilgotne powietrze wypełnione było żywicznym zapachem drzew i ubrany w lekką wiatrówkę Fisher zadrżał z zimna. Ponownie usłyszał trzask gałązek, tym razem bliżej. Światło reflektorów przyciągnęło jelenia, pomyślał. To nie może być nic innego. Dał krok w stronę swego samochodu.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies - nie było to przyjazne szczekanie. Oślepiło go światło własnych reflektorów. Przysłaniając dłonią oczy ruszył długimi krokami w stronę pontiaca. Miał do pokonania dziesięć metrów: raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

– Rosyjska pomysłowość - usłyszał głos z prawej strony, z odległości nie większej niż kilkadziesiąt centymetrów.

Poczuł, jak uginają się pod nim kolana.

.2.

Minęła piąta. Lisa Rhodes nalała sobie trochę bourbona do papierowego kubeczka po coli i podeszła do okna w biurze ataszatu prasowego ambasady amerykańskiej. Z wychodzących na zachód okien na siódmym piętrze widać było rzekę Moskwa.

Na drugim brzegu, przy bulwarze Tarasa Szewczenki, wznosił się dwudziestodzieciopiętrowy gmach hotelu „Ukraina”, klasyczny przykład bombastycznej architektury stalinowskiej.

W tym zakolu rzeki mieściła się niegdyś jedna z najbiedniejszych dzielnic dziewiętnastowiecznej Moskwy. Po dokonanych pod rządami Sowietów rozbiórkach i przebudowie okolica stała się może i schludniejsza, ale z całą pewnością mniej interesująca. W ciągu spędzonych w Moskwie dwóch lat Lisa Rhodes widziała, jak burzy się nie tylko stare drewniane budynki, ale również solidne murowane pałacyki i cerkwie. Gdzieś, pomyślała, musiał istnieć plan całkowitej zmiany oblicza miasta, ale przy jego ustalaniu nikt chyba nie zapytał się mieszkańców o zdanie.

– Zawarli tutaj całkiem szczególną umowę społeczną - powiedziała na głos.

Spinający brzegi rzeki most Kalinina łączył się z Prospektem Kutuzowa, który biegł obok hotelu „Ukraina”, przechodząc dalej w szosę do Mińska. Spojrzała w dal, tam gdzie droga znikła w zachodzącym blado nad płaskim horyzontem słońcu.

– Rosja...

Rozległy, niegościnnie obszar, gdzie człowiek powinien się raczej spodziewać wypasających bydło dzikich jeźdźców, a nie miast należących do potężnego europejskiego imperium. Z całą pewnością, pomyślała, najbardziej zastygłego w bezruchu imperium, jakie zna historia cywilizacji, która czepiała się ubogiej gleby niczym korzenie niepozornej białej brzozy.

Zadzwoił wewnętrzny telefon. Odwróciła się od okna i podniosła słuchawkę.

– Rhodes.

– Halo - odezwał się męski głos. - Dzisiaj jest pierwszy dzień Sukkot.

– Naprawdę?

– Zaproszono mnie na przyjęcie na Sadownikach. Religijni dysydenci.

Powinno ci się spodobać.

– Mam dzisiaj dyżur.

– Załatwię ci zastępstwo.

– Nie... nie, dziękuję, Seth.

– Czy między nami wszystko skończone?

– Tak sądzę.

– Na pewno? Poddałabyś się próbie wykrywacza kłamstw?

– Muszę przygotować materiały dla prasy.

– No cóż, dzięki temu unikniesz przynajmniej dziś wieczorem wszelkich kłopotów. Przemyśl to sobie, Liso.

Nie była pewna, czy mówiąc o kłopotach Seth Alevy ma na myśli swoje towarzystwo czy dysydentów.

– Zrobię to - odpowiedziała.

– Dobranoc.

Odwiesiła słuchawkę, zrzuciła buty i położyła nogi na biurku. Trzymając na brzuchu kubeczek z bourbonem zapaliła papierosa i przyjrzała się akustycznym płytkom, którymi wyłożony był sufit.

Nowy budynek ambasady, pomyślała, położony na niezdrowych podmokłych gruntach, w połowie drogi między rzeką Moskwa a starą ambasadą przy ulicy Czajkowskiego, wznoszono przez ponad dziesięć lat siłami zachodnioniemieckiej firmy pracującej na rzecz amerykańskiego koncernu w Nowym Jorku. Jeśli nawet Sowieci czuli się urażeni tym, że wzgardzono ich socjalistyczną siłą roboczą i niezrównanymi budowniczymi, nigdy nie dali tego po sobie poznać.

Zamiast tego bawili się w małoduszne utrudnienia i opóźniali, jak mogli, załatwienie najprostszych papierkowych spraw, co było jedną z przyczyn, dla których budowa trwała pięć razy dłużej, niż powinna.

Inną przyczyną był fakt, że każdy dostarczony przez Sowieców kawałek betonu naszpikowany był pluskwami. Po skandalu podsłuchowym nastąpiły kolejne, związane ze złym prowadzeniem się stacjonujących w starej ambasadzie marines, i przez dłuższy czas trwała wymiana wzajemnych oskarżeń między Moskwą i Waszyngtonem. Amerykańska misja dyplomatyczna w Związku Sowieckim przez ponad rok była prawie zupełnie sparaliżowana, a cała afera nie schodziła w Stanach z pierwszych stron gazet. Dyplomatów spędzała sen z powiek wizja sekretarza stanu urzędującego w ustawionej przy ulicy Czajkowskiego przyczepie.

Według informatorów Seta Alevy'ego, Rosjanie nieźle się przy tym wszystkim ubawili. A z tego, co sama zaobserwowała, amerykańscy dyplomaci w Moskwie czuli się wystrychnięci na dudków i przez dłuższy czas unikali kontaktów towarzyskich z innymi ambasadami.

W końcu, dzięki nieco spóźnionej jankeskiej pomysłowości i dużej liczbie jankeskich dolarów, budowa nowej ambasady doprowadzona została do szczęśliwego kresu. Ale Lisa Rhodes wiedziała, że w duszach amerykańskich dyplomatów pozostało mnóstwo goryczy i że wpływało to na podejmowane przez nich decyzje. Jeśli nawet stosunki między

pracownikami ambasady i ich sowieckimi gospodarzami nacechowane były kiedyś dobrą wolą, dawno nie pozostało po niej ani śladu, a jej miejsce zajęła prawie otwarta wrogość. Departament Stanu całkiem serio rozważał przeniesienie gdzie indziej całego tutejszego personelu i zastąpienie dwustu zdolnych i doświadczonych pracowników dyplomatami, którym nie leży tyle na wątrobie. Lisa miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Chciała pracować tu nadal.

Potrząsnęła kostkami lodu w kubeczku. Zamknęła oczy i wypuściła w górę dym z papierosa. Pomyślała o Alevym. Flirt z szefem placówki CIA w Moskwie nie odbijał się najgorzej na jej karierze. Mogła dzięki niemu liczyć na pozostanie w Moskwie, nawet gdyby Departament Stanu kazał jej wracać do domu. No i kochała go. Przynajmniej do niedawna. Teraz nie była już tego taka pewna. Fakt, że była z nim związana, oznaczał, że w jakiś sposób wiąże się z jego światem, a to wcale jej się nie podobało. Nie tak wyobrażała sobie swoją karierę i życie. Poza tym było to niebezpieczne. A pobyt w Moskwie i bez tego obfitował w niebezpieczeństwa.

.3.

Gregory Fisher zorientował się, gdzie jest, ujrawszy lśniąca w świetle księżycy statuę Kutuzowa. Odnalazł alejkę, przy której stały pomniki poświęcone rosyjskim pułkom, potem dojrzał muzeum z białego piaskowca i po minucie jechał wysadzaną topolami drogą w stronę żelaznej bramy.

Zbliżając się do niej, zobaczył, że jest zamknięta.

– Chryste przenajświętszy...

Wcisnął pedał gazu i pontiac wyrzwał w bramę, wywalając ją na oścież. Metaliczny trzask wyrwał go z odrętwienia.

– Wynośmy się stąd, do diabła.

Dodając gazu pokonał serię łagodnych zakrętów. Wychodząc z ostatniego zobaczył przed sobą starą drogę do Moskwy. Skręcił w nią z piskiem opon. Włączył reflektory i ujrzał w ich świetle drogowskaz, który minął wcześniej. Skręcił ostro w prawo w jednopasmową drogę, która wiodła z powrotem do głównej szosy.

– Powinienem pojechać tędy od razu. Prawda? Potrzebne mi było do szczęścia to całe Borodino? Na pewno nie. Oglądałem kiedyś *Wojnę i pokój*, i czytałem książkę... to wszystko, co powinienem wiedzieć o Borodinie.

Pontiac podskakiwał na wybojach, a jemu serce waliło w piersi. W oddali, ponad płaskim uprzątniętym polem, widział światła rolniczych zabudowań. Nie potrafił pozbyć się wrażenia, że znalazł się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Wiedział także, że trochę potrwa, zanim dotrze tam, gdzie powinien się już od dawna znajdować: w

hotelowym pokoju w „Rossiji” - i jeszcze dłużej, zanim dotrze tam, gdzie pragnął się znaleźć: w Connecticut.

– Wiedziałem - jęknął, uderzając dłonią w kierownicę. - Wiedziałem, że w tym pieprzonym kraju czekają mnie same kłopoty.

I rzeczywiście: mimo nonszalancji, z jaką przebył ostatnie tysiąc kilometrów, czuł się nieswój od samego przekroczenia granicy. Teraz w jego głowie co chwila zapalał się i gasł neon: KOSZMAR. KOSZMAR.

Wydawało się, że ta wiejska droga nigdy się nie skończy, ale nagle w świetle reflektorów ukazały się stojące w rzędzie słupy elektryczne i po paru chwilach znalazł się na skrzyżowaniu z główną szosą.

– Okay... wróciliśmy do punktu wyjścia.

Wjechał szybko na szosę i ruszył na wschód, w kierunku Moskwy. Przed sobą i w tylnym lusterku nie widział żadnych reflektorów, ale mimo to bał się przyspieszyć. Uświadomił sobie, że w mijanych miastach i wsiach może natknąć się na milicję, która z całą pewnością zatrzyma go i będzie zadawać pytania. Wymyślił na jej użytek kilka historyjek, ale choć jemu samemu wydawały się całkiem wiarygodne, nie zmieniało to faktu, że milicja - nieważne czy tutaj, czy w Connecticut - nie wierzy na ogół w to, co się jej opowiada.

Zauważył, że na niebie znów pojawiły się chmury; zapadła głęboka i ciemna noc, a otaczająca go słynna bezkresna rosyjska równina pozbawiona była jakichkolwiek śladów ludzkich siedzib. Miał uczucie, jakby poruszał się w próżni i w miarę upływu czasu przestawał reagować na sygnały własnych zmysłów. Próbował przekonać sam siebie, że to, co mu się przed chwilą przytrafiło, nie miało w ogóle miejsca. Ale kiedy mijał Akułowo, musiał spojrzeć prawdzie w oczy.

– Jezu Chryste... i co ja mam teraz zrobić?

Włączył magnetofon i próbował zapomnieć o wszystkim, słuchając Janis Joplin. Śpiewała balladę o Bobbym McGee; jej głęboki ochrypły głos zawsze go rajcował. Starał się ją sobie wyobrazić.

Kiedy ponownie zwrócił uwagę na drogę, zobaczył przed sobą dziwne, migotliwe światło. Przez kilka sekund wpatrywał się w nie zmieszany i zaniepokojony. Nagle popatrzył na zegar i licznik kilometrów, a potem z powrotem na wiszącą nad czarnym horyzontem łunę.

– To Moskwa!

Siedząc w toczącym się na wschód pontiacu nie odrywał oczu od odległej poświaty. Po jakimś czasie przejechał pod mostem i domyślił się, że mija właśnie autostradę obwodową, stanowiącą oficjalną granicę miasta. Droga stała się czteropasmowa i po kilku kilometrach wjechał w tunel pod kolejną obwodnicą. Zobaczył jadącą z naprzeciwka, załadowaną pustymi klatkami ciężarówkę. Potem minął go wyjeżdżający z miasta autobus i zobaczył w jego jasno oświetlonym wnętrzu odzianych w ciemne stroje ludzi, w większości stare chłopki z zawiązanymi na głowach chustkami.

Nadal jednak nie dostrzegał żadnego śladu miejskiego życia, żadnych przedmieść, znaków drogowych czy ulicznych latarni - wciąż tylko szare rżyska, tak jakby każdy metr kwadratowy ziemi musiał coś produkować aż do chwili, kiedy wykopane zostaną doły pod fundamenty.

Od szosy zaczęły odchodzić w lewo i prawo boczne drogi, a w oddali dostrzegł stojące w szeregu nie otynkowane bloki z wielkiej płyty, niektóre oświetlone, inne dopiero w budowie.

Poprzedniej nocy w Smoleńsku przez całą godzinę studiował mapę Moskwy, zaznajamiając się z dojazdem do hotelu. Daleko po prawej stronie teren podnosił się; Fisher domyślił się, że są to Wzgórza Leninowskie. Na szczycie wzniesienia stał potężny gmach zwieńczony ozdobną iglicą -

Uniwersytet Moskiewski imienia Łomonosowa. Zamierzał poderwać tam jakąś panienkę, ale teraz wszelkie jego plany zawisły w próżni.

Dokładnie przed sobą zobaczył upamiętniający bitwę pod Borodinem Łuk Triumfalny. Dalej zaczynała się zwarta miejska zabudowa niczym, pomyślał, w średniowiecznym mieście, gdzie miejskie i wiejskie dzieliła wyraźna granica. Nie znano tutaj pojęcia suburbiów.

Szosa omijała z prawej strony Łuk Triumfalny i przechodziła w Prospekt Kutuzowa, nazwany tak na cześć dowódcy spod Borodina. Nagle pojawiły się uliczne latarnie i inne pojazdy. Nie zobaczył co prawda znaku „Witajcie w Moskwie”, ale znajdował się już w sowieckiej stolicy, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Udowadniając po raz kolejny słuszność powiedzenia, że głupi ma szczęście, dojechał tutaj: udało mu się przebyć po zmierzchu ponad sto kilometrów w rzucającym się w oczy amerykańskim samochodzie i nikt go nie zatrzymał. Teraz, kiedy otaczał go uliczny ruch, poczuł się nieco pewniej.

– To tyle, jeśli chodzi o słynną skuteczność państwa policyjnego.

Zauważył, że inni kierowcy podjeżdżali do niego blisko, żeby przyjrzeć się pontiacowi.

– Odwalcie się - mruknął.

Przejechał powoli przez plac Zwycięstwa. Po lewej stronie stał duży pomnik Kutuzowa na koniu, a za nim okrągły budynek, w którym mieściło się kolejne muzeum bitwy pod Borodinem.

– Moskiewska filia - mruknął i od razu przypomniała mu się jego niefortunna wycieczka na pole bitwy.. - Przeklęte muzea... pomniki... zwycięstwa... wojny...

Po obu stronach Prospektu stały szare wysokie kamienice. Fisher zatrzymał się na pierwszych ulicznych światłach. Przechodzący przez

jezdnię ludzie najpierw przyglądali się samochodowi i tablicom rejestracyjnym, a potem wlepiali wzrok w Amerykanina.

– Jezu, ludzie, nigdy przedtem nie widzieliście rejestracji z Connecticut?

Sycił się widokami i dźwiękami.

– Moskwa! Jestem w Moskwie!

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Wszystkie miasta i miasteczka, które minął w drodze z Brześcia, były tylko skromnymi zakąskami. Teraz czekało go główne danie. Stolica, centrum, jak nazywali je sami Rosjanie. Przyglądał się budynkom i ludziom, starając się zapamiętać każdy detal, uwierzyć, że naprawdę przemierza ulice Moskwy.

Światła zmieniły się i Fisher ruszył dalej. Droga rozgałęziała się, ale on pamiętał, że ma skręcić w lewo. Przed sobą zobaczył zwieńczony iglicą hotel „Ukraina”, kolejny przykład stalinowskiego weselnego tortu, przypominający do złudzenia uniwersytet na Wzgórzach Leninowskich. Minął olbrzymią budowlę i znalazł się na spinającym brzegi rzeki Moskwa moście Kalinina. Na drugim brzegu zobaczył po lewej stronie nowoczesny wysoki budynek z ciemnej czerwonej cegły i uświadomił sobie, że to musi być ambasada amerykańska.

– Dzięki Ci, Boże.

Na skrzyżowaniu za mostem trochę się zagubił. Wypatrywał właśnie drogi, w którą mógłby skręcić, żeby dostać się w pobliże ambasady, kiedy zrównał się z nim zielono-biały milicyjny samochód. Siedzący obok kierowcy milicjant dawał mu znaki, żeby zjechał na bok. Fisher uznał, że najlepiej będzie udać, że go nie widzi.

– Stój! - wrzasnął milicjant.

Fisher rozważał przez chwilę szansę ucieczki do ambasady. Najszybszy samochód w całym Związku Sowieckim! Ale pomysł samochodowego

wyścigu przez centrum Moskwy nie wydał mu się najlepszy. Zjechał ze skrzyżowania w zatłoczony Prospekt Kalinina.

– Stój!

– Wsadź sobie gdzieś twoje stój, ty fiucie.

Wziął głęboki oddech i podjechał do krawężnika. Kolana tak mu się trzęsły, że z trudem udało mu się nacisnąć hamulec. Samochód milicyjny zatrzymał się tuż za nim i wysiedli z niego dwaj milicjanci, ubrani w zielone kombinezony i futrzane czapki. Jeden z nich podszedł do pontiaca od strony kierowcy i Fisher opuścił szybę.

– *Amierikaniec?*

– Zgadza się. *Da.*

– Wiza. Pasport.

Wręczając mu swoją wizę i paszport Fisher starał się opanować drżenie rąk. Milicjant studiował dokumenty, spoglądając na przemian na nie i na Fishera. Za dziesiątym razem Fisher uznał go za niespełna rozumu. Drugi chodził wokół samochodu i dotykał go. Najwyraźniej zaintrygował go tylny spoiler.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. Nagle pojawił się facet w cywilu. Gapił się przez chwilę na Fishera przez przednią szybę, a potem podszedł do drzwi.

– Proszę o dokumenty wozu - odezwał się po angielsku, poprawnie, ale z ciężkim akcentem. - Pańskie międzynarodowe prawo jazdy, ubezpieczenie i marszruta podróży.

– Dobrze. *Da.*

Fisher wręczył facetowi dużą kopertę. Cywil studiował przez jakiś czas papiery, a potem strzelił palcami i jeden z milicjantów podał mu szybko paszport i wizę Amerykanina.

– Proszę wyłączyć zapłon, oddać mi kluczyki i wysiąść z wozu - rozkazał cywil.

Fisher wykonał polecenie. Stając przed cywilem, zauważył, że jak na Rosjanina jest wysoki i bardzo szczupły. Był blondynem i miał prawdziwie nordycki wygląd.

Facet przyjrzał się Fisherowi, a potem jego fotografiom w paszporcie i na wizie, tak jak to uczynił przedtem milicjant w mundurze.

– Pochodzi pan ze Smoleńska? - zapytał w końcu.

– Z Connecticut.

– Ale przyjechał pan do Moskwy ze Smoleńska?

– Ach, tak.

– Jechał pan w nocy przez teren nie zabudowany.

– Nie.

– Ale powiedział pan, że właśnie przyjechał pan do Moskwy. Minęły już dwie godziny od zapadnięcia zmierzchu.

– Nie powiedziałem wcale, że właśnie przyjechałem...

– Widziano pana przy Łuku.

– Ach... to tam jest granica miasta?

– Co pan robi w tej dzielnicy miasta?

– Zwiedzam.

– Tak? Czy zameldował się pan już w hotelu?

– Nie. Myślałem, że najpierw trochę sobie pojeżdżę.

– Proszę, niech pan nie kłamie. To tylko pogarsza pańską sytuację. Jechał pan w nocy przez teren nie zabudowany.

– Tak - odparł Fisher i przyjrzał się bliżej mężczyźnie. Miał około czterdziestki i ubrany był w skórzaną kurtkę i futrzaną, chyba sobolową czapkę. Nie wydawał się ani wrogo, ani przyjaźnie nastawiony, był po

prostu ciekaw. Fisher znał ten typ ludzi. - Prawdę mówiąc, trochę zbyt późno wyjechałem ze Smoleńska.

– Naprawdę? - Mężczyzna zajrzał do marszruty Amerykanina. - Mam tutaj napisane, że opuścił pan biuro Intouristu o trzynastej pięćdziesiąt... za dziesięć druga.

– Zabłądziłem.

– Gdzie?

– W Boro... to znaczy w Możajsku.

Mężczyzna popatrzył Fisherowi prosto w oczy, ale ten nie opuścił wzroku. Możesz mi naskoczyć, Borys.

– Nie rozumiem.

– Zgubiłem się. To chyba jasne.

– Co pan zwiedzał w Możajsku?

– Sobór.

– Gdzie się pan zgubił? W środku soboru? - zapytał drwiącym tonem cywil.

Strach Fishera ustąpił miejsca zniecierpliwieniu.

– Kiedy człowiek się zgubi, oznacza to, że nie wie gdzie.

Mężczyzna nagle się uśmiechnął.

– Tak. To właśnie oznacza słowo „zgubić się”. - Przez chwilę się zastanawiał. - No tak. Więc twierdzi pan, że się zgubił?

Fisher nie odpowiedział. Pomyślał, że być może nie przysługuje mu tutaj prawo do milczenia, ale miał dość oleju w głowie, żeby nie pogrążyć się bardziej.

Mężczyzna nieprzyjemnie długo mierzył go wzrokiem, a potem dał znak, żeby poszedł za nim. Stanęli z tyłu samochodu. Rosjanin otworzył bagażnik. W środku znajdowały się części zapasowe, bańka z olejem i

kosmetyki samochodowe. Mężczyzna wziął do ręki pastę samochodową „Rain Dance”, zbadał ją uważnie i odłożył z powrotem.

Fisher zauważył, że mieszkańcy Moskwy zwalniali przy nich niedostrzegalnie, ale nie zatrzymywali się i nie patrzyli w ich stronę - po raz pierwszy od prawie półtora tysiąca kilometrów stojący przy krawężniku pontiac nie przyciągał tłumów.

Uświadomił sobie nagle pełne znaczenie słów „państwo policyjne”.

Spostrzegł, że dwóch mundurowych pochyła się nad tylnym siedzeniem samochodu, przeszukując jego bagaż i jutowe torby z owocami i warzywami.

– Co to znaczy?

Fisher odwrócił się do cywila.

– Co?

Tamten wskazywał na tabliczkę z nazwą samochodu.

– Pontiac - poinformował go Fisher.

– Tak?

– Produkują go - ty półgłówku - w General Motors. A pontiac to chyba jakieś indiańskie słowo. Tak, zgadza się. Wódz Pontiac.

Facet nie wydawał się usatysfakcjonowany. Jego wzrok przyciągnęła tabliczka z nazwą państwa, którą kazano Fisherowi kupić w Brześciu. Miała kształt tarczy i wymalowano na niej gwiazdy i biało-czerwone paski. Facet strzelił z lekceważeniem palcami tuż przed tabliczką, jakby, pomyślał Fisher, chciał go specjalnie obrazić. A potem pokazał ręką przedni zderzak.

– Trans am?

– Trans: przez. Am: Amerykę.

– Przez Amerykę.

– Zgadza się.

– Przez Rosję.

Facet uśmiechnął się ponownie i Fisher zauważył, że nie był to przyjemny uśmiech. Rosjanin podszedł do drzwi kierowcy i dotknął ręką siedzenia.

– Skóra?

– Tak.

– Ile kosztuje?

– Koło siedemnastu tysięcy dolarów.

– Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy rubli.

Fisher zauważył, że facet przeliczył pieniądze po kursie czarnorynkowym, nie oficjalnym.

– Nie - odparł. - Piętnaście tysięcy.

Rosjanin uśmiechnął się głupio.

– Jest pan kapitalistą? - zapytał.

– Och, nie. Niedawno skończyłem studia. Chodziłem kiedyś na kurs na temat sowieckiej ekonomii. Czytałem Marksa i książkę pod tytułem *Czerwona władza*. Bardzo pouczająca.

– Marksa?

– Karola. I Lenina. Związek Sowiecki bardzo mnie interesuje.

– Z jakiego powodu?

– Och, chcę po prostu lepiej poznać tutejsze społeczeństwo. Pierwsze na świecie socjalistyczne państwo. Fascynujące. Oglądał pan kiedyś film *Czerwoni*? Z Warrenem Beatty...

Mężczyzna odwrócił się do niego plecami i podszedł do dwóch milicjantów, którzy stanęli w tym czasie na chodniku. Rozmawiali może z pięć minut, po czym wysoki cywil podszedł do niego z powrotem.

– Złamał pan prawo: będąc cudzoziemcem prowadził pan po zmroku. To bardzo poważne przestępstwo.

Fisher milczał.

– Skoro pan się zgubił, powinien pan zatrzymać się w najbliższym mieście przy szosie.

– Ma pan absolutną rację.

– Proponuję, żeby pojechał pan teraz bezpośrednio do hotelu „Rossija” i pozostał tam przez cały wieczór. Może pan zostać poproszony o złożenie pełnych zeznań jutro lub nawet dziś w nocy.

– Okay.

Fisher zdał sobie sprawę z ironii sytuacji: oskarżonego o poważne przestępstwo osobnika nie zakuto bynajmniej w kajdanki ani nie zrewidowano; nie mieli tutaj po prostu do czynienia z niebezpiecznymi albo uzbrojonymi przestępcami. Nie musieli go także aresztować w miejscu przestępstwa, gdyż cały kraj i tak stanowił coś w rodzaju obozu dla internowanych; odsyłali go po prostu do hotelu. Aresztowania dokonają, kiedy im będzie wygodnie.

– Dobrze. Do „Rossiji”.

Mężczyzna oddał Amerykaninowi jego dokumenty i kluczyki.

– Witamy w Moskwie, panie Fisher.

– Naprawdę się cieszę, że się tu znalazłem.

Mężczyzna oddalił się i Fisher zobaczył, jak schodzi do metra. Dwaj milicjanci bez słowa wsiedli do swego samochodu i pozostali w nim, nie spuszczać z oczu Amerykanina.

Greg Fisher zamknął bagażnik i drzwi z prawej strony, po czym siadł za kierownicą i uruchomił silnik. Zauważył, że teraz gromadzi się wokół niego tłum.

– Barany.

Powtórzył cały incydent w pamięci i uznał, że poradził sobie całkiem nieźle.

– Ćmoki.

Wrzucił bieg i włączył się do ruchu. Samochód milicyjny ruszył w ślad za nim.

– Głupie dupki.

Był do tego stopnia roztrzęsiony, że miał ochotę się zatrzymać, ale mimo to jechał dalej. Milicjanci nie odstępowali go na krok, jazda do ambasady była więc na razie wykluczona.

Przez jakiś czas zupełnie nie patrzył, jak jedzie. Kiedy w końcu oprzytomniał, zorientował się, że minął już wewnętrzną obwodnicę i zmierza prosto w stronę Kremla. Przypomniawszy sobie, co wyczytał wcześniej z mapy, skręcił ostro w prawo w Prospekt Marksa, po czym zjechał w dół na bulwar i skręcił w lewo. Po prawej stronie miał rzekę Moskwa, a po lewej wysokie, opatrzone blankami i basztami południowe mury Kremla. W rzece odbijały się czerwone gwiazdy kremlofskich wież i cerkwi i Fisher zapatrzył się w ten widok, porażony jego nieoczekiwanym pięknem. Miał uczucie, że dotarł do kresu swojej trudnej podróży.

Bulwar skręcał w prawo, a kremlofskie mury kończyły się masywną basztą. W tylnym lusterku wciąż widział światła jadącego za nim milicyjnego samochodu. Wyżej nad sobą zobaczył przęsło przerzuconego przez rzekę mostu. Kiedy pod nim przejechał, ujrzał hotel „Rossija”, potężny, nowoczesny budynek ze szkła i aluminium, tak długi, że przy swoich dziesięciu piętrach sprawiał wrażenie niskiego.

Zauważył, że w większości okien nie paliło się światło. Zgodnie z instrukcją Intouristu zjechał pod wschodnią stronę budynku. Przed wejściem znajdował się niewielki parking ograniczony z trzech stron niskim kamiennym murkiem. Zatrzymał się w odległości piętnastu metrów od drzwi wejściowych i rozejrzał wokół siebie. Na parkingu nie stał ani jeden samochód, a przed hotelem nie było żywej duszy. Na lewo od głównego wejścia widać było drzwi do Bieriozki. W mieszczących się

prawie w każdym sowieckim hotelu sklepach tej sieci dysponujący zachodnią walutą cudzoziemcy mogli kupić rosyjskie towary, a także zachodnie kosmetyki i inne drobiazgi. Bieriozka była zamknięta.

Fisher zauważył, że parking kończy się przy stromej, zbiegającej ku rzece skarpie. Monstrualną bryłę hotelu otaczały niewielkie, stare zabudowania i pół tuzina zaniedbanych małych cerkiewek.

Spojrzał w tylne lusterko i zobaczył czający się za nim na podjeździe milicyjny samochód. Podjechał pod główne wejście i zgasił silnik. W środku przeszklonego hotelowego foyer zobaczył ubranego w zielony uniform odźwiernego. Facet przyglądał się bacznie pontiacowi, ale nie poruszył ani na centymetr, żeby otworzyć drzwi. Fisher wysiadł z samochodu i założył torbę na ramię.

Wiedział już, że do obowiązków sowieckiego odźwiernego nie należy bynajmniej udzielanie pomocy ludziom, którzy chcieli wejść do hotelu, ale pilnowanie, by nie dostali się tam sowieccy obywatele. Szczególnie niepożądani byli handlarze, prostytutki, dysydenci oraz ciekawscy, którzy mieliby ochotę zobaczyć, jak żyją ludzie po zachodniej stronie.

Amerykanin otworzył drzwi i podszedł do odźwiernego.

– Allo.

– Allo.

Zrobił gest w stronę samochodu.

– Bagaż - powiedział po rosyjsku. - Okay?

– Okay.

Wręczył odźwiernemu kluczyki.

– Garaż. Okay?

Odźwierny posłał mu zagadkowe spojrzenie. Fisher uświadomił sobie, że być może w całej Moskwie nie ma ani jednego piętrowego parkingu. Był zmęczony, wystraszony i zdenerwowany.

– Słodki Jezu...

Zorientował się, że nie ma przy sobie ani jednego rubla. Pogrzebał w torbie i wyjął z niej pierwszą z brzegu rzecz, która wpadła mu w rękę.

– Proszę - powiedział, podając Rosjaninowi ośmiocalową miedzianą miniaturkę Statui Wolności, razem z piedestałem.

Odźwierny strześlił na boki oczyma, a potem wziął podarunek do ręki i przyjrzał mu się podejrzliwie.

– *Religioznyj?*

– Nie, nie. To Statua Wolności. *Swoboda*. Dla pana. *Podarok*. Za to, że się pan zaopiekuje autem. Okay?

Odźwierny wsunął statwę do kieszeni swego uniformu.

– Okay.

Fisher pchnął szklane wahadłowe drzwi i wszedł do holu, który sprawiał wrażenie opuszczonego i jak większość miejsc publicznych był przegrzany. Dla Rosjan gorąco oznaczało luksus.

W holu przeważał szary kamień i aluminium. Górą biegł wsparty na kolumnach krużganek. Nie było żadnego baru, żadnego stojaka na gazety, sklepu ani punktu usługowego. Właściwie nie było nic, co sugerowałoby, że znalazł się w hotelu, oprócz mieszczącego się w ścianie po lewej stronie okienka, które przypominało kasę biletową i w którym Fisher domyślił się recepcji. Podeszedł tam; siedząca w małym pokoiku kobieta podniosła na niego znudzony wzrok. Podał jej swoją rezerwację Intouristu, paszport i wizę. Przez chwilę oglądała paszport, a potem wstała i zniknęła za drzwiami.

– Witamy w hotelu „Rossija”, panie Fisher - powiedział sam do siebie. - Jak długo pan się u nas zatrzyma? Aż zgarnie mnie KGB... Cieszymy się bardzo, proszę pana.

Odwrócił się i spojrział w głąb długiego, wąskiego holu. Nie widać było żadnego boya ani nikogo z obsługi hotelowej z wyjątkiem siedzącego w przeszklonym foyer odźwiernego. Widział swój samochód - tuż za nim stało teraz auto milicyjne. Miejsce sprawiało wrażenie nie tylko opuszczonego, ale nawiedzanego przez duchy.

– To nie hotel.

Daleko przy kolumnie zauważył teraz kłójącą się głośno parę Francuzów. Oboje byli elegancko ubrani i zadbani. Kobieta wydawała się na skraju łez. Mężczyzna wykonał typowy galijski gest, oznaczający, że nie zamierza jej dłużej słuchać, i odwrócił się do swojej partnerki plecami.

– Och, daj jej spokój - mruknął Fisher. - Powinieneś mieć na głowie moje kłopoty.

Przypomniał sobie Paryż, który zwiedzał nie dalej jak w czerwcu, i zastanawiał się, dlaczego stamtąd w ogóle wyjeżdżał. To samo pytanie zadawał sobie prawdopodobnie Napoleon, przebywając w ogarniętej pożarem Moskwie i patrząc na sypiący się z nieba śnieg. Mógł stać właśnie w tym miejscu, pomyślał Fisher, sto metrów od murów Kremla, odwrócony plecami do placu Czerwonego i twarzą do rzeki. I ogarnęło go pewnie to samo poczucie bezsilności, które nachodzi każdego wjeżdżającego do tego zakazanego kraju mieszkańca Zachodu, to samo, które ogarnęło teraz Amerykanina.

Zauważył, że z podjazdu zniknął jego samochód, nie widział jednak nikogo, kto wnosiłby do środka jego bagaże, co było nader niepokojące. Zastanawiał się, dokąd zmierza teraz jego pontiac. Prawdopodobnie do kwatery głównej KGB, gdzie rozbiorą go do samej ramy. Zniknęło także auto milicyjne.

Poczuł, że musi się napić. Spojrział na zegarek. Było wpół do dziewiątej wieczorem.

– Gregory Fisher - usłyszał za sobą.

Odwrócił się. W okienku ukazała się kobieta w średnim wieku. Miała krótkie rude włosy z czarnymi odrostami i ubrana była w spodnium z tworzywa sztucznego koloru akwamaryny.

– Jestem z Intouristu. Mogę zobaczyć pańskie papiery?

Wręczył jej wielką kopertę. Obejrzała dokładnie wszystkie dokumenty, po czym podniosła wzrok.

– Dlaczego pan się spóźnił? - zapytała.

Fisherowi rzadko kiedy zadawano tym tonem to pytanie i poczuł, jak ponownie wzbiera w nim gniew.

– Spóźnił się na co? - warknął.

– Martwiliśmy się o pana.

– No więc, skoro już jestem, nie ma się o co martwić, prawda? Mogę już iść do mojego pokoju?

– Oczywiście. Musi pan być zmęczony. Dawno już - dodała - nie spotkałam Amerykanina, który przyjechałby tutaj autem z Zachodu. Młodzi ludzie są tacy odważni.

– I głupi.

– Być może.

Oddała mu jego papiery z wyjątkiem paszportu i wizy, po czym wręczyła zieloną kartę hotelową.

– To pański *propusk*. Proszę nosić go wszędzie ze sobą. Paszport i wizę otrzyma pan z powrotem przy wymeldowywaniu się z hotelu. Ma pan obowiązek okazywać *propusk* uprawnionym do kontroli władzom.

– Może powinienem go po prostu przylepić sobie do czoła.

Uśmiechnęła się, doceniając widać jego poczucie humoru.

– Jest pan tutaj wystarczająco długo, panie Fisher - powiedziała cicho, pochylając się ku niemu - żeby wiedzieć, że komuś z Zachodu nie jest

łatwo podróżować po tym kraju poza zorganizowanymi grupami turystycznymi. Niech pan nie zwraca na siebie nadmiernej uwagi.

Fisher nie odpowiedział.

– Niech pan trzyma się ściśle swojej marszruty i unika handlu wymiennego, nielegalnej wymiany waluty, prostytutek i rozmów na tematy polityczne. Daję panu te dobre rady, bo wygląda pan na sympatycznego młodego człowieka.

Fisher pomyślał, że można było o nim powiedzieć wszystko prócz tego, że starał się sprawiać sympatyczne wrażenie.

– Dziękuję. Będę grzeczny.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, a on nie mógł pozbyć się niepokojącej myśli, że ona wie, iż zdążył już napytać sobie biedy i że jest jej go żal. Nagle ją polubił.

– Gdzie jest mój bagaż? - zapytał.

– Zostanie panu dostarczony.

– Wkrótce?

– Zaraz.

Pomyślał, że do tego czasu zdążyli go przeszukać.

– Czy zaparkują bezpiecznie mój samochód?

– Oczywiście. Kto mógłby tutaj ukraść amerykański samochód?

Fisher uśmiechnął się.

– Nie zajechałby daleko.

Nagle, jak spod ziemi, pojawił się obok hotelowy boy, przypominający kubek w kubek wnuka Dżyngis-chana. Dał znak Amerykaninowi, żeby szedł za nim, i ruszył w stronę wind. Prawie pięć minut czekali, aż zjedzie jedna z nich, po czym wjechali na siódme piętro.

Drzwi windy otworzyły się i zobaczyli przed sobą mały hol, w którym siedziała przy biurku młoda ładna kobieta. W Paryżu albo Rzymie Fisher

byłby przyjemnie zaskoczony, gdyby na każdym piętrze mógł znaleźć gotową go obsłużyć recepcjonistkę. Ale wiedział, że w Moskwie ta kobieta jest „dyżurną” piętra, strażniczką moralności i zgodnie z tym, co powiedział mu pewien Polak w Warszawie, wtyczką KGB.

Blondynka spojrzała na niego znad egzemplarza *Cosmopolitan*.

– Allo. Poproszę pański *propusk*.

Fisher dał go jej. Wręczyła mu klucz do pokoju.

– Proszę oddać mi klucz, kiedy będzie pan wychodził. Ja oddam panu *propusk*.

– Wygląda na uczciwą zamianę.

Boy wskazał kierunek i Fisher ruszył pierwszy do przodu. W miejscu, w którym korytarz zakręcał, zobaczył swój pokój, numer 745. Przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i wszedł do środka. Boy wsunął się za nim.

– Pański pokój, sir - powiedział Fisher.

– Proszę?

– Nieważne.

Rozejrzał się po pokoju. Był średniej wielkości, wyłożony boazerią z jasnej skandynawskiej sosny. Dwa pojedyncze łóżka były nieco za małe, materace z całą pewnością z gumowej pianki, a pościel z surowej bawełny. Ceglasta czerwień dywanika nie ukrywała faktu, że przydałoby mu się trochę szamponu. Mimo to Fisher nie spodziewał się znaleźć czegoś takiego na wschód od Berlina. Och, wszystkie te rzeczy, które uważamy za oczywiste. Reszta pokoju wyglądała dość czysto poza oknami. W całym Związku Sowieckim nie widział dotąd ani jednego czystego okna.

– „Windex”. Powinienem sprzedać im trochę „Windexu”.

Zapach sosnowego środka dezynfekującego przypomniał mu jego wycieczkę do Borodina.

– Dobry pokój - powiedział boy. Zapalił światło i wydawał się zdumiony, że działa. - Dobre światło.

– Cholernie dobre światło. Volty, waty, lumeny, wszystko jak trzeba.

Boy zajrzał do łazienki, otworzył szafę, wysunął kilka szuflad z biurka, po czym rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: wszystko to należy teraz do pana.

Amerikanin westchnął i pogrzebał w torbie, wyciągając stamtąd małą buteleczkę perfum „Aramis”.

– Kobiety szaleją, kiedy to poczują.

Tatar wziął perfumy i powąchał.

– Aaaa! - Twarz rozpromieniła mu się, a skośne oczy zwęziły. - Dziękuję.

Odwrócił się i wyszedł.

Fisher przyjrzał się drzwiom. Podobnie jak w innych hotelowych pokojach za żelazną kurtyną nie były zaopatrzone w wizjer, zasuwkę ani łańcuch. Podszedł do łóżka, położył się na wznak i zrzucił z nóg sportowe buty. Przez chwilę gapił się w sufit, a potem usiadł i spojrzął na telefon. Spis hotelowych usług mieścił się na pojedynczej zadrukowanej kartce papieru. Wykręcił trzycyfrowy numer i zamówił do pokoju butelkę wódki.

– Pierwsza rzecz, która mi się dzisiaj udało.

Na nowo przeanalizował wydarzenia ostatnich paru godzin. Udało mu się jakoś opanować strach w obecności milicjantów, a potem zachowywać się naturalnie i trochę zadziornie w hotelowym holu. Ale w cichym, pustym pokoju opuściła go odwaga. Poczul, jak cały się trzęsie. Zerwał się z łóżka i zaczął przemierzać szybkimi krokami pokój.

Co będzie, jeśli przyjdą po mnie teraz? Może powinienem spróbować dostać się do ambasady? Ale ten sukinsyn kazał mi zostać w hotelu. Obserwują mnie. Czy wiedzą, co wydarzyło się pod Borodinem?

Przestał chodzić po pokoju.

– To nie jest abstrakcyjne pytanie. To kwestia życia lub śmierci.

Zdał sobie sprawę, że dopóki się nie uspokoi, nie będzie w stanie nic wymyślić. Przestań myśleć o tym, że cię aresztują albo rozstrzelają. Dopiero kiedy przestaniesz się bać, będziesz mógł rozwiązać cały ten pieprzony problem.

Podszedł do okna i wyjrzał przez brudną szybę na zewnątrz. Z narożnego pokoju rozciągał się widok na plac Czerwony. Kreml był z lewej strony, patrzył na niego teraz z góry. Dziesięć fantasmagorycznych kopuł soboru Wasyla Błogosławionego wydawało się wisieć nad ciemnym, kamiennym dziedzińcem niczym wypełnione helem balony, a za nimi wznosił się wielki dom towarowy GUM.

Ulice były wyludnione, domy ciemne - tylko pomniki skąpane w jaskrawym świetle. Nocna, przypominająca niezdrowe wapory mgła unosiła się znad rzeki, wirowała wokół ulicznych lamp, otulała kremlowskie mury i sunęła dalej, zakręcając na skrzyżowaniach, tak jakby kogoś szukała.

To miasto miało w sobie coś złowrogiego, doszedł do wniosku. Coś nienaturalnego było w tych zimnych, wyludnionych ulicach.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi i Fisher skoczył jak oparzony. Kolejne puknięcie. Wziął głęboki oddech, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Stała za nimi starsza kobieta o wyglądzie matrony, trzymając w ręku wiaderko z lodem, z którego wystawała litrowa butelka *moskowskiej*. Fisher wpuścił ją do środka, dał jej tubkę pasty do zębów i wypchnął za drzwi.

Drżącą ręką nalał sobie pół kieliszka zamrożonej wódki. Wypił do dna, aż stanęły mu w oczach łzy. Napenił ponownie kieliszek i znowu zaczął niespokojnie przemierzać pokój. Następne pukanie to będzie boy z bagażem albo KGB.

– Pieprzone KG... - zaczął i urwał.

Słyszał i uważał to za wielce prawdopodobne, że każdy pokój jest na podsłuchu. Czytał gdzieś, że niektóre pokoje mają wbudowane w sufit albo ścianę miniaturowe kamery i że za ich pomocą można widzieć wszystko, co się w nich dzieje. Odstawił kieliszek na nocną szafkę, zgasił światło, założył buty i wziął do ręki swoją torbę. Wszedł do łazienki, spuścił wodę i wyłączył światło. Woda szumiała jeszcze, kiedy wybiegł z łazienki i wysłizgnął się z pokoju na korytarz. Rozejrzał się w obie strony, po czym ruszył z powrotem do wind. Twarz dyżurnej zasłonięta była egzemplarzem *Cosmopolitan*. Nie zdawała sobie chyba sprawy z jego obecności albo niewiele ją to obchodziło. Fisher przeczytał tytuły na okładce: Jak poradzić sobie z brakiem mężczyzn! *Cosmo* szuka miejsc, gdzie najłatwiej ich spotkać. Nieśmiała dziewczyna - jak ma sobie poradzić. Dlaczego przyjaciele są najlepszymi kochankami. Radość płynąca z odnowienia starego romansu.

Położył klucz na biurku. Uniosła wzrok.

– Allo, panie Fisher.

Dała mu *propusk*. Nacisnął przycisk windy, przygotowany na długie czekanie. Wódka zaczęła w końcu działać.

– Dobry magazyn? - zapytał.

– Tak. Bardzo seksowny.

– Zgadza się.

– Amerykańskie kobiety mają za dużo rzeczy.

– Nie zauważyłem.

Poklepała ręką magazyn.

– Mają tyle problemów z mężczyznami.

– Kobiety z *Cosmo* mają więcej problemów niż pozostałe.

– Aha.

Chwilę zawahał się, po czym wyjął ze swojej torby błyszczek do ust. Miał kolor zmrożonego rózu i wydawał się pasować do jej cery. Dziewczyna przyjrzała mu się i uśmiechnęła.

– Dziękuję.

Wyjęła ze swojej torebki małe lusterko i natychmiast zaczęła się malować. Fisher zauważył teraz, że kolor nie jest najlepiej dobrany, ale jej nie wydawało się to przeszkadzać. Podobał mu się sposób, w jaki wydymała wargi. Tymczasem otworzyły się drzwi windy i wszedł do środka, stając obok dwóch Rosjan, którzy roztaczali wokół siebie zapach salami i nie odzywali się ani słowem. Poczuł, jak poci się pod pachami.

Wysiadł na parterze i uświadomiwszy sobie, że znajduje się w miejscu publicznym, poczuł się jakby trochę lepiej. Odszukał okienko wymiany walut, ale było nieczynne. Zapytał recepcjonistkę, czy może mu wymienić na gotówkę czek Intouristu na pięć rubli. Oświadczyła, że nie może. Zapytał o przedstawicielkę Intouristu i dowiedział się, że poszła do domu.

Rozejrzał się. Potrzebował tylko parszywej dwukopiejkowej monety. Gwoździa do trumny...

– Niech to diabli!

Zauważył, że Francuzi wciąż stoją w holu, i zbliżył się do nich.

– *Pardon, monsieur, madame. J'ai besoin de... deux kopeks. Pour le telephone.*

Mężczyzna posłał mu nieprzyjazne spojrzenie. Kobieta uśmiechnęła się miło i poszukała w torebce.

– *Voila.*

– *Merci, madame. Merci.*

Budkę telefoniczną znalazł w krótkim korytarzu, który prowadził do sklepu Bieriozki. Wślizgnął się do środka, zamknął za sobą drzwi i wyjął z

torby przewodnik Fodora. Znalazł w nim telefon ambasady amerykańskiej, wrzucił monetę i wykręcił numer.

Przysłuchiwał się krótkim, dobiegającym z oddali sygnałom, niepodobnym do tych, do których przyzwyczał się w domu. Kilka razy odchrząknął i dwa razy powtórzył na próbę „halo”. Krew szumiała mu w uszach. Nie odrywał oczu od korytarza. W ambasadzie długo nikt nie odbierał.

.4.

Lisa Rhodes siedziała przy biurku oficera dyżurnego w budynku ambasady. Zegar pokazywał 8.45. Tego wieczoru telefon nie odezwał się ani razu. To nie była ambasada, którą otoczyłyby rozwścieczone tłumy bądź próbował wysadzić w powietrze jakiś terrorysta. Podobnie jak Moskwa nie była miastem, w którym milicja dzwoniłaby, żeby poinformować, że tuzin Amerykanów zamknięto właśnie w izbie wytrzeźwień. Lisa wykreśliła linijkę w przygotowywanych przez siebie materiałach dla prasy i zapaliła papierosa.

Otworzyły się drzwi i do małego pokoiku zajrzała Kay Hoffman, szefowa Lisy.

– Cześć. Dzieje się coś ciekawego?

– Tak, ale w Rzymie. Cześć, Kay. Wejdz.

Kay Hoffman weszła do środka i oparła się o zawór ciepłego powietrza przy parapecie.

– Och, jak przyjemnie. Cholernie zimno na dworze.

Lisa uśmiechnęła się i zmierzyła wzrokiem Kay. Jej szefowa dobiegała pięćdziesiątki, miała gęste kasztanowate włosy i duże piwne oczy. Można ją było określić jako przyjemnie zaokrągloną bądź grubokościstą. Tak czy owak mężczyznom podobały się jej bezpośredniość i wigor.

– Nie mogę ci zaoferować drinka - powiedziała Lisa.

– Nic nie szkodzi. Pomyślałam, że wezmę udział w piątkowym szaleństwie.

Lisa skinęła głową. Intencją wydawanych przez ambasadora w piątek wieczór koktajli było uczczenie mijającego właśnie tygodnia - nie pomyślano tylko, że weekendy bywały tutaj na ogół gorsze od powszednich dni. Zapraszani byli na nie tradycyjnie wszyscy obecni w Moskwie Amerykanie, a w czasach kiedy można ich było policzyć na palcach obu rąk, kontaktowano się z nimi nawet osobiście. Teraz, w dobie zwiększonej wymiany gospodarczej i turystyki, zaproszenie było niepisane i należało o nim po prostu wiedzieć.

Personel ambasady z radością oglądał nowe twarze, a goście byli na ogół wniebowzięci, że się tu w ogóle znaleźli. Można to było porównać z zaproszeniem do kapitańskiego stołu, pomyślała Lisa.

– Chodź ze mną - powiedziała Kay. - Wezwę strażnika i powiem mu, gdzie można cię będzie znaleźć.

– Nie, dziękuję, Kay.

– Zachodzą tam czasami interesujący mężczyźni. Dlatego właśnie tam idę. Jesteś młoda i przystojna. Wystawię cię na przynętę, a potem spadnę na nich jak jastrząb.

Lisa uśmiechnęła się.

– W zeszłym tygodniu - kontynuowała Kay - spotkałam samotnego faceta, który przyjechał do Moskwy, żeby zorientować się w możliwościach eksportu armeńskiego koniaku do Stanów. Przyjeżdża tutaj mniej więcej raz w miesiącu. Zatrzymuje się w hotelu Centrum Międzynarodowego Handlu, więc musi mieć szmal i odpowiednie powiązania.

– Był sympatyczny?

– Tak. Ogromnie - wyszczerzyła zęby Kay.

Lisa uśmiechnęła się z przymusem.

– Nie jestem dziś wieczorem w nastroju.

Kay wzruszyła ramionami.

– Nad czym pracujesz? - zapytała.

– Och, piszę na temat tej grupy rockowej, Van Halen, która występowała w Sali Kolumnowej.

– Jak wypadli?

– Rozboliła mnie głowa od ich łomotu. Ale sądząc po tłumie, jaki się zgromadził, mogłabyś pomyśleć, że to zmartwychwstał sam John Lennon i że rozdaje za darmo levisy.

– Napisz coś miłego.

– Staram się - powiedziała Lisa, pochylając się z powrotem nad papierami.

– Co się stało z tym sekretarzem do spraw politycznych? Z Sethem Alevym?

– Wolałabym o tym nie mówić.

– W porządku. - Kay spojrzała na zegarek. - Pokręcę się tam przez pół godziny. Potem będę na dole w barze przy kręglach. Chyba że uśmiechnie się do mnie szczęście.

Lisa uśmiechnęła się.

– Może zobaczymy się później.

– Potrzebujesz mężczyzny, kochanie - powiedziała Kay Hoffman i wyszła.

Kilka minut później odezwał się telefon i Lisa poznała po mrugającym czerwonym światełku, że dzwonią do niej z posterunku marines przy bramie. Podniosła słuchawkę.

– Rhodes przy telefonie.

– Dzień dobry pani. Mówi kapral Hines. Dzwoni do mnie mężczyzna, który twierdzi, że jest obywatelem amerykańskim. Mówi, że chce rozmawiać z attaché wojskowym.

Uniosła brew.

– Z attaché wojskowym? Dlaczego?
– Nie chce powiedzieć. Wydaje się młody. Nie chce też powiedzieć, skąd dzwoni.

– Połącz go.

– Tak jest, proszę pani.

W telefonie rozległ się trzask i usłyszała głos kaprała Hinesa:

– Niech pan mówi, sir.

– Halo?... - odezwał się męski głos.

– Przy telefonie Lisa Rhodes. Czym mogę panu służyć?

– Muszę rozmawiać z attaché wojskowym - odparł po kilku sekundach głos. - Jeśli to możliwe, to z attaché sił powietrznych.

– Z jakiego powodu, sir?

– To ważne. Sprawa wagi państwowej.

Sprawdziła urządzenie, nagrywające, żeby przekonać się, że jest włączone.

– W takim razie mówienie o tym przez telefon nie jest być może najlepszym pomysłem - powiedziała.

– Wiem o tym. Ale nie mam wyboru. Muszę powiedzieć wam teraz... zanim po mnie przyjdą.

– Kto ma po pana przyjść?

– Wie pani kto...

– W porządku... - Namyslała się przez chwilę. Istniała możliwość, że to pułapka albo głupi żart, ale instynkt podpowiadał jej, że nie. - Jak się pan nazywa?

– Dlaczego nie mogę rozmawiać z attaché wojskowym?

– Wie pan, kim jest attaché wojskowy?

– Nie... ale powiedziano mi, żebym rozmawiał tylko z nim.

– Kto panu powiedział?

- Czy wasz telefon jest na podsłuchu?
- Musi pan zakładać, że tak.
- O Chryste... Nie możecie wysłać kogoś, żeby mnie stąd wyciągnął?

Potrzebuję pomocy.

- Gdzie pan jest?
- Może uda mi się dotrzeć do was samemu. Czy uda mi się przejść przez bramę?

Lisa Rhodes pomyślała, że jej rozmówca jest coraz bardziej wytrącony z równowagi i prawdopodobnie trochę pijany.

– Niech pan mnie posłucha - powiedziała stanowczym tonem. - Proszę przekazać mi, o co chodzi, i jeśli uznam to za wskazane, odnajdę attaché wojskowego. W porządku?

- Tak... tak, dobrze.

Wyjęła regulamin oficera dyżurnego z szuflady i kartkowała go nie przerywając rozmowy.

- Czy ma pan amerykańskie obywatelstwo?
- Tak, ja...
- Jak się pan nazywa?
- Fisher - odparł jej rozmówca po krótkiej przerwie. – Gregory Fisher.
- Gdzie pan się teraz znajduje?
- W hotelu „Rossija”.
- Zameldował się pan tam?
- Tak.
- Czy zabrali panu paszport przy zameldowaniu?
- Tak.
- Bez paszportu nie uda się panu przejść posterunku sowieckiej milicji przy bramie ambasady.
- Aha.

- Numer pokoju?
- Siedemset czterdzieści pięć. Ale nie jestem w tej chwili w swoim pokoju.
- A gdzie?
- W budce telefonicznej w holu.
- Jaki jest cel pańskiej wizyty w Kraju Rad?
- W Kraju Rad?
- W Związku Sowieckim.
- Och, nic szczególnego...
- Jest pan turystą?
- Tak.
- Kiedy przekroczył pan granicę, panie Fisher?
- W zeszłym tygodniu.
- Z jaką grupą pan podróżuje?
- Grupą? Z żadną grupą. Przyjechałem samochodem...
- Przyjechał pan samochodem do Moskwy?
- Tak, moim własnym. Na tym właśnie polega cały problem.
- Co?
- Na tym, że podróżuję samochodem. Trans am bardzo się rzuca w oczy.
- Tak, dobrze. Proszę mi powiedzieć, dlaczego potrzebuje pan pomocy i dlaczego chce pan rozmawiać z attaché wojskowym.

Usłyszała coś, co brzmiało jak westchnienie.

– Na wypadek gdyby nie udało się wam dotrzeć tutaj na czas - odezwał się cicho jej rozmówca - powiem pani teraz wszystko, co mogę... zanim dostaną mnie w swoje ręce.

Lisa Rhodes pomyślała, że Gregory Fisher dobrze orientuje się w swojej sytuacji.

– W takim razie niech pan lepiej mówi szybko - powiedziała.

– Dobrze. Dzisiaj koło piątej po południu byłem w Borodinie...
zwiedzałem pole bitwy. Zgubiłem się w lesie...

– Zatrzymała pana milicja?

– Nie. To znaczy tak, ale dopiero w Moskwie.

– Za co?

– Za jazdę po zapadnięciu zmroku.

Pomyślała, że to nie trzyma się kupy. Naruszenie marszruty podróży to jedno. Chęć rozmowy z attaché wojskowym - osobą, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest pracownikiem wywiadu, innymi słowy szpiegiem - to zupełnie coś innego.

– Niech pan mówi dalej, panie Fisher.

– Na drodze, jak sądzę, na północ od Borodina, spotkałem mężczyznę, Amerykanina.

– Amerykanina?

– Tak. Powiedział, że jest pilotem Amerykańskich Sił Powietrznych...

– I spotkał go pan na drodze, na północ od Borodina, w nocy? Samego?
W samochodzie?

– Samego. Pieszko. Był ranny. Niech pani posłucha, nie wiem, ile jeszcze mam czasu...

– Proszę mówić dalej.

– Powiedział, że jest majorem i że nazywa się Jack Dodson.

– Dodson.

Lisa pomyślała, że może chodzi o attaché sił powietrznych ambasady, ale nazwisko nie wydawało jej się znajome.

– Dodson oświadczył, że uznano go za zaginionego w akcji i że był jeńcem wojennym zestrzelonym w Wietnamie...

– Co? - zapytała, wstając z krzesła. - Tak właśnie panu powiedział?

– Tak. Powiedział też, że przez prawie dwadzieścia lat więziono go tutaj w Rosji. W miejscu, które nazywa się Szkołą Wdzięku pani Iwanowej. Niedaleko Borodina. Uciekł stamtąd. Dałem mu mapy i pieniądze. Nie chciał jechać razem ze mną samochodem. Kieruje się pieszo w stronę Moskwy. Chce dotrzeć do ambasady. Są tam inni amerykańscy jeńcy, którzy...

– Chwileczkę. Niech się pan nie rozłącza.

Nacisnęła przycisk utrzymujący połączenie. W zeszycie oficera dyżurnego odnalazła numer do apartamentu attaché sił powietrznych, pułkownika Sama Hollisa, którego luźno знаła. Zadzwoiła do niego, ale nikt nie odpowiadał.

– Niech to wszyscy diabli! A Seth wybrał się akurat na to swoje cholerne przyjęcie z okazji Sukkot...

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie poszukać pułkownika przez pager, ale zamiast tego zadzwoniła do jego biura, dwa piętra wyżej.

– Hollis - odezwał się w słuchawce głos już po pierwszym dzwonku.

– Pułkowniku Hollis, mówi Lisa Rhodes przy biurku oficera dyżurnego - powiedziała, starając się panować nad własnym głosem.

– Słucham?

– Mam na linii amerykańskiego obywatela, który dzwoni z hotelu „Rossija”. Wydaje się bardzo wytrącony z równowagi. Chce mówić z attaché wojskowym, a najlepiej z attaché sił powietrznych.

– Dlaczego?

– Puszczę panu taśmę.

– Dobrze.

Lisa Rhodes odtworzyła Hollisowi taśmę z zapisem rozmowy.

– Proszę go ze mną połączyć - powiedział, kiedy nagranie się skończyło. Nastawiła telefon na tryb konferencyjny i zwolniła przycisk.

- Panie Fisher? Jest pan tam?
- Żadnej odpowiedzi.
- Panie Fisher?
- Tak... Ktoś stoi obok...
- Łączę pana z osobą, z którą chciał pan rozmawiać.
- Panie Fisher - odezwał się Hollis - powiedział pan, że dzwoni z holu hotelu „Rossija”?
- Tak. Jestem...
- Czy hol jest zatłoczony?
- Nie. Dlaczego?
- Kto stoi obok budki?
- Mężczyzna. Niech pan posłucha, może powinienem spróbować dostać się do ambasady.
- Nie, proszę pana. Niech pan zostanie tam, gdzie pan jest. Proszę nie opuszczać hotelu i nie wracać do swojego pokoju. Na najwyższym piętrze jest restauracja. Niech pan tam idzie, nawiąże znajomość z jakimiś ludźmi z Zachodu... jeśli to możliwe, mówiącymi po angielsku... i nie oddala się od nich, aż po pana przyjdę. Wszystko jasne?
- Tak... tak...
- Jak pan jest ubrany?
- W niebieskie dżinsy... czarną wiatrówkę...
- Świetnie, synu. Jedź szybko do restauracji. Jeśli ktoś spróbuje cię zatrzymać, kop, krzycz, wydzieraj się i walcz. Rozumiesz?
- Tak... dobrze... - w głosie Fishera zabrzmiał strach. - O Boże... niech się pan pośpieszy.
- Dziesięć minut, Greg - odparł uspokajającym tonem pułkownik. - Idź do restauracji.
- Lisa usłyszała trzask odkładanej przez Fishera słuchawki.

- Pani Rhodes, potrzebuję samochodu - powiedział Hollis.
 - Już go dla pana zamówiłam, pułkowniku. Z kierowcą.
 - Zamierzam przywieźć tutaj pana Fishera. Proszę przygotować dla niego pokój gościnny, w rezydencji i zaalarmować odpowiednie służby.
 - Tak jest, pułkowniku.
 - Proszę pozostać w pokoju oficera dyżurnego.
 - Naturalnie.
 - Zgrabnie to pani załatwiła - powiedział Hollis po chwili milczenia.
- Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszała trzask przerwane połączenia.
- Pan także - powiedziała, odkładając słuchawkę na widełki.

.5.

Pułkownik Sam Hollis, amerykański attaché sił powietrznych w Związku Sowieckim, wyszedł ze swego gabinetu i zjechał na parter. Przeciął pusty hol i otworzył drzwi dyżurki.

– Słucham? - zapytała, odwracając się ku niemu, Lisa Rhodes.

– Jestem Hollis.

– Och... - Wstała. - Nie poznałam pana w cywilnym ubraniu.

– Spotkaliśmy się już?

– Kilka razy.

Przez chwilę mu się przyglądała. Miał na sobie lotniczą skórzaną kurtkę, dżinsy i skórzane wysokie buty. Wyglądał na jakieś czterdzieści kilka lat, był wysoki i kościsty. Uznała, że jest raczej przystojny. Miał w sobie coś twardego. Zapamiętała jego bladobłękitne oczy i trochę przydługie jak na wojskowego jasne włosy. Pamiętała również, że współpracował z Sethem.

– Nie chcę, żeby mówiła pani komukolwiek o tej sprawie.

– Wiem o tym.

– To dobrze. Jest jednak ktoś... Zna pani Setha Alevy'ego? Jest sekretarzem do spraw politycznych.

– Tak.

– Pan Alevy bierze w tej chwili udział w przyjęciu na mieście...

– Wiem o tym.

– Skąd?

– Zaprosił mnie na nie.

– Rozumiem. Wie pani zatem, jak się z nim skontaktować?

– Tak, przez jego ludzi w ambasadzie.

– W porządku. Niech pani to zrobi.

Zawahała się przez chwilę.

– Już poprosiłam jego ludzi, żeby się z nim skontaktowali.

Hollis przyjrzał jej się uważniej. Nie spuściła oczu.

– Wiem, że zajmuje się takimi sprawami.

Pułkownik ruszył ku drzwiom, ale w ostatniej chwili obejrzał się przez ramię.

– Pani też zajmuje się takimi sprawami?

– Och, nie. Jestem tylko skromną pracownicą ataszatu prasowego. Seth i ja po prostu się przyjaźnimy.

Przyglądali się sobie przez chwilę. Hollis ocenił jej wiek na dwadzieścia kilka lat. Miała trochę piegów na nosie i rudawo-kasztanowe włosy. Nie była kobietą, którą można było zapomnieć po pierwszym spotkaniu, i prawdę mówiąc, pułkownik dobrze ją pamiętał z przypadkowych kontaktów w ambasadzie. Wiedział także, że ona i Alevy byli od pewnego czasu kochankami. Ale wsparty wyszkoleniem instynkt kazał mu wyłącznie zbierać informacje - nigdy ich nie udzielać.

– Niech pani dalej pilnuje fortecy. Zobaczymy się później - powiedział i wyszedł.

Lisa podeszła do drzwi i patrzyła, jak idzie holem do wyjścia.

– Silny i małomówny. Małomówny Sam.

Sam Hollis pchnął szklane drzwi. Na zewnątrz była wilgotna, mglista noc. Zapiął skórzaną kurtkę i podszedł do stojącego na podwórku z zapalonym silnikiem, niebieskiego forda fairlane. Usiadł koło kierowcy.

– Cześć, Bill.

Kierowca, członek obstawy o nazwisku Bill Brennan, objechał szybko małe rondo, pośrodku którego stał maszt z oświetloną reflektorem flagą, i

ruszył w stronę bramy.

– Dokąd jedziemy, pułkowniku?

– Do „Rossiji”.

Hollis przyjrzał się kierowcy. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, był silnie zbudowany, miał lekko łysiejącą czaszkę i złamany nos. Pułkownik nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Brennan wciąż szuka okazji, żeby złamać nos komu innemu.

– Masz przy sobie broń? - zapytał.

– Jasne. A pan?

– Nie. Nie miałem czasu zabrać.

– Pożyczę panu mojego gnata, jeśli obieca pan, że zabije jakiegoś komucha.

– W porządku.

Brama otworzyła się i samochód minął posterunek marines, a potem stojącą na chodniku budkę sowieckiej milicji. Brennan jechał powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi agentów KGB obserwujących ambasadę z sąsiednich budynków.

– Możesz przyspieszyć - powiedział mu Hollis. - I tak wiedzą, gdzie jadę.

– Okay.

Przejechali szybko pogrążoną w mroku, cichą uliczką i skręcili w prawo, w szeroką, zalaną światłem ulicę Czajkowskiego. Ruch był niewielki i Bill wcisnął gaz do dechy.

– Zatrzymujemy się na znak milicji? - zapytał.

– Nie, nie dajemy się jej dogonić. Nie jedź najkrótszą trasą przez Prospekt Kalinina.

– Kapuję.

Jadący lewym pasmem ford nabierał szybkości, wyprzedzając autobusy i tramwaje. Minęli skrzyżowanie z Prospektem Kalinina. Brennan żuł gumę, wypuszczając co jakiś czas z ust balony, które pękały z trzaskiem.

– Chce pan trochę?

– Nie, dziękuję. Znasz „Rossiję”?

– Znam wszystkie podjazdy, parkingi, i tak dalej. W środku nigdy nie byłem.

– To świetnie.

Brennan znał Moskwę lepiej od miejscowych taksówkarzy, ale w gruncie rzeczy, pomyślał Hollis, wcale nie lubił tego miasta. Jego domeną były ulice i przechwalał się nawet, że nigdy nie widział placu Czerwonego - bo nie można tamtędy przejechać.

– Będzie gorąco? - zapytał, żując gumę.

– Całkiem możliwe. Pewien Amerykanin w hotelu „Rossija” ma kłopoty.

– Skąd Komitet dowiedział się, że pan po niego jedzie?

– Chłopak... to znaczy ten Amerykanin... zadzwonił do ambasady i powiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo.

– Aha.

Hollis pomyślał o telefonie Fishera. Zakładał, że milicja drogowa zatrzymała chłopaka wyłącznie za naruszenie marszruty podróży. Ale Fisher zachowywał się paranoicznie z powodu tej historii z Borodina. Gdyby zachował zimną krew, mógłby przyjść do ambasady i opowiedzieć całą historię. Zamiast tego zadzwonił i ten telefon za dwie kopiejki mógł sprawić, że straci wolność - albo i życie.

A jednak, pomyślał pułkownik, to, co zrobił, było odważne. Głupie, ale odważne. Da mu to w oględny sposób do zrozumienia.

W jaki sposób przemycić Fishera do Ameryki, to problem, nad którym będzie się zastanawiał jutro.

– Co to za kłopoty?

– Naruszenie marszruty podróży.

– Czy zadaję za dużo pytań?

– Na razie nie.

– Więc to znaczy, że wożę razem z attaché wojskowym dupę po Moskwie, żeby ratować chłopaka, który zamiast do pierdolonego zoo poszedł do pierdolonego parku czy coś w tym rodzaju?

– Zadaje pan za dużo pytań.

– Zgadza się.

Przez jakiś czas żaden z nich się nie odzywał. Trzaskanie gumy działało Hollisowi na nerwy. Znowu rozmyślał o telefonie. Kim był major Dodson? Co, na litość boską, robił amerykański jeńiec wojenny w lasach wokół Borodina? Odpowiedzieć na to mógł tylko Gregory Fisher.

– Właśnie minąłem zaparkowany samochód milicyjny - powiedział Brennan.

Pułkownik obejrzał się do tyłu.

– Nie jest na służbie.

– Zgadza się.

Hollis spojrział na szybkościomierz. Siedemdziesiąt mil na godzinę.

Ulica Czajkowskiego dawno już przeszła w inną i jeszcze inną, ale nadal jechali tą samą, skręcającą na południowy wschód magistralą, którą powszechnie nazywano drugą obwodnicą. Przejechali przez most Krymski, minęli z prawej strony park Gorkiego i podążali dalej na wschód szeroką sześciopasmową arterią. Spojrział na zegarek. Od wyjazdu z ambasady minęło dwanaście minut.

– Widzi ich pan? - zapytał Brennan.

Hollis obejrzał się do tyłu.

– Na razie nie.

– To dobrze.

Kiedy przejeżdżali przez plac Dobrynina, Bill skręcił nagle z piskiem opon w lewo i ruszył na północ ulicą Ordynka, prowadzącą prosto do śródmieścia Moskwy i hotelu „Rossija”. Pułkownik zdawał sobie sprawę, że jadąc wybraną przez Brennana trasą stracą kilka minut, ale omijali w ten sposób wysłane na ich spotkanie patrole KGB i posterunki milicji wokół Kremla.

– Jeżeli złapią mnie za przekroczenie szybkości - powiedział Brennan - nie będę miał czego szukać w tym kraju.

– Tak to cię martwi?

– Nie... ale mam przy sobie kolta kaliber 45. Będzie z tego lepsza afera. Może mi nie wystarczyć mój immunitet dyplomatyczny.

– Jeśli nas przyskrzynią, biorę na siebie broń i grzywnę.

– Nie... nie musi pan. Zresztą i tak mam już dosyć tego pierdolonego kraju.

– Jedź dalej.

Brennan przyspieszył. Wepchnął do ust kolejną porcję gumy i balony stały się jeszcze większe. Pułkownik podwinął lewą nogawkę dżinsów, wyciągnął z buta szary, wchodzący w skład wyposażenia sił powietrznych nóż i zatknął go sobie za pas. Kierowca obserwował go kątem oka, ale nie odezwał się ani słowem.

Pokonywali ostatnie dzielące ich do mostu Moskworieckiego pół kilometra i Hollis zobaczył potężniejącą z każdą sekundą bryłę hotelu „Rossija”. Mijane przez nich samochody wydawały się stać w miejscu.

Nagle usłyszał z tyłu powtarzający się dźwięk klaksonu. Obejrzał się przez ramię.

– Gliny.

– Słyszę. Jaki samochód?

- Łada.
- Niech sobie nie żartują. Ma tyle mocy co elektryczna golarka.
- Tak czy owak siedzi nam na ogonie.
- Tylko przez chwilę.

Ford skoczył do przodu i pułkownik zobaczył, jak łada zostaje w tyle. Nie miała milicyjnej syreny ani świateł na dachu. Dźwięk klaksonu dobiegał z coraz większej odległości, ale łatwo było poznać, że kierowca wciąż trąbi, światła łady przygasały bowiem za każdym przyciśnięciem klaksonu.

Ford wpadł na wąski most, mając na liczniku osiemdziesiąt mil, i Hollis zobaczył rozmazane twarze gapiących się na nich z chodnika pieszych. Samochód przeleciał przez most, opadł ciężko na asfalt, przeciął biegnący wzdłuż rzeki bulwar i skręcił na ukos, mijając kremłowską wieżę.

– Wejście wschodnie? - zapytał Bill, kiedy znaleźli się na prowadzącej do hotelu estakadzie.

- Tak. Wysadź mnie, nie zatrzymując się, i wracaj do ambasady.

Kierowca wyciągnął z kabury pod pachą swojego kolta.

- Będzie pan go potrzebował?

- Nie. Zatrzymaj go albo wyrzuć. Wybór zostawiam tobie.

Brennan zakręcił, kierując się w stronę wschodniego skrzydła.

- Gotów?

Pułkownik zobaczył, że na małym parkingu nie ma pontiaca, i uznał to za zły znak.

- Gotów. Dobra robota, Bill.

Brennan zwolnił przed hotelem.

- Powodzenia - powiedział, wypuszczając z ust wielki balon.

– Wzajemnie - odparł Hollis i wyskoczył z jadącego samochodu, zatraskując za sobą drzwi. Kierowca dodał gazu i zniknął na estakadzie

wyjazdowej.

Pułkownik pchnął drzwi do hotelu.

– *Propusk?* - zapytał go odźwierny.

– Komitet - rzucił, mijając go, i facet odskoczył jak oparzony do tyłu. Próbował otworzyć przed nim drugie drzwi, ale Hollis już był za nimi. Ruszył od razu do wind i nacisnął guzik.

Komitet. *Komitiet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* - KGB. Magiczne, otwierające każdy sezam słowo. Fakt, że przyjechał amerykańskim samochodem i że miał na sobie amerykańskie ubranie, nie miał dla odźwiernego żadnego znaczenia. Nikt spoza tej instytucji nie ośmieliłby się wymówić tego słowa.

Otworzyły się drzwi windy. Hollis wjechał na dziesiąte piętro i zaczął długą wędrówkę do zachodniego skrzydła. Mieszczący w swoich czterech oddzielnych skrzydłach ponad trzy tysiące pokoi hotel „Rossija” stanowił dla kogoś nie wtajemniczonego istny labirynt. Skrzydło wschodnie należy do Intouristu, w zachodnim mieszkają turyści sowieccy i z Bloku Wschodniego, a w północnym i południowym uprzywilejowani komuniści. Skrzydła są ze sobą połączone tylko na niektórych piętrach, ale nie na parterze. Pułkownik wiedział, że trzeba się gęsto tłumaczyć, jeśli przejdzie się z jednej części do drugiej. Wschód to wschód, a zachód to zachód.

Większość turystów z Zachodu nie zdawała sobie zresztą sprawy z obecności innych. Ale tutaj na najwyższym piętrze bizantyjskiego i paranoicznego gmachu, Wschód i Zachód prawie bratały się ze sobą.

Zbliżył się do wejścia do baru i restauracji. Siedziała tam przy biurku jedna z wiecznie nadąsanych, wszędobylskich damulek, które zdawały się pilnować wszystkich drzwi na terenie Moskwy.

Spojrzała na niego.

– Bar - powiedział.

Skinęła ledwo dostrzegalnie głową, wskazując na drzwi. Hollis wszedł do dużego holu. Po lewej stronie widniały czarne zamknięte drzwi opatrzone angielskim napisem BAR. Na wprost, za dwojgiem otwartych drzwi, widział wypełnioną do ostatniego stolika restaurację. Po dobiegającej stamtąd wrzawie, toastach, śmiechu i wystroju domyślił się, że w środku znajdują się głównie Rosjanie.

Zajrzał do środka. Orkiestra grała amerykański jazz, a na parkiecie tłoczyli się ludzie, którym utrzymanie się na nogach sprawiało wyraźną trudność. Przy dużym okrągłym stole trwało weselne przyjęcie. Panna młoda, ubrana w białą suknię dziewczyna, była jedyną osobą, która siedziała sztywno wyprostowana. Hollis nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ogarnęły ją właśnie poważne wątpliwości, czy dokonała właściwego wyboru.

W jego stronę ruszył, potrząsając głową, jakiś mężczyzna.

– Bar - powiedział, pokazując ręką w lewo.

– *Spasibo*.

Pułkownik otworzył czarne drzwi i znalazł się w barze - zawieszonym wysoko nad placem Czerwonym gnieździe zachodniej dekadencji, gdzie za twardą walutę można było zamówić zachodnie wysokoprocentowe alkohole i firmowe koktajle. Ogarnął wzrokiem ciemne wnętrze sali.

Bar był pełen, ale w porównaniu z rosyjską restauracją pijackie rozmowy wydawały się tutaj bardziej przytłumione i pozbawione wigoru. Hollis wiedział, że klientelę lokalu stanowią w większości zachodni Europejczycy i prawie wyłącznie hotelowi goście. W „Rossiji” rzadko pojawiali się Amerykanie i zastanawiał się, co przywiodło tutaj Fishera. Oprócz Europejczyków kręciło się tu zawsze kilku sowieckich aferzystów, którzy mieli dostęp do ludzi z Zachodu i zachodnich pieniędzy. Każdy

wolnodewizowy bar w Moskwie miał także swego agenta KGB, który potrafił podsłuchiwać w dziesięciu językach.

Obszedł całą salę, ale nie znalazł nikogo, kto przypominałby choć trochę Gregory'ego Fishera. To nie był dobry znak.

Przy ścianie stał kontuar, przy którym klienci sami zamawiali swoje drinki. Hollis przepchał się przez tłum.

– Szukam przyjaciela - zwrócił się po rosyjsku do barmana. - Amerykanina. Jest młody i ma na sobie niebieskie dżinsy i krótką, czarną kurtkę.

Barman rzucił mu szybkie spojrzenie, ale po chwili znowu zajął się butelkami.

– Amerykanina, powiada pan? Nie, nie widziałem nikogo takiego.

Pułkownik wyszedł z baru i przeszedł szybko do holu wind we wschodniej części hotelu. Zjechał na siódme piętro. Dyżurna spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Pan tu mieszka?

– Nie, odwiedzam tylko kogoś. - Pochylił się nad biurkiem i spojrzał blondynce prosto w oczy. - Nazywa się Fisher.

Uciekła w bok spojrzeniem.

– Gregory Fisher. Amerykanin.

Pokręciła głową, kręcąc w palcach błyszczek do ust. Hollis spojrzał na wiszącą za jej biurkiem tablicę z kluczami. Klucza do pokoju 745 nie było. Ruszył w głąb korytarza.

– Nie wolno panu tam wchodzić! - zawołała.

Zignorował ją. Znalazł pokój 745 i zapukał. Nikt nie odpowiadał. Zapukał jeszcze raz, mocniej.

– Kto tam? - zapytał ktoś za drzwiami.

– Jestem z ambasady.

– Z ambasady?

Pułkownik usłyszał obracający się w zamku klucz i drzwi się otworzyły. Wyjrzał zza nich ubrany w szlafrok facet w średnim wieku, z wystającym brzuchem i zaspanymi oczyma.

– Coś się stało? - zapytał.

Hollis zmierzył go wzrokiem, a potem zajrzał do środka pokoju.

– Szukam pana Fishera.

Facet odetchnął z ulgą.

– Myślałem, że coś się stało w domu. Z moją żoną. Nazywam się Schiller. Wszystko w porządku, prawda?

– Tak.

Hollis przyglądał mu się uważnie.

– Usłyszałem - ciągnął dalej Schiller - jak pan powiedział „z ambasady” i sam pan rozumie...

– Pan Fisher zadzwonił do mnie przed chwilą i powiedział, że mieszka w pokoju 745.

Na twarzy Schillera zatroskanie ustąpiło miejsca lekkiemu zniecierpliwieniu.

– No i co z tego? Nie ma go tutaj, chłopie. Nie znam faceta. Niech pan spróbuje pod 457. Wszystko jest możliwe w tym pieprzonym kraju.

Co, pomyślał pułkownik, było nie tylko szczerą prawdą, ale stanowiło całkiem prawdopodobne wytłumaczenie.

– Mogli dokwaterować panu dodatkowego lokatora. Robią tak czasami.

– Naprawdę? Chryste, co za kraj.

– Czy w szafie nie ma jakiegoś cudzego bagażu?

– Nie, do diabła! Zapłaciłem dodatkowe pieniądze za jedynekę i nikogo tutaj nie ma. Hej, czy on nie podróżuje czasem z grupą American Express? Widział pan tę małą przewodniczkę z Intouristu, która ich oprowadza?

Chryste, można by ją schrupać z kosteczkami. Może pański przyjaciel rozmawia z nią właśnie o polityce. - Schiller roześmiał się. - Do zobaczenia w Teatrze Bolszoj - powiedział i zamknął drzwi.

Hollis stał przez chwilę w miejscu, a potem zawrócił do windy. Dyżurnej nie było. Obszedł biurko i wysunął szufladę, w której leżały *propuski*. Przerzucił je, ale nigdzie nie było przepustki opatrzonej numerem 745. W jaki sposób Schiller dostał klucz, nie oddając swojego *propusku*?

Zjechał windą na parter. Hol był wyludniony. Podeszedł do recepcji i potrząsnął dzwonkiem. W drzwiach za biurkiem pojawiła się recepcjonistka.

- W którym pokoju mieszka Gregory Fisher? - zapytał po rosyjsku.
- Nikt taki tu nie mieszka.
- A kto zajmuje pokój numer 745?
- Nie mogę panu powiedzieć.
- Chciałbym rozmawiać z przedstawicielem Intouristu.
- Nie ma go. Jutro o ósmej rano. Do widzenia.

Odwróciła się i zniknęła za drzwiami. Pułkownik zerknął w stronę drzwi i zobaczył, że służbę pełni już inny odźwierny.

- Ludzie zapadają się pod ziemię niemal na moich oczach. Zdziwiający kraj.

Przez chwilę się zastanawiał. Przyszło mu do głowy kilka możliwych wyjaśnień, w tym także, że jest to zmontowana przez KGB prowokacja, pułapka, która ma na celu wplątanie go w jakąś kompromitującą sytuację. Ale jeśli chcieli złapać go w pułapkę, nie musieli wymyślać tak skomplikowanego planu. A jeśli chcieli go zabić, mogli po prostu najechać na niego samochodem na bulwarze Szewczenki, gdzie uprawiał poranny jogging.

Pomyślał o telefonie Fishera, o tym, co opowiedział, o autentycznym, brzmiącym w jego głosie strachu.

– Fisher mówił prawdę.

Skoro tak, to trzeba było udowodnić, że dotarł żywy do hotelu i że zgarnęło go KGB. Jeśli uda mu się to zrobić, będzie to oznaczało, że opowieść Fishera o majorze Dodsonie jest prawdziwa.

Podniósł słuchawkę stojącego na biurku recepcji telefonu. Wykręcił numer 745, odczekał, aż dzwonek zabrzmiał dwanaście razy i dopiero wtedy odłożył słuchawkę.

– Niedobrze.

Rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że jest sam i mogą go zgarnąć w każdym dowolnym momencie. Przeciął szybko hol, stąpając głośno po kamiennej posadzce, i wszedł w ciemny korytarz prowadzący do sklepu Bieriozki. Wyciągnął nóż i wślizgnął się do budki telefonicznej, z której musiał dzwonić Fisher. Jeśli ludzie tak łatwo znikają w „Rossiji”, pomyślał, nie najgłupszym pomysłem będzie dać znać, że on dotarł tutaj zdrów i cały. Wrzucił do otworu dwukopiejkową monetę i wykręcił numer ambasady. Telefon odebrał pełniący służbę żołnierz piechoty morskiej. Pułkownik poprosił o połączenie z oficerem dyżurnym. Natychmiast zgłosiła się Lisa Rhodes.

– Miała pani jakąś wiadomość od naszego przyjaciela? - zapytał.

– Nie. Nie ma go tam?

– Najwyraźniej nie.

– Wraca pan tutaj? - zapytała po krótkim milczeniu.

– Taki mam plan.

– Potrzebuje pan pomocy?

W gruncie rzeczy potrzebował, ale nie chciał rozdmuchiwać całej afery. Ambasador dał mu jasno do zrozumienia, że on, a także Seth Alevy i inni

zatrudnieni w pokrewnych instytucjach agenci bawią się na swoją własną odpowiedzialność i nie powinni pod żadnym pozorem zakłócać działalności misji dyplomatycznej.

– Czy wrócił już mój wóz i kierowca? - kontynuował Hollis, posługując się enigmatycznymi określeniami, których używali tutaj wszyscy, mówiąc przez telefon.

– Nie. Nie został razem z panem?

– Zwolniłem go. Moim zdaniem, powinien już być u was z powrotem.

– Jestem pewna, że go nie ma. Czy mógł mieć jakiś wypadek albo awarię?

– Bardzo możliwe. Może usłyszysz pani coś na ten temat od tutejszych władz.

– Rozumiem. - Wzięła głęboki oddech. - Czy mam wysłać po pana jakiś samochód?

– Nie. Postaram się wrócić komunikacją miejską. Czy pani przyjaciel powrócił już z przyjęcia?

– Powinien tu być w ciągu kilku minut. Chce pan, żeby się do pana przyłączył?

– Nie ma takiej potrzeby - odparł pułkownik.

– Czy może tam do pana zatelefonować?

– Nie. Ale ja mogę jeszcze zadzwonić.

– Co mamy zrobić, jeśli się pan nie zgłosi?

– Decyzję pozostawiam pani przyjacielowi.

– W porządku. Odtworzyłam jeszcze raz taśmę, która tak się nam obojgu spodobała - dodała. - Brzmi realistycznie.

– Tak. Też o tym myślałem. Zrobię, co mogę, żeby odnaleźć oryginał.

– Powodzenia.

Hollis odwiesił słuchawkę i ruszył z nożem w ręku przez ciemny korytarz. W holu schował nóż z powrotem pod kurtkę.

– Mam nadzieję, że jeśli nie wrócę, ambasador narobi trochę hałasu.

Jego żona Katherine, z którą był w separacji, dostanie emeryturę i odszkodowanie z towarzystwa ubezpieczeniowego. Ciągłe zbierał się, żeby napisać w sprawie zmiany testamentu do swego adwokata w Waszyngtonie. Komplikacje związane z załatwianiem na odległość spraw matrymonialnych nie miały końca.

– Nie miały końca - powtórzył na głos.

Bywały chwile, kiedy żałował, że nie siedzi w swoim starym phantomie F4 i nie musi się martwić o nic oprócz pojawiających się na jego radarze migów i rakiet.

Ponownie przeanalizował cały przebieg wydarzeń. Telefon Fishera do ambasady zaalarmował KGB, ale Sowieci potrzebowali przecież czasu, żeby zareagować.

– Wynika z tego, że Fisher dotarł do baru.

Pojechał windą z powrotem na dziesiąte piętro i wszedł do baru. Zamówił przy kontuarze dewarsa z wodą sodową.

– Mój przyjaciel się nie pojawił? - zapytał barmana.

– Nie, przykro mi. Trzy dolary.

Pułkownik zapłacił. Elegancko ubrany, stojący obok niego mężczyzna popchnął szklanekę w stronę barmana.

– Gin z tonikiem... - powiedział z brytyjskim akcentem. - Gordon's i schwepps. Tym razem z plasterkiem cytryny, *spasibo*.

– Z cytrynami mają tutaj przejściowe trudności od wybuchu rewolucji - stwierdził Hollis.

Anglik roześmiał się.

– Do jakiego trafiliśmy kraju, jankesie?

– Innego.

– Zgadza się. Cholernie innego. Jest pan tutaj na wakacjach?

– W interesach.

– Ja też.

Anglik dostał drinka bez cytrynki. Barman zażądał za niego trzech funtów. Obaj odeszli od kontuaru.

– Od wybuchu rewolucji nie ma tutaj także kelnerek, które serwowałyby drinki - powiedział Anglik. - Człowiek musi sam sobie nosić kieliszki, a na dodatek mają tutaj własne kursy walut. Trzy dolary, trzy funty, dla nich to wszystko jedno. Ale coś mi się zdaje, że mój gin kosztował dużo więcej niż pańska whisky.

– Następnym razem niech pan spróbuje dać im trzy liry.

Facet roześmiał się.

– Nie są tacy głupi. Nazywam się Wilson.

– Richardson - przedstawił się Hollis.

Stuknęli się szklankami.

– Najlepszego.

– Czy mi się zdawało - powiedział Wilson - czy mówił pan tutaj po rosyjsku? *Spasibo* i *pożalujsta*. Które jest które?

– *Spasibo* to dziękuję, *pożalujsta* to proszę.

– Ciągłe mi się myli. A jak zwraca pan na siebie uwagę barmana?

– Mówię Komitet.

– Komitet?

– Zgadza się. To powinno zwrócić jego uwagę. Długo pan tu jest?

– Chyba jakąś godzinę. Dlaczego?

– Szukam przyjaciela. Amerykanin, w wieku około dwudziestu lat, ubrany w dzinsy i wiatrówkę.

– Ma pan na myśli kurtkę?

– Tak, kurtkę.

– Chyba go widziałem. Nikt tak się nie ubiera w tym kraju. Przekłęci czerwoni wszystko obrócili w ruinę. Nie mają tutaj żadnych manier, żadnego stylu, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Oczywiście nie mam pretensji, że nosi pan skórzaną kurtkę, jeśli nikt i tak nie dba tutaj o ubiór.

– Zauważył pan, czy może z kimś rozmawiał?

Wilson rozejrzał się po barze.

– Widziałem, że gdzieś tu siedział. Tak, rozmawiał z kimś.

– Z kim?

– A tak, teraz sobie przypomniałem. Widzi pan tę elegancko ubraną parę? Chyba żabojady. Przynajmniej się porządnie ubierają. To do nich się dosiadł. Wypił trochę za dużo i zabrało go dwóch ludzi z obsługi hotelowej. Zachowywał się trochę wojowniczo... tak by to pan chyba określił. Szybko go zgarnęli. Nie sądzę, żeby wytoczyli mu jakąś sprawę... połowa mieszkańców tego cholernego kraju ma tutaj zawsze w czubie. Odstawili go pewnie do pokoju.

– Kiedy to było?

– Jakieś piętnaście, dwadzieścia minut temu.

– Dziękuję.

Pułkownik minął koktajlowe stoliki i usiadł w fotelu naprzeciwko dwojga Francuzów.

– Czy mogę?

Mężczyzna mruknął coś w odpowiedzi.

– Mówi pan po angielsku? - zapytał Hollis.

Mężczyzna pokręcił głową.

– A pani, madame?

– Trochę - odparła, podnosząc wzrok.

Pułkownik pochylił się nad stołem.

– Szukam przyjaciela, młodego Amerykanina - powiedział cicho i wyraźnie. - Słyszałem, że przysiadł się do państwa, żeby się czegoś napić.

Kobieta zerknęła na siedzącego obok niej mężczyznę.

– Tak. Zachorował. Odprowadzono go do pokoju - odparła w dobrej angielszczyźnie.

– Czy powiedział pani, jak się nazywa?

– Tak.

– Fisher?

– Tak.

– Czy wydawał się zaniepokojony? Przestraszony?

Kobieta nie odpowiedziała, ale prawie niedostrzegalnie kiwnęła głową.

– Czy powiedział, co go niepokoi?

Francuz wstał z krzesła.

– *Allons* - powiedział.

– Tego nie mówił - ciągnęła dalej jego towarzyszka, nie wstając z miejsca. - Ale powiedział, że mogą po niego przyjść. Wiedział. Sądzę, że wsypali mu coś do drinka...

– Narkotyki?

– Tak - odparła i wstała. - Mój mąż chce już iść. Nic więcej nie wiem. Przykro mi.

Hollis wstał razem z nią.

– Rozumie pani, że sprawą tą zainteresowane są tutejsze władze. Wiedzą, że on z panią rozmawiał, i ciekawi ich, co pani powiedział. Może pani znaleźć się w niebezpieczeństwie.

– Tak.

Zniecierpliwiony Francuz oddalił się. Kobieta wahała się przez chwilę. Pułkownik spojrzał jej prosto w oczy.

– Coś jeszcze? - zapytał.

– To pan jest attaché?

– Tak.

– Mówił, że pan przyjdzie. Prosił, żebym powtórzyła panu rzeczy, których nie zdążył powiedzieć przez telefon. - Kobieta zastanawiała się przez chwilę. - Dodson powiedział mu, że była tam kiedyś szkoła sowieckich sił powietrznych. Teraz przejęło ją KGB. Jest tam prawie trzystu Amerykanów - wyrecytowała szybko.

– Trzystu? Powiedział trzystu?

Skinęła głową. Hollis zorientował się, że trzyma ramię Francuzki w mocnym uścisku.

– Co jeszcze powiedział pani Fisher?

– Nic. Nagle źle się poczuł i zabrali go. Potem przyszedł do nas jakiś Rosjanin i pytał nas po angielsku, co opowiadał nam ten młody człowiek. Mój mąż odpowiedział mu po francusku, że nie znamy angielskiego i nie rozumiał tego młodzieńca, tak samo jak teraz nie rozumie Rosjanina.

– Czy uwierzył pani mężowi?

– Tak sądzę.

Pułkownik puścił jej ramię.

– Skoro tak, to nie powinno państwu nic grozić. Ale skontaktujcie się na wszelki wypadek ze swoją ambasadą. Dzisiaj wieczorem. Nie przez telefon. A potem natychmiast opuśćcie ten kraj.

– Rozumiem.

– To dobrze, madame. Dziękuję.

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Ten chłopak pożyczył ode mnie dwie kopiejki... wydawał się taki sympatyczny... a teraz... co się z nim stało? Nie żyje?

Hollis nie odpowiedział.

Pokręciła głową.

– W jakich czasach żyjemy... - powiedziała i odeszła.

Hollis dopił drinka, po czym wyszedł z baru i ruszył długim korytarzem w stronę skrzydła południowego. Zjechał windą na dół, do mieszczącego się w hotelowym gmachu kina *Zariadje*, z którego właśnie wychodzili ludzie. Zmieszał się z tłumem, wyszedł drzwiami prowadzącymi na nadrzeczny bulwar i ruszył w ślad za grupą, która zeszła schodami do podziemnego przejścia.

Szedł długim, wyłożonym kafelkami tunelem, wpatrując się w obłoczki pary, w które zamieniał się w chłodnym powietrzu jego oddech, i wsłuchując się w rozbrzmiewające obok kroki. Kilku Rosjan przyjrzało mu się z zaciekawieniem. Przypomnił sobie chwilę sprzed dwóch lat, zaraz po swoim przyjeździe do Rosji. Przechodził tym samym przejściem nocą i uderzył go brak śmieci i graffiti na ścianach. A jeszcze bardziej fakt, że mieszkańcy Moskwy spacerowali tędy niczego się nie bojąc. Nadal był pod wrażeniem, ale po dwóch latach potrafił na to spojrzeć z szerszej perspektywy.

Nieskazitelne były ulice i metro - i mało co poza tym. Ludzie nie bali się przestępczości nie dlatego, że nie istniała, ale dlatego, że nie pisano o niej w gazetach. Otaczało go społeczeństwo, które karmiło się wyłącznie dobrymi wiadomościami, w większości zresztą sfabrykowanymi. Na dodatek przeciętny obywatel co innego oglądał na własne oczy, a czego innego dowiadywał się od rządu. Efektem było coś w rodzaju fałszywej świadomości. Ludzie sowieccy żyli, nie ufając ani własnym zmysłom, ani gazetom; nie wierząc ani w siebie, ani w swoich przywódców; nie pokładając nadziei ani w Bogu, ani w swoich współtowarzyszach. To był naród iluzji, złudzeń i wielkiej zmywy: potiomkinowska wieś na ogólnokrajową skalę; miejsce, w którym ludzie mogli zapaść się pod ziemię, a razem z nimi wszelkie dowody, że kiedykolwiek istnieli.

– Próbowałem, Fisher, naprawdę próbowałem.

Tunel skończył się. Hollis wspiął się po schodach i wszedł na most Moskwowiecki, którym przed godziną przejeżdżał razem z Brennanem. Po przejściu jakichś dwudziestu kroków zatrzymał się. W unoszącej się nad rzeki mgłę jarzyły się widmowo czerwone niczym rubiny gwiazdy na kremlowskich wieżach. Całkiem możliwe, że padała drobna mżawka, ale on nie potrafił nigdy odróżnić moskiewskiej mgły od moskiewskiej mżawki i nie miało to w gruncie rzeczy żadnego znaczenia.

Postawił obszyty kożuszką kołnierz skórzanej kurtki. Nocna Moskwa, odkrył to już dawno, niepodobna była do żadnego innego wielkiego miasta, które znał. Można było włóczyć się po jej placach i ulicach aż do świtu, tak jak mu się to kilka razy zdarzyło, i ani razu nie doświadczyć żadnej przygody. Nie było ogólnodostępnych barów, dyskotek, prostytutek, ludzi na ulicach i nocnego życia. Ani jednego otwartego przez całą noc sklepu, ani jednego nocnego kina czy nocnej mszy - w ogóle niczego nocnego. Większość miasta zamierała o godzinie dziesiątej i zamykała się o jedenastej. Ostatnie taksówki znikwały po północy. Miejskie środki transportu przestawały kursować o pierwszej - potem człowiek zdany był tylko na siebie, co oznaczało na ogół poważne kłopoty.

Była jednakże pewna grupa, której przedstawicieli można było spotkać na ulicach aż do późnej nocy; jeden z nich, liczący sobie może osiemnaście lat chłopak, zbliżył się teraz do Hollisa. Trzymał w ręku nylonową torbę Adidasa i ubrany był w tani płaszcz z syntetycznej skóry. Na nogach miał amerykańskie dżinsy, ale jego buty były ponad wszelką wątpliwość sowieckie.

– Przepraszam, ma pan może papierosa? - odezwał się z uprzedzającą grzecznością. Jego angielski był całkiem poprawny.

– Nie, a pan?

– Tak.

Młodzieniec poczęstował Hollisa papierosem Marlboro, podał mu ogień i zapalił sam. Rozejrzał się wokół siebie. Pułkownik zauważył, że scenie przyglądają się inni handlarze.

– Nazywam się Misza - przedstawił się chłopak. - Miło mi pana poznać.

Przez chwilę palili, a potem Hollis rzucił swego nie dopalonego papierosa przez balustradę mostu. Oczy Miszy pobiegły za niedopałkiem.

– Widzi pan koniec tego placu? - zapytał, wskazując ręką południowy kraniec placu Czerwonego, rozciągającego się między kremlowskimi murami, soborem Wasyla Błogosławionego, hotelem „Rossija” i rzeką Moskwa. - To tam właśnie wylądował ten Niemiec, Matthias Rust. Byłem tam wtedy. Co to był za widok...

Pułkownik kiwnął głową. Miejsce w którym wylądował Rust, stało się częścią nieoficjalnych turystycznych atrakcji. Przeciętnego moskwianina, chociaż cynicznego z natury, ujęła odwaga młodego człowieka. Sowiecki sąd skazał go na cztery lata. Dla Hollisa, jako attaché sił powietrznych, następstwa całego lotu nie były zbyt korzystne, czystka objęła bowiem kilku jego najlepszych informatorów w sowieckich siłach powietrznych i Ministerstwie Lotnictwa.

Niemniej jako pilot podziwiał brawurę młodego lotnika. Któregoś dnia powinienem spróbować popełnić podobne szaleństwo, pomyślał.

– Przyleciał w misji pokoju - powiedział Misza.

– Tak samo jak Rudolf Hess - odparł Hollis.

Misza wzruszył ramionami.

– Polityka mnie nie interesuje. Tylko ekonomia. Ma pan coś do sprzedania?

– Być może. A ty co masz do zaoferowania, Misza?

– Mam nie prasowany czarny kawior. Trzysta gramów. Najwyższa jakość. W Bieriozce kosztuje sześćdziesiąt dolarów. Oddam go za karton amerykańskich papierosów.

– Nie mam przy sobie papierosów.

Misza rozejrzył się.

– No dobrze, w takim razie za czterdzieści dolarów.

– Handel walutą jest nielegalny.

– Przepraszam, zaszła pomyłka - oznajmił, wycofując się Misza.

Pułkownik złapał go za ramię.

– Jesteś na tym moście przez cały wieczór?

– Kilka godzin...

– Widziałeś jadący bulwarem jakieś dwie godziny temu amerykański samochód?

Misza zaciągnął się papierosem.

– Może. Dlaczego pan pyta?

– Nie twój interes dlaczego - odparł Hollis, przyciskając Miszę do balustrady. - Chcesz zarobić czterdzieści dolarów czy popływać w rzece?

– Ja nie widziałem tego samochodu - stwierdził Misza. - Mówił mi o nim jeden znajomy. Widział, jak jechał bulwarem dwie godziny temu.

– Co to był za samochód?

– Jego zdaniem pontiac trans am. Miał z tyłu spoiler. Ciemnego koloru.

– Skąd twój przyjaciel wiedział, że to trans am?

– Czasopisma. Rozumie pan. Daję trzy dolary albo piętnaście rubli za egzemplarz *Car and Driver*. Tyle samo za *Track and...*

– Czy twój znajomy widział, dokąd pojechał ten samochód?

– Do „Rossiji”. A potem zdarzyło się coś dziwnego - dodał Misza. - Moi znajomi pobiegli do hotelu, żeby obejrzeć samochód i porozmawiać z kierowcą... młodym chłopakiem, chyba Amerykaninem. Ale kiedy znaleźli

się przy skrzydle Intouristu, zobaczyli, że samochód odjeżdża spod hotelu w stronę ulicy Razina, a w środku siedzi dwóch starszych mężczyzn.

– Dwóch Rosjan?

– Dwóch Rosjan. Ludzi z zamkniętymi twarzami - dodał po chwili wahania Misza. - Rozumie pan, co mam na myśli?

– Tak. Czy ty albo twoi przyjaciele zauważyliście jeszcze coś niezwykłego tej nocy?

– Tak. Jakąś godzinę temu. Zobaczyliśmy przejeżdżającego bardzo szybko przez most niebieskiego forda fairlane. Gonili go gliniarze, ale sukinsyny nie miały najmniejszej szansy. Te fordy biorą udział w wyścigach. Jeżdżą nimi ludzie z amerykańskiej ambasady. Pan też jest z ambasady? To był pański samochód?

Hollis odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę podziemnego przejścia. Misza szedł za nim. Zeszli razem po schodach i pułkownik wręczył mu na dole dwa dwudziestodolarowe banknoty.

– Biorę kawior - powiedział.

Misza niechętnie wyjął ze swojej sportowej torby puszkę kawioru i podał ją Hollisowi.

– Dam panu jeszcze trzy puszki i zabytkowy rosyjski krzyż za tę kurtkę - powiedział.

Hollis schował kawior do kieszeni.

– Idź do domu, Misza - powiedział po rosyjsku - i nigdy nie wracaj na ten most. Będą się o ciebie pytali ludzie z zamkniętymi twarzami.

Miszy opadła szczeka i spojrzał na niego szeroko rozwartymi oczyma.

Hollis wspiął się po schodach i ruszył z powrotem w stronę mostu. Przeszedł na drugą stronę rzeki, świadom wlepionych w niego spojrzeń innych handlarzy. Kapitalizm, pomyślał, podobnie jak seks, jest kwestią hormonów; objął w swe posiadanie most Moskwowiecki i tyły soboru

Wasyła Błogosławionego, o rzut kamieniem od Kremla. Jego forpoczty powstawały wokół każdego moskiewskiego hotelu i bazaru; małe, izolowane komórki, które pewnego dnia rozprzestrzenia się i osłabiać całe państwo. Niczym komunizm w carskiej Rosji kapitalizm stanowił nową wywrotową ideologię.

Skręcił w Ordynkę, zastanawiając się, jaką obrać trasę metra, żeby cało wrócić do ambasady.

.6.

Sam Hollis wysiadł z metra na stacji Smoleńskiej i ruszył nadrzecznym bulwarem w stronę mostu Kalinina. W tym miejscu rzeka tworzyła szerokie zakole. W wodzie odbijała się masywna bryła hotelu „Ukraina”, a do nabrzeża przy bulwarze Szewczenki dobijała nie oświetlona barka. Jesień w Moskwie, pomyślał, była paskudna: mokra i szara. Za to kiedy spadał pierwszy śnieg, Moskwa zamieniała się w roziskrzone białe miasto z bajki. Biała warstwa tłumiła dźwięki i łagodziła ostre kanty. Częściej świeciło słońce, a noce były pełne gwiazd, które rzucały połyskliwą błękitną poświatę na śnieżny krajobraz. Na ulicach pojawiały się futra i kobiety robiły się ładniejsze. Dzieci wyciągały sanki, a w parkach można było zobaczyć łyżwiarzy. Śnieg był niczym okrywająca szpetną postać miasta biała toga, pomyślał.

Skręcił we wznoszącą się stopniowo ulicę, która odchodziła od bulwaru. Na przelomie stuleci dzielnica, w której wzniesiono nową ambasadę amerykańską, nazywała się Priesnieńska. Było to wtedy zaniedbane, robotnicze przedmieście, w którym podatny grunt znajdowała marksistowsko-leninowska ideologia.

Podczas rewolucji 1905 roku robotnicy walczyli tutaj na ulicach z carską armią, a cały teren ostrzeliwany był intensywnie przez artylerię. Po stłumieniu powstania zaczęły się bezlitosne represje. Teraz dzielnica otrzymała nazwę Krasnopriesnieńskiej. Hollis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że połowa moskiewskich ulic, placów i dzielnic opatrzona została prefiksem *krasnyj*: czerwony - do tego stopnia, że przestało to cokolwiek

znaczyć. W prywatnych rozmowach moskwianie na ogół pomijali ten dodatek. Dzielnica Priesnieńska została w znacznym stopniu przebudowana, ale on wciąż wyczuwał zawartą w jej murach tragedię. Rosja była bardzo smutnym krajem.

Podniósł wzrok i zobaczył daleko przed sobą ambasadę - wysoki gmach z czerwonej cegły, w którego wszystkich oknach, zgodnie z wydanym przez ambasadora poleceniem, paliły się światła. Po kilku minutach zobaczył mur z czerwonej cegły i wznoszące się za nimi, należące do ambasady budynki mieszkalne. Ulica była wyludniona, a nad jezdnią unosiła się nadrzeczna mgła.

Dostrzegł teraz palące się przy głównej bramie światła. Cały kompleks stanowił swego rodzaju mini-Kreml, a fakt, że użyto do jego budowy rzadkiej w Moskwie czerwonej cegły, miał chyba przypominać Rosjanom ceglane kremlowskie wieże i mury - i w rezultacie sprawić, by amerykańską ambasadę kojarzono z siłą, władzą, a być może nawet z Bogiem i miejscem świętym. Madison Avenue, pomyślał Hollis, mogłaby wcale nie wyrzucić odpowiedniego wrażenia na przeciętnym sowieckim obywatelu.

Od bramy dzieliło go jeszcze jakieś sto metrów i dostrzegł budkę, w której siedzieli sowieccy milicjanci - wciąż jednak nie widzieli go pełniący wartę w środku amerykańscy marines. Za murem stał oświetlony jasno maszt, na którym powiewał lekko na wietrze gwiazdzisty sztandar.

Pułkownik usłyszał nadjeżdżający z tyłu samochód. Po niskich obrotach silnika domyślił się, że to czajka. Samochód zwolnił i toczył się tuż za nim. Kierowca dodał gazu i mrugnął światłami, ale on nie obejrzał się. Samochód wyprzedził go i zatrzymał się przy krawężniku. Była to rzeczywiście czajka, czarna czterodrzwiowa limuzyna, ulubiony pojazd KGB. W środku siedziało trzech mężczyzn.

Kierowca nie ruszył się z miejsca, dwóch pozostałych wysiadło. Obaj mieli na sobie skórzane kurtki, czarne spodnie, skórzane rękawiczki i kapelusze z wąskim rondem - ubiór, który Hollis ochrzcił mianem stroju wieczorowego KGB. Rozpoznał w nich dwóch przydzielonych do obserwacji ambasady agentów, którzy śledzili go już któregoś poprzedniego popołudnia. Niskiego, krępego nazwał na własny użytek Borysem. Drugiego, wyższego i lepiej zbudowanego - Igorem.

Odwrócił się i ruszył w ich stronę, trzymając ręce w kieszeniach. Prawą dłonią obejmował przez wycięcie w kurtce rękojeść noża.

Borys i Igor zmierzili go wzrokiem.

– Dawaj portfel i zegarek - powiedział po angielsku Borys. - Szybko, bo zrobimy z ciebie mokrą plamę.

– Tak wam marnie płacą w Komitecie? - zapytał Hollis.

– Za kogo się uważasz, ty sukinsynu? - warknął Borys. - Dawaj portfel.

– Pocałujcie mnie w dupę - odparł Hollis.

Ominął ich i ruszył w stronę ambasady. Usłyszał za sobą ich kroki. Byli bardzo blisko.

– Dokąd się tak śpieszysz? Chcemy z tobą pogadać - odezwał się Igor.

Pułkownik nie zwolnił kroku. Przyszło mu do głowy, że funkcjonariuszom KGB z wyjątkową łatwością przychodzi udawanie bandziorów. Z boku miał teraz mur ambasady, brama była pięćdziesiąt metrów dalej. Nagle poczuł potężne uderzenie w nerki i runął, wystawiając ręce do przodu, na chodnik. Przekręcił się w bok, w samą porę, żeby uchylić się przed kopniakiem, i wpadł do mokrego rynsztoku. Igor i Borys stanęli nad nim, uśmiechając się do siebie.

– Jak będziesz dalej tak chlał - odezwał się do niego po rosyjsku Borys - wychędożą cię po pijanemu jacyś zboczeńcy i następnego dnia poczujesz kaca w tyłku, a nie w głowie.

Obaj mężczyźni roześmieli się.

Hollis miał ochotę wyciągnąć nóż, ale wiedział, że na to właśnie czekają. Przypomniawszy sobie, gdzie jest. Borys zerknął w stronę bramy, a potem zmierzył go wzrokiem.

– Następnym razem rozwalę ci czaszkę - powiedział i splunął należącego, a potem poklepał po plecach Igora. - Daliśmy mu nauczkę. Chodźmy.

Ruszyli z powrotem w stronę czajki. Pułkownik wstał i otrzepał z błota spodnie i kurtkę. Zauważył, że ma otarte do krwi dłonie i policzki. W plecach czuł tępy ból. Dwaj mężczyźni wsiedli do samochodu. Słyszał, jak śmieją się razem z kierowcą, a potem czajka zawróciła w poprzek ulicy i szybko odjechała.

Ruszył dalej w stronę ambasady. Kiedy był tuż przy bramie, z budki wyszedł młody milicjant, który naturalnie obserwował cały incydent.

– Pasport - powiedział wystawiając rękę.

– Wiesz przecież, kim jestem! - warknął na niego Hollis.

– Pasport!

– Zejdź mi z drogi, zasrańcu!

Milicjant zeszywniał na dźwięk wyzwiska.

– *Stoj!*

Z budki wyskoczył drugi milicjant.

– Co to ma znaczyć?

W bramie pojawił się amerykański żołnierz.

– Co się tam dzieje?! - zawołał.

Hollis zobaczył, że jest uzbrojony, co oznaczało, że nie może wychodzić poza teren ambasady.

– Otwórz bramę! - zawołał.

Strażnik otworzył bramę, a on minął milicjantów i przeszedł ostatnie dziesięć metrów, które dzieliło ich budkę od terenu ambasady. Przyjął salut od żołnierza, który go rozpoznał.

– Nic się panu nie stało, pułkowniku? - zapytał pełniący służbę sierżant.

– Nic.

Szybkim krokiem przeciął dziedziniec. Z oddali dobiegały go obwieszczające północ dzwony na wieży Iwana i podniesione głosy obrzucających się obelgami milicjantów i marines.

Wszedł do budynku ambasady i ruszył prosto do pokoju oficera dyżurnego. Lisa Rhodes wstała na jego widok.

– Martwiliśmy się o pana, pułkowniku Hollis. Właśnie...

– Co z Billem Brennanem?

– Jest tutaj. W ambulatorium. Nie znam szczegółów. Co się panu stało w twarz?

– Przewróciłem się. Czy wrócił już Seth Alevy?

– Tak. Jest na szóstym piętrze, w pomieszczeniu specjalnym. Czeka na pana.

Hollis ruszył ku drzwiom.

– Czy mogę panu towarzyszyć?

Spojrzał na nią.

– Seth Alevy powiedział, że mogę, jeśli pan się zgodzi.

– Naprawdę? W takim razie proszę bardzo.

Nie rozmawiając ze sobą przeszli do windy.

– Ma pan zakrwawione ręce - powiedziała, kiedy jechali na górę.

– Wiem o tym.

Wzruszyła ramionami.

– Czy Bill Brennan to pański przyjaciel?

– Nie. Dlaczego?

- Zapytał pan o niego zaraz po wejściu.
- Byłem za niego odpowiedzialny.
- Podoba mi się to.

Rzucił na nią okiem. Winda zatrzymała się na szóstym piętrze i przeszli korytarzem do specjalnej, zabezpieczonej przed podsłuchem sali. Pułkownik nacisnął dzwonek i drzwi się otworzyły.

- Proszę, wejdźcie - powiedział Seth Alevy.

Wskazał im miejsca za dębowym stołem, przy którym stało dwanaście skórzanych krzeseł z chromowanymi poręczami. Lisa Rhodes rozejrzała się po skąpo oświetlonym pokoju. Wiedziała, że w gmachu ambasady znajduje się kilka takich pomieszczeń, ale w tym na szóstym piętrze była po raz pierwszy.

Położone było, jak wszystkie inne, wewnątrz budynku, a jego oświetlenie stanowiły zamontowane dyskretnie pod sufitem wzdłuż wszystkich ścian świetlówki. Na stole stały lampy do czytania. Na podłodze leżał gęsty królewski dywan w kolorze niebieskim, a ściany obite były jasnobrązowymi kobiercami. Lisa spostrzegła, że sufit stanowi, tak jak gdzie indziej, czarna, akustyczna gumowa pianka.

Pomieszczenie dawało osłonę przed podziemnymi urządzeniami podsłuchowymi, rezonatorami komorowymi i mikrofonami kierunkowymi i było dwa albo trzy razy dziennie sprawdzane przez specjalną ekipę. Z tego, co słyszała, gabinet ten zajmowali najczęściej faceci z wywiadu i jak miała teraz okazję zauważyć, urządzony był raczej przytulnie.

W kącie stał barek, kredens i prawdziwy kącik kuchenny z bieżącą wodą i lodówką.

- Napijesz się czegoś? - zapytał Seth, zwracając się do niej.
- Nie, dziękuję. Wciąż jestem na służbie.
- W porządku. W takim razie kawa.

– Dla mnie czysta wódka - powiedział Hollis.

Alevy krzątał się chwilę przy barku, po czym podał Lisie filiżankę kawy, a Hollisowi schłodzoną wódkę w wysokim kryształowym kieliszku. Pułkownik przez chwilę mu się przyglądał. Alevy miał koło czterdziestki, o kilka lat mniej od niego. Ubrany był w nienagannie skrojony trzyczęściowy tweedowy garnitur, z którym dobrze harmonizował zielony wełniany krawat. Był trochę zbyt wysoki i trochę zbyt szczupły i przypominał mu pozbawionego brody Lincolna, może tylko trochę bardziej przystojnego. Miał za sobą jedno małżeństwo, ale nikt na ten temat nic nie wiedział.

– Jak się udało przyjęcie? - zapytał Hollis.

– Bardzo. Mnóstwo dysydentów. Dobre jedzenie. Sukkot to radosne święto. Powinieneś być zadowolony.

– I kto wtedy uganiałby się po ulicach Moskwy?

– Jestem przekonany - oświadczył chłodno Alevy - że moi ludzie poradzą sobie z tym problemem.

Hollis nie usłyszał słowa „lepiej”, ale mógł je sobie sam dopowiedzieć.

– Chłopak chciał się widzieć z attaché sił powietrznych - powiedział.

– Jestem pewien, że nie odróżnia attaché sił powietrznych od środkowego obrońcy. Podobnie zresztą jak ja. Następnym razem, Sam, kiedy wyniknie taka sprawa, zadzwoń po prostu do mnie albo do kogoś w mojej sekcji.

Hollis nie odpowiedział. Zamiast tego przypomniał sobie, co wie o Alevym. Był filadelfijczykiem, Żydem i absolwentem Princeton, chociaż niekoniecznie akurat w tej kolejności. W rzadkiej chwili szczerości oświadczył mu kiedyś, że nienawidzi Sowietów i wstąpił do CIA, żeby „maksymalnie zaszkodzić reżimowi”. W jego wypadku wstąpienie do wywiadu nie nastęczało żadnych trudności. Po zajęciu pierwszej lokaty na

kursie literatury i języka rosyjskiego w naturalny sposób wszedł w orbitę zainteresowań CIA.

Alevy nalał sobie wódki. Hollis rzucił na stół puszkę kawioru.

– Zorganizuj kilka grzanek, masło i śmietanę, to urządzimy sobie prawdziwą ucztę.

Alevy przyjrzał się puszcze.

– Pierwszorzędny towar.

Razem z Lisą podali krakersy, masło i śmietanę. Pułkownik otworzył puszkę nożem. Alevy przyjrzał mu się uważnie.

– Pobili cię? - zapytał.

Lisa nałożyła pełną łyżkę kawioru na posmarowanego masłem krakersa.

– Poprosiłbym o czerwony - powiedział do niej Hollis - ale nie przechodzi mi już przez gardło wyraz *krasnyj*.

Lisa roześmiała się.

– Myślałam, że jestem jedyna.

Alevy przyjrzał się im obojgu.

– Pobili cię? - zapytał ponownie.

– Wiesz cholernie dobrze, co się stało - odparł Hollis, patrząc Alevy'emu prosto w twarz.

– Cóż - odparł Seth - moi ludzie wkroczyliby do akcji, gdyby tylko sytuacja wymknęła się spod kontroli. Byłeś kryty. Powiedziano mi - dodał - że zachowałeś zimną krew.

– Jak się czuje Brennan?

– Nie miał tyle szczęścia co ty. Gliniarze w końcu go dopadli. Trzymali go przez pół godziny na deszczu, a potem wypisali mandat i odjechali. Ale zanim Brennan zdążył wsiąść do samochodu, pojawiła się banda chuliganów. Pobili go żelaznymi drągami, obrabowali i zdemolowali samochód. Milicji oczywiście już przy tym nie było. Nie ma ich nigdy,

kiedy są potrzebni - dodał Alevy. - Zamiast do szpitala, udało mu się dotrzeć tutaj. Ma znowu złamany nos, ale twierdzi, że dał im niezły wycisk. Doktor Logan mówi, że nic mu nie będzie, ale że powinniśmy go wyekspediować na Zachód, żeby tam się nim zajęli.

Hollis skinął głową. KGB odniosło tej nocy jeszcze jedno zwycięstwo, pomyślał.

Lisa posmarowała śmietaną leżące na talerzu krakersy. Alevy poczęstował się kawiozem.

– Gdzie to kupiłeś i za ile?

– Na moście Moskwockim. Za czterdzieści dolców.

– Ja kupiłbym taniej. Widziałeś kiedyś targującego się z Rosjaninem Żyda? Ale podejrzewam, że opowieść o czarnym rynku stanowi część twojej historii. Jeżeli doszedłeś już do siebie, słuchamy.

Pułkownik rzucił okiem na Lisę.

– Nie musisz się przejmować obecnością pani Rhodes - poinformował go Alevy. - Sprawdziłem ją przed kilkoma miesiącami i ma teraz dostęp do tajnych informacji.

– Po co to zrobiłeś?

– Wymagały tego przepisy. Chodziliśmy ze sobą.

Hollis nalał sobie kolejny kieliszek wódki.

– Dlaczego ma zostać w to wtajemniczona?

– To moje zmartwienie.

Pułkownik zastanawiał się przez moment, po czym kiwnął głową.

– Okay. Zacznę od początku. Siedziałem w swoim gabinecie, pracując nad raportem, o który poprosiłeś mnie wcześniej. Zadzwoił telefon. To była pani Rhodes.

Zrelacjonował dokładnie wydarzenia wieczoru, zatajając jedynie to, co powiedziała mu Francuzka. Po półgodzinie nalał sobie wody mineralnej.

– Zbliżając się do ambasady - zakończył - spodziewałem się spotkać przyjaciół. Ale ty najwyraźniej uznałeś, że dobrze mi zrobi bliski kontakt z agentami Komitetu.

– Chroni cię immunitet dyplomatyczny - odparł oschle Alevy.

– Jasne, Seth, tyle tylko, że KGB ma na jego temat zupełnie inne wyobrażenie.

– Ale w końcu tutaj jesteś, a skaleczenia szybko się zagoją, posmarowane peroxidem. Jeśli chcesz, zapłacę za pralnię.

Hollis otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale w utarczkę wtrąciła się Lisa.

– Co pana zdaniem, pułkowniku, stało się z Gregorym Fisherem?

– Powinniśmy zakładać, że jest w tej chwili przesłuchiwany w KGB.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– W tej sprawie, Sam - powiedział w końcu Alevy - nikt nie może cię winić. Działałeś tak szybko, jak to tylko możliwe. To miasto należy do nich - dodał.

Hollis nie odpowiedział.

– Interesuje mnie mężczyzna z pokoju siedemset czterdzieści pięć - zmienił temat Alevy.

– Mnie też - odparł pułkownik.

– Czy na pewno był Amerykaninem?

Hollis zastanawiał się chwilę.

– W każdym calu - odparł w końcu. - Łącznie z płynem po goleniu „Mennen”.

– Mógł być Amerykaninem - spekulował Alevy - ale na żołdzie KGB.

– Możliwe. Ale równie dobrze Fisherowi mógł się pomylić numer pokoju.

Alevy wstał i nacisnął przycisk na stojącej w kącie elektronicznej konsoli. Pokój wypełnił głos Gregory'ego Fishera i ponownie wysłuchali całej rozmowy.

– Moim zdaniem, on dobrze wiedział, jaki jest jego numer pokoju - stwierdziła Lisa.

Seth Alevy zapalił papierosa i przez chwilę spacerował zamyślony po dywanie.

– Dobra - odezwał się w końcu. - Od tej chwili przejmujemy tę sprawę. Oczywiście z nikim o tym nie dyskutuj - zwrócił się do Lisy. - Od ciebie, Sam, oczekuję raportu, który prześlę do Langley. Spodziewam się, że będziesz chciał dostarczyć kopię swojej sekcji w Pentagonie.

– Zgadza się - odparł wstając pułkownik.

– Będziemy musieli powiedzieć coś ambasadorowi - dodał Alevy. - Mamy zniszczony samochód i kierowcę w ambulatorium. Biorę to oczywiście na siebie. - Odwrócił się do Hollisa. - Nie widzę tutaj niczego, co mogłoby zainteresować wywiad wojskowy, Sam.

– Ja też.

Alevy przyjrzał mu się uważnie.

– Być może myślisz, że powinieneś się zainteresować majorem Dodsonem, ponieważ, jeżeli w ogóle istnieje, jest albo był jeńcem wojennym, i tak dalej. Ale jeżeli będę cię w tej sprawie potrzebował, sam dam ci znać.

Hollis ruszył w stronę drzwi.

– Dziękuję, panie Alevy.

– Chcę tylko wiedzieć - odezwała się Lisa - co to jest ta Szkoła Wdzięku pani Iwanowej. I gdzie jest teraz major Dodson? Czy wciąż błądzi po tym lesie? Czy możemy mu pomóc? Czy możemy pomóc Gregowi Fisherowi?

Alevy spojrział na zegarek.

– Zrobiło się bardzo późno, a ja muszę jeszcze nadać parę depeesz. Więc jeszcze raz dziękuję i dobranoc, Sam. Czy mogłabyś chwilę zostać, Liso?

Pułkownik otworzył drzwi.

– Chcesz swój kawior? - zawołał za nim Alevy.

– Wsadź go sobie w jakieś ciepłe miejsce, Seth, tam gdzie nie świeci słońce - odparł Hollis i wyszedł.

Lisa przyłączyła się do niego, kiedy czekał na windę. Oboje zjechali w milczeniu na parter. Wyszli tylnym wyjściem z budynku ambasady i przystanęli na chwilę na pokrytym kamiennymi płytami tarasie. Była chłodna październikowa noc.

– Mieszkam po lewej stronie - powiedziała Lisa.

– Ja po prawej.

– Odprowadzi mnie pan?

Skęcili w lewo, w ścieżkę, wzdłuż której rosły niedawno zasadzone i pozbawione liści rosyjskie brzozy. Po prawej stronie znajdował się czworoboczny skwer ograniczony z trzech stron przez rezydencje pracowników i kwatery marines, a z czwartej przez budynek ambasady. Porośnięty trawą, która nosiła niewyraźne ślady improwizowanych meczów w softball [\[1\]](#) i krótkiego sezonu futbolowego, skwer stanowił plac zabaw nielicznych dzieci pracowników ambasady i jakby na potwierdzenie tego Hollis zobaczył leżące w mokrej trawie zabawki.

Z pierwszym śniegiem pojawią się bałwany i zaczniesz obrzucanie śnieżkami, z wiosną - latawce, a potem mania opalania. Ten mały, nie większy od trzech akrów kawałek ziemi był ich parkiem, małym skrawkiem Ameryki, za którą wszyscy tęsknili i którą nauczyli się w końcu kochać.

Lisa pobiegła za jego spojrzeniem.

– Będziemy świętować Halloween, jeśli tylko uda nam się zgromadzić odpowiednie akcesoria - powiedziała. - Ktoś z sekcji konsularnej

zlokalizował dynie na targu przy Prospekcie Mira. W każdym razie coś, co przypomina dynie. Może pan zrobić w nich otwory tym swoim nożem?

– Po to właśnie go przy sobie noszę - odparł Hollis.

– Na wypadek gdyby zobaczył pan na targu dynię? Wątpię.

Szli dalej.

– Nie jestem pewna - powiedziała Lisa - czy odpowiada mi mieszkanie i praca w tym samym miejscu. Czuję się jak w oblężonej twierdzy... albo w więzieniu.

– Tak jest lepiej dla wszystkich.

– Naprawdę? Stara ambasada miała przynajmniej trochę wdzięku i położona była na ulicy Czajkowskiego, niedaleko biur American Express. - Uśmiechnęła się. - Wszyscy mieszkaliśmy w tym cudownie ponurym bloku przy ulicy Gorkiego. Był zbudowany z wielkiej płyty, pamięta pan? Moja łazienka odsuwała się od reszty budynku. Szpara miała sześć cali szerokości i właściwie mogłam zajrzeć do łazienki piętro niżej.

– To była pani?

Roześmiała się. Przez chwilę szli w milczeniu.

– Ale przypuszczam, że tak jest lepiej - powiedziała w końcu. - Mamy przynajmniej ten skwerek. Domyślam się, że jest pan przyzwyczajony do takiego życia. Mieszkał pan pewnie długo w koszarach.

– Czasami. Zależy gdzie.

Lisa zatrzymała się.

– Tutaj jest moja cela. W gruncie rzeczy całkiem przyjemna. Może tylko trochę zbyt sterylna.

– Zamieniłoby się z panią osiem milionów mieszkańców Moskwy.

– Och, wiem. Po prostu tęsknię czasem za małą chatką.

– Proszę wziąć urlop.

– W styczniu. Jest takie miejsce, nazywa się Jumby Bay... mała wysepka niedaleko wybrzeży Antiqui. Bardzo intymne i bardzo urocze. Może tam zdezerteruję.

Padła zimna mżawka i zauważył w przyćmionym świetle latarni, że Lisa ma mokre włosy i twarz. Zauważył również, że jest dwadzieścia lat młodsza od niego.

– Nigdy nie widziałam pana podczas naszych piątkowych szaleństw.

– W piątki zapraszają mnie na ogół na bardziej kameralne przyjęcia.

– Jasne. Szaleństwa są dla plebsu. Ale ja i tak obsługuję bez przerwy wydarzenia kulturalne. Lubi pan balet?

– Tylko na samym końcu, kiedy na scenę wychodzi gruba kobieta i śpiewa.

– To opera.

– Zgadza się. Pomyliło mi się. - Wyjął ręce z kieszeni kurtki. - Nie powinniśmy tak długo stać na deszczu.

Wyciągnął do niej rękę. Nie wydawała się tego zauważać.

– Seth jest bardzo rzeczowy - powiedziała.

– Naprawdę?

– Tak. Niektórzy ludzie biorą to za szorstkość.

– Rzeczywiście?

– Dobrze go pan zna?

– Dosyć dobrze.

– Odniosłam wrażenie, że niezbyt się kochacie. Jesteście przeciwnikami czy tylko rywalami?

– Ani jedno, ani drugie. Bardzo się lubimy. Taki mamy po prostu styl.

– Kiedy proponuje mu pan na przykład, żeby wsadził sobie pański kawior w tyłek?

– Tak, na przykład.

Przez chwilę się zastanawiała.

– Nigdy nie wspominał, że pana zna.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Przypuszczam, że jest mnóstwo rzeczy, o których ze mną nie mówił. Jest prawdziwym zawodowcem - dodała. - Żadnych rozmów do poduszki.

– Ale wie pani, że nie jest sekretarzem do spraw politycznych.

– Tak, wiem. I wiem, że większość attaché wojskowych jest rezydentami wywiadu wojskowego.

– Skąd?

– Po prostu wie się takie rzeczy. Nie wiedział pan, że widuję się z Alevym?

– Nigdy mi o tym nie wspominał.

– Myślałam, że plotkuje się o tym na stołówce. Ale jak powiedział kiedyś pewien francuski filozof: „Ludzie, którzy zamartwiają się tym, co myślą o nich inni, zdziwiliby się, gdyby wiedzieli, jak mało poświęca się im uwagi”.

– Dokładnie.

– Ma pan jakieś antyseptyki na te zadrapania? - zapytała. - Za granicą trzeba być z tym ostrożnym.

– Mam trzy szklanki najlepszego rosyjskiego antyseptyku.

– Niech pan nie żartuje. Mam trochę oczaru wirgińskiego.

– Idę teraz do ambulatorium zobaczyć się z Brennanem. Coś mi tam dadzą.

– To świetnie. Niech pan o tym nie zapomni.

– Dobrze. Dobranoc.

– Jutro mam dzień wolny. Po nocnym dyżurze zawsze śpię trochę dłużej.

– Nie dziwię się.

– Chciałabym odwiedzić muzeum Marksa i Engelsa. Jeszcze tam nie byłam. A pan?

– Chyba mogę się bez tego obejść.

– Tak czy owak trochę się teraz... obawiam. Mam na myśli samotne wychodzenie z ambasady. Dowiedzieli się przecież z taśmy, kim jestem. Mam rację?

– Tak. Ale nie sądzę, żeby miała się pani czego obawiać.

Lisa zdjęła z kołnierza jego kurtki mokrą gałązkę i podała mu ją do ręki. Hollis dokładnie ją sobie obejrzał.

– Widzi pani, pani Rhodes - powiedział cicho - nie wolno pozwolić im dyktować, jak mamy żyć. Oni nie są wcale wszechwładni i nie są wcale wszechobecni. Chcą tylko, żebyśmy tak myśleli. Ułatwia im to pracę.

– Tak, wiem o tym, ale...

– Ale może ma pani rację. Może nie powinna pani wychodzić poza teren, zanim nie dojdziemy do czegoś konkretnego w tej sprawie.

– Nie to miałam na myśli, pułkowniku - odparła zniecierpliwiona. - Chciałam się dowiedzieć, czy nie poszedłby pan jutro razem ze mną.

Hollis odchrząknął.

– No cóż... dlaczego nie mielibyśmy w takim razie pójść gdzieś na lunch i zostawić sobie muzeum Marksa i Engelsa na jakąś specjalną okazję?

Uśmiechnęła się.

– Niech pan do mnie zadzwoni w południe. - Odwróciła się i ruszyła w stronę swoich drzwi. - Dobranoc, pułkowniku Hollis.

– Dobranoc, pani Rhodes.

.7.

– *Tak... dobrze... O Boże... niech się pan pośpieszy.*

– *Dziesięć minut, Greg. Idź do restauracji.*

Seth Alevy wyłączył magnetofon.

Charles Banks, specjalny doradca ambasadora Stanów Zjednoczonych w Związku Sowieckim, siedział z zatroskaną miną u szczytu długiego mahoniowego stołu w należącym do ambasadora dźwiękoszczelnym gabinecie. Po jego prawej stronie, naprzeciwko Alevy'ego, siedział Sam Hollis. Gościł tu już któryś raz z rządu i zawsze uderzało go, że chociaż budynek wzniesiono zaledwie przed rokiem, wszystko w tym gabinecie pokryte było patyną czasu. Najwidoczniej całe wyposażenie, wliczając w to gzymsy i boazerię, zostało przeniesione tutaj skądś indziej. Ambasador, zamożny człowiek, zapłacił podobno za to z własnej kieszeni. Hollis zastanawiał się dlaczego. Ale w końcu wszyscy w tym zakazanym miejscu cierpieli na idiosynkrazje, których nie sposób było racjonalnie wytłumaczyć.

– Dzisiaj rano taśma poddana została analizie głosu. Nasz ekspert twierdzi, że Gregory Fisher prawie z całą pewnością mówi prawdę i znajduje się w silnym stresie.

Banks rzucił zaciekawione spojrzenie Alevy'emu.

– Naprawdę? Mogą coś takiego stwierdzić?

– Tak jest, sir.

– Zadziwiające.

Pułkownik przyjrzał się Charlesowi Banksowi. Doradca ambasadora dobiegał sześćdziesiątki, miał śnieżnobiałe włosy, rumianą, dobroduszną fizjonomię i błyszczące niebieskie oczy. Hollis pamiętał ostatnie Boże Narodzenie, podczas którego Banks występował jako Święty Mikołaj. Ulubionym jego strojem, kiedy nie musiał nosić białej brody i czerwonego płaszcza, były trzyczęściowe ciemne garnitury w paski. W karierze zawodowego dyplomaty bardzo pomogły mu tradycyjne koneksje ze Wschodniego Wybrzeża, łatwość nawiązywania kontaktów i głos radiowego spikera z lat czterdziestych. A jednak pod fasadą Świętego Mikołaja i dyplomatyczną ogładą pułkownik wyczuwał pokrewną duszę; nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Banks jest w tym pokoju trzecim szpiegiem. Nie wiedział tylko, dla kogo pracuje.

– Jak już mówiłem - kontynuował swoją relację Alevy - pułkownik Hollis twierdzi, że pan Fisher przebywał zeszłej nocy w hotelu „Rossija” i że są na to niezbite dowody.

– Ma pan tego Anglika - zwrócił się Banks do Hollisa - tę francuską parę i handlarza.

– Trudno powiedzieć, że ich mam. Rozmawiałem z nimi.

– Tak, oczywiście. Ale mogą oni zidentyfikować pana Fishera?

– Mam nadzieję. Otrzymaliśmy z Departamentu Stanu odbitki fotografii paszportowych wszystkich Gregorych Fisherów, którzy złożyli podanie o paszport. Jest ich kilkunastu.

– I pokaże pan te zdjęcia tym ludziom?

– Dziś rano zadzwoniłem do mojego kolegi w ambasadzie francuskiej - wyjaśnił Hollis. - Poinformował mnie, że *monsieur* i *madame* Besnier skontaktowali się z ambasadą, powiadamiając ją, że mieli pewne kłopoty w hotelu „Rossija”. W dniu dzisiejszym opuszczają kraj na pokładzie samolotu linii Finnair startującym z lotniska Szeremietiewo o godzinie

dwunastej czterdzieści pięć. Jeżeli nie zdążymy się tam z nimi skontaktować, możemy to zrobić w Helsinkach albo we Francji. Proszę nie zapominać, sir, że ta kobieta znała nazwisko Gregory'ego Fishera.

– Tak, ale wolałbym, żeby zidentyfikowała go na fotografii.

– Oczywiście. Co się tyczy tego Anglika, Wilsona, to według Johna Crane'a z ambasady brytyjskiej, wciąż przebywa w „Rossiji”. Pan Wilson załatwia tutaj interesy związane z rurociągiem gazowym. Handlarz Misza twierdzi, że jego przyjaciele rozpoznali wyłącznie samochód, ale jestem pewien, że należał do pana Fishera. Po Moskwie nie jeździ wiele pontiaców trans am. Prawdę mówiąc, nie ma tutaj ani jednego samochodu tej marki. Tak wyglądają zgromadzone przeze mnie dowody, sir, jeśli konieczne okaże się ich zaprezentowanie.

Banks skinął głową.

– Dziękuję. Tak więc - zwrócił się do Alevy'ego - mimo że „Rossija” i Intourist twierdzą, że pan Fisher nigdy nie pojawił się w hotelu, wy dwaj jesteście przekonani, że tam był i że właśnie stamtąd zadzwonił do ambasady. Pozwólcie, że zadam wam jeszcze jedno pytanie: czy jesteście przekonani, że Amerykanin Gregory Fisher znajduje się w tej chwili na terytorium Związku Sowieckiego?

– Sowieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych - odpowiedział Alevy - podejrzanie szybko potwierdziło fakt wydania wizy panu Gregory'emu Fisherowi, zamieszkałemu w New Canaan, stan Connecticut, wiek dwadzieścia trzy lata. Również Intourist poinformował nas bardzo skwapliwie, że pan Fisher przekroczył przed siedmioma dniami granicę w Brześciu. Spędził tam jedną noc, a następnie trzy noce w Mińsku i jedną w Smoleńsku. Podróżował samochodem.

– A wy - wtrącił Banks - uważacie, że to ten sam Fisher, który zatelefonował do naszej ambasady?

Alevy zaczął zdradzać lekkie oznaki zniecierpliwienia.

– To jedyny Gregory Fisher, którego mamy aktualnie w tym kraju, sir. Intourist potwierdza także, że Gregory Fisher miał się zgłosić w hotelu „Rossija”. Dowody wydają się niezbite, sir.

– Czy ktoś skontaktował się już z jego rodziną?

– To byłoby przedwczesne - odparł Alevy. - Nie ma sensu niepokoić ich na tym etapie sprawy.

– Dopóki nie mamy pewności, że rzeczywiście zaginął, tak jak to sugerujecie - dodał Banks.

– Ściśle rzecz biorąc - stwierdził Alevy - on nie zaginął. Sądzę, że wkrótce będziemy znali odpowiedź na wszystkie pytania. Wiemy bowiem, gdzie znajduje się w tej chwili Gregory Fisher.

– Gdzie, panie Alevy?

– W Możajsku, sir. W kostnicy.

Banks pochylił się do przodu.

– Nie żyje?

– Tak, sir - odparł oschłym tonem Alevy. - Dlatego właśnie znalazł się w kostnicy. Telefon w tej sprawie dostał jakieś dwadzieścia minut temu Peterson z działu konsularnego. Dżentelmen, który z nim rozmawiał, przedstawił się jedynie jako przedstawiciel władz sowieckich. Pan Fisher miał wypadek samochodowy.

– To straszne! - oświadczył Banks.

– Tak jest, sir. - Alevy przesunął leżące przed nim papiery i rzucił okiem na niebieską kartkę. - Według raportu milicji, samochód pana Fishera, który jest tutaj określony jako *transamierikanskij sportiwnyj awtomobil*, znaleziony został dziś rano o świcie przez chłopów w parowie nie opodal szosy biegnącej z Mińska do Moskwy. Z tego, co udało się ustalić, samochód podążył w stronę Moskwy i zjechał w nocy z szosy uderzając w

drzewo. Zniszczenia wskazują, że kierowca jechał bardzo szybko i nie zmieścił się w zakręcie. Pan Fisher nie miał założonych pasów bezpieczeństwa i odniósł rany głowy i klatki piersiowej. W ich wyniku zmarł jeszcze przed odnalezieniem samochodu przez wieśniaków. Jesteśmy proszeni o zaopiekowanie się ciałem i wyekspediowanie go z terytorium Związku Sowieckiego.

Banks sprawiał wrażenie, jakby ważył to w sobie.

– Wynika z tego - powiedział w końcu - że on w ogóle nie dojechał do Moskwy.

– Ani do Borodina - dodał Hollis - ponieważ wypadek zdarzył się na kilka kilometrów przed skrzyżowaniem, z którego prowadzi droga na pole bitwy. Sprawdziłem to na mapie.

Banks spojrzał na Alevy'ego.

– Trochę to wszystko niejasne. Czy to możliwe, że Fisher w ogóle nie dotarł do Moskwy? Że zadzwonił z jakiegoś miejsca przy drodze i że robił sobie głupie żarty?

– Połączenie z nim otrzymaliśmy bez pośrednictwa centrali, co oznacza, że dzwonił z obszaru Moskwy. Poza tym mamy wyniki analizy głosu i kilku świadków. Czego chcesz więcej, Charles? Taśmy wideo?

– Trzeba mieć całkowitą pewność. - Banks spojrzał na zegarek i wstał. - Obaj odwaliliście kawał wspaniałej policyjnej roboty, zważywszy miejscowe trudności. Jestem z was bardzo dumny. Sądzę, że ambasador powinien zwrócić uwagę władz sowieckich na te fakty oraz oświadczyć im, że naszym zdaniem nie grają fair i domagamy się przeprowadzenia pełnego dochodzenia w tej sprawie.

Alevy i Hollis wymienili między sobą spojrzenia.

– Według nas, panie Banks - powiedział Alevy - to właśnie sowieckie władze zamordowały Gregory'ego Fishera.

– Aha. - Banks pokiwał powoli głową. - Tak, rozumiem. Z powodu tego, co powiedział na temat majora Dodsona.

Alevy popatrzył mu przez chwilę prosto w twarz.

– Czy starasz się zrobić z nas głupków, Charles - zapytał - czy naprawdę jesteś taki tępy?

Banks zamrugał w odpowiedzi.

– Cóż... porozmawiam o tym bezpośrednio z ambasadorem. Ufam, że obaj panowie zdajecie sobie sprawę z politycznych konsekwencji, które może pociągnąć za sobą ten incydent.

Alevy wstał.

– Jako sekretarza do spraw politycznych właśnie te konsekwencje interesują mnie najbardziej, sir. Nigdy nie tracę ich z pola widzenia.

– Wspaniale. A pan, pułkowniku Hollis?

Hollis pozostał na krześle, nie odpowiadając.

– Pułkowniku?

– Kiedyś bombardowałem wyłącznie cele zaaprobowane przez polityków. O ile dobrze pamiętam, przegraliśmy tę wojnę.

– Jak pan zapewne wie - oświadczył łagodnym tonem Banks - w sowieckich siłach zbrojnych na każdym szczeblu dowodzenia istnieje instytucja komisarza politycznego. Wojskowym nie podoba się to, ale sami przyznają, że dzisiejsza wojna to sprawa zbyt poważna, by pozostawić ją generałom i pułkownikom. Zwłaszcza zimna wojna. Żegnam panów.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Dlaczego nie powiedziałeś po prostu „tak jest”? - zapytał, zwracając się do Hollisa, Alevy. - Nic więcej nie chciał od ciebie usłyszeć.

– Zamordowany został amerykański obywatel i czuję się z tego powodu trochę podle.

– W Ameryce codziennie giną amerykańscy obywatele - zauważył Alevy. - Czy czujesz się w jakimś stopniu odpowiedzialny za jego śmierć?

– Chyba tak. A ty byś się nie czuł?

– Być może. Zrozum, Sam, nie jestem politykiem ani dyplomata, ale musisz wiedzieć, że oni nie życzą sobie rozpętania kolejnej afery. Niektórym gołębiom marzy się teraz powrót do polityki *detente* i to jest teraz najważniejsze. Gdybym przypadkiem złapał w naszej piwnicy dwóch podkładających bombę agentów KGB, ambasador kazałby mi natychmiast o tym zapomnieć.

– A co, gdybyś złapał kagebistę w łóżku z żoną ambasadora?

Alevy uśmiechnął się.

– To samo. Nie wolno się osobiście angażować. Trzeba myśleć o *detente*. O pokoju. - Podniósł dwa palce. - O pokoju.

– W porządku, zapomnijmy o tym, że zamordowano Fishera. Ale dlaczego go zamordowano?

– Chyba wiesz. Coś zobaczył. I coś usłyszał.

– Coś ważnego.

– Najwyraźniej - odparł Alevy.

– Powinniśmy odkryć, co to jest. Po to tutaj jesteśmy.

– Tak. To prawda. Zobaczymy, co przyślą z Waszyngtonu. - Alevy ruszył w stronę drzwi. - Jeżeli nie masz już nic ważnego, możemy iść. Dziś rano dostarczyli do baru świeże *croissants*, prosto z Paryża. Kiedy przystawisz sobie jednego z nich do ucha, wydaje ci się, że słyszysz gwar Montparnasse'u.

– Mam zamiar pojechać po zwłoki.

– Błąd. Po ciało pojedzie ktoś z sekcji konsularnej. To ich obowiązek.

– Chyba nie słyszysz, co powiedziałem. Jadę po ciało.

Alevy sprawiał przez chwilę wrażenie podenerwowanego, ale nic nie powiedział.

– Potrzebne mi są dwie przepustki z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Dwie?

– Nie jadę sam.

– A z kim?

– Z Lisą Rhodes.

– Rzeczywiście? Skąd wiesz, że będzie z tobą chciała jechać?

– Wszyscy tutaj chcą się choć na chwilę wyrwać z Moskwy. Nawet transport zwłok można uznać za interesującą wycieczkę.

– Uświadamiasz sobie chyba, że ministerstwo poinformuje KGB, na czyje nazwisko wydało przepustkę?

– Chyba sobie uświadamiam - odparł Hollis.

– Komitet nienawidzi cię w tym samym stopniu co mnie. Być może nie oprą się pokusie, żebyś dotarł do kostnicy w Możajsku na ich warunkach, głową do przodu.

– To moje zmartwienie.

– Nie martwię się o ciebie. Ty przysparzasz tylko ciągłych kłopotów. Martwię się o Lisę Rhodes. Pamiętaj - dodał Alevy - że nie będę mógł cię chronić tam, w Możajsku.

– Nie potrafisz mnie ochronić nawet w odległości pięćdziesięciu metrów od ambasady. Przed południem chcę mieć dwie przepustki na moim biurku.

Alevy otworzył drzwi, żeby wyjść, ale Hollis zamknął mu je przed nosem.

– Sprawdziłeś, czy major Dodson figuruje na liście zaginionych w wojnie wietnamskiej? - zapytał.

– Właśnie sprawdzam.

– A nasz przyjaciel z pokoju siedemset czterdzieści pięć? Schiller. Czy przebywa w tym kraju Amerykanin o takim nazwisku?

– To również sprawdzam, Sam. Będę cię o wszystkim informować.

– Wiem o tym, Seth. Współpraca z CIA to prawdziwa przyjemność.

Alevy poklepał go po ramieniu.

– Postaraj się bezpiecznie dojechać do Możajska - powiedział i wyszedł.

Hollis spojrział na zegarek. Była dziesiąta rano. Zajmował się tą sprawą przez całą noc. Brennan wylądował w ambulatorium, Besnierowie pakowali walizki, Fisher leżał w kostnicy, Charles Banks nadawał przez gorącą linię do Waszyngtonu, a Alevy zajadał *croissants* w barze.

– Postaram się bezpiecznie dojechać do Możajska. Chcę zobaczyć, jak to się wszystko skończy.

.8.

Sam Hollis założył niebieskie džinsy i wysokie skórzane buty. Wsunął nóż do cholewy lewego buta i przymocował kaburę nad prawym. Sprawdził swój sowiecki automatyczny pistolet Tokariew kaliber 7,62 milimetra. W gruncie rzeczy była to przeróbka colta-browninga, którą nieznacznie tylko zmodyfikował rosyjski konstruktor o nazwisku Tokariew, opatrując swoim nazwiskiem i najprawdopodobniej zapominając uiścić opłaty licencyjnej Colt Company.

Pułkownik używał tego pistoletu, ponieważ uważał go za pewną broń, przyzwyczajony był do amerykańskiego oryginału i na koniec, jeśli miał już kogoś zastrzelić, lepiej było pozostawić w zwłokach sowieckie naboje.

Przykręcił do lufy krótki tłumik i wsadził pistolet do kabury na kostce, zsuwając w dół nogawkę džinsów. Założył czarny golf i skórzaną kurtkę. W jej kieszeniach miał cztery zapasowe magazynki, po osiem naboji w każdym.

Wyszedł ze swego apartamentu i przeciął na ukos szeroki skwer. Trawa była mokra od deszczu, ale zaczynało się przejaśniać i zza sunących chmur wyjrzało anemiczne słońce.

Trzech kilkunastoletnich chłopców uganiało się za piłką. W podającym Hollis rozpoznał Larry'ego Eschmana, syna komandora Paula Eschmana, attaché marynarki wojennej. Drugi chłopak, Tom Caruso, syn konsula generalnego, próbował go okiwać. Trzeci miał na imię Kevin i był synem pełniącej funkcję radcy handlowego Jane Lowry.

Kevin Lowry był tylnym obrońcą. Typowy sobotni poranek. Na pozór.

– Pułkowniku Hollis? Gotów pan?! - zawołał syn Eschmana.

– Jasne.

Caruso i Lowry cofnęli się na pozycje obronne, a Hollis zajął miejsce na linii bocznej, po czym ruszył na ukos przez pole. Dwaj chłopcy byli bardzo blisko, słyszał mlaskanie ich kolców w mokrej trawie. Mimo że nie ustalali wcześniej taktyki, uznał, że nie powinien zmieniać toru. Wyciągnął ręce, obejrzał się przez ramię i zobaczył wiszącą w powietrzu niczym brązowa plama podłużną piłkę. Przyspieszył kroku i poczuł, jak dotyka jej opuszkami palców. Złapał ją mocniej i przycisnął do piersi, ale w tej samej chwili podeszwy jego butów straciły przyczepność i upadł na ziemię, wysuwając do przodu ramię i trzymając piłkę w bezpiecznym zagłębieniu pod łokciem.

Usłyszał wrzask Eschmana.

– Zaliczone! Punkt dla pana, pułkowniku!

Hollis usiadł, a Caruso podał mu rękę.

– Nieźle panu idzie, pułkowniku - powiedział, pomagając mu wstać.

Podszedł do nich Lowry, również z wyciągniętą ręką. Trzymał w niej rewolwer. Hollis odebrał go i wsunął do kabury na kostce, przyciskając mocniej rzepy.

– Szybko pan biega, pułkowniku - powiedział Lowry. - Nawet z nogą obciążoną żelazem.

Caruso stłumił śmiech.

– Kiedy grałem w drużynie akademii - odparł Hollis - zastrzeliłem trzech tylnych obrońców.

Obaj chłopcy roześmieli się. Pułkownik przyjrzał się im. Musieli czuć się tutaj samotni, pomyślał. Bez szkolnych potańcówek, sobotnich dyskotek, plaży, nart, bez przyjaciół i dziewczyn. Bez Ameryki.

– Spróbujcie wynieść z tego pobytu jakieś korzyści, chłopcy. Wypuście się na miasto, poznajcie jakichś Rosjan - powiedział.

Pokiwali głowami.

– Nie dajcie się złapać Wani z tymi kolcami na nogach - ostrzegł ich.

Rosyjski dozorca, Wania, miał istną obsesję na punkcie trawnika i zadzwonił nawet raz kiedyś do Scottów w Columbus, Ohio, żeby poradzili mu, jak go utrzymywać.

Ruszył dalej przez skwer, kierując się w stronę osiedla dla pracowników. Odnalazł drzwi do apartamentu Lisy Rhodes i nacisnął dzwonek. Zbudowane szeregowo domy dla osób samotnych były wąskie, ale wznosiły się za to na wysokość dwóch pięter. Na parterze, tam gdzie w Stanach jest na ogół garaż, mieściła się pralnia i magazyn. Z przedpokoju wchodziło się po schodach do salonu, obok którego znajdowała się jadalnia i kuchnia. Na drugim piętrze mieściła się jedna albo dwie sypialnie, a czasami pracownia lub gabinet domowy, w zależności od tego, jaką rangę zajmował urzędnik.

Lisa mieszkała w segmencie przy wschodnim murze, gdzie sypialnie były pojedyncze.

Hollis usłyszał kroki na schodach, a potem drzwi się otworzyły.

– Cześć. Myślałam, że to do mnie się pan tak śpieszy, ale potem okazało się, że goni pan za piłką - powiedziała z uśmiechem.

– Wyglądała pani na mnie?

– Sprawdziałam tylko, jaka jest pogoda. Co panu wypadło?

– Portfel.

– Aha. - Wyszła na zewnątrz i okręciła się w kółko. - Czy ubrałam się wystarczająco niedbale?

Hollis zmierzył ją wzrokiem. Miała na sobie wysokie do kostek botki, czarne sztruksowe spodnie i ciemnoniebieską pikowaną kurtkę, po rosyjsku

watnik. Spod kołnierza wystawał czarny golf, podobny do tego, który on miał na sobie.

– Bardzo ładnie - powiedział.

– Powie pan, dlaczego kazał mi się ubrać niedbale i w coś ciemnego?

– Jestem fetyszystą. Chodźmy.

Ruszyli biegnącą równolegle do rezydencji ścieżką w stronę furtki dla pieszych, która mieściła się na tyłach ambasady.

– Poważnie, Sam... mogę zwracać się do ciebie Sam?

– Oczywiście.

– Dlaczego w coś ciemnego?

– Powiem ci później.

Minęli baraki marines i przeszli przez furtkę, odbierając salut od pełniącego przy niej wartę amerykańskiego żołnierza. Pułkownik podszedł do stojącej na chodniku budki i pozdrowił po rosyjsku dwóch dyżurujących milicjantów. Odpowiedzieli, patrząc na niego spode łba.

– Kiedy wrócicie, panowie, na posterunek - oznajmił im - powtórzcie swoim dwóm kolegom, którzy stali wczoraj w nocy przy głównej bramie, że pułkownik Hollis przeprasza za niewłaściwe zachowanie.

Przez chwilę żaden się nie odzywał.

– Może pan być pewien, że im powtórzymy - odparł w końcu jeden z nich.

– Do widzenia - powiedział Hollis i ruszył razem z Lisą ulicą Diewiatyńską.

– Co to za sprawa? - zapytała Lisa.

– Byłem wczoraj trochę niegrzeczny, kiedy poprosili mnie o paszport. Wyprowadziła mnie z równowagi ta historia w „Rossiji”.

– To miło z twojej strony, żeś przeprosił.

– To było mądre z wojskowego punktu widzenia. A poza tym nie chcę, żeby te sukinsyny myślały, że mogą się mnie czepiać.

Doszli do ulicy Czajkowskiego, przy której mieściła się kiedyś ambasada.

– Gdzie wybieramy się na lunch? - zapytała Lisa.

– Do „Pragi”.

– W takim razie możemy iść Arbatem. Mam tam coś do załatwienia.

Skręcili w prawo i ruszyli szerokim bulwarem.

– Teraz dla odmiany świeci słońce - powiedziała Lisa.

– Widzę.

– Często chodzisz do „Pragi”?

– Nie.

– Czytałeś ostatnio jakieś książki?

– Nie mogę sobie żadnej przypomnieć.

– Ktoś powiedział mi, że zestrzelono cię nad północnym Wietnamem.

– To prawda.

– Ale nie byłeś w niewoli?

– Nie. Wyłowiono mnie z morza.

– Ta historia z majorem Dodsonem musi mieć dla ciebie specjalne znaczenie.

– Być może.

– Nie lubisz mówić pełnymi zdaniami, prawda?

– To zależy od tematu.

– Przepraszam.

Przez chwilę szli w milczeniu, a potem przecięli ulicę Czajkowskiego i skręcili w zaczynający się w tym miejscu Arbat, mijając potężny budynek Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kolejny stalinowski pałac zwieńczony wieżyczkami i iglicami.

- Byłeś tu kiedyś w środku? - zapytała.
- Kilka razy.
- Jak tam jest?
- Byłaś kiedykolwiek w Departamencie Stanu?
- Tak.

– No więc zupełnie tak samo wygląda sowieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Jedyne różnica polega na tym, że drętwą mowę odstawia się tutaj po rosyjsku.

Szli Arbatem, starą moskiewską ulicą, którą ostatnio przekształcono w pierwszy w Związku Sowieckim, przeznaczony tylko dla pieszych ciąg spacerowy. Wypełniały go w tę pogodną sobotę setki ludzi, wszyscy z wielkimi torbami w rękach. Zabudowaną starymi domami ulicę wybrukowano na nowo kostką, a w betonowych donicach walczyły o przetrwanie młode drzewka. Na długości całego kilometra stały ławki, ozdobne lampy i skrzynki z kwiatami.

Arbat, którego nazwa obejmuje również całą dzielnicę, porównuje się czasem do Left Bank lub Georgetown, do Greenwich Village albo Soho. Ale Hollis doszedł do wniosku, że Arbat jest po prostu Arbatem, jedyną w swoim rodzaju pozostałością odeszłego w przeszłość świata, którego nikt nie zdążył dobrze poznać ani opisać, nawet kiedy jeszcze istniał. Obecny reżim starał się ocalić od zapomnienia tę spuściznę, przywracając do życia eleganckie domy i odnawiając fasady modnych niegdyś sklepów. Ponieważ jednak działo się to w społeczeństwie, które nie ulegało modom, nie uznawało dobrych manier i zwalczało konsumpcyjny stosunek do życia, Hollis nie miał pojęcia, jaki mógł być powód tych wszystkich starań. Może wynikały one wyłącznie - chociaż trudno mu było w to uwierzyć - z podświadomego ulegania burżuazyjnym sentymentom.

- Podoba ci się ta ulica? - zapytał Lisę.

– Chyba tak. Ale jest trochę zbyt sterylna, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Widziałaś jakiś niesterylny zakątek Arbatu?

– Oczywiście. Znam każdy budynek, który ocalał ze starej Moskwy.

– Naprawdę?

– Robię zdjęcia do albumu.

– Ciekawe. W wolnych chwilach?

– Powiedzmy. Ale mam zamiar go opublikować.

– Życzę powodzenia. Jesteś rusofilką? - zapytał.

Uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem.

– Chyba tak. To znaczy tak. Lubię tych ludzi... ich język... lubię starą Rosję.

– Nie musisz się tego wstydzić. Nie każę cię aresztować.

– Możesz sobie żartować, ale na moim stanowisku trzeba uważać, jakie się wygłasza poglądy. Publiczne i prywatne.

– Wiem.

Lisa i Sam przechodzili z jednej strony ulicy na drugą, przyglądając się wystawom. Wybór nie był urozmaicony; pod szyldem *Swiet* mieścił się sklep ze sprzętem elektrycznym, pod szyldem *Owoszchi* - sklep z warzywami, i tak dalej. Minęli kilka barów, kiosków z lodami i tak zwanych sklepów ze zdrową żywnością, w których w Rosji sprzedaje się głównie przetworzone produkty mleczne. Hollis zauważył przed jednym z nich długą kolejkę, oznaczającą, że można tam było kupić świeże mleko. Stały w niej kobiety z małymi dziećmi i niemowlętami w wózkach. Lisa zatrzymała się przy jednym ze stojących na powietrzu stoisk i kupiła od ubranej w tradycyjny biały fartuch starej kwiaciarki bukiet chryzantem.

– Jak na ludzi wychowanych w duchu materialistycznym Rosjanie wydają mnóstwo pieniędzy na cięte kwiaty - powiedziała.

- Może je jedzą.
 - Nie. Stawiają je w swoich ponurych mieszkaniach i obskurnych biurach. Kwiaty są dla Rosjan pokarmem dla duszy.
 - Rosjanie są zagadkowi, nieprawdaż? Nie potrafię ich rozgryźć - stwierdził Hollis. - Rozprawiają bez przerwy o swojej duszy, ale ani razu nie wspominają o sercu.
 - Może...
 - Zamiast powiedzieć na przykład, że odbyli z kimś serdeczną rozmowę, mówią, że rozmawiali *po duszom*. Zaczynam już mieć dość tego gadania o duszy.
 - Może to tylko kwestia semantyczna...
 - Czasami myślę, że to problem czysto genetyczny.
 - Właściwie mam w sobie trochę rosyjskiej krwi.
 - Naprawdę? W takim razie nie powiem już ani słowa.
- Wzięła go pod ramię.
- Wybaczam ci - powiedziała. - Moi dziadkowie ze strony ojca nosili nazwisko Putiatow. Byli właścicielami dużej posiadłości i dużego murowanego domu nad Wołgą, niedaleko Kazania. Mam starą fotografię tego domu.
 - Wciąż tam stoi?
 - Nie wiem. Kiedy moja babcia, Ewelina Wasiliewna, oglądała go po raz ostatni w dniu swojej ucieczki, był wciąż nietknięty. Mój dziadek miał w swojej posiadłości pięciuset chłopów. Chętnie bym tam pojechała, ale nie dają mi pozwolenia w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. - Przez chwilę milczała, a potem dodała z goryczą: - Co by im się takiego stało, gdybym spędziła weekend na prowincji, szukając własnych korzeni?
 - Czy powiedziałaś im, że jesteś arystokratką i że na twoich włościach odrabiałoby pańszczyznę pięciuset chłopów?

– Oczywiście, że nie. - Roześmiała się. - Założę się - powiedziała zamyślona - że wciąż wspominają tam nazwisko Putiatow.

– Z sympatią?

– Kto to może wiedzieć. To nie jest Europa Zachodnia, gdzie można się cofnąć i szukać swego pochodzenia. Tutaj nastąpił całkowity przełom, zniknęły całe rodziny. Mają za sobą dwie wojny światowe, rewolucję, wojnę domową, czystki, plagi, przymusową kolektywizację... ciekawe, co bym zrobiła, gdybym odnalazła swój dom albo spotkała jakiegoś Putiatowa?

– Nie wiem. Ale ty powinnaś wiedzieć. Masz rosyjską duszę.

Uśmiechnęła się, nic nie mówiąc, i poprowadziła go w stronę sklepu, nad którym widniały połączone litery *Antikwar*.

– To najlepszy z trzech moskiewskich antykwariatów. W pozostałych dwóch można znaleźć co najwyżej stare rupiecie.

Weszli do środka. Właścicielka, elegancko ubrana, atrakcyjna młoda kobieta, przywitała się serdecznie z Lisą, która wręczyła jej chryzantemy.

– Anno, to mój przyjaciel, Sam - przedstawiła Hollisa.

– Dzień dobry - pozdrowił ją po rosyjsku Hollis.

Rosjanka mierzyła go przez chwilę wzrokiem.

– Pracuje pan w ambasadzie? - zapytała po rosyjsku.

– Czasami.

– W takim razie musi pan znać mojego przyjaciela, Seta Alevy'ego.

– Słyszałem o nim.

– Jeśli pan go spotka, proszę mu przekazać ode mnie najlepsze pozdrowienia.

– Przekażę, jeśli go spotkam.

– Proszę - powiedziała Anna, zataczając krąg ręką - rozejrzyjcie się.

Hollis przyglądał się jakiś czas myszkujej po sklepie Lisie. Wypełniony był przede wszystkim meblami, dywanami i lampami, które nie sprawiały wrażenia antyków. Na stołach stało jednak trochę interesujących mniejszych eksponatów: wyroby ze srebra i kości słoniowej, dzwonki z trojką, ceramika, połączone ramy, jaspis, porfir i półszlachetny kamień uralski: fragmenty i okruchy zaginionego świata. Zastanawiał się, czy Lisa szuka wśród nich śladów Putiatowów.

Zauważył, że nie ma tutaj krzyży ani ikon i właściwie żadnych wyrobów o charakterze religijnym, mimo że sztuka sakralna stanowiła przeważający rodzaj twórczości w przedrewolucyjnej Rosji. Były jednak przedmioty, których, choć ich wartość artystyczna nie była naprawdę wysoka, próżno by szukać w innych moskiewskich sklepach. Większość wartościowych eksponatów została już dawno, na mocy nakazu rządu, przeniesiona do muzeów i domów sowieckiej elity. Reszta wyciekła z Rosji przed wieloma laty albo została zniszczona w pierwszym gorączkowym okresie rewolucji. Co jakiś czas pojawiała się coś wartościowego na Zachodzie: nie znane przedtem jajko Faberge, ikona Rublowa czy ostatnio pejzaż Lewitana, wystawiony anonimowo u Sotheby'ego przez anonimowego klienta, którym był prawdopodobnie jakiś uciekinier z Rosji. Ale w gruncie rzeczy wszelkie dowody na to, że istniało kiedyś Imperium Romanowów i Święta Ruś, zobaczyć można było wyłącznie w sowieckich muzeach pomiędzy godziną dziesiątą rano a szóstą po południu. W poniedziałki zamknięte.

Wziął do ręki kałamarz sporządzony z litewskiego bursztynu. W środku zastygł owad, którego nie potrafił zidentyfikować. Przyglądał się mu, rozmyślając o Alevym, Lisie Rhodes i właścicielce antykwariatu, która wiedziała zdecydowanie zbyt dużo.

– Podoba ci się?! - zawołała Lisa.

Pokazywała mu małe okrągłe pudełko z czarnej laki. Hollis podszedł bliżej i wziął je do ręki. Na pokrywce widniała wyjątkowo jak na Rosjankę szczupła mleczarka, trzymająca na ramionach nosidło z dwoma wiadrami mleka. Czarny lak miał głęboki, błyszczący odcień, a ubranie mleczarki biło w oczy jasnymi, rozedrganymi kolorami. Na spodzie przyczepiona była karteczka z ceną, która wynosiła czterysta rubli.

– Myślę, że to autentyczna szkatułka z Palech. Może jeszcze sprzed rewolucji. Potrafisz to poznać?

Ograniczona wiedza na temat szkatulek z Palech podpowiadała mu, że trudno odróżnić stare od tych, które wciąż wytwarzano w wiosce o tej samej nazwie. Jakość wykonania była nadal bardzo wysoka, a styl nie zmienił się mimo rewolucji i faktu, że wszystkich rzemieślników zatrudniało teraz państwo. Dlatego w przypadku szkatulek z Palech wiek nie miał znaczenia. Liczyła się wielkość. Pudełko tych rozmiarów można było kupić w Bieriozce za mniej więcej sto rubli.

– Nie sądzę, by to było warte aż czterysta - powiedział.

– Takiej opinii mogłam się spodziewać po mężczyźnie.

Hollis wzruszył ramionami.

– A poza tym - dodała - lubię Annę.

– Anna nie jest tutaj właścicielką. Ten sklep należy do wielkiego narodu sowieckiego. Anna pracuje dla rządu.

– Niezupełnie. To nietypowa placówka. Nazywa się sklepem komisowym. Wiesz, co to takiego?

– Nie.

– Ludzie przynoszą tutaj rzeczy w komis. Od sprzedaży Anna pobiera prowizję. Reszta idzie dla osoby, która przyniosła towar na sprzedaż. Prowizją Anna dzieli się z rządem. To prawie prywatna firma.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Pozwala się na to tylko w przypadku sklepów z używanymi rzeczami.
– Interesujące.
– Anna ma to, co nazywamy odpowiednią motywacją. Poza tym jest miła i odkłada dla mnie różne rzeczy.

- I dla Seta.
- Zgadza się. I lubi camele.
- Nie rozumiem.
- Papierosy. Papierosy firmy Camel.
- Aha.
- Mam zamiar to kupić.

Podeszła do lady, zamieniła parę słów z Anną, po czym odliczyła czterysta rubli. Zawinęła szkatułkę w papier, wsunęła do swojej torby i podała Annie przez ladę paczkę cameli.

– Daj mi znać, jeśli dostaniesz jakąś posrebrzaną albo pozłacaną porcelanę.

- Zadzwoń do ciebie.

Pożegnali się i Hollis wyszedł z powrotem na ulicę. Lisa pospieszyła w ślad za nim i ruszyli dalej skąpaną w popołudniowym słońcu ulicą.

- To dużo pieniędzy jak za takie pudełko - powiedział w końcu.
- Wiem.
- Zawsze nosisz przy sobie czterysta rubli?

– Jak prawdziwa Rosjanka. Żadnych kart kredytowych, żadnych czeków. Po prostu sturublowe banknoty na wypadek, gdyby mi coś wpadło w oko.

– Rosjanki rozglądają się na ogół za czymś do jedzenia albo ubraniami. To pudełko było... a zresztą to nie moja sprawa.

Przez kilka minut szli w milczeniu.

- Czy ten sklep czegoś ci nie przypomina? - zapytała w końcu.
- Niespecjalnie.

– Pomyśl. Jest taka powieść. Ta, o której wszyscy tutaj myślimy.

– Ach, tak. Sklep ze starociami w Roku 1984. Prowadzony przez Policję Myśli. Tam gdzie wpadł w pułapkę biedny Winston Smith. Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, rzeczywiście przyszło mi to na myśl. Czy ten antykwariat również prowadzi Policja Myśli?

– Mam nadzieję, że nie.

– Skąd ta kobieta zna ciebie i Alevy'ego? Skąd wie, że oboje pracujecie w ambasadzie? Dlaczego Seth tak często tam bywa?

– To dobre pytanie. Myślałam, że ty mi na nie odpowiesz.

– Obawiam się, że nie potrafię.

– Seth daje mi pieniądze, żebym kupowała tam rzeczy. To znaczy mówi mi konkretnie, co mam kupić. Cena jest zawsze zawyżona. Tym razem była to szkatułka. Nie powinnam ci tego mówić, ale on też nie był ze mną szczery.

Hollis nic nie odpowiedział.

– Czy mówiąc ci o tym okazałam się nielojalna?

– Czy jesteś mu winna lojalność?

Wzruszyła ramionami.

– W pewnych dziedzinach. Tak czy owak powiedziałam ci, żebyś nie myślał, że mam nie po kolei w głowie. Polecono mi kupić tę szkatułkę.

Hollis kiwnął głową.

– Rzeczywiście to nie za bardzo do ciebie pasowało.

– Do mnie i do moich finansów. Więc ty nic nie wiesz na temat tego antykwariatu? - zapytała.

– Nie - odparł.

Przyszło mu do głowy, że mógłby spróbować się czegoś dowiedzieć.

Szli dalej. Pułkownik przyglądał się siedzącym na ławkach i na skraju donic ludziom, którzy jedli lody i małe mięsne pierożki. Oni także

odprowadzali ich spojrzeniem, a niektórzy oglądali się. Ludzi z Zachodu wciąż nie spotykało się tutaj zbyt często, a przeciętny mieszkaniec Moskwy potrafi rozpoznać cudzoziemca równie łatwo jak ten ostatni Kozaka na koniu.

Promienie słońca, pomyślał Hollis, nie były zbyt życzliwe dla miasta; pokazywały je w najmniej korzystnym świetle. To paradoks, ale pod zachmurzonym niebem szarość nie wydawała się tak szara.

Lisa znowu wzięła go pod ramię, a on zaczął się jej ukradkiem przyglądać. Teraz, kiedy o tym wspomniała, dostrzegał w jej rysach coś mgliście rosyjskiego. Ale całkiem możliwe, że była to tylko sugestia, jak wtedy, gdy na tle hollywoodzkiej Moskwy oglądał Julie Christie w roli Lary w Pasternakowskim *Doktorze Żywago*.

Doszedł do wniosku, że Lisa jest całkiem ładna. Zauważył, że ma wystające kości policzkowe i ostre rysy charakterystyczne dla kobiet słowiańskiego pochodzenia. Ale jej cera była jasna, a oczy duże i niebieskie. Kasztanowate włosy uczesane miała w stylu potarganej wróżki, dość popularnym, co zauważył Hollis, wśród młodych moskwianek. Usta miała pełne, ale nie zauważył na razie, żeby je wydeła.

Na ogół się uśmiechała albo przygryzała w zamyśleniu górną wargę.

– Czy na nosie siedzi mi mucha? - zapytała, nie odwracając się w jego stronę.

– Nie... nie... szukałem tylko w twojej twarzy rosyjskich rysów.

– Nie szuka się w twarzy, ale w nogach i stopach. Krótkie, grube nogi i wielkie stopy. Tłuste uda.

– Nie wierzę.

– Chcesz się założyć?

– Jasne.

Uśmiechnęła się i skręciła razem z nim w zaułek o nazwie Kałachnyj, piekarski. Arbackie zaułki nosiły nazwy zawodów - szesnastowiecznych dostawców dworu, którzy kiedyś tu żyli i pracowali. Płotniczyj, czyli ciesielski, Sieriebrianyj - jubilerski, i tak dalej. Nazwy te zmieniono po rewolucji na inne, ale ostatnio przywrócono. Sprawiało to wrażenie, pomyślał Hollis, jakby cały kraj, podobnie jak to ma miejsce w Ameryce, odwracał wzrok w przeszłość: pewny znak, że kończy się dwudziesty wiek.

– Dokąd mnie teraz prowadzisz? Pokazać to, co masz w sobie rosyjskiego? - zapytał.

– Nie. Idziemy na lunch. Czy nie zaprosiłeś mnie przypadkiem na lunch?

– Tak, ale zarezerwowałem już telefonicznie stolik w „Pradze”.

– Myślałam, że będę mogła sama wybrać miejsce.

– Proszę bardzo, ale tutaj nie ma żadnych innych restauracji.

– Jest jedna.

– Jak się nazywa?

– Nie sądzę, żeby miała jakąś nazwę:

Przecięli zaułek Kałachnyj i weszli po schodkach do starej otynkowanej kamieniczki, która wyglądała na niegdysiejszą rezydencję bogatego kupca. W obszernym holu zaleciał Hollisa zapach kapusty i nieświeżej ryby.

– To nie są zapachy z restauracji - powiedziała. - To lokatorzy.

Wskazała mu drzwi pod kręconymi schodami i zeszli do piwnicy. Na dole Lisa otworzyła kolejne drzwi i Hollis zobaczył za nimi skąpo oświetlone, niskie pomieszczenie z drewnianym sufitem. Podłoga i ściany pokryte były orientalnymi dywanami, a w powietrzu unosił się aromatyczny tytoniowy dym. Zbliżyła się do nich, uśmiechając się szeroko, starsza kobieta. Pułkownik nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jej zęby należały kiedyś do kogoś innego.

– *Salam alejkum* - powiedziała.

Lisa odwzajemniła pozdrowienie i ruszyła w ślad za kobietą w stronę niskiego, nakrytego brudnym czerwonym obrusem stolika, na którym leżały pozbierane z najróżniejszych kompletów sztucce i talerze. Usiedli, a Lisa wymieniła uprzejmości z gospodynią, która mówiła łamanym rosyjskim.

– Czy pani przyjaciel lubi nasze jedzenie? - zapytała Lisę.

– Uwielbia. Czy mogłaby pani przynieść nam butelkę tego śliwkowego wina?

Kobieta odeszła. Hollis rozejrzał się wokół siebie.

– Czy to miejsce figuruje w Blue Guide?

– Nie, proszę pana. Ale powinno. Jedzenie jest tutaj wyśmienite.

– Czy to żydowska knajpa?

– Nie. Azerska. Powiedziałam *salam alejkum*, nie *szalom alejchem*. Podobnie, ale po arabsku.

– Rozumiem.

Hollis zauważył, że sala jest wypełniona, a wśród gości, w większości mężczyzn, nie ma chyba ani jednego etnicznego Rosjanina. Prawie nie słyszał języka rosyjskiego. Zauważył już wcześniej, że Moskwa staje się coraz większym stopniem miastem zróżnicowanym etnicznie. Z każdym rokiem do stolicy imperium przybywało coraz więcej przedstawicieli sowieckich mniejszości narodowych.

Reżim starał się przeciwdziałać tej migracji, a mieszkający w Moskwie Rosjanie patrzyli na nią z przerażeniem. Chociaż rząd twierdził, że nie dysponuje danymi na temat rozmieszczenia różnych narodowości, Seth Alevy sporządził na ten temat raport, w którym oceniał, że prawie dwadzieścia procent ludności Moskwy nie jest już rdzennie rosyjska. W mieście mieszkali Uzbeki, Ormianie, Gruzini, Tatarzy, Turcy i przedstawiciele kilkunastu innych mniejszości. W wyniku tej etnicznej różnorodności, konkludował Alevy, Moskwa rozwija się i staje bardziej

kosmopolityczna. Zarazem jednak, dodawał, zaczyna stanowić coś w rodzaju miękkiego podbrzusza imperium, podobnie jak działo się to w przypadku innych wielkich miast, do których napłynęli agresywni karierowicze, ludzie na dorobku i społeczni pasożyci. Ludzie tacy jak Misza. A to, co spędzało Rosjanom sen z oczu, dla Setha Alevy'ego i Sama Hollisa stanowiło nadarzącą się sposobność.

Zauważył, że przygląda im się większość gości.

– Czy to bezpieczne miejsce?

– Chyba tak.

– Nie wygląda mi to na państwową restaurację.

– To firma obsługująca przyjęcia. Prawie prywatny klub. Należy do azerskiego kołchozu. Jest legalna.

– Cieszę się.

– Jadłeś już kiedyś w jakiejś knajpie prowadzonej przez kołchoz?

– Nigdy w życiu.

– Jedzenie jest w nich lepsze niż w najlepszych restauracjach. Zwłaszcza tam, gdzie jak tutaj, mają stałe dostawy świeżych produktów.

– Rozumiem.

Podszedł do nich młody chłopak i postawił na stole dwa półmiski, jeden z drobnymi białymi winogronami, a drugi z mandarynkami.

– Widziałeś? - zapytała Lisa. - Kiedy ostatnio jadłeś mandarynki?

– W zeszłym tygodniu, we śnie.

Wziął ostry nóż i obrał ze skóry mandarynkę. Podzielił ją na części i jedli je razem z Lisą w milczeniu, zagryzając białymi winogronami.

– Potrafisz w to uwierzyć? - zapytała.

– Uratowałaś mnie od skorbutu.

Lisa otarła usta własną chusteczką, bo brak było serwetek.

– Przychodzą tutaj wszyscy mieszkający w Moskwie Azerowie. Kuchnia jest autentycznie narodowa.

Hollis skinął głową. W innych moskiewskich tak zwanych narodowych restauracjach - w „Pradze”, „Berlinie”, „Bukareszcie” i „Budapeszcie” - kuchnia była prawie wyłącznie rosyjska. W „Hawanie” jedyną rzeczą pochodzącą z Kuby był cukier na stole. W „Pekinie” podawano barszcz.

– Jak udało ci się znaleźć to miejsce? - zapytał.

– To długa historia.

Hollis pomyślał, że można by ją zawrzeć w jednym słowie: Seth.

– Wolno nam regularnie odwiedzać takie miejsca. Większość cudzoziemców nie ma o nich zielonego pojęcia, a ci, którzy wiedzą, nie chcą się tu stołować.

– Nie potrafię zgadnąć dlaczego.

– Czujesz te przyprawy?

– Trochę. Ale w dymie tytoniowym zostało jeszcze trochę tlenu.

Lisa oparła się o krzesło i zapaliła własnego papierosa.

– Restauracje - powiedziała - stanowią coś w rodzaju barometru wskazującego, co złego dzieje się w tym kraju.

– To znaczy?

– To znaczy, że w Moskwie mieszka osiem milionów ludzi i połowa z nich próbuje zarezerwować sobie stolik w pozostających do ich dyspozycji dwudziestu restauracjach.

– Rzeczywiście dość ciężko dostać tutaj stolik - zgodził się Hollis. - Ale dzisiaj mają dodatkowo do dyspozycji ten, który zarezerwowałem w „Pradze”.

– Gdyby osobom prywatnym pozwolono otworzyć restaurację, z dnia na dzień powstałoby ich pięćset. To samo jest ze sklepami i ze wszystkim.

– To stanowiłoby zagrożenie dla systemu.

– Jakie zagrożenie?

– Bardzo potężne. Wyobraź sobie zapaloną w kompletnych ciemnościach świeczkę. Wszyscy tłoczyliby się do niej i zapalali swoje własne świece. W ich świetle zobaczyliby słabo dzisiaj widoczne wady stroju. A wtedy nie wiadomo, co mogłoby się wydarzyć.

Przez chwilę mu się przyglądała.

– Jak na wojskowego jesteś raczej inteligentny.

– Chyba powinienem ci podziękować za komplement. Czytałeś może ostatnio jakąś dobrą książkę Gogola?

Uśmiechnęła się.

– Właściwie to bardzo lubię Gogola. Czytałeś *Martwe dusze*?

– Kto nie czytał?

– Gogol nie jest wcale taki popularny na Zachodzie i myślę, że przyczyną jest fakt, iż jego bohaterów trudno zrozumieć poza rosyjskim kontekstem. Nie sądzisz?

– Absolutnie.

– Wiesz, że pomnik Gogola stoi akurat przy końcu tej ulicy? Na placu Arbackim. Widziałeś go?

– Trudno go nie zauważyć.

Podano wino śliwkowe i Lisa rozlała je do kieliszków. Hollis stuknął się z nią i wznosił toast.

– Jak mówią chłopcy: za krótką zimę, dostatek mięsa i za suche drewno na opał.

– Zapomniałeś ostatniej linijki.

– Zgadza się. I za ciepłą kobietę w łóżku.

Wypili. Lisa przyjrzała mu się znad skraju kieliszka.

– Skąd ty właściwie pochodzisz, Sam?

– Zewsząd. Jestem dzieckiem pułku.

– Czy to ma przypominać rwanie zęba?

Uśmiechnął się.

– Dobrze, opowiem ci o sobie. Urodziłem się w bazie lotniczej Travis podczas drugiej wojny światowej. Do osiemnastego roku życia przemierzyłem cały świat. Potem spędziłem cztery lata w Akademii Sił Powietrznych. Ukończyłem ją i poszedłem do szkoły pilotów. Powołano mnie w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, a potem ponownie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim. To wtedy właśnie zostałem zestrzelony nad Hajfongiem. Mój samolot wpadł do morza, a ja wyskoczyłem na spadochronie. Wyłowiła mnie specjalna ekipa ratownicza. Byłem trochę potłuczony i wojskowi chirurdzy oświadczyli, że nie może być mowy o dalszym lataniu. W tym czasie mój ojciec był generałem brygady i załatwił mi tymczasową posadę w Pentagonie do momentu, kiedy znajdę sobie coś ciekawszego. Zapisałem się na kurs bułgarskiego. Jak może wiesz, z bułgarskiego rozwinęły się inne języki słowiańskie, podobnie jak z łaciny języki romańskie. Odsłużyłem trzy lata jako attaché sił powietrznych w Sofii, a potem pracowałem w innych krajach Układu Warszawskiego i zanim się zorientowałem, zbyt głęboko w to wsiąknę, żeby móc wrócić do normalnej służby. - Hollis upił trochę wina. - Zawsze podejrzewałem, że za tymi nominacjami krył się mój ojciec.

– Jesteś więc szpiegiem mimo woli.

– No, może nie mimo woli. Ale i nie pełnym entuzjazmu. Po prostu... sam nie wiem. No i nie jestem szpiegiem.

– W porządku. I w końcu, jakieś dwa lata temu, przysłali cię tutaj. Ci, którzy rządzą pierwszą ligą.

– W tej konkurencji jest tylko jedna.

– Powiedz coś więcej o swojej rodzinie.

– Mój ojciec oszczędził przed kilku laty na emeryturę. Mieszka razem z matką w Japonii. Nie wiem dlaczego akurat tam. Trochę to dziwne. Przypuszczam, że nawrócili się na zen. Za dużo podróżowali. Nie znają nawet Ameryki, a to, czego się o niej dowiedzieli, nie przypadło im do gustu. Przypomina mi to trochę rzymskich centurionów albo brytyjskich oficerów kolonialnych. Po drugiej wojnie światowej powstała w Ameryce cała klasa takich ludzi.

– Takich jak my.

– Tak, takich jak my. Emisariuszy imperium.

– Masz braci albo siostry?

– Młodszą siostrę, która wyszła za pilota i mieszka teraz na Filipinach. Nie mają dzieci. I starszego brata, który pracuje na Wall Street, nosi żółty krawat i zarabia za dużo pieniędzy. To jedyny prawdziwy Amerykanin w całej rodzinie. - Hollis uśmiechnął się. - Nabrał wstrętu do podróży już jako dziecko, po naszym piętnastym transferze. Wyznaje zasadę, że człowiek nie powinien opuszczać swojej strefy czasowej.

– Strefy czasowej?

– Tak. No wiesz. Mieszka w strefie wschodnioatlantyckiej. Nie zamierza jej opuścić, a w jej ramach trzyma się dwudziestego stopnia szerokości geograficznej. Przekracza granice kodów pocztowych, ale stara się nie naruszyć granicy swego numeru kierunkowego. Możesz się do niego dodzwonić, wykręcając numer dwieście dwanaście.

Lisa stłumiła śmiech.

– Mówisz serio?

– Tak.

– Cóż za interesująca rodzinka. Jesteście ze sobą blisko?

– Łączą nas pewne więzi. A ty? Opowiedz mi coś o Lisie.

Nie dała po sobie poznać, że słyszy.

- Pamiętam, że była jakaś żona - powiedziała.
- Żona? A tak, Katherine. Pojechała do Londynu po zakupy.
- Robi je już chyba od pół roku.
- Aż tak długo?
- Czy jesteście oficjalnie w stanie separacji?
- Nieoficjalnie.

Przez chwilę wydawało mu się, że Lisa będzie drążyć sprawę dalej, ale zamiast tego dołała sobie wina.

Do stolika podeszła starsza kobieta i razem z Lisą omówiły jadłospis. Lisa zamówiła potrawy dla siebie i dla Hollisa.

– Cena jest tutaj stała - powiedziała. - Tylko trzy ruble. Menu zmienia się z godziny na godzinę. Lepsze to niż wielkie restauracje, gdzie stale ci powtarzają, że nie ma niczego, co figuruje w karcie.

Urwała połówkę płaskiego okrągłego chleba i położyła ją sobie na talerzu.

– Więc uczyłeś się bułgarskiego. Zauważyłam, że twój rosyjski jest trochę dziwny. Nie masz amerykańskiego akcentu, ale nie jest on też typowo rosyjski.

– Mówię także trochę po polsku.

– Zwiedziłeś cały Blok - powiedziała i roześmiała się z własnego dowcipu.

Hollis uśmiechnął się.

– Rosjanie są święcie przekonani, że tylko oni potrafią mówić naprawdę dobrze po rosyjsku. Mimo to Seth Alevy mówi prawie bez obcego akcentu. Gdyby musiał udawać Rosjanina, moskwianin wziąłby go prawdopodobnie za leningradczyka i *vice versa*.

– Może przez telefon. Ale żeby udawać Rosjanina, nie wystarczy mówić dobrze po rosyjsku. To samo jest z innymi narodami, ale odmienność

Rosjan jest wyjątkowa. Zauważyłeś może, że chodzą całym ciałem? Amerykanie używają tylko nóg.

– Zauważyłem.

– Inny jest wyraz ich twarzy - kontynuowała - inne manieryzmy. Rosjanin stanowi sumę narodowych i kulturalnych doświadczeń. Ty, ja i Seth Alevy moglibyśmy z równym powodzeniem udawać Rosjan co Hindusów.

– W tym, co pani mówi, wyczuwam ślady rosyjskiego mistycyzmu, *madame Putiatowa*.

Uśmiechnęła się.

– Cały czas zastanawiam się, czy to jest możliwe - ciągnął Hollis. - To znaczy, po odbyciu gruntownego szkolenia, zanurzeniu się w cudzą kulturę, i tak dalej. Czy Amerykanin mógłby udawać Rosjanina w grupie innych Rosjan? I odwrotnie, czy Rosjanin mógłby udawać Amerykanina, piekąc steki na rożnie w ogrodzie?

Lisa zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Być może przez krótką chwilę, kiedy nikt by niczego nie podejrzewał. Ale nie po dokładnym sprawdzeniu. Czymś musiałby się zdradzić.

– Na pewno? A gdybyśmy posłali znajomego już angielski Rosjanina do specjalnej szkoły? Szkoły, w której uczą amerykańscy instruktorzy? W której otrzymuje się coś w rodzaju ostatecznego szlif? Przez powiedzmy rok albo dwa człowiek całkowicie zanurza się tam w amerykańskiej kulturze. Czy nie otrzymalibyśmy w rezultacie idealnej kopii amerykańskiego instruktora?

– Instruktor i kursant musieliby się bardzo starać... - stwierdziła po chwili Lisa. - No i musiałby być jakiś bardzo ważny powód, żeby Amerykanin się na to zgodził... Mówimy o szpiegach, prawda?

– Ty mówisz. Ja nie. Jesteś bardzo bystra. Twój rosyjski jest gramatycznie bez zarzutu - zmienił temat Hollis. - Potrafisz także posługiwać się kolokwializmami. Ale zauważyłem, że twój akcent, rytm i składnia nie są moskiewskie. Nie mówisz również, jakbyś nauczyła się rosyjskiego w Monterrey albo Wiesbaden.

– Nie, nie chodziłam na żadne kursy. Rosyjskiego nauczyła mnie moja babcia.

– Ewelina Wasiliewna Putiatowa?

– Widzę, że pilnie słuchasz tego, co mówię. Nie jesteś typowym mężczyzną.

– Jestem szpiegiem. Nadstawiam ucha.

– I wszystko dokładnie zapamiętujesz... Moja babcia była wspaniałą kobietą. - Lisa zgasła papierosa. - Urodziłam się i wychowałam w Sea Cliff, przyjemnym wiktoriańskim miasteczku na północnym wybrzeżu Long Island. Już za czasów carskich istniała tam duża rosyjska kolonia. Po rewolucji i wojnie domowej napłynęła kolejna fala imigrantów, wśród których byli moi dziadkowie. Mieli oboje po dwadzieścia kilka lat i byli świeżo upieczonymi małżonkami. Ojciec mojego dziadka był carskim oficerem. Zginął walcząc z Niemcami i mój dziadek, Michaił Aleksandrowicz Putiatow, odziedziczył po nim posiadłość i tytuł, co w tamtych czasach nie stanowiło powodu do chwały. Rodziców mojej babci zatrzymali i rozstrzelali miejscowi bolszewicy, a matka Michaiła, moja prababka, zastrzeliła się sama. Członkowie obu rodzin porzuceni byli po całej Rosji, walczyli na froncie albo wyjechali za granicę. Zdając sobie sprawę, że jest już po balu, Michaił i Ewelina zabrali klejnoty i złoto i dali drapaką. Nie pojawili się przynajmniej w Ameryce bez grosza przy duszy. W końcu wylądowali w Sea Cliff, daleko od rodzinnej Wołgi.

– I wszystko to opowiedziała ci twoja babcia?

– Tak. Rosjanie są prawdopodobnie ostatnim narodem w Europie, który tak wielką wagę przywiązuje do historii mówionej. W kraju, w którym zawsze istniała cenzura, do kogo możesz pójść, żeby poznać fakty, jeśli nie do starych ludzi?

– Nie zawsze są najbardziej wiarygodnymi świadkami przeszłości.

– Może nie, jeśli idzie o problemy globalne. Ale potrafią ci powiedzieć, kogo powieszono za robienie zapasów żywności i kogo rozstrzelano za to, że posiadał ziemię.

– Tak, to prawda. Mów dalej.

– W saloniku naszego uroczego starego domku w Sea Cliff stał srebrny samowar i kiedy byłam dzieckiem, Ewelina sadzała mnie obok niego i opowiadała rosyjskie ludowe bajki. Potem, w miarę jak dorastałam, mówiła o swoim życiu w posiadłości rodziców i o moim dziadku. Kiedy miałam szesnaście lat, opowiedziała mi o rewolucji, wojnie domowej, epidemiach i klęsce głodu. Wywarło to na mnie olbrzymie wrażenie, przypuszczam jednak, że jej opowieści zabarwione były nienawiścią do komunistów. I że ja również nauczyłam się ich nienawidzić, chociaż nie wiem, czy taki był jej zamiar.

Hollis nie skomentował tego.

– Ale nauczyła mnie również miłości - ciągnęła dalej Lisa. - Nauczyła mnie miłości do dawnej Rosji, do ludzi, języka i prawosławnej cerkwi... - Przerwała, wpatrując się przez chwilę w przestrzeń. - W pokoju mojej babci wisiały na ścianie przepiękne ikony, a w serwantce stały wyroby sztuki ludowej i miniaturowe portrety na porcelanie, przedstawiające członków jej rodziny oraz cara Mikołaja i carycę Aleksandrę. W naszej społeczności, nawet kiedy dorosłam, panowała atmosfera antykomunistyczna... ty powiedziałabyś pewnie „anty bolszewicka”. Niedaleko nas stoi prawosławna cerkiew, a traf chciał, że w odległości kilku kilometrów stamtąd znajduje

się posiadłość, którą wykupiła sowiecka misja przy ONZ. Spędzają tam weekendy jej urzędnicy. W niedzielę chodziłam z moją babcią do cerkwi. Czasami wybieraliśmy się po nabożeństwie razem z popami pod bramę sowieckiej posiadłości i modliliśmy się. Trasa procesji ze świecami w Wielką Sobotę zawsze prowadziła obok Sowietów. Dzisiaj nazwalibyśmy to demonstracją. Wtedy mówiliśmy, że niesiemy światło pod siedzibę Antychrysta. Jak widzisz, Ewelina Wasiliewna Putiatowa wywarła na mnie głęboki i trwały wpływ. Zmarła, kiedy byłam w college'u.

Przez jakiś czas żadne z nich się nie odzywało.

– Dostałam się na Uniwersytet Stanowy w Wirginii i ukończyłam kurs sowietologii. Zdałam egzamin wstępny do służby dyplomatycznej i odbyłam rozmowę kwalifikacyjną. Prześwietlono całą moją rodzinę i przeszłość i w końcu dopuszczono do materiałów ściśle tajnych. Zakwalifikowałam się z wysoką lokatą do Służby Informacyjnej Stanów Zjednoczonych, ale przeszło rok musiałam czekać na jakiś przydział. Rok spędziłam w służbie konsularnej w Medanie w Indonezji. Mieszkaliśmy tam w szóstkę w zapuszczonym piętrowym domu i nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób mieliśmy reprezentować amerykańskie interesy. Graliśmy głównie w karty i żłopaliśmy piwo. O mało nie dostałam tam małego rozumu. A potem dostałam swoją pierwszą prawdziwą pracę w ramach Służby Informacyjnej. To było w amerykańskiej bibliotece w Madrasie w Indiach. Spędziłam tam dwa lata. Później wróciłam na rok do Waszyngtonu. Przeszłam dodatkowe szkolenie i pracowałam krótko w centrali. Potem wylądowałam na dwa lata w Berlinie Wschodnim, gdzie przydał mi się nareszcie mój rosyjski. To była dobra ambasada: dreszczyk podniecenia, tajemnice, szpieg na szpiegu i Zachód w zasięgu ręki. Po Berlinie wysłano mnie w końcu tam, gdzie chciałam. Do Moskwy. No i siedzę tutaj w towarzystwie kolejnego szpiega.

- Lubisz szpiegów.
- Mogłabym założyć ich fan-klub.

Hollis uśmiechnął się.

– Nigdy nie byłam zameżna i nigdy się nie zaręczyłam. W przyszłym miesiącu kończę dwadzieścia dziewięć lat.

– Zaproś mnie na swoje przyjęcie urodzinowe.

– Nie zapomnę.

– A twoi rodzice? - zapytał.

– Oboje nadal mieszkają w tym domku w Sea Cliff. Ojciec jest bankierem, a matka nauczycielką. Z ganku widać port i w lecie starszankowie siadają tam i obserwują przepływające statki. To bardzo przyjemny sposób spędzania czasu i są razem bardzo szczęśliwi. Może któregoś dnia tam wpadniesz.

Hollis nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Masz braci albo siostry? - zapytał.

– Starszą siostrę, rozwiedzioną i mieszkającą razem z rodzicami. Poza tym siostrzenicę i siostrzeńca. Moi rodzice wydają się zadowoleni z ich towarzystwa. Chcą, żebym wyszła za mąż i przeniosła się gdzieś bliżej nich. Są dumni z mojej dyplomatycznej kariery, ale niezbyt zadowoleni z miejsca, w którym przyszło mi pracować. Zwłaszcza moja matka. Cierpi na antyrosyjską fobię.

– Sprawiasz wrażenie osoby, która potrafi sobie radzić w każdym miejscu. A propos Long Island, mój ojciec stacjonował tam w połowie lat pięćdziesiątych. W bazie powietrznej Mitchel. Mgliście ją sobie przypominam.

– Zgadza się. Jest teraz zamknięta.

– Wiem - odparł Hollis. - Co stało się z jej terenami?

– Zostały rozparcelowane między Uniwersytet Hofstra i miejscowy college. Na części terenu zbudowano stadion. Gra tam teraz zespół Islanders. Interesujesz się hokejem?

– Nie. Podobnie jak moi rodzice nie jestem typowym Amerykaninem. To zakrawa na ironię, zwłaszcza kiedy się zważy, że pełnię służbę dla tego kraju. Jestem patriotą, ale nie lubię pop kultury. Przez długie lata uważałem, że Miś Yogi i Yogi Berra to jedno i to samo.

– Więc nie zdałbyś szybkiego testu, gdyby cię ktoś nagle zapytał, kto gra na lewym skrzydle u Metsów. W ogóle nie mógłbyś udawać Amerykanina.

– Tak. Obawiam się, że zostałbym rozstrzelany na miejscu.

Lisa rozlała resztę wina do kieliszków i spojrzała na niego.

– No cóż, teraz przynajmniej coś o sobie wiemy.

– Tak. Cieszę się, że mieliśmy okazję porozmawiać.

Podano jedzenie.

– Co to jest, do diabła? - zapytał Hollis.

– To *dowta*, zupa z kwaśnego mleka i ryżu. Ich kuchnia jest podobna do tureckiej. Jest trochę skomplikowana i ma w sobie więcej odcieni niż kuchnia słowiańska. A te krowie placki na poszczerbionych niebieskich talerzach nazywają się *gołubcy* - powiedziała i roześmiała się.

Uśmiechnął się także i wziął do ręki sztucce. Jedli w milczeniu. Pojawiły się kolejne talerze z ostro doprawionymi daniami. Popili je słabym moskiewskim piwem. Hollis spojrzał na zegarek.

– Masz dość czasu, żeby obejrzeć Pociąg Żałobny? - zapytała, zauważając to.

– Jaki pociąg?

– Właściwie to tylko lokomotywa i jeden wagon. Przywieziono w nim do Moskwy ciało Lenina. Stoi na Dworcu Paweleckim.

– Ach, o ten pociąg ci chodzi. Pasuję.

– Tylko żartowałam. Tak naprawdę wcale nie chciałam iść do muzeum Marksa i Engelsa. Myślę, że to zabawne, iż próbują stworzyć coś w rodzaju świeckiej religii na miejsce tej, którą zniszczyli. Ale jeżeli masz dzisiaj wolne popołudnie, moglibyśmy się gdzieś wybrać.

– Jasne. Co powiesz na wycieczkę poza Moskwę?

– Nie żartuj.

– Wcale nie żartuję - odparł Hollis.

– Dokąd? Jak?

– Muszę jechać do Możajka w sprawach służbowych. Mam przy sobie także przepustkę wystawioną na twoje nazwisko.

– Naprawdę? Chętnie pojedę. Co to za sprawa?

– Niedobra, Liso. W kostnicy w Możajku czeka na nas ciało Gregory'ego Fishera.

Lisa przestała jeść i przez jakiś czas wpatrywała się w stół.

Odchrząknęła.

– O Boże, Sam... ten biedny chłopak...

– Nadal chcesz jechać?

Skinęła głową.

Kobieta przyniosła im mocną turecką kawę i małe okrągłe pierniczki. Hollis wypił kawę. Lisa przez jakiś czas siedziała w milczeniu, a potem zapaliła papierosa.

– Czy próbował uciec?... - zapytała.

– Nie. Twierdzą, że jechał w stronę Moskwy. Twierdzą, że miał wypadek przed skrzyżowaniem na Borodino. Twierdzą, że w ogóle nie dojechał do „Rossiji”.

– Kłamią.

– Ale tak się składa, że to ich kraj. W samochodzie zapoznam cię ze szczegółami. Ale chcę, żebyś zdawała sobie sprawę, że jeżeli ze mną pojedziesz, nie mogę ręczyć za twoje bezpieczeństwo.

– Bezpieczeństwo?

– KGB jest, moim zdaniem, przekonane, że mają z głowy cały problem. Najprawdopodobniej nie zamierzają aranżować kolejnego wypadku. Z drugiej strony, ich logika nie przypomina naszej i z tego względu trudno dokładnie przewidzieć, co zrobią.

Skinęła głową.

– Wiedzą, że to ty odebrałaś telefon Fishera - ciągnął dalej Hollis - i wiedzą, że twoje nazwisko znajduje się na przepustce. To nie powinno jeszcze czynić z ciebie potencjalnego celu, ale nie sposób zgadnąć, do czego są zdolni. Nadal chcesz jechać?

– Tak.

– Dlaczego?

– A dlaczego ty jedziesz, Sam? Mógłby to zrobić ktokolwiek z sekcji konsularnej.

– Mam zamiar trochę powęszyc. Wiesz o tym.

– To dlatego miałam się ubrać w ciemne ciuchy i dlatego trzymasz pistolet w kaburze na kostce.

– Zgadza się.

– Dobrze... Pomogę ci powęszyc. Odpowiada mi twoje towarzystwo.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Poza tym ode mnie się to wszystko zaczęło... rozumiesz?

– Tak. - Hollis wstał i położył na stole sześć rubli. - Jedzenie nie było takie złe. Knajpa ma swój styl i nie zamontowali tu podsłuchu, tak jak w „Pradze” i innych restauracjach z czołowej dwudziestki. Daję im dwie i pół gwiazdki. Możesz napisać do Michelina.

– Dziękuję za miłe towarzystwo - powiedziała wstając. - Następnym razem ja funduję.

- Następnym razem ja wybieram lokal.
- Potrafisz wybrać coś bardziej stylowego?
- Założymy się? Znam taką jedną spelunkę. Ulubiony lokal KGB.
- Żartujesz?
- Nie.
- To wspaniale. Możesz mnie tam zabrać.

Wychodząc razem z Lisą z restauracji, Hollis stwierdził, że po raz pierwszy od dłuższego czasu jest w pogodnym nastroju.

CZEŚĆ II

Podrap Rosjanina, a odkryjesz pod spodem Tatara.

Napoleon Bonaparte

.9.

Sam Hollis i Lisa Rhodes wyszli, idąc Arbatem, na plac o tej samej nazwie. Okrążyli pomnik Gogoła i ruszyli ku stojącej po drugiej stronie placu, zbudowanej na planie gwiazdy stacji metra Arbatska. Po lewej stronie znajdowała się restauracja „Praga”, przed drzwiami której wciąż kłębiła się długa kolejka oczekujących na stolik.

Północną stronę placu zamykał Dom Swiazi, wzniesiony z betonu i szkła gmach, w którym mieścił się urząd pocztowy i centrala telefoniczna.

– Tam właśnie - powiedziała Lisa - stała kiedyś cerkiew Świętego Borysa, a dalej była siedemnastowieczna cerkiew Świętego Tichona. Komuniści zburzyli obydwie. Ale mam stare ilustracje.

– Chcesz opublikować album czy sporządzić akt oskarżenia?

– I jedno, i drugie.

Weszli do pawilonu metra i zaczęli przepychać się przez tłum w stronę ruchomych schodów. W ostatniej chwili Hollis złapał Lisę za ramię i poprowadził w kierunku drzwi z drugiej strony. Wyszli z powrotem na plac obok fontanny.

– Co ty wyprawiasz? - zapytała.

– Nie jedziemy metrem do ambasady.

– Och... to znaczy, że nie musimy wracać po samochód?

– Idź za mną. Szybko.

Hollis ruszył szybkim krokiem w kierunku wschodniej strony placu. Lisa pobiegła za nim. Mijając liczne kioski precyzyjnie się przez tłum stojący w kolejkach po kwas, napoje gazowane i lody.

– Dokąd idziemy? - zapytała.

Wziął ją za przegub i pociągnął w stronę czarnego żiguli z zapalonym silnikiem, stojącego przy samym krawężniku, naprzeciwko kina *Chudożestwiennoje*.

– Wsiadaj.

Podszedł do samochodu od strony kierowcy i w tej samej chwili wysiadł z niego mężczyzna, w którym Lisa rozpoznała pracownika ambasady. Hollis wślizgnął się za kierownicę, a mężczyzna zamknął za nim drzwi.

– Bak jest pełny, ślizga się trochę sprzęgło, pańska teczka leży na tylnym siedzeniu. Powodzenia - powiedział.

– Dzięki.

Hollis wrzucił bieg i wjechał w szeroki Prospekt Kalinina. Po chwili zawrócił nagle o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył na zachód. Spojrzał w tylne lusterko.

Lisa nie odzywała się ani słowem.

Hollis przyspieszył. Po dwóch minutach minęli skrzyżowanie z ulicą Czajkowskiego, a potem most Kalinina i stojący na drugim brzegu rzeki hotel „Ukraina”. Prospekt Kalinina przeszedł w Prospekt Kutuzowa. Po kilku minutach minęli Panoramę Bitwy pod Borodinem i wyjechali ze śródmieścia przy Łuku Triumfalnym.

Hollis przyspieszył do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Z jakiego innego liczącego osiem milionów mieszkańców miasta możesz wydostać się w ciągu dziesięciu minut? Moskwa to prawdziwy raj dla automobilistów - stwierdził.

Lisa nie odpowiedziała. Hollis sięgnął pod swój fotel i wyciągnął stamtąd czarną wełnianą czapkę i ciemnoniebieską chustkę. Założył czapkę na głowę i podał Lisie chustkę.

– Chusteczka dla pani. Proszę przymierzyć.

Wzruszyła ramionami i założyła chustkę na głowę, zawiązując ją pod szyją.

– Widziałam to kiedyś w kinie - powiedziała w końcu.

– To była komedia muzyczna?

– Tak.

Po kilku minutach minęli stojące w szczerym polu bloki mieszkalne, które przypominały wielkie betonowe statki dryfujące przez morze rozfalowanej trawy.

– Naruszamy prawo jadąc samochodem bez tabliczki korpusu dyplomatycznego - powiedziała Lisa.

– Naprawdę?

– Skąd jest ten samochód?

– Z Intouristu. Wynajęty i opłacony kartą American Express.

– Zaopatrujesz ich w ten sposób w twardą walutę, której użyją przeciwko nam w Waszyngtonie. Też mi szpieg - powiedziała z sarkazmem.

– Kosztowało to tylko czterdzieści dolarów. Ich agent kupi sobie za to co najwyżej skromny pracowniczy lunch.

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Moskwa staje się zbyt wielka dla KGB. Za dużo zachodnich miazmatów. Samochody do wynajęcia, AMEX, kilka zachodnich banków. Łatwiej nam tu teraz prowadzić działalność.

– Mówisz tak samo jak on.

– Kto?

– Seth. Bardzo wąski sposób widzenia.

– Wiem.

Hollis wyczuł, że ulotnił się gdzieś jej dobry humor. Być może, pomyślał, wyprowadziła ją z równowagi i jednocześnie zmartwiła śmierć Fishera. Przyszło mu też do głowy, że zabierając ze sobą niewinną

amatorkę nie zachował się najmądrzej. Z drugiej strony miał niejasne przeczucie, że wycieczka na wieś dobrze jej zrobi. Alevy to rozumiał. A z czysto zawodowego punktu widzenia towarzystwo kobiety, która nie miała nic wspólnego z wywiadem, stanowiło dobrą osłonę.

Gdyby o przepustki poprosili razem Alevy i Hollis, KGB zmobilizowałoby do ich śledzenia całą dywizję pancerną.

Nagle uświadomił sobie, że myśli podobnie jak Alevy. Jak inaczej można było wyjaśnić to, że zabrał Lisę Rhodes w podróż, z której mogła nie wrócić żywa?

– Przepraszam - powiedział głośno.

– Za co?

– Za to, że mówię tak jak Seth.

– Teraz dopiero strzelełeś z grubej rury - odparła, uśmiechając się.

Nie odpowiedział.

Lisa wyjrzała przez okno.

– Jeżeli Greg Fisher podróżował ze Smoleńska i Borodina - powiedziała w zamyśleniu - musiał jechać tą właśnie drogą.

– Tak, zgadza się.

– W drodze do „Rossiji” mijał naszą ambasadę.

– Wiem.

Minęli zewnętrzną obwodnicę.

– Kiedyś stały tutaj wielkie tablice z napisem „Naprzód do komunizmu” - powiedziała Lisa. - Ale przypuszczam, że władze zdały sobie w końcu sprawę z niefortunnych skojarzeń, jakie musi budzić takie hasło postawione przy drodze, która biegnie w kółko.

Hollis uśmiechnął się.

– Jesteś dobrą przewodniczką. Porozmawiam w Intouriście, żeby załatwili ci dodatkową pracę w weekendy. - Wyjął z kieszeni arkusik

szarego lichego papieru i wręczył go jej. - Twoja przepustka.

Przyjrzała się czerwonym rosyjskim literom i pieczęci Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a potem schowała przepustkę do torebki.

– Jest ważna tylko do północy.

– Do tego czasu dawno będziemy z powrotem.

– Myślałam, że spędzimy noc poza Moskwą.

Hollis nie odpowiedział od razu.

– Nie zabrałem ze sobą szczoteczki do zębów - stwierdził w końcu.

Lisa uśmiechnęła się do niego i wlepiała oczy w szybę. W szczerym polu stała licząca może dwadzieścia domów wioska. Płoty z surowych desek oddzielały przydomowe ogródki od spacerujących po obejściu kur i świń, a błotniste ścieżki łączyły walące się chaty z budynkami gospodarskimi. Dachy kryte były blachą falistą i domyślała się, że ulewny deszcz musi doprowadzać mieszkańców do szaleństwa. Zastanawiała się także, w jaki sposób udaje im się zachować ciepło, kiedy przy porywistych wiatrach temperatura na dworze spada do pięćdziesięciu stopni poniżej zera.

– Niewiarygodne...

Pobiegł za jej spojrzeniem.

– Tak. To uderzające, prawda? A piętnaście kilometrów dalej leży stolica potężnego nuklearnego mocarstwa.

– To moja pierwsza wycieczka na prowincję.

– Ja trochę kręciłem się po okolicy. Jeszcze gorzej jest, kiedy jedzie się na wschód w stronę Uralu albo na północ w stronę Leningradu. Ponad połowa ludności wiejskiej mieszka w fatalnych warunkach, brakuje jej odzieży i źle się odżywia. A przecież to właśnie ci ludzie produkują żywność.

Lisa skinęła głową.

– Człowiek czyta o tym i słyszy, ale widocznie trzeba to zobaczyć na własne oczy, żeby uwierzyć.

– Widzisz to wzgórze? - zapytał, wskazując ręką, Hollis. - Rośnie za nim sosnowy las, w którym kryje się bardzo skomplikowana instalacja radarowa. Stanowi ona centrum dowodzenia dla wszystkich sowieckich pocisków antyrakietowych rozmieszczonych wokół Moskwy. Za cenę tej jednej instalacji można by umieścić w przyzwoitych domach z bieżącą ciepłą i zimną wodą oraz centralnym ogrzewaniem połowę mieszkających w całym regionie wieśniaków. Armaty albo masło. Niektóre kraje nie mogą sobie pozwolić na jedno i drugie.

Kiwnęła głową.

– Połowa naszego budżetu i sześćdziesiąt procent ich... niewiarygodne, ile pieniędzy topi się w rakietowych silosach.

– Obowiązująca dzisiaj, optymistyczna teoria Waszyngtonu głosi, że utrzymując to tempo zagłodzimy ich na śmierć. Zapomnij - dodał - co powiedziałem o tych instalacjach.

Skinęła z roztargnieniem głową i przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– W swojej pracy spotykam Rosjan - odezwała się wreszcie - którzy rozumieją sprzeczności tkwiące w ich systemie. Lubią nas i woleliby budować silosy zbożowe zamiast rakietowych. Ale rząd przekonał ich, że rakiety są konieczne, ponieważ chcemy na nich napaść.

– Prawdopodobnie mają rację. Dla ciebie czym innym jest rząd, a czym innym ludzie. A ja uważam, że ludzie mają taki rząd, na jaki sobie zasłużyli. W tym przypadku może nawet trochę lepszy.

– To nieprawda, Sam. Być może Rosjanie nie rozumieją demokracji, ale w jakiś irracjonalny sposób przywiązani są do idei swobody, wolności.

Hollis wzruszył ramionami.

– Zawsze uważałam, że komunizm jest tutaj jakimś historycznym nieporozumieniem - ciągnęła dalej. - Nie dotrwa swoich setnych urodzin.

– Boję się pomyśleć, co ci ludzie wymyślą w następnej kolejności - odparł oschle.

– Rzeczywiście jesteś taki twardogłowy, czy chcesz mi po prostu dać w kość?

– Ani jedno, ani drugie. Po prostu przetwarzam informacje. To właśnie kazano mi tutaj robić.

– Czasami mam wrażenie, że jestem jedyną osobą w całej ambasadzie, która próbuje odnaleźć w tym kraju coś dobrego, jakąś nadzieję. To wieczne przebywanie wśród cyników, jastrzębi, śliskich dyplomatów i paranoików wpływa na mnie bardzo deprymująco.

– Och, wiem o tym. Słuchaj, jeśli mamy zostać przyjaciółmi, przestańmy lepiej mówić o polityce.

– W porządku.

Ponownie pograżyli się w milczeniu. Niebo z powrotem zasnuło się chmurami i o przednią szybę zaczęły bębnić krople deszczu. W powietrzu wisiało coś przytłaczającego, coś szarego, coś, co spowijało umysł, serce i duszę.

– Tutaj, na równinie - powiedziała Lisa - wydaje mi się, że zaczynam rozumieć legendarną słowiańską melancholię.

– Zgadza się. Ale powinnaś także zobaczyć nie kończące się łąny słoneczników w lecie. Ten widok zapiera dech w piersi.

Spojrzała na niego.

– Rzeczywiście? - Przyszło jej na myśl, że na krótką chwilę Sam Hollis odsłonił się bardziej, niż zamierzał. - Musisz mi je pokazać w lecie.

– Dobrze.

– Żałuję, że nie mam aparatu.

– Zatrzymam się przy następnym sklepie fotograficznym.

– W porządku. - Spojrzała na zegarek. - Czy chcesz zdążyć do kostnicy na czas?

– Jeśli będzie zamknięta, ktoś ją dla nas otworzy - powiedział Hollis, skręcając nagle w bok. Żiguli zjechał na polną drogę, zarzucając tyłem i wzbijając w powietrze obłok kurzu.

– Co się stało?

– Nic.

Hollis objechał jeden z niewielkich stromych pagórków, które urozmaicały równinę, ciągnącą się na zachód od Moskwy. Zatrzymał żiguli w miejscu, w którym nie było go widać z szosy. Sięgnął do tyłu, otworzył leżącą na tylnym siedzeniu teczkę, wyjął z niej lornetkę i wysiadł z samochodu. Lisa wysiadła także i wspiełi się razem na szczyt porośniętego trawą wzgórza. Hollis przykucnął i pociągnął ją w dół. Przyjrzał się przez lornetkę dłużej, biegnącej prosto, jak strzelił, szosie.

– Chyba jesteśmy sami - powiedział.

– W Stanach - odpowiedziała Lisa - mężczyźni pytają: „może pojedziesz ze mną gdzieś, gdzie będziemy sami?” Tutaj mówią: „chyba jesteśmy sami” albo „chyba mamy towarzystwo”.

Hollis zlustrował dokładnie niebo, a potem otaczające ich pola. Wyprostował się, a kiedy Lisa zrobiła to samo, podał jej lornetkę.

– Popatrz tam - powiedział, pokazując ręką na wschód.

– Moskwa... widzę kremłowskie wieże.

Hollis wpatrywał się w uprzątnięte pola.

– To było gdzieś tutaj.

– Co?

– Tutaj właśnie dotarła armia niemiecka. Było to o tej samej porze roku. Niemieccy zwiadowcy powiedzieli swoim dowódcom to samo co ty. Przez

swoje lornetki widzieli kremlowskie wieże.

Lisa przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Hollis umilkł zatopiony w myślach.

– Niemcom wydawało się - odezwał się po chwili - że wojna jest już skończona. Byli tak blisko. I wtedy Bóg, który najprawdopodobniej nie sprzyjał żadnej z armii, przechylił szalę na korzyść czerwonych. Wcześniej niż zwykle zaczął padać śnieg i spadło go bardzo dużo. Niemcy marzli i dywizje pancerne utknęły w miejscu. Armia Czerwona nabrała oddechu i zaatakowała w śniegu. Trzy i pół roku później Rosjanie byli w Berlinie i od tego czasu świat nie jest już taki sam.

Odwrócił się i spojrzał na zachodzące słońce.

– Czasami próbuję zrozumieć ten kraj i tych ludzi - odezwał się odwrócony plecami do Lisy, tak jakby mówił sam do siebie. - Czasami podziwiam ich za to, co zrobili, a czasami pogardzam za to co im się nie udało. Ale myślę, że generalnie rzecz biorąc, przypominają nas w większym stopniu, niż jesteśmy to skłonni przyznać. Podobnie jak my Rosjanie myślą o rzeczach wielkich, ożywia ich duch pogranicza i dumni są ze swoich osiągnięć. Są bardziej bezpośredni i otwarci od ludzi, z którymi spotykałem się w Europie i Azji, i przypominają w tym Amerykanów. Chcą być pierwsi we wszystkim, chcą być najlepsi. Ale pierwsze miejsce jest tylko jedno, a następne jest tylko drugie.

Hollis zszedł ze wzgórza i wsiadł do żiguli. Lisa ruszyła w ślad za nim i wślizgnęła się do samochodu. Wjechali z powrotem na szosę i ruszyli dalej w stronę Możajska. Co jakiś czas mijały ich ciężarówki jadące do Moskwy z transportem żywności. Hollis zauważył, że ziemniaki były drobne, a kapusta szerniała. Nie widział, żeby wieziono inne warzywa, drób, nierogaciznę czy nabiał. Przeszło mu przez głowę, że mógłby sporządzić na

ten temat krótki raport, ale jego odkrycie znane było chyba od dawna wszystkim moskiewskim gospodyniom.

Lisa co jakiś czas rzucała w jego stronę ukradkowe spojrzenia. Miała ochotę pociągnąć go za język i usłyszeć coś więcej na temat, który poruszył na wzgórzu, ale coś ją powstrzymywało. Rozumiała, że ktoś taki jak Hollis potrafi czasem powiedzieć, co mu leży na sercu, ale nie chce, żeby przerodziło się to w dialog.

Odsunęła szybę.

– Czujesz ten zapach? - zapytała.

– Jaki?

– Zapach ziemi. Nie poczujesz go w Moskwie.

– Masz rację - przyznał Hollis. - Nie czuję.

Przez jakiś czas wpatrywała się w rosyjski krajobraz, wsłuchując się w ciszę późnej jesieni i wciągając w nozdrza zapach urodzajnej, wilgotnej ziemi.

– To jest to, Sam. Rosja. Nie Moskwa ani Leningrad. Rosja. Spójrz na te białe brzozy. Spójrz na ich małe liście, całe czerwone, żółte i złote. Zobacz, co się dzieje, kiedy zawieje wiatr. Widzisz? Cóż może być bardziej rosyjskiego od tych małych, niesionych wiatrem po szarym pustym niebie kolorowych brzozowych liści? To jest takie przygnębiające i jednocześnie takie piękne, Sam. Na Kremlu nie potrafią tego zmienić. To jest niezniszczalne, wieczne. Mój Boże, to jest to. To jest Rosja.

Hollis zerknął na nią, kiedy się ku niemu odwracała, i ich oczy spotkały się. Popatrzył przez przednią szybę i po raz pierwszy poczuł obecność otaczającej go ziemi.

– Popatrz na unoszący się z kominów nad tą wioską dym - mówiła wzruszona. - Zbierają się chmury, zapada późne popołudnie. Palą się ogniska, przy których chłopcy chronią się przed wilgocią. Parzy się herbata,

kipią garnki z kapustą i ziemniakami. Ojciec naprawia na deszczu płot albo pług. Jego walonki oblepia czarne błoto. Marzy o gorącej herbacie i ciepłej izbie. Widzę jeźdźców i słyszę brzdąkanie bałałajek. Widzę stojące w purpurowej łunie nad horyzontem samotne, zbite z brzozowych bali cerkiewki. Słyszę niosące się nad cichą równiną bicie dzwonów. - Odwróciła się do niego. - Sam, czy moglibyśmy zatrzymać się w jakiejś wiosce?

– Obawiam się, że spotkałoby cię rozczarowanie - powiedział cicho.

– Proszę. Już nigdy nie będziemy mieli takiej okazji.

– Może później... jeśli znajdziemy trochę czasu. Obiecuję.

Uśmiechnęła się do niego.

– Znajdziemy czas.

Jechali dalej w milczeniu w stronę zachodzącego słońca: dwoje samotnych ludzi w samochodzie, odciętych od swojej ambasady, od miasta i od świata.

Hollis zerkał co jakiś czas w jej stronę i uśmiechali się wtedy do siebie. Doszedł do wniosku, że chyba ją polubił. Była kobietą, która wiedziała, czego chce.

– Jedno muszę przyznać temu chłopakowi - powiedział w końcu. - Przeżył chyba przygodę swego życia.

– Co o nim wiesz? O jego rodzinie, o tym, jak zginął?

Hollis powtórzył jej to, czego się dowiedział.

– Zamordowali go - stwierdziła, kiedy skończył.

Przez cały czas mijali małe wioski, kołchozy i sowchozy.

– Czy to będzie bardzo niebezpieczne? - zapytała, kiedy byli w połowie drogi do Możajska.

– Bardzo.

– Dlaczego mnie zabrałeś?

– Odniosłem wrażenie, że uważasz tę sprawę za śmierdzącą. Pomyślałem, że chcesz pójść jej tropem z czystego przekonania.

– Nie jestem przecież wyszkolona.

– Ale jesteś członkiem fan-klubu. - Uśmiechnął się. - Berlin Wschodni wydawał ci się fascynujący. W porównaniu z tym, co nas czeka, Berlin to dziecinne podchody.

– Podpuszczasz mnie, pułkowniku. - Szturchnęła go żartobliwie w bok. - Zaprosiłeś mnie, zanim jeszcze przyznałam się, że jestem członkiem fan-klubu.

– Punkt dla ciebie. Widzisz, zaczynasz myśleć jak typowy agent wywiadu.

Hollis spojrział na zegarek i licznik kilometrów, a potem zerknął w wsteczne lusterko.

– Czy należysz do mężczyzn, którzy lubią prowokować feministki? Wcale nie uważam, że kobiety powinny robić wszystko to, co robi mężczyzna.

– To nie jest ani eksperyment socjologiczny, ani sprawa osobista, pani Rhodes. Uważam po prostu, że może się pani przydać, a poza tym stanowi pani świetną osłonę.

– W porządku.

– I jest pani dobrym kompanem - dodał.

– Dziękuję.

Niewielki żiguli był jednym z nielicznych jadących szosą prywatnych samochodów, ale Hollis wiedział, że wyróżnia się o wiele mniej niż amerykański ford z dyplomatycznymi tablicami. Wiedział także, że razem z Lisą mogą od biedy udawać Iwana i Irinę, którzy wypuścili się gdzieś na weekend. Borys, Igor i ich siedzący w czajkach naprzeciwko bramy koledzy zorientowali się już zapewne, że Hollis ponownie wystrychnął ich

na dudka. Byli na niego prawdopodobnie bardzo wściekli, a ich szefowie prawdopodobnie jeszcze bardziej wściekli na nich. Wszyscy byli wściekli. Wszyscy oprócz Fishera.

– Chcesz pewnie powiedzieć - stwierdziła Lisa - że nie jestem już taka ożywiona i rozkoszna jak przy lunchu.

– No cóż, wiadomość o czyjejs śmierci, nawet jeśli się tego kogoś nie znało, zawsze wytrąca trochę z równowagi.

– Tak, a poza tym...

– Jesteś trochę podenerwowana.

– To też...

– I odkryłaś, że nie jestem aż taki interesujący, jak z początku myślałaś.

– Wprost przeciwnie. Czy dasz mi w końcu dojść do słowa? Chciałam powiedzieć, że cała ta historia bardzo mnie martwi. Siedziałam wczoraj wieczorem w swoim gabinecie, jeszcze zanim zadzwonił Greg Fisher, i myślałam, że nareszcie zaczynamy się z nimi znowu dogadywać. Mam na myśli *głasnosc* i całą tę resztę. Rozumiesz?

– Tak.

– Proszę Cię, Boże, pomyślałam sobie, spraw, żeby nie było więcej ani jednego Afganistanu, ani jednego zestrzelonego koreańskiego odrzutowca, ani jednego Nicka Daniloffa.

– Przypomina to modlitwę o to, żeby ludzie przestali umierać i żeby nie było więcej podatków.

– Ale dlaczego coś zawsze musi nas dzielić? Ta historia znowu wszystko popsuje, prawda? Będziemy znowu wydalać dyplomatów, ograniczać wymianę kulturalną i naukową i budować następne pieprzone raketowe silosy. Mam rację?

– To nie jest moja sprawa - odparł Hollis.

– To jest sprawa nas wszystkich, Sam. Żyjesz chyba na tej planecie.

– Czasami. Kiedy byłem wysoko ponad nią, na pułapie dwudziestu tysięcy metrów, rozglądałem się wokół siebie i mówiłem: ci ludzie tam, na dole, są niespełna rozumu. Potem patrzyłem na niebo i pytałem: jaki jest Twój wielki plan, Boże? A potem schodziłem nad cel, spuszczałem bomby, wymykałem się raketom i migom, wracałem do domu i wypijałem piwo. Nie stałem się ani cynikiem, ani skruszonym grzesznikiem. Obchodziły mnie po prostu moje małe problemy: to, żeby spuścić bomby i napić się piwa. Tak to dzisiaj wygląda.

– Ale rozmawiałeś przecież z Panem Bogiem. Pytałeś go o wielki plan.

– Nigdy mi nie odpowiedział. Ale powinnaś wiedzieć, że hasło na dziś nadal brzmi *detente*. Pokój za wszelką cenę. Choć może się to zmienić w każdej chwili.

Wyciągnęła z torebki paczkę kentów.

– Nie przeszkadza ci?

– Nie.

– Chcesz jednego?

– Nie. Uchyl szybę.

Otworzyła okno i zapaliła.

Nagle skręcił z szosy w wąską wiejską drogę i nie zwalniając ani trochę jechał dalej po wysypanej żwirem nawierzchni. Żiguli podskakiwał na wertepach.

– Dlaczego zjechałeś z szosy? - zapytała.

Hollis rzucił okiem na trzymaną w rękę kartkę papieru i skręcił ostro w lewo, a potem w kolejną drogę w prawo.

– Pewien Brytyjczyk sporządził na szczęście przed kilku laty mapkę bocznych dróg, którymi można ominąć większe miasta leżące wokół Moskwy. Ta trasa omija Możajsk. Żadnych nazw, tylko punkty orientacyjne. Wypatruj krowiego szkieletu.

Uśmiechnęła się mimo zdenerwowania.

- Naruszasz przepisy dotyczące marszruty.
- To jeszcze nic.
- Przypuszczam, że jedziemy do Borodina.
- Zgadza się.

Hollis nadal skręcał z jednej wiejskiej drogi w drugą, pozdrawiając gestem ręki kierowców mijanych co jakiś czas ciężarówek i traktorów.

– To cholerne sprzęgło rzeczywiście się ślizga - powiedział - ale poza tym samochód sprawuje się całkiem dobrze. Robią je na licencji Fiata. Ten prowadzi się tak samo dobrze jak jego włoski kuzyn. Dobre terenowe wozy.

- Mężczyźni. Samochody. Futbol. Seks.
- Słucham?
- Nic takiego.

Minęli tory kolei białoruskiej, a zaraz potem Hollis dostrzegł majaczące w oddali zarysy miasta i słupy elektryczne, ustawione wzdłuż starej szosy Mińsk-Moskwa.

– W porządku, okrążyliśmy Możajsk. Ciekawe, czy Borys i Igor czekają tam na nas, chodząc w tę i z powrotem po głównej ulicy.

- Kto to jest Borys i Igor?
- Agenci przydzieleni do ambasady.
- Aha.

Hollis przeciął szosę i jechał dalej polnymi traktami. Po piętnastu minutach dotarł do wysadzanej topolami drogi, która prowadziła do muzeum. W oddali widać było kamienne kolumny i wysoką bramę, za którą rozciągało się pole bitwy. Brama była zamknięta. Kiedy podjechali bliżej, okazało się, że jej skrzydła spina łańcuch.

– Myślę, że takie muzea zamykają o tej porze roku trochę wcześniej - powiedziała Lisa.

– Na to właśnie liczyłem.

Skręcił między dwie pozbawione liści topole. Jadąc rowem minął z boku bramę i wtoczył się z powrotem na drogę.

– Nigdy tutaj nie byłaś?

– Już ci mówiłam... nigdy dotąd nie dostałam przepustki poza Moskwę. Raz tylko byłam w fińskiej daczce.

Hollis skinął głową. W fińskiej daczce, nazwanej tak z racji swojej architektury i mieszczącej się w środku sauny, wypoczywał w weekendy niższy personel ambasady. Wzniesiono ją całkiem niedawno nad rzeką Kłaźmą, o godzinę drogi na północ z Moskwy, w pobliżu daczki ambasadora, w której spędzali wolny czas dyplomaci wyższej rangi. Zaproszenie na weekend do ambasadora stanowiło właściwie coś w rodzaju kary. Ale fińska daczka zdobyła sobie szybko specyficzną sławę i pary małżeńskie zdecydowanie jej unikały.

Którejś nocy, przez okno sypialni w domu ambasadora, Hollis aż do rana słyszał dobiegające z sąsiedniej daczki wesołe męsko-damskie okrzyki i chlupot wody spod prysznicy. „Dlaczego pozwalają im na te wszystkie figle, podczas gdy my musimy tutaj sączyć sherry z nadętymi waźniakami?” - zapytała go wtedy Katherine. Miesiąc później wybrała się na długie zakupy.

– Często tam bywałaś? - zapytał.

Lisa rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Nie... urządziliśmy tam sobie coś w rodzaju Gwiazdki. W poniedziałek rano schodziliśmy sobie wszyscy z oczu. Na pewno doszły cię plotki.

– Chyba tak. - Hollis zobaczył wysypany żwirem parking po prawej stronie muzeum. - Raz już tutaj byłem - powiedział. - W październiku zeszłego roku na przyjęciu wydanym dla attaché wojskowych z okazji

rocznicy stoczony tutaj w roku 1941 bitwy rosyjsko-niemieckiej.
Interesujące miejsce.

– Na takie wygląda.

Minęli parking i wjechali w wąską alejkę. Słońce zaszło i zrobiło się bardzo cicho. Zauważyła, że zza skłębionych chmur prześwitują co jakiś czas gwiazdy. Głęboka, mroczna, spowijająca ziemię cisza zaskoczyła ją.

– Trochę tu strasznie.

– Romantycznie.

Uśmiechnęła się mimo woli. Zza chmur wyjrzał księżyc i oświetlił kilkanaście błyszczących obelisków, stojących w polu niczym strzegący poległych wartownicy.

– Borodino - powiedział cicho Hollis. - Fisher musiał wtedy jechać, musiał minąć muzeum. Cały dowcip polega na tym, żeby odnaleźć miejsce, gdzie się zgubił. Odwróć się do tyłu i znajdź w mojej teczce mapę lotniczą.

– To jest ta mapa? - zapytała, wyjmując ją z teczki.

– Tak. Rozłóż ją sobie na kolanach. Jeśli nas zatrzymają, spal ją zapalniczką. To łatwo palny papier i spali się w ciągu sekundy, bez dymu i ognia.

– Dobrze.

– Pod swoim siedzeniem znajdziesz latarkę z czerwonym filtrem.

Sięgnęła pod fotel i wyjęła latarkę.

– Wiemy, że przejechał przez pole bitwy - stwierdził Hollis. - Później powiedział, że znalazł się na leśnej drodze na północ od Borodina, mniej więcej o tej samej porze. Dalej na północ jest rzeka Moskwa, zbiornik wodny i elektrownia. Musiał się więc zgubić gdzieś pomiędzy tym miejscem a rzeką. Na mapie jedynym obszarem zalesionym jest ten sosnowy las. Widzisz go?

– Tak. - Wlepiła wzrok w szybę. - Na tych wzgórzach rosną sosny. Widzisz?

– Tak. Wzgórza podchodzą pod samą rzekę. Teraz zbliżam się do rozgałęzienia dróg.

Oświetliła mapę latarką.

– Tak. Widzę je tutaj. Lewe odgałęzienie najpierw zakręca z powrotem, a potem biegnie w stronę wzgórz.

Hollis kiwnął głową. Ktoś niewtajemniczony mógł odnieść wrażenie, że biegnąca w lewo droga zaprowadzi go z powrotem do muzeum i to właśnie tutaj Fisher musiał popełnić swój fatalny błąd. Skręcili w lewo.

Jechali dalej ze zgaszonymi światłami. Porośnięty trawą teren zaczął się wznosić. Minęli kilka sosen, a potem wjechali w gęsty las i zrobiło się bardzo ciemno. Lisa odchrząknęła.

– Widzisz coś? - zapytała.

– Zaświeć co jakiś czas przez okno latarką.

Otworzyła okno i do środka dostało się chłodne powietrze. W czerwonym świetle latarki ukazała się wąska droga. Hollis trzymał się snopu światła.

– Jak samopoczucie? - zapytał.

– Świetnie. A ty jak się czujesz?

– Znakomicie - odparł Hollis. - Piękny las. Podoba mi się to słowo: bór. Pobudza wyobraźnię i jest bardzo rosyjskie. Kiedy je wymawiam, przed oczyma staje mi głęboka, ciemna sosnowa puszcza gdzieś w dawnym Księstwie Moskiewskim: widzę drwali, cieśli i drewniane chaty. Słyszę trzaskające w ogniu sosnowe polana i syk żywicy. Zupełnie jak w bajce. Bór.

Spojrzała na niego z ukosa, ale nie odezwała się ani słowem.

Jechali dalej bardzo powoli wzdłuż skraju wzniesienia. Żiguli posuwał się do przodu na pierwszym biegu, z wyjącem na wysokich obrotach silnikiem.

– Czy mogę zapalić? - zapytała Lisa.

– Nie.

– Trzęsę się z zimna.

– Chcesz wracać?

Zawahała się.

– Później - odparła po chwili.

Po dziesięciu minutach zbliżyli się do dużej tablicy i Hollis zatrzymał samochód. Lisa oświetliła tablicę latarką i oboje przeczytali jej treść:

STOP! WSTĘP WZBRONIONY! ZAWRÓĆ!

– To musi być tutaj - powiedział Hollis. - A już się martwiłem, że obraliśmy złą drogę.

– Z całą pewnością obraliśmy złą drogę.

Hollis wysiadł i rozejrzał się. Po prawej stronie, już za tablicą, zobaczył mały placyk. Otworzył bagażnik żiguli, wyrwał przewody tylnych świateł i stopów, po czym wsiadł z powrotem do samochodu. Skręcił na placyk, ale zamiast zawrócić, wjechał między drzewa. Po przejechaniu dwudziestu metrów zaparkował samochód przodem w stronę drogi i zgasił silnik.

Lisa milczała.

– Trzymaj oczy i uszy otwarte - szepnął do niej. - W razie czego szybko uciekaj. Jeśli nie wrócę w ciągu godziny, jedź do Możajska i załatw tę sprawę w kostnicy. Gdyby ktoś o mnie pytał, powiedz, że przyjechałaś tutaj sama. Usiądź za kierownicą i opuść szybę. Do zobaczenia.

Wysiadł, zamknął za sobą cicho drzwi i zaczął przedzierać się przez las, idąc równoległe do drogi. Lisa dogoniła go już po kilkunastu krokach.

– Jesteś szalony - szepnęła.

– Wracaj.

– Nie.

Ruszyli dalej, idąc ramię przy ramieniu. Poszycie lasu było sprężyste i pokryte gęstą warstwą sosnowych igieł i szyszek. Między drzewami rosły kępy paproci i młode sosenki. Nie wiał nawet najmniejszy wietrzyk i w nozdrza uderzał ich silny żywiczny zapach. Słysząc było bardzo niewiele poza skrzypieniem igieł i trzaskiem pękających pod ich stopami szyszek. W lesie było bardzo ciemno.

– Sam - szepnęła Lisa - nie mamy żadnego powodu, żeby tutaj być... żadnego pretekstu... nie wiem, czy pomoże nam immunitet dyplomatyczny...

– Jeśli potrzebny ci pretekst, to wybraliśmy się na grzyby. Rosjanie uwielbiają zbierać grzyby. Na pewno nam uwierzą.

– W sosnowym lesie nie rosną grzyby.

– Naprawdę? No więc dobrze, powiedzmy, że wybraliśmy się na randkę.

– W takim razie powinniśmy leżeć na tylnym siedzeniu samochodu.

– Dobrze, więc wymyśl sama coś lepszego. A tymczasem nie daj się złapać. Zakładam, że idziesz razem ze mną.

– Tak.

Po kilku minutach zobaczyli przybite do drzew kolejne tablice. Podeszli do jednej z nich. Lisa skierowała w górę czerwony snop światła i przeczytała:

**STOP! ZAWRÓĆ! ZNAJDUJESZ SIĘ NA TERENIE WOJSKOWYM!
WSTĘP WZBRONIONY POD KARĄ ARESZTU!**

Hollis przystawił Lisie wargi do ucha.

– Mogą tu być wykrywacze dźwięku - szepnął. - Stąpaj cicho jak łania.

Kiwnęła głową. Położył jej rękę na ramieniu i poczuł, że drży.

– Chcesz wracać do samochodu?

Pokręciła głową.

Wyciągnął swego tokariewa z kabury na kostce i wsunął go do kieszeni. Posuwali się dalej przez las. Na niebie pokazała się połówka księżyca, rzucając błękitną poświatę na nieliczne polanki, których starali się unikać. Co jakiś czas mijali tablice z tym samym co poprzednio napisem, a potem Lisa wskazała na nowy znak, przybity do drzewa przy jednej z polanek. Zbliżyli się na palcach i przeczytali jego treść:

STOP! WSTĘP WZBRONIONY!
STRAŻNICY STRZELAJĄ BEZ UPRZEDZENIA!

– Jesteśmy prawie na miejscu - szepnął.

Nagle usłyszeli za sobą hałas i odwrócili się. Hollis przyklęknął na jednym kolanie i wyjął pistolet. Lisa przykucnęła tuż za nim. Po drugiej stronie polany rozchyliły się gałęzie. Na polanę wybiegła w ich stronę niewielka sarenka, a potem, w odległości nie większej jak dziesięć metrów, zatrzymała się. Wciągnęła w nozdrza nieruchome, ciężkie powietrze, odwróciła się i uciekła.

Hollis schował pistolet i wstał. Ruszyli dalej. Po pięciu minutach drogę zagrodziła im wysoka na trzy metry siatka z drutu kolczastego. UWAGA! WYSOKIE NAPIĘCIE! - ostrzegał napis na doczepionej do ogrodzenia tablicy. Górą biegł dodatkowy zwój drutu kolczastego. Za ogrodzeniem rozciągał się szeroki mniej więcej pięćdziesiąt metrów pas pozbawiony drzew. Po jego drugiej stronie Hollis dostrzegł kolejne ogrodzenie z drutu kolczastego. Wewnątrz widać było zarys wieży strażniczej.

– Szkoła Wdzięku pani Iwanowej - szepnął.

Lisa kiwnęła głową.

– Niezbyt wdzięczna.

Hollis przyglądał się przez chwilę wieży strażniczej, a potem zaczął lustrować wewnętrzne ogrodzenie, za którym widać było niewyraźne

światła. Wziął Lisę za ramię i ruszyli ostrożnie wzdłuż ogrodzenia, mijając rozkładające się zwłoki jelenia, który zginął porażony prądem.

– Wracajmy już, Sam - szepnęła.

Pociągnął ją w dół.

– Słyszysz?

Leśną ciszę przerwał warkot silnika diesla, a potem dostrzegli zbliżające się światła.

– Padnij!

Oboje położyli się na dywanie z sosnowych igieł, twarzą do ogrodzenia. Reflektory świeciły coraz jaśniej i zobaczyli, że po wybronowanym, wysypanym piaskiem pasie między ogrodzeniami porusza się powoli jakiś pojazd. Był coraz bliżej nich, warkot potężniał. Hollis spostrzegł teraz, że była to półciężarówka z otwartą skrzynią. W kabinie siedziało dwóch ludzi, a z tyłu sześciu żołnierzy w hełmach. Dwaj obsługiwali obrotowy karabin maszynowy, dwaj reflektor, a dwaj stali po bokach, gotowi w każdej chwili zeskoczyć na ziemię.

Miał nadzieję, że to rutynowy patrol, ale żołnierze wydawali się na to zbyt napięci i czujni. Kiedy od pojazdu dzieliło go nie więcej jak dziesięć metrów, rozpoznał zielone mundury Straży Granicznej KGB.

– Naciągnij chustkę na twarz i schowaj dłonie - szepnął do Lisy.

Sam założył czarne nylonowe rękawiczki i naciągnął na twarz wełnianą czapkę, która była właściwie czymś w rodzaju kominiarki.

Półciężarówka zrównała się z nimi i teraz znajdowała się w odległości zaledwie pięciu metrów. Hollis doszedł do wniosku, że wykrywacze dźwięku bądź ruchu musiały coś zarejestrować i wysłano patrol, żeby sprawdził, czy to zwierzę, czy człowiek. Słyszał głosy rozmawiających ze sobą żołnierzy, a potem trzask radia w kabinie.

– Pospaliście się tam? - odezwał się ktoś w głośniku. - Co się z wami dzieje, Greczko?

– *Chujom gruszi okolocziwaju.* Strząsam gruszki chujem - odparł siedzący obok kierowcy mężczyzna do ręcznego mikrofonu. Jego rozmówca roześmiał się.

– Upoluj pułkownikowi niedźwiedzia, to będziesz mógł się pieprzyć do woli w Moskwie. Zastrzel szpiega, to sam weźmie za ciebie wszystkie ordery.

– W takim razie zapolujemy na niedźwiedzia - odparł Greczko.

Szofer roześmiał się i zahamował. Półciężarówka zatrzymała się naprzeciwko Hollisa i Lisy. Żołnierze zapalili szperacz i snop światła padł na pas ziemi niczyjej, a potem zaczął przeczesywać las za ogrodzeniem. Kępy paproci i pnie drzew obok Sama i Lisy rozjaśniły się niebieskim jasnym blaskiem. Snop światła przysunął się jeszcze bliżej nich, a potem przeszedł górą i pobiegł dalej. Nagle zawrócił i zatrzymał się na martwym jeleniu, dziesięć metrów od Hollisa. Tkwił przez jakiś czas nieruchomo, a potem przesunął się dalej.

Hollis poczuł, że Lisa cała się trzęsie. Poszukał dłonią jej ręki i mocno ścisnął. Czekali. Po minucie półciężarówka pojechała dalej. Nadal jednak leżeli bez ruchu, bojąc się głośniej odetchnąć. Po pięciu pełnych minutach Hollis uniósł się ostrożnie na jedno kolano, trzymając dłoń na plecach Lisy. Przez jakiś czas przeszywał wzrokiem ciemność i nasłuchiwał, a potem pomógł jej wstać. Kiedy odwracali się plecami do ogrodzenia, dostrzegł nagle dwóch żołnierzy KGB z gotowymi do strzału karabinami AK-47. Dzieliło go od nich nie więcej niż kilka metrów.

W ciągu ułamka sekundy zorientował się, że Lisa nie widzi strażników i że oni nie widzą ani jego, ani jej. A potem Lisa pochyliła się ku niemu, żeby coś powiedzieć, i Rosjanie dostrzegli ruch. Jednym płynnym ruchem pchnął

Lisę na ziemię, przykucnął i wyrwał z kieszeni swojego zaopatrzonego w tłumik tokariewa.

Pociągnął za spust i zobaczył, że pierwszy strażnik przyciska dłoń do piersi. Drugi stanął jak wryty w miejscu, wpatrując się w swego padającego na ziemię kolegę, a potem odwrócił się w stronę Hollisa i obniżył broń. Hollis władował mu dwa pociski w pierś i skoczył do przodu, przebiegając dzielące go od Rosjan trzy metry. Obaj wciąż żyli. Leżeli na plecach, a z ust sączyła im się krew. Obaj byli bardzo młodzi, najprawdopodobniej poniżej dwudziestki. Hollis zabrał im karabiny i przewiesił sobie przez ramię. Lisa podeszła bliżej, kiedy przykrywał ciała strażników sosnowymi gałęziami.

– Och, mój Boże... Sam!

– Cicho.

Przewiesił jej jeden karabin przez ramię, złapał za rękę i pociągnął za sobą. Ruszyli biegiem przez las. Nie przejmował się teraz sensorami, ponieważ po lesie chodziły patrole, które same powodowały hałas.

Dziesięć minut później przecięli asfaltową drogę. Hollis ustalił, gdzie się znajdują, i szybko odnaleźli stojący między drzewami samochód. Wrzucili karabiny na tylne siedzenie i wskoczyli do środka.

Hollis zapalił silnik i wrzucił bieg, ale zamiast wjechać na drogę, zawrócił i ruszył głębiej w las, manewrując między rzadko rosnącymi drzewami.

– Dokąd jedziesz, Sam?

– Na pewno nie z powrotem tą samą drogą. Poświeć mi.

Wychyliła się przez okno, trzymając w ręku latarkę. Hollis kluczył, jadąc przez las. Z tyłu, od strony drogi, którą przyjechali, dobiegł ich warkot samochodu i zobaczyli światła reflektorów.

– Las jest coraz bardziej gęsty. Uważaj - powiedziała.

Kiedy próbował przejechać między dwoma stojącymi blisko siebie pniami, oba błotniki zaklinowały się i samochód stanął w miejscu. Hollis wrzucił tylny bieg, ale ślizgające się sprzęgło uniemożliwiło wycofanie się z pułapki.

– Przeklęty gruchot!

W końcu udało mu się wycofać i znaleźć inną drogę między drzewami. Nisko wiszące gałęzie ocierały się o przednią szybę, zostawiając na niej klejące się igły. Hollis wiedział, że jazda samochodem przez iglasty las nie jest niemożliwa i że faktycznie całe kolumny ciężarówek i pojazdów opancerzonych przemierzały te rosyjskie sosnowe zagajniki podczas wojny, nie wywracając ani jednego drzewa. Trzeba było po prostu znaleźć odpowiedni przejazd.

– Trzymaj światło prosto, Liso.

– Dobrze. Spójrz tam - powiedziała, wskazując latarką między drzewa, i Hollis zobaczył wąski przesmyk. Była to ścieżka wydeptana przez zwierzynę, rodzaj tunelu między gałęziami, wysokości sporego jelenia. Żiguli mieścił się tutaj dość zgrabnie i Hollis przyspieszył do pięciu kilometrów na godzinę.

Lisa obejrzała się do tyłu.

– Wydaje mi się, że widzę jakieś światła między drzewami. - Spojrzała na niego. - Myślisz, że nam się uda?

– Żaden problem.

Domyślał się, że Rosjanie nadal nie wiedzą, czy mają do czynienia ze szpiegami, czy niedźwiedziami. Dopiero kiedy odkryją zwłoki, w całej okolicy zaroi się od milicji, Armii Czerwonej i KGB.

Teren zaczął się obniżać pod coraz ostrzejszym kątem i Hollis musiał częściej używać hamulca. Nagle żiguli zaczął zsuwać się w dół.

– Trzymaj się!

Samochód uderzył o dno wąwozu i o mało się nie przewróciwszy wpadł z pluskiem do wąskiego strumienia. Hollis szarpnął kierownicą w prawo, dodał gazu i poobijany żiguli potoczył się w dół po kamieniach, którymi usłane było koryto potoku. Po jakimś czasie brzegi obniżyły się, a strumień stał się głębszy i szerszy. Silnik żiguli zaczął się krtusić.

– Zalało go.

Hollis skręcił w bok, tam gdzie brzeg wydawał się najniższy, i wcisnął pedał gazu do dechy. Żiguli dotknął przednimi kołami suchej ziemi i zakrtusił się ponownie, a potem silnik zaryczał głośno i samochód wyrwał się ze strumienia. Przez chmury przeświecała srebrna połówka księżyca. W jego poświacie oboje ujrzeli przed sobą pole bitwy pod Borodinem.

– Dobry terenowy samochód - powiedział Hollis.

Lisa zapaliła trzęsącymi się rękoma papierosa i głęboko się zaciągnęła. Wypuściła z ust długi strumień dymu.

– Chcesz zapalić?

– Nie, pal sama.

– Nie sądziłam, że to właśnie masz na myśli, kiedy mówiłeś o przejażdżce samochodem za miasto.

– Cóż... - odparł Hollis. - Jesteśmy poza miastem i jedziemy samochodem.

Zatrzymał się przy kępie brzoź, sięgnął po dwa karabiny i wyrzucił je przez okno w wysoką trawę, a potem cisnął w ślad za nimi swój pistolet, kaburę i zapasowe magazynki.

– Spal mapę.

Lisa wystawiła mapę za okno i dotknęła jej zapalniczką. Papier rozbłysł i zniknął w małym obłoku dymu.

– Wyjechaliśmy z lasu, ale nie pozbyliśmy się bynajmniej kłopotów - powiedziała.

– Ale niedługo się pozbędziemy.

Wrzucił bieg i ruszył przez falujące, porośnięte wysoką żółtą trawą pole. Ze szczytu wzniesienia zobaczyli drogę, którą nie tak dawno wjeżdżali do lasu. Hollis starał się trzymać równolegle do niej, jadąc na przełaj przez pole. Po jakimś czasie usłyszeli w górze zbliżający się warkot helikoptera. Hollis skrył samochód w cieniu jednego z granitowych obelisków, a helikopter przeleciał nad nimi, ciągnąc za sobą swój własny cień. Poczekali, aż zniknie nad lasem w bezpośredniej bliskości Szkoły Wdzięku, i ruszyli dalej.

– To nie było morderstwo z zimną krwią - odezwała się Lisa, jakby właśnie zakończyła sama ze sobą cichą rozmowę.

Spojrzał w jej stronę.

– Niedobrze mi - powiedziała.

– Od tego może zrobić się niedobrze. Od zabijania ludzi. Dotychczas tylko zrzucałem na nich bomby. Nigdy nie widziałem tego z bliska. Weź głęboki oddech.

Wystawiła głowę przez szybę, nabrała w płuca powietrza, a potem skurczyła się z powrotem w fotelu.

Jechali dalej przez pole. Hollis wiedział, że kluczowe znaczenie mają teraz czas i miejsce. Jeśli zdołają dotrzeć tam, gdzie ich oczekiwano, to znaczy do kostnicy w Możajsku, mogą spróbować blefu. Ale jeśli dadzą się złapać tutaj, w szczerym polu, dowody świadczące przeciwko nim będą bardzo poważne.

Zbliżyli się do małej polnej drogi, biegnącej skrajem pola bitwy. Po drugiej stronie widać było zaoraną ziemię. Hollis obawiał się, że żiguli może nie sprostać następnemu wyzwaniu. Wjechał na przeznaczoną dla traktorów drogę i skręcił na północ, w stronę rzeki Moskwa. Droga wiodła prosto, jak strzelił, więc rozpędził żiguli do dziewięćdziesiątki, aż

samochód zaczął wpadać w poślizg. Zwolnił trochę i żiguli uspokoił się. Trakt kończył się przy biegnącej wzdłuż brzegu rzeki innej drodze i Hollis skręcił w nią w prawo. Lepiej było wjechać do Możajska od zachodu niż od strony Moskwy, gdzie mogło na nich czekać KGB. Włączył światła i wyrzucił przez okno wełnianą czapkę. Lisa wyrzuciła chustkę i uczesała się, a potem oczyściła z igieł jego ubranie.

.10.

Dojechali do Możajska, nie spotykając po drodze ani jednego pojazdu.

Miasto wydawało się dziwnie opustoszałe jak na wczesny sobotni wieczór. Hollis wręczył Lisie kartkę papieru.

– Wskazówki, jak dojechać do kostnicy.

Przeczytała je na głos i po jakimś czasie zajechali pod niski, otynkowany na biało budynek, niedaleko torów kolejowych. Na drzwiach wisiała drewniana tabliczka z napisem MÓRG. Hollis spojrzął na zegarek. Było kilka minut po ósmej. Wysiedli z samochodu i podeszli do wejścia.

– Czujesz się na siłach, czy wolisz poczekać w samochodzie? - zapytał.

– To dla mnie nic nadzwyczajnego. Załatwiałam już sprawy konsularne. To tam, w lesie, nie czułam się na siłach.

– Zachowałam się wspaniale.

– Dziękuję. A tobie nie drgnęła nawet powieka.

– Lubię popisywać się przed kobietami. Dlatego właśnie cię ze sobą zabrałem.

Wcisnął przycisk oznaczony napisem NOCNY DZWONEK i przez chwilę czekali. Oparł dłoń na ramieniu Lisy i zauważył, że już nie drży. Doszedł do wniosku, że jest bardzo opanowana.

Ciężkie drewniane drzwi do kostnicy uchyliły się i ukazał się w nich wysoki mężczyzna w mundurze pułkownika KGB.

– Wejdźcie - powiedział po angielsku.

Pułkownik KGB machnął palcem przed nosem Hollisowi, po czym odwrócił się i ruszył w głąb budynku. Sam i Lisa minęli, idąc za nim,

pogrążony w ciemności, umeblowany po staroświecku salonik i Hollis uświadomił sobie, że miejska kostnica służy także często jako dom pogrzebowy.

Weszli do chłodnej, wyłożonej białymi kaflami sali, czując zapach chemikaliów, których przeznaczenia można się było natychmiast domyślić.

Rosjanin pociągnął za wiszący w powietrzu sznurek i pod sufitem zapaliła się jarzeniówka. W jej migoczącym świetle ujrzeli białą emaliowaną lodówkę, podobną do tych, które spotykało się w Ameryce w latach pięćdziesiątych. Pułkownik podniósł bez zbędnych formalności pokrywę, odsłaniając leżące na oszronionej płycie nagie zwłoki mężczyzny.

Gregory Fisher miał powykrzywiane ręce i nogi i przekręconą na bok głowę. W otwartych oczach błyszczały zamrożone łzy, a między rozwartymi sinymi wargami widać było połamane zęby. Hollis zauważył, że pierś i twarz Fishera są głęboko pokaleczone i że nie zmyto z nich naleźycie krwi. Zadrapania i rany odznaczały się głęboką purpurą na tle białego ciała. Przyjrzał się uważnie jego twarzy. Można było w niej rozpoznać rysy przystojnego niegdyś dwudziestolatka. Zrobiło mu się nagle żal Gregory'ego Fishera, z którym czuł się coraz mocniej związany po każdym kolejnym przesłuchaniu taśmy. Zastanawiał się, czy bardzo go torturowali, zanim powiedział im o Dodsonie.

Pułkownik KGB podał mu paszport. Otworzył go na stronie, gdzie znajdowała się fotografia. Spojrzał na kolorowe zdjęcie przedstawiające uśmiechniętą opaloną twarz, po czym oddał paszport Lisie. Spojrzała na fotografię, a potem na trupa i kiwnęła głową.

Pułkownik zatrzasnął pokrywę lodówki i zaprosił ich gestem do niewielkiego kantoru, w którym stało porysowane brzożowe biurko i trzy nie pasujące do siebie krzesła. Wskazał im dwa z nich, po czym usiadł za biurkiem i zapalił stojącą na nim lampę.

– Pan zapewne nazywa się Hollis - powiedział po angielsku - a to musi być Lisa Rhodes.

– Zgadza się - odparł Hollis. - A pan jest pułkownikiem KGB. Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

– Burow - przedstawił się Rosjanin. - Zdajecie sobie sprawę, że w przypadku śmierci cudzoziemca, prawo sowieckie wymaga, żeby wszelkie formalności załatwiało KGB. Nie powinniście zatem przywiązywać żadnego szczególnego znaczenia do tego, że rozmawia z wami jego funkcjonariusz.

– Jeśli pan tak twierdzi...

Burow pochylił się nad biurkiem i wlepił oczy w Hollisa.

– Tak właśnie twierdzą. A czy ja powinienem przywiązywać jakieś szczególne znaczenie do faktu, że pojawił się tutaj właśnie pan, pułkowniku Hollis?

– Nie, nie powinien pan.

Hollis zdawał sobie oczywiście sprawę, że obaj kłamią. Kiedy tylko sowieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zorientowało się, że podanie o przepustkę złożył Hollis, a nie ktoś z sekcji konsularnej, powiadomiono o tym KGB. Komitet, zainteresowany tym, co knuje pułkownik, polecił mu wydać przepustkę. Prosta sprawa przekazania doczesnych szczątków przekształciła się w coś w rodzaju operacji kontrwywiadowczej. Hollis zastanawiał się, co mogłoby sprowokować KGB do zabicia ich dwojga. Najprawdopodobniej wycieczka do Borodina, gdyby o niej wiedzieli. Za to samo Fisher dostał się do stojącej w sąsiednim pokoju lodowej skrzyni.

– Przyjechaliście państwo parę godzin później, niż się was spodziewałem. Kazaliście mi czekać.

– Nie miałem pojęcia, że czeka na nas właśnie pan, pułkowniku.

– Och, niech pan sobie tego oszczędzi. Wiedział pan bardzo dobrze... a swoją drogą, jaka jest przyczyna waszego spóźnienia?

Hollis przyjrzał się w przyćmionym świetle Burowowi. Wysoki i dobrze zbudowany, liczący sobie nie więcej niż czterdzieści kilka lat, miał jasną cerę, błękitne oczy, żółte jak len włosy i grube, chłopięce wargi, które spotyka się często na północy, w okolicach Leningradu i w Finlandii. Wszystko to coraz bardziej utwierdzało go w przekonaniu, że w żyłach pułkownika płynie więcej krwi nordyckiej albo uralskiej niż słowiańskiej. Mógł mieć wśród swoich przodków jakiegoś Fina albo pozostawiła go w spadku niemiecka armia.

Wskazywałyby na to jego wiek, pomyślał. Gdyby Mosfilm potrzebował do jednego ze swoich niezliczonych wojennych filmów kogoś w typie nazistowskiej blond bestii, Burow świetnie by się do tego nadawał.

– Pułkowniku Hollis! Jaka jest przyczyna waszego spóźnienia?

– Wasze ministerstwo przetrzymało przepustki. Dlaczego wszystko trwa w tym kraju dwa razy dłużej niż gdziekolwiek indziej w cywilizowanym świecie? - zapytał ostro Hollis, pochylając się w stronę Burowa.

Twarz Rosjanina poczerwieniała.

– Co to, do diabła, znaczy?

– Zna pan bardzo dobrze angielski. Znaczy dokładnie to, co pan słyszy.

Lisę zaskoczył nieco agresywny ton Sama, ale domyśliła się, że chodziło mu o zepchnięcie pułkownika do defensywy w związku z jego pytaniem o przyczynę spóźnienia.

Burow oparł się o krzesło i zapalił papierosa Trojka o charakterystycznym owalnym przekroju. Zaciągnął się dwa razy i zwinięty z lichej bibułki i wypełniony słabo ubitym tytoniem papieros zgiął się pod wpływem gorąca. Burow machinalnie wyprostował go palcami.

– To nie było zbyt dyplomatyczne z pańskiej strony, pułkowniku. Sądziłem, że dyplomata dwa razy ugryzie się w język, niż powie coś obraźliwego o kraju, który udziela mu gościny.

Hollis popatrzył zniecierpliwiony na zegarek.

– Może to prawda, kiedy rozmawiają ze sobą dwaj dyplomaci. Ale ja wiem, kim pan jest, a pan wie, kim ja jestem. I jeśli kiedykolwiek jeszcze machnie mi pan palcem przed nosem, niech pan pamięta, że może go pan stracić. Ma pan jakieś dokumenty do podpisania?

Pułkownik wlepił wzrok w trzymany w ręku papieros i Hollis mógł się tylko domyślać, jakie myśli kłębią się pod jego czaszką. W końcu rzucił papieros na podłogę i rozgniół go obcasem.

– Jest dużo rzeczy do podpisania - powiedział.

– Nie wątpię.

Pułkownik otworzył zielony, leżący na biurku skoroszyt i wyciągnął z niego plik papierów.

– Sądzę, że zwłoki powinny być traktowane z większym szacunkiem - powiedziała Lisa.

Burow spojrzał na nią jak ktoś, kto nie zwykł rozmawiać z kobietami o sprawach zawodowych.

– Naprawdę? Dlaczego to *wierujuszcz* - użył rosyjskiego słowa oznaczającego wierzących - tak przejmują się cielesnymi szczątkami? Przecież dusza jest teraz w raju. Zgadza się?

– Skąd pan wie, że jestem wierząca?

– Mogłaby pani równie dobrze zapytać, skąd wiem, że mówi pani po rosyjsku, pani Rhodes. Czy mam zakładać, że jest pani tutaj, żeby napisać bardzo piękny artykuł na temat uroków samochodowej wycieczki po Związku Sowieckim? Czy też napisze pani o tym, jak szybko i sprawnie

można wysłać nieboszczyka z powrotem do Stanów w przypadku jakiegoś nieszczęścia?

Burow po raz pierwszy się uśmiechnął i Lisa poczuła, jak chodzą jej po plecach ciarki. Wzięła dyskretnie głęboki oddech.

– Żądam - powiedziała mocnym głosem - żeby ciało zostało dokładniej umyte i osłonięte.

– Czy nagie ciało młodego mężczyzny razi pani uczucia, pani Rhodes?

– Sposób, w jaki został rzucony, niczym kawał mięsa, do lodówki, razi moje uczucia, pułkowniku.

– Naprawdę? Cóż, mnie nie interesuje stan, w jakim znajdują się szczątki pana Fishera. Proszę to załatwić z urzędnikiem kostnicy.

Burow przesunął z pogardą jakieś papiery na biurku, jakby chciał dać im do zrozumienia, że nie zwykł zajmować się takimi drobiazgami.

Lisa udała, że nie słyszy dobrej rady Rosjanina.

– W jaki sposób, według pana, mamy przewieźć ciało na lotnisko? - zapytała.

– Urzędnik kostnicy zapewni aluminiową trumnę wypełnioną suchym lodem - odparł oschle Burow. - Tak jak to się dzieje w każdym cywilizowanym kraju. Wasz samochód to żiguli. Jak zamierzacie zmieścić w nim trumnę?

– Nie mamy zamiaru transportować zwłok sami. Pan zapewni nam odpowiedni pojazd i kierowcę. Tak jak to się dzieje w każdym cywilizowanym kraju.

Burow uśmiechnął się ponownie, tak jakby uznał Lisę za całkiem zabawną osobę. Przyjrzał się jej *watnikowi*.

– Ubraliście się oboje - skomentował - jakbyście sami mieli zamiar nieść trumnę i wykopać grób. W porządku, coś załatwimy. Czy mogę obejrzeć wasze przepustki i paszporty?

Sam i Lisa wręczyli mu swoje dokumenty. Burowa bardzo zainteresowały wize w paszporcie Hollisa i wcale się nie krępując, spisał stamtąd daty wjazdu i wyjazdu z kilkunastu krajów, które odwiedził pułkownik.

Burow coraz bardziej intrygował Hollisa. Facet mówił wyjątkowo dobrze po angielsku - potrafił się szybko odgryźć, a także powiedzieć coś obraźliwego albo sarkastycznego. Rosjanie kontaktujący się z cudzoziemcami, zwłaszcza z ludźmi z Zachodu, byli na ogół uprzejmi, a jeśli nie, to po prostu szorstcy i gruboskórni - w każdym razie nie tak agresywni jak Burow. Hollis domyślał się, że pułkownik musi mieć wiele do czynienia z ludźmi mówiącymi po angielsku i jest prawdopodobnie absolwentem Instytutu Studiów Amerykańskich i Kanadyjskich w Moskwie, uczelni, której mury opuściło tyle samo agentów KGB, co dyplomatów i naukowców. Oglądał czasami tych przyznanych Rosjan w amerykańskiej telewizji, kiedy, posługując się nienaganną angielszczyzną, wyjaśniali stanowisko ich kraju, poczynawszy od przestrzegania praw ludzkich aż po odpowiedź na pytanie, dlaczego sowiecki myśliwiec strącił wypełniony ludźmi samolot pasażerski.

Chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej o Burowie, ale wątpił, żeby Alevy i w ogóle ktokolwiek w ambasadzie miał jakiekolwiek informacje na jego temat. Zresztą nazwisko, w przeciwieństwie do munduru i stopnia, było z pewnością zmyślane. Użycie fałszywego nazwiska to jedno; zstąpienie w dół w hierarchii to coś zupełnie innego.

– Skończył pan już z moim paszportem? - zapytał Burowa.

Ten zrobił kilka ostatnich notatek, po czym oddał im paszporty, zatrzymując jednak przepustki.

– Sprawa pierwsza. Samochód ofiary wypadku został kompletnie zniszczony - powiedział, wręczając Hollisowi kartkę papieru - i znacznie

ułatwi nam to sprawę, jeśli podpisze pan dokument, w którym zrzeka się wszelkich roszczeń finansowych.

– Chcę go zobaczyć - oznajmił Hollis.

– Dlaczego?

– Żeby sprawdzić, czy nie przedstawia jakiejś wartości.

– Zapewniam pana, że nie przedstawia żadnej. Poza tym samochód został przewieziony do Moskwy. Jeśli pan sobie życzy, zawiadomimy ambasadę o miejscu, w którym się znajduje. Podpisuje pan?

Hollis rzucił okiem na sporządzony w języku rosyjskim i angielskim dokument. Widniało na nim mnóstwo liczb wykazujących czarno na białym, że wysyłka samochodu ze Związku Sowieckiego kosztowałaby o wiele więcej, niż wynosi jego obecna wartość. W rzeczywistości chodziło o to, żeby dać do zrozumienia Amerykanom, że pontiaca z całą pewnością nie uda się wywieźć do Stanów i dać do przebadania specjalistom z FBI. Oddał dokument, nie podpisując go.

– Podejmę decyzję po obejrzeniu samochodu - powiedział.

Burow pchnął kartkę z powrotem w jego stronę.

– W takim razie proszę zaznaczyć to na dokumencie, żebyśmy mogli przejść dalej.

Hollis poczuł, że zapowiada się długa noc. Rosjanie, jeśli już się do czegoś zabiorą, są cierpliwi i drobiazgowi. Sporządził notatkę na dokumencie, ale nie zwrócił go pułkownikowi.

– Chcę dostać kopię - powiedział.

– Oczywiście - odparł Burow, wręczając mu niewyraźną kserokopię dokumentu i odbierając jednocześnie oryginał.

Lisa nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Hollis i Burow wielokrotnie już załatwiali podobne sprawy. Dyplomatyczny protokół, targowanie się o każdy detal, stroszenie piórek, blef i poza. Nie miało znaczenia, czy

chodziło o przekazanie zwłok, czy o atomowe rozbrojenie. Mężczyźni, pomyślała, uwielbiają prowadzić rokowania.

– Sprawa druga - oświadczył Burow. - Spis rzeczy znalezionych przy zwłokach i w samochodzie. Umieściliśmy je w specjalnym pojemniku i możemy wysłać na koszt ambasady pod domowy adres zmarłego.

Wręczył Hollisowi spis. Hollis pochylił się razem z Lisą nad kartką i wspólnie przeczytali sporządzoną po rosyjsku listę. Wydawała się bardzo dokładna i poza ubraniem i bagażem obejmowała dwa zegarki, szkolną obrączkę, aparat fotograficzny, a także długopisy, maszynki do golenia i pocztówki, które miały prawdopodobnie służyć jako drobne prezenty. Najwyraźniej nikt sobie niczego nie przywłaszczył.

To mogło oznaczać, że chłopci, miejscowa milicja i pracownicy kostnicy opływają we wszelkie zachodnie dobra albo, co bardziej prawdopodobne, że cała operacja od samego początku przeprowadzona została pod nadzorem KGB.

– Kremów oraz innych przedmiotów znalezionych w bagażniku - powiedział Burow - nie umieściliśmy w kontenerze, ponieważ są łatwopalne. Jak pan widzi, w samochodzie znajdowały się również owoce i warzywa, których przywozu zabraniają amerykańskie przepisy celne. Z przyjemnością prześlemy kosmetyki i produkty rolne do ambasady amerykańskiej. Właściwie możecie je zabrać ze sobą. Gruszki wyglądają całkiem dobrze.

– Gruszki zostawiam panu, pułkowniku. Może pan je posmarować kremem i wepchnąć sobie w de.

– Gdzie mam je wepchnąć?

Hollis nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego rozmówca zna wystarczająco dobrze angielski, żeby doskonale wiedzieć gdzie.

– Wszystkie vouchery Intouristu zostaną z powrotem wymienione na walutę - ciągnął dalej, wzruszając ramionami, Burow - i przesłane do ambasady w formie czeku wystawionego przez któryś z zachodnich banków, w celu przekazania najbliższemu krewnemu pana Fishera. Mam tutaj także sześćset osiemdziesiąt dolarów w czekach podróży American Express, siedemdziesiąt dwa dolary w gotówce oraz drobne sumy w walutach europejskich, które gotów jestem wam przekazać obecnie. A także trzydzieści dwa ruble i siedemdziesiąt osiem kopiejek.

Hollis przypomniał sobie zarejestrowany na taśmie głos Fishera. „Dałem mu mapy i pieniądze”. I stwierdzenie Francuzki, że pożyczyła Fisherowi dwie kopiejki. Doszedł do wniosku, że nie chcąc budzić niepotrzebnych podejrzeń, Burow wrzucił po prostu do portmonetki Fishera rosyjskie pieniądze.

– Nie widzę na tej liście żadnych map - stwierdził.

Pułkownik nic nie odpowiedział.

– Fisher z całą pewnością miał mapy - nalegał Hollis, przyglądając się bacznie Rosjaninowi. - Może ktoś je zabrał.

Burow machnął lekceważąco ręką.

– Ich wartość pieniężna jest z pewnością niewielka.

– Tak czy owak założę się, że chciałby pan wiedzieć, gdzie się teraz znajdują, pułkowniku Burow.

Burow zmierzył go uważnym spojrzeniem i Hollis domyślił się, że Dodson, żywy czy umarły, nie wpadł na razie w łapy KGB.

– Jeśli mapy odnajdą się w jakiś sposób w amerykańskiej ambasadzie - ciągnął dalej - nie omieszkam pana zawiadomić.

Pułkownik wyduł wargi, jakby rozważał w myśli tę ewentualność i uznał ją za wysoce niesympatyczną.

– Założę się - powiedział - że znajdziemy te mapy przed wami.

– Przyjmuję zakład. Jaka jest stawka?

– Bardzo wysoka, pułkowniku Hollis.

Hollis kiwnął głową. Gdyby Dodsonowi udało się dotrzeć do ambasady albo do któregoś z zachodnich reporterów w Moskwie, jego opowieść skutecznie zamroziłaby na dziesięć lat wszelkie stosunki sowiecko-amerykańskie.

Burow domyślał się chyba, co zaprzęta myśli Amerykanina.

– Stawką jest pokój - dodał, jakby nie chciał pozostawiać żadnych niedomówień.

– W istocie - potwierdził Hollis.

– W naszym posiadaniu jest znaleziony w samochodzie naświetlony film - stwierdził Burow, przystępując do dalszego ciągu formalności. - Wywołamy go i prześlemy odbitki do ambasady. Rozumiecie, że KGB nie może wypuścić z rąk naświetlonego filmu, nie rzuciwszy nań przedtem okiem.

Hollis podniósł wzrok i zobaczył, że Rosjanin szczyrzy zęby, ubawiony swoim własnym miernym dowcipem.

– Nie widzę w tym nic zabawnego - powiedział. - Zginął młody człowiek.

Pułkownik uśmiechał się dalej i Hollis miał ochotę trzasnąć go w te wydatne, czerwone wargi. Lisa zaczęła coś mówić, ale Sam położył jej rękę na ramieniu.

– A klucz i *propusk* zwróćcie oczywiście w recepcji hotelu „Rossija” - powiedział do Burowa.

– Nie było żadnego *propusku* ani klucza, pułkowniku Hollis. Gregory Fisher w ogóle nie dojechał do Moskwy.

– Wie pan, że to zrobił. I my wiemy to także.

Papierkowa robota i wzajemne uszczypliwości ciągnęły się przez kolejne pół godziny. Nagle Burow odchylił się w krześle.

– Spacerowaliście po lesie - stwierdził.

Hollis uniósł wzrok znad papierów.

– Zbieraliśmy grzyby - odparł.

– Naprawdę? Prawdziwi z was Rosjanie. Potrafi pan odróżnić jadalne od trujących?

– Chyba tak. Wciąż żyję.

Burow roześmiał się, szczerze ubawiony dowcipem, a potem pochylił nad biurkiem.

– Czy mógłbym zobaczyć, coście znaleźli? - zapytał, nie przestając się uśmiechać. - Sam też uwielbiam zbierać grzyby.

– Obawiam się, że nie mieliśmy zbyt wiele szczęścia.

– Chyba nie próbowaliście ich zbierać w sosnowym lesie?

Hollis domyślił się, że Rosjanin musiał zauważyć kilka igieł na jego ubraniu albo poczuł zapach żywicy. Mógł też mieć bardziej konkretne informacje. Trudno było stwierdzić, co ci ludzie wiedzą na pewno, a czego się tylko domyślają. Posiadali zbyt wiele informacji o każdym urzędniku ambasady, łącznie z pracownikami niższego szczebla, takimi jak Lisa. Nie można było tego samego powiedzieć o Hollisie, który wiedział bardzo mało na temat interesujących go Rosjan, a już zupełnie nic o pułkowniku Burowie. Stawiało go to w wyraźnie gorszej sytuacji.

– Znajdzie pan nam teraz kierowcę i ciężarówkę - powiedział wstając. - Chcielibyśmy jechać już na lotnisko.

Burow nie ruszył się z krzesła.

– O tej porze to niemożliwe - powiedział. - Będziecie musieli spędzić tutaj noc.

– Chce mi pan powiedzieć - zapytał z sarkazmem Hollis - że pułkownik KGB nie jest w stanie załatwić ciężarówki i kierowcy, bo minęła szósta po południu?

– Chcę powiedzieć, pułkowniku Hollis, że w tym kraju cudzoziemcom nie wolno jeździć nocą bez eskorty. Obejmuje to również dyplomatów.

– W takim razie proszę nam dać eskortę.

– A po drugie - ciągnął dalej Burow - kiedy podjechał wasz samochód, zauważyłem, że macie niesprawne tylne światła i stopy. Musicie to rano naprawić. Niestety w Możajsku nie ma żadnego warsztatu ani hotelu. Ale dwa kilometry stąd jest sowchoz - państwowe gospodarstwo rolne. W budynku zarządu są pokoje gościnne. Jest tam również mechanik. Napiszę do nich w tej sprawie list i jestem pewien, że z przyjemnością udzielą wam gościny.

Hollis zerknął na Lisę.

– Widzę, że nie mamy żadnego wyboru - powiedział. - Ale chcę, żeby jutro o ósmej rano czekała tutaj na mnie ciężarówka z kierowcą.

Burow roześmiał się.

– To nie jest Ameryka, a ja nie jestem amerykańskim bossem, lecz skromnym pułkownikiem służby bezpieczeństwa. Możecie się spodziewać kierowcy między dziewiątą a dziesiątą. - Schował papiery do swojej teczki, po czym dopisał coś na przepustkach Lisy i Sama. - Są teraz ważne do jutra, do godziny dwunastej w południe i upoważniają was także do przejazdu do sowchozu. Jutro w południe musicie się więc znaleźć w granicach miasta Moskwa - powiedział, wskazując ręką drzwi.

– Chcę zatelefonować do mojej ambasady - oznajmił Hollis.

– Wątpię, żeby był tu jakiś telefon. Proszę za mną - odparł Burow. Zgasił światło w kantorze i poprowadził ich z powrotem na dwór przez pogrążoną w mroku kostnicę. Na ganku pokazał im, jak dojechać do sowchozu.

– Nad drogą prowadzącą do gospodarstwa zobaczycie dużą drewnianą tablicę z napisem: „Czterdzieści lat Wielkiego Października. Zakład hodowli i przetwórstwa rolnego”. Potraficie oczywiście czytać po rosyjsku.

Hollis domyślał się, że nazwa musi mieć coś wspólnego z Wielką Rewolucją Październikową, ale tyle było konstrukcji składających się ze słów Czerwony, Październik, Rewolucja i Wielki, że kusilo go, żeby skomponować z nich coś własnego.

– Czerwona hodowla... czego? - zapytał.

Lisa stłumiła śmiech.

– Czerwony Październik... - odparł oschle pułkownik.

– Nie, czterdzieści lat Wielkiego Października...

– Co to, do licha, znaczy?

– Skąd mam wiedzieć? - warknął Burow. - Sowchoz założony został prawdopodobnie w czterdziestą rocznicę rewolucji październikowej. - Zmierzył wzrokiem Hollisa. - Wydaje wam się, że tacy jesteście mądrzy? Tacy gładcy i zadowoleni z siebie? Jeszcze zobaczymy, kto kogo... - zorientował się, że dał się sprowokować i opanował się. - Jestem pewny, że z łatwością znajdziecie sowchoz. W budynku administracyjnym śpi starsze małżeństwo. Pukajcie głośno.

– Gdzie możemy znaleźć telefon? - zapytała Lisa.

– W sowchozie. I prysznic, żeby mogła pani zmyć z siebie tę żywicę - powiedział, dotykając palcem lepiącej się plamy na jej dłoni.

Lisa gwałtownie cofnęła rękę.

Pułkownik podszedł do ich samochodu i przyjrzał się jego tablicom rejestracyjnym.

– Wynajęty samochód?

– Nie było akurat wolnych wozów w ambasadzie.

– Nawet jeśli to prawda, pułkownik Hollis, nie wolno panu prowadzić tego samochodu.

– Niech pan się nie czepia drobiazgów, pułkownik. To chyba nie w pana stylu.

Burow obszedł samochód dookoła.

– Ten samochód używany był w bardzo ciężkich warunkach... błoto... sosnowe gałązki... - Zdjął pęk igieł z chromowanego zderzaka i przekreślił je w palcach. - A drzwi i błotniki są świeżo obtarte. Będziecie musieli za to zapłacić. Gdzie go wynajęliście?

– Wynajęli go dla mnie moi ludzie.

– Czy mogę zobaczyć papiery z biura wynajmu?

– Nie.

– Nie?

– Nie. - Hollis otworzył drzwi od strony kierowcy. - Dobranoc, pułkownik Burow.

Lisa wsiadła do samochodu z drugiej strony, ale Rosjanin przytrzymał drzwi tak, że nie mogła ich zamknąć.

– W okolicach Możajska są trzy miejsca godne zwiedzenia - powiedział. - Sobór Nikołajewski, ruiny monasteru Łużeckiego i Borodino. Jeśli ranne z was ptaszki, zaliczycie wszystkie trzy. Borodino szczególnie interesuje gości z Zachodu z powodu *Wojny i pokoju*.

– Nie interesują mnie pola bitew - odparł Hollis.

– Nie? Obawiam się, że my bardzo je lubimy. Zbyt wiele wojen przetoczyło się przez ten kraj. Wciąż musimy dawać komuś nauczkę.

– Nie sądzę, żeby którakolwiek ze stron nauczyła się czegokolwiek pod Borodinem - zauważył niedyplomatycznie Hollis.

Burow spojrzał na niego z uśmiechem.

– Musi pan na nowo nauczyć się historii. Pod Borodinem Rosjanie odnieśli wielkie zwycięstwo.

Hollis przyjrzał się stojącemu po drugiej stronie samochodu Burowowi. Przyszło mu do głowy, że największa słabość sowieckiego systemu leży nie w sferze ekonomii, polityki bądź wojska, ale informacji. Sowieckie fakty zastąpiły prawdę i rzeczywistość.

– Jeśli nie ma pan nic więcej, proszę puścić drzwi pani Rhodes - powiedział.

Rosjanin odsunął się na bok, nie zamykając drzwi. Lisa zatrasnęła je i zablokowała.

– Nie zgubcie się - zawołał, stojąc na chodniku. - I jedźcie ostrożnie. Nie mamy w lodówce miejsca na dwa dodatkowe ciała!

– Może mnie pan pocałować w dupę, pułkowniku - odparł Hollis.

– Pan również, pułkowniku.

A potem, ponieważ obaj znali dobrze reguły gry, podnieśli jak na komendę dłonie w wojskowym salucie i życzyli sobie dobrej nocy.

.11.

Ruszając spod kostnicy, Hollis zobaczył w tylnym lusterku czarną czajkę. Przemierzał powoli ciche, pogrążone w mroku ulice Możajska. Czajka jechała za nim.

– Pułkownik Burow okazał się nieprzyjemnym sukinsynem - powiedziała Lisa.

– Musiał pokłócić się rano ze swoją żoną.

– Czy wiedział coś o naszej wycieczce do Borodina?

– Dokonał prawidłowej dedukcji. Ale niedługo, kiedy odnajdą ciała dwóch strażników, pozbędzie się wszelkich wątpliwości.

– Czy będzie próbował nas za to zabić?

Hollis zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, nie za to - odparł. - Burow jest na to za mądry.

– Ale za to, co widzieliśmy.

– Być może. Mówiłem ci już w Moskwie, że bardzo trudno jest przewidzieć reakcje tych ludzi. Naszą najlepszą obroną jest postępować tak jak oni.

– Co oznacza, że nie powinniśmy jechać do sowchozu.

– Dokładnie.

– Damy radę wrócić do Moskwy?

– Nie mamy najmniejszej szansy. - Hollis ponownie zerknął w lusterko. - Mamy, jak to się mówi, towarzystwo.

Lisa kiwnęła głową.

– Więc znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będziemy sami.

Hollis uśmiechnął się. Wjechał na rondo, które stanowiło centrum Możajska. Stało wokół niego kilka piętrowych drewnianych i murowanych budynków i paliły się latarnie, ale nic poza tym nie wskazywało, że miasteczko jest zamieszkane. Główną ulicę Możajska stanowiła stara szosa Mińsk - Moskwa i Hollis ruszył nią na zachód w stronę sowchozu. Czajka jechała za nim. Zastanawiał się, czy w środku siedzą Borys i Igor.

Wyboista asfaltowa droga skręciła w bok od rzeki Moskwa i wkrótce znaleźli się na kompletnym pustkowiu, pośród bezkresnej rosyjskiej równiny. Poza reflektorami czajki w tylnym lusterku nie widać było ani jednego światła.

- Jaki samochód jest szybszy? - zapytała Lisa. - Czajka czy żiguli?
- Nie pytaj.
- Nie masz już przy sobie żadnej broni, prawda?
- Nie.
- Mogą nas tutaj bardzo łatwo zabić.
- Nie tak łatwo.
- Może chcą po prostu sprawdzić, czy jedziemy do sowchozu.
- Może.

I rzeczywiście Hollis nie potrafił powiedzieć, co knują. Żałował teraz, że wyrzucił pistolet, ale w Związku Sowieckim był przestępcą, a przestępcy pozbywają się dowodów rzeczowych. Gdyby agenci z czajki znaleźli przy nim tokariewa, KGB oskarżyłoby go o morderstwo i niewiele by mu pomógł jego immunitet. Mogli także, co bardziej prawdopodobne, zastrzelić go na miejscu. Z drugiej strony, mając pistolet, mógłby przynajmniej próbować się bronić.

Lisa spojrzała na wypchaną papierami i czekami podróżnymi kopertę, którą dał im Burow.

– Nawet jeśli zamordowali tego chłopca, bardzo dbają o to, żeby z formalnego punktu widzenia wszystko było w porządku.

– Tylko kiedy im to pasuje. Nie odniosłaś wrażenia, że pułkownik Burow bardzo się przejmował losem majora Dodsona?

– Tak. Major Dodson wciąż gdzieś tutaj jest z mapami i rublami Gregory'ego Fishera.

– Zgadza się. I jeżeli uda mu się dotrzeć do ambasady, dokąd, jak podejrzewam, się kieruje, wtedy na głowy zwali nam się niezłe szambo i zapaskudzi wszystko stąd aż do Waszyngtonu. Za tydzień wszyscy będziemy w domu, a obowiązki charge d'affaires przejmie nocny portier.

Lisa nie odpowiedziała.

Trzy kilometry za miastem zauważyli drogę do państwowej farmy i zawieszoną między dwoma słupami, wielką drewnianą tablicę. Pod wypisaną dużymi literami nazwą sowchozu widniało pobudzające wyobraźnię hasło: „Wykonamy zadania, które postawił przed nami Komitet Centralny”.

– Cóż, współniku, witaj na Październikowym Ranczu Wielkiej Czerwonej Rewolucji - powiedziała Lisa.

Sam uśmiechnął się z przymusem i skręcił na wysypaną żwirem drogę. Po jakimś czasie zobaczyli wzniesione z surowych desek zabudowania, obok których stały szopy z blachy falistej i dwupiętrowy dom z betonu. Hollis domyślił się, że to budynek komunalny, miejsce, w którym pod jednym dachem mieszkają razem z rodzinami stali pracownicy, a także osoby samotne, pracownicy sezonowi i mechanicy.

Z tego, co wiedział, sypialnie były tam osobne, ale kuchnie, jadalnie i łazienki wspólne. Było coś z *Nowego wspaniałego świata*, pomyślał, w tych postawionych w szczerym polu blokach z wielkiej płyty, coś nienaturalnego

w ludziach, którzy uprawiając ziemię nie posiadali ani kawałka własnego ogródka i wchodzili po schodach do przydzielonego im mieszkania.

Lisa obejrzała się do tyłu.

– Widzę światła czajki - zakomunikowała. - Właśnie skręca w naszą drogę... Teraz wyłączyli reflektory.

Hollis minął budynek komunalny i zauważył mały murowany domek, w którym, wedle słów Burowa, miała się mieścić administracja.

Zgasił światła, minął domek i jechał dalej.

– Myślisz, że to pułapka? - zapytała Lisa.

– Całkiem możliwe.

– Co teraz zrobimy?

– Nasz mały żiguli - odparł Hollis - nie miał wielkich szans na asfalcie, ale tutaj, na tych polnych drogach, możemy się trochę pościgać.

– Czy to kolejne naruszenie marszruty podróży?

– Całkiem możliwe.

Panowały prawie egipskie ciemności, ale Hollis potrafił odróżnić wysypane żwirem i polne drogi od graniczącego z nimi słynnego rosyjskiego czarnoziemiu. Jechał teraz szybciej, wciskając hamulec i skręcając w lewo lub w prawo na każdym skrzyżowaniu. Pozbawiony wszelkich świateł żiguli był prawie niewidoczny.

– Zgubiliśmy czajkę - oznajmił po piętnastu minutach kluczenia. - Niestety przy okazji zgubiliśmy się sami.

– Bez żartów?

– Zauważyłaś może gdzieś po drodze jakiś Holiday Inn?

– Daleko stąd. Jakieś dwa lata i dziesięć tysięcy kilometrów za nami. Muszę przyznać, Sam, że z tobą naprawdę trudno się nudzić. Pozwolisz, że następnym razem to ja ci fundnę lunch. Dobrze?

– Cieszę się, że nie opuszcza pani poczucie humoru, pani Rhodes, mimo że dowcipy nie zawsze są najwyższego lotu. Ja twierdzę, że lepiej się zgubić, niż zginąć. Moim zdaniem powinniśmy się schować w jakiejś szopie i przeczekać do świtu.

Lisa wyłączyła ogrzewanie i opuściła szybę.

– Temperatura jest koło zera, a minęła dopiero dziewiąta.

– Rzeczywiście jest trochę rześko. Masz długie kalesony?

– Musimy znaleźć jakieś schronienie, Sam. - Przez chwilę się zastanawiała. - Moim zdaniem wyjechaliśmy już z tego sowchozu. Gdyby tylko udało nam się znaleźć jakiś kołchoz... to jest spółdzielcze gospodarstwo rolne... moglibyśmy znaleźć chłopą, który przenocowałby nas za parę rubli, nie zadając żadnych zbędnych pytań.

– Nie zadając żadnych pytań? W Rosji?

– Kołchoz to co innego niż sowchoz. W kołchozowej wiosce zobaczysz, na czym polega prawdziwa rosyjska gościnność. Jestem przekonana, że nic nikomu nie powiedzą.

– Nigdy przedtem nie byłaś na prowincji. Skąd wiesz, że chłopci będą do nas przyjaźnie nastawieni?

– Instynkt.

– Naczytałaś się za dużo dziewiętnastowiecznych rosyjskich powieści. - Wzruszył ramionami. - Dobrze. Zdaję się w tej sprawie na ciebie. Twoje marzenie - dodał - żeby zobaczyć prawdziwą rosyjską wioskę, spełni się szybciej, niż myśleliśmy.

Wysypana żwirem droga przeszła w polny trakt, głęboko zryty koleinami. Po piętnastu minutach jazdy na zachód zobaczyli na horyzoncie słupy elektryczne, dojechali do nich i wkrótce minęli pierwszą chatę. Po obu stronach polnej drogi pojawiły się drewniane zabudowania i Hollis przyhamował.

– Nie widzę żadnych świateł.

– Jest już po dziewiątej, Sam - odparła. - O tej porze wszyscy śpią. To chłopci. Nie jesteśmy w Moskwie.

– Święta prawda. W Moskwie gaszą światło o dziesiątej.

Zatrzymał samochód i wyjrzał przez okno.

– Mam wrażenie, że skręciliśmy w ubiegłe stulecie - powiedział.

Zgasił silnik i jakiś czas przysłuchiwali się martwej ciszy. Po chwili wysiadł z samochodu i przyjrzał się zabudowaniom. Jak większość rosyjskich wsi kołchoz był zelektryfikowany, ale nie było widać drutów telefonicznych. Nie dostrzegł także ani jednego pojazdu bądź pomieszczenia, które mogłoby służyć jako garaż. Nie wydawało się również, żeby ktokolwiek w wiosce miał konia. Była całkowicie odcięta od świata.

– Nie pokazują takich przysiółków zagranicznym dyplomatom - powiedział do Lisy, która wysiadła tymczasem z samochodu.

W oknie pierwszej chaty zapaliło się światło, a za nim następne. Drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich mężczyzna.

– Ty z nimi rozmawiaj - szepnął Hollis, zwracając się do Lisy.

Mężczyzna zbliżył się do nich. Mógł liczyć, według Hollisa, od czterdziestu do sześćdziesięciu lat, na nogach miał filcowe walonki i widać było, że ubierał się w pośpiechu.

– Witajcie - powiedziała po rosyjsku Lisa. - Jesteśmy amerykańskimi turystami.

Mężczyzna nie odpowiedział. Otworzyły się kolejne drzwi i więcej ludzi wyszło na polną drogę. Hollis rozejrzał się. Po każdej stronie traktu stało może z dziesięć chat, a w głębi widać było zagrody dla świń i kurniki. Wszystkie przydomowe ogródki były otoczone płotem, a w rogu każdego stała wygodka. Przy drodze, nie dalej jak dziesięć metrów od Hollisa, stała

studnia, a obok niej ręczna pompa. Cały przysiółek sprawiał wrażenie kompletnie zaniedbanego; w porównaniu z nim wioski niedaleko Moskwy mogły się wydawać oazami dobrobytu.

Sama, Lisę i żiguli otaczał teraz tłum liczący około pięćdziesięciu osób - mężczyźni, kobiety i dzieci.

- Powiedz im - powiedział po angielsku Hollis - że przybywamy z przesłaniem pokoju z planety Ziemia i że chcemy, żeby zaprowadzili nas do swojego wodza.

Spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem i obawą.

- Mamy kłopoty z samochodem - zwróciła się do mężczyzny, który zbliżył się do nich pierwszy. - Czy moglibyście nas przenocować?

Chłopi popatrzyli po sobie. Zdziwiałe było, pomyślał Hollis, że żaden z nich nie odezwał się dotąd ani słowem.

- Chcecie kwatery? Tutaj? - wykrztusił z siebie w końcu pierwszy chłop.

- Tak.

- Jest tutaj niedaleko sowchoz. Teraz po żniwach będą mieli wolne pokoje.

- Nie sądzę, żeby udało nam się tam dojechać - powiedział Hollis. - Macie może telefon albo jakiś pojazd?

- Nie. Ale mogę tam posłać chłopaka na rowerze.

- Proszę się nie fatygować - odparł Hollis z uprzejmością, która zdawała się zdumiewać mężczyznę. - Moja żona i ja wolelibyśmy raczej pobyć razem z prostymi ludźmi, z narodem.

Na słowo naród mężczyzna uśmiechnął się. Hollis przyjrzał się uważniej otaczającym go chłopom. Byli nieokrzesanymi ludźmi o twardej jak podeszwa skórze, której kolor zlewał się z barwą ziemi, na której stali. Ich ubrania niewiele różniły się od łachmanów, a pikowane *watniki* nie były tak czyste i elegancko skrojone jak Lisy. Mężczyźni nie golili się od dobrych

kilku dni, a kobiety były otyłe i miały wymizerowane twarze - kombinacja, którą spotkać można tylko w Rosji. Kiedy otworzyli usta, widać było, że powypadała im albo poczerniała połowa uzębienia. Hollisa dobiegał kwaśny fetor przepoconego ubrania zmieszany z odorem różnych gatunków wódki. Mój Boże, pomyślał, niemożliwe, żeby ludzie żyli w takich warunkach.

– Może to nie był najlepszy pomysł - powiedziała Lisa po angielsku. - Chcesz jechać dalej?

– Za późno - odparł. - Chcemy zapłacić panu za nocleg - zwrócił się do mężczyzny.

Chłop pokręcił głową.

– Nie, nie. Ale możecie kupić u mnie trochę masła i sałaty, żeby sprzedać to z zyskiem w Moskwie.

– Dziękuję. Przystawię samochód, żeby nie blokował drogi - odparł Hollis. - Zaprzyjajnij się z nimi - szepnął do Lisy.

Wsiadł do samochodu i wycofał go aż do stogu siana, który zobaczył wcześniej. Zostawił żiguli w miejscu, w którym nie było go widać z drogi, zabrał swoją teczkę i wysiadł. Kiedy wrócił, Lisa rozmawiała z dziesięcioma ludźmi naraz.

– Nasz gospodarz nazywa się Paweł Fiodorowicz - szepnęła Hollisowi po angielsku - a jego żona Ida Agariwna. Wszyscy są pod wrażeniem twojego rosyjskiego.

– Powiedziałaś im, że nazywasz się Putiatowa, jesteś księżną i możesz zostać ich dziedziczką?

– Nie bądź przykry, Sam.

– Dobrze.

– Dowiedziałam się także, że wieś nazywa się Jabłonia i należy do dużego kołchozu o nazwie Krasnoje Płomie... Czerwony Płomień. Centrum

administracyjne kołchozu znajduje się pięć kilometrów dalej na zachód. Nikt tam nie mieszka, ale w ośrodku maszynowym jest telefon. Rano będą tam mechanicy i pozwolą nam zadzwonić.

– Bardzo dobrze. Mianuję cię kapitanem - powiedział Hollis. Nazywam się Joe Smith - przedstawił się mieszkańcom wioski. - Możecie mi mówić Josif.

Paweł zaczął przedstawiać członków około dwudziestu zamieszkujących wioskę rodzin, wśród nich swego wyglądającego na szesnaście lat syna Michaiła i mniej więcej o rok starszą córkę Zinę. Wszyscy przedstawieni uśmiechali się, a niektórzy starsi zdejmowali z głów czapki i nisko się kłaniali - starodawnym rosyjskim gestem wyrażającym szacunek. Hollis chciał jak najszybciej zejść z drogi na wypadek, gdyby pojawiła się na niej czarna czajka.

– Moja żona jest zmęczona - poinformował Pawła.

– Tak, tak. Chodźcie za mną - powiedział chłop, prowadząc Sama i Lisę do swojej chaty. Hollisa uderzyło, że ani on, ani jego żona nie pytają się o bagaż. Być może domyślali się, że ich goście przed kimś uciekają. Albo uznali, że za cały bagaż starczy jego teczka.

Weszli do pierwszego pomieszczenia, którym była kuchnia. Wokół opalanego drewnem pieca, który służył jednocześnie do gotowania i ogrzewania, suszyło się sześć par filcowych walonek. W kącie stał sosnowy stół i krzesła, na ścianach wisały kuchenne sprzęty, a o przeciwległą ścianę oparte były dwa zabłocone rowery.

Dziwnym dysonansem wydawała się w tym wnętrzu biała lodówka, podłączona do gniazdka umieszczonego pod sufitem tuż obok gołej żarówki. Na drugim stole, między piecem a lodówką, stała wypełniona brudnymi talerzami miednica. Hollis zauważył stojącą na podłodze otwartą

beczułkę kaszy i przypomniał sobie chłopski dwuwiersz: *Szczi da kasza piszczu nasza*. Kapuśniak i kasza to nasze jedzenie.

Paweł odsunął od stołu dwa krzesła.

– Siadajcie, siadajcie.

Sam i Lisa usiedli.

– Wódka. Filiżanki! - zawołał do żony Paweł.

Otworzyły się drzwi i do środka weszli mężczyzna i kobieta, razem z kilkunastoletnią dziewczynką i młodszym od niej chłopcem. Kobieta postawiła na stole półmisek pokrojonych ogórków i cofnęła się razem z dziećmi pod ścianę. Mężczyzna usiadł obok Hollisa i uśmiechnął się. Po chwili do kuchni weszła kolejna rodzina i cała scena powtórzyła się od nowa. Wkrótce pod wszystkimi ścianami stanęły kobiety ze skrzyżowanymi na piersiach grubymi rękami niczym syjamscy służący gotowi spełnić każde życzenie biesiadników. Dzieci siedziały na podłodze u ich stóp. Ida dała niektórym dzieciom kisielu - gęstego napoju sporządzonego ze zmieszanego z mąką ziemniaczaną gruszkowego soku. Mężczyźni, których było teraz około piętnastu, zasiedli wokół stołu na przyniesionych przez dzieci krzesłach. Pojawiła się wódka, a ktoś wyciągnął zza pazuchy armeński koniak. Wszyscy trzymali w rękach poszczerbione i niezbyt czyste filiżanki. Na stole stanęły *zakuski* - rosyjski ekwiwalent tego, co podaje się podczas koktajli - w większości pokrojone jarzyny, półmisek jaj na twardo i solona ryba. Hollis wychylił swoją drugą wódkę.

– Czy to znaczy, że mamy ich wszystkich zaprosić w rewanżu na koktajl? - zapytał po angielsku Lisę.

– Uwielbiam takie rzeczy - powiedziała wzruszona. - To niezapomniane przeżycie.

Hollis namyślał się przez chwilę.

– Tak, masz rację - odparł. Odstawił swoją filiżankę, do której ktoś natychmiast nalał kolejną porcję pieprzówki.

Zauważył, że nie mówiono wiele - w większości były to prośby o podanie półmiska lub butelki. Z początku odór otaczających go ludzi był nie do wytrzymania, ale po czwartej wódce nie przeszkadzał mu już tak bardzo.

– Wiem już, dlaczego piją.

– Dlaczego?

– To zabija powonienie.

– A także uśmierza ból - skarciła go Lisa. - Wprowadza w odrętwienie umysł i ciało i w końcu zabija ich. Myślisz, że różnilibyśmy się od nich, gdybyśmy urodzili się w tej wiosce?

Hollis przyjrzał się płaskim brązowym twarzom, wynędzniałym ciałom, pustym oczom i dłoniom, w które wżarła się matka ziemia.

– Nie wiem. Wiem tylko, że dzieje się tutaj coś strasznie niewłaściwego. Widziałem azjatyckich wieśniaków, którzy mieszkali i wyglądali lepiej od nich.

Lisa skinęła głową.

– Ci ludzie, podobnie jak ich przodkowie, zostali sponiewierani przez władzę. Nie można poza tym zapomnieć o rosyjskiej zimie. Wyciska piętno na ciele i umyśle.

– Z całą pewnością - odparł, kiwając głową.

Rosyjski chłop, pomyślał. Pisano o nim utwory literackie, śpiewano pieśni i wygłaszano uniwersyteckie wykłady. Ale nikt nie rozumiał, co drzemie w nim w środku.

Lisa rozejrzała się po kuchni. Wszyscy wpatrywali się w nią jak w obrazek.

– Cieszę się, że tutaj jestem - powiedziała spontanicznie.

W odpowiedzi uśmiechnęło się do niej czterdzieści twarzy.

– Gdzie nauczyła się pani tak mówić po rosyjsku? - zapytał siedzący obok niej mężczyzna.

– Od mojej babci - odparła Lisa.

– Aha - mruknął mężczyzna po drugiej stronie stołu. - To znaczy, że jest pani Rosjanką.

To stanowiło wystarczający powód, żeby wznieść toast. Po raz kolejny napełniły się filiżanki i wypito do dna. Mężczyzna siedzący za Hollisem poklepał go po plecach.

– A pan? Kto pana nauczył tak źle mówić po rosyjsku?

Wszyscy roześmieli się.

Hollis podniósł litrową butelkę zaprawionej miodem wódki.

– Ta butelka.

Ponownie wszyscy się roześmieli.

Zaimprovizowane przyjęcie trwało dalej. Hollis przyjrzał się zadymionej gorącej izbie i wypełniającym ją ludziom. Wydawali się wsiąkać w brązowe drewniane ściany; ich zapach i kolor, ich cała istota stworzona była z drewna i czarnej ziemi.

Spojrzał na Lisę, żartującą z młodym mężczyzną siedzącym po drugiej stronie stołu, i uświadomił sobie, że nie widział jej tak ożywionej od samego rana. Jej totalna akceptacja tych ludzi, łączące ją z nimi pokrewieństwo poruszały w nim jakąś tajną strunę i uprzytomnił sobie w końcu, że jest nią zafascynowany.

Kobiety i dzieci piły herbatę i przez chwilę im się przyglądał, a potem zaczął obserwować mężczyzn. Rosyjski chłop, pomyślał znowu. Uważany przez władze i przez ludzi z miasta za obywatela drugiej kategorii i do niedawna pozbawiony nawet dowodu osobistego, przez co związany był z własną wioską równie skutecznie jak za czasów pańszczyzny. Ale i teraz, z

dowodami, uświadomił sobie Hollis, chłopci nie mieli dokąd jechać. Warstwa licząca ponad sto milionów ludzi - ciemny naród, jak nazywano ich w carskiej Rosji i jak z pewnością określała ich babcia Lisy. To oni trzymali na swoich zgiętych barkach ciężar całego państwa i świata - i otrzymywali cholernie mało w zamian. Dostawali po karkach od dziedziców i komisarzy, zaganiano ich do kołchozów, zabierano plony i głodzono na śmierć. A w końcu, żeby ostatecznie ich pognębić, odebrano im kościoły i święte sakramenty.

Ale za każdym razem, kiedy Rosja musiała wystawić potężną armię, wysyłano całe miliony tych nieszczęśników na front i miliony ginęły bez słowa protestu. Za Matkę Rosję.

– Niech im Bóg dopomoże - powiedział głośno.

Lisa spojrzała na niego i chyba zrozumiała, co miał na myśli.

– Niech im Bóg pomoże - powtórzyła.

Zakąsili i wypili. Zgodnie z ich oczekiwaniami zaczęły się pytania na temat Ameryki, z początku nieśmiałe, potem coraz liczniejsze. Zanim się obejrzel, odpowiadali naraz dwóm albo trzem osobom. Hollisa uderzyło, że pytania zadają wyłącznie mężczyźni. Kobiety nadal stały w milczeniu pod ścianami.

– Dlaczego nie staniesz tam razem z nimi? - zapytał Lisę.

– Pocałuj mnie w dupę.

Hollis roześmiał się.

– Czy to prawda - zapytał ktoś - że banki mogą zabrać farmerowi ziemię, jeśli nie płaci swoich długów?

– Tak, to prawda - odparł Hollis.

– Co wtedy robi?

– Próbuje znaleźć jakąś pracę w mieście.

– A jeśli nie znajdzie żadnej pracy?

– Dostaje... - Hollis spojrzał na Lisę. - Jak jest po rosyjsku zasilek? - zapytał.

– Chyba *blago*. *Gosstrach*.

Wszyscy pokiwali głowami.

– Jaka jest kara za sprzedaż produktów na czarnym rynku? - zapytał ktoś inny.

– Farmer jest właścicielem wszystkich swoich plonów. Może je sprzedawać, kiedy chce i temu, kto daje najlepszą cenę - odpowiedziała Lisa.

Mężczyźni popatrzyli po sobie z niedowierzaniem w oczach.

– A co się dzieje, jeśli nie uda mu się sprzedać? - zapytał ktoś.

– Słyszałem - odezwał się kolejny chłop - że wolą zabić własne bydło, niż sprzedać je za zbyt niską cenę.

– A jeśli zdarzy się nieurodzaj? Czy jego rodzina przymiera głodem?

– Co się dzieje, jeśli wszystkie świnie i krowy padną na jakąś zarazę? Czy państwo udziela mu pomocy?

Sam i Lisa próbowali odpowiadać, wyjaśniając zarazem, że nie znają się za dobrze na sprawach rolnictwa. Jednak już po krótkiej chwili Hollis zdał sobie sprawę, że pytania na temat prowadzenia farmy były częściowo metaforyczne. To, czego przeciętny Rosjanin obawiał się najbardziej, to był *biesporiadok*, chaos, świat pozbawiony ładu, państwo bez potężnego wodza, bez Stalina, bez cara batiuszki, który wszystkiego dopilnuje. W zbiorowej pamięci silne były wspomnienia rozruchów, głodu, wojen domowych i rozpadu wszelkich społecznych więzi. Gotowi byli oddać wolność za poczucie bezpieczeństwa. A następnym krokiem była zgoda na to, co wmawiał im rząd: że niewola jest wolnością.

– Sądzę, że łatwiej nam byłoby się dogadać - powiedział Lisie - gdybyśmy rozmawiali z kapitalistami z Marsa.

- Całkiem dobrze nam idzie. Po prostu nie owijaj niczego w bawełnę.
- Kiedy zaczniemy podżegać ich do buntu?
- Kiedy skończy się wódka albo kiedy uwierzą, że każdy amerykański farmer ma po dwa samochody.

Z podłogi wstała nagle mniej więcej piętnastoletnia dziewczyna.

- Ile pani ma lat? - zapytała.
- Prawie trzydzieści - odparła, uśmiechając się do niej, Lisa.
- Dlaczego wygląda pani tak młodo?

Lisa wzruszyła ramionami.

- Moja mama - wskazała dziewczyna na stojącą za nią kobietę, która wyglądała na pięćdziesiąt lat - ma trzydzieści dwa lata. Dlaczego pani wygląda tak młodo?

Lisie zrobiło się nieswojo.

- Twoja mama wygląda na tyle samo co ja - powiedziała.
- Idź do domu, Lidia! - krzyknął któryś z mężczyzn.

Dziewczyna ruszyła ku drzwiom, ale po chwili wzięła głęboki oddech i podeszła do Lisy. Przyjrzała się jej uważnie i dotknęła jej dłoni. Lisa wzięła ją za rękę i pochyliła się.

- Jest jeszcze wiele rzeczy, których o sobie wzajemnie nie wiemy, Lidio. Może jutro, jeśli znajdziemy trochę czasu.

Lidia uścisnęła dłoń Lisy, uśmiechnęła się i wybiegła z kuchni. Hollis spojrział na zegarek. Zbliżała się północ. Właściwie mógłby się bawić aż do rana, ale nie dawała mu spokoju jeżdżąca po polnych drogach czarna czajka.

- Moja żona jest w ciąży i potrzebuje snu - szepnął Pawłowi i wstał. - Strasznie długo trzymamy was wszystkich na nogach. Dziękujemy za gościnę, a zwłaszcza za wódkę.

Wszyscy roześmieli się. Ludzie zaczęli wychodzić - w ten sam sposób, w jaki przyszli, całymi rodzinami. Każdy mężczyzna podawał rękę Hollisowi i mruzczał dobranoc Lisie. Kobiety wychodziły bez zbędnych formalności.

Paweł i Ida dali znak Lisie i Samowi i przeszli, odsuwając wiszącą w przejściu kołdrę, do sąsiadującej z kuchnią sypialni z dwoma wysoko zasłanymi łózkami. Paweł wskazał im drzwi z nie heblowanych sosnowych desek i zaprowadził do kolejnej izby. Było to ostatnie pomieszczenie w trzyizbowej chacie i Hollis domyślił się, że mieści się tutaj sypialnia gospodarzy. Środkowa sypialnia należała do syna i córki, którzy tej nocy mieli najprawdopodobniej spać w kuchni.

– To będzie wasze łóżko - powiedział Paweł.

Pokój ogrzany był stojącym przy łóżku spiralnym grzejnikiem i oświetlony, podobnie jak kuchnia, pojedynczą żarówką, która wisiała na przewodzie przymocowanym do belki pod sufitem. Na podłodze z desek leżał postrzępiony dywanik. Hollis zauważył powbijane w ścianę gwoździe na ubranie; na jednym z nich wisiały zabłocone spodnie. Przez jedyne okno widać było ogródek za domem.

Oprócz wypełniających prawie całe pomieszczenie dwóch drewnianych skrzyń i podwójnego łóżka nie było tutaj żadnych mebli, ale przechodząc przez poprzednią izbę zauważył komodę z szufladami, nocny stolik i lampę do czytania. Ścianka dzieląca obie sypialnie zbita była z grubo ciosanych sosnowych desek, a dziury po sękach wypełnione starymi gazetami. Przyszło mu do głowy, że mógłby tu śmiało spędzić zimę minister rolnictwa - uświadomiłby sobie wtedy, jak olbrzymi postęp dokonał się w życiu rosyjskiego chłopca od czasów carskich.

– To wszystko jest wspaniałe - oznajmiła Lisa Pawłowi i Idzie. - Dziękuję, że pokazaliście nam prawdziwą Rosję. Mam już po dziurki w

nosie - dodała - mieszkańców Moskwy.

Paweł uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nie sądzę, żebyście byli turystami - zwrócił się do Hollisa - ale kimkolwiek jesteście, uczciwi z was ludzie i możecie tu spać spokojnie.

– Mieszkańcom wioski nie grożą żadne kłopoty - odparł Hollis - jeżeli nie będą rozmawiać na nasz temat z obcymi.

– Z kim moglibyśmy rozmawiać po żniwach? Nie istniejemy dla nich aż do wiosennych siewów.

Ida wręczyła Lisie rolkę pomarszczonego papieru toaletowego.

– To na wypadek, gdyby musiała pani wyjść. Kiedy byłam w ciąży, zawsze dokuczał mi pęcherz. *Spokojnej nocy* - powiedziała i wyszła razem z mężem.

Lisa pomacała łóżko.

– Prawdziwa pierzyna... kołdra wypełniona pierzem.

– Jestem uczulony na pióra. - Hollis włożył rękę do kieszeni. - Może jednak lepsza byłaby noc w szopie.

– Przestań marudzić.

Podszedł do łóżka, uniósł pierzynę i zbadał szew, szukając pluskiew.

– Czego tam szukasz? - spytała Lisa.

– Mojej miętowej czekoladki na dobranoc.

Roześmiała się.

Hollis ściągnął trzy warstwy pierzyn, chcąc przyjrzeć się prześcieradłu, ale pod spodem nie było żadnej pościeli. Tylko poplamiony materac, z którego wystawały drobne piórka. Rzeczy, które przyjmujemy za oczywiste. Poczul, jak ogarnia go nagła złość na Katherine za jej małoduszne biadolenie na spartańskie warunki życia w ambasadzie.

Lisie zdawał się wcale nie przeszkadzać brudny materac. Rozglądała się po pokoju. Hollis podszedł do pozbawionego zasłon okna i zbadał uważnie

framugę. Typowe, fabryczne okno otwierało się na zewnątrz, ale było o kilka centymetrów krótsze od otworu w ścianie i szparę wypełniono zaprawą murarską, teraz popękana. Poczłł chłodny przeciąg i zobaczył, że z ust unosi mu się obłok pary. Przekręcił klamkę, sprawdzając, czy w razie potrzeby okno może im posłużyć jako droga ucieczki.

Lisa podeszła do niego i wyjrzała na zewnątrz.

– To ich działka przyzagrodowa. Każdej rodzinie wolno uprawiać teren o powierzchni dokładnie jednego akra. Te działki zajmują mniej niż jeden procent ogólnej powierzchni upraw, ale dostarczają prawie trzydzieści procent sowieckich plonów.

– Przypuszczam, że to powinno czegoś nauczyć dygnitarzy w Moskwie... jeśli w ogóle coś jeszcze do nich dociera.

Lisa wydawała się zatopiona w myślach.

– Wygląda to dokładnie tak, jak opisywała babcia. To jest ta wiejska przeszłość, którą zawsze idealizowali intelektualiści z Moskwy i Leningradu. Niepokalana rosyjska ziemia. Dlaczego nie przyjadą tutaj i nie przyjrzą jej się z bliska?

– Bo nie ma tutaj kanalizacji. - Hollis odsunął się od okna. - Tej przeszłości tutaj nie ma, Liso - dodał ostro. - Już nie. To są po prostu wiejskie slumsy, a ci wieśniacy mają wszystko w nosie. Nie widzisz tego? Nie widzisz, że wszystko tutaj się rozpada? Każdy mężczyzna, każda kobieta i dziecko w tej wiosce pragnie tylko jednego: pojechać do Moskwy i już tu nie wracać.

Usiadła na łóżku i wlepiła wzrok w podłogę, a potem wolno kiwnęła głową.

– I choć może nie jest to owa sterylna państwowa farma - ciągnął dalej - nie zapominaj, że kolchoz również należy do państwa. Jedyłą rzeczą, którą posiadają ci ludzie na własność, są brudne łachy na ich grzbiecie i

zatłuszczone gary. Co się tyczy domów i tych tak zwanych działek przyzagrodowych, władzom w ogóle na nich nie zależy. Planuje się zrównanie tych wiosek z ziemią i przeniesienie wszystkich chłopów do państwowych farm, gdzie będą mogli być dwa razy mniej produktywni i wydajni. I tak będzie wyglądał prawdziwy komunistyczny raj. Zrozum, że wystarczy jeden podpisany w Moskwie papierek, żeby ten dupek Burow kazał przepędzić wszystkich tutejszych chłopów do „Czterdziestu lat Października” i zaorać całe Jabłonie. Dopiero kiedy to do ciebie dotrze, będziesz mogła naprawdę zrozumieć, co się tutaj dzieje.

Przez jakiś czas nie odzywała się ani słowem.

– Masz oczywiście rację - powiedziała w końcu. - Ludzie są wyalienowani, a ziemia osierocona. Przeszłość jest martwa. Martwa jest chłopska kultura. I te wioski. Te sukinsyny w Moskwie wygrały.

– Trochę za późno na rozmowę o polityce i filozofii - dodał łagodniejszym tonem.

– Tak, trochę za późno.

– Mam nadzieję, że nie mylisz się co do tych chłopów i że o trzeciej nad ranem nie zapuka do naszych drzwi KGB.

– Chyba się nie mylę.

Hollis uświadomił sobie, że Lisa ma podobnie jak Alevy niebezpieczny i denerwujący zwyczaj wciągania Rosjan w rzeczy, w które ze względu na elementarną przyzwoitość nie powinno się ich wciągać. Alevy robił to z Żydami, Lisa upodobała sobie chłopów. I jedni, i drudzy chętnie pomagali przybyszowi z Zachodu, ale tak się składało, że tego ostatniego nie było na ogół w pobliżu, kiedy spadał topór.

Wątpił, czy wynędniali mieszkańcy Jabłonii zdawali sobie w ogóle sprawę, że sowieckiemu obywatelowi nie wolno rozmawiać z cudzoziemcami, a tym bardziej udzielić im gościny.

Zerknął na Lisę. Ściągnęła buty i skarpetki i rozprostowywała palce u nóg. Zapadło niezręczne milczenie. Zastanawiał się, co ma zrobić lub powiedzieć.

– Bardzo tutaj zimno - powiedziała. Położyła się w ubraniu na najniższej pierzynie, naciągając dwie górne aż pod brodę. - Bardzo zimno. - Ziewnęła.

Hollis zdjął skórzaną kurtkę i powiesił ją na gwoździu, a potem wbił nóż w ścianę obok łóżka. Usiadł na skrzyni i ściągnął z nóg buty. Zdał sobie sprawę, że serce bije mu trochę szybciej niż normalnie i że nagle brakuje mu słów.

– Czy będzie ci wygodniej, jeśli prześpię się na podłodze? - zapytał w końcu.

– Nie. A chcesz?

Zawahał się przez chwilę, a potem ściągnął pulower i dżinsy i rzucił je na skrzynię. Zgasił światło, pociągając za łańcuszek i położył się obok Lisy na łóżku, ubrany w podkoszulek i szorty. Odchrząknął.

– Nie miałem zamiaru pozbawiać cię złudzeń co do Rosji, tych chłopów i w ogóle - powiedział. - Wiem, że jesteś emocjonalnie zaangażowana w to wszystko, i myślę, że to dobrze, iż potrafisz dojrzeć w różnych rzeczach ich jaśniejszą stronę. Podoba mi się to. Taki entuzjizm płynący z młodości.

– Chrapiesz?

– Czasami. A ty?

– Zależy kogo o to zapytasz. Czy zajęłam twoją stronę?

– Nie mam stałej strony.

– Łatwo z tobą spać. Dlaczego nosisz niebieskie szorty? Wchodzą w skład umundurowania sił powietrznych?

Hollis odsunął się od niej i wyjrzał przez okno.

– *Spokojnej nocy.*

– Jesteś zmęczony?

– Mam prawo.

– Czuję się jak w transie. Co za dzień!

– Nie krępuj się.

– Chcesz porozmawiać?

– Powiedziałem już dosyć.

– Gniewasz się o coś? Mówisz tak, jakbyś się gniewał.

– Jestem po prostu zmęczony. Mam wrażenie, że to ja ciebie zdenerwowałem.

– Chodzi ci o to, że mam na sobie ubranie?

– To twoje ubranie. Jeśli chcesz je pognieść, to twoja sprawa.

– Zanim przysłano mnie tutaj - powiedziała - związałam się trzy razy na dłużej i trzy razy na krócej. Miałam romans z żonatym mężczyzną i dwa flirty na jedną noc. Po przyjeździe do Moskwy związałam się z mężczyzną, którego już tutaj nie ma. Potem był Seth i...

– Zwolnij trochę - przerwał jej Hollis. - Skończyły mi się palce u rąk i u nóg.

Pochyliła się nad nim i położyła mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się ku niej i wpatrywał się w jej twarz w niewyraźnym, płynącym z okna świetle.

– Zastrześliś dzisiaj z zimną krwią dwóch uzbrojonych strażników KGB. A teraz drżysz.

– Jest zimno.

– Ja też jestem zdenerwowana. Ale chcę cię. Być może nie doczekamy jutra - dodała.

– Mówisz jak mój komendant szwadronu. A jeżeli doczekamy?

– To zobaczymy.

– Zgoda. A Seth? Jak on to przyjmie?

Nie odpowiedziała. Poczuł, jak dotyka go jej bosa stopa. Wziął w dłonie jej głowę i pocałował ją. Rozebrali się pod pierzyną i leżąc obok siebie

objęli się ramionami. Przesunęła dłonią po jego plecach i jej palce dotknęły twardych, gładkich węzłów.

– Blizny - powiedział.

– Aha.

Hollis wspiał się na nią i poczuł, że była gotowa na jego przyjęcie.

– Sam... jak przyjemnie... jak ciepło.

– Ciepło... tak.

Zasłonił jej usta wargami i wszedł w nią głębiej, czując, jak jej biodra zapadają się w miękki materac, a potem z zadziwiającą siłą dźwigają w górę. Jęknęła w jego usta i jej biodra zaczęły poruszać się szybciej, a potem zwolniły do miarowego rytmu.

Zrzuciła stopą pierzynę i oplotła go nogami, a potem objęła dłońmi jego pośladki i pociągnęła go ku sobie bliżej. Doszedł do szczytu w tym samym czasie co ona i położyli się obok siebie, obejmując mocno ramionami. Lisa położyła mu głowę na piersi. Wsunął palce między jej włosy.

– Słyszę twoje serce - powiedziała.

– To dobra wiadomość. Ja czuję twój oddech.

Pocałowała go w pierś.

– Teraz mogę położyć się spać.

– Amen.

Hollis nie mógł zasnąć. Leżał, wsłuchując się w ciszę i wpatrując otwartymi oczyma w czerń. Poczuł płynący z sąsiedniego pokoju zapach papierosowego dymu, a potem ktoś zakaszłał. Zatrzeszczało okno i usłyszał szmer dotykających futryny suchych liści. Po długiej ciszy po belce sufitu przebiegła mysz albo szczur.

Godzinę później usłyszał warkot przejeżdżającej drogą czajki, a po nim silnik ciężarówki, wiozącej prawdopodobnie żołnierzy. Czekał na chrzęst stąpających po zamarznętej ziemi butów, na trzaśnięcie drzwi i kroki po

drewnianej podłodze. Ale warkot samochodów oddalił się i po jakimś czasie powróciła cisza. Zastanawiał się, czy szukają jego i Lisy, czy może Dodsona. A może całej trójki.

W kraju, gdzie niewielu było obywateli o nie ustalonym przez władze miejscu pobytu, trójka wałęsających się na własną rękę cudzoziemców stanowiła poważne zagrożenie. Takiej sytuacji nie wolno było tolerować.

Zamknął oczy i zapadł w drzemkę. Po chwili usłyszał, jak Lisa mamrocze coś przez sen. Nagle odezwała się całkiem wyraźnie.

– Samochód utknął - powiedziała. - Jestem oficerem na służbie. - A potem: - On jest także twoim przyjacielem, Seth.

Zawsze hołdował zasadzie, że nie wypada podsłuchiwać osoby, z którą się śpi - ale była to jego pierwsza kochanka, która mówiła przez sen po rosyjsku.

Po chwili zapadł w krótki, nerwowy sen i zaczęły go dręczyć jego własne koszmary.

.12.

Lisę obudził hałas w ogrodzie.

– Ktoś jest na dworze.

Potrząsnęła Hollisem. Hollis otworzył oczy i usłyszał skrzypnięcie drzwi.

– Na zewnątrz jest ubikacja.

– Aha.

Dobiegły ich dźwięki z kuchni, a potem pianie obwieszczającego świt koguta.

– Widzę własny oddech - cieszyła się Lisa. Wypuściła z ust powietrze. -
Widzisz?

– Bardzo ładne.

Hollis zobaczył przez okno wychodzącą z wygodki Zinę, córkę Pawła i Idy. Przeszła, patrząc prosto przed siebie, obok pozbawionego zasłon okna.

– Jest niedzielny poranek - powiedziała Lisa - i w całej Rosji milczą cerkiewne dzwony.

Hollis skinął głową.

– Chciałbym usłyszeć jeszcze kiedyś bicie dzwonów.

Leżeli przez chwilę w milczeniu, przysłuchując się porannym trelom ptaków.

– Lubisz to robić rano? - zapytała cicho Lisa.

– Co? Aha...

– Nie chciałabym myśleć, że to było tylko na jedną noc... rozumiesz.
Zróbmy to znowu.

– Dobrze.

Pokochali się ponownie, a potem leżeli na plecach, wpatrzeni w parę, która unosiła się im z ust. Przez okno zaglądał świt.

– To się nazywa palenie w łóżku - stwierdziła Lisa.

Objęła Sama ramieniem i potarła palcami nóg o jego stopę.

– Odwróć się - powiedziała po chwili.

Położył się na brzuchu, a ona ściągnęła z niego pierzynę. W niewyraźnym świetle zobaczyła białe i purpurowe blizny, które zaczynały się tuż pod karkiem i kończyły koło pośladków.

– Domyślam się, że ktoś ci nieźle przyłożył. Bolało?

– Nie.

– Palłeś się?

– Dostałem szrapnelem.

– Samolot wybuchł?

– Nie bez powodu. Dostał w tyłek pociskiem ziemia-powietrze.

– Opowiedz o tym.

Hollis przewrócił się na plecy.

– Okay. Było to dwudziestego dziewiątego grudnia 1972 roku. Paradoksalnie, był to ostatni nalot, jaki przeprowadziliśmy na terytorium Wietnamu Północnego. Gwiazdkowe bombardowania. Pamiętasz?

– Nie.

– Nieważne. Nadleciałem nad Hajfong, spuściłem bomby i zawróciłem na południe. I wtedy mój siedzący z tyłu drugi pilot, Ernie Simms, mówi: „Zbliża się rakietka”. Powiedział to całkiem spokojnie, a potem dał parę instrukcji, jak ją zgubić. Ale to był pocisk ziemia-powietrze i nie miałem żadnych szans. Ostatnią rzeczą, jaką powiedział Simms, było: „Och, nie”. Następną rzeczą, jaką pamiętam, była eksplozja. Zegary zgasły i nie panowałem już nad samolotem. Wszystko pochłapane było krwią, łącznie z

osłoną kabiny. Myślałem, że to ja krwawię, ale to była krew Erniego Simmsa. F-4 wpadł w korkociąg i celował prosto w Morze Południowochińskie. Odrzuciłem osłonę i razem z Simmsem wyfrunęliśmy z kabiny. Spadochrony otworzyły się i wylądowaliśmy na morzu. Unosiłem się jakiś czas na wodzie, patrząc, jak podpływają do mnie uzbrojone wietnamskie motorówki, i wyobrażając sobie życie w obozie jenieckim.

Hollis usiadł i wlepił wzrok w okno.

– Widziałem Simmsa unoszącego się na wodzie w swojej tratwie. Był mniej więcej sto metrów ode mnie. Przyłożył sobie opatrunek do karku i wydawał się przytomny. Zawołałem do niego, a on odpowiedział. Jedna z motorówek waliła prosto w jego stronę. „Sam, mają mnie!” - wrzasnął. Zacząłem do niego płynąć, ale machnął ręką, żebym uciekał. Niewiele zresztą mógłbym pomóc. Widziałem, jak Wietnamczycy wciągają go na pokład. Potem ruszyli po mnie. Ale w tym czasie nadleciały helikoptery piechoty morskiej i ostrzelały z rakiet i karabinów maszynowych motorówki. Jeden z helikopterów wyłowił mnie. Zobaczyłem, jak łódź, na której był Simms, ucieka pod ochronę baterii nadbrzeżnych. Nasze helikoptery przerwały pogoń. Odwieźli mnie na statek szpitalny.

Lisa milczała.

– Dowiedziałem się później, że byłem ostatnim pilotem, którego zestrzelono nad Wietnamem Północnym. Widziałem raz nawet swoje nazwisko wymienione w jakiejś historycznej książce. Bardzo wątpliwy honor. Simmsowi przypadł w udziale równie wątpliwy zaszczyt tego, który zamyka listę zaginionych w akcji.

– Mój Boże... co za historia. Czy uważasz, że Simms... - dodała nieśmiało. - Nigdy się nie odnalazł?

– Nie. Nadal figuruje w kartotece zaginionych.

– I ty myślisz... może nie chcesz o tym mówić?...

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób mogłem mu wtedy pomóc - odpowiedział na nie zadane pytanie. - Ale był moim drugim pilotem i ponosiłem za niego odpowiedzialność. Może... może nie zdawałem sobie wtedy dobrze sprawy z kolejności wydarzeń, z tego, kiedy dokładnie nadleciały helikoptery. Myślę, że tak czy owak nie miałem żadnych szans. Nie wiem, co mógłbym dla niego zrobić. Poza tym, że dopłynąłbym do niego, opatrzył ranę i poszedł razem z nim do niewoli. Może to właśnie powinienem był zrobić jako dowódca.

– Ale byłeś przecież ranny.

– Nawet wtedy o tym nie wiedziałem.

– Więc byłeś w szoku.

Hollis wzruszył ramionami.

– Co się stało, to się nie odstanie.

Położyła mu rękę na ramieniu. Przez kilka minut oboje milczeli.

– Nazwisko Erniego Simmsa - powiedział w końcu - nie figurowało na żadnej sporządzonej przez Wietnamczyków liście zabitych ani liście jeńców wojennych. W związku z tym nadal oficjalnie uznaje się go za zaginionego w akcji. Ale ja widziałem, jak wciągają go żywego na pokład. A teraz, kiedy wypłynęła ta sprawa z Dodsonem, zaczynam na nowo kojarzyć fakty. Wszyscy ci faceci, których widziano bezpiecznych pod czaszą spadochronu i o których nikt nigdy więcej już nie usłyszał. Zastanawiam się, czy Ernie Simms razem z tysiącem innych nie wylądował jakimś cudem w Rosji.

– W Rosji?... - Lisa znalazła pod pierzyną swoją kurtkę i wyjęła z kieszeni papierosa. Zapaliła go i zaciągnęła się głęboko. - Chcesz zapalić?

– Może później.

– Od tego, co mówisz, kręci się w głowie, Sam.

Hollis spojrzał na nią.

– Kręci się w głowie... tak. Powinniśmy się zbierać, Liso.

Zsunął nogi z łóżka i podszedł do skrzyni, na której leżało jego ubranie. Lisa gwizdnęła z uznaniem.

– Co za ciało!

– Skończ z tym. - Spojrzał na nią, stojącą nago przy elektrycznym grzejniku i wyciągającą swoje ubranie spod zwałów pierzyny. - Nie masz grubych ud, ale całkiem duże stopy.

Ubrali się i przeszli przez drugą sypialnię do kuchni, gdzie przywitała ich Ida. Przygotowała już dla nich miskę gorącej wody, ręcznik i mydło. Umyli się przy bocznym stole, na którym wciąż stała miednica z brudnymi talerzami. Lisa przeprosiła i wyszła. Sam także wyszedł na chłodne powietrze i przespacerował się polną drogą.

Czajka nie zostawiła żadnych śladów na zamarzniętej ziemi, ale widać było odcisk opon drugiego pojazdu, najprawdopodobniej półciężarówki. Można było tylko snuć domysły, dlaczego się nie zatrzymali i nie przeszukali wioski.

– Szczęście - powiedział na głos. - Albo lenistwo.

A może ktoś czuwał nad nim i Lisą.

Ruszył ścieżką obok chaty Pawła i przechodząc przez wymarły ogródek, minął wracającą do domu Lisę.

– Czy to nie jest zabawne? - zapytała.

Zapewnił ją, że nie, i ruszył dalej. Kiedy wrócił do kuchni, zastał ją siedzącą razem z Pawłem przy kuchennym stole. Obok siedziały dzieci Pawła, Michaił i Zina. Trzymały przed sobą podręcznik matematyki i mimo niedzieli odrabiały lekcje. Hollis usiadł, a Ida podała mu jajko na twardo, kaszę i herbatę.

Rosyjska herbata była jak zwykle wspaniała. Na stole był również pokrojony razowiec i masło. Hollis zaczął rozmawiać z dwojgiem nastolatków o szkole.

– Jaki jest wasz ulubiony przedmiot? - zapytał po rosyjsku.

Chłopiec uśmiechnął się.

– Angielski - odpowiedział po angielsku.

Hollis odwzajemnił jego uśmiech.

– Wiem, że w Moskwie uczą w szkołach angielskiego, ale nie wiedziałem, że tak samo jest na prowincji - stwierdził, mówiąc dalej po rosyjsku.

– Każdy w szkole uczy się angielskiego - odpowiedziała łamaną angielszczyzną dziewczyna. - Czasami mówimy po angielsku między sobą.

– Jaki jest wasz ulubiony autor? - zapytała po angielsku Lisa.

– Znamy kilku, których wolno u nas czytać - odpowiedział Michaił. - Jacka Londona i Jamesa Baldwina. Czy wydano w Ameryce *Następnym razem pożar*?

– Tak, czytałam to - przytaknęła Lisa.

– Wsadzili go do więzienia? - zapytała Zina.

– Nie. Dali mu wysokie honorarium.

– Nasz nauczyciel mówi, że wsadzili go do więzienia - powiedział Michaił.

– Nie.

– Widzisz? - zwróciła się Zina do brata po rosyjsku. - W zeszłym roku nauczyciel powiedział, że aresztowano go po opublikowaniu książki. A w tym roku inny nauczyciel mówi, że nie pozwolono mu wydać książki i że uciekł do Francji.

Hollis zdjął skorupkę z jajka. Zastanawiał się, dlaczego władze wprowadziły angielski do szkół. Paranoik powiedziałaby: po to, żeby móc któregoś dnia rządzić Ameryką. Ale musiało być w tym coś więcej. Słyszał już wcześniej, że moskiewskie dzieci rozmawiają po angielsku na

przerwach. Niezależnie od tego, jakie powody przyświecały władzom, uczniowie uważali to za coś szalenie eleganckiego.

Może jednak, pomyślał, nie powinno się tracić do końca nadziei.

– Czy Amerykanie uczą się rosyjskiego? - zapytała po angielsku Zina.

– Nie - odpowiedziała Lisa. - Bardzo niewiele.

– Mówi pani po rosyjsku bardzo dobrze. Ale skąd wziął się pani akcent?

– Może jest trochę kazański, znad Wołgi. Może trochę moskiewski.

Moja babcia, Rosjanka, była osobą nieco staroświecką i chyba wciąż mówię tak jak ona.

– Bardzo ładny akcent - stwierdziła Zina. - *Kulturnyj*.

Hollis zauważył, że Paweł i Ida kraśnieli z dumy za każdym razem, kiedy któreś z dzieci powiedziało coś po angielsku. Otworzył swoją teczkę, żeby sprawdzić, czy włożono do niej coś do czytania, o co prosił zawsze, kiedy wybierał się w podróż po Związku Sowieckim.

Znalazł magazyn *Time* i położył go przed Michaiłem i Ziną.

– To pomoże wam lepiej opanować angielski - powiedział. - Ale nie pokazujcie tego nikomu z władz.

Oboje posłali mu spojrzenie, które oglądał już wcześniej w podobnych sytuacjach. Było w nim z trudem powstrzymywane podniecenie, a także udawana obojętność, tak jakby nielegalna literatura nic dla nich w gruncie rzeczy nie znaczyła. I coś w rodzaju wstydu, kiedy uświadamiali sobie, do jakiego stopnia władze kontrolują wszystkie ich uczynki. Jakie to poniżające, pomyślał.

Michaił i Zina obejrzelik dokładnie czasopismo, dotykając nawet spinaczy. Otworzyli je na chybił trafił, w miejscu, gdzie znajdowała się duża, dwustronicowa reklama buicka. Zaraz potem, na następnej stronie, była reklama lincolna. Właściwie, cały magazyn wypełniały kolorowe zdjęcia najnowszych modeli samochodów.

Były także ociekające seksem reklamy perfum, bielizny i dżinsów i one właśnie zdawały się najbardziej interesować Michaiła. Paweł pochylił się, żeby lepiej widzieć, a Ida przestała krzątać się po kuchni i stanęła za swoimi dziećmi.

W ambasadzie hołdowano na ogół zasadzie, by rozprowadzać wśród miejscowej ludności każdy periodyk, który docierał z Zachodu. Nawet jeśli wyrzucono przez pomyłkę jakąś gazetę do kosza i tak dostawała się ona w końcu w ręce moskwian i czytana była aż do zdarcia. Ale chociaż większość mieszkańców Moskwy i Leningradu z pewnością zetknęła się kiedyś przynajmniej z jedną angielskojęzyczną publikacją, Hollis wątpił, żeby tutaj w Jabłonii i w ogóle w całym kołchozie Czerwonego Płomienia ktokolwiek widział w życiu angielską gazetę.

Zauważył, że Michaił i Zina czytają artykuł o zbliżających się wyborach. Spojrzał na zegarek. Minęła właśnie siódma.

– Na nas już czas - powiedział, wstając z krzesła.

Michaił wstał także.

– Muszę zebrać jajka. Przepraszam. I dziękuję.

Pożegnał się i wyszedł na dwór.

Zina sprzątnęła razem z matką talerze. Lisa chciała im pomóc, ale Ida poczęstowała ją zamiast tego kolejną filiżanką herbaty.

Hollis wyszedł razem z Pawłem na dwór. Chłop zaprowadził go na skraj prywatnej działki, gdzie w małej zagrodzie stały trzy świnie.

– Koryto jest pęknięte - powiedział - i wycieka z niego woda. Męczy mnie ciągle noszenie wiader ze studni.

– Nie możesz go naprawić?

– Potrzebuję trochę smoły albo dziegciu. Ale ci głupcy nie chcą mi dać ani jednego, ani drugiego.

– Jacy głupcy?

– Z administracji kolchozu. Mówią, że nie mają. Może zresztą to prawda. Trudno dostać coś na własną działkę - dodał.

– Czasami na koryto lepiej nadaje się wydrążony pień.

– Tak, to prawda. Potrzebowałbym dużego pnia. Mam co prawda dobrą siekierę, ale łatwiej byłoby, gdyby mi dali smoły.

– Idzie pan dzisiaj do cerkwi? - zapytał Hollis.

– Cerkwi? Nie ma tutaj żadnej cerkwi. Są tylko w dużych miastach. Widziałem kiedyś starą cerkiew w Możajsku, ale było w niej urządzone muzeum. Nie wszedłem do środka.

– Miał pan kiedyś ochotę pójść na nabożeństwo?

Paweł podrapał się w głowę.

– Nie wiem. Może gdybym porozmawiał z popem, mógłbym panu odpowiedzieć. Nigdy w życiu nie widziałem prawdziwego popa, ale wiem, jak wyglądali, z książek. Czy amerykańscy farmerzy chodzą do kościoła?

– Tak. Większość chodzi.

Paweł spojrzał na niebo.

– Zbiera się na deszcz. A może śnieg. Widzi pan te chmury? Kiedy robią się jasnoszare, tak jak teraz, a nie czarne albo białe, wtedy będzie padać śnieg.

Rzucił okiem na rozciągające się za działką brązowe pole. We wszystkim, co mówił, brzmiał ów odległy, przytłumiony ton, który Hollis zwykł kojarzyć ze słynnym rosyjskim fatalizmem.

– Śnieg pada i pada, i w końcu dzieci nie mogą iść do szkoły, a my nie możemy wyjść z domu. Mają odśnieżać drogi, ale nie robią tego. Siedzę wtedy w domu i piję za dużo. Czasami bez żadnej przyczyny biję żonę i dzieci. Miałem jeszcze jedną córkę, Katię, ale zmarła którejś zimy na atak wyrostka robaczkowego. Mówią, że któregoś dnia przeniosą nas wszystkich

do sowchozu. Może to zrobią. Ale ja nie wiem, czy chciałbym wyprowadzić się z tego domu. Co robią w zimie amerykańscy farmerzy?

– Naprawiają różne rzeczy. Sprzątają stodoły, polują. Niektórzy idą do jakiejś pracy. W Ameryce zimy nie są takie ciężkie jak tutaj.

– Tak, wiem o tym.

– Jak długo istnieje Jabłonia?

– Kto to może wiedzieć? Przyjechałem tutaj po wojnie z matką, jako dziecko. Ojciec zginął na wojnie. Rząd przysłał tutaj matkę z większej wsi, którą spalili Niemcy. Pewien człowiek powiedział mi, że Jabłonia należała kiedyś do Romanowów. Inny twierdził, że do bogatego księcia. Wszyscy mówią, że wioska była kiedyś większa. Stały w niej stodoły i stajnie, a ludzie mieli własne konie, trojki i pługi. Wywiercili jeszcze dwie inne studnie. Ale nie było pompy. Teraz mamy pompę. Niektórzy mówią, że między nami a sąsiednią wioską stała kiedyś cerkiew. Ale tej sąsiedniej wioski także już dziś nie ma. Epidemia tyfusu. Potem ją spalili. Wtedy chyba spalili także cerkiew. Niemcy albo komisarze. Kto to może wiedzieć? Tęskni pan za domem? - zapytał nagle Hollisa.

– Ja nie mam domu.

– Nie ma pan domu?

– Mieszkałem w wielu miejscach - odpowiedział Hollis. Zamienili jeszcze parę słów. - Musimy już jechać - powiedział po chwili. - Obawiam się - dodał - że jeśli dzieci albo stare kobiety rozpowiedzą o naszej wizycie, może to zaszkodzić całej wiosce.

– Wiem o tym. Porozmawiamy o tym po waszym wyjeździe.

Hollis podał Pawłowi rękę i wcisnął mu w dłoń dziesięć rubli. Paweł rzucił okiem na banknot i wsunął go do kieszeni.

– Niech pan podjedzie bliżej samochodem, to dam panu pięć kilo masła. W Moskwie można za nie dostać dwadzieścia rubli.

– Jedziemy do Leningradu. A pieniądze były za to, że udzieliliście nam gościny. *Do swidanija.*

Hollis ruszył z powrotem do domu. Lisa była gotowa do drogi. W rękę trzymała jutową torbę.

– Ida dała mi trochę miodu i torbę gruszek - powiedziała.

Hollis podniósł stojącą pod stołem teczkę.

– Dziękuję, Ido. Do widzenia, Zino.

Wziął Lisę pod ramię i wyszli. Idąc drogą usłyszeli śpiew starego mężczyzny.

Goworila baba diedu,
Czto w Amieriku pojedu.
Ach, ty staraja pizda,
Nie pojediesz nikuda.

Przy stojącym za stogiem siana samochodzie czekała na nich Lidia. Lisa uśmiechnęła się do niej.

– Dzień dobry, Lidio. Już się bałam, że się nie zobaczymy.

Dziewczyna nie odwzajemniła uśmiechu.

– Jest tutaj jeden chłopak, Anatol. Należy do Komsomołu. Wiecie, co to jest... Komunistyczny Związek Młodzieży. Boję się, że on powie władzom o waszej wizycie.

Lisa wzięła ją za ramię.

– Może inne dzieci mogłyby przemówić mu do rozumu?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Anatol z nikim nie rozmawia i nikogo się nie słucha. Nikogo w całej Jabłonii.

– Czy Paweł Fiodorowicz jest tutaj sołtysem? - zapytał Lidię Hollis.

– Nie pozwalają nam mieć sołtysa. Ale tak, on jest kimś w tym rodzaju.

– W takim razie powiedz mu to samo co nam. I dopilnujcie, żeby Anatol nie opuszczał dzisiaj wioski.

Lidia kiwnęła głową.

– Dziękuję ci - powiedziała Lisa. - Żałuję, że nie możemy dłużej porozmawiać.

– Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o Ameryce - poprosiła Lidia.

Lisa zawahała się, a potem wyjęła ze swojej torebki wizytówkę i wręczyła ją dziewczynie.

– Jeśli będziesz kiedyś w Moskwie, ze szkołą czy w czasie ferii, zadzwoń pod ten numer. Dzwoń tylko z budki telefonicznej i przedstaw się jedynie z imienia. Powiedz, że chcesz ze mną rozmawiać. Nazywam się Lisa Rhodes.

Lidia popatrzyła na wizytówkę, na której widniał herb Stanów Zjednoczonych.

– Lisa Rhodes - powtórzyła.

Lisa pocałowała dziewczynę w policzek. Ta cofnęła się o krok. Przypatrywała się przez chwilę Lisie i Samowi, a potem odwróciła na pięcie i uciekła.

– Nie powinienem zostawiać tu tego czasopisma - stwierdził Hollis - a ty nie powinnaś dawać jej tej wizytówki.

– Nie tak dawno temu oświadczyłeś, że nie wolno im pozwolić, żeby dyktowali, jak mamy żyć. To oni właśnie tworzą między ludźmi atmosferę strachu i podejrzliwości.

Hollis skinął głową.

– Jedźmy.

Wsiadli do samochodu. Hollis zapalił silnik i czekając, aż się zagrzeje, włączył nawiew na szybę.

– Zostawiłam w sypialni dziesięć rubli - powiedziała Lisa.

– Dla mnie?

Roześmiała się.

– Ty masz twardą walutę. Bardzo twardą.

Uśmiechnął się.

– Dałem Pawłowi dziesiątaka. Czy w związku z tym wystarczy, jeśli zaprosimy ich na kolację, czy też powinni u nas zostać przez cały weekend? Jak uważasz?

– Uważam, że byli bardzo mili.

– On bije swoją żonę.

Hollis próbował wrzucić bieg, ale sprzęgło znowu zaczęło się ślizgać.

– Nuklearne mocarstwo. Nie pojmuję tego.

Przez jakiś czas naciskał i puszczał pedał sprzęgła i w końcu udało mu się wrzucić dwójkę.

– W porządku - odetchnął z ulgą.

Wyjechał na polną drogę, kierując się w stronę przeciwną do tej, z której przyjechali.

– Masz zamiar skorzystać z tego telefonu? - zapytała.

– Nie ryzykowałbym tego.

– Dokąd jedziemy? Możajsk jest z tyłu.

– Nie jedziemy do Możajsk. Jedziemy do miasta Gagarin - oznajmił Hollis, naciskając na klakson i machając na pożegnanie Pawłowi, Idzie, Michaiłowi, Zinie oraz innym mieszkańcom, którzy pozdrawiali ich ze swoich ogródków przed domami. - Jabłonia - powiedział. - Nieprędko zapomnę to miejsce.

– Ja też.

Hollis minął ostatnią chatę i dodał gazu. Żiguli podskakiwał nieprzyjemnie na pokrytym koleinami, zamarzniętym błocie.

– *Czornaja griaz!* - powiedział. - Czarne błoto. Kiedy zaświeci słońce, zamieni się w pudding. Niemieckie czołgi tonęły w nim aż po wieżyczki.

– Dlaczego właśnie Gagarin?

– Między Możajskiem a Moskwą jest wielu ludzi, którzy szukają majora Dodsona, a być może także nas. Więc pojedziemy na zachód, do Gagarina, gdzie, mam nadzieję, nie ogłoszono jeszcze alarmu w sprawie zabłąkanych Amerykanów. Zgoda?

– A jaki mam wybór?

– Możesz usiąść na tylnym siedzeniu. Z lewej albo prawej strony.

Lisa zapaliła papierosa.

– Sprytny z ciebie facet.

– Zagraniczne podróże są bardzo pouczające. A jaki jestem sprytny, to się jeszcze okaże. Mogłabyś uchylić okno?

Lisa odsunęła w dół szybę.

– Moglibyśmy zatrzymać się, żeby kupić papierosy?

– Przy następnym sklepie Seven-Eleven, jaki zobaczysz.

– Dzięki.

Hollis jechał na zachód prostą polną drogą. Nie potrafił uwierzyć, że sowieckiemu mocarstwu brakuje środków na wyasfaltowanie albo choćby pokrycie szutrem bocznych dróg. Być może, pomyślał, jest to jeszcze jeden subtelny sposób na zatrzymanie chłopów w miejscu, na uczynienie ich nędznego życia jeszcze bardziej nędznym. Wiedział, że musi wjechać na asfalt, zanim błoto zacznie topnieć.

– Wiesz, jak jechać? - zapytała Lisa.

– Gagarin leży jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd, przy starej szosie Mińsk - Moskwa. I obawiam się, że jest to...

– Kolejne naruszenie pieprzonej marszruty podróży.

– Co się stało z tą słodką dziewczyną, która tak chętnie spełniała wszystkie moje pragnienia?

Roześmiała się.

– Bałam się ciebie. Tylko dlatego dałam się zaciągnąć do łóżka.

Hollis uznał, że najlepiej puścić to mimo uszu.

– Muszę wziąć prysznic - powiedział.

Pociągnęła nosem.

– Masz stuprocentową rację.

Dodał gazu. Było pięć minut po ósmej i zalegający w koleinach lód powoli zamieniał się w wodę. Oceniał, że mniej więcej za piętnaście minut błoto powinno połknąć żiguli.

– Uważasz, że nic nie grozi mieszkańcom Jabłonii?

– Cóż... jeśli sami nie złożą na nasz temat raportu, a władze odkryją, że tam byliśmy, bo doniesie im o tym na przykład ten mały gówniarz z Komsomołu, wtedy będzie naprawdę niedobrze. W naszym fachu dyskutujemy często na temat wrodzonej lojalności, jaką odczuwa wobec państwa przeciętny sowiecki obywatel. Jedni twierdzą, że jest bardzo silna, inni są przeciwnego zdania. W Ameryce, gdyby do Joego Smitha zapukał w nocy jakiś Rosjanin, prosząc, żeby przechował go na strychu, Joe zaraz zawiadomiłby FBI. Postąpiłby tak z wewnętrznego przekonania, a nie dlatego, że boi się, iż FBI będzie go torturować, jeśli tego nie zrobi. Na postępowanie Iwana natomiast w równej mierze wpływa jego patriotyzm, co fakt, że żyje w państwie terroru. Tak na to patrzę z zawodowego punktu widzenia. A osobiście czarno widzę los Jabłonii.

Lisa przez jakiś czas milczała.

– Powinam była wcześniej pomyśleć o kłopotach, jakie możemy na nich ściągnąć... - powiedziała w końcu. - Wydawało mi się to po prostu najlepszym rozwiązaniem naszych problemów.

– Nie przejmuj się. Mam nadzieję, że KGB nie zacznie tam węszyć już dzisiaj rano. Musimy zyskać kilka godzin przewagi.

Hollis czuł, że droga robi się coraz bardziej miękka, i słyszał chlupoczące pod kołami błoto. Kilkadziesiąt metrów w przodzie zobaczył wlokącą się, załadowaną ziemniakami furę.

– Niech to wszyscy diabli!

Wiedział, że jeśli zwolni, natychmiast ugrzęźnie w błocie.

– Trzymaj się.

Podjechał pod samą furę, a potem skręcił ostro w lewo i wyrównał kierownicę. Prawy bok żiguli minął o centymetry burtę wozu i konia, a lewe koła zawisły przez ułamek sekundy nad rowem. Samochód zaczął się przechylać, ale w tej samej chwili Hollis skręcił z powrotem na drogę, tuż przed łbem konia, który, ochlapany błotem, stanął dęba. Samochodem zarzuciło parę razy, ale się nie zatrzymał.

Lisa wzięła głęboki oddech.

– No, no.

Po paru minutach dojechali do skrzyżowania z wysypaną żwirem drogą i Hollis skręcił w nią, kierując się na północ. Rozpędził żiguli do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i przysłuchiwał się stukom, które wydawał obłuzowany tłumik.

– Chcesz gruszkę? - zapytała Lisa.

– Jasne.

Wyjęła gruszkę z torby i zanim mu podała, wytarła ją rękawem.

Hollis zobaczył przed sobą biegnące wzdłuż starej drogi Mińsk - Moskwa słupy elektryczne. Wbił zęby w gruszkę.

– Wyśmienita.

Dojechał do wyasfaltowanej szosy i skręcił na zachód.

– Za dwadzieścia minut będziemy w Gagarinie.

Szosa była kompletnie pusta i Hollis rozpędził żiguli do dziewięćdziesiątki. Wył silnik i wyła skrzynia biegów, ale samochód dzielnie trzymał się drogi. Tłumik uspokoił się na równiejszej nawierzchni.

Nagle zobaczył w tylnym lusterku zbliżającą się czarną limuzynę. Musiała jechać powyżej setki i szybko ich doganiała. Kiedy znalazła się bliżej, rozpoznał z przodu chromowaną kratę czajki. Rzucił okiem na szybkościomierz. Strzałka tkwiła na czerwonym polu.

– Nie oglądaj się, ale... - zaczął.

Lisa natychmiast się obejrzała.

– O, w dupę! Czy to oni?

– Nie wiem.

– Co możemy zrobić?

– Blefować i naskoczyć na nich z góry. Powiemy im, że dzwoniliśmy już do ambasady, i tak dalej. Jeżeli uznam to za konieczne i będę miał szansę, spróbuję ich zabić.

Wysunął nóż z buta i schował go pod skórzaną kurtkę.

– Sam... boję się.

– Nic ci nie będzie. Bądź dla nich ostra.

Czajka była teraz nie dalej jak pięćdziesiąt metrów z tyłu i zjechała na równoległe pasmo. Lisa wlepiła wzrok w przednią szybę. Hollis spojrzął w boczne lusterko i uśmiechnął się.

– Pomachaj im.

– Co?

Czajka zrównała się z nimi; jej kierowca nacisnął na klakson. Z samochodu machały im rękoma dwie młode pary. Hollis uśmiechając się odwzajemnił pozdrowienie. Siedząca obok kierowcy dziewczyna pokazała na zgnieciony błotnik żiguli, a potem udała, że pije z butelki i nie może utrzymać prosto kierownicy. Młody chłopak siedzący z tyłu posyłał całusy

Lisie. Jego towarzyszką żartobliwie szturchnęła go w bok. Czajka dodała gazu i wyprzedziła ich.

– Zwariowane moskiewskie dzieciaki - powiedział Hollis.

Lisa wypuściła z płuc powietrze. Otworzyła torebkę, wyjęła puderniczkę i nałożyła na policzki róż, a potem pomalowała wargi błyszczkiem.

– Zrobię sobie oczy, kiedy się na chwilę zatrzymasz - uśmiechnęła się i przeczesła włosy szczotką. - Chcesz, żeby cię uczesać? Jesteś potargany.

– Dobrze.

Uczesała go podczas jazdy.

– Szkoda, że nie mamy szczoteczki do zębów - powiedziała. - Chcę, żebyśmy dobrze wyglądali, kiedy się z nimi spotkamy.

– Z kim?

– Z milicją w Gagarinie. Z KGB. Z Burowem. Z tym, kto pierwszy dostanie nas w swoje łapy.

– Wyglądasz dobrze - odparł Hollis. - Zbyt dobrze. Spróbuj nie rzucać się tak bardzo w oczy.

– I tak nikt nie uwierzy, że jesteśmy Rosjanami, Sam.

– Spróbujmy udawać kogokolwiek, byle nie pracowników amerykańskiej ambasady.

Wzruszyła ramionami i starła chusteczką z twarzy róż i błyszczyk.

– Ja mam na sobie chociaż *watnik*. A ty wyglądasz jak Indiana Jones w tych swoich butach i skórzanej kurtce. - Potargała włosy. - Nie braliśmy przynajmniej prysznic.

– Instrukcja - stwierdził Hollis - każe w takich przypadkach udawać towarzyszy z republik bałtyckich. Nie ubierają się tak źle, wyglądają jak ludzie z Zachodu i mówią po rosyjsku z obcym akcentem. Co powiesz na Litwinów? A może czujesz się lepiej jako Łotyszka?

– Chcę być Estonką.

– Masz to jak w banku.

Po dziesięciu minutach zobaczyli stojące po obu stronach drogi przysadziste chaty, a potem drewniane, pomalowane olejną farbą budynki. Hollis zwolnił.

– Gagarin - powiedział.

– Nazwane tak na cześć tego kosmonauty?

– Tak. Urodził się w pobliskiej wiosce. Z nędznej chałupy do kosmicznej kapsuły... w zbitej z belek chatce ku gwiazdom... Trzeba tym ludziom oddać sprawiedliwość, kiedy na to zasługują.

Wjechali do środka miasta. Dziesięcioletni Gagarin, położony nad rzeką Grzacią i stanowiący stolicę obwodu, był, według Hollisa, wystarczająco dużym miastem, by żiguli i jego pasażerowie nie rzucali się tutaj w oczy. Podobnie jak w Możajsku można było odnieść wrażenie, że wszystkich mieszkańców wymiotło podczas weekendu na księżyc. W mieście znajdowała się restauracja i muzeum poświęcone pamięci wielkiego krajana.

Hollis zatrzymał samochód na środku pustej ulicy i opuścił szybę. Chodnikiem szła ubrana na czarno, olbrzymia babuszka dźwigająca na ramieniu, niczym mężczyzna, wielką paczkę.

– Wokzał? - zapytał.

– Dobrze, dobrze - powiedziała. Otworzyła tylne drzwi żiguli, wrzuciła do środka paczkę i wsunęła się za nią. Tył samochodu wyraźnie się ugiął. Hollis spojrzął na Lisę, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Jak jechać? - zapytał.

– Tam, tam. Skręć tam. Skąd jesteście?

Hollis skręcił w wąską uliczkę i zobaczył betonowy peron.

– Z Estonii.

– Tak? Milicja pozwala wam w Estonii jeździć z rozbitymi błotnikami? Musicie to gdzieś naprawić.

– Tak, matko.

– Gdzie są wasze czapki i rękawiczki? Chcecie dostać zapalenia płuc?

– Nie chcemy.

Hollis zajechał na mały pusty parking obok peronu. Wsiadł i pomógł starszej kobiecie wspiąć się po stopniach na górę. Lisa wysiadła także, trzymając w ręku jego teczkę. Przepisnęli się razem przez tłum do drewnianej budki, w której sprzedawano bilety. Sprawdzili rozkład jazdy. Pociąg do Moskwy odchodził za dwadzieścia minut. Hollis zapukał w okienko. Po chwili odsunęła się drewniana zasuwka i zobaczyli siedzącą wewnątrz, odzianą w kolejarski szary mundur kobietę w średnim wieku. W stojącej za nią staroświeckiej kozie palił się ogień.

– Dwa bilety do Moskwy - powiedział.

Zmierzyła go wzrokiem. Hollis wiedział, że powinna zapytać go o dowód osobisty i że sprzedający bilety często tego nie robią. W jego przypadku, w każdym razie, mogła zrobić wyjątek.

– Czy można kupić u pani bilet do Leningradu, a stamtąd do Tallina? - zapytał.

– Nie. Jest pan Estończykiem?

– Tak.

Kobieta przechyliła głowę, żeby przyjrzeć się Lisie, a potem odwróciła z powrotem do niego.

– Bilety do Leningradu i Tallina musi pan kupić w Moskwie - powiedziała. - Należy się dwadzieścia dwa ruble i siedemdziesiąt pięć kopiejek.

Hollis dał jej dwadzieścia pięć rubli i wziął bilety razem z resztą.

– *Spasibo.*

Kiedy odchodzili od okienka, Lisa obejrzała się za siebie.

– Zastanawiam się, czy nie zawiadomi milicji.

Hollis okrążył od tyłu budkę, rozejrzał się, wyciągnął nóż i przeciął przewód telefoniczny.

– Nie zrobi tego. A jeżeli wyjdzie z budki, wsiadamy z powrotem do żiguli.

Lisa wzięła go pod ramię.

– Mam wrażenie, że uda ci się nas jakoś z tego wyciągnąć. Ty nas zresztą w to wpakowałeś - dodała.

Hollis nie odpowiedział.

– Co byś zrobił, gdyby zapytała nas o paszporty albo dowody osobiste?

– Pytasz z czystej ciekawości, czy dlatego, że chcesz się czegoś nauczyć?

– I jedno, i drugie.

– Cóż, wtedy... a zresztą powiedz sama.

Lisa namyślała się przez chwilę.

– Udałabym, że nie mogę znaleźć dowodu i odeszła od okienka, a potem poprosiła jakiegoś chłopca, żeby kupił mi dwa bilety.

– Całkiem nieźle - stwierdził, kiwając głową.

Przechadzali się po zimnym szarym betonowym peronie, mijając ubranych na czarno i zakutanych w czarne chusty i szaliki ludzi, jakby żywcem wyjętych z *Doktora Żywago*. Starzy chłopci, mężczyźni i kobiety, którym pomagali kilkunastoletni chłopcy, taszczyli ze sobą paczki, skrzynki i walizki wypełnione nabiałem i ostatnimi świeżymi produktami z tegorocznych zbiorów. Wszyscy zmierzali w jednym kierunku: do centrum, do Moskwy, gdzie czekało na nich osiem milionów mieszkańców, z których wyżywieniem nie mógł sobie poradzić państwowy system dystrybucji. Niektórzy chłopci handlowali na bazarach, które stanowiły niechętnie

ustępstwo rządu na rzecz kapitalizmu, inni nie zapuszczali się tak daleko, wystawiając po prostu swoje towary w uliczkach wokół dworca. Żony pracowników ambasady opowiadały Hollisowi, że w listopadzie cena sprzedawanych na wolnym rynku brokułów i kalafiorów sięga równowartości dwóch dolarów za funt, a pomidorów dwukrotnie więcej. Sałatę sprzedaje się na gramy. W grudniu świeże towary znikają aż do maja.

Chłopki siedziały niczym mężczyźni, zauważył Hollis, z wyciągniętymi przed siebie nogami i rękoma złożonymi na podołku. Żaden z mijanych przez nich mężczyzn nie był ogolony i żadna z około dwustu stojących na peronie osób nie miała na sobie porządnego ubrania. Kobiety miały na nogach kalosze, a buty mężczyzn były z surowej i popękanej od długiego noszenia skóry. Kilka młodych kobiet nosiło plastikowe botki w jaskrawych czerwonych, żółtych i jasnoniebieskich kolorach.

– Możesz sobie śmiało przypudrować nos - powiedział cicho. - Wszyscy i tak wlepiają w ciebie oczy.

– Popatrz tam. Ten facet ma w worku martwe króliki.

Na peron wtoczył się ociężałe ekspres białoruski. Wszyscy wstali i przesunęli bagaże na skraj peronu, formując prawdziwą ścianę z paczek i skrzynek. Pociąg zatrzymał się, drzwi się otworzyły i Hollis, a w ślad za nim Lisa wskoczyli do środka. Zajęli dwa puste miejsca obok przedziału konduktora.

Po upływie dziesięciu minut, kiedy każdy skrawek wolnej przestrzeni wypełniony został pakunkami, pociąg powoli ruszył ze stacji. Hollis spojrzął na zegarek. Było wpół do dziesiątej. Zatrzymując się w Możajsku i Golicynie pociąg powinien zjechać na Dworzec Białoruski w Moskwie jeszcze przed południem.

Ponury nastrój, który panował na peronie, ustąpił miejsca ożywionym rozmowom, żartom i śmiechom. Ludzie rozmawiali ze sobą prostym

chłopskim językiem, ale nie przeklinali i można było wyczuć, że istnieje między nimi specyficzna więź, chociaż wielu widziało się po raz pierwszy w życiu. Połączyła ich nie tylko wspólna podróż, pomyślał Hollis, ale wspólny los pariasów zepchniętych na najniższy szczebel drabiny społecznej. Jak bardzo różnił się ten pociąg od moskiewskiego metra, gdzie w godzinach szczytu można było usłyszeć spadającą kroplę.

Częstowano się wzajemnie i wymieniano docinki na temat jakości wiezionych towarów.

– Tych jabłek nie kupią od ciebie nawet moskwianie - stwierdziła jakaś kobieta, zwracając się do swojej sąsiadki.

– Powiem im, że to rzodkiewki - odparła zagadnięta.

Wszyscy się roześmieli.

Starszy, siedzący po drugiej stronie przejścia mężczyzna podsunął Hollisowi pod nos kapiący sokiem plasterk pomidora. Hollis wziął go z jego brązowych palców.

– Dziękuję, ojcze.

Podał pomidor Lisie.

– Zjedz to.

Zawahała się, a potem wsadziła go sobie do ust.

– Dobrze. Zobacz, czy ktoś nie ma przypadkiem soku pomarańczowego.

– Staraj się nie wyróżniać. Udawaj prostą kobietę albo śpij.

– Czy mogę zapalić? - zapytała szeptem po rosyjsku.

– Nie tutaj. W ubikacji.

– Chcesz może gruszkę? Albo miodu?

– Nie, mój miodku.

– Miło tutaj.

Hollis rozejrzał się po wnętrzu wagonu. Rzeczywiście było tu całkiem miło. W oknach wisiały czyste koronkowe firanki, a w każdym z

zamocowanych na stałe przy parapetach małych wazoników tkwiła prawdziwa różyczka. Im więcej oglądał Rosji, tym mniej ją rozumiał. Ale szyby były brudne i tym razem odczuł to jako coś krzepiącego.

Starali się rozmawiać ze sobą jak najmniej, powstrzymywał Lisę przed spacerami po pociągu aż do chwili, kiedy naprawdę musiała iść do toalety. Po jakimś czasie pojawiła się konduktorka. Wzięła do ręki ich bilety i zamiast je przedziurawić, postawiła na nich znaczek.

– Jesteście z Moskwy? - zapytała.

– Nie, z Estonii - odpowiedział Hollis. - Z Moskwy jedziemy do Leningradu, a stamtąd do Tallina.

– Aha. Dobrze mówi pan po rosyjsku. - Zmierzyła wzrokiem Lisę. - Ładne ma pani buty - zauważyła. Mogła mieć czterdzieści kilka lat.

– Dziękuję.

– W republikach bałtyckich mają zawsze lepsze towary. Nie potrafię zrozumieć dlaczego. - Konduktorka oddała Hollisowi bilety. - Bezpiecznej podróży.

– Dziękuję.

Położone na płaskim terenie tory biegły prosto, jak strzelił, i pociąg nabrał szybkości. W wagonie rozbrzmiewały teraz dźwięki piszczałki. Miękkie, wpadające w uszy tony nie przypominały muzyki klasycznej ani utworów ludowych, które słyszało się na ogół w radiu.

Po kilkunastu minutach pociąg wtoczył się na stację w Możajsku i za szybami zobaczyli taki sam tłum, taszczący takie same rozlatujące się tekturowe walizki i nieporęczne toboły. Na peronie była milicja i żołnierze i wpuszczano ludzi tylko do dwóch ostatnich wagonów. Sam i Lisa skurczyli się na swoich siedzeniach i udawali, że śpią. Pociąg ruszył z miejsca i za oknami znowu pojawił się wyblakły rosyjski pejzaż.

Zatrzymali się na pięć minut w Golicynie i po następnym kwadransie zobaczyli wysoką iglicę uniwersytetu.

– Jesteśmy prawie w domu - powiedziała Lisa. - No, może niezupełnie w domu - dodała.

Pociąg robił krótkie przystanki na podmiejskich stacjach: w Setuniu, Kuncewie, Fili i na stacji Testowskiej.

– Dlaczego nie wysiądziemy tutaj? - zapytała. - Moglibyśmy przejść do ambasady piechotą.

– Mamy jechać do Leningradu, więc wysiądziemy na Dworcu Białoruskim.

– Ja chcę wysiąść tutaj. Mam tego dosyć.

– Siadaj.

Lisa usiadła z powrotem.

– Przepraszam. Tracę nad sobą panowanie. Ufam ci. Wspaniale sobie radziłeś. Nawet jeśli coś się zdarzy i nie dotrzemy do ambasady... A swoją drogą, jak zamierzasz dostać się do ambasady, skoro na ulicy przed bramą będą czekali na nas tajniacy?

– Pokażę ci szpiegowską sztuczkę.

– Mam nadzieję, że ci się uda.

Ekspres białoruski z Mińska wtoczył się na Dworzec Białoruski w Moskwie na dziesięć minut przed godziną dwunastą. Sam i Lisa szybko wysiedli i przepchali się przez obładowany tobołami tłum, który wypełniał wzniesiony przed przeszło stu laty dworzec. Wracający na prowincję ludzie, zauważył Hollis, nie byli wcale mniej objuczeni - dźwigali teraz plastikowe torby wypełnione nowymi ubraniami, butami, przyborami kuchennymi i wszelkiego rodzaju innym bogactwem, jakie miała do zaoferowania Moskwa. Najmniej wartościową rzeczą były tkwiące w kieszeniach ruble, których nie udało się na nic wydać. Kilku przechodzących, względnie

dobrze ubranych moskwian posłało chłopom nieprzyjemne spojrzenia. Najwyraźniej nie podobało im się wcale wykupywanie towarów przez przybyszy z prowincji.

Hollis i Lisa minęli kilka patroli Straży Granicznej KGB, którą można było spotkać na wszystkich większych dworcach w kraju i której bali się w równej mierze cudzoziemcy i krajowcy. Wyszli z dworca na plac Gorkiego, nad którym dominował wielki pomnik pisarza. Niebo było jak zwykle szare, a powietrze, po pobycie na wsi, wydawało się wypełnione spalinami.

Przecięli plac i skręcili w ulicę Gorkiego, kierując się w stronę Kremla. Po przejściu paru przecznic znaleźli się obok hotelu „Mińsk”. Hollis wszedł razem z Lisą do środka, znalazł budkę telefoniczną i wykręcił numer ambasady. Wartownik połączył go z oficerem dyżurnym, którym okazał się adiutant Hollisa, kapitan O'Shea.

– Ed, to ja. Poznajesz?

– Tak jest, sir.

– Mamy fotoflesz - powiedział Hollis, używając słowa oznaczającego poważne zagrożenie. - Wyślij samochód na punkt delta. Za dziesięć minut.

– Tak jest, sir. Pojadę sam.

– Nie, ty zostań na miejscu i znajdź mi Pana Dziewiątego. Chcę się z nim widzieć.

– Pan Dziewiąty bardzo się o pana martwi. Jest w swoim gabinecie.

– Za dziesięć minut.

– Tak jest, sir. Witamy w domu.

Hollis odwiesił słuchawkę.

– Seth bardzo się o ciebie martwi - poinformował Lisę.

Nie odpowiedziała. Wyszli z hotelu i ruszyli dalej ulicą Gorkiego.

– To było w dobrym stylu - odezwała się. - Gdzie jest punkt delta?

– Zapomniałem.

Spojrzała na niego.

– Robisz sobie ze mnie żarty?

– Tak jakby. To sklep *Gastronom Odin*. Wiesz, gdzie to jest?

– Jasne. Ale my, moskwianie, nadal nazywamy go Domem Jelisiejewskim. To nazwa jeszcze sprzed rewolucji. Najlepszy sklep z delikatesami w Moskwie. Chyba nam się uda - dodała. - Prawda?

– Na to wygląda.

Przebiegli Sadowoje Kolco, gdzie znajdowały się kiedyś mury miasta, a potem minęli Teatr Dramatyczny imienia Stanisławskiego i plac Puszkina. Zbliżyli się do wspaniałej fasady *Gastronomu*, a potem szybko zawrócili.

– Zakładam, że KGB nie odróżnia punktu delta od Times Square - powiedział Hollis. - Zmieniamy te punkty za każdym razem, kiedy musimy się którymś posłużyć. Nie powinno więc być tutaj żadnego komitetu powitalnego z KGB. Ale jeden albo dwa ich samochody będą jechać za naszym wozem. Kiedy tylko samochód z ambasady zwolni, wskakuj na tylne siedzenie i przesuwaj się głębiej. Ja wskakuję za tobą. W porządku?

– Widziałam to kiedyś na filmie.

Czekali. Lisa zapaliła papierosa.

– To mój ostatni. Ale mam jeszcze paczkę w biurze. Albo w sypialni, nie pamiętam.

– To dobra wiadomość.

Z ulicy Gorkiego wynurzył się jadący z dużą szybkością ford fairlane. Z przodu Hollis zobaczył dwóch ochroniarzy, a z tyłu kogoś, kto przypominał wyglądem Setha Alevy'ego. Za fordem pędziła czarna czajka. Ford podjechał nagle do krawężnika i ostro zahamował. Otworzyły się tylne drzwi. Lisa wsunęła się obok Alevy'ego, a zaraz za nią wskoczył do środka, zatraskując za sobą drzwi, Hollis.

Samochód ruszył do przodu.

- Cześć, Seth - powiedziała Lisa.
- Będziesz się musiał gęsto tłumaczyć, pułkowniku - zwrócił się bezpośrednio do Hollisa Alevy.

Hollis nie odpowiedział.

- Gdzie jest samochód? - zapytał Alevy.

– Na stacji kolejowej.

– Jakiej stacji?

– Gagarin.

– Gagarin? Co tam, u diabła, robiliście?

– Łapaliśmy pociąg do Moskwy.

Lisa otworzyła swoją jutową torbę.

– Seth, chcesz gruszkę?

– Nie.

Alevy skrzyżował ręce na piersi i odwrócił się do okna.

Czarna czajka doganiała ich. Kierowca forda wcisnął gaz do dechy, ale po jakimś czasie pojawiła się przed nimi i przyhamowała kolejna czajka. Ford skoczył na sąsiednie pasmo i trzy samochody kontynuowały przez jakiś czas niebezpieczną zabawę, klucząc ulicami centralnej Moskwy, a potem skręcając w Prospekt Kalinina.

Dziesięć minut później dojechali do ambasady. Ford minął milicyjną budkę i wjechał przez otwartą bramę do środka. Ścigająca go czajka zatrąbiła, a siedzący obok kierowcy kagebista wystawił przez szybę rękę z wyprostowanym środkowym palcem. Siedzący za kierownicą forda Amerykanin odwzajemnił pozdrowienie tajniaka, a Hollis oddał salut pilnującym bramy żołnierzom. Ford objechał maszt z flagą i zatrzymał się przed wejściem do ambasady. Sam, Lisa i Alevy wysiedli.

– Bez obrazy, ale oboje śmierdziejecie - powiedział Alevy.

– Chyba pójde wziąć prysznic - oznajmiła Lisa.

- Nie najgorszy pomysł.
- Zadzwoń do kostnicy w Możajsku - powiedział, zwracając się do Alevy'ego, Hollis. - Powiedz, żeby nie czekali na eskortę i wysłali ciało na dworzec towarowy lotniska Szeremietiewo. Wyślij kogoś z sekcji konsularnej na lotnisko, żeby zajął się zwłokami. - Wyjął z teczki brunatną kopertę. - Tutaj są wszystkie papiery, łącznie z zezwoleniem na wywóz i rachunkiem za trumnę. Pieniądze chcą otrzymać przed wyekspediowaniem ciała.
- Myślałem już, że to ciebie odbierzemy w tej cholernej trumnie. Dzwoniłem do sowieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, do KGB...
- To tak jakbyś wykręcał „M”, dzwoniąc do mordercy, Seth.
- Gdzie spędziliście noc?
- Czy to pytanie służbowe?
- Ukrywaliśmy się w małej wiosce o nazwie Jabłonia - wtrąciła Lisa.
- Ukrywaliście się? Przed kim?
- Przed facetem, który nazywa się Burow - odparł Hollis. - Pułkownik KGB. - Opisał go dokładnie. - Znasz go?
- Być może. Popytam się. W porządku, bądźcie za pół godziny w pomieszczeniu dźwiękoszczelnym na szóstym piętrze. Oboje. Mogę na was liczyć?
- Potrzebuję całej godziny - oznajmiła Lisa.
- Odwróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami ambasady.
- Alevy przyjrzał się uważnie Hollisowi, który nie spuścił oczu.
- To była moja wina. Pozwoliłem ci ją ze sobą zabrać - powiedział Alevy.
- Chyba wyleczyłem ją z fascynacji szpiegostwem.
- Obawiam się, że wprost przeciwnie. Dobrze wam się ze sobą współpracowało?

- Była bardzo pomocna.
- Może powinienem ją wciągnąć - stwierdził Alevy.
- Ma to, czego potrzeba. A nam brakuje kobiet.
- Zatelegrafuję do Langley. Co okazało się jej największą zaletą?
- Poczucie humoru w obliczu niebezpieczeństwa.
- Musimy o tym porozmawiać. Jak najszybciej.
- Proszę bardzo. Ale nie na dworze, gdzie podsłuchują nas przez mikrofony kierunkowe.

Hollis odwrócił się i wszedł do budynku ambasady. Minął hol i wyszedł na tylny taras. Czekąca tam na niego.

- O czym rozmawialiście z Sethem? - zapytała.
- O twoich zaletach.

Ruszyli wysadzaną brzoza alejką w stronę jej apartamentu.

- Myślałam, że już nie zobaczę tego miejsca - powiedziała.
- Nie będziesz już teraz narzekać na swoją celę.
- Nie, proszę pana. Moja łazienka jest cudowna. Będę całować kafelki.

Hollis rzucił okiem na skwerek, na którym John Uhlman z sekcji konsularnej uczył swego syna jeździć na dwukołowym rowerku. Podczas ich nieobecności postawiono stracha na wróble. U jego stóp tkwiły trzy powykrzywiane dziwnie dynie.

- Nie ma snopów kukurydzy - zauważył.

Pobiegła za jego spojrzeniem.

- Rzeczywiście.
- Cóż... - Spojrzał na zegarek. - Ostatnia szansa na gruszkę.
- Wezmę jedną.

Podążyła mu torbę.

- Weź i miód. Ja nie słodzę.
- Ja też, cukierczku.

Uśmiechnęli się oboje.

– To co z nami będzie? - spytała po chwili Lisa.

Hollis włożył ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

– Czy to odpowiedź?

– Co będzie z tobą i Sethem?

– To skończona sprawa.

– Więc o co on się złości?

Zarzuciła sobie torbę na ramię.

– Przemyśl to sobie.

Odwróciła się i odeszła ścieżką. Hollis stał przez chwilę w miejscu, a potem ruszył na przełaj przez skwer.

.13.

– John Uhlman z sekcji konsularnej jest już w drodze na lotnisko Szeremietiewo. Zajmie się sprawą, której nie doprowadził do końca pułkownik Hollis - poinformował Charlesa Banksa Seth Alevy.

Hollis zauważył, że Alevy zwraca się głównie do Banksa, ignorując jego i Lisę. Zauważył również, że Banks ma na sobie swój najlepszy garnitur, mimo że pozostała trójka, nie zważając na to, że w Moskwie była właśnie niedziela, ubrała się dość niedbale. On sam wziął prysznic i założył dzinsy i flanelową koszulę. Alevy miał na sobie pogniecione spodnie i sweter z wycięciem w serek. Lisa wyglądała uroczo w białym golfie i obcisłych dżinsach, ale odnosiła się do Sama jakby z lekkim chłodem.

Siedzieli w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu należącym do ambasadora. Hollis zajął miejsce przy końcu długiego konferencyjnego stołu, Banks u jego szczytu. Lisa i Alevy siedzieli pośrodku, naprzeciwko siebie. Hollis zauważył po raz pierwszy, że na ścianie wisi oprawiony w ramy, wykaligrafowany cytat i przeczytał go: DYPLOMACJA NABIERA WIĘKSZEJ NIŻ KIEDYKOLWIEK WAGI W CZASACH, GDY CZYJEŚ GŁUPIE POSUNIĘCIE MOŻE W CIĄGU KILKU MINUT ZNISZCZYĆ NAS WSZYSTKICH. LORD HUMPHRY TREVEYAN, 1973.

Pomyślał, że w ciągu kilku następnych tygodni Banks do spółki z ambasadorem po raz kolejny będą się starali udowodnić prawdziwość tych słów.

– Oczywiście nie możemy odzyskać wynajętego żiguli - kontynuował Alevy - zadzwoniliśmy więc do biura Intouristu i poinformowaliśmy ich, że

samochód zepsuł się przy stacji kolejowej Gagarin. Obciążą nas z tego tytułu nielichem rachunkiem.

Hollis wiedział, że Alevy nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany tego rodzaju administracyjnymi sprawami. W przeciwieństwie do Charlesa Banksa. Jest coś w samej naturze dyplomaty, co nie pozwala mu naruszyć miejscowych przepisów ani obrazić kraju gospodarza. Nawet jeśli wręcza się obcemu ministrowi notę z wypowiedzeniem wojny, trzeba uczynić to w sposób uprzedzająco grzeczny.

Przyszło mu do głowy, że Alevy próbuje jego kosztem wyrównać rachunki z Banksem, i uznał, że może mu w tym śmiało pomóc.

– Samochód trzeba będzie oddać do blacharza - powiedział.

Banks odwrócił się w jego stronę.

– Do blacharza?!

– Małe zderzenie z drzewem. Drzewo ucierpiało w minimalnym stopniu.

– Dobrze. - Banks odchrząknął. - Tak więc... - Spojrzał na Lisę, potem z powrotem na Hollisa. - Żadne z was nie wróciło wczoraj na noc - podjął, starając się nadać swemu głosowi surowy ton - i żadne z was nie powiadomiło ambasady o miejscu swego pobytu. Jest to sprzeczne z regulaminem i stanowi poważne naruszenie przepisów bezpieczeństwa, nie mówiąc już o elemencie osobistego zagrożenia. - Potoczył po nich wzrokiem. - Czy któreś z was może to wytłumaczyć? Panno Rhodes?

– Byliśmy oczywiście razem - odparła Lisa. - Nie udało nam się załatwić przed zapadnięciem zmroku tego, co mieliśmy do załatwienia w Możajsku. W hotelu nie było wolnego pokoju... a właściwie nie było żadnego hotelu... spędziliśmy więc noc w kołchozie... czyli spółdzielni rolnej. Nie było tam telefonu.

– Zdaję sobie sprawę ze specyficznych warunków, które panują tutaj na prowincji - oświadczył Banks. - Ale to wy zobowiązani jesteście do utrzymywania kontaktu z ambasadą, a nie odwrotnie.

– Jako starszy rangą - stwierdził Hollis - biorę całe przewinienie na siebie.

Banks usatysfakcjonowany kiwnął głową.

– Nie bardzo rozumiem - odezwał się Alevy - dlaczego tak późno wyruszyliście, a potem nie udało wam się przed zapadnięciem zmroku doprowadzić do końca tak prostej sprawy.

– Mnóstwo papierkowej roboty, Seth - odparł Hollis. - Daj spokój.

Ale on nie dawał za wygraną.

– Jak trafiliście do tego kołchozu? Dlaczego nie zadzwoniliście z Możajska?

Hollis spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie sądzę, żeby pan Banks życzył sobie, byśmy zanudzali go takimi szczegółami.

– Zgoda - kiwnął głową Alevy. - Może później zanudzisz nimi mnie. - Przyglądał się przez chwilę Lisie, po czym odwrócił się z powrotem do Banksa. - Sir?

– Ambasador pisze w tej chwili list. Składa w nim oficjalne kondolencje rodzicom pana Fishera. Chciałbym, żeby pani również do nich napisała - zwrócił się do Lisy. - Niech to będzie coś bardziej osobistego. Proszę zaznaczyć, że zajęła się pani przejęciem doczesnych szczątków i przedmiotów pozostałych po zmarłym. A także, iż sowieckie władze zapewniły panią, że Gregory Fisher zginął nagłą śmiercią, że prawie nie cierpiał, i tak dalej. W aktach mamy wzory takich listów.

– Wzory osobistych listów ode mnie?

– Nie - odparł cierpko Banks. - Wzory listów z osobistymi kondolencjami. - Dotarła do niego tkwiąca w tym sprzeczność. - Niech pani wykorzysta wzór i doda coś od siebie - wybrnął z kłopotu.

Lisa zabębniła palcami po stole.

– Czy mam napisać, że rozmawiałam z ich synem przed śmiercią? Że dzwonił do ambasady z hotelu „Rossija” i prosił o pomoc?

– Z całą pewnością nie - stwierdził Banks. - Przed chwilą powiedziałem, co ma się znaleźć w tym liście, panno Rhodes. Być może również pułkownik Hollis napisze podobny list do rodziców zmarłego.

– Przyjrzę się wzorom - obiecał Hollis.

Lisa spojrzała na Hollisa, a potem na Alevy'ego i Banksa.

– Podczas mojej nieobecności dzwonił do mnie Peter Stills z *New York Times*, Faith Lowry z *Washington Post*, Mike Salerno z *Pacific News Bureau* i ludzie z czterech albo pięciu innych agencji prasowych. Najwyraźniej ktoś w moim wydziale wydał oświadczenie na temat śmierci Gregory'ego Fishera. A niektórzy dziennikarze zwietrzyli w tym grubszą aferę.

Banks pochylił się w jej stronę.

– Nie ma żadnej afery w fakcie, że amerykański turysta ginie w wypadku samochodowym.

– Jeśli taki wypadek zdarzy się we Francji albo Anglii, wtedy nikt nie zwraca na to uwagi - odparła Lisa. - Ale jeśli rzecz ma miejsce w Związku Sowieckim, ludzie robią się ciekawi. To dziwny kraj, Charles. Może to zauważyłeś? Dlatego właśnie - dodała - siedzimy w takich jak ten pokojach bez okien, kiedy musimy pogadać o czymś ważnym. To nie jest paranoja; to rzeczywistość, chociaż nikt na Zachodzie nie uwierzyłby nawet w połowę tego, co się tutaj dzieje.

– Oświadczenie wydało twoje biuro prasowe - stwierdził Banks. - I może wyda następne, jeśli pojawią się nowe fakty. Zajmuje się tym Kay. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

Lisa wzięła głęboki oddech.

– Dlaczego w oświadczeniu zabrakło pewnych faktów? Dlaczego nie wspomina się o telefonie z „Rossiji”?

– Ujawnimy to być może w odpowiednim czasie - wtrącił się Alevy. - Na razie nie mamy takiego zamiaru. Podobnie jak ty zdajemy sobie sprawę, że kryje się w tym coś więcej. Ale zanim zaczniemy kogoś oskarżać, próbujemy zebrać fakty. Nie chcesz chyba zakłócić trwającego właśnie procesu odprężenia. Zaufaj nam.

Lisa niechętnie skinęła głową. Hollis wyjął z kieszeni kartkę papieru z odszyfrowaną depeszą.

– Wysłałem wczoraj do Departamentu Obrony depezę, w której pytałem, czy major Jack względnie John Dodson znajduje się na liście zaginionych podczas wojny w Wietnamie. Otrzymałem odpowiedź negatywną - powiedział rzucając na stół kartkę.

– O to samo zapytaliśmy Departament Stanu - stwierdził Charles Banks - i także otrzymaliśmy odpowiedź negatywną. Sądzę, że powinniśmy się poważnie zastanowić nad prawdziwością tego, co opowiedział nam Gregory Fisher.

– Czyżby? - odparł Hollis. - Mówiliśmy przed chwilą o zaufaniu. W moim fachu, podobnie jak i Seta, naczelną zasadą jest nie ufać nikomu, łącznie z własnymi ludźmi - przerwał i nalał sobie do szklanki wody mineralnej. - Poszedłem więc wczoraj do naszej biblioteki i znalazłem książkę napisaną przez byłego pilota marynarki wojennej, który siedział w obozie jenieckim w Wietnamie. W książce znajduje się aneks z listą około

tysiąca ludzi, których los nadal jest nieznany. Figuruje na niej major lotnictwa Jack Dodson.

Nikt się nie odezwał.

– Wiem, że na moje pytanie nadeszła odpowiedź negatywna - powiedział Hollis. - Nie wiem, czy to samo można powiedzieć o waszej. Ktoś tutaj bawi się w chowanego.

– Daj temu spokój, Sam - odezwał się Alevy.

– Prowadzimy oficjalne dochodzenie, pułkowniku - dodał Banks. - Dyplomatycznymi i innymi kanałami. W tym czasie ani pan, ani panna Rhodes nie powinniście się zajmować tą sprawą, chyba że zostanieie poproszeni o złożenie zeznań. Nie wchodzi to w zakres waszych obowiązków. Ambasador chce otrzymać pisemny raport o tym, co się z wami działo od wczorajszego wyjazdu z Moskwy. Dziękuję za zajęcie się zwłokami.

Hollis wstał.

– Może pan zapewnić ambasadora, panie Banks, że dopóki nie otrzymam od moich zwierzchników innych poleceń, będę prowadził w tej sprawie własne dochodzenie - powiedział.

Lisa również podniosła się z krzesła.

– Charles, amerykański obywatel o nazwisku Gregory Fisher zginął w tajemniczych okolicznościach na terenie Związku Sowieckiego. Co więcej, Gregory Fisher poinformował mnie przez telefon o innym amerykańskim obywatelu, którego spotkał w sosnowym lesie na północ od Borodina i którego ścigają sowieckie władze...

– Przypominam sobie - przerwał jej Seth Alevy - że Fisher wspominał o lesie, ale nie pamiętam, żeby mówił coś o sosnach. - Przechylił krzesło do przodu i spojrzał najpierw na nią, a potem na Hollisa. - Co to za sosnowy las?

– Musimy któregoś dnia porównać nasze notatki - oświadczył Hollis i wyszedł z pokoju.

Zatrzymał się przy windzie czekając na Lisę. Dał jej najpierw dwie minuty, potem pięć i w końcu pojechał na dół sam.

.14.

Hollis szedł Prospektem Kalinina, szeroką aleją, która stanowi moskiewski odpowiednik Fifth Avenue. Przy skrzyżowaniu z ulicą Czajkowskiego musiał ominąć długą kolejkę wytrwałych, którzy czekali przed popularną restauracją „Arbat”. Była właśnie godzina szczytu i ludzie taszczyli ze sobą wielkie torby, próbując wykupić wszystko, co było do kupienia.

Moskwianie, chłopcy i mieszkańcy podstołecznych miasteczek pojawiali się codziennie w centrum miasta, żeby, jak to określali, zrobić zakupy. Hollisowi przypominało to jednak bardziej plądrowanie miasta.

Zatrzymał się przed witryną sklepu z upominkami numer pięć - Podarki Piatiero - i przyjrzał własnemu odbiciu. Jego ciemnoniebieski wełniany płaszcz był typowo moskiewski, podobnie zresztą jak czarny kapelusz z wąskim rondem i wielka teczka, w której można było upchnąć kupiony przypadkowo ochłap mięsa albo świeże warzywa.

Na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się spośród otaczającego go tłumu, ale wiedział, że z bliska moskwianie i tak rozpoznają w nim przybysza z Zachodu. Nie chodziło tylko o rysy twarzy - zdawał sobie sprawę, że po prostu inaczej się porusza. Pamiętał opowieść Lisy o tym, jak chodzą Rosjanie, a także dowcip, który usłyszał zaraz po przyjeździe: Dwóch moskwian idzie ulicą. Pierwszy dźwiga na plecach olbrzymi tobół, garbi się pod jego ciężarem i potyka, jakby miał się za chwilę przewrócić. Drugi nie niesie nic i też garbi się i potyka, jakby miał się za chwilę przewrócić.

Hollis wszedł do środka. W przeciwieństwie do sklepów, w których sprzedawano artykuły pierwszej potrzeby, nie było tu kolejek, a przy

położonym w głębi stoisku, gdzie przyjmowano tylko twardą walutę, nie było nikogo.

Wybrał mały aluminiowy znaczek z profilem Lenina i rzeźbionego w drewnie niedźwiadka, który balansował piłką na łapie. Zapłacił sześć dolarów i sprzedawczyni pchnęła w jego stronę kilka opakowanych w folię czekoladek, dając do zrozumienia, że nie ma amerykańskich drobnych. Miał w domu pełną szufladę tej czekoladowej reszty.

– Wezmę pensy - powiedział.

– *Niet.*

– Centimy.

– *Niet.*

– Zielone znaczki. Wszystko, byle nie czekoladki.

– *Niet.*

Hollis schował zakupy do kieszeni i wyszedł w zapadający chłodny zmierzch.

Wzdłuż Prospektu Kalinina stały dwudziestoparopiętrowe bloki ze szkła i betonu, na parterze których mieściły się sklepy. Poszerzona ostatnio arteria biegła środkiem starego Arbatu i chociaż Sam nie podzielał słabości Lisy do zabytków starej Moskwy, nowa Moskwa również niespecjalnie mu się podobała. Ulica była szeroka jak autostrada, a sklepy położone w dużej odległości jeden od drugiego, co zresztą mu nie przeszkadzało.

Po jakimś czasie zatrzymał się ponownie, tym razem przed sklepem z damską odzieżą noszącym dumną nazwę Moskwička, co w wolnym przekładzie oznaczało „Miss Moskwy”, określenie, które nie wiadomo dlaczego zawsze go śmieszyło. Obserwował przez chwilę w szybie mijający go tłum, ale nie spostrzegł, żeby ktoś go śledził. Ruszył dalej na wschód, przecinając ulicę Maneżową i wchodząc na kamienny most, który wiodł w stronę wchodzącej w skład kremlowskich murów Baszty Troickiej.

Dwaj strażnicy w zielonych mundurach zmierzyli go podejrzliwym wzrokiem, ale nie odezwali się ani słowem.

Przeszedł przez bramę i znalazł się wewnątrz liczącego sześćdziesiąt akrów kompleksu wspaniałych cerkwi, pomników i budynków publicznych - miejsca, w którym tkwiło jądro sowieckiej potęgi i dusza starej Rosji. Sam Hollis, któremu mało co mogło zaimponować, wciąż był pod wrażeniem Kremla.

Minął Arsenał i plac Iwanowski, klucząc między setkami turystów, którzy pstrykali zdjęcia wykorzystując ostatnie chwile dnia, porę, kiedy Kreml wyglądał najlepiej. Zauważył dwóch mężczyzn pogrążonych w rozmowie obok Bramy Troickiej. Podobnie jak on ubrani byli w ciemne płaszcze i kapelusze z wąskimi rondami. Wyróżniali się spośród tłumu, żaden z nich nie miał bowiem teczki ani torby. Ręce wetknęli do kieszeni, tak jak to robią policjanci na całym świecie, żeby nikt nie wiedział, co w nich trzymają.

Skierował się w stronę Bramy Spasskiej, mieszczącej się przy północno-wschodnim murze, zbudowanej na nieregularnym planie cytadeli. Brama nie była przeznaczona dla pieszych i istotnie, kiedy się do niej zbliżył, okazało się, że jest zamknięta. Ale po jakimś czasie spod budynku Prezydium odjechała czarna wołga i Hollis ruszył, przyspieszając kroku, w ślad za nią. Dwaj wartownicy otworzyli drewnianą bramę, żeby przepuścić samochód, a Hollis skorzystał z okazji i wybiegł szybko na zewnątrz. Wartownicy wymienili między sobą nerwowe spojrzenia, ale żaden z nich go nie zatrzymał.

Brama zamknęła się i Hollis wyszedł na plac Czerwony, naprzeciwko soboru Wasyla Błogosławionego. Na plac mogły wjeżdżać tylko pojazdy rządowe, a w godzinach szczytu kłębiło się tutaj zawsze mnóstwo ludzi i dlatego właśnie w tym miejscu i o tej porze najłatwiej było zgubić za sobą

ogon. Hollis przeciął plac na ukos, przeciskając się szybko przez tłum i mijając mauzoleum Lenina, przed którym stała długa kolejka ludzi pragnących obejrzyć zabalsamowane zwłoki wodza rewolucji. Przechodząc obok wielkiego, zamykającego plac od północy domu towarowego GUM obejrzał się, ale mężczyźni w ciemnych płaszczach zniknęli. Zbiegł kilka stopni w dół. Tutaj schody rozgałęziały się - droga w prawo prowadziła do metra, a w lewo do podziemnego przejścia pod placem Czerwonym.

Hollis skręcił w prawo, wrzucił pięć kopiejek do automatu i stanął na jadących szybko w dół ruchomych schodach. Po chwili znalazł się na wyłożonej marmurami i oświetlonej kryształowymi żyrandolami stacji. Na pociąg nie czekał dłużej jak minutę. Wcisnął się do wagonu i przejechał jeden przystanek na północ, do stacji Dzierżyńskiego. Wszedł z metra przy niewielkim skwerze blisko południowego skraju placu i stanął obok dwudziestu zбитych w ciasną gromadkę osób. Przemawiała do nich młoda ładna dziewczyna o płomiennorudych włosach. W jej angielskim prawie nie słychać było obcego akcentu.

– Z tyłu za państwem - mówiła - znajduje się Państwowe Muzeum Politechniczne. Zgromadzone w nim eksponaty przedstawiają rozwój rosyjskiej myśli inżynierskiej. Polecam państwu to muzeum, kiedy będziecie mieli dzień wolny.

– Dzień wolny? - odezwała się z akcentem Nowej Anglii stojąca po lewej stronie Hollisa starsza kobieta. - Dzień wolny? Kiedy to będzie?

– Cśś - uciszył ją jej towarzysz.

Przewodniczka Intouristu zmierzyła amerykańską parę srogim spojrzeniem, a potem spojrzała zaintrygowana na Hollisa.

– Po lewej stronie widzimy Muzeum Historii i Przebudowy Moskwy. Można tutaj obejrzyć, w jaki sposób, dzięki socjalistycznemu planowaniu, Moskwa stała się jednym z najpiękniejszych miast na świecie.

Hollis zauważył, że amerykańscy turyści posyłają mu ukradkowe spojrzenia, i domyślił się, że przynajmniej niektórzy z nich biorą go za agenta KGB, za którego istotnie chciał uchodzić. Takie spotkanie stanowiło nie lada gratkę, coś, o czym na pewno będą z lubością opowiadać po powrocie do domu.

– Po prawej stronie - kontynuowała schrypniętym, ale seksownym głosem rudowłosa - znajduje się Muzeum Majakowskiego, urządzone w mieszkaniu, w którym poeta spędził ostatnie jedenaście lat swego życia.

– Czy potem będzie z tego sprawdzian? - zapytał swego sąsiada ktoś stojący przed Hollisem.

Hollis wiedział, że jedno z pytań takiego sprawdzianu powinno brzmieć: „Czy to prawda, że Włodzimierz Majakowski popełnił samobójstwo rozczarowany do systemu sowieckiego?”

– Pośrodku placu widzimy piękny, odlany z brązu pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, jednego z przywódców partii, sowieckiego męża stanu i bliskiego przyjaciela Lenina.

A także masowego mordercy i twórcy budzącego powszechny strach państwowego aparatu bezpieczeństwa, dodał za nią w myśli Hollis.

Przewodniczka zatoczyła ręką krąg.

– Ten elegancki budynek z wysokimi, zwieńczonymi łukiem oknami to *Dietskij Mir*... Świat Dzieci, największy moskiewski sklep z zabawkami. Rosjanie lubią rozpieszczać swoje dzieci - dodała, ale zabrzmiało to bardziej jak wyuczona formułka, pomyślał Hollis, niż wniosek, oparty na jakichkolwiek własnych doświadczeniach.

Przez grupę przeszedł szmer.

– Och, czy możemy tam pójść?! - zawołała jedna z kobiet.

– W czasie wolnym.

Ktoś roześmiał się.

– Proszę o spokój - odezwała się cierpkim tonem przewodniczka. - Teraz idziemy do autobusu.

– Co to za duży budynek z tamtej strony? - zapytał jakiś mężczyzna.

– W tym budynku - odparła gładko, nie podnosząc nawet wzroku, przewodniczka - mieści się zakład energetyczny miasta.

Istotnie, pomyślał Hollis, jeśli energetyka kojarzy się komuś z pięćdziesięcioma voltami podłączonymi do moszny. Obserwował kroczący z powrotem do biało-czerwonego autobusu Intouristu pochód Amerykanów. Moskwianie bacznie przyglądali się strojom cudzoziemców i Hollis żałował, że amerykańscy turyści nie przywiązują większej wagi do tego, jak się ubierają. Kilku Amerykanów odwróciło się i sfotografowało budynek zakładu energetycznego, wiedząc z bardziej godnego zaufania źródła, że mieści się tam osławiona Łubianka, kwatera główna i więzienie KGB.

Zapaliły się uliczne latarnie, choć nie było jeszcze zupełnie ciemno. Hollis wyjął z kieszeni znaczek z Leninem, przypiął go do kłapy i usiadł na ławce, z której rozciągał się widok na Prospekt Marksa. Wyjął z teczki zielone jabłko, kawałek koziego sera i mały nożyk. Rozłożył sobie na kolanach płócienną serwetkę i zaczął obierać jabłko. Na ławce po prawej stronie skubał razowiec starszy mężczyzna.

Parkowe ławki zastępowały w Moskwie sieć barów szybkiej obsługi.

Hollis rzucił obierzyny w stronę stada wróbli, które odfrunęły spłoszone, a potem wróciły i zaczęły je dziobać. Po jakimś czasie zobaczył człowieka, na którego czekał. Szedł Prospektem Marksa, mijając ruiny szesnastowiecznych murów. Na głowie miał elegancką futrzaną czapkę, a w ręku dyplomatkę ze świńskiej skóry, zbyt cienką, by pomieścić jabłko albo ser. Dopasowany, ściągnięty paskiem płaszcz i sprężysty chód zdradzały przebranego po cywilnemu wojskowego.

Generał sowieckich sił powietrznych, Walentyn Surikow, zbliżył się do Hollisa, płosząc po drodze gołębie. Zerknął na znaczek z Leninem, oznaczający, że pułkownik nie ciągnie za sobą ogona, i usiadł po drugiej stronie ławki. Zapalił papierosa, założył na nos okulary w złotych oprawkach i wyjął z dyplomatki egzemplarz *Prawdy*.

– Ser powinien być opakowany w folię, a nie gazetę - powiedział po angielsku, nie podnosząc wzroku. - Mamy już folię. Gazety użyłby wieśniak.

Hollis zmiął kawałek gazety i wepchnął go do teczki.

– Dlaczego wybrał pan to miejsce? - zapytał Surikow.

– A co to ma za znaczenie?

– To nie jest zabawa, przyjacielu. Nie robimy tego, żeby mógł pan opowiedzieć coś zabawnego swoim znajomym.

– Z całą pewnością, generale.

– Jeżeli pana złapią, chronić pana będzie immunitet i co najwyżej wydalą pana z tego kraju. Jeśli złapią mnie, wyląduję tam - wskazał głową Łubiankę - z kawałkiem ołowiu w głowie.

Hollis nie lubił za bardzo generała Walentyna Surikowa, chociaż trudno mu było powiedzieć dlaczego.

– Wie pan, co zrobili pułkownikowi Pieńkowskiemu, kiedy go złapali? - zapytał.

– Nie wiem, kim jest pułkownik Pieńkowski.

– Kim był... - Hollis nigdy nie przestawał się dziwić, uświadamiając sobie, jak mało ci ludzie wiedzą o historii kraju, w którym przyszło im żyć. Nawet generałowie. - Pieńkowski robił to samo co pan. Był całkiem znany na Zachodzie. Chłopcy z tego gmachu torturowali go przez sześć miesięcy, a potem wrzucili żywego do pieca. Pluton egzekucyjny jest dla ludzi, którzy popełnili mniejsze wykroczenia.

Ukroił plasterk jabłka, a potem przeciął go kilka razy, sprawdzając, czy nie ma robaków. Nie znalazłszy żadnych, wsadził sobie małe kawałki jabłka do ust.

Generał Surikow zapalił kolejnego papierosa.

– Jest pan absolutnie pewien, że nikt pana nie śledził?

Hollis wzruszył ramionami.

– Staralem się, jak mogłem. A pan?

– Nie mogę tak otwarcie jak pan podejmować akcji zabezpieczających. Muszę zachowywać się normalnie.

– Jaki jest oficjalny powód waszej obecności w tej części miasta, towarzyszu generale?

– Mam zarezerwowany stolik w restauracji hotelu „Berlin”. Za godzinę spotykam się tam ze swoją wnuczką na obiedzie.

– Znakomicie. Podoba mi się to.

– Skąd wiecie, że wrzucili go do pieca? - zapytał Surikow.

– Kogo? A, Pieńkowskiego. Nie wiem. Tak mi powiedział mój szef. Ale on nie zawsze mówi prawdę, podobnie zresztą jak pańscy szefowie. Brzmi to w każdym razie dobrze. Może chciał, żebym jeszcze bardziej znienawidził KGB.

– I nienawidzi ich pan?

– Osobiście nie - odparł Hollis. - Nie spieprzyli mi całego życia, tak jak to się stało w pańskim przypadku i w przypadku innych ludzi mieszkających między Władywostokiem i Berlinem Wschodnim. Pan ich nienawidzi?

Rosjanin nie odpowiedział i to zaintrygowało Hollisa. Nadal nie potrafił rozgryźć do końca tego człowieka.

– Z pańskiej notatki wynikało, że sprawa jest pilna.

Hollis skinął głową. Gdy w grę wchodziło nieprzewidziane wcześniej spotkanie, schemat był prosty. Hollis wysyłał do swojego kolegi w sowieckim Ministerstwie Obrony, pułkownika Andriejewa, notatkę, w której prosił o nie mające żadnego znaczenia informacje na temat toczących się właśnie rozmów rozbrojeniowych. Andriejew odsyłał oczywiście prośbę na biurko generała Surikowa. Surikow przykładał notatkę do małej, lecz szczegółowej mapy śródmieścia Moskwy. Zrobiona szpilką dziurka wskazywała miejsce spotkania, które odbywało się zawsze o wpół do szóstej wieczorem tego samego dnia. Zrobiona ołówkiem w którymkolwiek rogu notatki kreska oznaczała dzień następnny. Użyte w jakimkolwiek kontekście słowo „odpowiedź” sygnalizowało, że sprawa jest pilna.

– Zgadza się - odpowiedział Hollis. - Ale nie musi się pan niczego obawiać.

Pomyślał, że prawdopodobnie zepsuł generałowi cały dzień.

Surikow odwrócił stronę wielkiej płachty gazety i podniósł ją wyżej, żeby padało na nią więcej światła.

– Więc o co chodzi?

– Kto wygrał bitwę pod Borodinem?

Generał rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Co?

– Tołstoj opisuje dokładnie bitwę, twierdząc, że było to pyrrusowe zwycięstwo Francuzów. Niektórzy Rosjanie uważają jednak, że było to rosyjskie zwycięstwo. Jak to wszystko pogodzić? Kto wygrał?

– O czym pan opowiada? - zapytał Surikow.

– O rzeczywistości. O prawdzie. Chcę usłyszeć prawdę. Prawdziwą prawdę, nie sowiecką. Potrzebuję informacji o miejscu, w którym mieścił się niegdyś ośrodek szkoleniowy sowieckich sił powietrznych.

– Gdzie?

– Na północ od Borodina.

Generał nie odpowiedział.

– Przejął to teraz Komitet i używa w innych celach - ciągnął dalej Hollis.

- Wie pan, o jaką szkołę mi chodzi, prawda?

Rosjanin nadal milczał.

– Jeśli nic pan na ten temat nie wie, to żegnam - powiedział Hollis.

Surikow odchrząknął.

– Coś niecoś wiem.

– Ale nie musi to być nic ważnego, generale, skoro nie wspomniał pan o tym do tej pory ani słowem.

Minęła cała minuta, zanim Surikow odezwał się ponownie.

– Sprawa jest bardzo poważna, pułkowniku. Jej wpływ na losy światowego pokoju i przyszłe stosunki sowiecko-amerykańskie może okazać się do tego stopnia niekorzystny, że być może lepiej jej w ogóle nie rozgrzebywać.

Hollis nie odwrócił się w stronę Rosjanina, ale po jego tonie domyślał się, że generał, zwykle zimny jak lód, jest tym razem silnie wzburzony.

– Bardzo to pięknie z pańskiej strony, że stoi pan na straży światowego pokoju. Nastąpił jednak przeciek i chcę kontrolować sytuację, zanim informacja zostanie źle zrozumiana albo dostanie się w niepowołane ręce. Ale przede wszystkim muszę wiedzieć, co jest grane.

Surikow złożył z powrotem gazetę. Hollis zerknął w jego stronę i zobaczył, że ma zatroskaną minę.

– Proszę mi powiedzieć, co pan wie i skąd pan to wie - powiedział Amerykanin.

– Najpierw niech pan mi powie, co pan wie.

– Wiem dosyć, żeby zapytać o to miejsce. To wszystko, co musi pan wiedzieć.

- Muszę to przemyśleć - odparł Surikow.
- Robi to pan od dnia, kiedy skontaktował się pan ze mną po raz pierwszy, rok temu.
- Czyżby? Wydaje się panu, że wie pan, co dzieje się w moim umyśle i w mojej duszy? Nie jest pan nawet Rosjaninem.
- Podobnie jak pan, generale. Jest pan moskwianinem, człowiekiem sowieckim i podobnie jak ja nowoczesnym wojskowym. Świetnie się nawzajem rozumiemy.
- W porządku - oznajmił stanowczym głosem Surikow. - Przemyślałem to sobie. Chcę się wycofać.
- Może pan się zatem uważać za zwolnionego. - Hollis znalazł w końcu robaka w jabłku i cisnął ogryzek wróblom. - Życzę powodzenia i dziękuję.
- Nie zrozumiał mnie pan. Chcę stąd wyjechać. Z Rosji.
- Hollis wiedział od początku, co generał ma na myśli. Czasami, podobnie jak z niesfornymi żonami, trzeba zacząć negocjacje od spakowania walizki.
- Chcę spędzić jesień swojego życia na Zachodzie - oznajmił Surikow.
- Ja też.
- Generał nie odpowiedział.
- Obawia się pan, że pana podejrzewają? - zapytał Hollis.
- Nie, ale zaczną, jeśli powiem panu to, czego się pan chce dowiedzieć. Chcę jechać do Londynu.
- Naprawdę? W Londynie jest moja żona. Jej także się tu nie podobało.
- Ile zajmie wam przerzucenie mnie na Zachód?
- Lot trwa mniej więcej cztery godziny, generale. - Hollis odnajdywał przewrotną przyjemność w przypominaniu sowieckim dygnitarzom, jakiego rodzaju państwo udało im się stworzyć. - Złoży pan podanie o wizę turystyczną, a ja załatwię rezerwację w Aeroflocie. Bilet w jedną stronę, prawda?

- Twierdzi pan, że nie potraficie stąd przerzucać ludzi?
- To naprawdę bardzo trudne. Macie tu cholernie dobrą milicję.
- Niech pan nie myśli, przyjacielu, że jeżeli mnie tutaj zatrzymacie, nadal będę was karmił informacjami. Jeśli nie potraficie mnie stąd wydostać, rezygnuję ze współpracy.
- Powiedziałem już, że nie widzę przeszkód.
- Skontaktuję się z Brytyjczykami.

Hollis wytarł ręce w serwetkę. Utrata agenta, który wpadł w panikę i chce się wycofać, to jedno; przejęcie go przez inną służbę, to coś zupełnie innego. Według nowej teorii wolno było zrezygnować z usług informatora w dowolnej chwili i nie powinno się wywierać na niego presji, jak to się działo w przeszłości. Poddawani presji agenci nieuchronnie wpadali w ręce władz, a wtedy KGB dowiadywało się o każdej zdradzonej przez nich tajemnicy i podejmowało odpowiednie kroki zabezpieczające. Ale gdyby Surikow zwrócił się do Brytyjczyków i został zdemaskowany później, Hollis nigdy by się nie dowiedział, że jego były informator śpiewa na Łubiance.

– Albo z Francuzami. Mówię jako tako po francusku. Mógłbym zamieszkać w Paryżu.

– Jeśli chce pan iść do Francuzów, niech pan lepiej od razu zgłosi się do KGB. Zaoszczędzi pan sobie czasu. Są spenetrowani, generale. Większość ich agentów odbiera dodatkowe pobory w KGB.

– Niech pan nie próbuje mnie przestraszyć. Trzecią ewentualnością są Niemcy. Wybór należy teraz do pana.

– W porządku, przekażę to swoim zwierzchnikom. Nie chodzi o to, że nie chcemy pana przetrzucić, generale, lecz, że taka wycieczka jest naprawdę niebezpieczna. Dla pana.

W rzeczywistości, pomyślał Hollis, chodziło raczej o to pierwsze. Niektórzy politycy uwielbiają, kiedy na Zachód przejdzie jakiś wysoki rangą dygnitarz. Ale dla pracowników wywiadu szpieg, który ucieka, mówi KGB dokładnie to samo, co szpieg, którego aresztowali, a mianowicie, że wszystko, co przeszło przez jego biurko, znajduje się teraz w rękach przeciwnika. Surikow powinien albo szpiegować dla niego dalej, albo przejść na emeryturę i nie puszczać pary z gęby.

A ponieważ nie chciał zrobić ani jednego, ani drugiego, Hollisowi przeszło przez myśl, że najodpowiedniejszym dla niego wyjściem byłby wypadek samochodowy. W gruncie rzeczy jednak nie lubił tego rodzaju rozwiązań i miał nadzieję, że potrafi wymyślić coś bardziej konstruktywnego.

– Zastanowimy się nad tym. Pan też. Zachód wcale nie jest taki piękny, jak się niektórym wydaje.

– Niech pan skończy z tymi głupimi żartami, pułkowniku - odparł Surikow, zapalając swego kolejnego, trzeciego albo czwartego, papierosa.

Hollis wyjął ze swojej teczki własny egzemplarz *Prawdy*. Całkiem dobrze radził sobie ze współczesnym rosyjskim - biurokratycznym, dziennikarskim, komunistycznym rosyjskim. Gorzej szło mu z Czechowem, Gogolem, Tołstojem i innymi pisarzami i pomyślał, że chętnie postara się to zmienić, jeśli uda mu się żyć wystarczająco długo, by mógł kiedyś usiąść w bujanym fotelu z książką Tołstoja w ręku.

Zerknął ukradkiem na Surikowa, który również wydawał się pogrążony w lekturze swojej gazety, organu Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Czytał i wierzył w to, co czytał, dając tym przykład jakiegoś monstrualnego trójmyślenia. Ci ludzie, pomyślał Hollis, są naprawdę beznadziejni.

Beznadziejni, kiedy żyją w tym kraju, a dziecienni i zagubieni, kiedy się ich stąd wydostanie i po raz pierwszy da do ręki egzemplarz *Washington Post* albo londyńskiego *Timesa*. Afganistan walczy i pracuje, głosił jeden z tytułów gazety. Polityczne i gospodarcze powiązania pomiędzy Afganistanem i Związkiem Sowieckim, przeczytał Hollis, datują się od czasów W.I. Lenina i mogą służyć jako wzorowy przykład dobrosąsiedzkiej współpracy.

Hollis rzucił ponownie okiem na Rosjanina. Ten człowiek przez całe życie dostarczał swemu umysłowi bezwartościowych kalorii i nie należało się dziwić, że jego intelekt był niedożywiony. Zdał sobie sprawę, że w stosunkach z generałem musi zachowywać wyjątkową ostrożność.

– Rozumie pan, pułkowniku - powiedział Surikow, odwracając z szelestem stronę - że jeśli dam panu to, o co pan prosi, ani pan, ani ja nie możemy dłużej pozostać w Rosji.

– A to dlaczego?

Hollis przypomniał sobie pierwsze spotkanie z generałem. Surikow skontaktował się z nim dokładnie przed rokiem, na przyjęciu wydanym przez ambasadora Jugosławii z okazji jugosłowiańskiego święta niepodległości. Podszedł prosto do niego. „Pułkowniku Hollis, nazywam się Walentyn Surikow”, przedstawił się po angielsku. Miał na sobie mundur z dystynkcjami generała sowieckich sił powietrznych.

„Bardzo mi przyjemnie, panie generale”, odparł, zgodnie z regułami wojskowego *savoir vivre'u*, Hollis. „Chciałbym przekazać pańskiemu rządowi ważne dokumenty”, ciągnął dalej matowym głosem generał.

„Niech pan powie człowiekowi, który zajmuje się u was tymi sprawami, żeby skontaktował się ze mną na przyjęciu, które wydaje w przyszłym tygodniu ambasador Finlandii”.

Na przyjęciu u fińskiego ambasadora pojawił się sam Hollis. I siedząc teraz, rok później, na placu Dzierżyńskiego, musiał przyznać rację Surikowowi, że w ten czy inny sposób obaj zbliżają się do końca swojej niebezpiecznej znajomości.

Generał spojrzął znad gazety na grupę mężczyzn wychodzących frontowymi drzwiami z Łubianki.

– Poprosił pan o informację, a ja wymieniłem cenę - powiedział.

Hollis także spostrzegł mężczyzn, którzy zatrzymali się przed gmachem. Było ich sześciu; rozmawiali z ożywieniem, wymachując rękoma. Sprawiali wrażenie zadowolonych z siebie. Ale dlaczego miałyby być inaczej? Żyli w państwie policyjnym i byli policjantami.

Surikow zaczął się trochę niepokoić.

– Kiedy dowie się pan, co dzieje się w Borodinie - mówił tak cicho, że Hollis ledwo go dosłyszał - zrozumie pan, że przerzut na Zachód jest bardzo niską ceną za to, co wam powiem. Zakręci się panu od tego w głowie, pułkowniku - dodał, używając jednego ze swoich wyuczonych amerykańskich idiomów.

Hollis uśmiechnął się za swoją gazetą. Ponownie rzucił okiem na stojący po drugiej stronie placu gmach. Elegancki, utrzymany w stylu włoskim budynek liczył sobie osiem kondygnacji. Fasada pierwszych dwu wyłożona była szarym granitem, a wyższe piętra otynkowane na ów dziwny musztardowy kolor, który tak przypadł do gustu Rosjanom. Był to jeden z niewielu budynków z czystymi oknami i Hollis widział za nimi pracujących w niezdrowym, bladym świetle jarzeniówek ludzi.

To, co go zawsze uderzało w tym gmachu, to jego lokalizacja - w samym środku Moskwy, o rzut kamieniem od domu towarowego z zabawkami, tam gdzie codziennie oglądały go dziesiątki tysięcy ludzi. Oto miejsce, pomyślał, gdzie poddano torturom i zamordowano tysiące sowieckich

obywateli, miejsce, które przewodnicy Intouristu określali mianem zakładu energetycznego, a które moskwianie, jeśli w ogóle jakoś nazywali, to pełnym pogardy szeptem: Łubianka.

Ani jednak KGB, ani sowiecki rząd nie miały jak widać dość przyzwoitości, żeby zmienić przeznaczenie budynku, który tkwił niczym demonstracja brutalnej siły. Choć z drugiej strony może wiedzieli, co czynią. Ten gmach o czymś jednak przypominał, nieprawdaż? Nawet on zaczął się na jego widok zastanawiać, czy powinien dalej robić to, za co któregoś dnia może wylądować w środku.

Odwrócił wzrok w inną stronę, ale obraz Łubianki utkwiał mu pod powiekami.

– Zna pan pułkownika KGB o nazwisku Burow? - zapytał Surikowa.

– Być może.

Hollis zobaczył, że stojący przed budynkiem mężczyźni rozdzielili się. Czterech ruszyło w ich stronę.

Generał Surikow wstał.

– Siedzimy tu już wystarczająco długo. Będę przy grobie Gogola w przyszłą niedzielę o pierwszej.

Wybrał jak zwykle miejsce, którego Hollis będzie musiał długo szukać w swoim przewodniku Michelina.

– Jutro, generale.

– W niedzielę, pułkowniku. Potrzebuję czasu.

– W porządku. Spotkanie awaryjne?

– Nie będzie żadnego. Grób Gogola. Niedziela. Pierwsza po południu. Powie mi pan, w jaki sposób chcecie mnie przerzucić na Zachód, a ja wyjawię panu połowę tajemnicy. Drugiej połowy dowie się pan w Londynie.

Surikow wsadził pod pachę gazetę i wziął do ręki dyplomatkę. Chciał odejść, ale na widok czterech zbliżających się mężczyzn zastygł w bezruchu. Kagebiści zmierzli ich bacznym wzrokiem, który Hollisowi kojarzył się zawsze ze spojrzeniem wypatrujących nowej ofiary rabusiów. Zwolnili kroku, a potem poszli dalej.

Blady jak śmierć Surikow odwrócił się na pięcie i ruszył przez plac.

Hollis czekał, aż z ciemności wynurzą się duchowi spadkobiercy Feliksa Dzierżyńskiego i aresztują go, ale nic takiego się nie stało. Życie toczyło się dalej, a przestępcom - Hollisowi i Surikowowi - kolejny raz udało się wyprowadzić w pole organy ładu i porządku.

Zastanawiał się czasami, czy warto dla tego wszystkiego ryzykować życie. Ale siedząc teraz na ławce pomyślał o Gregu Fisherze, który już nie żył, i o majorze Jacku Dodsonie, którego życie wisiało na włosku. Pomyślał o Simmsie i tysiącu innych lotników, których własny kraj i rodziny dawno temu uznały za martwych. Jeśli nie popełni żadnego błędu, może uda mu się sprowadzić ich z powrotem do domu.

Śledził wzrokiem Surikowa, który zniknął w końcu w tłumie oblegającym *Dietskij Mir*.

– Przypuszczam - powiedział półgłosem do samego siebie - że do ucieczki stąd skłonią mnie kolejki. Nienawidzę kolejek.

To prawda, nie lubił Walentyna Surikowa, ale teraz nauczył się go nie lekceważyć. Musiał przyznać, że motywy zdrady generała nie były natury materialnej - nie otrzymał on dotąd za swoje usługi ani jednego rubla, ani jednego dolara i ani jednego franka na szwajcarskim koncie. Ale jego motywy nie były też takie wzniosłe.

Z tego, co wiedział Hollis, Surikow nie był ideologicznym konwertytą. A z tego, co usłyszał od niego samego, generał nigdy nie ucierpiał w wyniku działań systemu. Nikt z jego rodziny nie siedział w obozie ani nie

został zesłany. Prawdą było też, że generał Surikow nie musiał pchać się wraz z innymi ludźmi do *Dietskogo Mira*, żeby kupić swoim wnukom zabawki. Mógł co najwyżej poczuć zniecierpliwienie, przeciskając się przez tłum w drodze do hotelu „Berlin”, gdzie czekał go przyzwoity posiłek. Należał do komunistycznej arystokracji, do nomenklatury, zaopatrującej się w specjalnych sklepach i otrzymującej część dóbr prosto do domu. Ta cechująca się wprost monumentalną hipokryzją klasa cieszyła się przywilejami nieznanymi w najbardziej nawet rozwarstwionych społeczeństwach Zachodu.

I nagle któregoś dnia, pomyślał Hollis, z powodów znanych tylko samemu sobie, generał Surikow uznał, że wcale mu się tu nie podoba. Chciał zamieszkać w Londynie, mimo że, jak wiadomo było Hollisowi, nigdy w życiu nie przekroczył granic Związku Sowieckiego. I nie był to tylko tani bluff, jak uznał z początku pułkownik. Materiały dostarczane przez Rosjanina były najwyższej klasy - nominacje w siłach powietrznych, lokalizacja jednostek, przydziały i awanse. Rzeczy, których nie wykryje żaden szpiegowski satelita.

Najwyraźniej Surikow był pracownikiem - albo szefem - działu kadr całych sowieckich sił powietrznych. Sam jednak nigdy nie zdradził, jakie zajmuje stanowisko.

A teraz dał do zrozumienia, że ma czym zapłacić za bilet, i chciał, żeby Hollis zorganizował mu środek transportu. Połowa zapłaty przy rezerwacji, połowa po przyjeździe. Wciskając gazetę do kieszeni płaszcza, Hollis pokiwał głową. Istniała droga przerzutowa, ale nie można było jej używać zbyt często. A poza tym nie miał pewności, czy chce, żeby Surikow zamieszkał w Londynie. Generał zasługiwał na to, żeby mieszkać dalej w Moskwie. Służyło mu tutejsze powietrze.

Miał ochotę wrócić teraz do ambasady, ale wiedział, że przydzieleni do jej obserwacji dżentelmeni z Siódmego Dyrektoriatu, zgubiwszy go na placu Czerwonym, będą się przynajmniej starali odnotować godzinę jego powrotu. Wiedział również, że podobnie jak to się dzieje w przypadku niewiernej żony (na przykład jego własnej niewiernej żony), im później wraca się do domu, tym bardziej podenerwowani są tajniacy. Postanowił więc spędzić następną godzinę w Muzeum Politechnicznym. Może rzeczywiście warto było je zwiedzić. Tak czy owak zawsze miał słabość do rudowłosych pańienek.

Wstał, odpiął znaczek z Leninem i rzucił go na ziemię. Wziął do ręki teczkę i ruszył w stronę muzeum. Pomyślał o swojej mieszkającej w Londynie żonie, Katherine. To, że prowadził Surikowa, było jedną z przyczyn, dla których nie mógł wyjechać, żeby uporządkować swoje sprawy. Teraz generał mógł zjawić się w Londynie jeszcze przed nim. Paradoksy, w które obfitowała jego praca, nie miały końca.

– Nie miały końca - powiedział głośno.

Przed oczyma stanęła mu Lisa Rhodes - mimo że przez cały dzień starał się o niej nie myśleć. Uświadomił sobie, że czuje się za nią odpowiedzialny i to być może stanowi jeden z powodów, że do niej nie zadzwonił. Chciał się z nią spotykać, ale ponieważ zawsze miał uczucie, że stanowi ruchomy cel, nie był pewien, czy chce, żeby Lisa znajdowała się blisko niego. Te dylematy nie dręczyły najwyraźniej Alevy'ego, co miał okazję stwierdzić w arbackim antykwariacie.

W tym fachu, zauważył Hollis, stosunki męsko-damskie ograniczały się często wyłącznie do dwóch kategorii: zawodowo-seksualnych i seksualno-zawodowych. Alevy, o czym wiedział, preferował pierwsze, on sam wolałby unikać i jednych, i drugich.

Doszedł do wniosku, że być może powinien zapytać o zdanie Lisę Rhodes.

.15.

Sam Hollis wszedł do kręgielni mieszczącej się w podziemiach ośmiopiętrowego budynku ambasady. W środku było duszno; na trzech torach trwała gra. Kupił sobie w barze heinekena i usiadł przy pustym torze. Obok śmiały się, popijając alkohol, cztery pracownice Pomocniczej Służby Zagranicznej - trzy sekretarki i jedna pielęgniarka. Wszystkie miały na sobie dżinsy i T-shirty. Pielęgniarka, mała blondynka, strzeliła w jego stronę oczyma. Na jej koszulce widniał napis: „Jezu, Toto, nie jesteśmy już chyba w Kansas”.

Hollis uśmiechnął się. Pielęgniarka puściła do niego oko i odwróciła się, żeby rzucić kulę. Sam pociągnął łyk piwa i przyglądał się, jak grają. Było coś dziwnie gorączkowego w sposobie, w jaki rzucały kule, piły i zanosiły się śmiechem - tak jakby ktoś nakręcił zbyt mocno poruszające je sprężyny. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że za pięć minut padną wszystkie na podłogę.

Na torze po prawej stronie grało małżeństwo, Billi i Joan Horganowie. On był pracownikiem Rolniczej Służby Zagranicznej; ona nauczycielką w anglo-amerykańskiej szkole. Towarzyszyły im dwie kilkunastoletnie córki. Bill i Joan pomachali mu wesoło. Dziewczynki nudziły się chyba jak mopsy. Jedna z nich, przypomniał sobie Hollis, miewała często napady hysterii i płakała bez powodu.

Dwa tory dalej rzucało kulami czterech przebranych w cywilne ciuchy żołnierzy piechoty morskiej. Korpus wartowniczy ambasady liczył dwudziestu żołnierzy. Dobierano ich bardzo starannie, biorąc pod uwagę

wzrost, wagę, inteligencję, a także, co całkiem możliwe, pomyślał Hollis, prezencję. Regulamin marines wymagał, by byli nieżonaci. Stanowiło to źródło ciągłych kłopotów, z których najbardziej pamiętne, jeszcze z czasów starej ambasady, związane były z wymianą poufnych informacji za usługi seksualne.

Rosja, pomyślał Hollis, w większym stopniu niż inne kraje zmieniała przebywających tutaj na placówkach ludzi. Wyjeżdżało się stąd do domu zupełnie innym człowiekiem. Każdy Amerykanin, niezależnie od tego, czy był turystą, biznesmenem, czy pracownikiem ambasady, odróżniał się bez przerwy od otoczenia i znajdował pod bezustannym nadzorem państwa i jego obywateli. Człowiek budził się w napięciu, żył w napięciu i w napięciu szedł spać.

Niektórzy, tacy jak Katherine, uciekali. Inni załamywali się, jeszcze inni dostawali idiosynkrazji, a część zdradzała swój kraj. Byli i tacy jak Lisa, którzy obejmowali rosyjskiego niedźwiedzia i puszczała się z nim w tany, co było być może, pomyślał, jedynym sposobem, żeby nie stracić piątej klepki.

Kręgielnia i przylegające do niej pomieszczenia mogły także służyć jako schron przeciwatomowy i Hollis zastanawiał się czasem, czy pewnego dnia nie będzie się przyglądał uprzątającej kręgle maszynie, czekając jednocześnie na amerykańskie uderzenie, które zmiecie z powierzchni Ziemi śródmieście Moskwy.

Na ławce obok usiadł Seth Alevy. Przez chwilę przyglądał się czterem kobietom, kołysząc szklaneczką whisky, w której unosiły się kostki lodu.

– Zgadza się - powiedział w końcu. - Nie jesteśmy w Kansas. Jesteśmy pod Szmaragdowym Miastem.

Jednej z sekretarek udało się w końcu zbić wszystkie kręgle. Podskoczyła do góry z radości i klasnęła w dłonie swojej partnerki.

– Chcesz rozegrać parę setów? - zapytał Alevy'ego Hollis.

– Partii. Nie.

Hollis wiedział, że panujący tutaj na dole gwar stanowił dobrą osłonę. Bezradne okazywały się wobec niego wmontowane w ściany pluskwy, a także zainstalowane przez KGB w otaczających budynkach mikrofony kierunkowe. To stanowiło jedną z przyczyn, pomyślał, dla których Alevy lubił tu się z nim spotykać. Ale powodem decydującym było całkiem uzasadnione podejrzenie, iż w dźwiękoszczelnych pomieszczeniach w budynku ambasady działa podsłuch założony przez wewnętrzny wywiad Departamentu Stanu. Jako szef placówki CIA w Moskwie, odpowiedzialny za całą działalność amerykańskiego wywiadu w Związku Sowieckim, Seth nie mógł sobie pozwolić, by podsłuchiwali go przedstawiciele organizacji tak pośledniego sortu jak wywiad Departamentu Stanu. Tylko trochę mniej pogardzał reprezentowanym przez Hollisa wywiadem wojskowym.

Właściwie najmniej skomplikowane stosunki, pomyślał Hollis, łączyły Alevy'ego z KGB - Sowieci nie udawali przynajmniej, że są jego przyjaciółmi.

– Czy As się pojawił? - zapytał Alevy.

– Tak.

– Może nam w tym pomóc?

– Tak sędzę.

Alevy skinął głową.

– Dlaczego tak sądzisz, Sam?

– Przeczucie.

– Nie wzywałbyś na osobiste spotkanie jednego z naszych najlepszych informatorów w Związku Sowieckim z powodu jakiegoś przeczucia.

– As jest jednym z dowódców sowieckich sił powietrznych. Dodson jest... albo był jednym z naszych pilotów. To już coś.

– Bardzo niewiele. Teraz, kiedy jesteśmy sami, możesz opowiedzieć mi o wszystkim, czego dowiedziałeś się od tej francuskiej pary, a także o tym, co robiłeś i co zobaczyłeś podczas swojej wycieczki do Możajska. A potem przekażesz mi, czego dowiedziałeś się dzisiaj od Asa, i powiesz wszystko, co wiesz o tej sprawie, a o co nie przyszło mi nawet do głowy cię zapytać.

– Naprawdę nie zamierzam wdawać się w rywalizację między różnymi służbami, Seth. Bronię po prostu swojej małej działki. To daje mi poczucie własnej wartości.

– Sądzę, że niepotrzebnie obaj silimy się na drwiny - stwierdził Alevy. - W porządku, możemy przez jakiś czas działać równolegle. Proszę cię tylko, żebyś uważał na to, co przekazujesz do Pentagonu. Ja będę starał się robić to samo, redagując depesze do Langley.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego. Ta sprawa jest tak poważna, że spróbują prowadzić ją bezpośrednio stamtąd. A potem włączą się w to Departament Stanu i Biały Dom i nasza rola ograniczy się do ścisłego wykonywania poleceń jakiegoś siedzącego na tyłku w podziemiach Białego Domu dygnitarza. A to my przecież nadstawiamy karku, Sam.

Hollis nie odezwał się.

– Nadstawiałeś już kiedyś karku na wojnie - dodał Alevy - w której obowiązywało tyle ograniczeń dotyczących bombardowań, że mogłeś być pewien, iż nie uda ci się zrobić krzywdy nikomu poza samym sobą. Czy to cię wciąż nie wkurza? Czy nie chciałeś nigdy wyrównać rachunków z Waszyngtonem? Nie masz ochoty sprowadzić do domu kilku zaginionych lotników? Wiesz przecież, że tam są, Sam. Wiesz równie dobrze jak ja.

Hollis popatrzył mu prosto w oczy.

– Potrafię zrozumieć racjonalne argumenty, Seth - powiedział cicho. - Ale nigdy, powtarzam, nigdy, nie próbuj ze mną takich zagrywek. Zejdź z

mojej przeszłości. Sam sobie z nią poradzę.

Alevy nie spuścił wzroku, a potem skinął głową i odwrócił się.

– W porządku. To było tanie zagranie.

Hollis dopił do końca swoje piwo. Alevy wstał, podszedł do baru i wrócił z kolejnym drinkiem. Hollisowi podał piwo.

– Wiesz co? - zagadnął. - Myślałem trochę o Asie. Nie wiem, czy on coś nie kręci.

Hollis domyślił się, co będzie dalej. Miał teraz udowodnić, że jego człowiek nie jest podwójnym agentem.

– Zawsze dostarczał dobry towar - powiedział.

Alevy rzucił na niego okiem.

– Na to wygląda. Wszystko, co przekazał, sprawdzali zarówno moi, jak i twoi ludzie. A jednak...

Hollis przyjrzał się świeżo wypastowanemu, robionym na miarę półbutom Alevy'ego. Jego włoskiemu jedwabnemu garniturowi w kolorze błękitu. Szytej na miarę koszuli i krawatowi z firmy Liberty. Seth Alevy wydawał na ciuchy całkiem sporo forsy. Co ciekawe, ktoś, kto pamiętał go ze Stanów, twierdził, że Seth ubierał się w Waszyngtonie gorzej niż w Moskwie. Hollis podejrzewał, że Alevy stroi się głównie po to, żeby zdenerwować Rosjan. Z tego, co wiedział, szef moskiewskiej placówki CIA był jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek pojawił się w Teatrze Bolszoi ubrany w smoking. Właściwie wcale by się nie zdziwił, gdyby Alevy był jedynym posiadaczem smokingu w całej Rosji.

Seth wypił swoją drugą whisky.

– Towar Asa jest dobry, ale sam As może próbować wpędzić nas w niezłe tarapaty. Mówiąc mu o Borodinie, dałeś mu do rąk prawdziwy dynamit.

– Zawsze jest taka możliwość - odparł Hollis, przypatrując się czterem grającym obok kobietom. Ta w koszulce z napisem chybiła i zaklęła brzydko pod nosem. Zadarła przód koszulki i otarła nią spoconą twarz, odsłaniając przy tej czynności brzuch.

– Niezły pępek.

– Co? - zapytał Alevy i spojrział. - Aha.

– Jak twoje sprawy sercowe, Seth?

– To raczej osobiste pytanie.

– Wprost przeciwnie, to pytanie dotyczące spraw zawodowych.

– Cóż... w przeciwieństwie do naszych marines, którym trzeba to powtarzać każdego dnia, nie muszę ci chyba przypominać, że lokalne dziewice są poza naszym zasięgiem. Podobnie jak, przynajmniej w teorii, żony naszych kolegów.

– W teorii...

– Są poza naszym zasięgiem - powtórzył Alevy, ignorując kpiący ton Hollisa. - Obecnie mamy w ambasadzie trzydzieści dwie niezamężne kobiety. Co najmniej dwadzieścia nawiązało już jakieś związki.

– Naprawdę? Skąd o tym wiesz?

– Mam dossier na temat każdej pracującej tu osoby. Czy to nie obrzydliwe?

– Bez komentarza.

– Ludziom z wywiadu, takim jak ty i ja, nie wolno również podrywać kobiet z innych zachodnich ambasad. Jediną możliwością jest więc przygruchanie sobie jakiejś samotnej Amerykanki. Możesz przesiadywać w dolarowych barach i czekać, aż trafi ci się jakaś wolna amerykańska turystka.

– Przesiadywałeś tam?

– Być może. - Alevy spojrział na Hollisa. - Zakładam, że twoja żona nie wraca. Niemniej dopóki nie dostaniesz rozwodu, musisz przestrzegać pewnych zasad. - Uśmiechnął się i poklepał Sama po ramieniu w rzadkim u niego przejawie poufałości. - Zresztą ty i tak nie nadajesz się na kawalera. Za długo byłeś żonaty.

Hollis nie odpowiedział.

– Masz na myśli kogoś konkretnego? - zapytał Alevy.

– Nie. Sprawdzam po prostu, czy przestrzegasz przepisów.

Alevy posłał Hollisowi długie spojrzenie.

– Czy coś zdarzyło się między tobą a Lisą? To pytanie dotyczące spraw zawodowych.

– Zajrzyj do swojego dossier.

– Nie chcę - oświadczył chłodniejszym tonem Alevy - żebyś się teraz rozpraszał. Powinieneś myśleć o Asie.

– Myślę bez przerwy. Dlatego właśnie spotkałem się z nim na placu Dzierżyńskiego. Przechodziło obok nas kilku tajniaków i As zrobił się blady jak płótno. Trudno zapanować nad karnacją.

Alevy wzruszył ramionami.

– Słyszałem o podobnej sytuacji. Facet smarował się jakimś azotanem, żeby się nie zdradzić. Zrobił się szary jak popiół. Ale plac Dzierżyńskiego nie był złym pomysłem. Miejsce akurat dla wojskowego. Choć trochę ryzykowne.

Hollis pociągnął łyk piwa.

– Jeśli pošlesz Asa na zieloną trawkę - ciągnął dalej Alevy - to jesteśmy górą, niezależnie od tego, czy gra do jednej, czy do dwóch bramek. Z drugiej strony, jeśli będziesz się z nim dalej spotykać, możesz odkryć, co chodzi mu po głowie. Ale tym, co chodzi mu po głowie, może być zastawienie na ciebie pułapki i wtedy będzie już za późno.

– Właściwie pojawił się nowy element.

– Jaki?

– As chce wyjechać na Zachód.

– Czyżby?

– Tak mówi.

Alevy chwilę się namyślał.

– Może chce się dowiedzieć, w jaki sposób przierzucamy stąd ludzi.

– Może. A może rzeczywiście chce stąd uciec.

Hollis objął dłońmi butelkę piwa i patrzył, jak ściekają po niej kropelki rosy. W profesjonalnym wizerunku Alevy'ego był jeden słaby punkt: nie znosił Rosjan. Niechęć do sowieckiego reżimu stanowiła jeden z warunków dobrego wykonywania tej pracy. Ale Alevy nie potrafił pogodzić się z faktem, że nie wszyscy ukształtowani przez ten reżim ludzie zdolni są wyłącznie do zdrady i łajdactwa. Być może miał rację. Generał Surikow stanowił w każdym razie dobry przykład nowego sowieckiego człowieka.

– Nie mam bynajmniej zamiaru posyłać go na zieloną trawkę ani przekazać tobie, jeśli to masz na myśli.

– Wcale o tym nie myślałem. Facet najwyraźniej chce gadać tylko z bratnim oficerem lotnictwa. Ja nie mógłbym go prowadzić. Co oferuje za bilet na Zachód? Raport na temat Borodina?

– Tak.

– Może podsunąłeś mu po prostu ten pomysł. Może wymyśli jakieś bzdury tylko po to, żeby się stąd wydostać.

– Wkrótce się dowiemy.

– Zamierzasz z nim się spotkać osobiście?

– Tak. - Hollis postawił butelkę na podłodze i otarł ręce o spodnie. - Ale nie życzę sobie niczyjzego towarzystwa.

– Ja też chcę z nim porozmawiać.

– Nie uważam tego za dobry pomysł. Szef placówki CIA, najważniejszy facet ze wszystkich działających w Związku Sowieckim zachodnich wywiadów, nie powinien uganiać się po Moskwie, próbując spotkać się z rosyjskimi informatorami. Mam rację?

– Nie twoje zmartwienie.

– Jasne.

Hollis uświadomił sobie, jak mało wie o Alevym. W Langley okazał się podobno geniuszem w dziedzinie politycznej analizy, a jego proroctwa, dotyczące rozwoju wydarzeń u Sowieców, zwłaszcza gorbaczowowskiej głośności, sprawdzały się z taką dokładnością, że niektórzy twierdzili, że musi mieć znajomego w Politbiurze.

Alevy przyjechał do Moskwy mniej więcej przed trzema laty jako trzeci zastępca szefa placówki. Teraz sam został szefem. Nie wolno mu było opuszczać terenu ambasady bez dwóch ochroniarzy i kapsułki cyjanku.

Hollis wiedział, że zdarza mu się czasami wyjść bez obstawy, ale nigdy bez trucizny. Oficjalnie Alevy pełnił funkcję sekretarza do spraw politycznych, ale jak zwykle w tego rodzaju przypadkach, była to dość cienka fasada. KGB i tak wiedziało, kim jest; wiedzieli o tym także prawie wszyscy wyżsi urzędnicy ambasady.

– Może o to właśnie chodzi Asowi - zauważył prowokacyjnie Hollis. - Żeby wywabić cię z ambasady i zabić.

– Nawet oni nie zabijają wyższych amerykańskich dyplomatów.

– W twoim przypadku chętnie zrobią wyjątek. A poza tym nie jesteś dyplomatą.

– Jak to nie? Mam dyplomatyczny paszport. Chodzę na wszystkie przyjęcia i wysławiam się nie gorzej od ambasadora.

Hollis wstał.

– Co robiłeś w piątek wieczorem na Sadownikach?

Alevy również podniósł się z miejsca.

– Przyjęcie z okazji Sukkot. Dożynki. Coś w rodzaju naszego Święta Dziękczynienia.

Hollis kiwnął głową. Słyszał, że Alevy mieszkał kiedyś kilka miesięcy w rosyjsko-żydowskiej społeczności w brooklyńskim Brighton Beach. Dzięki temu mówił po rosyjsku z moskiewsko-leningradzkim akcentem i był chyba jedynym człowiekiem w całej ambasadzie, który mógł udawać Rosjanina. Hollis domyślał się, że przyjaciele Alevy'ego z Brighton Beach dostarczyli mu najświeższych informacji na temat prześladowań religijnych w Rosji i dali nazwiska ludzi, z którymi mógł się skontaktować w Moskwie. Przyjeżdżając tutaj dysponował dzięki temu atutami, których nie miał nikt poza nim.

– Interesujesz się judaizmem? - zapytał Alevy.

– Wiem, że Sowietci za nim nie przepadają. Wiem, że obrzędy religijne mogą spowodować interwencję KGB. Wiem, że ambasador nie byłby zadowolony z faktu, że sprawiasz przykrość naszym gospodarzom.

– Pierdolę jego ekscelencję - stwierdził Alevy. - Żydzi są tutaj elementem politycznie niepewnym, więc można się z nimi śmiało przyjaźnić.

Hollisa uderzyła zawarta w tym stwierdzeniu ironia. Amerykańscy Żydzi byli kiedyś uważani za element niepewny przez CIA. Teraz Alevy został szefem placówki CIA w Moskwie częściowo dlatego, że był Żydem. Czasy się zmieniają.

– Żydowskie dysydenci są tutaj naszą piątą kolumną, Sam - odezwał się Alevy, jakby czytał w jego myślach. - Powinniśmy nawiązywać więcej kontaktów z tą społecznością.

– Jesteś tego pewien?

Choćby nawet było to prawdą, pomyślał Hollis, Alevy wdał się w niebezpieczną grę. Niebezpieczną, ponieważ prowadził ją na własną rękę, bez oficjalnego poparcia i osłony. Któregoś dnia, pomyślał, Seth Alevy znajdzie się sam na sam ze swoją kapsułką cyjanku.

– Ci ludzie mają dosyć własnych problemów - powiedział, przypominając sobie to, o czym rozmyślał w chacie Pawła. - Mieszając się w ich sprawy, pogarszasz tylko sytuację, w której się znajdują.

– Bzdura. Sytuacja Żydów pogarsza się głównie wtedy, kiedy usiłują ugłaskać jakoś swoich prześladowców.

– Być może. Słuchaj, nie lubię gadać o polityce ani o religii... interesuje mnie tylko seks i futbol. Ale jako twój kolega i tak, idioto, nawet jako twój przyjaciel powtarzam ci: KGB potrafi przełknąć to, że jesteś szpiegiem, ale nie to, że jesteś Żydem. Jesteś nam tutaj potrzebny, zwłaszcza teraz, kiedy wynikła ta nowa sprawa.

– Więc kiedy i gdzie masz się spotkać z Asem? - zapytał Alevy, puszczając mimo uszu jego słowa.

Hollis wiedział, że nie może mu odmówić podania tej informacji.

– Przy grobie Gogola. W przyszłą niedzielę. O trzeciej po południu. Z przybliżeniem do paru godzin.

– Gdzie w dzisiejszych czasach może leżeć Gogol?

– Nie mam pojęcia.

Zmierzając razem z Alevym w stronę wyjścia, Hollis zauważył, że wartownicy, sekretarki i pielęgniarka połączyli siły i wycofali się wspólnie do baru. Kręgielnia opustoszała - podobnie jak sale do gier, basen pływacki i w ogóle cały klub z wyjątkiem barów. Mogło się zdawać, że wszystkich mieszkańców ambasady ogarnia, zwłaszcza z nadejściem zimy, coś w rodzaju zbiorowego letargu. W żadnej z poprzednich ambasad nigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Nie wiedział, do jakich wniosków

doszedłby przyglądający się temu labiryntowi i jego białym szczurom psycholog, ale miał na ten temat własną prywatną teorię: ludzie w obrębie murów zarazali się w jakiś sposób chorobą, która toczyła ludzi za murami.

Spojrzał na zamocowany nad windą znak z napisem „wyjście” i do głowy przyszło mu rosyjskie słowo: „biezwychnost”. Położenie bez wyjścia; ślepa uliczka; daremność wszelkich starań; brak nadziei - wszystko zawarte było w tym jednym słowie, które było na ustach wszystkich, mimo że nigdy nie wydrukowała go *Prawda*.

– *Biezwychnost* - powiedział na głos.

Alevy uważnie mu się przyjrzał. Zdawał się rozumieć, o co chodzi.

– To właśnie zostaje, kiedy zabierze się człowiekowi Boga.

– Ale to samo widzę tutaj, w środku. To się chyba udziela.

– Może - odparł Alevy. - Ale nie nam. My wiemy, po co tutaj jesteśmy, prawda, Sam?

– Jasne.

– Żeby łać w dupę czerwonych - dodał Alevy.

– Codziennie rano i wieczorem - odparł Hollis, ale tak naprawdę sam już w to nie wierzył. W głębi duszy uważał, że ma nareszcie szansę zrobić coś pozytywnego - ma szansę wymazać ze swojej pamięci port w Hajfongu i rozwiązać raz na zawsze problem zaginionych w akcji.

Dwie windy przyjechały równocześnie. Hollis wsiadł do jednej, Alevy do drugiej.

.16.

Lisa Rhodes podniosła telefon w swoim biurze, wykręciła numer gabinetu Hollisa, a potem odłożyła słuchawkę, zanim odezwał się sygnał.

– Niech go diabli wezmą!

Wykręciła numer Alevy'ego. Połączyła go z nim jego sekretarka.

– Cześć, Li... - odezwał się Alevy.

– Czy powiedziałeś Samowi Hollisowi, żeby się ze mną nie kontaktował?

– Nie, nigdy bym...

– Nie kłamiesz?

– Nie. Ale jeśli mam być z tobą szczery, nie uważam za dobry pomysł, żebyś angażowała się...

– Przestań się wpięprzać w moje życie, Seth.

– Uspokój się.

Wzięła głęboki oddech.

– W porządku. Przepraszam.

– Słuchaj, skoro on ciebie unika... wciąż cię kocham. Dlaczego nie mielibyśmy porozmawiać...

– Już rozmawialiśmy.

– Naprawdę powinienem być na ciebie wściekły. Co się wydarzyło w tej wiosce?

– Napisałam o tym w swoim raporcie.

– Liso...

– Muszę już iść. Cześć, Seth. - Odłożyła słuchawkę. - Przekleć mężczyźni.

Spojrzała na zegarek i widząc, że minęła piąta, nalała sobie bourbona. Przysunęła do siebie maszynopis i zaczęła go poprawiać, sama nie wiedząc, co czyta.

Po paru minutach do pokoju wmaszerowała Kay Hoffman. Zajęła swoje ulubione miejsce przy wylocie ciepłego powietrza.

– Och! Próbowalaś kiedyś tego?

Lisa nie odpowiedziała, pochylona nad maszynopisem.

Kay Hoffman wzięła do ręki świeżo dostarczony egzemplarz *Washington Post* z poprzedniego dnia, przerzuciła go, a potem zerknęła z powrotem na Lisę.

– Wszystko z tobą w porządku?

– Tak.

– Comiesięczna chandra?

– Nie.

Lisa wykreśliła całą linijkę z maszynopisu. Pomyślała o swojej pracy w Centrum Informacyjnym Stanów Zjednoczonych. Pisała materiały dla prasy, ale była jednocześnie dyżurną rusofilką odpowiedzialną za sprawy kultury. Organizowała występy gościnne sowieckich zespołów po Stanach. Oni wysyłali Bolszoi, ze Stanów przyjeżdżał Van Halen. Uwielbiała czytać rosyjską poezję w oryginale; głęboko poruszał ją Pasternak. Znała się dobrze na ikonach, rosyjskim balecie, tradycyjnej kuchni i sztuce ludowej. Wierzyła, że rozumie zawarty w rosyjskiej duszy mistycyzm - wciąż żywą więź, jaka łączyła tych ludzi z ziemią i prawosławną cerkwią. A od czasu Jabłonii sama w większym stopniu czuła się Rosjanką.

Czasami wydawało jej się, że to na jej wątłych barkach spoczął ciężar stosunków między dwoma supermocarstwami. Ale jeśli Amerykanie i

Sowietom nie chcieli się wzajemnie rozumieć, to była to w końcu ich sprawa. Któregoś dnia wysadzą siebie i resztę świata w powietrze i dwie kultury upodobnią się do siebie.

Zrobiła jeszcze kilka poprawek w przygotowanym przez siebie materiale. Pisała na ogół zawsze dwie wersje: jedną dla prasy amerykańskiej, a drugą, po rosyjsku, dla sowieckiej agencji prasowej, TASS. TASS korzystał z jej materiałów, nie podając źródła. Jeśli o to chodzi, amerykańska prasa niczym nie różniła się od sowieckiej.

Lisa podniosła wzrok.

– Czy mam być miła - zapytała - dla Van Halena, czy dla publiczności?

Kay spojrzała na nią znad gazety.

– Jeszcze nad tym pracujesz? Mieliśmy to dzisiaj wysłać. Napisz, że było wspaniale.

– Skąd dostajesz swoje polecenia?

– Ja nie dostaję poleceń, Liso. Wyłącznie wskazówki.

– Skąd?

– Z wysokiego szczebla.

– Któregoś dnia napiszę to, co chcę. To, co tam naprawdę widziałam.

– Któregoś dnia być może. Ale dzisiaj napiszesz to, co ci każą.

– To samo słyszy pewnie dziś wieczorem jakiś aparatczyk w TASS-ie.

– Niewykluczone. Ale my nie rozstrzelamy cię, jeśli nie będziesz robiła tego, co każemy. Więc nie mów mi, że niczym się od nich nie różnimy.

– Nie... miałam na myśli, że to wszystko ma głębszy wymiar. Cała ta młodzież zafascynowana jest zachodnią popkulturą. Wszyscy ubrani byli w dżinsy. Krzyczeli po angielsku: Super! Beautiful, baby! To było... - przez chwilę się zastanawiała. - To było nierealne, takie właśnie było. Ale czy na tym właśnie polega rewolucja?

Kay Hoffman wpatrywała się w nią przez chwilę.

– Jeżeli nawet, to nie waź się o tym pisać.

Lisa powróciła z powrotem do maszynopisu. Kay pochyliła się ponownie nad swoją gazetą.

Co to było? - pomyślała Lisa. Co się tutaj dzieje?

Ale takich pytań nie należało sobie zadawać w Służbie Informacyjnej Stanów Zjednoczonych. Praca tutaj przypominała pracę w Ministerstwie Prawdy; sposób myślenia zmieniał się wraz z kolejną zmianą linii partii. Obecnie stosunki sowiecko-amerykańskie znajdowały się w przededniu przełomu. A rozwijająca się wymiana kulturalna stanowiła zapowiedź zwiększonej aktywności dyplomatycznej. Obowiązujące ją polecenia - wskazówki - brzmiały: oceniać pozytywnie, podbijać bębenka. Myśleć o pokoju.

Takie same były polecenia kilka lat wcześniej, jeszcze zanim KGB aresztowało pod sfabrykowanym zarzutem szpiegostwa amerykańskiego korespondenta, Nicholasa Daniloffa. Potem nadeszły nowe: zawiesić wszelką wymianę kulturalną. I tak to szło w orwellowskim stylu: w tył zwrot w połowie zdania. Maszyny do pisania przestały bić pianę i zamiast tego wysunęły się z nich oschłe komunikaty o odwołanych imprezach. Obecnie znowu potrzebowano piany. Chociaż z drugiej strony wynikła ta sprawa z Fisherem.

– Nie podoba mi się - powiedziała do Kay - że napisałaś ten komunikat o śmierci Fishera i umieściłaś na dole moje nazwisko.

Kay wzruszyła ramionami.

– Przepraszam. Takie dostałam polecenie - wyjaśniła. - Co się przytrafiło temu chłopakowi?

– Dokładnie to, co napisałaś w moim komunikacie.

– Domyślam się, że nie zasługuję, żeby się dowiedzieć.

– Może powinnam złożyć rezygnację.

Kay przez chwilę milczała.

– Nie sądzę, żebyś musiała tak się tym przejmować - powiedziała w końcu.

– Co masz na myśli?

– Zapomnij o tym.

Lisa zgasła papierosa i zapaliła następnego. Jej kontrakt opiewał na cztery lata. Miała jeszcze przed sobą mniej niż dwa. Jako Foreign Service Officer - pracownik służby zagranicznej, otrzymywała przydział podobnie jak każdy oficer. I faktycznie jej stopień - FSO-6 - odpowiadał z grubsza randze kapitana. Miała tytuł zastępcy szefa biura prasowego. Szefową była Kay Hoffman. W biurze pracowało sześć osób: pięć kobiet i jeden mężczyzna. Wszystko to było bardzo ekscytujące i bardzo nudne; bardzo łatwe i bardzo trudne.

Spojrzała na ścienny zegar. Było dziesięć po piątej. Pomyślała, że powinna pójść do swego apartamentu i zająć się podpisami do albumu. Wstała.

– Mam tego powyżej dziurek w nosie - powiedziała wrzucając kilka papierów do teczki.

– Dobrze się czujesz? - zapytała Kay, unosząc wzrok znad gazety.

– Nikt tutaj nie czuje się dobrze - odpaliła Lisa. - „To trudna misja” - mówią w Departamencie Stanu delikwentowi, który się tutaj wybiera. Nie sądzisz, że sowieckie władze mogą się tym poczuć urażone?

Kay uśmiechnęła się kwaśno.

– Gównu ich to obchodzi. Cały ten pieprzony kraj jest od samego początku w trudnej misji i zrobił go w nią jego własny rząd. Pomogłoby ci - dodała - gdybyś znalazła sobie faceta.

– To wcale nie pomaga.

– Ależ skąd, pomaga. Czy pytałam cię już, co się stało z tym facetem od spraw politycznych? Nazywał się chyba Seth Alevy.

Zbierając manatki i przygotowując się do spędzenia kolejnego samotnego wieczoru Lisa pomyślała przez chwilę o Alevym. Romanse w ambasadzie były w dużej części wynikiem ciągłego przebywania z tymi samymi osobami. Rozmawiali z Sethem o małżeństwie, o konflikcie karier, o tym, że każdy ze współmałżonków będzie tułał się po innych placówkach. Oboje zgodzili się, że to nie ma sensu, dopóki jedno z nich nie wycofa się ze służby. I na tym stanęło.

– Między nami nic nie było - odpowiedziała.

– Musiało coś być, Liso. Przecież praktycznie się do niego wprowadziłaś.

– Nie wydaje ci się, że żyjemy tu w ambasadzie jak w jakimś małym miasteczku?

– Zgadza się. Dwustu siedemdziesięciu sześciu mieszkańców według ostatniego spisu. Nie chciałam być wścibska. Po prostu się o ciebie martwię.

– Wiem. - Uśmiechnęła się. - Może wezmę sobie za kochanka Rosjanina. Uda mi się dzięki temu zrozumieć do końca rosyjską duszę.

– Są fatalnymi kochankami.

– Skąd wiesz?

Kay puściła do niej oko. Rzuciła gazetę na podłogę i wstała.

– Nagrzałam sobie tyłek i jestem strasznie napalona. Idę do kręgielni. Możesz mi towarzyszyć. Ma na ciebie chrapkę paru marines.

– Nie, dzięki. Boli mnie głowa.

– W porządku. Zobaczymy się przy śniadaniu. - Kay Hoffman podeszła do drzwi i obejrzała się przez ramię. - Krążą plotki, że ty i ten attaché powietrzny, Hollis, wybraliście się wspólnie na weekend.

– Nonsens. Pojechaliśmy zająć się zwłokami Gregory'ego Fishera.
Wszyscy tutaj są tacy małoduszni.

Kay roześmiała się i wyszła.

Lisa została w pustym pokoju wpatrując się w telefon.

.17.

Sam Hollis odebrał telefon w swoim biurze.

– Hollis.

– Hollis - powtórzyła basem przedrzeźniając go. - Nie możesz powiedzieć „cześć”?

– Cześć, Liso. - Spojrzał na ścienny zegar. Było wpół do szóstej i nie rozmawiał z nią od niedzieli po południu, kiedy wyszedł ze spotkania z Banksem i Alevym. - Co słychać?

– Czuję się wykorzystana. Myślałam, że zadzwonisz, przysłesz kwiaty albo sama nie wiem co.

– Nie dostarczają tutaj kwiatów.

– Co za palant!

– Słuchaj, Liso, nie jestem dobry w te klocki. Mam żonę i nieczęsto wypuszczam się na podryw.

– Słyszałam co innego.

– To źle słyszałaś. Mogę ci fundnąć drinka?

– Nie.

– Przykro mi...

– Chcę, żebyś zaprosił mnie na kolację. Poza terenem.

Hollis uśmiechnął się.

– Spotkamy się w holu. Za pół godziny?

– Za trzydzieści pięć minut - odparła i odłożyła słuchawkę.

Hollis zadzwonił do swego adiutanta, kapitana O'Shea.

– Ed, załatw mi moskiewską taksówkę. Niech czeka przy bramie za czterdzieści pięć minut.

– A co powiesz na samochód z kierowcą?

– Nie, to sprawa osobista.

– Osobista czy nie, pozwól, że załatwię ci wóz służbowy.

– Taksówka w zupełności mi wystarczy.

Hollis odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Wychodziło na wschód i rozciągał się z niego widok na centrum miasta. W nocy widać było stąd kremłowskie wieże, wszystkie iluminowane niczym drogocenne klejnoty w lichej oprawie.

– Moskwa.

Niezbyt stara, jak na europejskie standardy, założona w dwunastym wieku jako osada handlowa, przycupnęła, otoczona drewnianą palisadą, na niewielkim wzniesieniu, gdzie teraz znajdował się Kreml. Nijakie miasto położone nad nijaką rzeką, w środku nijakiego lasu. Oprócz drewna, śniegu i błota nie było tu żadnych bogactw naturalnych. Miasto było niszczone ogniem i mieczem przez dziesiątki obcych armii, ale zamiast popaść w zapomnienie jak tysiące innych, odradzało się, za każdym razem trochę większe i trochę silniejsze. Nie wnosząc nic w zamian, stało się stolicą cesarstwa, a potem komunistycznego supermocarstwa. Nazywana czasami Trzecim Rzymem Moskwa, w przeciwieństwie do Rzymu nad Tybrem, spowita była cała w cień i mrok i zamieszкана przez ludzi unoszących się w moralnej próżni.

– To ludzie - stwierdził Hollis.

Jednego bogactwa nie można było Moskwie odmówić: jej mieszkańców. Twardych, upartych, spiskujących sukinsynów. To miasto było magnesem, mekką przyciągającą wszystkich podobnie myślących sukinsynów z całego Związku Sowieckiego. Hollis podziwiał ich.

Wszedł do łazienki, poprawił krawat i przyczesał włosy.

– Burow.

Burow nie był prowincjonalnym, mozajskim żandarmem. Był moskwianinem z wyboru, jeśli nie z urodzenia. A co więcej, musiał być w jakiś sposób związany ze Szkołą Wdzięku. Hollis nie wiedział, skąd bierze się jego pewność. Ale czuł ją.

Założył płaszcz, przeszedł kilkanaście metrów korytarzem i wkroczył niezapowiedziany do narożnego gabinetu Alevy'ego. Zasuwał ciężkie kotary i włączył magnetofon. W pokoju zabrzmiał głos Boba Dylana śpiewającego *Mr. Tambourine Man*. Hollis przysunął fotel tuż do Alevy'ego.

– Burow - powiedział cicho.

Alevy kiwnął głową.

– Znamy tylko nazwisko i rysopis, prawda?

– A chcemy wiedzieć więcej. Chcemy go namierzyć. Chcemy ustalić, czy jest kimś więcej niż tylko zjawą, która pojawiła się w mozajskiej kostnicy. Zadzwoń do restauracji „Lefortowo”. Zamów na moje nazwisko stolik na dwie osoby.

Alevy przez chwilę milczał.

– Ryzykowne zagranie.

– Niezupełnie. Ci, którzy podsłuchują rozmowy, są uczuleni na moje nazwisko. Nawet jeżeli Burow jest gdzieś w okolicach Mozajska, zdoła przyjechać do Moskwy w ciągu dwóch godzin.

– Kogo zapraszasz na tę kolację?

– Nie ciebie.

Alevy uśmiechnął się kwaśno.

– Okay. Ale jeżeli Burow się pojawi i będzie miał ochotę nie tylko na grzeczną rozmowę, będę musiał wyciągnąć cię jakoś z „Lefortowa”.

– Nie musiałeś wyciągać mnie z Mozajska.

– Myślę, że igrasz z losem, pułkowniku. Nie wspominając o losie naszej przyjaciółki.

Hollis wstał.

– Nie będę przed nią niczego krył. Niech sama zadecyduje.

Alevy również podniósł się z fotela.

– Pamiętasz tę mowę, którą uraczyłeś mnie na temat pomocy sowieckim Żydom? Pozwól, że udzielę ci podobnej rady dotyczącej amerykańskich lotników. Zastanów się, czy warto ryzykować dla nich życie. Albo przynajmniej upewnij się, czy ktoś będzie mógł poprowadzić to dalej, kiedy już ciebie nie będzie. Innymi słowy, powiedz mi wszystko, co wiesz, zanim cię zabiją.

– Jeżeli to zrobię, Seth, nie będzie ci tak zależało na moim bezpieczeństwie.

– Rany boskie... rozumiemy jak jacyś paranoiczni szpiedzy. A swoją drogą, wiesz już może, gdzie jest grób Gogola?

– Nie jestem nawet pewien, czy on rzeczywiście umarł.

Hollis wyszedł z gabinetu Alevy'ego i zjechał windą na parter. Wielki otwarty na przestrzał hol wypełniali pracownicy ambasady, którzy dopiero co skończyli pracę. Niektórzy z nich czekali na swoich współmałżonków, dzieci lub przyjaciół; inni wychodzili tylnym wyjściem, udając się w krótką drogę do domu. Niewielu wsiadało z powrotem do wind, zjeżdżając do mieszczącego się w podziemiach klubu. Jeszcze mniej, na ogół w grupkach po dwie albo więcej osób, kierowało się w stronę bramy, do miasta - żeby przeżyć upojny wieczór albo coś jeszcze ciekawszego.

Na pierwszy rzut oka, pomyślał Hollis, scena ta nie różniła się od normalnego popołudnia w pierwszym lepszym biurowcu. Ale już po krótkiej chwili wyczuwało się, że coś jest nie tak. Wszyscy ci ludzie, niezależnie od tego, czym się zajmowali i jakie piastowali funkcje, żyli

wewnątrz otoczonej murami cytadeli, połączeni niewidocznymi więzami, dzieląc ze sobą wzajemnie swoje problemy, smutki i radości. Trzystu Amerykanów, których otaczało osiem milionów Rosjan.

Zauważył Lisę rozmawiającą z trzema mężczyznami, w których rozpoznał pracowników sekcji handlowej. Nie widziała go, a on patrzył, jak uśmiecha się i śmieje razem z nimi. Dwóch mężczyzn było całkiem przystojnych i najwyraźniej starało się ją poderwać. Stwierdził, że wyprowadza go to z równowagi.

Rozejrzała się po holu i spostrzegła Hollisa. Przeprosiła towarzystwo i zbliżyła się do niego.

– Cześć, pułkowniku.

– Cześć, panno Rhodes.

– Znasz Kevina, Phila i Hugh'a z sekcji handlowej? Mogę cię przedstawić.

– Kiedy indziej. Czeka na nas taksówka.

Ruszył w stronę drzwi, a ona za nim. Wyszli na chłodne powietrze i podeszli do bramy. Lisa zadrżała.

– Dobry Boże, wieje wiatr z północy. Tak będzie aż do maja.

– Chciałem do ciebie zadzwonić przez te ostatnie dwa dni... - zaczął Hollis.

– Daj spokój, Sam. Wszystko w swoim czasie. Zresztą i tak byłem zawałona robotą. Kolacja to dobry pomysł. Dzięki.

– Świetnie. - Wziął ją pod ramię i odwrócił ku sobie. - Wciąż jednak uważam, że jestem ci winien pewne wyjaśnienie. Zanim pojechaliśmy do Możajska, uprzedziłem cię, że to może być niebezpieczne, i miałaś okazję zobaczyć, co miałem na myśli. Teraz niebezpieczny jest każdy dzień, każda chwila poza ambasadą. Nie chodzi tylko o dzisiejszą kolację... Pytanie,

które chcę ci zadać, brzmi: czy chcesz związać się ze mną i zaangażować w to, co robię?

– Czeka na nas taksówka.

Wziął ją za rękę i przeszli razem przez bramę. Amerykański żołnierz oddał im salut, a sowieccy milicjanci zmierzli groźnym wzrokiem. Siedzący w swoich czajkach agenci KGB odłożyli na bok gazety i podnieśli do oczu lornetki.

Hollis zobaczył dwie oczekujące przy krawężniku taksówki. Moskiewscy taksówkarze nie czekają na ogół na nikogo - jedyny wyjątek robią dla pracowników zachodnich ambasad.

Wybrał białą ładę i wsiedli do środka.

– Lefortowo - powiedział kierowcy.

Ten obejrzał się do tyłu.

– Do restauracji, nie do więzienia - powiedział po rosyjsku Hollis. - Jest przy ulicy czerwonego czegoś tam. Czy to panu coś mówi?

Lisa roześmiała się. Kierowca ruszył do przodu.

– Wiem, gdzie to jest.

Hollis obejrzał się i zobaczył, że jedna z czajek zakręca o sto osiemdziesiąt stopni i rusza za nimi.

– Lefortowo to nazwa restauracji? - zapytała go Lisa.

– Tak.

– Nigdy o niej nie słyszałam. Czy to ta mordownia KGB, do której obiecałeś mnie zabrać?

– Zgadza się.

– Państwowe Biuro Nazewnictwa nie rozsyła na ogół ankiet mieszkańcom, ale ta nazwa jest naprawdę odpychająca. Jak Łubianka albo Dachau.

– To nie jest knajpa dla turystów.

– Zapowiada się niezła przygoda. Jesteś znacznie bardziej podniecający, niż na to wyglądasz.

– Dziękuję.

– Mówicie po rosyjsku? - wtrącił się zwyczajem moskiewskich taksówkarzy kierowca.

– Trochę.

– Może chcecie się wybrać do innej restauracji?

– Dlaczego?

– Ta nie jest zbyt miła.

– Dlaczego?

– Milicja. Za dużo tam milicji. Nikt inny nie lubi tam chodzić.

– Ma pan na myśli KGB?

Kierowca nie odpowiedział. Zapalił papierosa i wewnątrz taksówki wypełniło się gryzącym dymem.

– Jeśli dacie mi dwa dolary - powiedział - zapomnę o taksometrze.

– Nie wolno nam dawać panu dolarów.

– Macie może jakąś gumę do żucia, szminkę, papierosy?

Lisa pogrzebała w torebce.

– Mam błyszczek do ust Estee Lauder. Może pan dać go swojej żonie.

– Dam przyjaciółce. Żonie daję pensję. Dziękuję.

– Mężczyźni to takie świnię - powiedziała Lisa do Hollisa po angielsku.

– Wiem.

– Oboje mówicie dobrze po rosyjsku - stwierdził kierowca. - Jesteście szpiegami?

– Tak - odparł Hollis.

Kierowca roześmiał się. Skręcił z ronda w Szosę Entuzjastów i jechał dalej na wschód w stronę Lefortowa.

– Z każdym rokiem robi się coraz większy ruch - powiedział.

Hollis wcale nie dostrzegwał wokół siebie dużego ruchu.

– Wie pan - zapytał - że Waszyngton i Moskwa chcą zorganizować w styczniu przyszłego roku kolejny szczyt?

– Tak. Czytałem o tym.

– Co pan o tym sądzi? - zapytał Hollis.

Kierowca rozejrzał się, jakby próbował ustalić, czy w samochodzie nie siedzi dodatkowy pasażer.

– Rozmawiają o pokoju od czterdziestu pieprzonych lat. Gdyby naprawdę chcieli pokoju, dawno by go mieli.

Hollis uważnie wysłuchał taksówkarza przedstawiającego mu swój, cokolwiek pokrętny, pogląd na świat. Wiedział dobrze, co myślą sowieccy dyplomaci, i chciał czasami poznać opinię przeciętnego człowieka z ulicy.

Taksówka skręciła w ulicę Krasnokursancką. Minęli ponure mury lefortowskiego więzienia i zatrzymali się przed nowoczesną fasadą ze szkła i aluminium.

– Powinniśmy się pogodzić - podsumował kierowca - zanim zaczną nami rządzić czarnuchy i żółtki. Kiedy wysadzimy się wzajemnie w powietrze, to oni obejmą władzę nad światem. Niech pan to powie swojemu prezydentowi.

– Postaram się.

– Na pewno chcecie tutaj zjeść kolację?

– Tak.

Hollis wręczył mu pięć rubli i kazał zatrzymać resztę, co taksówkarz uczynił bez żadnej żenady. Hollisowi opowiadano, że nie dalej jak dziesięć lat wcześniej taksówkarze odmawiali przyjęcia napiwku. Ale rewolucja już się skończyła i nikt nie brał na serio jej haseł. Od dwóch lat nie słyszał już, żeby ktoś zwracał się do kogoś per „towarzyszu”. Zniknęły gdzieś duma i ferwor, wszyscy zbijali forszę i brali łapówki. Cerkwie pękały w szwach,

spadała liczba przyjętych do partii, a rosła liczba samobójstw. Obniżał się średni statystyczny wiek i zwiększało, mimo antyalkoholowej kampanii, spożycie wódki. Rosja staczała się powoli na pozycję drugorzędnego państwa, dysponującego jednak nadal pierwszorzędną bronią i światowej klasy milicją.

Hollis podszedł razem z Lisą do drzwi restauracji.

– Ten facet mówił zupełnie to samo co mój ostatni nowojorski taksjarski - powiedziała.

– Niech Bóg błogosławi proletariat. Ci ludzie nie owijają przynajmniej niczego w bawełnę.

Lisa spojrzała w górę i w dół ulicy.

– Nigdy nie byłam w tej części miasta. Strasznie tu ciemno. Ciemno i ponuro.

– Starają się stworzyć odpowiedni nastrój.

Popatrzyła na znajdujące się po drugiej stronie ulicy więzienie KGB, a potem spostrzegła stojący nie opodal z zapalonym silnikiem samochód.

– Czy to nasza ulubiona czajka?

– Całkiem możliwe. W kraju, w którym produkuje się cztery marki samochodów, w większości czarnych, trudno przesądzić, czy ktoś cię śledzi.

Weszli do środka, oddali okrycia w szatni i Hollis wprowadził Lisę do środka restauracji - średniej wielkości sali, o niezbyt ciekawym wystroju, ale nader interesującej klienteli. Większość gości stanowili mężczyźni, z których więcej niż połowa była umundurowana. Cywile mieli na sobie brązowe garnitury, skrojone lepiej od tych, które nosił przeciętny mieszkaniec stolicy. Sala nie była tak jasno oświetlona jak w innych moskiewskich restauracjach, ale nastrój, zauważył Hollis, nie stał się przez to ani trochę bardziej romantyczny.

– Ciarki chodzą mi po grzbiecie - powiedziała Lisa. - Uwielbiam to.

Hollis podał swoje nazwisko kobiecie zajmującej się rezerwacjami. Przyjrzała mu się dokładnie, zmierzyła nieprzyjemnym wzrokiem Lisę, po czym marszcząc brwi zaprowadziła ich do stojącego na środku sali stolika. Na białym płóciennym obrusie leżała ciężka zastawa.

Hollis wysunął krzesło przed Lisą.

– Wszyscy się na nas gapią.

– Dlatego, że jesteś taka piękna.

– Wiedzą, że jesteśmy Amerykanami.

– Powinnaś wiedzieć - powiedział Hollis - że dżentelmeni, których tu widzisz, są w większości pracownikami Lefortowa... mam na myśli więzienie, nie restaurację. Są tutaj najlepsi, jakich można znaleźć w KGB, sędziowie śledczy, specjaliści od mokrej roboty i kaci. Ta praca bardzo pobudza apetyt. Jedzenie tutaj jest dobre, obsługa najszybsza w całej Moskwie i całej Rosji, a ceny wyjątkowo niskie.

Siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyzna wlepił oczy w Lisę. Ta odpowiedziała mu równie uporczywym spojrzeniem.

– KGB nie zakłada tutaj przy stolikach pluskiew. Tutaj KGB siedzi przy stolikach.

Podeszła do nich kelnerka z wodą mineralną. Postawiła ją na stole i podała im dwie karty. Hollis zamówił butelkę gruzińskiego wina.

Kelnerka oddaliła się bez słowa.

– Dokąd zmierza ten kraj - powiedziała Lisa - skoro amerykański szpieg może spokojnie siedzieć w restauracji razem z setką zbirów z KGB? Stalin przewraca się w grobie.

Hollis spojrzał na nią znad menu.

– W odróżnieniu od restauracji w śródmieściu, kiedy coś figuruje w menu, to znaczy, że rzeczywiście możesz to dostać.

Kelnerka przyniosła im wino i zamówili kolację.

– Ten sukinsyn wciąż się na mnie gapi.

Hollis rozlał czerwone wino do dwóch kieliszków.

– Poproszę go, żeby wyszedł ze mną na zewnątrz.

– Nie. - Lisa uśmiechnęła się. - Jeśli chodzi o restaurację, jesteśmy kwita.

Pokazała język facetowi, który się na nią gapił. Kilku gości roześmiało się. Mężczyzna wstał od stolika i Hollis zastanawiał się przez chwilę, czy nie wybije głową sufitu.

Rozległy się gwizdy i okrzyki zachęty.

– Wiktor! - wrzasnął ktoś. - Nie bądź niekulturalny. Postaw Amerykanom drinka.

– Nie! - krzyknął ktoś inny. - Pokaż, jakim jesteś chamem, i wyrzuć ich stąd na zbity pysk.

Lisa rozejrzała się, ale na sali nie widać było ani jednego kelnera.

– Chcesz stąd wyjść? - zapytała Hollisa.

– Nie.

Wiktor i Hollis stanęli naprzeciwko siebie. Na sali zrobiło się bardzo cicho. Nagle od stojącego w rogu, pogrążonego w mroku stolika wstał i ruszył w ich stronę wysoki, szczupły mężczyzna w cywilnym ubraniu.

– Won! - warknął na Wiktora, który szybko wyniósł się z sali.

Pułkownik Burow wskazał dłonią stolik.

– Proszę. Siadajcie. Czy mogę?

Usiadł przy ich stoliku, wciąż zapraszając Hollisa do zajęcia miejsca. Strzelił z palców i jak spod ziemi pojawiła się kelnerka.

– Więcej wina. - Spojrzał na Hollisa i Lisę. - Muszę was przeprosić w imieniu mojego rodaka.

– Dlaczego? On sam nie opanował jeszcze ludzkiej mowy? - zapytał Hollis.

Burow zrobił głupią minę, ale po chwili zrozumiał i wybuchnął śmiechem. Odwrócił się i przetłumaczył innym to, co powiedział Hollis. Wszyscy zarykiwali się ze śmiechu.

– Często tutaj pan zachodzi? - zwrócił się do niego Hollis.

– Tak. To ulubiona restauracja mojej firmy. Nie wiedział pan o tym?

Hollis zignorował pytanie.

– Czy mam zakładać, że nasze spotkanie jest przypadkowe? - zapytał.

– Może to prawdziwe zrzędzenie losu.

– Co pan ma na myśli, pułkowniku Burow?

– Wiele rzeczy, pułkowniku Hollis. Od czasu naszego ostatniego nieprzyjemnego spotkania w Możajsku wiele myślałem o was dwojgu.

– Podobnie jak my o panu.

– Pochlebia mi to. Swoją drogą, doniesiono mi, że w ogóle nie pojechał pan do tego sowchozu.

– I co z tego?

– Znaleźliśmy wasz wynajęty samochód - ciągnął dalej Burow - tam gdzie go porzuciliście, na stacji Gagarin. Przekazałem go wydziałowi śledczemu moskiewskiej milicji. Zbadano odciski opon i znaleziono ślady błota, sosnowe gałązki, i tak dalej. Wnoszę z tego, że przebywaliście na terenie wojskowym. Dokładnie rzecz biorąc, dwa kilometry na północ od pola bitwy pod Borodinem.

– Czy mógłby pan podać masło, pułkowniku? - poprosił Hollis.

Burow przesunął talerzyk z masłem przez stół.

– No i co pan na to?

Hollis pochylił się w stronę Rosjanina.

– Jeśli ma pan ochotę z nami porozmawiać, proponuję, żeby zwrócił się pan do swego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i załatwił to za pośrednictwem mojej ambasady. Żegnam pana.

Burow walnął łyżką w stół.

– Do diabła z ministerstwem. To sprawa wywiadu. Wiem, kim pan jest. Wiem, że na karku i plecach ma pan blizny po ranach, które odniósł pan, kiedy zestrzelono pana nad Hajfongiem. Wiem, że pańska siostra ma na imię Mary, a pańska matka nadużywa alkoholu. Przejdźmy do konkretów i zapomnijmy o dyplomatycznym protokole.

Hollis wyjął łyżkę z dłoni pułkownika.

– W porządku, skończmy z dyplomacją. Zamordował pan amerykańskiego obywatela. Kazał pan ciężko pobić mojego kierowcę i prawdopodobnie zamierza pan zabić mnie i pannę Rhodes. Mimo to siedzi pan tutaj i rozmawia z nami, jakby był pan normalnym cywilizowanym człowiekiem. Nie jest pan nim.

Burow nie sprawiał wrażenia obrażonego. Potarł palcem wargi, a potem kiwnął w zamyśleniu głową.

– W porządku. Nie ma sensu zaprzeczać faktom, o których dobrze wiecie. Jednak wnioski, jakie z nich wysnuwacie, są prawdopodobnie błędne. Ta sprawa wykracza całkowicie poza pańskie kompetencje, pułkownika Hollis, a już na pewno poza pani, panno Rhodes. Przyznaję, że w pewnym stopniu wykracza również poza moje. Zajmują się nią ludzie postawieni bardzo wysoko.

– Więc dlaczego zabijacie maluczkich, pułkownika? - zapytała Lisa.

Burow zignorował jej pytanie.

– Dobrze, zaspokoję waszą ciekawość - powiedział. - Sprawa wygląda tak: major Jack Dodson, o którym wspominał w swoim telefonie do was zmarły pan Fisher, był zdrajcą. Przebywając w obozie jenieckim w

Socjalistycznej Republice Wietnamu, major Dodson przesłał do ambasady sowieckiej w Hanoi list, w którym poprosił o spotkanie. Jego prośba została spełniona. Podczas dyskusji z sowieckim attaché wojskowym major Dodson oświadczył, że z radością przyjmie ofertę zwolnienia z obozu jenieckiego i wyjedzie do Związku Sowieckiego w zamian za przekazanie posiadanych przez niego informacji na tematy wojskowe. Czuł się rozgoryczony i zdradzony przez własny kraj. Stwierdził, że Ameryka nie prowadziła wojny we właściwy sposób i że zasada ograniczonej wojny powietrznej naraziła na szwank jego życie, uniemożliwiła wykazanie się zdolnościami bojowymi i stała przyczyną śmierci jego przyjaciół. Być może pan również żywi podobne odczucia, pułkowniku. Tak czy owak Dodson poprosił nas, abyśmy uwolnili go z wietnamskiego obozu. Zrobiliśmy to.

Ani Hollis, ani Lisa nie odezwali się jednym słowem.

– Dlaczego Związek Sowiecki - zapytał w końcu Hollis - nie ogłosił jego przejścia na Wschód? Odnieśliście poważny sukces propagandowy.

– Dodson nie chciał tego. To wchodziło w zakres umowy, jaką z nim zawarliśmy.

– I pozwolił, żeby rodzina myślała, że nie żyje? - zapytała Lisa.

Burow wzruszył ramionami.

– Major Dodson wspominał, że żona często go zdradzała. Nie mieli, zdaje się, dzieci.

– Wszystko to lipa - stwierdził Hollis. - Co robił Dodson w sosnowym lesie, w nocy, kiedy natknął się na niego Gregory Fisher? Zbierał grzyby?

– I dlaczego - dodała Lisa - Gregory Fisher opuścił hotel „Rossija” po tym, jak pułkownik Hollis kazał mu tam zostać? Dlaczego pojechał z powrotem w stronę Borodina, gdzie zginął w wypadku samochodowym? Niech pan odpowie, pułkowniku Burow.

Burow wypił łyk wina.

– Wypadek pana Fishera nie ma żadnego związku z osobą majora Dodsona. Ale słuchając taśmy z zapisem jego rozmowy z państwem, zauważyłem, że był bardzo wzburzony. Raport milicyjny twierdzi, że był również pijany. Według mnie wpadł w panikę i usiadł z powrotem za kierownicą z zamiarem... no cóż, trudno zgadnąć, co chodzi po głowie pijanemu. Co do majora Dodsona, wybrał się na pieszą wycieczkę, jak to miał w zwyczaju. Spotkał zupełnie przypadkowo pana Fishera i ogarnięty prawdopodobnie nostalgią, opowiedział mu o sobie. Ale nie mógł twierdzić, że jest jeńcem, ponieważ to nieprawda.

Wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i wręczył ją Hollisowi.

– Tu ma pan list napisany własną ręką majora Dodsona w styczniu 1973 roku. Prosi w nim on o udzielenie azylu w Związku Sowieckim. Pańscy zwierzchnicy już się z nim zapoznali i oba rządy czynią w tej chwili wszystko, żeby uniknąć nieprzyjemnego rozgłosu, który mógłby pociągnąć za sobą ujawnienie tej sprawy. To była cicha dezercja i chcemy, żeby taką pozostała.

Hollis odsunął list Dodsona, nawet na niego nie patrząc.

– Chcę się spotkać z majorem i usłyszeć to wszystko z jego własnych ust - oświadczył.

Burow kiwnął głową.

– Dobrze, w porządku. Jeśli będzie sobie tego życzył.

– Nie dbam o to, czy sobie będzie życzył, czy nie. Ma pan go do tego zmusić. Jutro. Tutaj w Moskwie. Proponuję Centrum Międzynarodowego Handlu jako coś w rodzaju terenu neutralnego.

Rosjanin zapalił papierosa i wypuścił z ust dym.

– Przedstawię tę propozycję właściwym władzom.

– Jeśli nie udałoby się podjąć w tej sprawie szybkiej decyzji, co nie jest tutaj czymś niezwykłym, chcę zobaczyć fotografię majora Dodsona, trzymającego w rękach egzemplarz jutrzejszej *Prawdy*.

– Bardzo sprytne.

Hollis pochylił się ku Burowowi.

– Jeśli okaże się, że nie jesteście w stanie pokazać nam majora Dodsona względnie jego fotografii, dojdę do wniosku, że albo go zabiliście, albo nadal wymyka wam się z rąk. Prawdę mówiąc, uważam, że jeszcze go nie złapaliście i że niedługo się ujawni, i to bynajmniej nie w Centrum Handlu.

Burow spojrzał na Lisę, a potem na Hollisa.

– Przyjeżdżający do Związku Sowieckiego ludzie z Zachodu to bardzo często paranoicy naszpikowani bzdurami, których się o nas naczytali. Patrzą na wszystko przez czarne okulary i nie rozumieją tego, co widzą. Ale od ludzi takich jak wy oczekiwałem bardziej wyważonego sądu.

– Pieprzy pan - odparł Hollis. - Niech pan zadzwoni jutro do mojego biura w sprawie majora Dodsona.

– Spróbuję. Ale jutro, jak mówicie wy, Amerykanie, mam na głowie inne sprawy. Dokładnie rzecz biorąc, zajmuję się dochodzeniem w sprawie dwóch strażników. Zostali zamordowani na terenie, o którym wam już wspominałem. Dwóch młodych mężczyzn postrzelonych w pierś i zostawionych w agonii. Kto mógł dopuścić się takiej zbrodni?

Wlepił wzrok w Hollisa, a potem w Lisę.

Hollis szturchnął Burowa palcem w pierś.

– Dwóch młodych mężczyzn - powiedział przez zaciśnięte zęby - zostawionych w agonii? Ty sukinsynu! Ty i twoi kumple zamordowaliście miliony młodych mężczyzn, kobiet i dzieci...

Lisa złapała go za ramię.

– Nie denerwuj się, Sam. Spokojnie.

W restauracji zapadła nagle cisza. Głowy wszystkich odwrócone były w ich stronę. Twarz Rosjanina zamieniła się w nieruchomą maskę. Nikt się nie odezwał ani nie poruszył przez całą minutę.

– Ale z was głupcy - powiedział w końcu. - Żeby przyjść tutaj w ten sposób... oskarżać mnie o morderstwo...

– A swoją drogą - przerwał mu Hollis - kim był ten mężczyzna, który otworzył mi drzwi w pokoju Fishera w „Rossiji”?

– Skąd mam wiedzieć?

– Ten facet - stwierdził Hollis - wyglądał i mówił jak Amerykanin. W rzeczywistości jednak był Rosjaninem, agentem KGB, pracującym w pierwszej dyrekcji naczelnej, prawdopodobnie w sekcji A. Oprócz innych szkół skończył Instytut Studiów Kanadyjskich i Amerykańskich w Moskwie.

Pułkownik zmierzył Hollisa nieprzyjemnym wzrokiem.

– Facet był bardzo dobry, Burow - ciągnął dalej Hollis - więc go nie wywalaj. Powiedziałbym nawet, że zbyt dobry. Lepszy od ludzi, których wypuszczają na ogół wasze szkoły. Wiedziałem, że nie mieszka w tym pokoju i doszedłem do wniosku, że jest jednym z was. Ale z początku wydawało mi się, że to pracujący dla was Amerykanin. Dopiero potem zacząłem myśleć o Szkole Wdzięku pani Iwanowej, o majorze Dodsonie i jeszcze paru rzeczach. I doszedłem do wniosków, od których zakręciło mi się w głowie. - Przerwał i dolał Burowowi wina. - Wygląda na to, że potrzebuje pan drinka, pułkowniku.

Burow odchrząknął.

– Chciałbym zabrać was teraz ze sobą - oświadczył sztywno - żebyśmy mogli kontynuować tę rozmowę na osobności.

– A ja sądzę, że powinniśmy skończyć kolację. Żegnam pana - oświadczył Hollis.

– Chodźcie. Do mojego biura są stąd dwa kroki.

– Idź pan do diabła.

– Obleciał was strach? - zapytał prowokacyjnie Burow. - Do Lefortowa prowadzą dwie drogi. Tylko jedna z nich jest dobrowolna.

Hollis rozejrzał się po sali i zobaczył, że kilku mężczyzn wstaje z miejsc. Niektórzy z siedzących uśmiechali się.

– Nasza ambasada wie, że tutaj jesteśmy - powiedziała Lisa.

– Nie, panno Rhodes. Wiedzą, dokąd wyjechaliście. Ale czy wiedzą, że dotarliście na miejsce? - Burow wstał. - Proszę wstać i iść ze mną.

Hollis położył na stole swoją serwetkę, wstał i wziął Lisę pod ramię. Ruszyli za pułkownikiem w stronę drzwi. Tyły zabezpieczali trzej kagebiści, wśród których był Wiktor. Odebrali okrycia w szatni i wyszli na chłodne powietrze.

– Na lewo - powiedział Burow.

– Myślę, że tutaj powiemy sobie do widzenia - oświadczył Hollis. Wziął Lisę pod ramię i ruszył w przeciwną stronę.

Burow dał znak trzem mężczyznom. Wiktor pchnął w bok Hollisa, który zatoczył się na zaparkowany samochód.

– Ty sukinsynu! - krzyknęła Lisa kopiąc Wiktora w krocze.

Inny kagebista uderzył ją w twarz i pociągnął za włosy do ziemi. Hollis odwrócił się. Strzelił Burowa w szczękę, a potem ruszył w stronę mężczyzny, który trzymał Lisę za włosy.

Ten wyciągnął pistolet.

– Stoj - warknął.

Hollis zatrzymał się. Burow podniósł się na nogi, a w ręku Wiktora, który doszedł do siebie po kopniaku, również ukazał się pistolet.

– Jesteście oboje aresztowani - oświadczył chłodno Burow, przytykając chusteczkę do krwawiącego podbródka.

Hollis pomógł wstać Lisie.

– Nic ci się nie stało?

– Nic.

– Ruszajcie - warknął Burow. - Znacie drogę.

Lisa i Hollis ruszyli ciemną, opustoszałą ulicą w stronę więzienia. Z tyłu eskortowali ich Burow i trzech kagebiści.

– Wiktor dostał od niej kopa w jaja - powiedział po rosyjsku do swoich ludzi Burow - więc on ją przeszuka.

Wszyscy czterej się roześmieli.

Kiedy do więzienia mieli nie więcej jak sto metrów, w ulicę, którą szli, skręcił nagle i zapalił długie światła jakiś samochód. Z tyłu nadjechał inny. Hollis rozpoznał w nich sowieckie wołgi. Podjechały do krawężnika i zatrzymały się. Tylne drzwi otworzyły się i na ulicę wyskoczyło czterech mężczyzn w czarnych kurtkach i kominiarkach.

Seth Alevy, bez kominiarki, wysiadł z samochodu, minął Hollisa i Lisę i podszedł prosto do Burowa.

– Dobry wieczór. Pułkownik Burow, jak sądzę.

Burow przyjrzał się otaczającym go, ubranym na czarno mężczyznom.

– Wszyscy uzbrojeni są w automaty z tłumikami - oświadczył Alevy. - Chciałbym, żeby pan o tym wiedział.

Wzrok Rosjanina spoczął na Alevym.

– Jest pan aresztowany.

– Z miłą chęcią położyłbym trupem trzech pańskich przyjaciół - ciągnął nie zrażony tym Seth - i porwałbym pana prosto spod Lefortowa. Jeśli jednak będzie się pan zachowywał rozsądnie, uznamy to za remis i pożegnamy się do następnego razu. Szybko, pułkowniku: tak czy nie?

Burow skinął głową.

– Niech pan im każe oddać broń. Już.

Pułkownik spełnił polecenie. Alevy nie spuszczał wzroku z jego twarzy, jakby chciał na zawsze zapamiętać jej rysy.

– Wie pan, kim jestem? - zapytał.

– Naturalnie. Tym brudnym Żydkiem, szefem tutejszej placówki CIA.

– Cóż, nie będziemy się spierać o definicje. Chcę tylko, żeby pan wiedział, że pańska kariera wisi na włosku. Zna pan ten idiom?

– Może mi pan naskoczyć.

Zbliżył się do nich Hollis.

– Wciąż oczekuję od pana telefonu w sprawie Dodsona - powiedział zwracając się do Burowa.

Hollis i Alevy puścili przodem Lisę, a potem sami siedli na tylnym siedzeniu wołgi. Pozostali Amerykanie wskoczyli do drugiego samochodu i ruszyli wszyscy z powrotem w stronę śródmieścia.

– Muszę zapalić - stwierdziła Lisa.

– Uchyl szybę - powiedział Alevy.

Lisa zapaliła drżącą ręką papierosa.

– Jezus...

– Nic ci nie jest? - zapytał Hollis.

– Nie. Chcesz papierosa?

– Nie w tej chwili.

– Nie sądzę, żeby było dobrym pomysłem bicie pułkownika KGB po twarzy - powiedział Alevy do Hollisa.

– Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Dwóch siedzących z przodu Amerykanów roześmiało się.

– To było za Brennana, prawda, pułkowniku? - zapytał kierowca.

– W połowie za Brennana, w połowie za mnie.

– Najlepiej unikać fizycznej przemocy - oznajmił sucho Alevy. - Nie powinniśmy tego traktować jako sprawy osobistej.

Hollis pomyślał, że była to jednak przede wszystkim sprawa osobista. Wiedział, że Alevy świetnie sobie z tego zdaje sprawę.

– W ten właśnie sposób wszystko się zaczyna - dodał Alevy. - Teraz przy następnej okazji on będzie próbował złamać ci szczękę.

– Jeśli trafi mu się kiedykolwiek taka okazja, w pełni sobie na to zasłużę.

– Chcieli nas sponiewierać, Seth - wtrąciła się Lisa. - Mieliśmy prawo się bronić.

– Tutaj nie macie prawa tego robić - warknął Alevy. - Teraz ty także jesteś na ich liście. Nie widziałem dokładnie, co zrobiłaś...

– Kopnęłam Wiktora w jaja.

Dwaj mężczyźni z przodu znowu się roześmieli.

– Wie pani, jak z nimi postępować, panno Rhodes - powiedział ten, który siedział obok kierowcy.

Alevy wzruszył ramionami.

– Założę się - zwrócił się do Hollisa - że przez moment miałeś poważne wątpliwości, czy nie pozwolę im przypadkiem zabrać cię do środka.

– Istotnie zbytnio się nie spieszyłeś - odparł Hollis. - Spodziewałem się ciebie wcześniej.

– Czy to wszystko było zaplanowane? - zapytała Lisa.

Żaden z nich nie odpowiedział.

– Wy dwaj jesteście naprawdę stuknięci. Teraz dopiero czuję się wykorzystana. Nie jestem przynętą.

Ponownie żaden z nich się nie odezwał. Lisa oparła się o siedzenie i zaciągnęła papierosem.

– Słuchajcie, mogę pomagać dalej - powiedziała. - Ale w przyszłości chcę być o wszystkim informowana. W przeciwnym razie pasuję. Zgoda?

Alevy i Hollis kiwnęli głowami.

– Nabrałem teraz pewności - stwierdził Hollis - że to Burow pociąga za sznurki.

Alevy kiwnął głową.

– Nie rozpoznałem go, ale przerzucę jeszcze raz nasz album. Dowiedziałeś się czegoś więcej?

– Dowiedziałem się, że za jedno słowo o Szkole Wdzięku pani Iwanowej trafia się tutaj do paki.

– Ciekawe.

– Oni są zdesperowani, Seth. Nigdy nie widziałem, żeby byli tacy poruszeni: żeby stawiali wszystko na jedną kartę, próbując porwać chronionych immunitetem Amerykanów, nie mówiąc już o morderstwie.

Alevy ponownie kiwnął głową.

– Bardzo zdesperowani. Zaczynają łamać reguły gry, więc my możemy robić to samo. W starej Moskwie robi się gorąco. Niestety, ich możliwości są tutaj nieporównywalnie większe od naszych. Musimy szybko rozwiązać tę sprawę, zanim wszystkich nas powyrzucą. Albo wystrzelają.

– Nagłaśniając całą aferę - stwierdził Hollis - bylibyśmy trochę bezpieczniejsi.

– Zgadza się, ale Waszyngton chce, żebyśmy załatwili to kanałami dyplomatycznymi i po cichu.

– Załatwili co? - zapytała Lisa.

– Repatriację majora Jacka Dodsona - odpowiedział Alevy.

– A co, jeśli on wcale nie chce być repatriowany? Burow twierdzi, że przeszedł dobrowolnie na ich stronę.

– O tym właśnie chcemy z nim porozmawiać - powiedział Hollis.

Samochód podjechał do bramy ambasady i Hollis zauważył, że obok czajek stały zaparkowane trzy fordys.

– Pełna gotowość - podsumował.

– Naturalnie - odparł Alevy.

– Jest w tym coś więcej, prawda? - zapytała Lisa. - Nie chodzi tylko o Dodsona. Czym jest Szkoła Wdzięku? Miejscem, gdzie odbywa się pranie mózgów? Czy Burow naprawdę ma w ręku Dodsona, czy Dodson nadal gdzieś się ukrywa? Czy któryś z was ma zamiar mi odpowiedzieć?

Żaden nie miał zamiaru.

– Mam sposoby, żeby zmusić mężczyzn do mówienia - oznajmiła Lisa.

.18.

Hollis, Alevy i Lisa przystanęli na chwilę w holu ambasady.

- Wpadnijcie na drinka - zaproponowała Lisa. - Muszę się czegoś napić.
- Powinienem jeszcze nadać parę depeesz przed piątą czasu waszyngtońskiego - odparł Alevy. - Do zobaczenia jutro.
- A ty? - zapytała Hollisa. - Też będziesz nadawał?
- Nie. Chętnie wpadnę na jednego szybkiego.
- Drinka?
- Cokolwiek podasz.

Wyszli na tylny taras i skręcili w stronę osiedla. Lisa otworzyła drzwi swego apartamentu, schowała okrycia do szafy i zaprosiła Sama na górę.

- Co ci podać?
- Szkocką, bez wody.

Hollis rozejrzał się dookoła. Apartament Lisy był nowoczesny; pokój, w którym siedział, stanowił skrzyżowanie saloniku z jadalnią i kuchnią. Piętro wyżej mieściła się zapewne sypialnia.

Umeblowanie, podobnie jak inne drobiazgi, pochodziło z Finlandii, najbliższego zachodniego sąsiada Rosji i kraju, skąd najłatwiej było sprowadzać dobra konsumpcyjne.

Apartament nie różnił się specjalnie od typowego mieszkania amerykańskiego pracownika rządowego, z całą jednak pewnością stanowiłby przedmiot zazdrości każdego sowieckiego dygnitarza.

- Lisa wręczyła mu drinka.
- Za kolejną udaną randkę - powiedziała.

Puściła kasetę z Rachmaninowem i zaczęli rozmawiać. Hollis przyjrzał się wiszącej na ścianie ikonie.

– Autentyczna? - zapytał.

– Tak. Należała do mojej babci. Ciężko mi ją będzie z powrotem wywieźć.

– Włożę ją do bagażu dyplomatycznego.

– Naprawdę? Dziękuję, Sam.

– Zamierzasz stąd wyjechać? - zapytał.

– Nie... ale coś mi mówi, że moje dni tutaj są policzone.

Hollis skinął głową.

Lisa usiadła na jednym końcu kanapy, a on na drugim.

– Nie chodzi tylko o Dodsona - powiedziała. - Są ich tutaj setki, prawda?

O tym właśnie mówiłeś... wtedy... w sypialni Pawła.

Hollis przez chwilę się jej przypatrywał.

– Może powiedziałem zbyt wiele - odparł w końcu.

– Nie powtarzam nikomu tego, co mówisz. Czy ty i Seth nie porównujecie swoich notatek?

– Sprzedajemy sobie wzajemnie notatki. Nie ma nic za darmo w tym fachu. Moja organizacja, wywiad wojskowy, ma swego rodzaju kompleks niższości wobec CIA. Muszę więc pieczołowicie chronić własną działkę. Wszystko to jest bardzo małostkowe. Choć z drugiej strony duch współzawodnictwa jest bardzo amerykański.

– Ale współpraca układa wam się całkiem dobrze?

– Tak. Jest także moim przyjacielem.

Skinęła głową.

– Czy możemy zmienić temat?

Wstała i podeszła do okna, które wychodziło na północ, na ceglany mur. Między budynkami po obu stronach ulicy zawieszono właśnie wielki

transparent z okazji zbliżającej się rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, która według kalendarza gregoriańskiego przypadała 7 listopada.

– Spójrz na to - powiedziała. - „Miłujący pokój ludzie sowieccy domagają się położenia kresu amerykańskiej agresji”. Czy ja muszę na to patrzeć?

– Zadzwoń do rady miejskiej.

– Wszyscy tam są bardzo zajęci... szykują się do swojego wielkiego dnia. Całe to przekłete miasto obwieszane jest czerwonymi chorągwiemi nawołującymi do czegoś, przechwalającymi się, przymilnymi... przypomina to subsydiowane przez państwo graffiti. I wiesz, co ci powiem, Sam? Kiedy tutaj przyjechałam, rozwieszane wszędzie sierpy i młoty działały mi na nerwy, prawie przerażały. Przyzwyczajeni jesteśmy po prostu reagować w ten sposób na pewne symbole... jak na swastykę. Pewien partyjny dygnitarz powiedział mi kiedyś, że na widok kremlowskich krzyży chodzą mu po plecach ciarki, a herb na bramie naszej ambasady działa na niego jak płachta na byka. - Roześmiała się niezbyt szczerze. - Chciałabym, żebyśmy przestali pompować w siebie adrenalinę na widok czerwonych gwiazd albo gwiazdy Dawidowej i w ogóle czegokolwiek. Ale my przypominamy psy Pawłowa, Sam. To oni powodują, że się ślinimy.

– Kim są ci oni?

– Ludzie, którymi staniemy się za dwadzieścia lat. Uczymy się teraz, jak nimi zostać.

– Masz tam coś jeszcze?

– Chcesz jeszcze?

– Jasne. Tym razem mniej szkła.

Nalała mu potrójną szkocką, a potem usiadła bliżej.

– Mogę ci coś wyznać? W „Lefortowie” umierałam ze strachu. Już drugi raz robisz mi coś takiego.

– Jutro wieczorem zapraszam cię do kina. Wyświetlają *Rambo*. Ósmą część.

Roześmiała się.

– Hej, pamiętasz tego rosyjskiego dzieciaka, który przełaził przez mur, dostał się do sali kinowej i obejrzał cały film, zanim ktokolwiek zorientował się, że tam siedzi?

– Pamiętam. Ambasador wywalił wtedy paru ludzi ze służby bezpieczeństwa.

– Chłopak chciał po prostu obejrzeć film. Co to było?

– *Rocky*. Część dziewiąta.

– Kiedy ci ludzie się wyzwolą, Sam? Potrzeba tutaj dwieście milionów takich dzieciaków. Kiedy to się stanie?

– Najprawdopodobniej nigdy, Liso.

– Nie mów takich rzeczy. Duch ludzki...

– Nie moglibyśmy porozmawiać o czymś lżejszym? Smakowała ci kolacja?

– Przecież nam jej w końcu nie podali. - Skoczyła na nogi. - Umieram z głodu. Wczoraj wieczorem zrobiłam sobie *rasolnik*. Trochę zostało.

– Co to takiego?

– Zupa z marynowanych warzyw.

– Zostanę przy szkockiej.

– Uczę się tradycyjnej rosyjskiej kuchni.

– Daj mi znać, kiedy się nauczysz.

Podeszła do lodówki, wyjęła z niej pęto kiełbasy i ugryzła kawałek.

– Lubisz czosnek? Pełno w niej czosnku.

Hollis wstał.

– Śpisz w ubraniu i jesz czosnek przed pójściem do łóżka. Chyba pójde do domu.

– Nie. Zostań. Porozmawiaj ze mną. Nie chcę być dzisiaj sama.

– Na terenie ambasady nic ci absolutnie nie grozi.

– Wiem o tym. - Żuła przez chwilę z zamyśloną miną kiełbasę. - Uśmiechałam się do ciebie z tuzin razy w tym przeklętym holu, w windzie... - dodała.

– To byłaś ty? To był uśmiech?

– Na pewno tego nie pamiętasz, Sam, ale byłam na tym małym przyjęciu pożegnalnym, które wydano z okazji wyjazdu Katherine. Wiedziałaś wtedy, że już nie wróci?

– Domyśliłem się, widząc, że pakuje wszystkie swoje rzeczy.

– Prawdziwy wywiadowca. Bierzesz z nią rozwód?

– Próbuję ustalić gdzie. Powinienem chyba polecieć do Stanów i wnieść pozew czy coś w tym rodzaju. Ale nie wiem, w jakim mieszkam stanie. Prawdopodobnie na Syberii, jeśli nie będę na siebie uważał.

– Więc zamierzasz wziąć rozwód?

– Tak. Ale pokaż mi parę, która tego nie chce.

– Chcesz, żebym ci opowiedziała o Alevym?

– Nie wtedy, kiedy żujesz dwudziestocentymetrowe pęto kiełbasy.

Odłożyła kiełbasę na blat stolika.

– Chcesz obejrzeć moje fotografie?

– Jasne.

Lisa podeszła do szafki pod półkami na książki i wyjęła stamtąd dwa albumy. Zostawiła jeden na stoliku i usiadła obok Hollisa. Położyła drugi album na kolanach i otworzyła go.

– To pierwsze zdjęcie. Zrobiłam je w dniu przyjazdu do Moskwy. Widać na nim ostatnie drewniane domy, które stały przy drodze na lotnisko

Szeremietiewo. Dzisiaj już ich nie ma.

Przerzuciła kilka kartek i Hollis zobaczył, że pod każdym zdjęciem znajduje się wystukany na maszynie podpis. Większość fotografii była czarno-biała, tylko nieliczne kolorowe, zrobione na wiosnę i w lecie. Przyglądał się zdjęciom cerkwi i soborów. Wiele z nich opatrzone było datą rozbiórki, a niektórym towarzyszyły fotografie przedstawiające prace rozbiórkowe i powstałe na ruinach nowe budowle. Nie należał do obrońców starej architektury, ale wymowa tych zdjęć była jednoznaczna.

Prawie na wszystkich fotografiach przedstawiających stare drewniane domy widać było ludzi. Wychylali się z okien, wieszali pranie bądź rozmawiali ze sobą przez płot. Słłowiali niczym nie pomalowane ściany ich domów, wydawali się, podobnie jak one, idealnie przypisani do swego miejsca. Pasowali do wąskich uliczek, do spletanych jarzębinowych drzew i wielkich słoneczników, które tuliły się do płotów. Na zdjęciach pełno było psów i kotów, mimo że Hollis nie przypominał sobie, by widział choćby jednego w ciągu swego dwuletniego pobytu w Moskwie. Co najdziwniejsze, nie rozpoznawał żadnego z tych miejsc - gdyby nie wiedział, że to Moskwa, doszedłby do wniosku, że zdjęcia zrobiono w jakimś małym, zagubionym w stepie miasteczku. Można było odnieść wrażenie, że gdzieś między betonowymi behemotami, w których skupisko zamieniła się Moskwa, kryje się zupełnie inne miasto.

- To jest bardzo dobre, Liso. Niewiarygodne zdjęcia.
- Dziękuję.
- Gdzie je robiłaś?
- Wszystkie te zdjęcia zrobione są w granicach Wielkiej Moskwy, bo nie wolno mi wyjechać dalej. Niektóre przedstawiają wioski, które przyłączono do miasta. Inne robiłam w śródmieściu: w starych dzielnicach, których nie zdążono jeszcze wyburzyć i które kryją się między nowymi osiedlami.

– W wielu amerykańskich miastach odbywa się podobny, mało sympatyczny proces wzrostu.

– Tak - odpowiedziała - ale tam ścierają się względy estetyczne i żądza zysku. Tutaj chodzi o to, żeby zamknąć całe społeczeństwo w betonowych blokach, gdzie można roztoczyć nad nim łatwiejszy nadzór. Ten proces zachodzi nie tylko w miastach; wkrótce cała wieś będzie wyglądać jak ten sowchoz, który widzieliśmy.

– To nie jest nasz problem - stwierdził Hollis.

– Myślisz pewnie, że mam na tym punkcie obsesję, i być może to prawda. Nie potrafię zrozumieć, kto dał tym biurokratom prawo niszczenia cudzych domów i miejsc kultu, które w jakiś sposób należą przecież do całego świata. Spójrz na te zdjęcia. Teatr Mały, niedaleko Teatru Bolszoi, Moskiewski Teatr Artystyczny imienia Stanisławskiego, sobór Nikołajewski. Wszystkie te miejsca miały być zrównane z ziemią, ale niektórzy moskiewscy pisarze i artyści dowiedzieli się o tym i zaprotestowali. To samo było z Arbatem. Powstrzymano ekipy rozbiórkowe, ale nikt nie jest już w stanie naprawić tego, co zniszczono w przeszłości. Zburzyliby sam Kreml, gdyby byli pewni, że to im się jakoś upiecze.

– Może udałoby im się go sprzedać jakiemuś amerykańskiemu biznesmenowi. Zrobiłby z niego skansen.

Hollis odwrócił kolejną stronę i zobaczył fotografię Lisy. Stała na werandzie budynku, który mógł być jej rodzinnym, utrzymanym w wiktoriańskim stylu domkiem w Sea Cliff, gdyby nie fakt, że towarzyszyła jej typowo rosyjska rodzina, a dorośli popijali z butelek moskiewskie piwo. Na fotografii widać było także Setha Alevy'ego, który, co zdarzało mu się nader rzadko, uśmiechał się, trzymając z jakiegoś powodu rękę na głowie

Lisy. Wystukany na maszynie podpis głosił: „Seth i ja targujemy się o cenę domu z pośrednikami handlu nieruchomościami w Tatarowie”.

– Głupie - powiedziała i odwróciła stronę.

Pokazała mu następne fotografie, ale on nie zwracał już na nie uwagi. Chyba to wyczuła i odłożyła album na stół.

– To była rodzina żydowska - poinformowała go po trwającym mniej więcej minutę milczeniu. - Dysydenci.

Hollis wstał i nalał sobie kolejnego drinka.

– Sądzisz, że nowojorskiego wydawcę może zainteresować taki temat? - zapytała.

– Całkiem możliwe. Zdjęcia są znakomite. Masz dobre oko.

– Dzięki. Czy mogę zrobić ci zdjęcie do tej książki?

– Nie.

– Dąszasz się.

– Całkiem możliwe.

– Cóż... przykro mi... może nie powinnam ci tego mówić, ale Seth bardzo interesował się tym, co robisz i gdzie wydam książkę. Powiedział, że ma kontakty w kilku wydawnictwach... I czasami jeździliśmy wspólnie robić zdjęcia.

– To nic złego.

Hollis wcale nie wątpił, że Alevy ma kontakty w różnych wydawnictwach. CIA posiadało dużo takich kontaktów po to, żeby wydawać antysowieckie książki w szacownych i powszechnie znanych oficynach. Nie wiedział, jakiego rodzaju zachęty oferuje agencja i czy wydawca w ogóle wie, z kim ma do czynienia, ale słyszał, że współpraca układa się bardzo dobrze. Podejrzewał, że Lisa nie miała najmniejszego pojęcia, że jest pionkiem w kolejnej, prowadzonej przez Alevy'ego grze. Niezależnie od tego, czy jej książka jest coś warta, czy nie, wiedział, że

któregoś dnia zobaczy ją w księgarni dzięki uprzejmości Setha Alevy'ego i spółki. Ten facet naprawdę wiedział, jak łączyć przyjemne z pożytecznym.

– Mówiłeś, że to może być niebezpieczne - odezwała się Lisa, przerywając tok jego niezbyt wesołych myśli.

Hollis spojrzał na nią.

– Co mianowicie?

– To, co się tutaj dzieje. Niebezpieczne.

– Tak. To jest niebezpieczne.

– Możesz podać mi więcej faktów?

Hollisowi przyszła do głowy kolejna niewesoła myśl: że Lisa przekazuje wszystko Sethowi. Ale w takim przypadku nieprawdą okazałoby się wszystko, co wydawało mu się, że wie o ludziach.

– Ogólny zarys znasz - powiedział. - Mój briefing nie wykroczy poza to, co musisz wiedzieć.

Uśmiechnęła się.

– Wchodzę do gry, Sam, ale nie zamierzam mówić tym waszym żargonem. Mów po ludzku.

Odwzajemnił jej uśmiech.

– Kiedy tylko będziesz chciała odejść, powiedz po prostu: odchodzę. Nie wymaga się od ciebie nic więcej.

– Naprawdę mnie potrzebujesz?

– Nie mamy tutaj zbyt wielu odważnych Amerykanów. Wiem, że to niezgodne z regułami USIS, nie wspominając już o Pentagonie. Ale odpowiedź brzmi: tak. Potrzebuję cię.

Kiwnęła głową.

– W porządku. Możesz na mnie liczyć. - Uśmiechnęła się zachęcająco. - Co mogę teraz dla ciebie zrobić?

Hollis zignorował zawartą w jej słowach aluzję.

- Założę się, że wiesz, gdzie jest grób Gogola - powiedział.
 - Jasne. - Roześmiała się. - Kto tego nie wie?
 - Kulturalni analfabeci, z którymi muszę pracować, mnie samego nie wyłączając. Gdzie to jest?
 - Dlaczego chcesz wiedzieć? Odbywa się tam jakieś przyjęcie?
 - Już cię o to ktoś pytał?
 - Jasne.
 - No więc?
- Zaczepiła palcem o jego pasek.
- Najpierw to, co najważniejsze. Paskudnie bym się czuła, gdyby się okazało, że to było tylko na jedną noc.
- Hollis odstawił szklankę na stolik.
- Więc - powiedziała - zróbmy to znowu.
 - Cóż... - zaczął spoglądając na zegarek.
- Objęła go i pocałowała, a potem przesunęła palcami po jego karku dotykając blizn.
- Ty też mogłeś trafić do Szkoły Wdzięku.
 - Tak przypuszczam.
 - Ale zamiast tego jesteś tutaj. Twoja żona pojechała do Londynu, Gregory Fisher nie żyje, a major Dodson jest Bóg jeden wie gdzie. Jak to się skończy?
 - Nie mam pojęcia.
 - Kiedy stąd wyjeżdżasz?
 - Kiedy zażyczy sobie tego Pentagon. A ty?
 - Za dwadzieścia miesięcy. Teraz może wcześniej. Co zrobimy, jeśli któreś z nas wyjedzie stąd wcześniej?
- Hollis nie odezwał się.

– Wszystko po kolei - odpowiedziała sama sobie. - Pokonajmy najpierw tych kilka stopni - powiedziała, pokazując schody do sypialni.

Weszli na górę, do jej sypialni. Podobnie jak salon, zauważył Hollis,umeblowana była w nowoczesnym fińskim stylu: jasny jesion, białe szkło, rzeczy zaprojektowane przez Sotkę, Furbiga i Aarikę, nazwiska których nauczyli się szanować mieszkający w Moskwie Amerykanie. Pod sufitem i na ścianie przy łóżku wisiał długi poskręcany chiński latawiec.

– Bardzo tu ładnie.

– Jesteś trzecim mężczyzną, którego zaprosiłam tu, na górę.

– Widzę, że to naprawdę rzadki przywilej. Słuchaj, czy ty zdajesz sobie sprawę, że jestem prawie o dwadzieścia lat od ciebie starszy?

– Podobnie jak tamci dwaj. I co z tego?

Hollis przyjrzał się jej. Było w Lisie Rhodes coś, co na niego działało. Była chłopięca i jednocześnie kobieca; prostolinijna i jednocześnie bystra. Były chwile, kiedy okazywała wielką dojrzałość, i inne, kiedy wydawała się w ożywczy sposób nieskomplikowana.

– Lubię dwadzieścia dziewięć - powiedział.

– Nigdy tego nie próbowałam.

– Twój wiek.

– Aha...

Roześmiała się zakłopotana, a potem zrzuciła z nóg buty i rozpięła bluzkę.

– Zostań na całą noc. Chcę obudzić się obok ciebie. Jak w Jabłonii.

– To będzie miłe.

Zadzwonił budzik. Hollis sięgnął ręką, ale nie znalazł go tam, gdzie zawsze. Lisa wyłączyła budzik po swojej stronie łóżka.

– Masz jednak swoją ulubioną stronę.

- Gdzie ja jestem?
- W Paryżu. Na imię mam Colette.
- Miło cię poznać.

Zgodnie z obowiązującą w ambasadzie regułą żaluzje były spuszczone, a ciężkie kotary szczelnie zasunięte. Hollis zapalił lampę.

– Lubię wpadające rano przez okno promienie słońca - powiedziała Lisa.

– Ja też - odrzekł - ale tutaj i tak nie ma słońca. Tylko mikrofałe biegnące z naprzeciwka.

Przytuliła się do niego, pocałowała w policzek i dotknęła dłonią jego krocza.

- Jesteś bardzo czuła.
- W przeciwieństwie do ciebie - odparła.
- Daj mi trochę czasu.
- Rozumiem.

Wstała z łóżka i weszła do łazienki. Hollis usłyszał, jak odkręciła kran. Zadzwoił stojący na nocnej szafce telefon. Przez jakiś czas pozwalał mu dzwonić, ale potem, wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek, podniósł słuchawkę.

- Halo.
- Dzień dobry - odezwał się Seth Alevy.
- Dobry.
- Chciałem z tobą porozmawiać.
- Więc zadzwoń do mojego apartamentu.
- Tam nikt nie odpowiada.

Hollis zsunął nogi z łóżka.

- Spróbuj jeszcze raz.
 - Chciałbym spotkać się z tobą o godzinie jedenastej - powiedział Alevy.
- W jego głosie brzmiało rozdrażnienie.

– O wpół do jedenastej mam spotkanie z dwoma pułkownikami sowieckich sił powietrznych.

– Zostało odwołane.

– Przez kogo?

– Poproś Lisę, żeby też tam przyszła. Jej dzisiejsze spotkania również zostały odwołane. Zobaczymy się w pokoju pracowników wywiadu - rzekł Alevy i odłożył słuchawkę.

– Gdzie jesteście?! - zawołała z łazienki Lisa.

– Po swojej stronie.

Wstał z łóżka. To sukinsyn. Równie dobrze mógł poczekać z tym do chwili, kiedy Hollis znajdzie się w biurze. Pomyślał o życiu wewnątrz czerwonych ceglanych murów. Można tu było grać w kręgle albo squasha, pływać w krytym basenie albo oglądać co tydzień nowy film w sali kinowej. Jeśli nie pociągało człowieka nic z tych rzeczy, dostawał kręćka - co spotkało, wedle jej własnych słów, Katherine - albo szukał odmiany w mniej lub bardziej nagannym zachowaniu: pozamałżeńskim seksie, nadużywaniu alkoholu, względnie totalnym wycofaniu się z życia towarzyskiego. Bardziej akceptowane sposoby na przetrwanie polegały na czytaniu długich rosyjskich powieści, pracy po szesnaście godzin dziennie bądź, jak to czyniła Lisa, próbie lepszego poznania kraju i ludzi. To ostatnie hobby często prowadziło jednak do rozczarowań i frustracji, gospodarze bowiem, w przeciwieństwie do większości innych krajów, wcale się z tego powodu nie cieszyli. Nie chcieli, by ktoś się o nich czegokolwiek dowiadywał.

Nawet płynna znajomość języka czyniła z człowieka potencjalnego szpiega. Ksenofobia niczym barszcz, pomyślał Hollis, stanowiła prawdziwą rosyjską specjalność.

A jeśli to, z czym spotykałeś się wewnątrz murów, nie zdołało doprowadzić cię do depresji, na zewnątrz czekali agenci i agentki Siódmego Dyrektoriatu KGB, szpicle zajmujący się bezustanną obserwacją zabudowań ambasady i każdego pracownika z osobna.

Hollis rozsunął na kilka centymetrów zasłony i wyjrzał na dwór. Rząd sowiecki zaproponował pod budowę nowej ambasady tylko jedno miejsce i jakby mało było szkodliwych nadrzecznych oparów, niskie położenie terenu umożliwiało KGB bombardowanie całego kompleksu emitowanymi przez urządzenia podsłuchowe mikrofalami. Ich wpływ na zdrowie personelu nie był jeszcze zbadany, ale podejrzewano, że jednym z efektów ubocznych może być białaczka.

Podsłuchiwane były nawet wewnętrzne rozmowy telefoniczne, takie jak ta, którą odbył przed chwilą z Alevym. Pod obserwacją znajdowały się także okna i dlatego spuszczano na stałe żaluzje.

Lisa wyszła z łazienki, mając na sobie tylko owinięty wokół szyi ręcznik.

– Kto to był?

Hollis przyjrzał jej się w przyćmionym świetle. W ubraniu wydawała się szczupła, prawie chuda. Ale teraz zobaczył, że ma obfite piersi i zaokrąglone biodra. Włosy na jej łonie miały przyjemny rudawy odcień.

– Moja twarz jest tu, na górze.

– Och... - zająknął się Hollis. - To był Seth.

– Och...

– Chce się z nami widzieć o jedenastej. Wszystkie twoje spotkania zostały odwołane.

– Czego, twoim zdaniem, od nas chcą?

– Kto to może wiedzieć?

– Czy będziemy mieli jakieś kłopoty... z powodu tego, co się stało?

– Może ja - odparł. - Jestem żonaty. Wy, wolni ludzie, zawsze się jakoś wykaraskacie.

– To chyba nie był dobry pomysł, żebyś tu przychodził - rzekła po krótkim namyśle. - Byłam egoistką. Masz do stracenia więcej niż ja.

– Obowiązkowa wymiana zdań po stosunku zaliczona.

Stali blisko siebie, oboje nadzy. Lisa przyjrzała mu się od stóp do głów.

– Nieźle jesteś wyposażony, lotniku.

Hollis uśmiechnął się, mimo że wciąż podenerwowany był telefonem.

– Pokażmy im, jakie mamy nieposkromione seksualne apetyty. Podśluchującemu kagebiście opadnie szczęka ze zdziwienia - powiedziała.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do łazienki. Pokochali się pod prysznicem, a potem nie bacząc na protesty Hollisa, ogoliła go swoją różową plastikową maszynką. Dała mu szczoteczkę do zębów i zeszła na dół zrobić kawę.

Wycierając się ręcznikiem Hollis przyjrzał się stojącym na półeczce damskim utensyliom. Przypuszczał, że Katherine miała podobne rzeczy, ale nigdy ich nie zauważał. Machinalnie wziął do ręki słoiczek z kremem i powąchał go.

.19.

Spotkanie, zauważył Hollis, odbywało się tym razem w pomieszczeniu specjalnym pracowników wywiadu, ambasador konferował bowiem w swoim dźwiękoszczelnym gabinecie z czterema facetami, którzy przylecieli rano z Waszyngtonu.

Zaczynało robić się gorąco. Nawet ci z Amerykanów, którzy nie wchodzili w skład personelu dyplomatycznego i nie mieli nic wspólnego z wywiadem, domyślali się, że coś jest nie w porządku: Brennan poleciał w bandażach do Londynu, a przez całą noc kręciły się wokół ambasady wołgi, fordy i czajki.

Po wyjściu od Lisy udał się, jak zwykle rano, do snack baru, gdzie do jego czteroosobowego stolika przysiadło się sześciu amatorów wspólnego śniadania. Próbowali wziąć go na spytki i musiał udawać wariata, powtarzając bez przerwy, że jest tylko skromnym attaché lotniczym i wie tyle samo co oni.

Charles Banks odchrząknął i spojrzał prosto w oczy Hollisowi, a potem Lisie.

– Pułkowniku Hollis, panno Rhodes, mam nieprzyjemny obowiązek poinformować was o złożeniu przez sowiecki rząd formalnej skargi. Szczegóły są nieistotne. Każde z was zostało uznane za *persona non grata*. - Ponownie spojrzał na nich. - Macie pięć dni na uporządkowanie swoich spraw i opuszczenie tego kraju. Wyjeżdżacie w poniedziałek przed południem.

Lisa zerknęła na Alevy'ego, a potem na Hollisa. Żaden się nie odezwał.

– To nieuczciwe - powiedziała drżącym z emocji głosem. - To nieuczciwe, Charles.

Banks zignorował to.

– Jak zapewne wiecie - dodał - oboje jesteście bowiem pracownikami tej ambasady, stosunki sowiecko-amerykańskie znajdują się w coraz lepszym stanie. W rezultacie tego procesu pogarszają się stosunki chińsko-amerykańskie. Chińczycy zabiegają teraz o względy Sowietów. Szykuje się nowy światowy układ sił i nasz rząd nie może stać w tej sytuacji z boku.

– Nie mam bynajmniej zamiaru - zauważyła z sarkazmem Lisa - zakłócać światowej równowagi sił. I nie sądzę, żeby taki był zamiar pułkownika Hollisa. Prawda, Sam?

Hollis udał, że nie słyszy, a Alevy powstrzymał cisnący mu się na wargi uśmiech. Banks odchrząknął i oparł się o fotel.

– Światowa równowaga sił to nie jest temat do żartów, panno Rhodes.

– Nie jestem idiotką, Charles - odpowiedziała ostro. - I nie zamierzam zamykać oczu na rzeczywistość ani sprzeciwiać się własnym zasadom, byle tylko dostosować się do chwilowych potrzeb mojego rządu. Morderstwo jest morderstwem. Poza tym mamy tutaj amerykańskiego jeńca, który znajduje się w poważnych tarapatach. Jeśli okaże się, że ani wy, ani ja nie możemy mu pomóc, złożę rezygnację i pójdę z tym do prasy.

– Dziękuję za nader interesujące przemyślenia, panno Rhodes - odparł lodowatym tonem Banks. - Powinna pani jednak zrozumieć, że to nie Departament Stanu wyrzuca panią z Moskwy. Robi to sowieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Nie prosimy panią o współpracę, o rezygnację ani w ogóle o nic. Chcemy tylko, żeby zgodnie z otrzymanym poleceniem spakowała pani walizki i wyjechała. I nie pójdzie pani z niczym do prasy.

Lisa odwróciła się i zrobiła minę, jakby Banks przestał ją całkowicie interesować.

– W pańskich aktach - zwrócił się Banks do Hollisa - jak również w aktach panny Rhodes, nie będzie żadnych krytycznych uwag. Wydamy wam tak zwane *bene decessit...* zaświadczenie, że wyjazd stąd nie nastąpił w wyniku jakiegoś waszego uchybienia. Czy to pana satysfakcjonuje, pułkowniku?

– Generale.

– Słucham?

– To właśnie powinno mnie usatysfakcjonować, panie Banks.

– Ach... rozumiem. Dobrze, przekażę tę sprawę... odpowiednim ludziom. Jeśli ma pan odpowiednią wysługę lat i spełnia inne...

– Nie spełniam, ale każe pan głównodowodzącemu przymknąć na to oko.

Banks przez chwilę mierzył Hollisa wzrokiem, a potem kontynuował:

– Obojgu wam przysługuje trzydziestodniowy urlop okolicznościowy. Otrzymacie również nowe przydziały, korzystne z punktu widzenia waszej dalszej kariery.

– Chcemy zostać wysłani w to samo miejsce - powiedziała Lisa.

Banks zerknął na Alevy'ego, a potem z powrotem na Lisę.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Ze względów bezpieczeństwa.

– Co to znaczy?

Banks spojrzał wymownie na zegarek.

– Muszę już iść na górę. Pan Alevy zaznajomi was ze szczegółami dotyczącymi wyjazdu. Osobiście bardzo mi przykro - dodał łagodniejszym tonem - że musicie wyjechać. Wszyscy tutaj uważamy was za

wartościowych pracowników naszej misji. W mistrzowskim stopniu opanowaliście język rosyjski. Samie, Liso, życzę wam powodzenia - powiedział i wyszedł.

Alevy podszedł do kredensu i rozlał do szklanek wódkę i mrożony sok pomarańczowy. Obok stały tace z ciasteczkami.

– Częstoście się. Charles specjalnie to zamówił, żeby osłodzić wam gorzką nowinę.

Lisa wstała i nalała sobie ze srebrnego dzbanka gorącej wody na herbatę.

– Co dla ciebie, Sam? - zapytała.

– Poproszę o kawę.

Przyniosła mu kawę i usiadła na krześle obok. Alevy postawił na stole tacę z grzankami, masłem, kwaśną śmietaną oraz czerwonym i czarnym kawiozem.

– Kiedy dają ci tutaj kopa w dupę, smarują ją przynajmniej masłem - skomentowała Lisa.

Alevy przełknął ciastko.

– To było niedelikatne, Liso. - Wytarł palce w lnianą serwetkę. - Przeczytam wam teraz pewne fragmenty ustawy o bezpieczeństwie kraju i zapoznam ze zobowiązaniami dotyczącymi nieujawniania niczego, co zobaczyliście, usłyszeliście bądź przeczytaliście w trakcie pełnienia tutaj służby.

Alevy zrobił to, a następnie poprosił ich o podpisanie standardowych oświadczeń, co uczynili. Postawił drinki na stole, usiadł naprzeciwko Sama i Lisy i nałożył sobie kawioru i śmietany na trójkątną grzankę.

– Tak jest lepiej - powiedział.

– Moim zdaniem lepsze są z masłem - odparł Hollis.

Alevy posłał mu chłodne spojrzenie.

– Lepiej, że was wydalają - oświadczył żując grzanekę. - Gdyby tego nie zrobili, oznaczałoby to, że KGB przekonało Politbiuro, żeby dać im ostatnią szansę. Najwyraźniej jednak Politbiuro, działając w charakterze gajowego, oznajmiło Komitetowi, że sezon polowań się skończył i że Sam i Lisa znajdują się od dzisiaj pod ochroną.

Hollis wypił do końca swoją kawę.

– Skończyłeś, Seth?

– Nie. Radzę wam obojgu nie opuszczać terenu ambasady aż do dnia wyjazdu.

– Chcę jeszcze zrobić parę zdjęć i kupić coś z rosyjskiej sztuki ludowej - odezwała się Lisa.

Alevy wzruszył ramionami.

– To tylko dobra rada. Oficjalne polecenie brzmi, żebyście nie opuszczali terenu po zmroku i w pojedynkę.

– Sądziłem, że jesteście pod ochroną - zauważył Hollis.

Alevy wstał i zrobił sobie kolejnego drinka.

– Tam gdzie są gajowi, są i kłusownicy. Jeśli poprawi ci to samopoczucie, nasz rząd wydała z Waszyngtonu ich attaché lotniczego i urzędnika z biura prasowego. Będzie o tym w jutrzejszych gazetach.

– Czy jestem zwolniona ze swoich obowiązków? - zapytała Lisa.

– Naturalnie. Zwolnieni jesteście oboje. Spakuje was zachodniemiecka firma, Interdean. Musicie mieć czas, żeby ich przypilnować.

– Kto spotka się z Asem w niedzielę? - zapytał Hollis.

– Będziesz to musiał zrobić. Powiedz mu, że będzie go prowadził ktoś inny. Dopracuj szczegóły. Postaraj się go nie stracić.

– Czy go stąd wywieziemy?

– Jeżeli dostarczy to, o co go prosiłeś.

– Dlaczego nie wyrzucają stąd ciebie? - zapytała Lisa, zwracając się do Alevy'ego. - To ty celowałeś z pistoletu w Burowa.

– Cóż... - odparł Alevy. - Widocznie KGB chce, żebym się tutaj dalej kręcił. Może wyznają zasadę, że lepiej mieć do czynienia z diabłem, którego się zna. Poza tym gdyby mnie wydalili, wtedy my dalibyśmy kopa ich głównemu rezydentowi, tak jak to się stało w 1986 roku. A wtedy to już poszłoby na całego. Nikt nie chce, żeby to się powtórzyło. Rezultat jest remisowy, dwa do dwóch.

– Absurdy dyplomacji stają się jej własną logiką - podsumowała Lisa.

– Każę to oprawić w ramki i powieszę w gabinecie ambasadora - powiedział Alevy z uśmiechem. Przez chwilę wpatrywał się w Lisę. - I co teraz, panno Liso? - zapytał z wymuszoną lekkością. - Gdzie zamierzasz spędzić swój urlop?

– Nie wiem... wszystko to wydarzyło się tak nagle. Chyba w Nowym Jorku...

Alevy spojrzał na Hollisa.

– A ty?

– Naprawdę nie wiem. Przypuszczam, że w Londynie, żeby zająć się tym, o czym wiesz. A potem może pojedę do Japonii, żeby zobaczyć, jak moi starzy praktykują zen. Następnie do Nowego Jorku, żeby spotkać się z bratem, który nie opuszcza swojej strefy czasowej. Może odwiedzę Fisherów w New Canaan, żeby złożyć im kondolencje.

Lisa kiwnęła głową.

– Ja też.

– Ani się ważcie - przerwał ostro Alevy. - Jeśli nie będziecie robić głupstw, nie damy wam zginąć. Możecie wybrać każdy przydział po tamtej stronie żelaznej kurtyny. Na tym właśnie polega złożona wam oferta.

– Pod warunkiem, żebyśmy nie byli razem - zauważyła Lisa. - Czy to był twój pomysł?

– To pytanie poniżej mojej godności - odparł Alevy.

Hollis wstał.

– Przedyskutuję całą tę sprawę z moimi ludźmi - stwierdził.

– Moja organizacja ma tutaj priorytet.

– Czy już skończyliśmy?

– Nie. Chcę, żebyś mi opowiedział o swojej wycieczce do Borodina.

– Nie ma tu dużo do opowiadania - odparł Hollis. - Oprócz tego, że zastrzeliłem dwóch strażników KGB.

Alevy wstał z krzesła.

– Jezu Chryste! Mówisz serio?

– Niestety tak.

– Mój Boże, to dlatego są tacy wściekli. Dlaczego, do diabła, nic mi nie powiedziałaś? Masz cholerne szczęście, że w ogóle żyjesz. Oboje.

– Nie miałem innego wyjścia.

– Dobrze, dobrze. Co jeszcze wydarzyło się w Borodinie?

– Dam ci kompletny raport przed wyjazdem. Ale jak powiadają w kręgach dyplomatycznych - dodał - nie ma nic za nic.

– Naprawdę? - zdziwił się Alevy. - Nie zgadzam się na żadne targi. Powiesz mi bez żadnych warunków wstępnych i bez żadnych gwarancji, że dostaniesz coś w zamian. W przeciwnym razie ręczę, że coś ciężkiego spadnie ci na głowę.

– Nie próbuj straszyć mordercy, Seth - odparł cicho Hollis.

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem, a potem Alevy uśmiechnął się.

– Przepraszam. Po prostu przekazuję ci polecenia.

Lisa podeszła bliżej do Alevy'ego.

– Jeżeli powiesz nam, co zamierzacie zrobić w sprawie morderstwa Gregory'ego Fishera - powiedziała ostro - i w sprawie majora Dodsona, wtedy my powiemy ci, co widzieliśmy w Borodinie. Nie uda wam się po raz kolejny zatuszować śmierci amerykańskiego obywatela z powodu jakichś dyplomatycznych manewrów.

– Nie zachowuj się jak jakaś nawiedzona dziennikarka, Liso - odparł Alevy. - Jesteś pracownicą biura informacyjnego i piszesz to, co ci każą. Przed chwilą podpisałaś oświadczenie w tej sprawie. Zapomniałaś już?

– W porządku. Chyba rozumiesz, że jestem osobiście poruszona śmiercią tego chłopaka... W ogóle nie powinnam była jechać do Możajska... oglądać jego ciała.

– Nie mogę się z tobą nie zgodzić - stwierdził Alevy. Popatrzył jej prosto w oczy. - Mógłbym ci także przypomnieć - dodał - że to ty właśnie byłaś w tej ambasadzie największą orędowniczką poprawy stosunków sowiecko-amerykańskich. Nigdy się pod tym nie podpisywałem, ale zatuszuję morderstwo Fishera, jeśli mój rząd uzna, że tylko w ten sposób można ocalić nadchodzący szczyt. Więc jeśli zależy ci na tym samym, zapomnij o sprawiedliwości. Są ważniejsze sprawy. Zgadza się?

Lisa nie odpowiedziała.

– Może ja też gotów jestem spisać na straty Fishera - wtrącił się Hollis. - Ale osobiście interesuje mnie los majora sił powietrznych, Jacka Dodsona, i innych Amerykanów, którzy są tutaj przetrzymywani wbrew swojej woli. Uprzedzam o tym ciebie i twoją organizację. Tego nie uda się zatuszować. Porozmawiamy o tym zresztą jeszcze przed moim wyjazdem.

– Przyjąłem i zaakceptowałem. - Alevy spojrzał na Lisę. - Słuchaj - odezwał się pojednawczo - rozumiem, że jesteś zdenerwowana. Wszystko to jest dla ciebie nowe. Ale sprawiedliwość wymierza się w tym miejscu w

zupełnie inny sposób i nic z tego nie przedostaje się do wiadomości publicznej. Jedyną zasadą jest odwet. Oko za oko, ząb za ząb.

Lisa posłała Sethowi długie smutne spojrzenie i Hollis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wałkowali tę sprawę już wcześniej.

Alevy odwrócił wzrok.

– Nie jestem taki bezwzględny - odezwał się, jakby mówił sam do siebie.
- Może czasami na takiego wyglądam... wiem, że gwałt rodzi gwałt. Wychowano mnie w pogardzie dla siły... wciąż nie lubię mokrej roboty... ale wiem, że i tak codziennie stosuję wobec nich przemoc psychologiczną. - Zamyślony pociągnął łyk wódki. - Trochę ponad dwa lata temu - powiedział - kiedy was tu jeszcze nie było, zostałem napadnięty na ulicy, pobity i ograbiony przez bandę chuliganów.

Hollis słyszał coś o tym, ale nikt w ambasadzie nie wydawał się znać szczegółów.

– Jechałem na spotkanie z Iną Szymanową, żoną Reuvena Szymanowa, sowieckiego nuklearnego biologa, który przeszedł na Zachód podczas sympozjum w Nowym Jorku. Inę wyrzucono z pracy; była bez środków do życia, głodna i załamana. Nasza ambasada próbowała ją stąd wydostać, żeby połączyła się z mężem. Rozmawiałem któreś nocy z Reuwenem. Telefonował z Nowego Jorku. Właśnie dodzwonił się do swojej żony w Moskwie i udało mu się porozmawiać z nią kilka minut, zanim przerwano połączenie. Ina, powiedział, płakała i błagała go o pomoc. - Alevy przeszedł na rosyjski. - „Kochany, łkała, umieram tutaj z głodu. Mają zamiar wydalić mnie z Moskwy. Na miłość boską, proszę cię, Reuvenie, pomóż mi”.

Alevy przerwał i spojrzał na Hollisa i Lisę.

– Wybrałem się więc do niej sam, żeby ją jakoś pocieszyć i zawieźć pieniądze. Pojechałem metrem. To było całkiem nieoficjalnie, po prostu chciałem pomóc rodakowi. Rozumiecie? Ale chłopcy z Siódmego

Dyrektoriatu namierzili mnie za pomocą swoich elektronicznych zabawek. Poszli za mną i napadli, kiedy wychodziłem z metra, na stacji Uniwersyteckiej. Pobili mnie i zostawili nagiego na śniegu z wewnętrznymi obrażeniami.

Lisa dotknęła dłonią ust.

– O mój Boże...

Seth odstawił drinka.

– Moja wina. Postępowałem zgodnie z moim poczuciem przyzwoitości... Znalazła mnie grupa przechodzących obok studentów. Odwieźli mnie do szpitala. Moi zwierzchnicy chcieli załatwić mi transfer w jakieś przyjemniejsze miejsce. Ale ja postanowiłem, że tu zostanę. Żeby wyrównać rachunki.

– Słyszałem, że twoi przyjaciele w Waszyngtonie zrobili to - powiedział Hollis.

– Nie mam z tym nic wspólnego - odparł Alevy.

– Z czym? - zapytała Lisa.

– Z niczym. - Alevy ruszył w stronę obitych skórą dźwiękoszczelnych drzwi. - Słuchajcie, ja wiem, że to brudna, dehumanizująca robota, ale trzeba dopiero takich wydarzeń jak te sprzed kilku dni, żeby to sobie w pełni uprzytomnić. Pracując w wywiadzie wojskowym zajmujesz się statystyką, liczbami, rachunkiem prawdopodobieństwa i mówisz o termonuklearnej zagładzie. To nic nie znaczy. Nagle któregoś dnia najeżdża na ciebie samochodem jakiś śmierdzący zbir, tak jak mnie wkopano jądra do środka brzucha, i dopiero wtedy zaczyna się afery. Sowiecko-amerykańska walka o władzę nabiera nowego, głębszego znaczenia. - Alevy otworzył drzwi. - Mam odpowiednią motywację, żeby zająć się tą sprawą. Charlie Banks może puszczać zasłonę dymną i odstawiać drętwą mowę, a ja będę się przez cały pieprzony dzień uśmiechał i kiwał głową. Ale ja mam

swoją robotę, a on swoją. A to, co się przydarzyło wam dwojgu, dyplomaci określają mianem siły wyższej... nie możecie na to nic poradzić.

– O tym zdecyduję ja - powiedział Hollis, wychodząc razem z Lisą na korytarz. - Nie ty i nie dyplomaci.

– Wiem, że to zrobisz, Sam. Bankiet pożegnalny odbędzie się w sobotę o wpół do siódmej w sali recepcyjnej - dodał lżejszym tonem Alevy. - Przyjęcia na cześć osób wydalonych są zawsze o wiele zabawniejsze niż te wydane z okazji zakończenia służby. Bądźcie przygotowani na trochę wygłupów. Ułóżcie sobie zabawne przemówienia na temat tego, za co was wyrzucają i w ogóle.

Alevy wyciągnął dłoń i wszyscy uścisnęli sobie ręce.

– Nie pozwól, żeby ta praca i to miejsce zabiły w tobie wszelkie ludzkie uczucia - powiedziała Lisa.

Alevy przez chwilę się zastanawiał.

– Dopóki gotów jestem wyjść w ciemną noc - odparł w końcu - żeby pomóc prześladowanej kobiecie, wiem, że wszystko ze mną w porządku.

– Mam taką nadzieję.

– Ja też.

Alevy zamknął drzwi.

– Co wydarzyło się w Waszyngtonie? - zapytała Lisa Hollisa, kiedy szli razem do windy.

Hollis zawahał się.

– Przyjaciele Seta - powiedział po chwili - zaaranżowali napad na kilkunastoletnią córkę sowieckiego dyplomaty. Zostawili ją ze złamaną szczęką na terenie American University.

Lisa zatrzymała się w miejscu.

– Ale... Seth nic o tym nie wiedział?

– Chyba nie - odparł Hollis. Choć wiedział, że było wprost przeciwnie.

Ruszyli dalej korytarzem.

– W organizacji Setha - dodał - są ludzie, którzy prowadzą nieoficjalną, prywatną wojnę z Sowietami. Nazywają sami siebie Aniołami Zemsty. Złamana ręka w Moskwie czy Budapeszcie oznacza, że ktoś złamie sobie coś w Waszyngtonie lub Londynie.

Lisa pokręciła głową.

– Dzięki tej filozofii gwarantowanego odwetu znacznie zmniejszyła się statystyka złamanych kończyn. Właściwie przez parę ostatnich lat nie odnotowano żadnego urazu. Fakt, że Burow zdecydował się teraz na mokrą robotę, jest bardzo wymowny... wskazuje, do jakiego stopnia zaniepokojone jest KGB. To sygnał dla Setha i dla mnie, że sprawy mogą się szybko wymknąć spod kontroli.

– Nie są zbyt subtelni, prawda?

– Nie. Reagują zbyt impulsywnie i zwracają tym na siebie uwagę.

Pojechali windą na siódme piętro i podeszli do drzwi gabinetu Lisy.

– Czy możemy zrobić coś pożytecznego przed poniedziałkiem? - zapytała.

– Nie powinniśmy ze sobą wiele rozmawiać - odparł - poza specjalnymi pomieszczeniami.

Kiwnęła głową.

– Czy to prawda, że podsłuchujemy również sami siebie? Żeby sprawdzić, kto łamie przepisy dotyczące dyskrecji?

– Być może. Mnie osobiście trochę już męczy to ciągłe szeptanie do ucha ludziom, z którymi wcale się nie spoufaliłem.

– Nie jesteś zmartwiony z powodu wyjazdu, prawda?

– Nie podobają mi się okoliczności. A ty?

– Jestem smutna. Ale cieszę się, że wyrzucają nas oboje. Tam, na zewnątrz, możemy być ze sobą razem, Sam. - Uśmiechnęła się. - Generale.

Odwzajemnił jej uśmiech.

– Pójdą nam na rękę. Jeśli nie wytniemy im jakiegoś numeru. - Spojrzał na zegarek. - Muszę uporządkować swoje biurko.

– Ja też.

Przez chwilę stali w milczeniu naprzeciwko siebie.

– Jeśli ktoś jeszcze tego nie wie - powiedziała Lisa - sędzę, że się w tobie zakochałam.

– Trochę głośniej do mikrofonu, proszę.

Uśmiechnęła się.

– Czy mogę zobaczyć się z tobą dziś wieczorem?

Otworzył drzwi do jej gabinetu.

– Na kolacji?

– U ciebie. Coś ugotuję.

– Mam tylko piwo i musztardę. Ale pójdę do sklepu, jeśli dasz mi listę zakupów.

– Nie, pójdę sama do Gastronomu. Przygotuję coś rosyjskiego - powiedziała. - Ty zorganizuj wódkę.

– Nie powinnaś wychodzić sama poza teren - przypomniał jej.

– W Gastronomie nie można zamówić dostawy do domu.

– Uważaj na siebie.

– Idę tylko do spożywczego.

– Uważaj na siebie.

– Tak jest, generale.

Odwróciła się i weszła do swego gabinetu.

.20.

O szóstej po południu w gabinecie Hollisa zadzwonił telefon.

– Hollis.

– Alevy. Masz chwilę czasu na drinka?

– Nie. Za pół godziny umówiony jestem z dziewczyną.

– Musisz umówić się z nią za godzinę.

– Po co w takim razie w ogóle pytasz? I jak to się dzieje, że to ty ustalasz mój rozkład dnia? Służbowy i towarzyski?

– Tylko służbowy. Łączą nas wspólne sprawy zawodowe.

Hollis przyjrzał się otaczającym go kartonom.

– Jestem zwolniony z obowiązków.

– Och, nie wierz wszystkiemu, co ci mówią. Zwolniono cię wyłącznie z obowiązków attaché sił powietrznych. Naprawdę wydawało ci się, że przestałeś być szpiegiem?

– Nie.

– Spotkamy się u mnie za dziesięć minut. Wiesz, gdzie mieszkam?

– Założę się, że trafię.

Hollis odłożył słuchawkę i zadzwonił do apartamentu Lisy, ale nikt nie odpowiadał. Połączył się ze swoim adiutantem, kapitanem O'Shea.

– Ed, pracujesz dziś wieczorem?

– Tak jest, pułkowniku, gdzieś do ósmej.

– W porządku. Jeżeli panna Rhodes... znasz ją?

– Tak jest.

– Jeżeli zadzwoni albo zajrzy... w tej chwili robi zakupy na mieście...
powiesz jej, że będę w swoim apartamencie koło wpół do ósmej.

– Tak jest. Czy w tym czasie jesteś osiągalny?

– Być może.

– Wychodzisz na miasto?

– Nie, kapitanie, będę tutaj, w forcie. Dlaczego pytasz?

– Pilnuję po prostu, żebyś nie napytał sobie biedy, pułkowniku.

– Kto ci kazał?

O'Shea przez kilka sekund milczał.

– Nikt. Jestem twoim adiutantem.

Hollis odłożył słuchawkę. Po kilkunastu sekundach kapitan O'Shea wkroczył do jego gabinetu z małą tabliczką, na której widniała napisana kredą informacja. „Gen. Brewer z Waszyngtonu polecił mi składać na twój temat raporty”, przeczytał Hollis.

„IMD”, napisał na swojej tabliczce. Informuj mnie dalej.

O'Shea kiwnął głową.

– Przepraszam, pułkowniku - powiedział, jakby dopiero co wszedł - ale pomyślałem, że powinieneś wiedzieć, że dzwoniли do mnie prawie wszyscy tutejsi korespondenci, w tym także Anglicy, Australijczycy i Kanadyjczycy. Było także kilku z Europy Zachodniej. Chcą wiedzieć, dlaczego zostałeś uznany za *persona non grata*. Skierowałem ich oczywiście do biura prasowego. Ale chcą rozmawiać z tobą nieoficjalnie.

– Czy któryś z nich wspomniał coś o Fisherze?

– Tak jest. Próbują połączyć jakoś śmierć Fishera, twoją wycieczkę do Możajska i fakt, że zostałeś wydalony.

– Bardzo podejrzliwi ludzie.

– Tak jest, pułkowniku.

Hollis założył płaszcz.

– Jeśli będzie do mnie dzwonił pułkownik Burow, przełącz go do apartamentu pana Alevy'ego.

– Tak jest - odparł O'Shea i starł napisy na obu tabliczkach.

– Pilnuj fortu, Ed.

Hollis wyszedł z gabinetu, zjechał na parter, udał się na tylny taras i ruszył na przelaj przez skwer unikając ścieżek. Było zimno, a z lśniącego nieba padał lekki śnieg. W niektórych otaczających skwer segmentach paliło się światło. Widział siedzące w salonach rodziny, błękitny odbłask podłączonych do wideo telewizorów i ludzi, którzy wyglądali ze swoich sypialni na drugim piętrze, patrząc na pierwszy w tym roku śnieg. W oknach Lisy nie paliło się światło.

Wszystko to było takie typowo amerykańskie, pomyślał, niczym podmiejska dzielnica mieszkaniowa albo osiedle przy bazie lotniczej lub college'u. Nudne, spokojne i zwyczajne. Pomyślał o swoim życiu i małżeństwie i zdał sobie sprawę, że podjął olbrzymie osobiste ryzyko - znacznie przewyższające to, które podejmuje każdy normalny człowiek. Katherine musiała wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski.

Podszedł do drzwi Alevy'ego i nacisnął dzwonek.

Seth zaprosił go do środka. Hollis powiesił płaszcz na wieszaku w przedpokoju i ruszył w ślad za gospodarzem na górę.

– Pada śnieg - zauważył Alevy.

Weszli do salonu. Pułkownik nigdy nie był w apartamencie Alevy'ego i zaskoczyły go jego rozmiary, nie mówiąc już o umeblowaniu. Pełno tu było wspaniałych rosyjskich antyków, których Hollis nie widział dotąd nigdzie poza salą muzeum.

Umeblowanie uzupełniały olejne obrazy, dwa leżące na podłodze dywany z Samarkandy i wypełniające każde wolne miejsce bibeloty z porcelany i laki. Przy oknie stał wielki błyszczący srebrny samowar.

– Całkiem nieźle jak na średniej rangi dyplomatę - skomentował.

Alevy włączył ukryty w ścianie przycisk i pokój wypełniły dźwięki muzyki zabezpieczające przed podsłuchem. Składająca się z samych bałabajek orkiestra grała wiązaną melodię ludowych.

– Płaci za to wyłącznie moja firma - odparł Alevy. - Nic nie pochodzi tutaj z budżetu ambasady.

– To dobrze. Nie chciałbym sądzić, że liczymy wszyscy spinacze do papieru, żebyś ty mógł prześcignąć w przepychu Pałac Zimowy.

– Usiądź. - Alevy podszedł do rzeźbionego mahoniowego kredensu. - Dla ciebie szkocka, prawda?

– Zgadza się. - Hollis usiadł w zielonym pluszowym fotelu. - W odróżnieniu od twojej firmy Pentagon nie rozumie, jak ważne są tego rodzaju zachęty.

Alevy wręczył mu drinka.

– Więc wstąp do mojej firmy. Przyjmujemy cię z otwartymi ramionami.

– Nie, dziękuję. Wolę wrócić do czynnej służby w lotnictwie.

Taki będzie przynajmniej pożytek z całej tej afery.

– Cóż - odparł Alevy. - W mojej firmie też mamy samoloty. Ale sądzę, że siedząc za sterami, marnowałbyś swój prawdziwy talent.

– A do czego mam prawdziwy talent?

– Do szpiegostwa - odpowiedział Alevy. - Jesteś w tym lepszy, niż myślisz. - Podniósł szklanę. - Za twój bezpieczny powrót do domu.

Wypili. Hollis postawił szklanę na stojącej na skraju stołu srebrnej tacy.

– Uważam, że latanie jest rzeczą, na której znam się najlepiej - powiedział.

Alevy siadł na czarnym krześle z laki.

– Latanie może być twoją miłością, ale ta rakietka, która rąbnęła cię w tyłek, każe mi wątpić, czy rzeczywiście jesteś takim asem.

Hollis uśmiechnął się.

– Udało mi się uciec szesnastu rakietom, ale wszyscy pamiętają tylko o siedemnastej.

– Życie nie jest usłane różami, Sam. Nie zaprosiłem cię tutaj, żeby cię zwerbować. Ale to poważna oferta. Zastanów się nad nią.

– Jasne.

– Nie zapraszam tutaj wiele osób - stwierdził Alevy.

Hollis rozejrzał się po pokoju. Wśród tych, które zapraszał, była Lisa. Mógł sobie wyobrazić, jak łatwo było uwieść rusofilkę w takich dekoracjach.

– Mogę ci wyjaśnić, skąd się to wszystko wzięło - ciągnął dalej - bo i tak pracujemy w tym samym fachu.

– Mówisz o dekoratorstwie wewnątrz?

– Nie, o wywiadzie. Ten chłam jest wart około miliona. Mam tu nawet autentyczne jajko Faberge, carski serwis obiadowy i wiele innych podobnych rzeczy. W ten właśnie sposób płacimy naszym sowieckim informatorom. Słyszałeś pewnie o komisie, do którego sowieccy obywatele przynoszą swoje rodowe srebra i inne antyki niewiadomego pochodzenia?

– Obiło mi się o uszy. Całkiem niedawno.

– Cóż, nie będę się wdawał w szczegóły, ale ta mała szczelina w sowieckim systemie daje nam możliwość bezpiecznego przekazywania pieniędzy. Zadowolony?

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

– Ale zrobiłem to. Nie muszę dodawać, że to, co usłyszałeś, jest ściśle tajne.

Hollis przez chwilę się zastanawiał.

– Lisa nie ma dostępu do tego rodzaju informacji - powiedział.

– Nigdy nie powiedziałem jej tego, co tobie. Oznajmiłem jej po prostu, że wszystko to pochodzi z naszej przedrewolucyjnej ambasady. - Zerknął na Hollisa. - Jeden z moich ludzi zobaczył przypadkiem, jak wychodzisz z tego antykwariatu na Arbacie. Przyszło mi do głowy, że coś z tego, co usłyszałeś od Lisy, mogło wzbudzić twoją ciekawość.

Alevy wstał i odwrócony plecami do Hollisa nalał sobie następnego drinka.

– Znajdujemy się w trochę niezręcznej sytuacji, prawda? Mam na myśli stosunki z tą samą kobietą i w ogóle. Siedzisz tutaj, wyobrażając sobie, że być może robiliśmy to na tej trzymetrowej kanapie, i prawdopodobnie masz rację.

Hollis milczał.

– A ponieważ wydaje ci się, że ją lubisz - kontynuował Alevy - zdecydowałeś, że nie będziesz lubił mnie.

– Zawsze się ze sobą dogadywaliśmy.

– Zgadza się. Właściwie to ja mógłbym uznać, że cię nie lubię. Ponieważ wciąż mi na niej zależy i chcę ją mieć z powrotem.

– Ona wyjeżdża - powiedział Hollis.

– To prawda. Tak czy owak wołałem oczyścić atmosferę.

– Więc przestań puszczać zasłonę dymną.

– Zgoda. Atmosfera nadal nie jest czysta. Ale zanim wyjedziesz, musimy, ty i ja, załatwić parę spraw. Więc przejdźmy do spraw zawodowych.

– Co to za sprawy?

– Chodzi mi o raport na temat Borodina. Teraz, kiedy jesteśmy sami, nie musimy się popisywać, tak jak to robiliśmy przed Banksem i Lisą.

– Mów za siebie, Seth.

– Napijesz się jeszcze?

– Nie.

– Pozwól za mną - poprosił Alevy, otwierając wąskie drzwi w korytarzu.

Hollis sądził, że zobaczy za nimi wnętrze szafy, ale zamiast tego wprowadzony został do ciemnego, pozbawionego okien pomieszczenia o obitych skórą ścianach i powierzchni około dziewięciu metrów kwadratowych. W środku świecił się jasno duży, półtorametrowy ekran wideo.

– To moja mała kryjówka. Parę elektronicznych gadżetów. Wystarczy, żeby odrobić pracę domową. Usiądź - powiedział Alevy, wskazując gestem krzesło.

Hollis skorzystał z zaproszenia. Alevy usiadł obok niego i przekręcił krzesło w stronę ekranu. Podniósł leżące na stoliku pilota i nacisnął przycisk. Na ekranie ukazała się fotografia trzydziestoparoletniego mężczyzny ubranego w mundur oficera lotnictwa.

– Major Jack Dodson - rozpoczął Alevy. - Zaginiony w akcji jedenastego listopada 1970 roku. Po raz ostatni widział go pilot sąsiedniego myśliwca. Dodson wyskakiwał ze swego uszkodzonego phantoma nad doliną Rzeki Czerwonej, gdzieś między Hanoi a Hajfongiem. Świadek twierdzi, że nie wydawał się ranny. Mimo to Dodson nigdy nie pojawił się na sporządzonych przez Hanoi listach jeńców. Obecnie chyba wiemy, co się z nim stało.

– Mój drugi pilot, Ernie Simms, zaginął w podobnych okolicznościach.

– Wiem o tym.

Fotografia Dodsona zniknęła, a na jej miejscu pojawiła się twarz innego mężczyzny. Dopiero po kilku sekundach Hollis rozpoznał Erniego Simmsa.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał.

– Nie wiem, czy on jest w Rosji, Sam - powiedział w końcu Alevy.

Hollis nie odpowiedział.

– Nie możemy - dodał Alevy - ponownie stoczyć tej wojny, ale czasami mamy szansę dokonać małej korekty. Możemy poprawić obraz przeszłości.

Hollis spojrział na Alevy'ego, ale nic nie powiedział. Jego twarz spowijała płynąca z ekranu błękitna poświata. Seth wyłączył ekran i przez chwilę siedzieli w milczeniu w ciemnym pokoju.

– Mam jeszcze trochę więcej obrazków - powiedział Alevy. - Ale tym razem to ty będziesz je objaśniał. Oddaję ci głos, Sam.

– Wyślecie nas oboje na tę samą placówkę, jeśli uznamy, że mamy na to ochotę. Tak brzmi mój warunek.

Alevy zrzucił buty i oparł stopy o elektroniczną konsolę. Odwinął opakowanie gumy do żucia i wpakował ją sobie do ust.

– Cóż... przypuszczam, że to łatwiejsze do załatwienia, niż przekonanie jej, że sprawiedliwości stało się zadość.

Hollis wbił wzrok w ciemny kąt pokoju.

– Pojechaliśmy na północ od pola bitwy - zaczął. - Jest tam pasmo wzgórz porośnięte sosnami.

Zrelacjonował, co wydarzyło się podczas ich wycieczki, opowiadając Alevy'emu, co widział i czego się domyślał.

Seth słuchał z uwagą.

– Bardziej wyglądało to na więzienie niż na teren wojskowy? - zapytał.

– Zdecydowanie. Miejscowy Gułag.

– Straż Graniczna KGB?

– Tak.

– Mieli na sobie normalne zimowe mundury? Oliwkowo-szare z czerwoną lamówką?

– Tak.

– Czapki czy hełmy?

– Czapki. Dlaczego pytasz?

– AK-47?

– Tak. W półciężarówce widziałem także faceta z długą strzelbą i lunetą. To mógł być ten ich snajperski karabin. Dragunow. Znasz go?

– Tak.

– Dlaczego tak dokładnie wypytujesz o to wszystko? Pytam, jakbym się nie domyślał...

Alevy milczał.

– Jesteś szalony - stwierdził Hollis.

– Och, wiem o tym. Nie widziałeś żadnych ludzi z sił powietrznych, żadnych insygniów albo oznaczeń? - pytał dalej Alevy.

– Nie.

– Dobrze. A kiedy wróciłeś do swojego biura, zacząłeś szperać w aktach, prawda? Czego się dowiedziałeś?

Hollis zabębnił palcami po oparciu fotela. Zdradzanie wojskowych tajemnic i w ogóle wypowiedanie ich na głos nigdy nie przychodziło mu łatwo, ale teraz, pomyślał, być może nadszedł na to odpowiedni czas.

– Odkryłem, że cały teren zamknięty jest dla cywilnego ruchu powietrznego - zaczął.

– Podobnie jak dziewięćdziesiąt procent obszaru tego kraju.

– Zgadza się. Odnalazłem również stary raport dotyczący sowieckich baz powietrznych, który sporządzono w moim biurze piętnaście lat temu. Odpowiednia teczka, z braku rosyjskiej nazwy, opatrzona była kryptonimem „Borodino Północ”. Ponieważ nie było tam lotniska, teren określono jako naziemny ośrodek szkoleniowy, prawdopodobnie szkołę przetrwania, chociaż wokół rozciągają się pola uprawne, a sam las nie jest zbyt duży. Ale tak napisano w raporcie.

Alevy skinął głową.

– Do niedawna teren pozostawał poza sferą naszych zainteresowań - stwierdził. - Ale kiedy się nim zainteresowałem, wysłałem paru ludzi, żeby zasięgnęli języka. Zgodnie z tym, co opowiadają w okolicy, rzeczywiście piętnaście lat temu mieścił się tam ośrodek sił powietrznych. To by się zgadzało z twoim starym raportem. Później jednak mundury z lotniczych zmieniły się na należące do KGB, a także na cywilne ubrania. Personel ośrodka prawie nie kontaktuje się z ludnością Borodina, Możajska i innych pobliskich miejscowości. Przylatują helikopterem, najprawdopodobniej z Moskwy. Wniosek: ośrodek jest otoczony najgłębszą tajemnicą. Personel cieszy się takimi samymi przywilejami jak w Moskwie. - Alevy spojrział na Hollisa. - W porządku, teraz twoja kolej.

– Odszukałem parę starych zdjęć lotniczych. Ale zrobiono je w roku 1974 albo 1975 z wysokości trzydziestu tysięcy metrów przez obiektywy, które nie mają tej ostrości co wasze satelity zwiadowcze.

– Co mówią wasi analitycy o tych zdjęciach? - zapytał Alevy.

– Prawdę mówiąc, wywiad sił powietrznych szukał wyłącznie rzeczy, które były interesujące z ich punktu widzenia. Doszli do wniosku, że zajmujący około trzystu hektarów ośrodek nie ma żadnego znaczenia taktycznego ani strategicznego. To wszystko, co znalazłem na temat „Borodino Północ”. Sprawa zamknięta.

– Co, twoim zdaniem, się tam mieści? - zapytał Alevy.

– Szkoła Wdzięku pani Iwanowej - odparł Hollis.

– Czym jest Szkoła Wdzięku pani Iwanowej?

– To ty mi powiedz. I jeżeli masz zdjęcia, a domyślam się, że tak, rzućmy na nie okiem.

Alevy wcisnął ponownie przycisk pilota i ekran rozjarzył się, ukazując obraz przesuwających się w wolnym tempie pól uprawnych.

– Satelita zwiadowczy leci z północnego wschodu na południowy zachód - powiedział Alevy. - Jest bardzo przyjemny, słoneczny letni dzień. To pszenica. Przybliżmy to trochę.

Na ekranie ukazał się siedzący na czerwonym traktorze chłop. Traktor ciągnął przyczepę z sianem.

– Za chwilę zobaczymy rzekę Moskwa.

Mogło się zdawać, że zdjęcie zrobione było z wysokości siedmiuset metrów, pomyślał Hollis, mimo że satelita wisiał ponad sto pięćdziesiąt kilometrów nad Ziemią.

– W porządku - ciągnął dalej Alevy - teraz widzisz skraj sosnowego lasu. A teraz to, co oglądałeś z Ziemi: szeroka na jakieś pięćdziesiąt metrów przecinka. Jeśli przyjrzesz się dokładniej, zobaczysz ogrodzenie z drutu kolczastego. Tutaj mamy wieżę strażniczą... - Alevy zatrzymał taśmę i przybliżył obraz. - Strażnik na wieży drapie się w tyłek, nie wiedząc, że uwieczniamy ten obraz dla potomności.

– Kiedy robione były te zdjęcia? - zapytał Hollis.

– W czerwcu tego roku. Okay, teraz przesuwamy obraz bliżej środka... widzimy tylko sosny i niewiele więcej. Ale rzuć okiem na to... - zatrzymał ponownie taśmę. - Tutaj, na górze ekranu. Ta polanka to lądowisko helikopterów. Widzisz spłaszczoną od podmuchu wirnika trawę i ślady płóz helikoptera?

– Nie.

– Prawdę mówiąc, ja też nie. Ale powiedzieli mi o tym analitycy. Okay, puścimy teraz taśmę trochę dalej. Widać tutaj jakiś budynek, drewnianą chatę, ale na tym koniec. Resztę zasłaniają korony drzew. Sowieci lubią używać sosnowych lasów jako osłony przed naszymi satelitami. Któregoś dnia ukryją cały swój pieprzony kraj pod gałęziami iglaków. Okay, teraz widzimy skraj pola bitwy, teraz starą drogę Mińsk - Moskwa, a teraz nową

szosę. Całkiem ładne obrazki, nie? Musi ich trafiać szlag na myśl o naszych satelitach. - Alevy wyłączył ekran. - To wszystko.

Obaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w półmroku.

- Zdjęcia lasku poddaliśmy analizie spektralnej i w podczerwieni. Tam, na dole, roi się od źródeł ciepła. Pojazdy, ludzie, dużo małych budynków i kilka większych, w większości drewnianych, wszystko to rozrzucone na obszarze blisko kilometra kwadratowego. Zaludnienie ocenia się na czterysta do ośmiuset osób, chociaż miejsca jest na więcej. I najprawdopodobniej kiedyś było tam więcej ludzi.

- Mieszka tam około trzystu amerykańskich jeńców wojennych - powiedział Hollis.

Alevy rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Skąd wiesz?

- Od Francuzki. Powiedział jej Fisher, a jemu Dodson.

Alevy kiwnął głową.

- Skontaktowaliśmy się z nią w Helsinkach, ale nie chciała mówić. Coś jeszcze? - zapytał.

- To, co już wiesz. Przedtem była tam szkoła sił powietrznych, teraz szkoła KGB.

Alevy potarł podbródek.

- Trzystu?

Hollis kiwnął głową.

- Jezu Chryste.

- Taka była i moja reakcja.

Alevy przyjrzał się uważnie Hollisowi.

- Czy przekazałeś mi wszystko?

- Tak. A ty mnie?

– Cóż, reszty możesz domyślić się sam - odparł Alevy. - To nie są oczywiście zdrajcy, ale jeńcy z Wietnamu. Zostali oddani Rosjanom przez północnych Wietnamczyków, prawdopodobnie w zamian za te rakiety ziemia-powietrze, które tak zgrabnie was strącały. Dostawali produkt, który udało się uzyskać dzięki ich rakietom. Żywych amerykańskich lotników. Coś za coś.

Hollis kiwnął głową.

– Ilu jest tych lotników, których nadal nie możemy się doliczyć? Około tysiąca - ciągnął dalej Alevy. - Północni Wietnamczycy mogli ich co najwyżej bić, głodzić i pędzić przed kamerami filmowymi. Rosjanie uznali ich za wartościowy nabytek dla swoich sił lotniczych.

Hollis wstał.

– I otworzyli szkołę, w której instruktorami byli ich potencjalni przeciwnicy. Zawsze ich o to podejrzewaliśmy.

– Czy ci amerykańscy lotnicy naprawdę mogli ich czegoś wartościowego nauczyć? - zapytał Alevy. - Jaka jest twoja profesjonalna opinia na ten temat?

– Zdradzę ci teraz jedną z wojskowych tajemnic - odparł Hollis - bo cię lubię. Izraelczycy dawali nam w przeszłości wziętych do niewoli, wyszkolonych przez Sowietów egipskich i syryjskich pilotów. Posługując się hipnozą i narkotykami wydobyliśmy z nich dużo informacji o programie szkolenia sowieckich sił powietrznych.

– W porządku, ale jaki z tego może być pożytek po kilku, kilkunastu latach, kiedy zmieniają się samoloty i taktyka?

– Niewielki, jeśli nie doszło do starcia z przeciwnikiem w danym okresie. Jak sam powiedziałeś, sprzęt i taktyka się zmieniają.

– Więc co robią teraz ci piloci z wojny wietnamskiej? - zapytał Alevy. - Posłużono się nimi, żeby szkolić pilotów migów piętnaście, szesnaście lat

temu. Teraz są bezużyteczni. Dlaczego się ich nie pozbyto? Jaki z nich teraz pożytek? Oto jest pytanie. Znasz na nie odpowiedź?

– Muszę się nad tym zastanowić.

Zadzwoił telefon.

– To może być do mnie - powiedział Hollis.

Alevy wskazał mu ręką telefon i Hollis podniósł słuchawkę.

– Hollis.

– Dzwoni Burow - powiedział kapitan O'Shea.

– Daj go - odparł Hollis. - Zjawa z mozaikowej kostnicy - szepnął do Alevy'ego.

– Bądź miły - poradził mu Alevy i wetknął sobie do ucha małą słuchawkę.

– Pułkownik Hollis? - usłyszeli głos Burowa.

– Przy telefonie.

– Jak się pan dziś czuje? - zapytał kordialnym tonem Rosjanin.

– Znakomicie. A pan?

– Miałem zamiar zadzwonić do pana wcześniej. Ale wciąż zajmuję się tym podwójnym morderstwem, o którym panu opowiadałem. Nie przeszkadza panu może w kolacji?

– Nie, tutaj, w naszej małej Ameryce, kolację jemy o ósmej. Oglądam właśnie satelitarne zdjęcia waszego pięknego kraju.

Burow roześmiał się.

– Co za zbieg okoliczności. Bo ja przysłuchuję się właśnie nagrany na taśmę rozmowom telefonicznym, które dochodzą do nas z waszej ambasady.

– Jaki ten elektroniczny świat jest mały. Kiedy będę mógł zobaczyć się z majorem Dodsonem w Centrum Handlu?

– Cóż... rozmawiałem z nim, ale zdecydowanie nie ma ochoty rozmawiać z kimkolwiek z waszej ambasady.

– Z jego ambasady. Dlaczegoż to nie ma ochoty?

– Nie widzi sensu takiego spotkania.

– Sens polega na tym, żeby ustalić, czy jest zdrow i cały i czy pragnie pozostać w Związku Sowieckim.

– Odpowiedź na wszystkie te pytania jest pozytywna.

Hollisa zawsze dziwiła łatwość, z jaką Burow posługiwał się wojskowym żargonem.

– Nie chciałbym sugerować, że nie mam zaufania do pułkownika KGB, ale co z tą fotografią z *Prawdą*!

– To da się zrobić.

– Bez retuszu. Chcę fotografię i negatyw.

– To, obawiam się, jest niemożliwe. Negatyw mogę panu tylko pokazać.

– W takim razie może pan się w ogóle nie fatygować.

– Nie wiem, co mogę panu w takiej sytuacji zaproponować.

– Niech pan powie „tak”, pułkowniku.

– Porozmawiam jeszcze z majorem Dodsonem.

– Naprawdę? A co by pan powiedział, gdybym oznajmił panu, że major Dodson jest w tej chwili tutaj, w ambasadzie, i że opowiada nam rzeczy, które nie mieszczą się w głowie?

– Nie przeciągaj struny - szepnął Alevy.

Rosjanina na chwilę zatkało.

– To niemożliwe, pułkowniku - odparł w końcu. - Rozmawiałem z nim nie dalej jak dwadzieścia minut temu.

– Nie sądzę.

– Dobrze, jeśli jest w ambasadzie, niech pan go da do telefonu.

– Po co? Za parę dni pokażemy go w telewizji.

- Odezwę się jeszcze w tej sprawie - oświadczył Burow.
- Starał się kontrolować głos, ale słychać było, że jest podenerwowany.
- Znakomicie. A gdzie ja mogę się z panem skontaktować, pułkowniku?
- Może pan zadzwonić do Lefortowa i zostawić wiadomość.
- Ma pan może jakiś numer domowy, pod który mógłbym zadzwonić podczas weekendu?
- Obawiam się, że nie. Niech pan dzwoni do Lefortowa. Jesteśmy otwarci dzień i noc.
- Nie do Możajska ani do Borodina?
- Nie, pracuję tutaj.
- W jakiej dyrekcji?
- Nie musi pan wiedzieć.
- Ma pan jakieś imię?
- Piotr.
- Bardzo chrześcijańskie. Założę się, że pańscy rodzice są chrześcijanami.
- Nie pański interes - odparł sztywno Burow.
- W porządku, Piotrze.
- Nie próbuj mnie prowokować, Hollis. I tak już załazłeś mi za skórę.
- Nareszcie poznaję mojego starego Burowa. Nie boli cię szczeka?
- Alevy uśmiechnął się.
- Wciąż mi o tobie przypomina - odparł Rosjanin. - Wiesz co, Sam, z tego, co mi wiadomo, prowadzisz całkiem przyjemne życie. Ale to się może szybko skończyć.
- Czy to groźba?
- Nie, prorocstwo. Nie groziłbym ci przez telefon. Wiem, że wszystko nagrywacie.

– Świetnie, nagrajmy zatem twoją odpowiedź na moje następne pytanie. Gdzie jest samochód pana Fishera?

– Zwróć się z tym do moskiewskiej milicji.

– Utrzymują, że go nie mają. Z Ameryki przybyła specjalna ekipa śledcza. Chcą zbadać samochód. Gdzie on jest, pułkowniku Burow?

– Zajmę się tym.

– Proszę, niech pan to zrobi. I postara się być w tej sprawie bardziej pomocny niż w innych, z jakimi się do pana do tej pory zwracałem. Cóż, pułkowniku, jeśli nie ma pan nic więcej, wrócę teraz do moich szpiegowskich zajęć. Budowa nowej fabryki rakiet na paliwo stałe postępuje całkiem szybko, ale widzę wokół niej mnóstwo porzuconych materiałów budowlanych. Niech pan każe komuś je sprzątnąć.

Burow zignorował zaczepkę.

– A propos, Sam - powiedział - pewien londyński przyjaciel powiedział mi, że twoja żona spędza pół dnia na Bond Street. Mam nadzieję, że nie ma przy sobie twoich kart kredytowych. A może płaci za nią ten facet, który nie odstępował jej na krok. Z tego, co słyszałem, małżonka wygląda znakomicie.

– Daj temu spokój, Sam. Nie wygrasz z nim w te klocki - szepnął Alevy. Hollis kiwnął głową.

– W porządku, Burow. Będę cię informował o majorze Dodsonie.

– Odwzajemnię się tym samym. Całkiem przypadkowo zadzwonił do mnie inny mój znajomy, z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Poinformował mnie o pańskim niespodziewanym wyjeździe. Praca z panem, pułkowniku, to była prawdziwa przyjemność. Być może spotkamy się na wspólnym lunchu jeszcze przed poniedziałkowym wyjazdem? Może wpadnie pan jeszcze raz do restauracji „Lefortowo”?

– Naturalnie. Spróbuję znaleźć wolną chwilę.

– Świetnie. Z kim będę miał do czynienia po pańskim wyjeździe?

Alevy pokazał palcem na siebie.

– Z Sethem Alevym - powiedział do telefonu Hollis. - Chyba go pan sobie przypomina.

– O, tak. Wszyscy tutaj świetnie znamy pana Alevy'ego. Nie mogę się wprost doczekać następnego z nim spotkania. Proszę mu ode mnie przekazać wyrazy szacunku.

– Nie omieszkam.

– Jeśli nie uda nam się już spotkać ani porozmawiać, życzę panu, pułkowniku, bezpiecznej podróży.

– Taką właśnie podróż planuję.

– Do widzenia.

– Do widzenia, pułkowniku Burow. - Hollis odłożył słuchawkę. - Do widzenia, ty skurwysynu.

– Jezu, ale ten facet mówi po angielsku - powiedział Alevy.

– Lekcji konwersacji udziela mu dużo Amerykanów.

Alevy kiwnął głową.

– Trochę go przycisnąłeś w sprawie Dodsona. Pewnie się teraz zastanawia, ile wiemy na temat Szkoły Wdzięku: tylko trochę czy wszystko. Niekiedy dobrze jest walnąć kijem w krzaki i zobaczyć, co z nich wybiega. Czasami to królik, czasami niedźwiedź.

– Niedźwiedź mi odpowiada. Mam sztucer na niedźwiedzie.

Alevy uśmiechnął się.

– To kraj niedźwiedzi.

– Nie bój się, Seth. Poradzisz sobie z nim. Możesz mi o tym napisać.

Alevy roześmiał się.

– Ty sukinsynu. Doprowadziłeś go do białej gorączki i teraz zostawiasz go mnie.

– Zgłosiłeś się na ochotnika. Jeśli chcesz, mogę go ze sobą zabrać.

– Nie, zajmę się Burowem. To dobry kontakt. Myślę, że kiedy to wszystko się skończy, możemy się nawet zaprzyjaźnić. Dobrze by nam się współpracowało.

– Swój ciągnie do swego.

Alevy nie odpowiedział.

– Muszę już iść - powiedział Hollis.

Otworzył drzwi i wyszedł. Alevy ruszył za nim korytarzem.

– Muszę jeszcze dzisiaj nadać i przyjąć parę depesz - oznajmił, kiedy znaleźli się w salonie. - Wpadnij tu jeszcze o pierwszej w nocy.

Hollis skierował się ku schodom.

– Po co?

– Mogę mieć wtedy więcej odpowiedzi. Na pewno będę miał więcej pytań. Zastanów się nad tym, czego uczą w tej Szkole Wdzięku.

Hollis zszedł na dół, założył płaszcz i wyszedł na dwór.

– A twoim zdaniem, nad czym się, do diabła, cały czas zastanawiam? - mruknął sam do siebie.

.21.

Hollis na próżno rozglądał się za jakąś ścierką. W końcu wytarł kuchenny blat chusteczką i wyrzucił ją do śmieci. Brakowało mu pokojówki, ale liczbę rosyjskich pracowników zredukowano w całej ambasadzie do dwunastu osób. Poprawił się stan bezpieczeństwa, lecz ucierpiały na tym gospodarstwa domowe. Amerykańskie małżeństwo, pani i pan Kellumowie, do których obowiązków należało teraz utrzymanie porządku, byli bardziej staranni od Rosjanek.

Nic dziwnego - Kellumowie szukali tylko brudu, podczas gdy Rosjanki wielu innych rzeczy. Niestety Kellumowie zaglądali do jego apartamentu tylko raz na dwa tygodnie i nietrudno było to dostrzec.

Hollis wstawił do zmywarki filiżanki po kawie i szklanki po piwie i zatrzasnął klapę. Zadzwoił dzwonek do drzwi.

– Niech to diabli!

Wbiegł do salonu i wsunął nogą pod kanapę czasopisma i gazety, a potem podniósł z podłogi trzy krawaty i schował je za książkami na półce. Dzwonek zadzwonił ponownie.

– Chwileczkę.

Postawił popielniczkę na stoliku, zasłaniając płamę po whisky, po czym zbiegł po schodach i otworzył drzwi.

– Cześć.

Lisa weszła do środka. Ubrana była w biały wełniany płaszcz do kostek i futrzaną czapkę ze srebrnego rosyjskiego lisa. W ręku trzymała płócienną

torbę. Pocałowała go lekko w policzek, co w jakiś sposób wydało mu się gestem bardziej intymnym od pocałunku w usta. Otrząsnęła śnieg z butów.

– Pada - powiedziała.

Pomógł jej się rozebrać, po czym wsadził czapkę i płaszcz do szafy w przedpokoju. Zobaczył, że pod eleganckim płaszczem, który założyła do miasta, ma na sobie czarny welurowy dres.

Usiadła na schodku, ściągnęła buty i skarpetki i pomasowała stopy.

– Gdzie byłeś? - zapytała.

– W kuchni.

– Mam na myśli ostatnią godzinę.

– Nadawałem depesze.

– Jezu, jak ja bym chciała mieć taką kryjówkę. Mówiłabym ludziom, że tam jestem i robiła coś zupełnie innego. Czasami bardzo by mi się to przydało.

Zaprowadził ją na górę.

– Kapitan O'Shea oblał się cały rumieńcem, kiedy zapytałam go, gdzie jesteś. Szukałam cię w barze.

– Byłem w pokoju radiowym. Nadawałem depesze.

Weszli do salonu.

– Czy widzisz się jeszcze z kimś innym? - zapytała. - Nigdy cię o to nie zapytałam, bo jestem naiwna. Ale pytam o to teraz.

Hollis zateśnił na chwilę za żoną, która nie dbała o to, gdzie był i z kim się widział.

– Nie mam nikogo. Co jest w tej torbie?

– Najlepsze rzeczy, jakie mają do zaoferowania w Gastronomii.

Stała pośrodku salonu i przyjrzała się krytycznym okiem pochodzącym z Azji, Ameryki Południowej i Europy meblom.

– Wybierała je twoja żona?

– Wszędzie coś kupowaliśmy.
– Naprawdę? Czy ona chce je odzyskać?
– Nie wiem.
– Gdzie każesz je przewieźć?
– Chyba do mojej następnej placówki. Chcesz może rozpakować torbę w kuchni?

– Tak.

Ruszyła za nim do kuchni, gdzie wyjęła zakupy z płóciennej torby. Rzucił okiem na słoiki i puszki. Były tam marynowane warzywa, chrzan, solona ryba, kiełbasa w puszcze, kawałek wędzonego śledzia, paczka herbaty i karton ciastek, na których widniał napis „ciastka”. Rosjanie nie lubili wdawać się w szczegóły. Hollis próbował już raz kiedyś tych ciastek. Smakowały jak zjełczała słonina, do której dosypano strużyn z ołówka.

– A gdzie mięso? - zapytał.

– W Gastronomii nie sprzedają prawdziwego jedzenia. Tylko delikatesy. Przygotuję tacę z zakąskami. Nie jestem bardzo głodna.

– Ale ja jestem. Skoczę do naszego sklepu.

– Starczy tego, co przyniosłam. Zrób mi wódkę z cytryną, kiedy będę to przygotowywać. Gdzie masz otwieracz do konserw?

– Tutaj. - Hollis wyjął butelkę stolicznej z zamrażalnika i nalał jej do dwóch zmrożonych szklanek. - Nie mam cytryny. Nikt nie ma tutaj cytryny.

Lisa sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej cytrynę.

– Dostałam ją na dole. Barman podkochuje się we mnie.

Hollis pociął cytrynę i wrzucił po plasterku do każdej ze szklanek. Wypili, otworzyli wspólnie puszki i słoiki, a potem zaczęli szukać półmisek, talerzy i sztućców. Sam zorientował się, że nie zna zbyt dobrze swojej kuchni.

– Idź, usiądź na kanapie - powiedziała. - Tam cię obsłużę. No już.

Hollis wrócił do salonu i wyciągnął spod kanapy jakieś czasopismo. Lisa weszła z tacą zakąsek i postawiła ją na stoliku, a potem usiadła obok niego i próbowała przesunąć popielniczkę.

– Lepi się.

Jedli zakąski, pili wódkę i rozmawiali. Zapytał o jej pracę.

– Jestem oszustką. Piszę to, czego ode mnie chcą, używam stylu, jakiego chcą, i dokładnie tej liczby słów, jakiej chcą...

– Kto tego od ciebie chce?

– Nie wiem. Trochę to straszne. Wiesz, o co mi chodzi?

– W wojsku to nic nowego.

Skinęła głową.

– Właściwie to mam całkiem niezłe pióro. Potrafię pisać wartościowe kawałki. Ale znęciły mnie uroki dyplomacji. Co powinnam teraz zrobić?

– Nie składaj rezygnacji. Pisz wartościowe kawałki na boku, pod pseudonimem.

– Dobry pomysł. Myślisz, że dostaniemy przydział w tym samym miejscu?

– Chcesz tego?

– Czy to ja jestem zbyt subtelna, czy ty ślepy?

Uśmiechnął się.

– Chyba uda mi się coś załatwić.

– Naprawdę?

– Taką mam nadzieję.

Wyjęła papierosy.

– Nie będzie ci przeszkadzać?

– Nie.

– Zapalisz?

– Później.

Przysunęła do siebie popielniczkę.

– Dlaczego ona się lepi?

Hollis nalał sobie kolejną wódkę.

– Jak minęło ci ostatnie sześć miesięcy, Sam? - zapytała zapalając papierosa. - Brakuje ci jej?

– Nie, ale jako słomiany wdowiec również nie prowadziłem szczególnie atrakcyjnego życia. W naszej wesołej Moskwie nie spotyka się zbyt wielu towarzyskich okazji, a jeszcze mniej jest ich tutaj, na terenie ambasady. Mam już dosyć gry w brydża z małżeństwami i nie przesiaduję razem z innymi samotnikami w barze. Znalazłem się w przedsionku piekła.

– Byłeś wygłodniały.

– To było ciężkie pół roku.

– Więc te historie, które słyszałam o twoich miłosnych podbojach, są zmyślane?

– No, może wszystkie oprócz trzech - odparł z uśmiechem.

– Czy jestem pierwszą kobietą, którą zapraszasz tu na górę?

– Uwielbiasz wszystko liczyć, prawda?

Zrobiła groźną minę i złapała go za krawat.

– Zapomniałeś już, jak kopnęłam Wiktora w jaja? Odpowiedz, bo pożałujesz! - zawołała, zaciskając mu krawat na szyi.

– Staje mi krawat.

Powstrzymała cisnący się jej na usta uśmiech.

– Odpowiedz!

Roześmiał się.

– Tak, tak. Już ci mówiłem. Byłem sam.

Złapał ją za nadgarstki, przycisnął do kanapy i dotknął ustami warg. Lisa odsunęła się na bok.

– Później. Mam w torebce kasetę wideo. - Wstała, wyjęła kasetę i wsunęła ją do magnetowidu. - *Doktor Żywago*. Czeka się na ten film w kolejce prawie miesiąc, więc musimy go obejrzeć. - Wróciła na kanapę i ułożyła się na niej wygodnie, kładąc mu stopy na kolana. - Podniecają cię stopy?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Mógłbyś mi je pomasować.

– Dobrze.

Patrzyli, popijając wódkę, na ekran, a on masował jej stopy.

– Oglądałam ten film cztery razy - powiedziała - i zawsze wzrusza mnie do łez.

– Dlaczego nie puścisz go sobie od tyłu? Na samym końcu car zasiądzie na tronie.

– Nie bądź idiotą. Spójrz na niego. Jest boski.

– Wygląda jak sprzedawca używanych dywanów.

– Uwielbiam temat Lary.

– A ja uwielbiam Larę. Mógłbym ją schrupać z kosteczkami.

– Nie bądź sprośny. Och, Sam, tak bardzo chciałam pojechać do Pieriedielkina. Złożyłabym kwiaty na grobie Pasternaka i posłuchała Rosjan deklamujących jego poezje na cerkiewnym cmentarzu.

– Wygląda na to, że nie zdążysz już zrobić wielu rzeczy, które podpowiadała ci twoja rosyjska dusza.

– Wiem. To smutne. Jedną nogą jestem już w domu.

– Patrz na film. Lara zaraz zastrzeli tego grubasa.

Przytulili się do siebie na kanapie i oglądali dalej film. Lodowaty wiatr stukał o okienną ramę i do środka wpadło kilka płatków śniegu. Pokochali się na kanapie i zasnęli. O pierwszej w nocy Hollis obudził się i założył spodnie. Otworzyła oczy.

- Dokąd idziesz?
- Do Seven-Eleven po paczkę papierosów.
- Masz z kimś spotkanie?
- Z żoną ambasadora. Zamierzam z nią zerwać.
- Spotykasz się z Sethem.
- Zgadza się. Jesteś zazdrosna?

Zamknęła oczy i przewróciła się na drugi bok.

– Nigdy mi nie mówiłaś, że on żyje jak car - powiedział wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek. - Czy to on dał ci tę ikonę?

– Mówiłam ci przecież, że należała do mojej babci.

– Zgadza się. A tak się cieszyłaś, kiedy powiedziałem, że przemycę ją w dyplomatycznym bagażu. Chryste, twój przyjaciel mógłby kupić dla ciebie kremlowskie kopuły.

– Zawsze jesteś taki przykry po stosunku? - zapytała, zamykając oczy i odwracając się do niego plecami.

Hollis wyszedł trzaskając głośno drzwiami.

CZĘŚĆ III

Rosjanin jest uroczy, dopóki nie udaje kogoś innego. Jako człowiek Wschodu jest czarujący. Dopiero kiedy domaga się, by traktować go jako przedstawiciela najdalej na wschód wysuniętego zachodniego narodu zamiast najbardziej zachodniego z narodów Wschodu, dopiero wtedy... trudno sobie z nim poradzić.

Rudyard Kipling

.22.

Muzyczne tło stanowiły tym razem płynące z magnetofonu Alevy'ego patriotyczne pieśni w wykonaniu chóru Armii Czerwonej.

– Nie możesz tego zmienić? - zapytał Hollis.

– Jasne. - Seth otworzył drzwiczki kredensu i zatrzymał taśmę. - Czasami puszcza także coś, czego oni lubią słuchać.

Hollis wyjrzał przez okno na stojący po drugiej stronie ulicy dziesięciopiętrowy blok mieszkalny. Na jego najwyższym piętrze KGB umieściło swoje wymierzone w zabudowania ambasady elektroniczne gadgety. Zastanawiał się, jak dużo udaje im się zobaczyć i usłyszeć.

– Tina Turner czy Prince?

– Cokolwiek cię rajcuje, Seth.

Alevy włożył do magnetofonu kasetę z Prince'em i nacisnął przycisk.

– Jak to usłyszą, od razu każą posłać po butelkę wódki. Wracając do punktu, w którym przerwaliśmy - zwrócił się do Hollisa - co takiego robi tych trzystu więzionych w obozie amerykańskich lotników, żeby zarobić na życie? Co sprawia, że nie dostali jeszcze kulki w łeb?

– Cofnijmy się trochę - powiedział Hollis. - Wiemy, że w tym obozie trzymają amerykańskich jeńców z Wietnamu. Dlaczego nasz rząd nie kiwnął w tej sprawie małym palcem?

Alevy nalał sobie brandy do filiżanki.

– Nie wiedzieliśmy aż do piątku wieczorem.

– Musieliście coś wiedzieć wcześniej.

– I co mieliśmy robić? Gdyby nasz prezydent próbował dyskretnie wybadać w tej sprawie rząd sowiecki, Rosjanie udaliby święte oburzenie: „O czym pan mówi? Znowu próbuje pan pogrzebać światowy pokój?” I wiesz, co ci powiem? Mieliby rację. A gdyby prezydent wpadł w szewską pasję i wysunął wobec nich publiczne oskarżenie, musiałby odwołać stąd naszego ambasadora, wyrzucić z Waszyngtonu ich ambasadora, a także odwołać szczyt i rozmowy rozbrojeniowe. I wciąż nie mielibyśmy ani cienia dowodu. A świat znowu odwróciłby się od nas plecami. Ten facet, który zasiada teraz na Kremlu, ma dobrą prasę, Sam. Ciągłe powtarza, że chce być naszym przyjacielem.

– W takim razie nie powinien pozwalać swoim tajnikom mordować i prześladować Amerykanów - zauważył Hollis.

– Interesujący punkt widzenia - przyznał Alevy. - Na tym między innymi polega złożoność problemu, przed którym stoimy. Ten nowy facet odziedziczył po swoich poprzednikach trzystu amerykańskich jeńców wojennych. Ale nad Szkołą Wdzięku kontrolę sprawuje KGB. Jak dużo mu o niej powiedzieli? Czy w ogóle poinformowali go o tym, że coś niecoś dotarło na jej temat i do nas? W takich sprawach my również nie informujemy zbyt dokładnie naszego rządu, prawda, Sam? Może KGB chce podrzucić Kremlowi tę świnie w najmniej odpowiednim momencie? Tajna milicja i armia nieraz już wycinały ten numer. Oni wcale nie chcą pokoju z Zachodem.

– Czy wasi ludzie nigdy nie sabotowali inicjatyw pokojowych?

– Niezbyt często. - Alevy zaśmiał się ponuro. - A jastrzębie w Pentagonie?

– Nikt nie ma czystych rąk - przyznał Hollis.

– A ty osobiście, Sam?

– Moim ideałem jest pokój na warunkach honorowych - odparł Hollis. -
A ty? Nie jesteś zwolennikiem Sowietów ani odprężenia.

Alevy wzruszył ramionami.

– Powtarzam ci po prostu oficjalną linię partii. Robię to, co mi każą. A
każą mi nie zawracać Sowietom głowy insynuacjami, jakoby trzymali w
niewoli jakichś Amerykanów. - Alevy rozciągnął się na kanapie. - Więc nie
robię tego. A tymczasem Burow przeniesie po prostu obóz w inne miejsce
albo wszystkich powystrzela.

– Dlatego właśnie musimy działać szybko - stwierdził Hollis.

Alevy wlepił wzrok w sufit.

– Zgadza się. Tych ludzi mogłoby już nie być, gdyby nie Dodson.
Dodson jest żywym dowodem i na dodatek urwał się z łańcucha. Teraz
waży się los całej Szkoły Wdzięku i jej mieszkańców. Jeśli Burow dostanie
Dodsona w swoje łapy przed nami... Wciąż mam nadzieję, że majorowi uda
się tutaj dotrzeć.

– A ja wciąż myślę o tysiącu zaginionych lotnikach i o tych trzystu, o
których wiemy, że są w Szkole Wdzięku. Przypuszczam, że było ich więcej,
ale wykruszyli się... Samobójstwa, egzekucje, choroby... Zostało trzystu.
Myślę, że ich ocalenie leży teraz w naszych rękach, Seth. Do diabła z
dyplomatami.

Alevy przez chwilę przyglądał się Hollisowi.

– Wiesz co, Sam? - powiedział. - Przez całe dwa lata naszej współpracy
nigdy nie potrafiłem cię rozgryźć.

– To dobrze.

– Ale teraz mam na ciebie haka. Zimny Sam Hollis gotów jest złamać
wszystkie reguły gry i postawić na szali własną karierę, światowy pokój, a
nawet własne życie. Wszystko po to, żeby uratować tych lotników. Rycerz
bez skazy jest znowu szalonym pilotem gotowym pociągnąć za wajchę i

zrównać wszystko z ziemią. - Alevy uśmiechnął się. - A mimo to wszystkim wydaje się, że jesteś wzorowym funkcjonariuszem, podczas gdy ja uważany jestem za czarną owcę. Nie wiedzą o tobie tego co ja, Sam. To może okazać się użyteczne. Witaj w moim świecie, pułkowniku.

Hollis nie odpowiedział.

- Pomyśl o konsekwencjach - ciągnął dalej Alevy. - Powiedzmy, że wydostaniemy stąd tych ludzi dzięki negocjacjom albo w jakiś inny sposób. Chryste, czy jesteś w stanie wyobrazić sobie trzystu podstarzałych Amerykanów lądujących na lotnisku w Dallas w samolocie, który wystartował z Moskwy? Wiesz, jakie wywołałoby to powszechne oburzenie?

- Tak, jeżeli moje własne oburzenie może służyć za przykład amerykańskiej opinii publicznej.

- W porządku. Możesz zapomnieć o szczycie, rozmowach rozbrojeniowych, handlu, podróżach, o Teatrze Bolszoi i całej reszcie. Być może ocalimy nasz honor, ale nie dałbym złamanego szeląga za pokój.

- O czym ty mówisz, Seth? Czy Waszyngton nie chce sprowadzić ich do domu?

- Ty to powiedziałeś.

Alevy wstał i dolał sobie kawy, a także brandy ze stojącej na kredensie butelki. Zatrzymał kasetę.

- Czego chcesz teraz posłuchać?

- W ciągu ostatnich dwu lat wysłuchałem tutaj wszystkich utworów muzycznych skomponowanych po 1685 roku. Jest mi dokładnie wszystko jedno.

- Co powiesz na kobziarzy? Posłuchaj tylko tego. Pułkowa orkiestra szkockich górali. Dał mi to jeden Angol z brytyjskiej ambasady. Twierdzi, że Rosjanie nienawidzą dźwięku kobzy.

Alevy wsunął do magnetofonu kasetę i w pokoju rozbrzmiały kobzy i werble. Pułkowa orkiestra grała *The Campbells Are Comin'*.

– Powróćmy do pytania, które zadałem na początku - powiedział Alevy.
- Dlaczego ci lotnicy wciąż znajdują się w sowieckich rękach? Zostali wyciśnięci jak cytryny przez sowieckie siły powietrzne i GRU. Dlaczego KGB włączyło się po tym wszystkim do sprawy i przejęło cały obóz?

Hollis pociągnął łyk kawy.

– Żeby zaprząć ich do pracy umysłowej. To jest coś w rodzaju ośrodka badawczego. Ośrodka badawczego KGB. Filia Instytutu Studiów Kanadyjskich i Amerykańskich.

– Coś w tym rodzaju - przytaknął Alevy. - Ale bardziej złowrogiego.

– To znaczy?

– To znaczy, że według nas ci jeńcy działają na naszą szkodę. Niech im Bóg wybaczy. Dlatego nasza troska nie wynika z pobudek czysto humanitarnych. Gdyby tak było, miałbyś rację, wysnuwając cyniczny wniosek, że pozwalamy im tam zgnić tylko po to, żeby nic nie zakłóciło odprężenia. Dowcip polega na tym, Sam, że nasza troska... troska mojej firmy... jest bardzo głęboka i wynika z poważnych obaw o bezpieczeństwo kraju. - Alevy podszedł do Hollisa. - Mówiąc po prostu, uważamy, że ten pieprzony obóz jest ośrodkiem szkoleniowym dla sowieckich agentów. Uczą się w nim rozmawiać, wyglądać, myśleć, postępować, a być może nawet pieprzyć się jak typowi Amerykanie. Rozumiesz?

Hollis kiwnął głową.

– Wiem o tym. Wiedziałem o tym od samego początku. Coś w rodzaju wyższej szkoły podyplomowej, szkoły wdzięku... nazwa nie gra roli.

– Zgadza się. Jeśli nasza teoria jest prawdziwa, absolwenta tej szkoły nie sposób odróżnić od kogoś, kto urodził się i wychował w naszych poczciwych starych Stanach. Wyjeżdżający stąd agent ma bostoński akcent

majora Dodsona albo akcent z Karoliny Południowej, albo akcent z Whitefish w Dakocie Północnej. Potrafi ci powiedzieć, jak nazywa się żona Ralpa Kramdena i pobić cię w Trivial Pursuit[2].

– Whitefish leży w Montanie, Seth.

– Naprawdę?

– Kto był w 1956 roku stoperem u Dodgersów?

Alevy uśmiechnął się kwaśno.

– Phil Rizzuto. - Machnął ręką. - Ja nie mogę być jednym z nich.

– A to dlaczego?

– Moja firma nie przyjmuje człowieka tylko dlatego, że ma dobry akcent. Rozmawia z jego mamą i tatą i nauczycielem ze szkoły średniej. Ale większości prywatnych firm wystarczy twoje świadectwo urodzenia, świadectwa szkolne, i tak dalej. - Alevy skrzywił twarz w uśmiechu. - Lecz to było dobre pytanie. Będziesz je jeszcze nieraz zadawał. Spotkałeś już przecież absolwenta Szkoły Wdzięku.

– Faceta, który siedział w pokoju Fishera. Schillera.

– Tak. Czy nie był doskonały?

– Aż do przesady. - Hollis przez chwilę się zastanawiał. - Więc twoim zdaniem... absolwenci tej szkoły mieszkają teraz w Ameryce?

– Tak uważamy. Być może nie znaleźli się jeszcze w szeregach mojej firmy, ale mogą pracować na rzecz wynajmowanych przez nas przedsiębiorców. Mogą mieszkać tuż obok mnie w Bethesdzie albo opróżniać kosze na śmiecie w kwaterze głównej CIA. Mogą być mechanikami instalującymi mój telefon albo agentami urzędu skarbowego, którzy mają dostęp do moich deklaracji podatkowych. Mogą uczęszczać na kursy komputerowe i inne kursy techniczne i, co bardzo prawdopodobne, wstępować do wojska. - Przyjrzał się badawczo Hollisowi. - Kto naprawdę był w 1956 stoperem u Dodgersów?

– Howdy Doody.

– Trach, już nie żyjesz. - Alevy nalał sobie brandy do pustej filiżanki. - Nalać ci czegoś?

Hollis spostrzegł, że Alevy jest już bardzo zmęczony - za dużo wypił kawy i za mało alkoholu. Podszedł do kredensu i nalał sobie po raz ostatni kawy.

– A więc oni kwaczą jak kaczkę - powiedział - wyglądają jak kaczkę i nawet składają kacze jaja. Ale nie są wcale kaczkami.

– Nie, nie są, Sam. Są farbowanymi lisami, które zakradły się do kurnika. Albo, jeśli wolisz, są diabłami, które wdarły się do świątyni.

– Ilu ich, twoim zdaniem, ukończyło do tej pory tę szkołę?

– Kiedy ją otwarto, było prawdopodobnie więcej Amerykanów... nazwijmy ich instruktorami. Szkoła Wdzięku, jako przedłużenie szkoły lotniczej, istnieje od jakichś dwunastu, piętnastu lat! Studia trwają tam co najmniej przez rok. Najprawdopodobniej na jednego ucznia przypada jeden nauczyciel. Mały czerwony kursant przyswaja sobie całą wiedzę, osobowość i akcent Amerykanina.

– Inwazja pożeraczy ciał - zauważył Hollis.

– Dokładnie. Szkoła mogła mieć kiedyś roczną przepustowość rzędu kilkuset absolwentów. Zakładamy jednak, że część Ruskich odpadła, podobnie jak, w ostatecznym sensie, odpadła część amerykańskich instruktorów. Nie sądzimy poza tym, żeby podległe KGB szkoły niższego szczebla, tutaj w Moskwie i w Leningradzie, mogły dostarczyć aż tylu kandydatów do tej, jak ją umownie nazwaliśmy, szkoły podyplomowej. Major Dodson określił ją jako Szkołę Wdzięku pani Iwanowej i ta nazwa ujmuje sedno sprawy. Domyślam się, że wymyślili ją w formie żartu przebywający tam Amerykanie. Wciąż nie wiemy, jak nazywają ją Rosjanie. Być może Szkołą Szpiegów Numer Pięć. Nie mamy poza tym

pewności, czy wszyscy absolwenci zostali przemyceni do Stanów. Ostatecznie więc, odpowiadając na twoje pytanie, sądzę, że jest ich od tysiąca pięciuset do dwóch tysięcy. Może trochę więcej.

– Chcesz powiedzieć, że w Stanach jest teraz około dwóch tysięcy rosyjskich agentów, którzy udają Amerykanów?

– Udają nie jest właściwym słowem - odparł Alevy. - Oni są Amerykanami. Wcześniejsi absolwenci są tam już niemal piętnaście lat. Wystarczająco długo, by zrealizować amerykańskie marzenie... z małą pomocą swoich przyjaciół. Wystarczająco długo, żeby się ożenić i mieć dzieciaki w Little League [3]. Wystarczająco długo, żeby dochrapać się stanowiska, z którego można wyrządzić prawdziwe szkody.

– Żaden z nich nie został nigdy złapany?

Alevy pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, żaden. Aż do niedawna nikt ich przecież nie szukał. A resztą kogo mamy szukać? Kogoś, kto pije herbatę ze szklanki i pisze krótsze „k”?

– Kogoś, kto szpieguje.

– Oni nie szpiegują w normalnym sensie tego słowa. Podzieleni są prawdopodobnie na kilka kategorii: agentów uśpionych, agentów zajmujących określoną pozycję, agentów posiadających określone wpływy, i tak dalej. Ich osłona jest doskonała i nigdy nie zwracają na siebie uwagi. Nawet jeśli złapiemy któregoś na szpiegowaniu, niełatwo przyjdzie nam udowodnić, że urodził się i wychował w Wołgogradzie, jeśli będzie się twardo trzymał swojej legendy.

– Udowodniłbyś, podłączając mu elektrody do jaj i poddając go wstrząsom tak długo, aż zacznie mówić po rosyjsku.

– Wiesz, co ci powiem? Wcale nie sądzę, żeby facet zaczął mówić po rosyjsku. A poza tym jego zdemaskowanie niewiele by nam dało. Nie jest

członkiem żadnej grupy ani siatki. Jeśli cała ta operacja ma im przynosić prawdziwe korzyści, musi być zdany na samego siebie.

– Ale musi mieć przecież jakiegoś oficera prowadzącego, Seth. Kogoś z sowieckiej ambasady w Waszyngtonie, misji przy ONZ czy konsulatu w San Francisco. Jaki byłby z niego pożytek, gdyby naprawdę zdany był tylko na samego siebie? W jaki sposób dostarczałyby efekty swojej pracy? Nie mogą przecież załatwiać tego za pomocą radiostacji i tajnych skrytek.

– Nie. Muszą przekazywać rezultaty swojej pracy i ustne raporty. W tym celu wyjeżdżają na zagraniczne wakacje jak inni Amerykanie. Możliwe nawet, że zapisują się na jedną z tych zbiorowych wycieczek do Moskwy. Zakładamy, że wszystkie kontakty mają miejsce za granicą.

Hollis podszedł do wysokiej serwantki. Na jej półkach stały małe fajansowe i porcelanowe figurki: złotowłose osiemnastowieczne damy we wciętych w talii sukniach i panowie w perukach i obcisłych sięgających kolan spodniach. Na pierwszy rzut oka, pomyślał, można ich było wziąć za Francuzów czy Anglików z tego samego okresu, ale potem dostrzegąło się jakiś obcy rys, coś, co różniło ich od podobnych figurek, które wystawione są na sprzedaż w pierwszym lepszym antykwariacie w Londynie. Otworzył drzwiczki serwantki i wyjął z niej mierzącą piętnaście centymetrów figurkę mężczyzny w stroju do jazdy konnej.

– Co to jest, Seth? - zapytał. - Wpływy tatarskie? Czy może kozackie? Dlaczego nie wyglądają dokładnie tak samo jak my? Wiem, że mogą czasem przypominać Niemców czy Finów, jak na przykład Burow, ale to coś więcej niż kod genetyczny. Mają całkiem inną duszę, inną *psyche*, inną pamięć przeszłości; jest w niej głęboki zimowy śnieg, Mongołowie sunący po stepie, odwieczny kompleks niższości wobec Zachodu, żal do Europy, która zawsze wystawiała ich do wiatru, cyrylica, słowiański fatalizm, własna odmiana chrześcijaństwa i diabli wiedzą co jeszcze. Ale cokolwiek

to jest, możesz się w tym zorientować, rozpoznać ich, tak jak prawdziwy ekspert może odróżnić oryginał od falsyfikatu. - Spojrzał po raz ostatni na figurkę i rzucił ją w stronę Alevy'ego. - Rozumiesz?

Alevy skwapliwie ją złapał.

– Rozumiem. Ale nie można wyeliminować w ten sposób dwóch tysięcy agentów.

Odstawił figurkę na półkę.

– Nie - zgodził się Hollis.

Zamykając drzwiczki zobaczył stojące na półce pudełko z Palech, które Lisa kupiła na Arbacie. Przypomniał sobie ówczesną z nią rozmowę i zrozumiał, że już wtedy wiedział to, co usiłował mu teraz wytłumaczyć Alevy. Przez głowę przeszła mu dziwaczna myśl, że Lisa też mogła ukończyć tę szkołę - myśl absurdałna, zważywszy jej łatwą do zweryfikowania przeszłość i fakt, że na pewno została dokładnie prześwietlona przez wewnętrzny wywiad Departamentu Stanu. Ale skoro jemu samemu przyszło coś takiego do głowy, mógł sobie łatwo wyobrazić strach i nieufność, które opanowałyby Amerykę, jej przemysł obronny, instytucje i agendy rządowe, kiedy ludzie dowiedzieliby się, że jest wśród nich dwa tysiące agentów KGB.

– Dokładnie rzecz biorąc - odezwał się Alevy - sądzę, że znaleźliśmy dwie osoby. Tutaj, w ambasadzie, Sam. Tuż przed naszymi nosami. Domyślasz się może?

Hollis przez chwilę się zastanawiał. Musiał z góry skreślić wszystkich pracowników wyższego szczebla, którzy poddani zostali dokładnej weryfikacji. W polu podejrzeń pozostały niepracujące żony, żołnierze i ludzie z obsługi. Nagle przyszły mu na myśl dwa nazwiska i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wie o nich od dawna.

Przypomni ł sobie fragmenty rozm w, drobne detale, kt re juŹ przedtem wydawały mu si  dziwne, ale nie zaalarmowały go, poniewaŹ nie wiedzia  nic o istnieniu Szkoły Wdzi ku.

– Nasi przemili gospodarze - powiedzia . - Kellumowie.

– Inteligentni ludzie my l  w podobny spos b - odpar  Alevy. - Przy zatrudnieniu sprawdzono ich tylko powierzchownie. Niedawno zatelegrafowa em, pytaj c o nich, do Langley. Wygl da na to, Źe nie potwierdzaj  si  r żne szczeg ły z ich przesz oci. - Alevy potar  zm czonym gestem oczy i ci gn ł dalej: - Sprawdzili my ponownie barmana, kucharzy, kierowc w i ca y ameryka ski personel pomocniczy. My leli my, Źe po wyrzuceniu st d miejscowej obs ugi pozbyli my si  problem w zwi zanych z bezpiecze stwem. Ale Rosjanom bez przerwy patrzyli my na r ce i trzymali my ich w ści le wyznaczonych rejonach. Teraz, kiedy ich miejsce zaj li sprawdzeni pobieŹnie Amerykanie, pozwalamy im w oczy si  po ca ym terenie i zagl dać, gdzie dusza zapragnie. Okazuje si  jednak, Źe niekt rzy z nich s  rosyjskimi wilkami w owczej sk rze.

Hollis pomy la  o buszuj cych po jego mieszkaniu, przegl daj cych jego listy i zawarto ć biurka Kellumach. Burow wiedzia  nawet, ile wypija  szkockiej i jaka jest ulubiona marka jego slip w. A wszystko dzi ki Kellumom, sympatycznej parze w średnim wieku, twierdzącej, Źe pochodzi z Milwaukee. Przypomni ł sobie kr tkie rozmowy, jakie z nimi prowadzi .

Alevy czyta  chyba w jego my slach.

– No i co? - zapyta . - Nie powiedzia by s, Źe Kellumowie s  dok ladnie tacy jak my?

– Nie, ale w ko ncu kaŹdy z nas teŹ nie jest dok ladnie taki sam. Ameryka jest w podobnym stopniu zr znicowana co Zwi zek Sowiecki. Ty i ja udajemy czasem Ba t w, kr c c si  po Rosji, ale w republikach ba tyckich

podszycamy się pod Ukraińców albo Białorusinów. Oni muszą robić tak samo. Ci z nich, którzy opanowali, dajmy na to, bostoński akcent i mają opracowaną bostońską legendę, nie operują w Bostonie, bo nie daliby tam sobie rady. Ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Kellumowie wystrychnęli mnie na dudka.

– Mnie też. Ale teraz, kiedy już o nich wiemy, możemy zrobić trochę porządków. Tak czy owak szkody są bardzo poważne. A zdemaskowaliśmy tylko dwie osoby, podczas gdy dwa tysiące działa dalej. Żeby odnaleźć tych porzrzucanych po całych Stanach agentów, musimy wymyślić o wiele lepsze procedury. A istnieją przecież jeszcze nasze zagraniczne bazy wojskowe i, o czym mieliśmy się okazję boleśnie przekonać, placówki dyplomatyczne.

Hollis wydawał się pogrążony w myślach.

– Zastanawia mnie to, co powiedziałaś wcześniej - stwierdził. - Ci sowieccy agenci pożenili się, zawarli znajomości, mają amerykańskie dzieci, dobrze im się żyje.

– I być może mają teraz, jak sugerujesz, bardzo mieszane uczucia? A mimo to żaden z nich nie zdezerterował. Dlaczego? Częściowo dlatego, naszym zdaniem, że wcale nie potrzebują tego robić. W pewnym sensie część z nich rzeczywiście już zdezerterowała. KGB wie o tym, ale nie przejmuje się tak długo, dopóki kilka razy w roku wyjeżdżają na zagraniczne wakacje i przekazują wartościowy produkt. Być może nagrodą za piętnasto- albo dwudziestoletnią służbę jest emerytura w Ameryce... jeśli tylko sobie tego życzą. Skrajna ironia. Oczywiście są i inne motywy, które skłaniają ich do prowadzenia podwójnego życia: ideologia, pieniądze i strach. Jeśli któryś z nich zdradzi, KGB jest w stanie wykończyć całą jego rodzinę zarówno w Rosji, jak i w Ameryce. Nie zapominaj także, że ci agenci wybierani byli z wyjątkową pieczołowitością. Wielu z nich nie

trzeba straszyć ani przekupywać. Wielu nigdy nie da się uwieść amerykańskiemu stylowi życia, demokracji i w ogóle niczemu, co u nas widzą.

– Chyba tak nie myślisz?

Alevy pomasaował skronie.

– Wiesz co, Sam? Wydaje mi się, że przeceniamy często powaby i zalety naszego systemu. To herezja, wiem o tym, ale taka jest niestety prawda. Dwieście milionów Iwanów i Natasz nie pragnie przeprowadzić się do Ameryki tylko dlatego, że mamy wolność i maszyny do zmywania naczyń. Rosjanin jest podobnie jak i my gorącym patriotą. Gdzieś w głębi duszy tli się w nim przekonanie, że któregoś dnia los uśmiechnie się i do niego. - Alevy napełnił sobie ponownie kieliszek. - Nie oznacza to oczywiście, że nie zgłosi się do nas jeden albo drugi dezterter, ale, jak już powiedziałem, nie powinno to w poważnym stopniu wpłynąć na losy całej operacji.

Hollis przyjrzał się swemu siedzącemu w półmroku rozmówcy. Alevy rozumiał Rosjan w o wiele większym stopniu, niż gotów był mu to wcześniej przyznać. W CIA pełno było specjalistów, którzy bez przerwy wypatrywali oznak rozpadu sowieckiego społeczeństwa. Sporządzali na ten temat raporty i przedstawiali je kolejnym administracjom, które cieszyły się z dobrej nowiny. Ale to społeczeństwo znajdowało się w stanie rozpadu, odkąd sięgnąć pamięcią, i wciąż trwało. A w momentach skrajnego zagrożenia Rosjanie zawsze stawali w obronie swojej tożsamości, swojej kultury, swojego języka i ojczyzny.

Nalał sobie szkockiej i wyłowił ze srebrnego wiaderka na pół rozpuszczoną kostkę lodu.

– Więc gdzie tkwi słaby punkt tej operacji, Seth?

– Nie jestem pewien. Trochę na ten temat myślałem. Ale wiem, na czym polega nasz problem. Właściwie mamy ich dwa. Po pierwsze, musimy

zidentyfikować i zwinąć siatkę, która nie jest wcale siatką, lecz przypomina raczej obcy organizm zatruwający amerykańskie społeczeństwo. Potem musimy powstrzymać tę szkołę przed dalszym wpompowywaniem trucizny. To nie ja wymyśliłem te określenia. Tak to zostało przekazane z centrali. Uwielbiają efektowne metafory.

– Zapomniałeś o tym trzecim, Seth. O uratowaniu lotników.

Alevy rzucił okiem na Hollisa.

– Tak. Ale traktuję to łącznie z kwestią zamknięcia szkoły. Najtwardszy orzech do zgryzienia stanowią dwa tysiące już zadomowionych w Ameryce agentów. Mówię, a nawet myślę o tym z najwyższą niechęcią, ale być może będziemy musieli z tym żyć przez następne czterdzieści albo pięćdziesiąt lat.

– Jeśli Ameryka przetrwa tak długo - dodał Hollis.

Alevy pominął to milczeniem.

– Tak przedstawia się sprawa, którą pomogłeś wydobyć na światło dzienne, Sam - podsumował.

– Jak mam, twoim zdaniem, wykorzystać te informacje?

– Jeszcze kilka dni temu mieliśmy do wyboru kilka opcji, pułkownik. Ale teraz, kiedy Dodson jest na wolności, Fisher martwy, a ty na wylocie; kiedy węsząc po okolicy znalazłeś za skórę Burowowi... teraz oni wiedzą, że my wiemy, i nasze opcje drastycznie się skurczyły. Najprawdopodobniej zamkną tę szkołę i usuną stamtąd wszelkie dowody. Przeniosą ośrodek gdzie indziej i zaproponują, żeby podejrzone miejsce odwiedziła amerykańska delegacja. Zanim zjawimy się pod Borodinem, urządzą tam dom wypoczynkowy dla moskiewskich emerytów albo coś podobnego. Musimy zatem, jak już powiedziałeś, działać szybko.

– Dlaczego nie aresztujemy na początek Kellumów i nie każemy im mówić?

– Chciałbym to zrobić, ale nie udowodniliśmy jeszcze na sto procent, że są rosyjskimi agentami i nie chcemy alarmować KGB bardziej niż to konieczne. Z Kellumami musimy zatem postępować bardzo ostrożnie. Może się jeszcze okazać, że są autentycznymi Amerykanami, łącznie z przysługującymi im prawami obywatelskimi.

– Prosisz mnie o pomoc czy nie?

– Możesz pomóc, nie stając się częścią problemu.

– Nigdy nie stanowiłem części problemu. Chcę uwolnić tych lotników i albo będę z tobą współpracował, albo podejmę działania na własną rękę.

– Wierzę, że to zrobisz. Gdybyś ty albo jakikolwiek inny wojskowy wystawiał na niebezpieczeństwo życie trzystu agentów CIA, ja zrobiłbym chyba to samo. Rozumiem lojalność.

– Nie potrzebujesz mi tego mówić.

– Słuchaj, Sam. Wyjawilem ci wszystko... tajemnice Departamentu Stanu i sekrety dyplomacji. Ta sprawa na całe lata może pogrzebać stosunki sowiecko-amerykańskie. Zrobiłem to, żeby cię przekonać, że nie zasypiamy gruszek w popiele. Robimy wszystko, żeby uwolnić tych lotników. Wierzę, że zachowasz rozsądek. Postaraj się nie zwałać na barki swoich ludzi w Pentagonie dodatkowej roboty. Zgoda?

– Zgoda.

Hollis ani przez sekundę nie sądził, że Seth Alevy przyjmuje coś na wiarę. Nie sądził również, by szef placówki CIA miał zamiar trzymać się wyznaczonej oficjalnie przez jego rząd linii odprężenia. W rzeczywistości Alevy chętnie zwałiby na barki ludzi w Pentagonie dodatkową robotę. Nie wierzył także, że Seth poświęcił godzinę na zaznajomienie go z całą sprawą po to tylko, by zamknąć mu usta. Mając przed sobą perspektywę spędzenia zaledwie kilku dni w tym kraju i będąc oficjalnie zwolniony ze swych

obowiązków, Hollis wiedział, że z pewnością usłyszy jeszcze o Szkole Wdzięku i o Alevym.

– Nie mów Lisie nic z tego, co tutaj słyszałeś. Twoim zadaniem jest zneutralizowanie jej. W porządku?

– W porządku.

– I pamiętaj, że jako *persona non grata* nie możesz do końca liczyć na immunitet dyplomatyczny. Powtórz to Lisie. Bądź bardzo ostrożny, jeżeli zdecydujesz się wyjść za bramę.

– Dobrze.

– I jeszcze jedna rzecz. Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Co takiego?

– Wyjdź ze mną na dach.

– Po co?

– Mniej więcej raz w miesiącu wychodzę na dach i wyzywam na pojedynek Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich. Wychodzę tam i wrzeszczę: „Hej, gnojki z KGB! Mam was gdzieś!” A potem wracam tutaj do swojej analizy przyczyn rozpadu sowieckiego społeczeństwa.

– Chryste, nic dziwnego, że omal cię nie zatłukli.

– Pierdolę ich. Jestem dzisiaj w odpowiednim nastroju. Chodź ze mną. Hollis rzucił okiem na zegarek.

– No nie wiem...

Zastanawiał się, czy Lisa została u niego, czy wróciła do domu.

– Chodź. Nie bądź taki sztywny. Dobrze się poczujesz.

– Świeże powietrze chyba rzeczywiście dobrze mi zrobi.

– Teraz mówisz, jak trzeba. Co ci w końcu mogą zrobić? Wyrzucić cię stąd? Zabić?

– Nie mogą zrobić równocześnie jednego i drugiego - zgodził się Hollis.

Wziął butelkę brandy z kredensu i ruszył za Alevym na drugie piętro. Alevy wspinał się po drabinie i otworzył klapę w suficie. Wyszli razem na płaski dach jego segmentu i stanęli w padającym lekko śniegu, przyglądając się miastu. Zegar na Wieży Iwana wybił godzinę drugą.

– Wczesny śnieg - powiedział Alevy.

Gwiazdy na kremlowskich wieżach i kopułach jarzyły się czerwono, ale krzyże, które z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny nigdy nie zostały z nich zdjęte, pogrążone były w ciemności i niewidoczne.

– O tej porze wszystko w Moskwie jest chyba pozamykane - powiedział Alevy - oprócz posterunków milicji i biur KGB. Nie działa nawet metro. Za czasów Stalina ludzie z Łubianki zaczynali o tej godzinie swoje nocne łowy.

Wziął od Hollisa butelkę brandy i pociągnął z niej długi łyk.

– Słyszycie mnie tam?! - wrzasnął. - Obudźcie się, zbiry! To ja, Seth Alevy, superszpieg i super-Żyd!

Odwrócił się do Hollisa.

– Tajniacy krążyli po mieście z listami w ręku - oświadczył bełkotliwym głosem - i cała Moskwa wstrzymywała oddech aż do świtu. A potem przestraszeni ludzie biegli rano do swoich fabryk i biur i udawali, że nie widzą, że ktoś znowu nie przyszedł do pracy. Opowiadają, że naprawdę słychać było dobiegające z Łubianki krzyki i wystrzały. Co za barbarzyński kraj! Przyglądam mu się, Sam, i widzę pejzaż jak z obcej planety. Dziwne litery na szyldach, budynki o fantastycznych kształtach i niebo, które zawsze jarzy się tym niesamowitym czerwonym blaskiem. Czasami wydaje mi się, że jestem na Marsie.

Hollis przyglądał się przez chwilę Alevy'emu.

– Dlaczego nie wrócisz następną rakietą do domu? - zapytał.

Seth uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Wróć. Może w przyszłym roku.

Hollis miał ochotę powiedzieć mu, że jeżeli dalej będzie ich tak prowokował, może tego nie doczekać. Ale nie chciał tego mówić, kiedy słuchali go tamci. A Seth i tak o tym dobrze wiedział.

– *Job waszu mat'!* - wrzasnął Alevy.

Okno na najwyższym piętrze sąsiedniego bloku otworzyło się.

– Pierdolę cię, ty Żydzio! - krzyknął ktoś po angielsku.

Alevy roześmiał się.

– *Sosi chuja, czytaj Prawdu, budiesz komissarom!* - odkrzyknął, co Hollis w wolnym przekładzie przetłumaczył jako „Cięgnij druta, czytaj *Prawdę*, to zostaniesz komisarzem”.

– Chodźmy stąd, Seth - powiedział biorąc Alevy'ego pod ramię.

Ten odsunął się.

– Nie. - Pociągnął kolejny łyk z butelki i oddał ją Hollisowi. - Masz. Upij się i wymyśl jakąś dobrą odzywkę... jak to szło? Kagebiści nie chodzą z dziewczynami, wystarczą im dwa palce.

Alevy wykonał wymowny gest stuloną dłonią.

– Seth...

Hollis zorientował się, że Alevy kompletnie się urznął i nic do niego nie dociera. Przechodził najwyraźniej swoje comiesięczne *katharsis*, a on nauczył się szanować zdarzające się tutaj ludziom od czasu „do czasu napady szaleństwa.

– Kim jest ten pedał obok ciebie?! - zawołał po angielsku z okna ktoś drugi. - Czy to nie Hollis?

Hollisowi wydawało się, że rozpoznaje głos Igora. Pociągnął porządny łyk z butelki.

– Widziałem twoją matkę w parku Gorkiego. Żebrała na kolanach, żeby dorobić do renty! - odkrzyknął po rosyjsku.

Alevy ryknął z uciechy.

– To ci się udało!

Wyzwiska fruwały w powietrzu przez jakieś piętnaście minut. Hollis, który sam czuł się teraz nieźle zawiany, miał niejasne wrażenie, że to spotkanie Wschód-Zachód powinno się odbyć na nieco wyższym szczeblu, ale Alevy i dwaj Rosjanie wydawali się świetnie bawić.

– Czy ambasador rozmawiał z tobą na ten temat? - zapytał Alevy'ego.

Seth wypił do końca brandy i rzucił butelkę w śnieg.

– Pierdolę go.

Zatoczył się w stronę otwartej klapy i pomachał Rosjanom na pożegnanie.

– *Spokojnej nocy!*

– Dobranoc! - odkrzyknęli razem obaj kagebiści.

Alevy niepewnym krokiem zlazł w dół po drabinie. Hollis spojrzał z powrotem na sąsiedni blok i zobaczył, że dwaj mężczyźni machają do niego.

– Wracaj bezpiecznie do domu, Sam! - zawołał jeden z nich po angielsku.

Hollis pomyślał, że ich życzenia są dokładnie tak samo nieszczerze jak Burowa.

.23.

Hollis stał ze szklanką w ręku wśród kartonów, próbując odnaleźć ten, w którym zapakowane były alkohole. Duże meble wciąż stały na swoich miejscach, a niemiecka firma zajmująca się przeprowadzką, zostawiła z teutońską zmysłnością pewne rzeczy nie zapakowane aż do ostatniego dnia. Dzięki temu mógł bez przeszkód używać łazienki i miał do dyspozycji ubranie na trzy dni plus niezbędne sprzęty w kuchni. Niemcy zapomnieli jednak o choćby jednej butelce szkockiej.

Po jakimś czasie zobaczył skrzynkę z płyty pilśniowej, na której widniał obiecujący napis *Alkoholisches Getrinke*, Oderwał wieko, pogrzebał wśród płatków styropianu i wyciągnął butelkę chivas. Nalał sobie kilka uncji do szklanki i ruszył do kuchni po lód. Spojrzał na zegarek, poczekał, aż minie południe, i pociągnął spory łyk.

Usłyszał otwierające się na dole drzwi i pomyślał, że to Lisa, której niedawno na jej prośbę dał klucz. Podszedł do schodów i zobaczył zbliżających się w jego stronę Kellumów. Na twarzy Dicka Kelluma widniał szeroki uśmiech.

– O, dzień dobry, pułkowniku. Nie spodziewaliśmy się tutaj pana o tej porze.

Hollis odwzajemnił uśmiech.

– Nie mam zbyt wiele do roboty w biurze - powiedział i odsunął się na bok, wpuszczając Kellumów do salonu.

– Możemy przyjść innym razem - oznajmiła przepraszającym tonem Ann Kellum. W ręku trzymała wiadro ze środkami czyszczącymi.

– Nie, pani Kellum, może pani tu z grubsza posprzątać.

Rozejrzała się po pokoju.

– Już pana spakowali.

– Tak, prawie skończyli. Jeśli ma pani ochotę, może pani zrobić porządek w kuchni i łazience.

Dick Kellum, również trzymający w ręku wiadro, zbliżył się do poustawianych na podłodze kartonów.

– Mówi pan po niemiecku, pułkowniku?

– Nie, nie mówię, Dick.

– Wie pan, czasami zastanawiam się, co sobie myślą Ruscy, kiedy angażujemy do przeprowadzek niemieckie firmy, wysyłamy chorych na leczenie do Finlandii i Anglii i sprowadzamy samolotem Europejczyków, żeby naprawili pękniętą rurę. Muszą się czuć trochę urażeni. Nie sądzi pan?

Odpowiedz sobie sam, Iwanie, pomyślał Hollis.

– Nie obrażają się tak łatwo - odparł głośno.

Przyjrzał się Kellumom. Oboje zbliżali się do pięćdziesiątki, byli śniadzi i mieli czarne, siwiejące włosy i ciemne oczy. Poruszali się jak ludzie, którzy przez całe życie wykonywali ciężką fizyczną pracę, i mieli robotniczy akcent, ale nie sprawiali bynajmniej wrażenia ograniczonych. Hollis przypomniał sobie interesującą rozmowę, którą odbył kiedyś z Dickiem Kellumem na temat jakości i bogatego wyboru warzonego w Milwaukee piwa. Ann zwierzyła mu się kiedyś, że jej mąż zbyt często sprawdza zalety tamtejszych browarów.

– Zapakowali już pański odkurzacz? - zapytała Ann Kellum.

– Chyba tak. Ale nie martwcie się. Możecie tutaj gruntownie posprzątać już po moim wyjeździe.

– Wie pan, kto będzie pańskim następcą, pułkowniku? - zapytał Kellum.

– Tak. Podpułkownik o nazwisku Fields. Znam jego i jego żonę. Próbuja go tu sprowadzić jeszcze przed moim wyjazdem i jeśli im się uda, nie omieszkam go wam przedstawić. Jego żona przyjedzie prawdopodobnie później.

– Mam nadzieję, że mówi po rusku tak samo dobrze jak pan. Ktoś musi się przecież dogadać z tym zwariowanym rosyjskim dozorcą.

Hollis uśmiechnął się do Dicka Kelluma. Ty sukinsynu. Z radością wyrwałbym ci serce z piersi.

– On także mówi płynnie po rosyjsku - powiedział - ale woli się z tym nie afiszować. Rozumiesz, co mam na myśli. Lepiej go o to nie zagaduj.

– Rozumiem - odparł pan Kellum mrużąc oko.

– Będą mieszkać w tym apartamencie? - zapytała pani Kellum.

– Tak.

– Czy pani Fields będzie pracować?

– Tak mi się wydaje. Jest dyplomowaną nauczycielką i będzie się prawdopodobnie starała o posadę w szkole anglo-amerykańskiej.

– To dobrze - stwierdziła pani Kellum. - Łatwiej będzie zaplanować sprzątanie.

– Jasne - zgodził się Hollis.

Pan Kellum podniósł swoje wiadro.

– Idę na górę, do klo - powiedział, ruszając do łazienki na drugim piętrze.

Pani Kellum poczekała, aż jej mąż zniknie z pola widzenia.

– Pułkownik - odezwała się cicho - to nie jest oczywiście moja sprawa i może mi pan kazać się zamknąć, ale czy jedzie pan do pani Hollis? Czy ona wciąż mieszka w Londynie?

– Nie mam pojęcia, pani Kellum.

Ktoś, kto przyjrzałby się pani Kellum, mógłby odnieść wrażenie, że w jej duszy toczy się wewnętrzna walka.

– Dick i ja lubimy pana, pułkownika - odezwała się w końcu. - Rozmawiałam z nim o tym i kazał mi siedzieć cicho, ale moim zdaniem powinien pan wiedzieć. Pańska żona... pani Hollis... - rzuciła okiem na Hollisa, a potem odwróciła wzrok - spotykała się tutaj z pewnym dżentelmenem, dżentelmenem z sekcji handlowej. Nie wiem, jak się nazywa, ale przychodził tutaj za każdym razem, kiedy był pan na mieście albo w podróży służbowej do Leningradu. Mogli być tylko przyjaciółmi, wie pan... - dodała szybko - i pewnie nimi byli, ale nie wydaje mi się w porządku, żeby kobieta przyjmowała u siebie mężczyzn, kiedy męża nie ma w domu.

Pani Kellum stała przez chwilę zakłopotana w miejscu, a potem złapała wiadro i wyszła do kuchni.

Hollis podniósł do ust drinka. Szpiegowskie kłamstwa, pomyślał. Może KGB pozwala sobie na ostatni żart przed jego wyjazdem. Z drugiej strony, mogła to być szczerą prawdą. Wspomnianym dżentelmenem mógł być Ken Mercer, jeden z mężczyzn, z którym Lisa rozmawiała w holu ambasady.

– Kto by się tym przejmował - powiedział na głos.

Usłyszał, jak drzwi wejściowe ponownie się otwierają, i tym razem rzeczywiście była to Lisa.

– Jesteś sam? - zawołała z dołu. - A może z kimś cię złapałam? Może kogoś tam rzniesz, Hollis?!

– Cześć, Liso - powitał ją stojąc u szczytu schodów.

– Przynajmniej masz na sobie spodnie.

– Są tutaj pan i pani Kellumowie.

Zasłoniła ręką usta i poczerwieniały jej policzki.

– Ty idioto - szepnęła. - Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Właśnie to zrobiłem.

– Myślisz, że mnie słyszeli?

– Jestem tego pewien.

Przytuliła twarz do jego piersi tłumiąc śmiech.

– Za godzinę będą o tym trąbić w całej ambasadzie. O, mój Boże, tak mi wstyd.

– Są bardzo dyskretni. - Pocałował ją w policzek. - Może pójdziemy do ciebie?

Rozejrzała się.

– U mnie jest też bałagan. Wyjdźmy na miasto. Dzisiaj nie pada i nie ma mrozu.

Hollis zawahał się.

– Dobrze, ale...

– Och, nie pozwól, żeby rządili twoim życiem. Czy nie tak brzmi twoje motto?

– Dokładnie. Pani Kellum, wychodzę! - zawołał w stronę kuchni.

Ann Kellum pojawiła się w kuchennych drzwiach.

– O, pani Rhodes. Nie wiedziałam, że pani przyszła.

Lisa wymieniła kpiący uśmiech z Hollisem.

– Cześć, Ann - powiedziała. - Nie ma tu zbyt wiele do roboty, prawda?

– Nie. Pani też już spakowana?

– Dokumentnie.

– Nie smutno pani wyjeżdżać?

– Tak, bardzo.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chcą pani dać jeszcze jednej szansy.

– Bardzo poważnie traktują tutaj drobne wykroczenia.

– Wszystko jest tutaj wykroczeniem. Nie wolno niczego robić. Czy pani następca będzie mieszkał w pani segmencie?

– Nie sędzę, żeby był jakiś następcą. Nie ma sensu przysyłać tutaj kogoś, jeśli wkrótce będą musieli pakować manatki następni...

– Chodźmy już - przerwał jej Hollis. - Do widzenia, pani Kellum. Chyba się jeszcze zobaczymy przed moim wyjazdem.

– Mam nadzieję, pułkowniku.

– Bardzo mi na tym zależy.

Wziął Lisę pod ramię i zeszli na dół do przedpokoju. Hollis założył płaszcz i czarny filcowy kapelusz.

– Wyglądasz w tym jak prawdziwy szpieg.

– Nieprawda. Moim szpiegowskim uniformem jest to niebieskie palto i melonik.

Na dworze świeciło słabe słońce. W chłodnym powietrzu unosiła się wilgoć, ale temperatura była powyżej zera. Na skwerze leżał śnieg, który spadł podczas kilku ubiegłych nocy. Wyszli poza teren rzadko używaną furtką dla pieszych, tuż obok baraków marines.

– Dokąd chcesz iść? - zapytał Hollis.

– Nie mam jakichś konkretnych planów. Będziemy zachowywać się jak zwykli turyści. Pójdziemy, trzymając się za ręce, ulicą Gorkiego i znajdziemy do jakiejś małej wesołej kawiarenki na kawę Capuccino i ciastko.

– Przy ulicy Gorkiego, podobnie zresztą jak przy innych, nie ma żadnej małej wesołej kawiarenki.

– Udawajmy, że są.

– W porządku.

Ruszyli ulicami starej dzielnicy Priesnieńskiej, mijając pomnik przedstawiający walczących na barykadzie, a potem kolejną rzeźbę zatytułowaną „Brukowiec - bronią proletariatu”. W pobliżu widać było obelisk ustawiony ku czci bohaterów rewolucji 1905 roku.

– Jakie tu wszystko romantyczne - stwierdził Hollis. - Może pocałujemy się na placu Powstania Grudniowego?

– Przestań zrzędzić. Uczucie tkwi w sercu, a nie w kamieniu czy marmurze. Nawet, kiedy spacerujesz Via Veneto.

– Dobrze powiedziane.

– Tak czy owak czuję, że w jakiś perwersyjny sposób polubiłam to miasto i jego mieszkańców.

– Kilku jego perwersyjnych mieszkańców właśnie nas śledzi. Wiesz oczywiście o istnieniu, obserwujących ambasadę tajniaków?

– Tak. Idą za nami? - zapytała oglądając się za siebie.

– Tak.

– Jesteś pewien? Nigdy nie miałam wrażenia, że jestem śledzona.

– Cóż, nie śledzą wszystkich bez przerwy. Ale attaché wojskowi zawsze włoką za sobą ogon. Zaraz ich zgubimy. Bardzo łatwo to zrobić w metrze. Trzymaj się tylko blisko mnie. - Sypnął jej na dłoń trochę bilonu. - Masz tutaj monety pięciokopiejkowe.

Minęli ulicę Priesnieński Wał, zeszli do metra na stacji Ulica 1905 Roku i wsiedli do pierwszego nadjeżdżającego pociągu.

– Nie będę wiedział, czy ich zgubiliśmy, dopóki się kilka razy nie przesiądziemy - oświadczył Hollis, siadając na ławce w niezbyt zatłoczonym przedziale.

– W porządku. Ale jakie to w ogóle ma znaczenie, czy nas śledzą? Nie robimy przecież nic złego.

– Ważna jest sama zasada. A poza tym nie wiemy, czy wciąż nie czeka na nas cela w Lefortowie.

– Chyba że tak.

Krążyli przez jakiś czas po śródmieściu, przesiadając się w ostatniej chwili na najbardziej zatłoczonych stacjach. W końcu wylądowali w

pociągu jadącym na północ wzdłuż Prospektu Mira. Hollis rozparł się wygodnie na ławce.

– Zgubiliśmy ich na placu Rewolucji - oświadczył.

Usiadła obok niego w prawie pustym wagonie.

– Skąd wiesz?

– Widziałem, jak stali ze smutną miną na peronie, wpatrując się w nasz pociąg.

– Wiesz, jak wyglądają?

– Tak mi się wydaje.

– Jakie to miłe. I romantyczne. Uciekać przed KGB. - Spojrzała na zegarek. - Dochodzi pierwsza. Umieram z głodu. Kto dzisiaj funduje?

– Wydaje mi się, że zapomniałaś zapłacić w „Lefortowie”, więc chyba twoja kolej.

– Dobrze. - Wzięła go za rękę. - Wiesz, Sam, moja szefowa, Kay Hoffman, twierdzi, że nie powinnam chodzić z żonatym mężczyzną.

– Naprawdę? Czy dorabia na boku, prowadząc kącik porad sercowych?

– Nie żartuj. To doświadczona kobieta...

– Tak słyszałem.

– I jest kimś w rodzaju mojej mentorki. Twierdzi, że żonaci mężczyźni albo wracają do swoich żon, albo traktują cię jak kobietę zastępczą.

– To stacja Kosmos. Następny przystanek jest w lesie. Wsiądźmy lepiej tutaj.

Wyszli ze stacji i Sam przeciął wraz z Lisą Prospekt Mira, prowadząc ją w stronę potężnego gmachu hotelu „Kosmos”.

– Zabierasz mnie tu na lunch? - zapytała.

– Nie.

Weszli razem do hotelu i Hollis znalazł w środku biuro Intouristu. Z pewnymi trudnościami i po zapłaceniu większej niż należało kwoty w

amerykańskich dolarach udało mu się wynająć samochód z kierowcą.

– Dokąd jedziemy? - zapytała Lisa.

– Niespodzianka.

Przedstawiający się jako Sasza, niechlujnie ubrany mężczyzna koło trzydziestki wyprowadził ich na zewnątrz do czarnej wołgi. Hollis nagryzmołił coś cyrylicą na kawałku papieru i pokazał kierowcy.

Sasza zerknął na papier i pokręcił głową.

– *Nielzia* - powiedział używając jednego z najczęściej spotykanych rosyjskich słów. *Nie wolno. - Niet.*

Hollis wręczył mu dziesięciodolarowy banknot.

– Niech pan nie robi trudności. Nikt się nie dowie.

Rosjanin zerknął ponownie na Hollisa, a potem wziął banknot i wrzucił bieg.

– Okay.

Lisa wślizgnęła się za Samem do samochodu i objęła go ramieniem.

– Naruszenie marszruty podróży i przepisów walutowych. Tym razem przeszedłeś sam siebie.

W wołdze było brudno, podobnie jak we wszystkich rosyjskich taksówkach, z których zdarzyło się korzystać Hollisowi. Ruszyli prosto na północ Prospektem Mira, a potem skręcili w zewnętrzną obwodnicę i jadąc na południowy zachód zatoczyli wielki łuk wokół miasta. Na polach wciąż leżał śnieg, a iglaste zagajniki pokryte były białym puchem.

Sasza skręcił w szosę do Mińska.

– Chyba nie do Borodina? - szepnęła Lisa.

Hollis uśmiechnął się.

– Proszę cię.

Po jakimś czasie zjechali z szosy na dwupasmową asfaltową drogę i znaleźli się w sporej wiosce, składającej się ze zbudowanych jeszcze przed

rewolucją drewnianych domów.

– Gdzie jesteśmy? - zapytała Lisa.

Hollis wskazał ręką na tablicę na dworcu kolejowym i Lisa przeczytała na głos nazwę miejscowości.

– Pieriedielkino. - Pocałowała Sama w policzek. - Jesteś kochany.

– Muszę zapytać, gdzie jest cmentarz - powiedział po rosyjsku Sasza.

Zatrzymał samochód i zagadnął przejeżdżającego rowerem chłopca. Ten wskazał ręką.

– Tędy - pokazał. - Znajdziecie jego grób całkiem łatwo. Stoją przy nim studenci.

Kierowca skręcił w wąską uliczkę. Wyjechali z wioski i znaleźli się z powrotem na otwartym polu. Po chwili zobaczyli otoczony niskim murkiem cmentarz, na którym rosły sosny i pozbawione liści brzozy. Sasza zatrzymał samochód, a Hollis i Lisa wysiedli i weszli do środka przez małą furtkę.

Grupa młodych kobiet i mężczyzn stała wokół białego nagrobka, na którym widniały ostre rysy poety i prosty napis: „Borys Pasternak, 1890-1960”. Na śniegu leżały świeże kwiaty, a studenci przekazywali sobie z rąk do rąk książkę z poezjami, odczytując z niej po kolei wiersze. Z początku nie zwracali uwagi na Lisę i Sama, ale potem młoda dziewczyna niepewnie wyciągnęła w ich stronę rękę z książką.

– Tak, chciałbym coś przeczytać - powiedział po rosyjsku Hollis.

Wybrał jeden z wierszy poświęconych Larze, co wywołało uśmiech Lisy, a potem oddał jej książkę. Lisa przeczytała fragment *Ogrodu Getsemani*:

I spoglądając w otwarte otchłanie
Pustki bezbrzeżnej za murem Ogrójca -
„Oddał ode mnie kielich śmierci, Panie” -

Upraszał, w krwawym pocie, swego Ojca [4].

– Wyobrażasz sobie coś takiego w Ameryce? - zapytała go potem, w drodze powrotnej do miasta. - Ludzi odwiedzających grób poety?

– Nie, chyba nie. Ale Rosjanie robią to w równej mierze z miłości do poezji, co z przyczyn politycznych. Gdyby władze uczyniły z tego miejsca oficjalną narodową świętość, nie zobaczyłabyś tam tylu miłośników poezji. Podobnie jest z cerkwiami. Gdyby pozwolono ludziom uczęszczać na nabożeństwa, tam też zobaczyłabyś mniej wiernych.

– To, co mówisz, jest cyniczne. Uważam, że nie masz racji.

– Może rzeczywiście widzę w rosyjskiej duszy zbyt wiele ciemnych stron. Ale z nimi przede wszystkim mam do czynienia.

– Może.

Kazali Saszy wozić się po całej Moskwie, odwiedzając ponownie miejsca, z którymi związane były jakieś ich wspomnienia.

– Chcę zobaczyć to wszystko razem z tobą - powiedziała Lisa - żebyśmy mieli o czym rozmawiać, kiedy stąd wyjedziemy.

– Co powiesz na grób Gogola?

– Później.

O zmierzchu pojechali na Wzgórza Leninowskie i oglądali miasto z punktu obserwacyjnego przy uniwersytecie. Lisa przytuliła się do Sama.

– Dziękuję za przepiękne chwile. Niezależnie od tego, co się wydarzy, ten dzień należał do nas.

Hollis spojrział na rozciągające się za rzeką miasto.

– Możemy chyba mówić ludziom, że pokochaliśmy się w Moskwie - powiedział.

– Tak, to prawda. A po raz pierwszy kochaliśmy się w chłopskiej chacie.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli wchodzić w szczegóły.

– Och, Sam, jestem taka szczęśliwa i równocześnie smutna. Pełna optymizmu i przestraszona...

– Wiem.

Kierowca stał trzy metry od nich przy kamiennym murku, paląc jednego papierosa po drugim. Hollis i on zetknęli się wzrokiem.

– Przychodzi tutaj wielu zakochanych - powiedział Sasza. - Widzicie ten pagórek, trochę dalej? To Wzgórze Pożegnań. Starzy moskwianie przychodzą tutaj, żeby pożegnać się z rodziną i przyjaciółmi, zanim wybiorą się w długą podróż na zachód.

Podszedł bliżej do swoich klientów.

– Tam na dole jest Mosfilm. Widzicie te budynki? Sowieckie filmy są dobre, ale czasami lubię obejrzeć amerykańskie. Nie wyświetlają ich tu dużo. Widziałem *Sprawę Kramerów*, a ostatnio zabrałem córkę na *Damę i włóczęgę*. - Odwrócił się z powrotem w stronę miasta. - Tam stoi hotel „Ukraina”. Stalin potrafił budować. Dzisiaj wszystko, co budują, jest nic nie warte. Rozsypuje się po paru latach. Stalin kazałby rozstrzelać połowę dzisiejszych inżynierów. Tu bliżej jest stary Dworzec Kijowski, a obok niego nowy cyrk... ten okrągły budynek. Najlepszy cyrk na świecie. A w miejscu, gdzie stoimy, studenci gromadzą się w grudniu, żeby uczcić rocznicę śmierci Johna Lenona.

– Nie Włodzimierza Lenina? - zapytał złośliwie Hollis.

Rosjanin ryknął śmiechem.

– Nie. O wodza rewolucji troszczy się partia. Co rok dwudziestego pierwszego stycznia urządzają uroczyste obchody. Nie dziwi was, że ludzie przychodzą tutaj i śpiewają piosenki Johna Lenona? Był poetą jak Pasternak. Rosjanie kochają poetów. Lubicie Johna Lenona?

– Tak - odpowiedziała Lisa. - Był wielkim muzykiem i poetą.

– Potrzeba nam więcej poetów i mniej generałów - stwierdził Sasza.

Lisa wskazała na stojące w odległości mniej więcej pół kilometra, zwieńczone złotymi kopułami budynki.

– Czy to nie jest klasztor Nowodziewiczny, Sasza?

– Tak. Piotr uwięził tutaj do końca życia swoją pierwszą żonę i tę ździrę, jej siostrę. - Sasza uśmiechnął się do Hollisa. - Dzisiaj nie tak łatwo się pozbyć kłopotliwych kobiet.

– Dobrze mówisz, bracie - odparł Hollis po angielsku.

Lisa dała mu kuksańca w bok.

– Powinniście odwiedzić klasztor w niedzielę - ciągnął dalej kierowca. - W soborze odprawiają wtedy nabożeństwo. Raz tam poszedłem. To było bardzo... interesujące. A potem możecie pójść na tamtejszy cmentarz. Lubicie naszych pisarzy? Jest tam pochowany Czechow.

– I Gogol? - zapytał Hollis.

– Zgadza się. On też.

Hollis zerknął na Lisę, która uśmiechnęła się.

– Podobnie jak Chruszczow - kontynuował Sasza - i inni członkowie partii. Nie dziwi was, że chcieli być pochowani tutaj, w świętej ziemi, zamiast przy kremlowskim murze? Kto to może wiedzieć? Może nie chcieli ryzykować.

Ponownie się roześmiał. Wrócili wszyscy do wołgi.

– Zapłaciliście jeszcze prawie za dwie godziny - powiedział Sasza.

– Chyba dosyć się najeździliśmy - odparł Hollis.

– To dobrze. Ja też. Zapraszam was do siebie na obiad. Moja żona zawsze chciała poznać Amerykanów. Powiedziałem jej, że pewnego dnia przyprowadzę któregoś do domu. A spośród tych, których spotkałem, wy pierwsi mówicie po rosyjsku. Poza tym podobacie mi się.

Lisa spojrzała na Sama i kiwnęła głową.

– Dziękuję, ale nie możemy - odparł Hollis.

– Wiem, kim jesteście. Wczoraj wieczorem widziałem wasze zdjęcia w telewizji. Ale mamy teraz *głasnost*. Nie ma się czym przejmować.

Hollisa zastanowiło, skąd sowiecka telewizja wzięła ich zdjęcia.

– Obawiam się, że ta sprawa wykracza poza *głasnost* - odparł - i może mieć poważne konsekwencje. Dla pana, nie dla nas.

Sasza wrzucił bieg i zachichotał.

– Może mnie też stąd wydalą.

– Wie pan, gdzie jest ambasada amerykańska?

– Kto by nie wiedział?

– Pojedziemy tam teraz.

Zjechali ze Wzgórz Leninowskich, przecięli rzekę i skręcili na bulwar, który prowadził do ambasady. Lisa oparła głowę na ramieniu Hollisa.

– Masz wolny wieczór?

– Do dziewiątej jestem zajęty.

– Z kim się spotykasz?

– Z moimi przyjaciółmi szpiegami.

– Chcesz do mnie potem przyjść?

– Wspaniały pomysł.

– I zostać na całą noc?

– Mogę zostać u ciebie do końca tygodnia, jeśli tylko chcesz.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze. Wprowadź się. Niech się gorszą dyplomaci i ich nadęte żony.

– Powieś moje slipy na swoim sznurze do bielizny.

– Nie mam sznura do bielizny. Ale umieszczę twoje nazwisko na swoim dzwonku.

Wołga mknęła pogrążonym we mgle, zakręcającym wzdłuż zakola rzeki bulwarem. W nadrzecznych oparach ukazał się, cały oświetlony, budynek ambasady.

– Myślałam, że zwolniono cię z obowiązków - powiedziała Lisa.
– Zdaję tylko sprawozdania i wysłuchuję cudzych.
– Kay nie wpuszcza mnie nawet do mojego gabinetu. Domyślam się, że sprawa jest naprawdę bardzo poważna. Czy wpadliśmy w gorsze tarapaty, niż nam się wydaje?

– Nie w tej chwili. Ale wpadniemy, jeśli nie będziemy trzymać języka za zębami.

– Wciąż się tym zajmujesz, prawda? Wciąż współpracujesz z Sethem?
Hollis nie odpowiedział od razu.

– W tej wojnie nie tak łatwo odejść do cywila - stwierdził po chwili.
Pochylił się ku kierowcy.

– Niech pan nie zwalnia, aż znajdziemy się przy samej ambasadzie, a potem zatrzyma się szybko jak najbliżej bramy.

Sasza zerknął na niego.

– Nie mogę minąć posterunku milicji.

– Nie, ale niech pan zatrzyma się jak najbliżej. Będziemy szybko wysiadać, więc już teraz mówię do widzenia.

– *Do swidanija* - odparł Sasza.

– Kiedyś jeszcze zjemy razem ten obiad.

– Któregoś dnia.

Hollis naciągnął kapelusz na oczy i zsunął się nisko na swoim siedzeniu.
Lisa zsunęła się w dół obok niego.

– Czy to konieczne?

– Nie, lubię się po prostu pozgrywać.

Sasza nie zwalniał, a potem nagle podjechał do krawężnika i wcisnął mocno hamulec. Hollis otworzył drzwi i razem z Lisą wyskoczyli na chodnik. Wziął ją pod ramię i minął szybko milicjantów, którzy wyskoczyli ze swojej budki.

– Stój! Pasport!

– Otwórz bramę, synu - zawołał do amerykańskiego wartownika. Elektryczna brama zaczęła się rozsuwać i w tej samej chwili Hollis usłyszał za sobą stukot podkutych butów. Wepchnął Lisę do środka i sam wsunął się za nią, oddając salut wartownikowi. Obejrzał się przez ramię i zobaczył wlepiających w niego ponure spojrzenia stojących po drugiej stronie bramy milicjantów. W wołdze siedziało teraz dwóch szpicli i Sasza nie miał zbyt szczęśliwej miny.

– Chyba dosyć już mieliśmy dzisiaj płaszcza i szpady - oświadczyła Lisa. - Zrobię sobie teraz drinka, a potem przeniosę do siebie twoje rzeczy, podczas gdy ty będziesz spiskował z innymi szpiegami. Może poproszę kogoś o pomoc. Zadzwonię do Kellumów.

– Wolałbym sam ci pomóc i zrobię to później. Dobrze?

– Dobrze.

Weszli do budynku ambasady.

– Idę teraz na chwilę do mojego gabinetu - powiedział Hollis - a potem na spotkanie.

– Czy Seth też tam będzie?

– Tak sędzę. Dlaczego pytasz?

Zawahała się.

– Jesteś zazdrosny o to, że byliśmy ze sobą... Ja jestem zazdrosna o to, co was łączy.

Nie wydawało się, żeby było to to samo, ale nic nie odpowiedział.

– Uważaj na niego, Sam - dodała Lisa.

Hollis rzucił okiem na zegarek.

– Do zobaczenia później.

– Jeszcze raz dziękuję za dzisiejszy dzień.

Hollis ruszył w stronę wind, a Lisa do tylnego wyjścia. Kiedy jechał na górę, na spotkanie z Alevym, przyszło mu do głowy, że dwiema największymi łamigłówkami w jego życiu są kobiety i szpiegostwo i że obie pochłaniają go bez reszty.

.24.

Hollis zapiął guziki kurtki błękitnego lotniczego munduru i poprawił krawat.

– Jak wyglądam?

– Bardzo seksownie - odparła Lisa. - Któregoś dnia odbije mi cię jakaś młoda sekretarka.

Hollis wygładził ręką baretki.

– Umieszczacie je obok siebie, biorąc pod uwagę względy kolorystyczne, chronologię czy może jeszcze coś innego? - zapytała.

– Ze względu na ważność. Odznaki za dobre sprawowanie idą ostatnie.

O której myślałaś sekretarce?

Uśmiechnęła się.

– Nauczysz mnie, jak składać mundur?

– To niepotrzebne. Potrafię zrobić to sam.

– Robiła to twoja żona?

– Nie sądzę, by uświadamiała sobie, że w ogóle jestem wojskowym.

Masz może trochę whisky?

– W kuchni została jedna butelka. Pomóż mi zapiąć suwak.

Hollis zasunął zamek jej czarnej jedwabnej sukienki, a potem objął wpół i dotknął dłońmi jej piersi.

– Cycki pierwsza klasa.

– Grubianin. Stajesz się coraz bardziej ordynarny. Nie zapominaj, że jesteś oficerem i dżentelmenem.

Pocałował ją w szyję i zeszli razem na dół. Lisa podała whisky i butelkę wody sodowej, a on wypełnił dwie szklanki lodem.

– Te kartony działają mi na nerwy - powiedziała.

– Gdzie jest ta ikona?

– Tam, na półce. Mam zamiar wysłać ją do mojego szefa w Waszyngtonie. Napisałam do niego i poprosiłam, żeby ją przechował. Przewieziesz ją dla mnie w bagażu dyplomatycznym?

– Już powiedziałem, że to zrobię.

– Dzięki.

– Możesz ją odebrać, kiedy będziesz w Waszyngtonie?

– Jasne.

Zdjął ikonę z półki i przyjrzał się jej. Namalowana była na kwadratowej desce o boku mniej więcej sześćdziesięciu centymetrów i przedstawiała nie znanego mu bliżej świętego.

– Co to za facet?

– Ten facet to archanioł Gabriel. Nie widzisz trąby?

– Rzeczywiście.

– Wizerunek namalowany jest na drewnie modrzewiowym. Bardzo dużo ikon sporządzono na sośnie, która paczy się i pęka.

– Rozumiem.

– Wielu ludzi nie lubi ikon. Nie mają perspektywy ani głębi i nic się na nich nie dzieje. Są po prostu płaskie, a podobizny wydają się nieruchome i odległe.

– Podobnie jak twarze ośmiu milionów moskwian.

– Ale użyte do malowania farby są ciepłe, a w tej twarzy odbija się jakiś szczególny spokój, nie sądzisz?

– O, tak. Ile?

– Ile to jest warte? Cóż, trudno wycenić te rzeczy na Zachodzie, ale znalazłam historyka sztuki z Uniwersytetu Columbia, który stwierdził, że ikona pochodzi z szesnastego wieku, z okolic Kazania, co i tak wiedziałam, i że warta jest mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy.

– Jezu. Co będzie, jak ją zgubię?

Dolała mu whisky.

– Nie potrafię sobie wyobrazić szpiega, który coś gubi. Ufam ci.

– W porządku.

Odstawił ostrożnie ikonę na półkę.

– Ikona ma w Rosji bardzo szczególne znaczenie - powiedziała. - W czasach najazdów Tatarów, kiedy palono cerkwie i masakrowano popów, ikona była dostatecznie mała, żeby ją ukryć. Przechowywano ją w każdej chacie. Przez setki lat ten głęboko religijny naród nauczył się traktować ikonę jako symbol przetrwania chrześcijaństwa i rosyjskiej kultury.

Hollis kiwnął głową.

– Widzisz jakieś paralele?

– Oczywiście. Wszyscy je widzą. Jeśli Kościół prawosławny i rosyjska kultura zdołały przetrwać prawie trzysta lat najazdów, to przeżyją również tych głupców na Kremlu. Takie jest między innymi symboliczne znaczenie obecnego odrodzenia sztuki ikonicznej. Same podobizny mogą być mało inspirujące, ale ludzie, którzy je przechowują, czynią to na znak protestu. Sądzę, że i oni, i władcy na Kremlu dobrze wiedzą, kto jest tutaj strażnikiem kultury, a kto Tatarem.

– Ciekawe. Czasem myślę, że jest w tym kraju coś więcej, niż to widać gołym okiem. Zapominamy, że mają długą historię.

– Oni nie zapominają o tym nawet na minutę. - Lisa pociągnęła łyk szkockiej. - Trochę się denerwuję na myśl o tym przyjęciu.

– Dlaczego?

– Nie wiem... chyba dlatego, że w głębi duszy jestem nieśmiała. Nie lubię znajdować się w centrum zainteresowania, zwłaszcza jeśli ma to być przyjęcie wydane z okazji mojego wydalenia.

– Wcale nie zauważyłem, żebyś była nieśmiała - zaryzykował Hollis. - Tak czy inaczej zapowiada się niezła zabawa. Byłem kiedyś na podobnym bankiecie w Sofii. Zastępca szefa placówki CIA uwiódł tam żonę bułgarskiego dygnitarza czy kogoś w tym rodzaju. Mówiąc krótko, dał się złapać i kazano mu się wynosić. Bankiet trwał cały tydzień i biedny facet... o co chodzi?

– Mężczyźni to śwynie. To wcale nie jest zabawne.

– Wtedy wydawało mi się zabawne. Może powinnaś tam po prostu być.

– Wiesz co? Cała ta wywiadowcza robota to jedno wielkie g... Ty zresztą jesteś inny. Nie mógłbyś z tym skończyć? Czy w ogóle chcesz z tym skończyć?

– Chciałbym znowu latać.

– Naprawdę? A może zbyt długo już to powtarzasz?

Hollis milcząc usiadł na jednej ze skrzynek.

– Przepraszam, Sam. Za bardzo cię naciskam. Nie jesteś moją własnością. - Dopijała do końca swoją whisky. - No. Nalać ci jeszcze?

– Nie.

– Ja jeszcze wypiję. Jestem jakaś podekscytowana.

– Widzę.

Nalała sobie kolejnego drinka i wzięła papierosy z pustej półki.

– Zapalisz? - zapytała.

– Kiedy skończę drinka.

Zapaliła papierosa. Zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Ja otworzę.

Zbiegła po schodach i wróciła po chwili z Charlesem Banksem.

– Cześć, Sam - odezwał się Banks. - Lisa zapewniła mnie, że nie przeszkadzam.

– W takim razie chyba nie przeszkadzasz. Zdejmij płaszcz, Charles.

– Nie, to zajmie tylko kilka minut.

– Nalać ci drinka? Mamy tylko szkocką.

– Kropelkę. Z wodą. Sodową albo czystą.

Lisa wyszła do kuchni, a Banks rozejrzał się po pokoju.

– Często już oglądałem w życiu podobne sceny - powiedział. - Mój ojciec też był dyplomata.

Lisa wróciła ze szklanką wody z lodem, dołała do niej whisky i wręczyła Banksowi. Podniósł szklankę w górę.

– Pozwólcie, że jako pierwszy, jeszcze przed wydanym na waszą cześć bankietem, złożę wam życzenia sukcesów w pracy zawodowej i szczęścia w życiu osobistym.

Stuknęli się szklankami i wypili.

– Mówiłem właśnie Samowi - Banks, wciąż stojąc, zwrócił się do Lisy - że właściwie od kolebki mam styczność z dyplomacją. Tak samo jak on z lotnictwem.

– Nie wiedziałam o tym, Charles. Nikt tutaj, szczerze mówiąc, nie wie o tobie zbyt wiele.

– Niektórzy wiedzą to i owo. Całe życie spędziłem na różnych placówkach, a mój ojciec, Prescott Banks, wchodził w skład pierwszej tutejszej amerykańskiej misji po rewolucji. Miałem wtedy osiem lat i pamiętam trochę ówczesną Moskwę. Była naprawdę ponura. - Uśmiechnął się. - Wiem, wiem. Kiedy miałem dziesięć lat, spotkałem Stalina.

– Fascynujące - zainteresowała się Lisa. - Pamiętasz, jak wyglądał?

– Pamiętam tylko, że pachniał tytoniem. Ojciec powiedział mi żartem, że spotkam cara Wszechrosji. I kiedy zostałem mu przedstawiony w jego

apartamencie na Kremlu, powiedziałem, że wcale nie wygląda jak car Wszechrosji. Stalin roześmiał się, ale mój ojciec o mało nie zemdleł z wrażenia.

Hollis uśmiechnął się.

– Nie zawsze byłeś taki gładki, prawda?

Banks zachichotał.

– Nie. To było moje pierwsze dyplomatyczne *faux pas*. - Potrząsnął lodem w szklance. - Cóż, załatwmy najpierw sprawy zawodowe... - Rozejrzał się po pokoju. - Przydałoby się trochę muzyki.

Lisa kiwnęła głową i podeszła do stojącego na półce magnetofonu.

– Zapakowali już mój zestaw stereo, ale mam tutaj parę kaset. Znasz może Żannę Biczewską, rosyjską Joan Baez?

– Obawiam się, że nie znam się zbyt dobrze na współczesnej rosyjskiej muzyce - odparł Banks. - Ale jestem pewien, że będzie odpowiednia dla naszych celów.

– Świetnie.

Lisa włożyła kasetę i nacisnęła przycisk. Pokój wypełnił cichy dźwięk gitary, a potem piękny, czysty rosyjski głos.

– Jej piosenki wywołują we mnie melancholię - powiedziała. - Próbowалаm załatwić jej gościnne występy w Ameryce, ale te sukinsyny nie chcą wypuścić jej z kraju. Nie udało mi się nawet z nią porozmawiać. Nie mam pojęcia, gdzie mieszka i w ogóle mało co o niej wiem, oprócz tego, że podoba mi się jej głos. Przypuszczam, że jest politycznie niepewna.

– Rzeczywiście ma uroczy głos - stwierdził Banks. - Dobrze, że pozwalają jej przynajmniej śpiewać.

Wszyscy przysunęli się bliżej magnetofonu, a Lisa zwiększyła siłę głosu.

– Chyba wystarczy - rzekł Hollis. - Mów, Charles.

Banks odchrząknął.

– Pierwsza sprawa - powiedział. - Niedawno zniknęliście na jakiś czas z ambasady i obawialiśmy się tutaj i w Waszyngtonie, że może was spotkać coś złego. Z tego względu ambasador poprosił, abyście nie opuszczali terenu ambasady aż do poniedziałku rano, kiedy zostaniecie odwiezieni na lotnisko przez naszą służbę bezpieczeństwa. Ufam, że nie sprawi wam to większego kłopotu.

– Z całą pewnością nie sprawi - odpowiedział Hollis - ponieważ ambasador nie może wydawać mi żadnych poleceń. Lisa i ja wybieramy się w niedzielę na nabożeństwo do cerkwi.

– Dlaczego koniecznie starasz się ich sprowokować - zapytał zniecierpliwiony Banks - i wystawiasz na niebezpieczeństwo życie swoje i Lisy?

– Chyba nie sądzisz, Charles - zaczął niewinnym tonem Hollis - że sowieckie władze bądź też państwowe organy bezpieczeństwa będą chciały dokonać zamachu na nasze życie w tej samej chwili, kiedy nasi dyplomaci zachłystują się, opowiadając o nowej erze, w jaką wkracza sowiecko-amerykańska przyjaźń?

– Być może nie chodzi tu o sowieckie władze - odparł oschle Banks - ale o KGB. Ani ty, ani ja nie wiemy, co knują. Podobny problem mamy tutaj z panem Alevym, którego organizacja wydaje się prowadzić własną politykę zagraniczną. Jeżeli KGB i CIA mają jakąś cechę wspólną, to jest nią chęć storpedowania wszelkich prób zbliżenia między rządami ich krajów.

– To bardzo mocne stwierdzenie - zauważył Hollis.

– Niemniej jednak takie właśnie przekonanie panuje w kręgach dyplomatycznych.

– Nie podoba mi się wcale, Charles, kiedy dyplomaci próbują stroić się w szaty moralistów. To, czym się zajmuję i czym zajmuje się Seth Alevy, może nie podobać się tobie i twoim zwierzchnikom, ale nikt za nas,

niestety, tego nie zrobi. Nie zapominaj również, że istnieje niepisane porozumienie, na mocy którego dyplomaci mają zapewnić pomoc działającym w ramach misji pracownikom wywiadu. Nikt z mojego biura, podobnie jak z biura Alevy'ego, nie wymagał od was dotychczas niczego oprócz miejsca do pracy i atmosfery wzajemnej współpracy i zrozumienia. Nie skompromitowaliśmy ani jednej osoby wchodzącej w skład tutejszego personelu dyplomatycznego. Ktokolwiek obejmie po mnie to stanowisko, będzie miał cholernie ciężką robotę i zasługuje, jeśli nie na twoją sympatię, to przynajmniej na odrobinę szacunku.

Banks odstawił drinka na półkę.

– Osobiście całkowicie się z tobą zgadzam. Świat zmienił się od czasów, kiedy jedynymi szpiegami w ambasadzie było kilku dyplomatów, o których nieoficjalnie wiedziało się, że pracują dla wywiadu Departamentu Stanu. Niemniej obecnie ambasador obawia się... i jest to, jeżeli chcesz znać prawdę, obawa, którą podziela Biały Dom... że mianowicie ktoś z was... ty, Seth Alevy względnie attaché sił lądowych, morskich lub któryś z waszych podwładnych... może posłużyć się całą tą aferą z Fisherem i Dodsonem, aby storpedować obecne inicjatywy dyplomatyczne. Powiedziałem chyba dosyć.

Hollis nalał więcej whisky do szklanki Banksa i wręczył mu ją.

– Obawiam się, że to do mnie będzie należało ostatnie słowo, Charles. Wiem, że boicie się nas, troglodytów, ale chciałbym ci przypomnieć, ile naszych ciężko wywalczonych, opłaconych krwią, wywiadowczych i wojskowych zwycięstw zostało zaprzepaszczone przez Departament Stanu i służbę dyplomatyczną. Podobnie jak mój ojciec walczyłem na wojnie. Tak się składa, że znam nazwisko Prescottta Banksa i chciałbym ci przypomnieć wspaniałe sukcesy, jakie odniósł Departament Stanu w Jałcie i Poczdamie. Twoim przodkom udało się tam oddać Stalinowi wszystko

oprócz zachodniego trawnika przy Białym Domu. Dlatego właśnie babrzemy się teraz wszyscy w tym gównie.

Rumiana twarz Banksa zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Nabrał w płuca powietrza i pociągnął łyk szkockiej.

– To nie był nasz najlepszy okres - przyznał. - Mój ojciec żałował później roli, jaką wtedy odegrał.

Lisa naląła wszystkim więcej whisky.

– Wiem, że przeszłość jest prologiem do przyszłości - powiedziała - ale rozmawiacie, wapniaki, o sprawach, które wydarzyły się, zanim się w ogóle urodziłam.

– W porządku, teraz coś bardziej aktualnego - stwierdził Banks. - Jak wiecie, rodzice Gregory'ego Fishera poprosili o dokonanie sekcji zwłok ich syna. Otrzymaliśmy właśnie jej wyniki.

– I? - zapytała Lisa.

– W raporcie lekarskim stwierdza się, że rany nie były bezpośrednią przyczyną śmierci.

– A co nią było? - zapytała Lisa.

– Wstrzymanie akcji serca.

– Wstrzymanie akcji serca jest przyczyną każdego zgonu - zauważył Hollis. - Co spowodowało, że serce przestało bić?

– Częściowo odniesione urazy. Ale przede wszystkim alkohol. We krwi i w tkance mózgowej pana Fishera znajdowała się śmiertelna dawka alkoholu.

– KGB wlało w niego alkohol przed śmiercią - stwierdził Hollis. - Przez tubę prosto do żołądka. To idealna trucizna, bo przecież każdemu zdarza się od czasu do czasu nadużyć alkoholu.

Banks zrobił zakłopotaną minę. Najwyraźniej nie podobało mu się, że rozmowa zeszła na takie tory.

– Naprawdę? - zapytał. - Można coś takiego zrobić? - Spojrzał na Hollisa, jakby ten oznajmił mu właśnie o istnieniu nowego gatunku *homo sapiens*. - To straszne.

– Nie mamy więc praktycznie żadnego dowodu, który mógłby zostać przedstawiony w sądzie albo w nocie dyplomatycznej, gdyby ktoś uznał, że powinna zostać doręczona? - zapytała Lisa.

– Zgadza się - odparł Banks.

– Czy wierzysz, że Gregory Fisher został zamordowany? - zapytała.

Banks przez chwilę się zastanawiał.

– Wskazują na to poważne poszlaki - odparł. - Nie jestem idiotą, Liso, podobnie jak ambasador.

– To naprawdę krzepiące - stwierdziła. - Bardzo się z tego powodu cieszę.

Banks uśmiechnął się kwaśno.

– Czyżby? Pozwól, że przyznam, iż osobiście podziwiam pani uczciwość i moralną odwagę. *I entre nous*, pod podobnym wrażeniem jest ambasador. Ale muszę tutaj z całą mocą powtórzyć, że jeżeli którekolwiek z was piśnie w Stanach choćby słowo na temat tego incydentu, oboje stracie pracę i nie będziecie w stanie otrzymać jakiegokolwiek innej, nie mówiąc już o tym, że wszczęte zostanie przeciwko wam postępowanie prawne. Czy wyraziłem się jasno?

Hollis przysunął się bliżej do Banksa.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek spoza Pentagonu mógł zaszkodzić mi w karierze - powiedział.

– Wprost przeciwnie, pułkowniku. A jeśli chodzi o panią, pani Rhodes, to niech pani pamięta, że jako dziennikarka może pani spotkać się z większymi, niż przypuszcza, trudnościami przy zbieraniu informacji na temat jakiegokolwiek rządowej agencji Stanów Zjednoczonych.

Lisa odstawiła swoją szklankę.

– Sądzę, Charles, że zbyt długo już przebywasz w Związku Sowieckim.

W naszym kraju nie wysuwa się tego rodzaju pogrózek.

Banks wydawał się trochę zbity z pantafelku.

– Przepraszam... przekazuję tylko informacje.

Przez parę chwil trwało nieprzyjemne milczenie, a potem Banks wyciągnął rękę.

– Zobaczymy się na bankiecie.

Lisa uścisnęła mu dłoń.

– Jeśli wpadniesz. My musimy tam być. - Uśmiechnęła się. - Lubię cię, Charlie - powiedziała i pocałowała go w policzek.

Banks uśmiechnął się niezręcznie, a potem podał rękę Hollisowi.

– Najmniej wolnymi obywatelami w wolnym społeczeństwie - powiedział - są ludzie tacy jak ty i ja, którzy przysięgli, że będą bronić konstytucji.

– Na tym polega ironia losu - zgodził się Hollis.

– Uderzył nas marchewką i starał się podsunąć do zjedzenia kij - skomentowała Lisa, kiedy za Banksem zamknęły się drzwi.

– Nie ma z tym wszystkim łatwego życia.

– A kto je dzisiaj ma?

.25.

Hollis strzepnął ostatni pyłek z munduru i wkroczył rażnym krokiem do sali recepcyjnej. Protokół przyjęcia pożegnalnego nie wymagał, by stali na progu razem z Lisą, witając wszystkich gości; nie było też stołu honorowego, co w zasadzie mu nie przeszkadzało. Jako żonaty mężczyzna, którego małżonka wyjechała tylko na kilka miesięcy z miasta, nie powinien jednak afiszować się z inną kobietą, w związku z czym Lisa wybrała się na bankiet pierwsza. Zobaczył, jak stoi po drugiej stronie sali, rozmawiając z kolegami ze swego biura.

Przestronna, przylegająca do głównego budynku ambasady sala recepcyjna miała wysokie okna, ściany z kararyjskiego marmuru i podłogę wyłożoną parkietem, który Rosjanie nie wiadomo dlaczego uważają za szczyt elegancji - stąd zapewne się nań zdecydowano. Pod sufitem wisiały trzy nowoczesne żyrandole z nierdzewnej stali.

Zaproszono prawie cały, liczący blisko trzysta osób, personel ambasady i Hollis dostrzegł, że zjawiała się większość. Taki spęd w sobotnią noc naprawdę pochlebiałby mu w Londynie i Paryżu, ale w Moskwie nietrudno było zgromadzić pięciuset cudzoziemców na najnudniejszym raucie, byle tylko grała muzyka i podano coś do jedzenia.

Zorientował się, że szczęśliwcy, dla których zarezerwowano na ten weekend fińską daczę, przezornie się tam wynieśli. Nie było także prawie nikogo z trzydziestoosobowego kontyngentu marines. Część była na służbie, ale pozostali, jak się domyślał, spędzali noc w pobliskim, przeznaczonym dla cudzoziemców bloku, gdzie udało im się w jakiś sposób

wynając apartament, który określali między sobą mianem Studia 54 i którego głównymi atrakcjami były disco, alkohol i *diewoczki*. Obecność tych ostatnich była co prawda niezgodna z regulaminem, ale po wielkim skandalu szpiegowsko-seksualnym dowództwo piechoty morskiej musiało pogodzić się z faktem, że chociaż mięśnie ich ludzi są ze stali, nie można tego samego powiedzieć o ich libido. Działalność Studia 54 była w gruncie rzeczy w dyskretny sposób popierana - w ten sposób trzymało się przynajmniej marines i rosyjskie kobiety w jednym miejscu.

Wartownicy nie mieli pojęcia, że czterech spośród nich jest w rzeczywistości agentami wewnętrznego wywiadu piechoty morskiej. Hollis, który o tym wiedział, nie mógł się powstrzymać od smutnej refleksji, że świat w coraz większym stopniu zaludniony jest przez tajniaków i że Amerykanie nie ufają już nawet Amerykanom.

Zauważył, że pod ścianami ustawiono okrągłe stoliki, ale większość ludzi stoi w grupkach, trzymając kieliszki w ręku. Przy przeciwległej ścianie stał długi stół z bufetem, przy którym częstowało się kilka osób. Niedługo po przyjeździe tutaj doradzono mu, żeby na bankietach, na których obecni są Rosjanie, trzymał się daleko od bufetu - w przeciwnym razie może zostać stratowany.

Rzucił okiem na zegarek. Bankiet trwał już mniej więcej od godziny i doszedł do wniosku, że aby nadrobić stracony czas, powinien wypić jakieś trzy drinki. Omiótł wzrokiem salę, szukając baru i spostrzegł zmierzającego w jego stronę oficera do spraw protokołu, Jamesa Martindale'a.

– Cześć, Sam.

– Cześć, Jim.

Mimo idiotycznej pracy i pompatycznych manier Martindale'a Hollis w jakiś perwersyjny sposób polubił tego faceta.

– Zgromadził się tu na twoją cześć prawdziwy tłum, pułkownik - powiedział Jim.

– Widzę. Bardzo mi to pochlebia. Myślałem, że będą woleli obejrzeć zmianę warty przy mauzoleum Lenina.

Martindale nie pojął chyba dowcipu.

– Rozumiesz chyba, mam nadzieję - ciągnął dalej - że z powodu okoliczności, w jakich następuje wasz wyjazd, nie zaprosiliśmy twoich znajomych z sowieckich sił powietrznych i w ogóle żadnego sowieckiego dygnitarza.

Hollisowi przeszło przez myśl, że to chyba nie wymaga komentarza.

– Nie chcecie ich karmić za nasze pieniądze, prawda?

– Nie wysłałem także zaproszeń do pewnych ambasad, żeby nie stawiać ich w niezręcznej sytuacji.

– Masz wspaniałe wycucie.

– Niemniej wystosowałem nieformalne ustne zaproszenia do twoich przyjaciół i kolegów w ambasadzie brytyjskiej, a także kanadyjskiej, australijskiej i nowozelandzkiej.

– My, Anglosasi, musimy się wspólnie opierać słowiańskim hordom.

– Tak. Wpadnie tutaj także, żeby powiedzieć do widzenia, kilku attaché wojskowych z krajów NATO.

– Masz na myśli moich przyjaciół szpiegów z pozostałej części chrześcijańskiego świata? Mam nadzieję, że zaprosiłeś jakiegoś Irlandczyka.

– Zaprosiłem. Lepiej utrzymać całą tę imprezę w ramach czysto towarzyskich, żeby nasi gospodarze nie odnieśli wrażenia, że chcemy ich obrazić.

– Ale i tak ich obrażamy, Jimbo. Sądzisz, że ktoś wyprawiałby na moją cześć jakiegokolwiek przyjęcie, gdyby wydalano mnie z Anglii albo

Botswany?

– Cóż, z punktu widzenia protokołu...

– Gdzie jest bar?

– W rogu po drugiej stronie. Zaprosiłem również przez grzeczność około trzydziestu amerykańskich korespondentów wraz z małżonkami. Większość zapowiedziała, że wpadnie, ale nie będzie mówiła o sprawach zawodowych.

– Dobrze pomyślane.

– Wyjaśniłem to wszystko pani Rhodes i wykazała pełne zrozumienie.

– Czy mam założyć włosienicę i posypać głowę popiołem?

– Nie, obowiązuje dzisiaj strój służbowy.

– Czy mogę już iść do bani?

– Chciałbym jeszcze, korzystając z okazji, przekazać ci moje najlepsze życzenia i podziękować za twój wkład w pracę tej placówki.

– Dziękuję. Teraz...

– Zrobiłem, co mogłem, biorąc pod uwagę okoliczności - dodał Martindale zataczając krąg ramieniem.

– Słuchaj, nie złapano mnie przecież na napastowaniu milicjanta. Zajmowałem się tylko szpiegostwem. To nic strasznego...

– Pojawi się oczywiście ambasador wraz z małżonką, ale nie powinniśmy ich zatrzymywać, ponieważ są umówieni gdzie indziej.

– Jesteś pijany?

Martindale uśmiechnął się półgębkiem.

– Trochę sobie golnałem - przyznał.

Hollis roześmiał się.

– Chodź ze mną - powiedział Martindale, biorąc go pod ramię i prowadząc w stronę podium, na którym ustawiono już mównicę i mikrofon. Wokół wielkiego fortepianu Steinwaya czekało na swój wielki dzień

czterech muzyków amatorów. Hollis przypomniał sobie, że ten sam instrument stał kiedyś w oficjalnej rezydencji ambasadora, Domu Spasskim, gdzie został poważnie uszkodzony na kilka godzin przed koncertem znakomitego pianisty i żydowskiego dysydenta w jednej osobie, Włodzimierza Felcmana. Głównym podejrzanym było oczywiście KGB i Seth Alevy wysłał nawet rachunek za naprawę na Łubiankę, a jakiś dowcipniś przesłał im stamtąd notę, że czek jest w drodze.

Hollis wszedł na drewniane podium, a po chwili dołączyła do niego Lisa, eskortowana przez sekretarkę Martindale'a. Wymienili między sobą krótkie uśmiechy. Martindale skinął w stronę zespołu, który zagrał kilka taktów z *Ruffles and Flourishes*, co pomogło zwrócić na nich zbiorową uwagę.

Następnie postukał w mikrofon.

– Panie i panowie, dziękuję za liczne przybycie. Mam przyjemność przedstawić wam naszych honorowych gości, pułkownika Sama Hollisa oraz panią Lisę Rhodes.

Zabrzmiały brawa i Hollis dostrzegł wykrzywające się w uśmiechu twarze. Najwyraźniej wszyscy byli zdania, że ich wydalenie stanowi powód do szampańskiej zabawy.

– Muszę zarazem dodać - kontynuował Martindale - że nie znajdujemy się w pomieszczeniu dźwiękoszczelnym i wszystko, co tu mówimy, słychać po drugiej stronie ulicy. Zwracam więc uwagę, byście przestrzegali państwo przepisów dotyczących wypowiedania się w miejscach publicznych, nie czynili uwłaczających uwag na temat naszych gospodarzy i pamiętali, że wydalenie pułkownika Hollisa i pani Rhodes stanowi powód do wielkiego wstydu.

Kilka osób zachichotało. Martindale sięgnął pod mównicę i wyciągnął stamtąd dwie wstęgi, które rozwinął i wyprostował. Rozległ się zbiorowy

ryk śmiechu. Hollis zobaczył, że na każdej ze wstęg, które przypominały oficjalną szarfę ambasadora, widnieje wypisany jaskrawymi czerwonymi literami napis:

PERSONA NON GRATA

Lisa roześmiała się zasłaniając dłonią usta. Martindale odwrócił się do nich i z całym ceremoniałem zawiesił im szarfę na piersi.

– Osobom, które nie wchodzą w skład korpusu dyplomatycznego i nie znają łaciny - powiedział do mikrofonu - zwracam uwagę, że określenie *persona non grata* oznacza osobnika, który nie daje napiwków.

– Jakie to krępujące - szepnęła Lisa do Hollisa.

– Ciesz się, że Martindale nie przypiął ci szkarłatnej litery.

– Mnie? Chyba tobie.

– Zanim zaczną się tańce - kontynuował Martindale - a także zanim zjawi się pan ambasador z małżonką, dokonamy niezbędnych prezentacji i wysłuchamy przemówień. Chciałbym przedstawić wam naszego pierwszego gościa, towarzysza Włodzimierza Slizistego.

Ci, którzy znali trochę język gospodarzy, roześmieli się na dźwięk nazwiska. *Slizistyj* znaczy po rosyjsku oślizgły. W drzwiach pojawił się jeden z młodszych pracowników sekcji konsularnej, Gary Warnicke. Ubrany w mniej więcej sześć numerów na niego za duży brązowy garnitur, był boso i miał zaczesane do tyłu, wybrylantynowane włosy i wymalowany na koszuli czerwony krawat. Rozległy się pierwsze wybuchy śmiechu.

Warnicke wspiął się na podium, ucałował szybko Hollisa w oba policzki, a potem wycisnął długi pocałunek na wargach Lisy. Hollis pomyślał, że zapowiada się długa noc.

– Dziękuję za zaproszenie, towarzyszu amerykańska świnio - powiedział, odwracając się do widowni, Warnicke. - Dokonam teraz odznaczenia pułkownika Hollisa.

Martindale popchnął Hollisa bliżej mównicy.

– Pułkowniku! - ryknął Warnicke. - Z rozkazu Komitetu Centralnego odznaczam was za niezmiennie niską jakość waszych raportów Orderem Cytryny. - Zawiesił Hollisowi na szyi czerwoną wstęgę, do której przyczepiona była gruszka. - Niestety - dodał, rozkładając ręce - chwilowo zabrakło cytryn.

– Rozumiem.

Wszyscy bili brawa. Warnicke poprosił gestem Lisę, żeby zbliżyła się do mównicy.

– A ciebie, seksowna panienko, za to, że udało ci się przespać cały rok w składziku, odznaczam z rozkazu Komitetu Centralnego Medalem Socjalistycznego Bumelanctwa. - Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął stamtąd zawieszony na kolejnej czerwonej wstędze czerwony plastikowy budzik. - Obudzi cię, kiedy trzeba będzie wyjeżdżać - powiedział.

– Ku chwale ojczyzny - odparła Lisa.

Warnicke wykorzystał okazję, żeby złożyć długi pocałunek na jej szyi.

Goście, którzy nie przestali bynajmniej popijać w czasie przedstawienia, zaczęli gwizdać i tupać.

– Cisza, towarzysze! - ryknął Warnicke. - Mamy tutaj do załatwienia poważne sprawy. - Wyjął z kieszeni dwie kartki papieru. - Mam tu dla was dwie *putiowki*... skierowania na pięcioletnie robotnicze wczasy w dowolnie wybranym ośrodku wypoczynkowym syberyjskiego Gułagu. W oddzielnych celach.

Ostatnia uwaga wywołała parsknięcia śmiechu.

Warnicke wygłupiał się jeszcze przez jakiś czas, po czym oznajmił:

– Mam teraz przyjemność poprosić o zabranie głosu wielkiego amerykańskiego dyplomate, wybitnego męża stanu, miłującego pokój

przyjaciela narodu sowieckiego i znanego arbitra elegancji, Charlesa Banksa.

Witany głośnymi owacjami Banks wspiął się na podium.

– Dziękuję bardzo, towarzyszu, a także wam, panie i panowie. Jak z pewnością wiecie, co rok, mniej więcej o tej porze, wręczamy zasługującym na to osobom upragnioną przez wszystkich Nagrodę Barlowa, nazwaną tak dla uczczenia pamięci Joela Barlowa, amerykańskiego ambasadora przy dworze Napoleona, który w roku 1812 towarzyszył armii francuskiej w jej wyprawie na Rosję, aby pozostawać w stałym dyplomatycznym kontakcie z cesarzem. Po pożarze Moskwy pan Barlow przyłączył się do ogólnej rejterady i zmarł z zimna, stając się w ten sposób pierwszym amerykańskim dyplomata, który zmarł na śmierć w Rosji.

Banks umilkł na chwilę, żeby spotęgować efekt. Wszyscy się roześmieli.

– Chcąc zatem uczcić to smutne wydarzenie - ciągnął dalej Banks, podnosząc do góry rękę - a także pamięć pana Barlowa, oddajemy każdej jesieni hołd jednemu albo większej liczbie naszych rodaków, którzy przeżyli poprzednią zimę bez jęków i narzekań i nie próbowali urwać się na trzydzieści dni na Wyspy Bahama. W tym roku mam zaszczyt przyznać nagrodę imienia Joela Barlowa dwóm osobom, którym jak nikomu innemu udało się zachować podczas wspólnej pracy wewnętrzne ciepło. Panie i panowie, oto tegoroczni laureaci Nagrody Barlowa: pułkownik Sam i panna Lisa.

Charles Banks podniósł zza mównicy wiadro pełne lodu i wyciągnął je w stronę Hollisa i Lisy. Na sali zabrzmiały brawa i śmiechy.

– Gratuluję wam.

– Dziękuję ci, Charles - odparła Lisa. - To wątpliwy honor, ale ładne wiadro.

Hollis stwierdził, że jemu przypadł w udziale ociekający wodą kubek.

– A teraz, przechodząc do spraw bardziej poważnych - powiedział do mikrofonu Banks - pozwólcie, że przedstawię wam adiutanta pułkownika Hollisa, kapitana Eda O'Shea.

Za mównicą zajął miejsce, trzymając w ręku małe pudełko, kapitan O'Shea. Banks odsunął się na bok.

– Cieszę się, że mogłem pracować pod kierunkiem tak utalentowanego oficera - oświadczył O'Shea, po czym dodał kilka dalszych komplementów pod adresem swego zwierzchnika. - W imieniu wszystkich tutejszych attaché wojskowych - oznajmił w końcu - a także ich personelu, chciałbym ofiarować pułkownikowi Hollisowi prezent pożegnalny.

Otworzył trzymane przez siebie pudełko i wydobył z niego małe gipsowe popiersie Napoleona.

– Udało nam się je zdobyć dzięki uprzejmości ambasady francuskiej. Gdziekolwiek zawiedzie cię służba dla kraju, niechaj to popiersie przypomina ci, pułkowniku, twój pobyt tutaj w Moskwie i ostatni interesujący weekend, jaki spędziłeś na rosyjskiej ziemi.

Hollis wyciągnął w jego stronę wiadro, a O'Shea włożył do niego gipsowe popiersie. Prezent uczczono brawami, rozległy się także stłumione śmiechy.

Hollis domyślał się, że po ambasadzie krążyło co najmniej pół tuzina różnych opowieści na temat jego feralnego weekendu i że łączono go na ogół w jakiś sposób z Borodinem - stąd popiersie Napoleona.

– Bardzo jestem wdzięczny za to memento - powiedział zwracając się do kapitana. - Postawię je na biurku, kiedy będę pisał twoją ostatnią ocenę okresową.

Znajdujący się w tłumie wojskowi ryknęli śmiechem. O'Shea uśmiechnął się słabo i poprosił do mikrofonu Kay Hoffman, która wdrapała się na

podium, trzymając w ręku pięknie malowaną bałajkę.

– W ciągu wszystkich tych lat, które spędziłam w Służbie Informacyjnej Stanów Zjednoczonych - powiedziała, uśmiechając się do Lisy - rzadko zdarzało mi się spotkać kogoś dysponującego tak głęboką wiedzą na temat kraju, w którym wypadło nam pracować, na temat jego języka, kultury i mieszkańców. - Kay Hoffman chwaliła jeszcze przez chwilę swoją asystentkę, po czym oświadczyła: - W imieniu całego moskiewskiego i leningradzkiego personelu Służby Informacyjnej chciałam wręczyć Lisie ten pożegnalny podarunek. Nie jest to, jak każdy widzi, żaden psikus, ale oryginalny wyrób rosyjskiej sztuki ludowej. Choć niełatwo było go zdobyć, wart był naszych poszukiwań, ponieważ przechodzi w ręce wspaniałej kobiety, która z pewnością doceni mistrzostwo, z jakim został sporządzony. Liso... - zakończyła Kay, wręczając Lisie bałajkę - pozwól, że podaruję ci ten unikatowy elektryczny samowar.

Żart zaskoczył wszystkich i dopiero po chwili rozległy się śmiechy i oklaski.

– Te trzy struny - kontynuowała Kay Hoffman - odczepia się i wsadza do gniazdka. Herbata cieknie z tej wielkiej dziury w środku, nie jestem tylko pewna, gdzie wlewa się wodę.

Lisa wzięła bałajkę, a Kay objęła ją i uściskała.

– Nie pozwól uciec temu ogierowi, kochanie - szepnęła jej do ucha.

Lisa zamrugała i otarła łzę z oka.

– Nie umiem co prawda grać na samowarze... ale uwielbiam jego muzykę i obiecuję, że się nauczę. Jego dźwięk będzie mi zawsze przypominał ludzi, z którymi tutaj współpracowałam.

Na podium ponownie pojawił się James Martindale, dźwigając tablicę, do której przypięte było powiększenie napisanego po rosyjsku artykułu.

– Tym z was, którzy chcą dowiedzieć się prawdy na temat nieszczęsnego incydentu, który nas tu dzisiaj zgromadził - powiedział - polecam wolną sowiecką prasę. Dla waszej wygody powiększyliśmy artykuł, który ukazał się na ten temat na łamach *Prawdy*. Wiecie chyba, co znaczy prawda, wiecie także, że *izwiestia* oznacza wiadomości. Słyszałem co prawda cyników, którzy twierdzą, że nie ma żadnych wiadomości w *Prawdzie* i nie ma ani krzty prawdy w *Izwiestiach*, ale mimo to przeczytam wam angielski przekład tego wnikliwego sowieckiego artykułu. Sowietkie Ministerstwo Spraw Zagranicznych - przeczytał z kartki - ogłosiło komunikat o wydaleniu ze Związku Sowieckiego za postępowanie niezgodne z dyplomatycznym statusem pracowników ambasady amerykańskiej, S. Hollisa i L. Rhodes. Stanowi ono kolejny przykład uprawiania działalności antysowieckiej pod płaszczykiem immunitetu dyplomatycznego. Organy bezpieczeństwa państwowego prowadziły od pewnego czasu obserwację wspomnianych agentów i położyły wreszcie kres nadużywaniu przez nich sowieckiej gościnności.

Martindale uniósł wzrok znad kartki i pogroził palcem Hollisowi i Lisie.

– Nieładnie, nieładnie...

– Niech to będzie lekcją dla was wszystkich! - wrzasnął Warnicke. - Trzy razy hura na cześć organów bezpieczeństwa państwowego!

– A teraz, panie i panowie - powiedział do mikrofonu Martindale - chciałbym przedstawić wam naszego pierwszego honorowego gościa, kawalera Orderu Cytryny, nie mówiąc już o pełnej piersi prawdziwych medali, rozstającego się z nami attaché sił powietrznych, pułkownika Sama Hollisa.

Ludzie, którzy do tej pory siedzieli przy stolikach, wstali i podeszli bliżej. Wszyscy bili głośno brawa. Czteroosobowy zespół muzyczny zagrał fragment *Off we go into the wildblue vonder...* a Hollis odstawił na bok

wiadro i czekał, aż skończą. Nieoczekiwanie podeszła do niego Lisa i uścisnęła mocno jego rękę.

– Dziękuję wszystkim za tak wspaniałe przyjęcie - powiedział do mikrofonu Hollis. - Dziękuję również tobie, Jimie Martindale, szefie protokołu, alkoholu i Geritolu, za szarfę i miłe słowa. Chciałem również przekazać wyrazy podziękowania Gary'emu Warnicke'owi za to, że zrobił z siebie publicznie wariata, a także wyrazić moją najgłębszą wdzięczność Charlesowi Banksowi za to, że pojawił się tutaj trzeźwy. Oraz oczywiście słowa uznania dla kapitana O'Shea i wszystkich moich podwładnych za okazane mi osobiste oddanie, które na pewno przeniosą w całości na następnego szefa.

Dodał kilka poważniejszych słów na pożegnanie, po czym zakończył lżejszym tonem:

– Kiedy wrócę do domu i będę sunął swoją corvette przez bajeczny pejzaż Wirginii, przysłuchując się relacjonowanemu w radiu meczowi armii z lotnictwem i zjadając banana, moje myśli będą razem z wami, popijającymi swój poranny kieliszek wódki i spoglądającymi na sypiący za oknami śnieg.

Reakcją były syki i śmiechy. Wszyscy oprócz niego, pomyślał, mieli już najwyraźniej w czubie. Zasalutował i zszedł, przy akompaniamencie braw, z podium.

Martindale przedstawił Lisę. Jej również zgotowano owację na stojąco, przy dźwiękach orkiestry, która zagrała temat Lary z *Doktora Żywago*.

– Bardzo wam wszystkim dziękuję - powiedziała biorąc do ręki mikrofon. - Nigdy nie wyrzucono mnie dotąd z żadnego kraju i nie zdawałam sobie sprawy, że można się z tego powodu tak dobrze bawić.

Podziękowała wszystkim pracownikom swojego biura, którzy uczynili jej pracę tutaj w miarę znośną.

– Chcę także - dodała - podziękować Charlesowi Banksowi, który tak gorąco pragnął uchronić mnie przed wszelkimi kłopotami. Tym, którzy nie mają zaszczytu go znać, zdradzę, że Charles jest człowiekiem rozdartym między obowiązkami osobistego sekretarza ambasadora a pragnieniem, by zachowywać się jak istota ludzka. Człowiekiem, którego głęboka znajomość Rosji skłoniła kiedyś do wyrażenia opinii, iż Borodino jest najlepszym czerwonym włoskim winem produkowanym w Związku Sowieckim.

– Zawsze zamawiam je obwiązane damską chustką! - krzyknął Banks.

– Żałuję, że nie mogę zostać z wami i pracować tutaj dalej - podsumowała Lisa. - Wiem, że gdzieś kiedyś wszystkie nasze drogi ponownie się skrzyżują, ale tej placówki nie da się porównać z żadną inną. Dziękuję.

Kiedy wszyscy bili brawo, Hollis nieoczekiwanie zajął znowu miejsce za mikrofonem.

– Byłbym niewdzięcznikiem - oznajmił - gdybym nie podziękował człowiekowi, który stał się moim przyjacielem i przyjacielem Lisy Rhodes, za wszystkie mądre rady i za to, że pokazał mi, kto jest kim w Moskwie. Mam oczywiście na myśli naszego wiecznie zapracowanego sekretarza do spraw politycznych, Seta Alevy'ego.

Alevy stał z boku z kciukami wetkniętymi w kieszonki kamizelki. Kiwnął niedbale głową, dziękując za skąpe oklaski. Hollis nie miał wątpliwości, że bardzo niewielu z trzystu zaproszonych na bankiet gości zna osobiście Seta, a ci, którzy go znają, nie należą do jego fanów.

Lisa mrugnęła do Hollisa, posyłając mu ciepły uśmiech, po czym oboje zeszli z podium.

– Maestro, proszę o muzykę do tańca - zawołał Martindale. - Bawcie się dobrze!

Zespół zagrał *In the Still of the Night* i Lisa pociągnęła Hollisa na parkiet.

– To było z twojej strony bardzo miłe, że podziękowałaś Sethowi - powiedziała, kiedy tańczyli.

Hollis mruknął coś w odpowiedzi.

– Mój budzik miażdży twoją gruszkę.

Sam napoczął gruszkę i podał ją jej. Wbiła w nią zęby i roześmiała się.

– Pierwszy raz ze sobą tańczymy - powiedziała jedząc. - Uwielbiam tę piosenkę.

– Wykonywał ją zespół Five Satins w roku 1956.

– Kto? Kiedy?

Hollis uśmiechnął się. Przytuliła się do niego mocniej i sunęli razem po parkiecie.

– Czy tańczyłeś do tej melodii, kiedy byłeś małym napalonym chłopaczkiem?

– Jasne.

– Boże, nie potrafię uwierzyć, że miałeś erekcję jeszcze przed moim urodzeniem.

– Nie mogłem się ciebie doczekać.

Zespół zaczął grać *Since I Don't Have You*.

– Wydalenie człowieka ze Związku Sowieckiego - mówiła Lisa - stanowi najwyraźniej powód do prawdziwej dumy. Wcale nie żartuję. Nigdy nie uświadamiałam sobie, ile pogardy i lekceważenia mamy dla tego kraju. Myślę o tym, co pokazał Gary Warnicke. Jego satyra była grubo przesadzona. Nic dziwnego, że ambasador zjawi się później.

– To tylko sposób na wyładowanie frustracji i rozsadzającej ich energii.

– Jest w tym coś więcej i ty wiesz o tym. To straszne, Sam.

– Co jest takie straszne?

– To, jak my ich nienawidzimy.

Hollis nie odpowiedział. Lisa rozejrzała się po parkiecie.

– Ci korespondenci chyba o tym nie napiszą...

– Niech lepiej się nie wazą, bo nigdy w życiu nie wejdą do środka tej ani żadnej innej amerykańskiej ambasady. To, co się tutaj odbywa, nie jest do wiadomości publicznej i doskonale o tym wiedzieli, kiedy przyjmowali zaproszenia.

– To dobry zespół. Tutaj w Moskwie uprzytamniamy sobie, że jesteśmy po tej samej stronie. Przyjemnie się z nimi pracowało. Smutno mi - dodała.

- Nie chcę wyjeżdżać.

– Mogło być gorzej. Mogliśmy już nie żyć.

Nie odpowiedziała.

– Nigdy nie oglądaj się do tyłu, Liso. Nigdy tu nie wracaj, nawet jeśli ci na to pozwolą. Obiecuj mi to.

– Nie, tego ci nie obiecuję.

Hollis dał krok do tyłu.

– Strasznie chce mi się pić.

– Nie urznięj się za bardzo. Chcę mieć z ciebie jakiś pożytek dziś w nocy.

– Niczego nie obiecuję. Jeśli chcesz, możesz zatańczyć z Sethem Alevym. Nie potrzebujesz zresztą mojego pozwolenia.

– Nie, nie potrzebuję. Ale dziękuję mimo to.

Hollis przecisnął się między tańczącymi i znalazł bar, przy którym wdał się w rozmowę z czterema attaché z krajów NATO.

Zespół nagle przestał grać i James Martindale ogłosił przybycie ambasadora i jego małżonki. Hollis zauważył, że gwar wyraźnie przycichł. Przeprósł swoich rozmówców i ruszył w stronę ambasadora, spotykając po drodze Lisę, która podążała w tym samym kierunku.

– Czy to wypada, żebyśmy zostali razem przedstawieni ambasadorowi? - zapytała.

– Mnie to nie przeszkadza. Słuchaj, chciałbym spędzić z tobą część urlopu.

– Zastanowię się nad tym.

– Nad czym tu się zastanawiać... - zaczął i przerwał, bo zbliżyli się do nich ambasador wraz z małżonką. Przywitali się i przez kilka minut wymieniali uprzejmości, nie przestając się uśmiechać. Ani ambasador, ani jego żona nie zająknęli się jednym słowem na temat szarf, a także gruszki oraz budzika, co uderzyło Hollisa jako przejaw wyjątkowej delikatności, jeśli nie wręcz głupoty.

– Straciliście państwo bardzo śmieszne przemówienia - zwróciła się do nich Lisa.

– Och - odparła żona ambasadora - tak nam przykro, że nas zatrzymano.

Przez chwilę gawędzili niezobowiązująco.

– Jestem wam obojgu głęboko wdzięczny - powiedział w końcu ambasador - za wkład, jaki wnieśliście w działalność tej misji. Wiem od Charlesa, że omówił z wami pewne problemy wagi państwowej i że oboje wykazaliście pełne zrozumienie. Bardzo się z tego powodu cieszę. Pułkownik Hollis, pani Rhodes... Samie i Liso... życzę wam przyjemnej i bezpiecznej podróży do domu.

Wszyscy uścisnęli sobie ręce.

– Wybaczcie nam, proszę - powiedziała żona ambasadora - ale jeszcze zanim zorganizowano dzisiejszy bankiet, przyjęliśmy inne zaproszenie i musimy już iść.

Lisa patrzyła, jak odchodzą.

– Mogliby zamiast nich przysłać zaprogramowane androidy i nikt by tego nie zauważył - skomentowała.

- Nad czym tu się zastanawiać?
 - Nad niczym. W tym rzecz. Zaprogramowanie androidów zajęłoby nie więcej jak dziesięć minut.
 - Pytam o urlop.
 - Ach, o to ci chodzi... cóż... pomyślałam o moich rodzicach... jesteś ode mnie trochę starszy, a na dodatek żonaty.
 - Odkryłaś to dopiero teraz?
- Uśmiechnęła się nieśmiało.
- Pozwól, że sama zastanowię się, jak to wszystko najlepiej rozwiązać.
 - Zrób to.
 - Czy to nasza pierwsza sprzeczka?
 - Całkiem możliwe.

Hollis odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę swoich podwładnych, którzy stali w grupie, pogrążeni w rozmowie. Po drodze przejął go Mike Salerno, reporter *Pacific News Bureau*. Odprowadził go na bok.

– Śmieszne przemówienie, pułkowniku. Wszyscy są dzisiaj w szampańskim humorze. Powinniście urządzać coś takiego raz w miesiącu. Prawdziwe *katharsis*. Kiedy wyjeżdża któryś z nas, zbieramy się u niego i wyprawiamy podobną stypę.

- Nic dziwnego, że nie daje wam spokoju KGB.
- Tak... domyślam się, że teraz też nas podsłuchują, prawda?
- Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Hollis spotkał się już z Salernem przy kilku okazjach i wiedział, że jest nieco wścibski, ale rzeczowy.

– Wiesz, że wyrzuciliśmy z Waszyngtonu sowieckiego attaché - ciągnął dalej Salerno - a także jakiegoś korespondenta agencji TASS w odwecie za Lisę. Czerwoni wyprawiają pewnie dzisiaj podobne przyjęcie w

Waszyngtonie. Wyśmiewają się z Wuja Sama. - Roześmiał się i wypił do końca swego drinka. - Jaki jest prawdziwy powód waszego wyjazdu?

– W zasadzie niewiele różni się od tego, co podano, Mike. Wybraliśmy się bez pozwolenia na wycieczkę po kraju.

– Tak. Na ogół jednak nie wydalają za coś tak drobnego. Zwłaszcza teraz, kiedy pękają lody i zanosi się na odwilż.

– Dokładnie rzecz biorąc, oboje popełniliśmy to wykroczenie po raz drugi. Jak może się domyśliłeś, pojechaliśmy obejrzeć słynne pole bitwy pod Borodinem, tam gdzie Rosjanie odnieśli swoje wątpliwe zwycięstwo. W Moskwie człowiek dostaje klaustrofobii.

– Mówisz, jakbym nie wiedział. Cały miesiąc załatwiam zezwolenie na wyjazd do jakiejś zapomnianej przez Boga fabryki traktorów na Uralu.

– Powiedz im, że nie masz najmniejszej ochoty oglądać fabryki traktorów na Uralu. Wsadzą cię do pierwszego pociągu.

Salerno roześmiał się.

– Dobrześ to ujął, Bracie Niedźwiedziu.

Wziął dwa kieliszki szampana od przechodzącego kelnera i wręczył jeden Hollisowi.

– Za bezpieczną podróż - powiedział.

Wypił do dna i zrobił minę, jakby się nad czymś usilnie zastanawiał.

– Jesteś ze mną szczery, Sam? - zapytał.

– Jasne.

– Pojechałeś tam, żeby zaopiekować się ciałem Grega Fishera.

– Zgadza się.

– Skoczyłeś na bok do Borodina i dorwali cię.

– Zgadza się.

– Pieprzony kraj, prawda?

– Kiedy jesteś w Trzecim Rzymie - odparł Hollis - rób, co ci każą. Przepraszam.

– Zaczekaj jeszcze chwilę, Sam. Słuchaj, ja wiem, że w historii Grega Fishera są rzeczy, o których nikt nie mówi. Jedna z teorii głosi, że został napadnięty przez rabusiów i Sowieci nie chcą, żeby to się wydało. Pierwsze państwo robotników nie wydawałoby się już takim rajem. Prawda?

– Widziałem spis rzeczy znalezionych przy tym chłopaku. Było wszystko od pieniędzy do flamastrów. Nikt go nie napadł.

– Na pewno? Mogę ci powiedzieć, co odkryłem?

– Jeśli masz ochotę.

– Zadzwoiłem do rodziców Grega Fishera w New Canaan i dowiedziałem się, że przeprowadzono sekcję zwłok. Powiedzieli mi także kilka innych rzeczy. Próbuję wyobrazić sobie pijanego w sztok chłopaka, bo to właśnie wykazała sekcja, gnającego w nocy szosą do Moskwy i muszę ci powiedzieć, że nie kupuję tego. Pomyśl, ile on musiał podpisać papierów, przekraczając granicę w Brześciu: o obowiązku zapięcia pasów, o tym, że za prowadzenie po pijanemu idzie się do więzienia, a jazda po nocy jest zabroniona przez KGB. Państwo Fisherowie twierdzą, że Greg był bardzo ostrożnym chłopcem... w porządku, wszyscy rodzice mówią tak o swoich zmarłych dzieciach. Ale zaczynam się nad tym wszystkim poważnie zastanawiać.

– Mieliśmy nie rozmawiać tutaj o sprawach zawodowych - stwierdził Hollis.

– Po prostu wysłuchaj tego, co mam do powiedzenia, Sam. Zgoda? Wiele któregoś dnia ja także wybrałem się na przejażdżkę bez zezwolenia. Najpierw kręciłem się wokół Możajska i spotkałem kierowcę ciężarówki, który za parę rubli pokazał mi miejsce wypadku na zachód od Możajska. Samochodu już tam oczywiście nie było, ale widziałem miejsce, gdzie

jadąc na wschód wypadł z szosy i uderzył w drzewo. Znalazłem nawet trochę okruchów przedniej szyby, którą chłopak przebił głową. W porządku. Ale kierowca ciężarówki opowiadał, że samochód tego chłopaka wzbudził wielką sensację w Możajsku. Jakim cudem Fisher znalazł się w Możajsku, skoro wypadek miał miejsce na zachód od tego miasta?

– Nie mam pojęcia.

– No właśnie. Ja też. Ale coś tu śmierdzi, Sam, i pomyślałem, że być może zechcesz mi zdradzić klucz do całej historii. Tylko między nami.

– Nie mam żadnego klucza - odparł Hollis. - Ale jeśli to, co mówisz, jest prawdą, możliwe, że Greg Fisher minął Możajsk, a potem z jakiegoś powodu zawrócił. Po jakimś czasie ponownie zawrócił w stronę Moskwy i wypadł z szosy, nie dojeżdżając do Możajska.

– Po co miałyby jeździć w tę i z powrotem o tej godzinie? Czy zlecili mu jakąś misję tutejsi rezydenci wywiadu?

– W ambasadzie amerykańskiej nie ma żadnych rezydentów wywiadu - odparł Hollis - a gdyby nawet byli, nie wysyłałiby na akcję ludzi w pontiacu trans am.

– To prawda - przyznał Salerno. - Słuchaj, mam rezerwację na ten lot PanAmu do Frankfurtu. Siądźmy obok siebie, to opowiem ci o kilku innych rzeczach, które odkryłem w tej sprawie.

– Zobaczymy - odparł niezobowiązująco Hollis, odwracając się, żeby odejść.

Zbliżyła się do nich Lisa i Salerno ciepło się z nią przywitał.

– Będzie nam ciebie brakować, Liso. Byłaś jedyną szczerą duszą w tutejszym Ministerstwie Propagandy.

Przez chwilę rozmawiali, a potem Salerno oddalił się.

– O czym tak ze sobą rozmawialiście? - zapytała.

– A jak myślisz? Facet czuje, że coś tutaj śmierdzi.

– Być może będziemy musieli pójść z tym do prasy.

– Jesteśmy pracownikami rządu Stanów Zjednoczonych - odparł sucho Hollis. - Nie będziemy informować prasy.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– To prawda.

– Jeśli wydaję się od ciebie bardziej rozważny - powiedział chłodno - to tylko dlatego, że jestem znacznie starszy.

Uśmiechnęła się do niego na zgodę i poklepała po ramieniu.

– No już dobrze.

Hollis przez całe życie nie potrafił zrozumieć kobiet. Wydawało mu się, że chciała go sprowokować, ale w momencie gdy przestał zbywać ją wykrętami, wycofała się. Przypominał sobie mgliście, że miał podobne doświadczenia z płcią odmienną, kiedy był młodszy. Wiedział, że istnieje pewien gatunek mężczyzn i kobiet, których podnieca samo polowanie i których podobnie jak ścigających lisa myśliwych nie interesuje martwa zdobycz.

– Przepraszam - powiedział i odwrócił się, ruszając w stronę baru.

Zobaczył stojącego przy kontuarze Alevy'ego i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Seth czeka tam na niego.

– Nie powinieneś ściągać uwagi na szefa tutejszej placówki CIA - upomniał go Alevy.

Hollis zamówił szkocką z wodą sodową.

– Niektórych ludzi stawia to w niezręcznej sytuacji - ciągnął dalej Seth.

– Myślałem, że jesteś sekretarzem od spraw politycznych - stwierdził Hollis, odchodząc od baru ze szklanką w rękę. - A teraz oświadczasz, że jesteś szefem placówki CIA.

Alevy uśmiechnął się.

– Dziękuję ci w każdym razie za pamięć. Czego chciał Salerno?

– On coś wie, Seth. Każdy reporter z głową na karku widzi, że ta historia z Fisherem nie trzyma się kupy. A teraz, kiedy nas wywalają, nietrudno się domyślić, że coś tu śmierdzi.

– Masz rację. Pokłóciłeś się z Lisą?

– Nie.

– To dobrze. Chciałbym, żebyś trzymał się blisko niej, przynajmniej do Frankfurtu.

– Niech cię o to głowa nie boli.

– W porządku. Czy mógłbyś wyświadczyć mi pewną uprzejmość, jeśli nie masz innych planów na dzisiejszą noc?

– Nie.

– Wpadnij do mnie koło północy.

– Kiedy ty śpisz?

– Na odprawach u ambasadora. Wiesz może coś na temat śmigłowca Mi-28?

– Znam tylko dane techniczne. To najnowszy sowiecki śmigłowiec transportowy. Dlaczego pytasz?

– Muszę sporządzić raport. Możesz dostarczyć mi to, co masz?

– Każę kapitanowi O'Shea, żeby ci podrzucił.

– Możesz podrzucić mi sam. O północy, u mnie - powiedział Alevy, po czym odwrócił się i odszedł.

– Wiedziałem, że to się tak skończy - mruknął sam do siebie Hollis.

Przez następną godzinę rozmawiał z różnymi attaché sił powietrznych krajów NATO. Trzeba było przekazać sobie pewne informacje, wyrazić podziękowania za współpracę i obiecać, że będzie się pozostawało w profesjonalnym kontakcie. Jedno, co można było dobrego powiedzieć o wojskowych szpiegach, pomyślał Hollis, to fakt, że byli przede wszystkim żołnierzami, a dopiero potem szpiegami.

Pożegnał się z kim trzeba, po czym wyślizgnął z sali recepcyjnej do swego biura, gdzie zamierzał pozostać aż do spotkania z Alevym.

Zadzwoił telefon.

– Hollis.

– Co robisz w swoim biurze o jedenastej wieczorem?

– Żegnam się ze swoją sekretarką.

– Lepiej tego nie rób, Hollis. Wracasz dzisiaj do domu?

Do domu. To słowo zaskoczyło go.

– O północy mam spotkanie z sekretarzem do spraw politycznych.

– Gdzie?

– U niego.

– Spodziewam się ciebie w swoim łóżku przed świtem.

– Zastanowię się nad tym.

– Nad czym się tu zastanawiać?

– Mam tutaj robotę - powiedział. - Muszę kończyć.

– Mam twoją bieliznę. I szczoteczkę do zębów.

– Telefony są na podsłuchu.

– Chciałabym spróbować tej nowej pozycji. No wiesz... kiedy zadzieram nogi nad głowę.

– Dobrze już, dobrze. - Uśmiechnął się. - Zobaczymy się później.

Odłożył słuchawkę, podszedł do okna i spojrzał na pogrążone w mroku miasto. O północy spotkanie z Alevym. Nazajutrz rano klasztor Nowodziewiczy. W poniedziałek lotnisko Szeremietiewo i lot boeingiem do Frankfurtu. A potem Londyn, Waszyngton albo Nowy Jork, w zależności od tego, dokąd zdecyduje się lecieć. Taki miał plan.

Ale były również plany innych ludzi częściowo z nim kolidujące. Jemu najbardziej podobał się własny.

.26.

Błękitny ford fairlane stał w podziemnym garażu, głęboko pod skwerem przylegającym do głównego budynku ambasady. Za kierownicą siedziała Betty Eschman, żona attaché morskiego.

– Gotów jesteś, Sam?

– Gotów.

Sam Hollis siedział na podłodze za przednimi fotelami, opierając się plecami o drzwi. Naprzeciwko siebie miał unieruchomioną w tej samej pozie Lisę. Na tylnych siedzeniach siedziały z podwiniętymi nogami dwie młode kobiety z sekcji konsularnej, Audrey Spencer i Patty White. Miejsce obok kierowcy zajęła Jane Ellis z sekcji handlowej.

Betty zapaliła silnik i Hollis poczuł, że ford rusza do przodu.

– Pamiętaj - powiedział, zwracając się do niej - że kiedy wyjeżdżasz, nie mają prawa cię zatrzymać. Jeśli milicjant stanie ci na drodze, naciśnij klakson i jedź dalej. Ucieknie na bok. W porządku?

– W porządku. Robiłam to już raz dla mojego męża.

– Po co trąbić? - zapytała Jane Ellis. - Najwyżej go przejedziesz.

Dwie kobiety z tyłu roześmiały się, zdaniem Hollisa, trochę zbyt nerwowo.

– Założę się, że zdąży uskoczyć - odezwała się Lisa.

Ford wjechał na rampę wyjazdową i po chwili wynurzył się obok budynku ambasady. Na dworze było szaro - jeszcze bardziej ponuro niż w podziemiach garażu. Betty Eschman przejechała powoli przez dziedziniec.

Hollis przebiegł w myśli cały, niezbyt skomplikowany plan. W całej Moskwie odprawiano tego niedzielnego ranka tylko dwa protestanckie nabożeństwa. Pierwsze w małym, należącym do baptystów kościółku na peryferiach, drugie w kaplicy w ambasadzie brytyjskiej, dokąd specjalnie w tym celu przylatywał co dwa tygodnie anglikański pastor z Helsinek. W pozostałe niedziele honory gospodarzy pełnili Amerykanie, ale tak się szczęśliwie złożyło, że w tym tygodniu kolej przypadała na ambasadę brytyjską i że cztery kobiety znane były z tego, że wyjeżdżają na nabożeństwo razem. Nic nie powinno w związku z tym obudzić podejrzeń rosyjskich obserwatorów, którzy skrupulatnie odnotowywali rutynowe zachowania Amerykanów.

– Mijamy teraz posterunek marines - powiedziała Betty.

Kiedy znalazła się za bramą, jeden z milicjantów wyszedł ze swojej budki, stanął jej na drodze i podniósł rękę. Ale ona nacisnęła na klakson i dodała gazu. Milicjant uskoczył.

– *Szmońka!* - krzyknął.

Ford wyjechał, skręcając w prawo, na ulicę.

– Co to znaczy *szmońka*? - zapytała pani Eschman.

– Pizda - odpowiedziała Lisa.

– To sukinsyn!

– Zamierzam złożyć oficjalną skargę - oświadczyła Jane Ellis. - Mam już dosyć tego chamstwa.

Patty White roześmiała się.

– Nigdy nie widziałam, żeby sowiecki obywatel poruszał się z taką szybkością.

– Czy ktoś za nami jedzie? - zapytał Hollis.

Siedzące z przodu kobiety spojrzały jednocześnie w boczne lusterka i obie oświadczyły, że nie widzą żadnych samochodów.

Betty Eschman zjechała na bulwar i dodała gazu, jadąc prawie pustą ulicą, biegnącą wzdłuż północnego brzegu rzeki. Nie była to najkrótsza droga do ambasady brytyjskiej, która mieściła się przy bulwarze Maurice'a Thoreza, naprzeciwko Kremla, ale Hollis wiedział, że można się tutaj rozpędzić i najłatwiej sprawdzić, czy nie wloką za sobą ogona. A poza tym wybrana przez niego trasa wiodła tuż obok klasztoru Nowodziewiczego.

Oparł się plecami o drzwi i spojrzał na Lisę, która rozprostowała nogi i dotknęła nie obutą stopą jego krocza.

– Nie rozpycham się za bardzo?

Dwie siedzące z tyłu kobiety zachichotały.

– Co tam się z tyłu dzieje? - zapytała Jane Ellis. - Zachowuj się, Sam.

Tym razem roześmiały się wszystkie kobiety.

Hollisowi przyszło do głowy, że być może lepszy był jego pierwotny pomysł, żeby jechać w bagażniku. Skręcili na południe w miejscu, gdzie rzeka tworzyła wielkie zakole u stóp Wzgórz Leninowskich.

– Przy powrocie będziecie miały na pewno przykrości - powiedział. - Z góry przepraszam.

– Mam ich w dupie - stwierdziła zawadiacko Jane Ellis. - Och! Jedziemy przecież do kościoła - dodała szybko.

Wszyscy się roześmieli.

– Przed nami klasztor - rzekła Betty Eschman.

– Zatrzymajcie się przy tym małym skwerze przed klasztorem - poprosiła Lisa. - Tam się wygramolimy.

– Dziękuję paniom za podwiezienie - dodał Hollis.

– Jazda z laureatami Nagrody Joela Barlowa to dla nas prawdziwy zaszczyt - odparła Jane Ellis.

Pani Eschman zjechała z bulwaru i zatrzymała się przy asfaltowej alejce. Sam i Lisa otworzyli drzwi i szybko wysiedli. Samochód odjechał. Hollis

patrzył, jak znika, skręcając z powrotem na bulwar, a potem rozejrzał się wokół siebie.

– Chyba jesteśmy sami - powiedział.

Lisa wygładziła swój czarny płaszcz.

– Oryginalny sposób, żeby wybrać się do kościoła.

– Zejdźmy z drogi.

Ruszyli przez park w stronę wysokich, zwieńczonych blankami murów z kamienia i cegły, które otaczały zajmujące około dwudziestu akrów tereny klasztoru.

– Czy wciąż się kłócimy? - zapytała Lisa.

– Nie.

– To dobrze. Chcesz mnie przeprosić?

– Za co? - spytał niecierpliwie Hollis.

– Za to, że sprawiałeś trudności. Za to, że spałeś na sofie. Za to, że...

– No już dobrze. Przepraszam cię. - Spojrzał na zegarek. - O której godzinie zaczyna się nabożeństwo?

– O dziesiątej. Władze sowieckie wyznaczyły w całej Rosji tylko dwie godziny na nabożeństwa: o dziesiątej rano i o szóstej wieczorem.

– Przynajmniej łatwo zapamiętać. - Hollis przyjrzał się ozdobnym basztom. - Niewiarygodne miejsce. Te mury są piękniejsze od kremłowskich. Którędy teraz?

– Idź za mną.

Ruszyli wzdłuż muru północnego, do którego przylegał sobór Priebrazeński. Z pobliskiej stacji metra wylewał się i mijał potężną bramę cerkwi szeroki strumień w większości starszych ludzi. Hollis spojrzął w górę na złote cebulaste kopuły i wieże, które wyłaniały się zza muru na tle szarego moskiewskiego nieba. Poczuł na policzkach delikatną mżawkę.

– Nie będę tęsknił za tutejszą pogodą.

– Na pewno.

Lisa wzięła go pod ramię i przyłączyli się do zmierzającego w stronę bramy tłumu.

– O czym rozmawiałeś z Sethem aż do czwartej rano? - zapytała.

– O seksie, sporcie i religii.

– On nie ma najmniejszego pojęcia o żadnej z tych rzeczy, podobnie zresztą jak i ty.

– Uświadomiliśmy to sobie koło czwartej i wtedy wyszedłem.

– Wiesz, Sam, w życiu każdego człowieka musi istnieć jakiś wymiar duchowy, w przeciwnym razie czegoś mu brakuje. Nie masz przypadkiem uczucia, że czegoś jesteś pozbawiony?

– Tak. Seksu, sportu i religii.

– Myślałam, że jestem częścią zespołu. Wy dwaj nie gracie fair. Nie możecie się mną wysługiwać, trzymając jednocześnie w nieświadomości.

– Zapytaj o to Seta.

– Chyba nie chcesz, żebym z nim rozmawiała.

– Możesz rozmawiać, z kim tylko masz ochotę.

– Pamiętaj, że sam to powiedziałeś.

Przeszli przez przypominające tunel wejście i znaleźli się na terenach klasztoru. Idący obok ludzie spoglądali z zaciekawieniem na elegancko skrojony płaszcz Lisy i na jej obuwie. Hollis założył tego ranka workowate niebieskie palto, kapelusz z wąskim rondem i skrzypiące buty, po które kapitan O'Shea stał przez dwie godziny w kolejce. Uszyte z syntetycznej skóry i o jeden numer za małe, miały brązowy kolor, który miejscami przechodził w czerwień. O'Shea utrzymywał, że były to najlepsze buty, jakie mu zaoferowano, ale Hollis zawsze podejrzewał, że kupując je, kapitan chciał się zemścić za dwie godziny stania w ogonku.

Szli obok siebie mokrą, wybrukowaną kocimi łbami alejką zasłaną połamanymi gałązkami i starymi liśćmi.

– To jest pałac Łopuchina - powiedziała Lisa. - Obwołano tutaj carem Borysa Godunowa. Tutaj także, jak powiedział nam Sasza, uwięził swoją siostrę Piotr Wielki. Pod tymi oknami wieszal jej politycznych popleczników.

Hollis przyjrzał się długiemu otynkowanemu pałacowi.

– Jeśli okna były wtedy tak samo brudne jak teraz, na pewno niczego nie zauważyła.

– Oprócz zakonnic w Nowodzieviczym mieszkały także dobrze urodzone damy - ciągnęła dalej Lisa ignorując jego uwagę. - Jak widzisz, miejsce to pełniło również funkcję twierdzy i stanowiło ważny punkt w systemie umocnień na południu Moskwy. Dziwna kombinacja, często spotykana w starej Rosji. Klasztor mieścił się tutaj aż do rewolucji, kiedy to komuniści pozbyli się siostr... nikt nie wie dokładnie, co się z nimi stało... i urządzili tutaj filię Państwowego Muzeum Historycznego. Ale tak naprawdę nigdy nie dbali o Nowodzieviczy.

Hollis widział, że trawniki były porośnięte chaszczami, a drzewa od dawna nie podcinane. Wiszące nisko gałęzie blokowały przejście.

– Ale wciąż panuje tutaj niepowtarzalny, spokojny nastrój - powiedziała Lisa. - Ludzie przychodzą tutaj, żeby oddawać się rozmyślaniom. To miejsce jest w Moskwie czymś w rodzaju centrum odrodzenia religijnego.

– I prawdopodobnie roi się tutaj z tego powodu od agentów KGB.

– Ale na razie zadowolają się spisywaniem nazwisk i robieniem zdjęć. Jak dotąd nie było żadnych incydentów. - Uścisnęła jego dłoń. - Dziękuję, żeś tu ze mną przyszedł. Przy okazji możesz zobaczyć grób Gogola.

– Mogę na tym poprzestać.

– Tak myślałam. Dlatego tak się śmiesznie ubrałam.

– Zgadza się. Mam tutaj do załatwienia sprawę zawodową.

– Czy mogę pójść tam razem z tobą?

– Obawiam się, że nie.

Idąc alejką wyszli na wyłożony granitowymi płytami plac, pośrodku którego wznosiła się przepiękna sześciopiętrowa dzwonnica. Po drugiej stronie placu stał sobór zwieńczony wieloma złotymi i białymi kopułami.

– To sobór Dziewicy Smoleńskiej.

– Jest może w domu?

– Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż - oznajmiła, ignorując go, Lisa - chcę mieć prawosławny ślub.

Hollisa zaciekawilo, czy poinformowała o tym kiedykolwiek Seta Alevy'ego.

– Czy brałaś ślub w kościele? - zapytała.

– Nie, zrobiliśmy to w pędzącym z podwójną szybkością dźwięku myśliwcu, a ślubu udzielił nam przez radio kapelan sił powietrznych. Kiedy ogłosił, że jesteśmy mężem i żoną, uruchomiłem katapultę i wylecieliśmy w przestrzeń okołoziemską. Potem już tylko spadaliśmy.

– Widzę, że dziś rano nie sposób z tobą rozmawiać.

Hollis przyjrzał się wypełniającemu plac tłumowi. Jego większość stanowili starsi ludzie, przede wszystkim kobiety, ale było także trochę młodych - kilkunastoletni chłopcy i dziewczyny oraz studenci. Tu i tam widział całe moskiewskie rodziny.

Kiedy mijali sobór Dziewicy Smoleńskiej, wiele osób przystawało, pochylało się w stronę świątyni i żegnało. Kilka starszych kobiet kładło się krzyżem na mokrej alejce i ludzie musieli je omijać. Hollis przypomniał sobie dzień, kiedy po raz pierwszy znalazł się wewnątrz kremlowskich murów i ujrzał kobietę, która nagle przeżegnała się i pokłoniła przed jedną z cerkwi, a potem powtarzała to przez kilka minut. Podeszedł do niej

milicjant i kazał przechodzić dalej. Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi położyła się krzyżem na kamiennych płytach. Turyści i moskwianie zaczęli się gapić, a milicjant zdradzał coraz większe oznaki niepokoju. W końcu staruszka podniosła się, po raz ostatni przeżegnała i ruszyła dalej, niepomna czasu i miejsca, nie widząc otaczających ją żołnierzy i zatkniętych na miejscu krzyży czerwonych gwiazd. Zobaczyła cerkiew - być może pod wezwaniem swego patrona, jeśli Rosjanie wciąż wierzyli w takie rzeczy - i zrobiła to, co kazało jej sumienie.

Lisa obserwowała ludzi modlących się przed cerkwią, w której od siedemdziesięciu lat nie odprawiono żadnego nabożeństwa i która stanowiła teraz główny budynek muzealny w klasztorным kompleksie.

– Wciąż w Niego wierzą... - powiedziała. - Po siedemdziesięciu latach prześladowań, rozstrzeliwania popów, burzenia cerkwi i palenia Biblii. Ci ludzie stanowią nadzieję Rosji. Oni doprowadzą do przewrotu.

Hollis spojrział na te resztki ludu bożego w wyklętej przez Boga Moskwie i pomyślał, że bardzo w to wątpi. Wygodnie byłoby tak sądzić, to prawda, ale w rzeczywistości nie było ich aż tak wielu i nie stanowili wystarczającej siły.

– Może... któregoś dnia - powiedział.

Przecieli plac i Lisa poprowadziła go w stronę kolejnej cerkwi, małej, otynkowanej na biało budowli, zwieńczonej pojedynczą kopułą.

– Tutaj odprawiają nabożeństwa - powiedziała. - W cerkwi Uspieńskiej.

– Przydałby jej się remont.

– Wiem. Opowiadano mi, że na krótko przed olimpiadą w 1980 roku odnowiono z grubsza wszystkie moskiewskie cerkwie, zwracając szczególną uwagę na Nowodziewiczy, bo leży blisko Stadionu imienia Lenina. Ale jak widzisz, dzisiaj znowu wszystko jest w opłakanym stanie.

Hollis kiwnął głową. Przyjrzał się starym drzewom i zabudowaniom klasztornej twierdzy. Leżała teraz niemal w środku miasta, nie dalej jak dwa kilometry od placu Czerwonego, ale w obrębie jej murów panował niepodzielnie wiek szesnasty. Mógł sobie z łatwością wyobrazić szary zamglony październikowy poranek roku tysiąc pięćset któregoś, przechadzające się po ścieżkach zakonnice, pogrążonych w modlitwie popów i stojących na blankach żołnierzy, którzy wpatrują się w lasy i pola, gotowi w każdej chwili zadzwonić na alarm, żeby ostrzec Kreml o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Świat, pomyślał, był wtedy być może prostszy, ale wcale nie mniej przerażający.

Lisa przystanęła w odległości jakichś dziesięciu metrów od cerkwi. Hollis zobaczył przy drzwiach sześciu mężczyzn, którzy zatrzymywali młodych ludzi i całe rodziny, każąc im okazać dowody tożsamości. Informacje z dowodów przepisywali do notesów. Zauważył również innego, udającego turystę faceta, który robił fotografie wchodzącym do środka. Jeden z szóstki wdał się w utarczkę z młodą kobietą, która najwyraźniej nie chciała mu pokazać swego dowodu.

– Nie wydaje mi się, żeby to byli cerkiewni strażnicy - powiedział.

– Nie, to tajniacy.

Hollis przyglądał się przez chwilę całej scenie. Młodej kobiecie udało się w końcu wycofać, nie okazując kagebiście dowodu, ale nie próbowała już ponownie wejść do cerkwi i szybko odeszła.

Staruszki dreptały dumnie tuż przed nosem agentów, kompletnie ich ignorując i kompletnie przez nich ignorowane. Hollis zorientował się już wcześniej, że tych ubranych na czarno kobiet po prostu się nie zauważa. Były wolne - tym szczególnym rodzajem wolności, którym w koszmarnym

świecie George'a Orwella cieszyły się zwierzęta i prole. Wolne, ponieważ nikomu już nie zależało na tym, żeby je zniewolić.

– Nie zatrzymują na ogół nikogo, kto wygląda na cudzoziemca - zauważyła Lisa.

– Dobrze, postaram się wyglądać jak cudzoziemiec. Będę się uśmiechał.

– Ale masz skrzypiące buty.

Wzięła go pod ramię i podeszli do cerkiewnych drzwi. Zbliżył się do nich agent, który wyklócał się przed chwilą z młodą kobietą.

– *Kartoczka!* - warknął na Hollisa.

– Nie rozumiem ani jednego pieprzonego słowa z tego, co mówisz, Mac - odpowiedział mu po angielsku Hollis.

Młody mężczyzna zmierzył go wzrokiem i machnął ręką, każąc przechodzić dalej. Już miał odwrócić się do kogoś innego, kiedy zobaczył Lisę. Uśmiechnął się i dotknął kapelusza.

– Dzień dobry - powiedział po rosyjsku.

– Witam - odpowiedziała w tym samym języku. - Czy przyłączysz się do nas, żeby świętować dobrą nowinę, jaką zwiastuje światu Chrystus?

– Chyba nie. Ale niech pani nie zapomni - dodał - przekazać Chrystusowi, że syn Jeleny Krukowej przesyła Mu wyrazy szacunku.

– Nie zapomnę. Być może któregoś dnia powiesz Mu to osobiście.

– Być może.

Lisa poprowadziła Hollisa po stopniach do środka cerkwi.

– Widzę, że jesteś tutaj częstym gościem - powiedział.

– Odwiedzam na zmianę wszystkie sześć ocalałych cerkwi w Moskwie. Ten facet na zewnątrz ma chyba stałą służbę w weekendy. Widuję go prawie zawsze, a przychodzę tutaj od jakichś dwu lat. To taki nasz mały rytuał. Myślę, że mnie polubił.

– Dlatego pewnie zgłasza się na ochotnika do służby w niedzielę.

Weszli do przedsionka cerkwi Uspeńskiej. Na prawo od drzwi stał ozdobiony ciętymi kwiatami długi stół, uginający się pod ciężarem chleba, ciasta i jajek. Tu i ówdzie stały wetknięte w pożywienie, cienkie jak ołówki, brązowe zapalone świece. Hollis przecisnął się przez tłum, żeby przyjrzeć się temu z bliska.

– Co to takiego? - zapytał.

Lisa podeszła do niego.

– Ludzie przynoszą tutaj jedzenie, żeby je poświęcić.

Na stole nieustannie przybywało jedzenia, kwiatów i świeczek. Hollis zauważył stojącą z boku przy stoliczku staruszkę, która sprzedawała świece, po trzy kopiejki za sztukę. Lisa podeszła do niej, położyła na stolik jednego rubla i poprosiła o dwie świece, dziękując za resztę. Potem wzięła Sama pod ramię i poprowadziła w głąb cerkwi.

Jedynym oświetleniem nawy stanowiły słabe, prześwitujące przez witraże promienie słońca, ale stojący na podwyższeniu ołtarz jarzył się w ogniu stu białych gromnic.

Pozbawiona ławek świątynia wypełniona była od ściany do ściany zbitym tłumem, który mógł liczyć około tysiąca osób. Hollis poczuł zapach kadzideł, przez który przebijał silny odór nie mytych ciał.

Nawet w półmroku widział, że niezależnie od tego, jak wyglądała dokonana tutaj w roku 1980 zewnętrzna kosmetyka, w środku nie kiwnięto nawet małym palcem. Świątynia znajdowała się w fatalnym stanie, pokryte zaciekami tynki odpadały od ścian, a ogrzewanie albo w ogóle nie istniało, albo było od dawna zepsute.

Mimo to całe miejsce miało w sobie atmosferę wyjątkowego dostojności. Od ołtarza szły złote błyski; trudno było oderwać oczy od składającego się z wielu świętych obrazów ikonostasu. Chyląca się ku upadkowi budowla wywierała w jakiś niepojęty sposób większe wrażenie i

wydawała się lepiej służyć swemu celowi niż sterylne katedry zachodniej Europy.

Lisa wzięła Hollisa za rękę i ruszyli do przodu. W połowie nawy zatrzymała ich zbita masa ludzi. Ubrani w złocone szaty długobrodzi popi kołysali kadzielnicami i podawali sobie z rąk do rąk wysadzaną drogocennymi kamieniami Biblię. Zaczęło się odmawianie litanii, monotonne i melancholijne, trwające co najmniej przez kwadrans.

Natychmiast potem odezwał się, ukryty gdzieś za ikonostasem, niewidoczny chór. Pozbawiony akompaniamentu, jednogłosowy chorał wydał się Hollisowi bardziej prymitywny od hymnów protestanckich, ale wcale nie mniej przejmujący. Rozejrzał się wokół siebie i uderzyło go, że nigdy, od czasu przyjazdu do Moskwy, nie oglądał na rosyjskich twarzach podobnego wyrazu. Były to twarze o czystych oczach i nie zmarszczonych brwiach, twarze, z których emanował spokój, tak jakby, pomyślał, zgromadzili się tutaj ostatni żywi mieszkańcy Moskwy, a dusze całej reszty naprawdę były już martwe.

– Jestem pod wrażeniem... - szepnął do Lisy. - Dziękuję ci.

– Jeszcze kiedyś nawrócę twoją szpiegowską duszę.

Hollis słuchał dobiegającej od ołtarza modlitwy i chociaż miał pewne trudności z jej zrozumieniem, rytm i kadencja porywały go swoim pięknem i siłą. Po raz pierwszy od wielu lat poczuł, że naprawdę uczestniczy w nabożeństwie. Jego własny protestantyzm był religią prostoty i indywidualnego sumienia. Ta prawosławna msza odprawiana była z bizantyjską, imperialną pompą i tak samo różniła się od pamiętanych przez niego z dzieciństwa białych drewnianych kościółków, jak sowieckie „pałace ślubów” różniły się od cerkwi Uspieńskiej. A mimo to modlący się w tych wspaniałych ruinach, odziani w średniowieczne szaty popi mieli do

przekazania to samo przesłanie, które słyszał z ust ubranych w szare garnitury pastorów w latach swej młodości. Bóg z wami.

Zauważył, że uczestniczący w nabożeństwie zegnali się i kłaniali w pas, kiedy tylko przysła im na to ochota, bez żadnego wyraźnego wezwania ze strony kapłanów. Co pewien czas ludzie kładli się i całowali kamienną podłogę. Spozregł także, że wiszące na ścianach ciemne ikony oświetlone były teraz cienkimi, wetkniętymi w ich połączane ramy świecami. Ludzie gromadzili się wokół portretów, które, jak się domyślał, przedstawiały ich patronów. Całowali je, a potem odsuwali się, żeby dać miejsce innym.

Mimo całej pompatyczności tego, co działo się przy ołtarzu, Hollis miał niejasne wrażenie, że w odróżnieniu od odwiedzanych przez niego czasami ekskluzywnych świątyń protestanckich nikomu nie zabrania się tutaj oddawania czci Bogu na swój własny sposób.

Nagle chór umilkł i przestano kołysać kadzielnicami. Odziany w błyszczące szaty brodaty pop podszedł do skraju ołtarza i podniósł w górę rękę. Hollis przyjrzał mu się bliżej i poznał po oczach, że jest młody - mógł liczyć nie więcej jak trzydzieści lat.

Zaczął się kazanie. Pop mówił bez mikrofonu i w cichej cerkwi słycać było tylko jego młody głos i trzaskanie łojowych świec. Mowa była o czystym sumieniu i konieczności spełniania dobrych uczynków. Hollisowi kazanie wydało się raczej mało oryginalne i jeszcze mniej inspirujące, chociaż rozumiał, że zgromadzeni niezbyt często wysłuchują podobnych pouczeń.

– KGB nagrywa każde słowo - szepnęła mu do ucha Lisa, jakby domyślając się jego wątpliwości. - W kazaniu ukryte są pewne aluzje: słowa i nawiązania, które rozumieją duchowni i wierni, ale których nie rozszyfrowano jeszcze w KGB. Tak czy owak to dopiero początek, iskra.

Hollis kiwnął głową. To dziwne, że użyła tego słowa: iskra. Posługiwał się nim często Lenin i tak właśnie nazwał swoją pierwszą podziemną gazetę. Idea - tak wówczas, jak i teraz - była prosta: Rosja jest niczym beczka prochu, a pierwsza iskra postawi cały kraj w ogniu.

– Nie zawsze można jawnie wyznawać Chrystusa - mówił młody pop. - Ale jeżeli żyjecie w zgodzie z jego naukami, żadna ziemską potęgą, niezależnie od tego, jak wielu rzeczy może was pozbawić w życiu doczesnym, nie odbierze wam Królestwa Niebieskiego - zakończył i odwrócił się gwałtownie w stronę ołtarza, chcąc zapewne, pomyślał Hollis, dać do zrozumienia bardziej inteligentnym wiernym, by sami wyciągnęli właściwe wnioski.

Nabożeństwo zbliżało się do końca. W pewnym momencie krzyżem legła większość wiernych, a ci, którzy nie mieli wokół siebie dość miejsca, uklękli, chyląc twarz ku ziemi. Lisa uklękła także, ale Hollis nie zrobił tego i korzystając z okazji rozejrzał się po cerkwi. Po lewej stronie, w odległości jakichś sześciu metrów przed sobą zauważył zgarbionego starca. Ubrany w sięgający prawie do kostek nędzny ciemny płaszcz miał potargane włosy i szary zarost na twarzy. Na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się niczym szczególnym i Hollis doszedł w końcu do wniosku, że osobą, która przyciągnęła jego wzrok w tamtą stronę, była stojąca obok starca młoda dziewczyna. Mogła mieć siedemnaście lub osiemnaście lat i również ubrana była w tandetny, bezkształtny płaszcz z czerwonego syntetyku.

Ale cała jej postawa, nie mówiąc już o niezwyklej urodzie, wyraźnie wyróżniała ją z tłumu. Co więcej, Hollis, który miał w tej dziedzinie wyszkolone oko, szybko domyślił się, że płaszcz stanowi przebranie. Tej dziewczyny z całą pewnością nikt nie powinien zobaczyć w cerkwi Uspieńskiej.

Dokonane odkrycie kazało mu jeszcze raz bacznie przyjrzeć się starcowi, który w nietypowy dla Rosjan, zwłaszcza w cerkwi, sposób ścisnął z uczuciem dłoni dziewczyny.

Ludzie zaczęli się podnosić, zasłaniając mu widok, ale w ostatniej sekundzie, nim stracił z oczu dziwną parę, uświadomił sobie, że zgarbiony dziadek wcale nie jest taki stary, jak wygląda. W rzeczywistości miał przed sobą generała Walentyna Surikowa. Nagle wszystko stało się o wiele jaśniejsze.

.27.

Hollis i Lisa ruszyli, ściśnięci w tłumie wiernych, ku otwartym drzwiom cerkwi. Ludzie wkładali do toreb poświęcone jedzenie, a wielu z nich zabierało całe garście wąskich, brązowych świec. Hollis spojrzął ponad ich głowami na zbiegające się przy bramie ludzkie ścieżki. Uświadomił sobie, że wszyscy ci ludzie praktycznie się nie znają: nikt ze sobą nie rozmawiał ani nie próbował zawrzeć znajomości. Przyjechali metrem i autobusami do położonej na uboczu cerkwi i teraz rozpiezchali się niczym owce, które zwietrzyły wilka.

– Czy teraz też będzie się tu kręcić służba porządkowa?

– Kto? Ach, o nich ci chodzi. Czasami się kręcą. Ale teraz ich nie widzę.

Hollis nie widział ich także. A zawsze bardziej obawiał się agentów KGB, kiedy ich nie widział. Odsunął się na bok i przyglądał schodzącym po stopniach ludziom.

– Szukasz kogoś?

– Po prostu przypatruję się ludziom. - Uświadomił sobie, że wierni szybko opuszczają cerkiew, ale popi nie kwapią się na zewnątrz, żeby porozmawiać ze swoją trzódką. - Nie będzie żadnej herbatki ani spotkania zapoznawczego? - zapytał Lisę, wypatrując jednocześnie Surikowa.

Domyśliła się, o co mu chodzi.

– Prawosławni przychodzą do cerkwi, żeby oddać cześć Bogu. Popi nie odwiedzają cię w domu, żeby zapytać, co u ciebie słyhać.

– Kremłowi jest to chyba na rękę.

– To prawda. Faktem jest, że Kościół prawosławny zawsze nawoływał do posłuszeństwa wobec państwa. Kiedy na tronie zasiadali carowie, przynosiło to korzyści Kościołowi i carom. Ale kiedy nowym carem został Lenin, cała ta taktyka spaliła na panewce.

– Masz na myśli, że jest coś, za co mogę nie winić czerwonych?

– Nie przyczynili się w każdym razie do poprawy sytuacji.

Z cerkwi wyszli ostatni wierni, ale Hollis nie zauważył wśród nich Surikowa ani dziewczyny. Ruszyli z Lisą alejką i usiedli na kamiennej ławce obok tęgiej babuszki, która wydawała się pogrążona we śnie.

– Podobało ci się nabożeństwo? - zapytała Lisa.

– Bardzo. Na Zachodzie tyle rzeczy uważamy za coś oczywistego.

– Wiem. Dziękuję, żeś ze mną poszedł, nawet jeśli zrobiłeś to tylko dlatego, że masz spotkanie na cmentarzu.

– Poszedłem, żeby być razem z tobą.

Kiwnęła głową i spojrzała na niebo.

– Jak bardzo różni się tutejsza jesień i zima od tego, co zapamiętałam z domu - powiedziała. - Tutaj jest inaczej, tutaj to pora, kiedy spełniają się złe wróżby. Wszystko zasnuwa szarość, milczenie i mgła. Nie widać słońca, horyzontu ani nawet końca uliczki. Chcę już wracać do domu.

Hollis wziął ją za rękę.

– Jutro o tej samej porze będziemy na pokładzie lecącego na zachód samolotu.

Przysunęła się do niego bliżej.

– Musisz iść na ten cmentarz?

– Tak.

– Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo, prawda?

– Nie. Muszę po prostu spotkać się ze starym rosyjskim przyjacielem, żeby powiedzieć mu do widzenia.

– To szpieg? Dysydent?

– Coś w tym rodzaju.

Staruszka wstała i oddaliła się wolnym krokiem alejką.

– Przy grobie Gogola - powiedziała Lisa. - Czy to był jego pomysł?

– Tak. - Hollis spojrział na zegarek. Nabożeństwo trwało prawie dwie godziny i zbliżało się południe. Rozumiał teraz, dlaczego Surikow wybrał to miejsce i tę godzinę. - Nie będzie mnie najwyżej przez pół godziny. Gdzie możemy się potem spotkać?

– Tam, przy tej dzwonnicy. Widzisz ją? Nie zgub się.

Hollis wstał.

– Jak idzie się stąd na cmentarz?

– Nie zbaczaj po prostu z tej ścieżki. Zobaczysz kolejną cerkiew nadbramną, podobną do tej, przez którą już przechodziliśmy. Zaraz za nią jest cmentarz.

– Dziękuję. Masz zamiar się przejść?

– Tak. Lubię tutaj spacerować.

– Nie idź na cmentarz.

– Dobrze.

– Trzymaj się miejsc, gdzie jest wielu ludzi.

– Kiedy mają cię tutaj zgarnąć, nie ma najmniejszego znaczenia, ilu otacza cię ludzi. Chyba o tym wiesz.

– Tak, wiem. Nie sądzę, żeby wiedzieli, że tutaj jesteśmy - dodał. - Ale uważaj.

– To ty uważaj. Mogą śledzić tego twojego przyjaciela. - Dała mu jedną z cienkich brązowych świeczek. - Masz. Będzie ci oświetlała drogę.

Pocałował ją w policzek.

– Zobaczymy się później.

Odwrócił się i ruszył ścieżką, trzymając w ręku świeczkę. Po paru chwilach minął kolejną dużą, wzniesioną z cegły i białego kamienia cerkiew, która otoczona zaroślami i krzakami jeżyn, nie służyła ani jako miejsce kultu, ani muzeum i wydawała się kompletnie zapomniana.

Alejka zakręcała wokół niej i po chwili zobaczył wysoki mur, który ograniczał od południa tereny klasztoru. Pośrodku muru wznosiła się cerkiew nadbramna.

Hollis rozejrzał się. Minęło go parę osób, najwyraźniej także zmierzających w stronę cmentarza. Włożył ręce do kieszeni płaszcza i oparł się plecami o gruby pień jarzębiny. Puścił trzymaną w prawej dłoni świeczkę i wymacał kolbę zaopatrzonego w tłumik polskiego pistoletu Radom, kaliber 9 mm - kolejnej imitacji typu Colta-Browninga. Lewą ręką sprawdził rękojeść tkwiącego w pochwie za pasem noża. Przez chwilę stał w miejscu, a potem ruszył w ślad za trzema parami i szedł za nimi aż do cerkwi. Minął portal, a potem podobne do tunelu przejście i znalazł się na terenie cmentarza.

Klasztor Nowodziewiczny podobnie jak Kreml zbudowany został na jednym z niezbyt licznych wzniesień przy brzegu Moskwy i za ceglanymi murami cmentarza Hollis mógł dostrzec opadający w dół teren. W odległości pół kilometra na południe widać było w zakolu rzeki, wybudowany na osuszonych moczarach, kompleks olimpijski ze stojącym pośrodku Stadionem imienia Lenina. Dalej była rzeka, a za nią Wzgórza Leninowskie i olbrzymia bryła uniwersytetu. W oddali majaczył taras, na którym wraz z Lisą i Saszą spędził kilka przyjemnych chwil.

Ruszył biegnącą w dół, wyłożoną płytami ścieżką przez gęsto zadrzewiony cmentarz. Większość grobów była zarośnięta, a utrzymane w starym rosyjskim stylu, przewyższające nieraz dorosłego człowieka nagrobki tworzyły prawdziwy labirynt z piaskowca i granitu. Cmentarz

rozciągał się na tej samej szerokości co tereny klasztorne, ale nie był aż tak długi i Hollis oceniał, że zajmuje nie więcej jak sześć akrów. Odnalezienie grobu Gogola nie powinno zająć mu dużo czasu.

Po alejkach nie kręciło się zbyt wielu ludzi, co stwarzało intymny nastrój, ale było ich zarazem dosyć, by pułkownik wraz z Surikowem nie rzucali się w oczy. Generał wybrał dobre miejsce na niedzielne spotkanie.

Większość osób stanowili odwiedzający groby sławnych ludzi studenci. Stali rozgestykulowani przed nagrobkami, dyskutując na temat spoczywających w ziemi zmarłych. Hollis minął groby Czechowa, Stanisławskiego i malarza Izaaka Lewitana. Przy nagrobku filmowca Siergieja Eisensteina siedziało na ziemi i rozmawiało sześcioro młodych ludzi o wyglądzie artystów. Ubrani byli w modne chłopskie *watniki*, workowate sztruksowe spodnie i wysokie buty. Hollis obszedł ich dookoła.

Przy grobie Nikity Chruszczowa stała starsza kobieta w brudnym czerwonym płaszczu. Po chwili przeżegnała się, pokłoniła i odeszła. Hollis zastanawiał się, czy była krewną.

Skręcił w inną alejkę i owionął go nagle tuman mgły. Wynurzyła się z niej wysoka, atrakcyjna kobieta, ubrana w elegancko skrojony, długi czarny płaszcz ze skóry.

– Grób Gogola? - zapytał po rosyjsku, kiedy się zbliżyła.

Zmierzyła go uważnym wzrokiem.

– Może pan tam sprawdzić - powiedziała. Miała rzadko spotykany, kulturalny akcent. - Obok tej wysokiej sosny. Wydaje mi się, że go przed chwilą widziałam.

– Dziękuję - odparł Hollis i ruszył dalej mijając ją.

– Ale nigdy nic nie wiadomo - dodała. - Znikają stąd nawet zmarli.

Hollis nie zatrzymał się. Jeszcze tydzień temu, pomyślał, przystanąłby i wdał się z tą kobietą w rozmowę. Ale jego limit przygód w Rosji prawie się

wyczerpał, a poza tym nie porozmawiał jeszcze z Surikowem.

Zobaczył go stojącego pod rozłożystymi gałęziami wysokiej sosny. Palił papierosa, wpatrując się w popękana i pokryta liszajami płytę. Hollis podszedł do generała i spojrzał na wysoki nagrobek.

- Czytają go jeszcze na Zachodzie? - zapytał Surikow.
- Nie za bardzo. Może w college'ach.
- Czy będę mógł tam dostać coś do czytania po rosyjsku?
- Oczywiście.
- Martwe dusze - mruknął Surikow. - Martwe dusze.

Przez chwilę jeszcze wpatrywał się w grób, a potem wypuścił z ust kłęb dymu i zmierzył wzrokiem Hollisa. Na jego wargach pojawił się niewyraźny uśmiezek.

- Aż tak źle się ubieramy?
- Niestety.
- Na panu wygląda to jeszcze gorzej.
- Dziękuję. Dlaczego pan też ubrał się dzisiaj jak włóczęga?

Surikow pogładził się ręką po zarostcie.

- Jest niedziela - powiedział.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Hollis odczekał pełną minutę, a potem ruszył w ślad za nim. Generał przystanął przy baszcie obronnej, tam gdzie łączyła się z cmentarnym murem. Przy murze stały stare nagrobki z napisami w dawnej odmianie cyrylicy, której Hollis nie potrafił odczytać.

Surikow wyciągnął z kieszeni swego workowatego płaszcza zawinięty w *Prawdę* przedmiot.

- Chce pan może kupić świeżego karpia? - zapytał.

Hollis rzeczywiście poczuł zapach ryby.

- Czemu nie.

Generał poklepał pakunek, jakby chciał podkreślić zalety ryby.

– A więc, przyjacielu, dowiedziałem się z *Prawdy*, że wyjeżdża pan z Rosji. Doznałem prawdziwego szoku, kiedy o tym przeczytałem. Nie wiedziałem nawet, czy pan dzisiaj przyjdzie. Niepokoilem się.

Hollis dobrze wiedział, co niepokoilo Rosjanina.

– Mój dyplomatyczny immunitet - powiedział - jest mocno nadwątlony. Nie musi więc mnie pan pytać, czy na pewno nikt mnie nie śledzi. Dzisiaj niepokoi mnie to w tym samym stopniu co pana.

– Czyżby? Ja mogę stracić życie. Pan pójdzie tylko siedzieć.

– Zazdrościłbym panu kuli w łeb, gdyby zesłano mnie na wschód na pięć albo dziesięć lat.

Surikow wzruszył ramionami.

– W jaki sposób to wszystko wpłynie na naszą umowę?

– Nie zawarliśmy żadnej umowy.

– Ale zrobimy to. Kiedy pan wyjeżdża?

– Nie napisali o tym w pańskiej *Prawdzie*? - zapytał sarkastycznym tonem Hollis.

– Nie napisali, kiedy pan wyjeżdża.

– Naprawdę? W środę.

Na twarzy Surikowa odmalowało się lekkie zdziwienie.

– Kto będzie pańskim następcą na stanowisku attaché sił powietrznych?
- zapytał.

– Dokładnie nie wiem.

– Czy będę się kontaktował z nowym attaché, czy z kimś innym?

– Omówimy te sprawy, zanim się rozstaniemy.

Na ścieżce pojawiła się para młodych ludzi. Minęli ich i podeszli do stojących przy murze zniszczonych nagrobków. Mężczyzna ukląkł przy jednym z nich i poszukał palcami śladów liter. Kobieta trzymała w ręku notes.

– To była zakonnica - powiedział mężczyzna. - Julia. Nie nadają już teraz takich imion.

Kobieta zapisała coś w notesie.

Surikow machnął Hollisowi karpem przed nosem.

– Złapałem tę rybę dzisiaj rano w Setunie. Moja żona oprawiła ją, żeby leniwy kawaler zapłacił za nią dobrą cenę.

Para młodych ludzi ruszyła dalej.

– Myślę, że trochę mnie pan okłamuje. Wiem, że wyjeżdża pan jutro, wiem także, że pańskim następcą będzie pułkownik Fields.

Hollis kiwnął głową. Informacja mogła pochodzić od ekipy w sąsiednim bloku, która podsłuchiwała jego rozmowę z Kellumami, ale mogła też pochodzić bezpośrednio od Kellumów. Niezależnie od tego, jaką drogą dotarła do KGB, z lekkim przerażeniem usłyszał ją od generała Surikowa.

– Dowiedział się pan o tym od KGB - powiedział Hollis.

– Tak. Powiedzieli mi, jak się nazywa nowy attaché. I że wyjeżdża pan w poniedziałek, a nie w środę.

– Dlaczego pana o tym w ogóle informowali?

– Lubią imponować ludziom rozmiarami posiadanej przez siebie wiedzy. Nie pracuję w wywiadzie wojskowym, jeśli to właśnie chodzi panu po głowie.

Hollis nigdy tak nie uważał. Generał nie zachowywał się ani nie używał charakterystycznego dla GRU żargonu.

– Dokładnie rzecz biorąc, w KGB chcieli wiedzieć, czy ktoś z mojego personelu albo któryś z naszych attaché powietrznych zna pułkownika Fieldsa. Mają najwyraźniej pewne kłopoty z zebraniem *dossier* na jego temat. Dlatego zwrócili się do mnie. - Surikow uśmiechnął się. - Być może dzięki pańskiej pomocy tym razem mnie uda im się czymś zaimponować.

– Jakie dokładnie stanowisko zajmuje pan w siłach powietrznych, generale?

– Wy określilibyście to symbolem G-1. Jestem szefem kadr.

– Jakiego dowództwa?

– Dowództwa całych sowieckich sił powietrznych, pułkownika. Dysponuję teczkami i papierami pół miliona ludzi. Nie jest to może zbyt fascynująca robota, ale przez moje biurko przechodzą czasem całkiem interesujące materiały. Czyba się pan ze mną zgodzi?

– W jaki sposób KGB dowiedziało się o pułkowniku Fieldsie?

Surikow spojrzał mu prosto w oczy.

– Sądzę, że mają informatora w waszej ambasadzie.

Badał uważnie reakcję Hollisa.

– W jaki sposób skontaktowało się z panem KGB? - zapytał pułkownik.

- Listownie? Przez telefon?

– Osobiście. Zostałem wezwany do Lefortowa. KGB może wzywać nawet generałów. Zapraszanie ludzi, żeby wpadli do nich na Łubiankę albo do Lefortowa, sprawia im wyjątkową przyjemność. Człowiek nigdy nie wie, czy wyjdzie stamtąd żywy. Wezwali mnie przed kilkoma dniami.

– Bał się pan, generale?

– Bardzo.

– Z kim rozmawiał pan w Lefortowie?

– Z pułkownikiem o nazwisku Pawliczenko.

– Wysoki blondyn, niebieskie oczy, wydatne wargi?

Surikow uniósł brwi.

– Tak. Zna pan tego człowieka?

– Pod innym nazwiskiem.

Hollis zauważył, że Rosjanin tym razem chętnie odpowiada na wszystkie pytania. Bywa tak na ogół, kiedy ostateczne porozumienie jest w zasięgu

ręki. Nie wiedział, czy Walentyn Surikow, chrześcijanin, zasługuje na większe zaufanie od generała Surikowa, dowódcy sił powietrznych, ale chciał wierzyć, że tak właśnie jest.

– Po wizycie w Lefortowie - powiedział Surikow - jestem bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany na wyjazd.

– Wiem, co pan czuje.

– Może mnie pan stąd wydostać?

Hollis nie był upoważniony do udzielenia odpowiedzi twierdzącej, ale nie było czasu, żeby dłużej bawić się w chowanego.

– Mogę - odparł - jeśli ma pan czym zapłacić za przejazd.

– Połowę teraz, połowę na Zachodzie.

– Rozumiem.

– Czy to jest niebezpieczne? Mam na myśli transfer.

– Oczywiście.

– Obawiam się nie o siebie.

Hollis domyślał się, o kogo.

– Jest pańską wnuczką?

Surikow odwrócił gwałtownie głowę. Otworzył usta, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa.

– To jest niebezpieczne - kontynuował rzeczowym tonem Hollis - ale niezbyt trudne. Wymaga od pana przede wszystkim zachowania zimnej krwi. Czy ona potrafi zachować zimną krew?

Generał zaciągnął się papierosem.

– Ma swoją wiarę - odparł. Rzucił okiem na pułkownika i szybko odwrócił wzrok. - Widział pan nas?

– Tak.

– Więc wie pan, dlaczego chcę wyjechać.

– Tak przypuszczam.

Surikow wpatrywał się w zawiniętego w gazetę karpia, unikając wzroku Hollisa.

– Przeklinam dzień, kiedy odnalazłem Boga. Od tej pory moje życie zamieniło się w koszmar.

Hollis nie wiedział, jak odpowiedzieć na to wyznanie, ale rozumiał je.

– Tak, to moja wnuczka - przyznał Surikow. - Natasza. Jedyne dziecko mojej jedynej córki. Światło mojego życia.

– Jest piękną dziewczyną. Mówi po angielsku?

– Tak.

– Poradzi sobie. Wyjdzie za mąż za jakiegoś Amerykanina albo Anglika i będzie szczęśliwa. Wierzy pan w to?

– Chciałbym. Niestety, ona chce zostać zakonnica.

– Naprawdę? Cóż... zrobi to, co zechce. Na tym właśnie polega życie tam, gdzie się pan wybiera.

– Czyżby? A co będzie ze mną?

– Znajdziemy panu coś do roboty.

– No tak...

Surikow ruszył dalej alejką. Niebo jeszcze bardziej zasnuło się chmurami i spadło kilka kropel deszczu, rozpryskując się na płytach grobów i stertach wilgotnych liści. Podmuch wiatru poruszył gałęziami brzoź i jarzębin.

Hollis minął Rosjanina, a potem przystanął, żeby przyjrzeć się następnemu grobowi.

– Borodino, generale.

– Kilka kilometrów na północ od Borodina - powiedział Surikow - mieścił się niegdyś ośrodek szkoleniowy sowieckich sił powietrznych. Program zajęć obejmował amerykańską taktykę walk powietrznych oraz charakterystykę amerykańskiego sprzętu. - Generał zawiesił głos, żeby

osiągnąć większy efekt. - Wykładowcami byli Amerykanie. - Rzucił okiem na Hollisa. - To niewiarygodna historia i musi pan słuchać uważnie.

Hollis wziął głęboki oddech. Przed chwilą w cerkwi modlił się tylko w jednej intencji - żeby Surikow potwierdził to, o czym dyskutowali razem z Alevym.

- To ma być ta połowa sekretu? - zapytał ostro. - Wszystko na ten temat wiemy.

Surikow odwrócił w jego stronę głowę.

- Co?...

- Nie opłaci pan podróży do Londynu tą historią. Bardzo mi przykro - powiedział i ruszył dalej. Nie zatrzymywał się - niczym ktoś, kto ucieka od niekorzystnej transakcji albo niewiernej kochanki, mając zarazem nadzieję, że po dziesięciu krokach warunki transakcji albo zachowania kochanki zmienią się na lepsze.

Generał zrównał się z nim.

- Nie może pan... Ale skąd pan?...

- Byłem w Borodinie. Dlatego właśnie mnie wyrzucają. Wiem, że tam są Amerykanie. Przykro mi. Myślałem, że wie pan więcej...

- Wiem!

Hollis zatrzymał się i odwrócił do Surikowa, który wciąż trzymał w ręku karpia.

- Co zamierzał mi pan powiedzieć w Londynie? Jaka jest druga część tajemnicy?

Rosjanin oblizwał wargi.

- W tej szkole... pan wie, że nie szkoli się tam już pilotów...

- Tak. Wiem, że uczą tam agentów KGB, jak udawać Amerykanów. A skąd pan o tym wie?

– Dostarczałem... dostarczałem im kursantów. Oni nie należą do KGB. Komitet nie ufa własnym metodom rekrutacji. Ci, którzy chcą pracować w tej firmie, mają na ogół bardzo dziwne motywacje i w Komitecie wiedzą o tym. Chcą mieć prawdziwych rosyjskich patriotów. Ludzi, którzy zgłosili się na ochotnika do sowieckich sił powietrznych. Ludzi, jak przypuszczam, którzy będą mieli coś wspólnego z ich amerykańskimi instruktorami.

Hollis skinął głową.

– Podobnie jak wtedy, kiedy była tam szkoła pilotów.

– Tak mi się wydaje. Słyszałem, że kiedy był tam ośrodek szkoleniowy sowieckiego lotnictwa, nasi piloci częściej pytali swoich wykładowców o to, jak żyje się w Ameryce niż o taktykę walk powietrznych. Denerwowało to bardzo komisarza politycznego, który doniósł nawet na paru pilotów do KGB. Wtedy właśnie w Komitecie wpadli na ten pomysł. Po jakimś czasie przejęli szkołę. Nigdy nie zawiadomiono o tym oficjalnie Amerykanów, ale jej charakter zmieniał się stopniowo z ośrodka, w którym szkolono pilotów, na to, czym jest obecnie. Na szkołę szpiegów. Tyle słyszałem.

– A teraz? W jaki sposób jest pan zaangażowany w działalność tej szkoły, generale?

– Nie jestem bezpośrednio zaangażowany, ale to właśnie mój dział kadr przygotowuje teczki personalne kandydatów. Wszyscy rekrutują się z sił powietrznych. Dlatego... - Surikow umilkł. - Wiem więcej. O wiele więcej. Czy ma to dla pana, pułkownika, wystarczającą wartość, żeby mnie stąd wydostać?

– Być może. Ale wie pan, co panu powiem, generale? Właściwie nie musimy już wiedzieć nic więcej na temat tej szkoły. Wiemy, gdzie jest, i mamy o niej dość informacji, żeby doprowadzić do międzynarodowego kryzysu. - Spojrzał na Rosjanina. - Pan wie, czego potrzebuję.

Surikow nie odpowiedział.

– Nazwisk - powiedział Hollis. - Nazwisk sowieckich agentów, którzy już działają w Ameryce. Zakładam, że musi pan mieć jakąś listę, w przeciwnym razie nie próbowałby pan wciąż dobić ze mną targu. Nazwiska. To jest pański bilet na Zachód, generale.

– Ale... nawet jeśli je dla pana zdobędę... jaką mam pewność, że nie zostawi mnie pan tutaj razem z moją wnuczką? Jeśli dam panu teraz tę listę, nie będę miał nic do zaoferowania za przejazd.

– Musi mi pan po prostu zaufać.

– Nie mogę.

– Musi pan. Proszę posłuchać, generale. Jest pan w tej chwili zupełnie bezbronny. Rozumie pan? Już kiedy zdecydował się pan na pierwszy kontakt, był pan martwy. Mogłem wydać pana tutaj, mogę kazać zabić w Londynie. Mogę również darować panu życie. Obiecując coś, mogę kłamać, ale pan o tym nie będzie wiedział. Nie ma pan po prostu innego wyboru i musi zrobić to, co mówię, zrozumieć, że gra toczy się teraz na moich warunkach.

Generał Surikow zachwiał się. Sztywna postać wojskowego kryła w sobie zmęczonego starca, starającego się doprowadzić do końca swój zamiar i jednocześnie przeklinającego się za to.

– Nie rozumiemy tutaj, co to jest wiara i zaufanie. Nie uczą nas takich rzeczy, kiedy jesteśmy dziećmi. Nie ufamy nikomu spoza rodziny. I w nic nie wierzymy.

– Nie rozumie pan - odezwał się Hollis - że jeśli da mi pan tę listę i wydarzy się panu coś złego, nie będę mógł żyć spokojnie? Rozumie pan, co to jest sumienie? Słuchał pan tego popa, czy pana umysł bujał w obłokach?

– Słuchałem go - warknął Surikow. - Wszystko to jest dla mnie czymś nowym. Przychodzę tu dopiero od dwóch lat. Sądzi pan, że można zostać

świętym w ciągu dwu lat? Spodziewa się pan, że uwierzę w pańską świętość, bo chodzi pan do cerkwi i używa świętych słów?

Hollis uśmiechnął się.

– Nie jestem wcale święty, przyjacielu.

Nie sądził, by słowa *dowierije, wiera i sowiest'* - zaufanie, wiara i sumienie - były w jakiś szczególny sposób święte, ale rozumiał, że mogą niepokoić albo do głębi poruszać kogoś, kto słyszał je dotychczas bardzo rzadko. Mogły też wywoływać obie reakcje naraz.

– Potrzebuję czasu, żeby to sobie przemyśleć. Spotkam się z pańskim następcą w przyszłą niedzielę.

– Nie. Tu nie ma nad czym się zastanawiać. Najlepiej będzie, jeśli podejmie pan decyzję teraz i da mi słowo. Wtedy ja dam panu moje słowo i dopilnuję, żeby pan się stąd wydostał. Jeśli pan chce, mogę się z panem spotkać na Zachodzie.

Generał Surikow doszedł chyba z powrotem do siebie i wyprostował się.

– W porządku - powiedział. - Jest pan o wiele bardziej bezwzględny, niż sądziłem, pułkowniku. Ale być może ma pan sumienie. Oto, co panu proponuję: sfotografowane na mikrofilmie akta osobowe wszystkich kandydatów, którzy zostali przyjęci do Szkoły Amerykańskiego Obywatelstwa... taką właśnie nazwę nadało jej KGB. Na mikrofilmie znajdzie pan ich zdjęcia, rosyjskie nazwiska, odciski palców, daty i miejsca urodzenia, a także grupę krwi, znaki szczególne i dane stomatologiczne. Kompletne dossier. Nie ma tam tylko ich amerykańskich nazwisk i adresów. Nie potrafię też powiedzieć, ilu dotarło do Ameryki. Pańscy ludzie... FBI... będą mieli z tym pełne ręce roboty. To wszystko, co mogę panu zaoferować.

Hollis kiwnął głową. Na początek starczy.

– Ilu ich jest? - zapytał.

– Trochę ponad trzy tysiące.
– Trzy tysiące?... Wszyscy na jednym mikrofilmie?
– Tak. Tak się składa, że wszyscy oni oficjalnie nie żyją. Zginęli podczas manewrów. Dowództwo sił powietrznych zafundowało im wojskowe pogrzeby. W zamkniętych trumnach. Zakopaliśmy w ziemi mnóstwo piachu. Wypłaciliśmy również duże odszkodowania. KGB uznało, że przy przeprowadzaniu operacji na tak dużą skalę korzystniej będzie posłużyć się naszą logistyką, naszymi pieniędzmi, naszymi wybranymi spośród pilotów kandydatami i wymówką, że zginęli oni podczas naszych manewrów.

Hollis kiwnął w zamyśleniu głową. Trzy tysiące śmiertelnych wypadków podczas manewrów spowodowałyby w Stanach coś w rodzaju ogólnokrajowego skandalu. Tutaj w gazetach nie ukazała się nawet jedna mała wzmianka. O swojej stracie wiedziały tylko rodziny rzekomych zmarłych. Zdziwiająco, pomyślał. Tylko w państwie totalitarnym możliwe było przeprowadzenie takiej operacji. Największy na świecie koń trojański, piąta kolumna, jakiej nie znała historia, czy jak jeszcze zechcą nazwać to w Waszyngtonie.

– Gdzie jest mikrofilm? - zapytał.
– Powiem panu, gdzie może pan go znaleźć, kiedy będę w Londynie. Taka była umowa. Połowa tutaj, połowa w Londynie.
– Powiedziałem panu, że pierwsza połowa jest dla mnie bezwartościowa. O tym wszystkim wiedziałem już wcześniej. Da mi pan mikrofilm teraz.
– Dlaczego?
– Dlatego, że mogą pana aresztować w każdej chwili, zanim uda nam się pana stąd wyciągnąć. Dlatego, że chcę go mieć teraz. Oto dlaczego.

Surikow wlepił oczy w przestrzeń. Hollis widział, że jest wściekły, ale nie miało to żadnego znaczenia.

– Dobrze - odparł w końcu generał kiwając głową. - Życie moje i mojej wnuczki jest teraz w pańskich rękach. Przyniosę mikrofilm na następne spotkanie albo zostawię go w jednej z naszych skrytek. Jak pan woli.

Hollis przez chwilę się zastanawiał. Lepsza byłaby może skrytka, ale instynkt podpowiadał mu, że w tym konkretnym przypadku lepiej dokonać transferu z ręki do ręki.

– Jutro o dziewiątej rano pójdzie pan do antykwariatu na Arbacie. Pewien mężczyzna zapyta pana, gdzie może dostać carskie monety. Będzie mówił płynnie po rosyjsku. Niech pan zabierze mikrofilm ze sobą.

Surikow zapalił kolejnego papierosa.

– I tak będzie wyglądać moje ostatnie spotkanie z Amerykanami.

– Jeżeli naprawdę pan tak uważa, w takim razie nie wiem, po co pan chce w ogóle przenieść się na Zachód, generale. Równie dobrze może pan zostać tutaj.

– Dobrze. Zobaczymy, czy mój cynizm ma solidne podstawy. Ten człowiek powie mi, w jaki sposób zostaną przetrzucy na Zachód?

– Tak.

– Mam lepszy pomysł. Powie mi pan teraz. Chcę wiedzieć. Zanim przyniosę mikrofilm.

Hollis pomyślał, że generał Surikow chce choć w jednej sprawie postawić na swoim, ale potem przypomniał sobie słowa Alevy'ego o zachowaniu ostrożności. Być może tym, czego chce, jest informacja, w jaki sposób przetrzucamy stąd ludzi. Za późno było jednak na bawienie się w środki ostrożności.

– W porządku - powiedział. - Zdradzę panu nasz sekret. Może pan wyjechać do Leningradu na weekend?

– Tak.

– Pojedzie pan do Leningradu w tę sobotę. Mężczyzna w antykwariacie powie panu, jak skontaktować się tam z człowiekiem, który poda panu więcej szczegółów. Ale cała operacja jest w zasadzie prosta. Weźmie pan sprzęt wędkarski i pojedzie do jednego z parków na Wyspie Kirowa. Wynajmiecie razem z Nataszą łódkę i popłyniecie do ujścia Newy. Niezbyt daleko, żeby nie zwrócić na siebie uwagi łodzi patrolowych. Będziecie łowili ryby na wyznaczonym do tego akwenie. Za każdym razem, kiedy zobaczycie frachtowiec płynący pod banderą kraju należącego do NATO, będziecie wysyłali w jego stronę sygnał, który opiszcie wam człowiek w Leningradzie. Jeden z tych frachtowców zabierze was na pokład. Ktoś na pokładzie zaopiekuje się wami. Kiedy władze odnajdą waszą łódkę wywróconą do góry dnem, dojdą do wniosku, że utonęliście. Jeśli do spotkania nie dojdzie w sobotę, wypłyniecie ponownie w niedzielę.

– A jeśli nie dojdzie w niedzielę?

– W takim razie w następny weekend.

– Zbliża się zima. Niedługo nie można będzie już wypływać łódką, pułkowniku.

– Jeśli będzie pan z nami uczciwy, generale, nie porzucimy pana. Są inne sposoby. Ale przy odrobinie szczęścia... i boskiej pomocy... za tydzień o tej samej porze znajdzie się pan w jednym z zachodnich portów.

– Żeby tego dokonać, będę potrzebował przede wszystkim boskiej pomocy. Natasza uważa, że jest pod boską opieką. Zobaczymy.

– Spotkamy się w Londynie.

– Postawi mi pan drinka.

– Zafunduję panu cały pieprzony bar, generale.

Surikow próbował się uśmiechnąć.

– Wystarczy jeden drink. - Wręczył pułkownikowi karpia. - Niech pan go udusi w śmietanie.

Hollis nie uważał, żeby to było konieczne.

– Ściskam pańską dłoń - powiedział.

– A ja pańską. Życzę bezpiecznej podróży na Zachód. Zobaczymy się w Londynie.

Surikow odwrócił się i odszedł. Pułkownik spojrzął na owiniętą w gazetę rybę, po czym wsunął ją do tej samej kieszeni, w której trzymał świecę i pistolet, i ruszył w stronę cerkwi nadbramnej. Kiedy dzieliło go od niej nie więcej jak dziesięć jardów, ktoś klepnął go po ramieniu.

– Co jest w tej paczce? - zapytał po rosyjsku.

Hollis wymacał w kieszeni kolbę pistoletu, wycelował go przez płaszcz i odwrócił się.

– Co ci dał? - zapytał Seth Alevy.

– Karpia.

– W dzieciństwie ciągle jadłem karpia. To bardzo żydowska i bardzo rosyjska ryba. Nie znoszę jej.

Hollis odwrócił się i ruszył w stronę cerkwi. Alevy zrównał się z nim krokiem.

– Mówiłeś, zdaje się, że spotkanie ma się odbyć o czwartej.

– Potem przypomniałem sobie, że jest wcześniej. Miałem zamiar ci o tym powiedzieć.

– Sam na to wpadłem. Gdzie jest Lisa?

– Przy dzwonnicy.

Minęli sklepione przejście i znaleźli się na gruntach klasztornych. Mżawka zamieniła się w lekki deszcz.

– Jak poszło? - zapytał Alevy.

– Trafiliśmy w dziesiątkę.

– Szkoła Wdzięku?

– Zgadza się. KGB, nawiasem mówiąc, nazywa ją Szkołą Amerykańskiego Obywatelstwa.

– Co łączy z nią Surikowa?

– Opowiem ci później. Czy mamy osłonę?

– Ja osłaniam ciebie, a ty osłaniasz mnie. Tym razem nie mogłem zmobilizować naszych ludzi, tak jak to zrobiłem przy „Lefortowie”. KGB potroiło liczbę obserwatorów i wyraźnie szuka zwady. Wymknąłem się w mikrobusie jadącym na fińską dację. Gdybym miał trochę oleju w głowie, pojechałbym tam się pociupciać.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? Nikt cię nie prosił, żebyś tutaj przychodził.

– Chciałem zobaczyć Surikowa.

– Wkrótce się z nim spotkasz.

Szybko szli wysadzaną drzewami alejką w stronę dzwonnicy.

– Kolejną przyczyną, dla której przyszedłem - powiedział Alevy - jest telegram, jaki otrzymaliśmy dziś rano z sowieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Cofnęli ci immunitet dyplomatyczny. Lisie też.

– Rozumiem - odparł Hollis. - W takim razie dziękuję, żeś się pofatygował.

– Według prawa międzynarodowego twój immunitet obowiązuje teraz wyłącznie w drodze z ambasady do punktu, w którym opuścisz ten kraj. Nie powinno cię tu w ogóle być. Lisy oczywiście też.

– To tak jakbyś wybrał się na polowanie na wampiry i zgubił po drodze krzyż - zauważył Hollis.

– Coś w tym rodzaju. Ale przypuszczam, że masz przy sobie swój osinowy kołek.

– Tak - skrzywił się Hollis. - O mało nie przebiłem ci nim serca.

Wyszli na wyłożony granitowymi płytami dziedziniec, po którego drugiej stronie stała dzwonnica. Sam rozejrzał się, ale Lisy nigdzie nie było.

Nie przyspieszając kroku, żeby nie zwracać na siebie uwagi, przeszli przez otwartą przestrzeń. Deszcz wzmagał się i coraz mniej było spacerowiczów. Przy dzwonnicy rozdzielili się i okrążyli ją, każdy z innej strony.

– Niech to wszyscy diabli! - warknął Alevy.

– Spokojnie, Seth. Zaraz się pojawi.

Alevy odwrócił się do niego i Hollis spostrzegł, że nie ma bynajmniej zamiaru się odprężyć.

– Nie powinienes jej tu przyprowadzać - powiedział zirytowany, celując palcem w Hollisa.

– Chwileczkę. To ona miała ochotę pójść do cerkwi. Może robić, co się jej podoba.

– Och, przestań chrzanić głupoty. Skończyły się żarty. Nie wybraliście się na wycieczkę dla zakochanych. To jest Moskwa, chłopie...

– Wiem, do cholery, gdzie jestem. I prowadzę swoje operacje tak, jak uważam za stosowne.

– Powinienem wysłać was stąd oboje już tydzień temu. Przysporzyliście więcej kłopotów niż...

– Idź do diabła.

Stali przez chwilę blisko siebie, a potem Alevy odwrócił się i zaczął oddalać.

– Będę czekał przez piętnaście minut przy bramie! - zawołał przez ramię. - Potem zrywam się stąd, z wami albo bez was.

Hollis ruszył za nim przez plac.

– Zaczekaj. - Podszedł do Alevy'ego. - Słuchaj, w razie gdybym nie wrócił do ambasady... jutro masz spotkanie z Surikowem. Antykwariat na Arbacie, dziewiąta rano. Będzie miał na mikrofilmie *dossier* wszystkich studentów Szkoły Wdzięku, byłych i obecnych. Jest ich trzy tysiące, Seth.

– Jezus... trzy tysiące... skąd, u diabła, wziął te informacje?

– Jest szefem kadr całych sił powietrznych. - Hollis opowiedział w skrócie, czego się dowiedział. - Dałem mu słowo - podsumował - że wyciągnę stąd jego i jego wnuczkę. Rozumiesz? Nie spieprz tego, Seth. Wydostań ich.

Popatrzył mu prosto w oczy.

– Zadbam o to - odparł Alevy kiwając głową.

– Teraz możesz się stąd wynosić.

Alevy zawahał się.

– Zaczekam przy bramie - powiedział.

– Nie. Zabieraj tyłek do ambasady i siedź tam aż do spotkania z Surikowem. Nie jesteś mi tutaj potrzebny. Przekazałem ci pałeczkę, Seth, i niezależnie od tego, co się wydarzy, i tak nie będę mógł jutro spotkać się z generałem. Teraz wszystko jest w twoich rękach, chłopie. Nie spapraj sprawy.

Alevy rozejrzał się po zalanym wodą dziedzińcu, a potem kiwnął głową.

– Powodzenia - powiedział i ruszył przez deszcz w stronę głównej bramy.

Hollis wrócił pod dzwonnice i oparł się plecami o ścianę. Wyciągnął z kieszeni pistolet i trzymał go w opuszczonej ręce. Zobaczył, jak Alevy znika za rosnącymi wzdłuż alejki drzewami.

Przez jakiś czas gapił się na plac, na padający deszcz i unoszącą się z ust mgiełkę. Mijały minuty. Cała jego wiedza podpowiadała mu, że zgarnęli Surikowa, Lisę i Alevy'ego, a teraz pozwalają mu po prostu moknąć na deszczu.

– Człowiek zawsze bardziej się ich boi, kiedy są niewidoczni. - Jeśli tylko kilku zobaczy, postara się zabrać ich ze sobą na tamten świat. - Koniec z immunitetem, koniec z uprzejmościami.

Spojrzał na zegarek. Od chwili kiedy pożegnał się z Lisą, minęło pięćdziesiąt minut. Pomyślał o Alevym, który przyszedł tutaj, żeby zapewnić mu osłonę, a potem zgodził się odejść. Z profesjonalnego punktu widzenia postąpił właściwie. Niewłaściwa była tylko, z czego zdał sobie sprawę Hollis, ich profesja.

Usłyszał na mokrym placu czyjeś kroki i odwrócił się. Podbiegła bliżej, rozpryskując wodę w kałużach, i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Straciłam poczucie czasu. Wybacz.

– Nic się nie stało.

– Masz mokry płaszcz.

Hollis wziął ją pod ramię i ruszyli w stronę głównej bramy.

– Odnalazłeś swojego przyjaciela przy grobie Gogola?

– Tak.

– Jak udało się spotkanie?

– Doskonale. - To pytanie, pomyślał Hollis, przywodziło na myśl konferencyjne stoły i gorącą kawę, a nie zapierające dech, ukradkowe kontakty w zacinającym deszczu. - Ładny cmentarz - dodał.

– Tak. Widziałeś groby jakichś innych sławnych ludzi?

– Kilka.

– Długo tutaj czekałeś?

– Niezbyt. Myślałem, że już cię zgarnęli - dodał lekkim tonem.

– Na ziemi świętej nic złego mi nie grozi. Chociaż raz na kościelnej potańcówce... - roześmiała się. - Czy tobie wydarzyło się coś interesującego?

– Nie, raczej nie.

Zbliżyli się do cerkwi nadbramnej.

– Czuję zapach ryby - powiedziała.

– Kupiłem karpia od jakiegoś staruszka - wyjaśnił, klepiąc się po kieszeni.

– Można go udusić w śmietanie.

– Wiem.

– Tęskniłam za tobą. Martwiłam się o ciebie.

– Dziękuję.

– Czy będziemy mieć jakieś kłopoty z powrotem do ambasady?

– Mam zamiar odnaleźć jakąś budkę i wezwać ludzi z naszej służby bezpieczeństwa. Punkt Fokstrot jest niedaleko stąd. To pomnik Lenina przy północnym skraju stadionu. Zapamiętaj to, gdyby ktoś nas rozdzielił.

– Kto mógłby nas rozdzielić?

– Mówię na wszelki wypadek.

Weszli pod sklepienie cerkwi, gdzie schroniło się przed deszczem kilkanaście osób. Hollis przystanął, żeby przyzwyczaić oczy do panującego wewnątrz półmroku. Lisa zdjęła mu z głowy mokry kapelusz i otarła twarz chustką.

Z ciemności wysunął się Seth Alevy.

– Chodźcie za mną - powiedział. Nie wydawał się zbyt rozmowny, ale trudno mu się było dziwić, pomyślał Hollis, w tych okolicznościach.

.28.

Sam Hollis i Lisa Rhodes stali pod portykiem ambasady, żegnając się z ludźmi, którzy odprowadzili ich na zewnątrz. Lisa całowała po raz ostatni swoich kolegów, a Hollis ścisnął dłonie i salutował byłym podwładnym.

Ambasador dał im do dyspozycji własny samochód, długiego lincolna z wymalowanym na drzwiach amerykańskim godłem. Kierowca otworzył tylne drzwi.

Kay Hoffman ucałowała Hollisa z dubeltówki.

– Chcę dostać zaproszenie na wesele - powiedziała.

– W porządku - odparł, choć nie było mu wiadomo o żadnym weselu.

– A nie mówiłem - powiedział Charles Banks, zwracając się do Lisy - że cię kiedyś wyrzucą za to pstrykanie zdjęć.

– Cieszę się, że to nie za to, Charles - odparła z uśmiechem. - Cieszę się, że to za coś poważnego.

– Przyślij mi egzemplarz swojej książki.

– Na pewno.

Sam i Lisa wsiedli do lincolna. Kierowca, Fred Santos, zamknął za nimi drzwi, po czym usiadł za kierownicą. Limuzyna ruszyła i wszyscy pomachali im na pożegnanie. Przy budce wartowników stało, prezentując broń, dziesięciu marines; Hollis zsalutował im w odpowiedzi i spojrzał na dwóch sowieckich milicjantów, którzy odprowadzali wzrokiem lincolna i jego pasażerów. Z okien pobliskich budynków i z wnętrza swoich czarnych czajek gapili się na nich szpicle. Stojący przy jednej z czajek,

przypominający Borysa mężczyzna pomachał im ręką. Hollis pomachał mu w odpowiedzi.

– *Do swidanija!* - zawołał. - Ty sukinsynu - dodał pod nosem.

Fred Santos roześmiał się.

Lisa odwróciła się i spojrzała przez tylną szybę na budynek ambasady, ceglane mury i zamykającą się bramę z orłami. Hollis rozpostarł *New York Timesa* sprzed dwóch dni.

– Dzisiaj bezchmurnie i słonecznie - przeczytał. - To z soboty. Temperatura dwadzieścia jeden stopni. Przyjemnie. Metsi wygrali kolejny mecz.

Lisa wlepiła oczy w przednią szybę.

– Chyba się popłaczę.

– Czyżbyś kibicowała Detroit?

Jechali przez dzielnicę Krasnopriesnieńską, klucząc wąskimi uliczkami. Hollis odłożył gazetę i rzucił okiem do tyłu. Tuż za nimi jechał ford z siedzącym obok kierowcy Sethem Alevym, któremu towarzyszyło trzech ochroniarzy. Za fordem widział wiozącą ich bagaż furgonetkę ambasady. Przed lincolnem jechał kolejny ford z trzema ochroniarzami i zastępcą Alevy'ego, Bertem Millssem.

– Brakuje nam tylko osłony z powietrza i czołgów - zauważył.

– Trochę to głupie - stwierdziła.

– Seth bardzo się o ciebie troszczy.

Wolała pominąć to milczeniem.

– Nareszcie macie to wszystko z głowy, prawda? - zagadnął Fred Santos.

– Prawda - odparł Hollis.

– Chociaż, zabawne, wszyscy, których odwożę na lotnisko, wydają się jacyś smutni. Szkoda, że nie udało mi się zrobić czegoś więcej, mówią. Albo myślą o ludziach, których tu zostawiają. Niektórym żal jest rosyjskich

przyjaciół, ludzi, których nie zobaczą już nigdy w życiu. Myślę, że człowiek przyzwyczaja się do miejsca. Służba tutaj jest ciężka. Ale może to jedyne miejsce, w którym człowiek czuje się potrzebny i doceniany. Nie sądzi pan?

– Tak - odparł Hollis. - Ile zostało panu do odjazdu?

– Rok i dwa tygodnie. I z powrotem do Waszyngtonu. Rok i dwa tygodnie. Niezbyt długo.

– Szybko zleci.

– Możliwe.

Hollis przyjechał do Moskwy w czasie, gdy Departament Stanu doszedł do wniosku, że krajowców powinien jednak chyba zastąpić amerykański personel pomocniczy. Poprzedni szofer ambasadora, Wasilij, sympatyczny starszy pan, o którym wszyscy wiedzieli, że jest pułkownikiem KGB, pobierał dwieście dolarów miesięcznej pensji i w Departamencie uważano, że robią na tym świetny interes. Dopiero Alevy zwrócił uwagę na pewne ryzyko, które wiąże się z zatrudnianiem na etacie kierowcy pułkownika KGB, a także na fakt, że gdyby chodziło o pieniądze, Wasilij zapłaciłby Amerykanom dwukrotnie więcej, żeby tylko móc pracować dalej. Po pięćdziesięciu latach, podczas których sowieccy obywatele buszowali bezkarnie po całej ambasadzie, Departament Stanu zaczął chyba rozumieć, w czym rzecz. Nic dziwnego, pomyślał Hollis, że ludzie z wywiadu nie mieli o dyplomatach najlepszego zdania.

Członkom personelu pomocniczego trzeba było płacić razem z premiami trzy tysiące miesięcznie i zapewnić mieszkanie. Ale Hollis uważał, że warto było ponosić te koszty, tak długo przynajmniej, dopóki w skład personelu nie wchodził absolwenci Szkoły Wdzięku, tacy jak Kellumowie.

– Hej, Fred, kto był stoperem u Metsów w osiemdziesiątym pierwszym?
- zapytał.

– Nie interesuję się baseball, pułkowniku. Chce pan pogadać o lidze futbolowej, to proszę bardzo.

– Może później.

Lincoln skręcił w Prospekt Leningradzki, szeroką, sześciopasmową arterię, wysadzaną pośrodku drzewami. Jechali na północ, oddalając się od centrum. Hollis spojrział na pozbawione liści drzewa, ciemne niebo i masywne szare bloki mieszkalne. Podejrzewał, że taki właśnie obraz Moskwy zachowa w pamięci.

Prospekt Leningradzki przeszedł w Szosę Leningradzką i składający się z czterech pojazdów konwój przyspieszył.

– Już mi lepiej - powiedziała Lisa. - To rzeczywiście najlepsze wyjście. Dobre dla nas obojga. - Sięgnęła do przodu i zasunęła szybkę dzielącą ich od kierowcy. - Wiesz, Sam, pokochaliśmy się tutaj w wyjątkowo stresujących okolicznościach. Zrodzone w ten sposób uczucia mogą być ambiwalentne i niepewne.

Hollis otworzył małą lodówkę.

– Mamy tu pudełko belgijskich czekoladek i małą butelkę francuskiego szampana.

– Słuchasz mnie?

– Nie.

– No to słuchaj!

– Słucham.

– W porządku. W Moskwie zewnętrzna rzeczywistość nie miała wpływu na naszą miłość. To paradoks, ponieważ cała Moskwa jest właściwie nierealna. Ale teraz, kiedy wydano nas, zanim się dobrze poznaliśmy, nasze uczucie nie zdążyło się zakorzenić i obawiam się...

– Przećwiczyłaś to sobie?

– Tak.

– Czy możesz sporządzić z tego krótką notatkę?

– Przestań się zgrywać.

– Chcesz czekoladkę czy nie?

– Nie. - Zatrzasnęła drzwi lodówki. - Pozwól, że cię o coś zapytam. Czy Katherine opuściła ciebie, czy Moskwę?

Hollis zainteresował się korkiem od szampana.

– Odpowiedz.

– Opuściła pułkownika Hollisa, szpiega, mieszkającego w Moskwie.

Korek wystrzelił z butelki, trafiając w dach. Fred Santos podskoczył na swoim siedzeniu.

– Przepraszam, Fred! - zawołał Sam przez szklaną ściankę.

– Jezus Maria, pułkowniku...

Santos przytknął teatralnym gestem rękę do serca.

– W tym kraju ludzie robią się nerwowi - stwierdził Hollis. - Zauważyłaś? - Nalał szampana do dwóch wysokich kieliszków i wręczył jej jeden z nich. - Nie za koniec - powiedział - ale za początek.

– Och... jesteście kochany!

Objęła go, oblewając mu szampanem płaszcz. Sam pocałował ją. Kierowca jadącego za nimi forda zatrąbił na wiwat. Hollis zerknął przez ramię Lisy do tyłu i zobaczył gapiącego się na nich z przedniego siedzenia Alevy'ego.

Żeby dostać się do poczekalni dla dyplomatów, trzeba było przejść przez główną halę.

– Zaczekajcie tutaj chwilę - poprosił Bert Mills.

Sam i Lisa zatrzymali się pośrodku dużego, niedawno wybudowanego terminalu. Hollis nie mógł się oprzeć wrażeniu, że główny architekt Szeremietiewa musiał projektować przedtem szopy na traktory. Niski,

metalowy sufit o miedzianym odcieniu nadawał całej hali mroczny, ponury charakter.

Podobnie jak na wszystkich sowieckich dworcach brak było jakichkolwiek usług czy ułatwiających życie urządzeń. Zauważył pojedynczy kiosk spożywczy, który oblegała co najmniej setka ludzi. Sowieccy obywatele, którzy wykupili bilety na loty krajowe, popychali przed sobą po kamiennej posadzce olbrzymie skrzynie. Hollis nigdy nie potrafił sobie wyobrazić, gdzie w samolocie mieści się cały ten bagaż.

– PanAm mierzy każdy centymetr mojej torby - powiedział do Lisy. - A Aerofłotem ludzie przewożą żywy inwentarz. Tak jak w tym pociągu, którym jechaliśmy. Pamiętasz?

– Nigdy nie zapomnę.

– To świetnie.

Podszedł do okienka wymiany walut i rzucił na ladę swoje ruble, zatrzymując jednak trochę kopiejek.

– Na amerykańskie dolary, proszę.

Kasjerka wyliczyła, używając liczydła, odpowiednią sumę, po czym dała Hollisowi jakieś formularze do podpisu. Podpisał, a ona pchnęła w jego stronę kilka banknotów.

– Nie mamy monet - dodała.

– A czekoladki?

– *Szokolad*?

– Nieważne. *Do swidanija*, kochanie. - Wrócił do Lisy. - To było ostatnie rosyjskie słowo w moich ustach.

Z miejsca w którym stali, widział halę międzynarodowych przylotów, gdzie ustawiały się długie kolejki do kontroli paszportowej i jeszcze dłuższe do kontroli celnej. Większość pasażerów stanowili mieszkańcy z Trzeciego Świata, wiele było także grup młodzieży, która brała udział w

sponsorowanych przez Sowietów pielgrzymkach, żeby dyskutować w Moskwie o pokoju, postępie, rozbrojeniu i równości.

Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego zdyskredytowana filozofia i represyjne państwo wciąż potrafią przyciągać idealistów.

Rozejrzał się wokół siebie. Wszędzie kręcili się odziani w szare szynele milicjanci, zauważył również kilku ubranych w zielone mundury żołnierzy Straży Granicznej KGB i ochroniarzy z ambasady, którzy zajęli strategiczne pozycje wokół niego i Lisy. Trochę dalej stał facet w brązowej skórzanej kurtce i krawacie. Mógł być agentem KGB, nie towarzyszyli mu jednak inni. W normalnym kraju Hollis nie obawiałby się niczego w zatłoczonym miejscu publicznym, ale dla KGB cały kraj stanowił prywatną enklawę łowiecką. Uświadomił sobie, że nie widać nigdzie Alevy'ego, a potem zauważył, że Lisa jest trochę spięta.

– Latałaś kiedyś „Aerochlupem”? - zapytał.

Roześmiała się.

– Aerochlupem? Tak, raz do Leningradu, w sprawach służbowych.

– Ja latałem do Leningradu przynajmniej raz w miesiącu. Wszyscy piloci to wojskowi. W tym kraju nie ma dużej różnicy między lotnictwem wojskowym a cywilnym. Zauważyłaś, jak najpierw krążą wokół lotniska na dużej wysokości, a potem dają nurka w dół?

– Tak. Trochę mnie to przerażyło.

– Mnie też. A byłem pilotem myśliwców bombardujących. W Stanach regułą jest, że pilot może sięść za sterami dopiero dwadzieścia cztery godziny po wypiciu alkoholu. Tutaj pilotom „Aerochlupu” nie wolno pić w odległości dwudziestu czterech stóp od samolotu.

Znowu się roześmiała.

– Jesteś okropny. Na co ty się będziesz skarżył w Stanach?

– Na jakość zimowych truskawek - odparł Hollis, rzucając okiem na zegarek.

Lisa zauważyła to.

– Myślisz, że coś jest nie w porządku? - zapytała.

– Nie. Myślę, że jesteśmy przewrażliwieni. Aha, miałem ci opowiedzieć o moim ostatnim rejsie na pokładzie „Aerochlupu”. Lecieliśmy jakimś-42, trzysilnikową maszyną z wielkimi kołami, które pozwalają lądować na każdej łączce. Normalnie służy do transportu wojska, ale kiedy się zestarzeje, malują na nim znak Aeroflotu i wstawiają fotele. Kabina malowana była ręcznie, tak że można było zobaczyć ślady pędzla. Stewardesy przypominały co do jednej Miss Piggy, a ubikacja była zapchana...

– To był mój lot. W kabinie śmierdziało nieczystościami. I ktoś użył już przedtem mojej torby do rzygania. Nie żartuję. Kolekcjonuję torby różnych linii lotniczych. Wyjęłam ją z kieszeni za siedzeniem i...

– Kolekcjonujesz torby do rzygania? Obrzydliwe.

Teraz roześmieli się oboje.

– Tylko nie używane - powiedziała. - Tak czy owak...

Podszedł do nich Alevy.

– W porządku. Wszystko załatwione. Możemy iść.

Hollis i Lisa wzięli podręczny bagaż i ruszyli w towarzystwie sześciu ochroniarzy za Alevym. Długi wąski korytarz zaprowadził ich do pomieszczeń dla dyplomatów, gdzie czekał już Bert Mills.

Za stanowiskiem kontroli granicznej mieściła się tu wygodna nowoczesna sala klubowa, do której przylegały niewielkie pokoje konferencyjne. Całe pomieszczenie nie różniłoby się wcale od prywatnego klubu linii lotniczej albo poczekalni dla VIP-ów, gdyby nie obecność

stojącego przy biurku, elegancko ubranego żołnierza Straży Granicznej KGB i drugiego, z pistoletem maszynowym, przy wyjściu na płytę lotniska.

Opatrzony dyplomatycznymi pieczęciami bagaż Sama i Lisy został już prześwietlony i leżał teraz w szatni przy biurku. Pojawił się oficer kontroli granicznej. Wbił im do paszportów wizy wyjazdowe i zniknął.

Hollis, Lisa i Alevy usiedli w fotelach. Jeden z ochroniarzy stanął niedaleko stanowiska kontroli, o kilka kroków od żołnierza KGB. Dwaj kolejni zajęli miejsca przy wyjściu, dotrzymując tam towarzystwa drugiemu strażnikowi. Po drugiej stronie sali usiadł Bert Mills.

– Dlaczego ich wszystkich zmobilizowałeś? - zapytał Hollis, zwracając się do Alevy'ego. - Wystarczyłby jeden albo dwóch.

– To taka mała demonstracja siły.

Hollis po raz któryś z rzędu nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Seth znajduje szczególne upodobanie w fakcie, iż jego gra przeciwko Moskwie toczy się właśnie w tym mieście. Zastanawiało go, co stanie się z Alevym, kiedy będzie musiał stąd wyjechać.

Do poczekalni weszło trzech mężczyzn o wyglądzie Latynosów, z wpiętymi w klapy marynarek czerwonymi znaczkami, na których widniał profil wodza rewolucji. Rzucili Hollisowi, Lisie i Alevy'emu nieprzyjazne spojrzenie, a jeden z nich powiedział po hiszpańsku coś, co rozśmieszyło pozostałych. Usiedli w sąsiednich fotelach.

– Za pół godziny jest bezpośredni lot Aerofłotu do Hawany - skomentował Alevy.

– Wydaje mi się, że powiedzieli coś obraźliwego - domyśliła się Lisa. - Słyszałam słowo gringo.

– Nie zwracaj na nich uwagi - poradził Alevy.

Na stolikach leżały wydrukowane w kilku językach spisy napojów.

– Mają tu czasami sok pomarańczowy - powiedział Alevy. - Co powiecie na małą wódkę z sokiem?

– Świetny pomysł.

Alevy rozejrzał się za kelnerką, która nie tak dawno kręciła się po sali, a potem wstał i podszedł do kobiety siedzącej za biurkiem. Po minucie wrócił z powrotem.

– Nie ma soku pomarańczowego. Zamówiłem Bloody Mary. Pasuje?

– Nie ma sprawy.

Nadeszła kelnerka z czterema szklankami zielonego napoju.

– Wszystko w tym pieprzonym kraju jest czerwone - odezwał się po angielsku Alevy - ale sok pomidorowy mają zielony. Może nazwiemy ten koktajl Krwawym Świerszczem?

Kelnerka postawiła na stoliku cztery szklanki, a potem dodała talerzyk z łososiem i razowcem.

– To, jeśli ktoś z państwa jest głodny - powiedziała. - Do widzenia. Przyjemnej podróży.

– Dziękuję - odparł Alevy. - Co jakiś czas ktoś tutaj jest dla ciebie miły - zwrócił się do Hollisa i Lisy - i to daje ci do myślenia. - Podniósł w górę szklankę. - Za bezpieczną podróż. - Wypił do dna i westchnął. - Wódka. Na Boga, to jedyna rzecz, którą potrafią dobrze robić.

– Jesteś dzisiaj w wesołym nastroju - zauważyła Lisa. - Zadowolony, że odjeżdżamy?

– Nie, nie. Po prostu cieszę się, że jesteście szczęśliwi. Oboje.

Na kilka sekund zapadło niezręczne milczenie.

– Czy ta dodatkowa szklanka jest dla ciebie? - zapytała w końcu Lisa.

– Ach tak, zapomniałem. To dla Berta.

Alevy podniósł szklankę i wstał, a potem udał, że traci równowagę i wylał zielony sok pomidorowy na głowę najbliższego siedzącego Kubańczyka.

– Och, strasznie mi przykro. Taki jestem mucho cholernie niezgrabny...

Trzej Kubańczycy skoczyli na równe nogi. Hollis wstał z fotela i nagle jak spod ziemi wyrósł obok nich Bert Mills. Kubańczycy szybko ocenili sytuację. Wymachując chusteczkami do nosa, złapali swoje dyplomatyki i wycofali się do jednego z bocznych pomieszczeń.

– Czuję się okropnie - stwierdził Alevy.

Mills śmiejąc się wrócił do swego fotela. Hollis zauważył, że dwaj strażnicy KGB również wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

Zawsze podziwiał tych zachowujących nienagane maniery zbirów, którzy podlegali Alevy'emu. Oprócz mniej więcej dwudziestu pracowników CIA w ambasadzie przebywało około tuzina ochroniarzy i Alevy wyznał kiedyś Hollisowi, że gdyby przejął dodatkowo pod swoje rozkazy trzydziestoosobowy kontyngent marines, nie sprawiłoby mu większych trudności zdobycie Kremla.

Seth otarł usta koktajlową serwetką.

– W pomieszczeniach dla dyplomatów zawsze spotyka się interesujących ludzi - powiedział.

Lisa uśmiechnęła się do niego, ale nic nie odrzekła.

Hollis zorientował się, że Alevy po raz ostatni się przed nią popisuje. Przeprosił ich i wyszedł z poczekalni.

Alevy i Lisa nadal stali naprzeciwko siebie.

– Wcale mnie nie cieszy to, że wyjeżdżacie - powiedział. - Patrzę na to ze smutkiem.

Lisa nie odpowiedziała.

– Myślałem, że damy sobie jeszcze jedną szansę - dodał.

– Ja też tak myślałam. Ale sprawy potoczyły się inaczej.

– Wiem. - Alevy podniósł swoją szklankę i upił z niej łyk. - Cóż... może nasze drogi jeszcze się skrzyżują... w jakimś innym, zapomnianym przez

Boga miejscu. Wybraliśmy dziwne życie.

– Rosjanie mówią: Łatwiej przejść przez pole, niż przeżyć życie.

– Rosjanie mówią mnóstwo rzeczy, które nie mają żadnego sensu.

Tatarskie haiku. Ty lubisz ten kraj. Ja nie.

– Ale podoba ci się rola głównego szpiega w stolicy imperium zła.

– O, tak.

– To właśnie mnie martwi. Spróbuj zobaczyć zło w tym, co sam robisz.

– Nie mam czasu na moralne abstrakcje. Moim zadaniem jest dopieprzyć Sowietom i oni szanują mnie za to.

– W porządku, już to przerabialiśmy. Proszę cię tylko, żebyś spróbował zrozumieć tych ludzi. Jako ludzi. Pomoże ci to w pracy i w życiu osobistym.

– Próbuję. Wszyscy próbujemy.

– Czyżby?

Rzuciła okiem w stronę drzwi, ale nie było tam widać Hollisa. Położyła rękę na ramieniu Alevy'ego.

– Uważaj na siebie, Seth. Martwię się o ciebie.

– Naprawdę? Sama na siebie uważaj. Nie jesteś jeszcze w domu. - Dopił do końca koktajl. - Coś ci powiem, panno Liso. Jego wiek nie jest tutaj taki ważny. Ani obecny stan cywilny. Ale jeśli znowu zacznie się bawić w pilota, będziesz miała poważne kłopoty.

– Nie myślę o małżeństwie. O czym, *a propos*, gadaliście do szóstej rano? Obaj wyglądacie jak z krzyża zdjęci.

– Potrzebowałem po prostu kilku danych statystycznych o sowieckich siłach powietrznych i chciałem mieć na raporcie podpis Hollisa. Szanują go w Langley. Przepraszam, jeśli wszedłem ci w ten sposób w paradę. To się już nie zdarzy. - Alevy spojrzał na zegarek. - Pójdę teraz odnaleźć Sama i powiedzieć mu do widzenia. Nic ci się tu nie stanie. - Spojrzał na nią. -

Cóż... jest jeszcze wiele rzeczy, które chciałbym ci powiedzieć, ale oni i tak już wiedzą zbyt dużo o moim życiu osobistym. - Wskazał kciukiem sufit. - Funkcjonariusze imperium zła. Mnóstwo ich informacji pochodzi właśnie z tego pomieszczenia.

Pokręciła głową.

– Wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić.

– Już nie musisz. Uważaj tylko na to, co powiesz, kiedy wróci Sam. Kiedy wejdiesz na pokład PanAmu, możesz mówić, co dusza zapagnie. Przez całą drogę do Frankfurtu i dalej. Wolny świat. Podoba mi się to określenie z czasów zimnej wojny. Wolny świat.

Przez chwilę stali oboje w niezręcznej pozie naprzeciwko siebie.

– Napisz do mnie - powiedziała w końcu.

– Oczywiście.

– Dam ci znać, gdzie mnie wyślą. - Nagle roześmiała się. - Jaka ja jestem głupia. Prawdopodobnie będziesz o tym wiedział jeszcze przede mną. Sądzę, że na tym właśnie między innymi polegał nasz problem. Kobieta taka jak ja chce mieć dla siebie trochę intymności, chce wydawać się tajemnicza. Ale ty wiedziałeś wszystko o wszystkich w tym naszym małym zamku. Byłeś naszym Merlinem.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Może dlatego nikt nie zapraszał mnie nigdy na kręgle - odparł z uśmiechem.

Pocałowała go w policzek.

– Do widzenia, Seth. Dziękuję ci za wszystko... - Otarła łzę z oka. - Jeszcze się kiedyś spotkamy.

– Wiem o tym.

Nagle przyciągnął ją do siebie.

– Posłuchaj - szepnął jej do ucha. - Nie musisz lecieć tym samolotem... Masz czas do północy. Dzisiaj są jeszcze dwa loty do Frankfurtu. Powiedz

Samowi, że nie czujesz się dobrze i...

– Ale dlaczego?

– Pomyślałem... pomyślałem, że moglibyśmy spędzić ze sobą trochę czasu... pożegnać się ze sobą...

Zmierzyła go wzrokiem.

– Czy to jest propozycja?

– Nie. Naprawdę, chcę tylko... słuchaj, chcę, żebyś zrozumiała, że Hollis jest na celowniku. Nie podoba mi się to, że jesteś blisko niego.

– Wiem. Powiedział mi o tym i sama też mogłam się tego domyślić. Ale ja nie jestem kwiatkiem, na który trzeba chuchać i dmuchać. Chciałam dzielić z tobą każde niebezpieczeństwo, Seth, i jemu jestem winna to samo.

Przez twarz Alevy'ego przemknął smutny uśmiech. Kiwnął głową.

– Dlatego właśnie cię kocham - powiedział.

Pocałowali się i Seth Alevy wyszedł szybko z poczekalni. Amerykanie i Rosjanie popatrzyli w ślad za nim, a potem wlepili oczy w Lisę. Usiadła w fotelu i przyłożyła chusteczkę do oczu, kartkując stary egzemplarz *Time'a*.

– Niech cię wszyscy diabli, Seth. Niech diabli porwą wszystkich mężczyzn. - Zerknęła na zegarek. - Wracaj, Sam.

Alevy odnalazł Hollisa w wąskim korytarzu łączącym poczekalnię z główną halą dworca. Pokazał palcem sufit i przeszli z powrotem do zatłoczonego terminalu. Przez chwilę stali w milczeniu, otoczeni walącym ze wszystkich stron tłumem.

– Chciałeś ze mną rozmawiać? - zapytał w końcu Alevy.

– Zakładam, że spotkanie się udało - odparł Hollis - w przeciwnym razie nie byłbyś w tak szampańskim humorze.

– Udało się.

– Masz mikrofilm?

– Mam.

– Przyjrzałeś mu się?

– Wyrywkowo.

Hollis zniecierpliwiony zaczerpnął powietrza.

– Mogę albo wyrywać ci ząb po zębie, albo wybiję ci je wszystkie za jednym zamachem, tutaj, na środku tej hali.

Alevy przyglądał mu się przez chwilę, a potem wzrok odpłynął mu w przestrzeń, jakby jego umysł otrzymał właśnie ważny telefon. Po chwili znowu utkwiał oczy w Hollisie.

– Obiecuję ci, Sam, że nadal będziesz zajmować się tą sprawą. Masz na to moje słowo.

Hollis przyglądał się przez chwilę uważnie Alevy'emu.

– Dobrze. Jak oceniasz mikrofilm?

– To strzał w dziesiątkę. Ale nie wiem, co z nim zrobi FBI.

– To ich problem, nie nasz.

– No nie wiem. To chyba problem nas wszystkich. Według mnie najprościej byłoby ujawnić te fotografie: pokazać je w telewizji, gazetach, kinach, supermarketach. To zdemaskowałoby wszystkich agentów, niezależnie od tego, czy wkręcili się do Białego Domu jako woźni, pracują w Departamencie Obrony, czy są doradcami w Kongresie. Sądzę jednak - dodał - że rząd będzie wolał, aby FBI wyłapało ich po cichu.

– Ty wolałbyś to nagłośnić. Ale to pogrzebałoby raz na zawsze przyszły szczyt i rozmowy rozbrojeniowe.

– Cały ten nonsens zasługuje, żeby go pogrzebać. Po co mamy rozmawiać o pokoju i współpracy gospodarczej, skoro Sowieci borykają się z olbrzymimi problemami ekonomicznymi i społecznymi? Pamiętasz, co powiedział nasz wspólny bohater, Napoleon Bonaparte. Nigdy nie przeszkadzaj przeciwnikowi, kiedy popełnia błąd.

Hollis uśmiechnął się.

– Cholerny z ciebie manipulator.
– Dziękuję. Skoro mowa o manipulatorach, wiesz może, dla kogo pracuje Charlie Banks?

– Najprawdopodobniej dla wywiadu Departamentu Stanu.

– Zgadza się. Jesteś sprytniejszy, niż wyglądasz.

Alevy podszedł do grupy rozmawiających głośno japońskich biznesmenów, którzy zapewniali dobrą osłonę przed mikrofonami kierunkowymi. Hollis ruszył w ślad za nim.

– Departament Stanu - podjął Alevy - poświęca w Moskwie najwięcej czasu na szpiegowanie ludzi takich jak ty i ja. Boją się, że mamy ochotę storpedować ich dyplomatyczne inicjatywy.

– Ciekawe, skąd im to przyszło do głowy?

– Nie mam pojęcia. Tak czy owak cała ta organizacja byłaby nieszkodliwa, gdyby nie fakt, że jest ramieniem szacownego i potężnego Departamentu Stanu. A co się tyczy Szkoły Wdzięku, Charles Banks śledzi całą sytuację bardzo uważnie i mam wrażenie, że składa raporty samemu prezydentowi.

– Śledzi bardzo uważnie przede wszystkim ciebie. Nie rozumiem tylko, jak można rozwiązać problem Szkoły Wdzięku, nie rozpętując przy okazji prawdziwego piekła.

– Są sposoby, żeby to szybko załatwić. Dopóki nie pojawi się Dodson.

– A co będzie, jak się pojawi?

– Wątpię, czy uda mu się przeskoczyć mur - odparł Alevy. - Milicja i KGB mają rozkaz strzelać bez ostrzeżenia. Ale gdyby jakimś cudem udało mu się dostać do ambasady albo skontaktować z którymś z zachodnich reporterów, wtedy Banks, sekretarz stanu i sam prezydent będą śpiewali na tę samą nutę co moja firma.

– Przyszło mi teraz do głowy, że nawet jeśli Dodsonowi uda się przeskoczyć mur, nie oznacza to wcale, że dotrze cały i zdrow do domu. Czy to szalona myśl?

– Tak, ale zarazem bardzo trafna. Wydaje mi się, że nasz uroczy Charlie otrzymał rozkaz zabicia Dodsona, żeby go definitywnie uciszyć. I dalej uważasz, że to ja jestem niemoralny i szurnięty? - zapytał Alevy. - Nasz rząd gotów jest spisać na straty trzystu amerykańskich lotników i wszystko to w imię jakiejś abstrakcji, która nazywa się *detente*. Do diabła! Ja nie potrafię nawet prawidłowo wymówić tego słowa, a Rosjanie nie mają na nie odpowiednika.

– Spróbuję zastanowić się nad tym wszystkim w samolocie. Spotkajmy się w Waszyngtonie, Seth. Zaprowadzę cię do pewnych ludzi w Pentagonie. Nie chcę się bawić w żadną konspirację, ale możemy porozmawiać, w jaki sposób sprowadzić tych ludzi do domu, nie poświęcając ich na ołtarzu wielkiej polityki.

– W porządku. Skontaktuję się z tobą w Waszyngtonie.

– Swoją drogą, co sądzisz o generale Surikowie? - zapytał Hollis.

– Rozmawiałem z nim przez pół godziny w podziemiach antykwariatu. Nie sądzę, żeby mnie polubił.

– Nie musi cię lubić. Nie będziesz jego oficerem prowadzącym. Wyjeżdża z Rosji.

– Właśnie o tym chciałem z tobą mówić. Zgadza się z tobą, że zarobił na przerzut. Ale wydaje mi się, że nie poradzi sobie na Zachodzie.

– Nie radzi sobie mnóstwo osób, które już tam są. To nie twoje zmartwienie. Po prostu go stąd wydostań.

– Mówię ci, Sam, on umrze, kiedy nie będzie czuł pod stopami świętej Matki Rosji. Znam takich jak on.

– Ma swoją religię.

– Bardzo chciałbym z nim dalej współpracować. Byłby najwyższym rangą agentem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy w sowieckiej armii. Przekazałbym go Bertowi Millsowi...

– Nie opowiadaj mi tych bzdur, że nie da sobie rady na Zachodzie. Gdyby tliła się w tobie resztką ludzkich uczuć, zorientowałbyś się, że ten człowiek cierpi. Jeśli kiedykolwiek pokonamy ten system, to dlatego, że będziemy postępować przyzwoicie w stosunku do żyjących tutaj przyzwoitych ludzi. Nigdy nie rozumiałem motywów Surikowa, ponieważ nie przyszedł mi do głowy motyw najbardziej oczywisty: ten człowiek chce być wolny, cokolwiek to dla niego znaczy. Wywiązał się z tego, co obiecał. Teraz twoja kolej.

– W porządku... tak tylko głośno myślałem.

– Weź urlop, Seth. Potrzebujesz go.

– Och, wiem o tym. A propos, puściłem sobie fragment mikrofilmu i znalazłem zdjęcie naszego dozorca, pana Kelluma, z domu Anatola Władimirowicza Kułagina, urodzonego w Kursku.

– Mamy więc w saku pierwszego - stwierdził Hollis. - A pani Kellum?

– Jeszcze na nią nie trafiłem. To robota na parę dni. Może być prawdziwą Amerykanką i może wiedzieć albo nie wiedzieć, kim jest naprawdę jej mąż.

– Co masz zamiar zrobić z Kellumami?

– Przez kilka miesięcy przetrzymam ich w piwnicy. Z tego, co wiemy, Dick jest winien, a gdyby ktoś mnie pytał, Ann także, jako współniczka. Nie możemy jednak wysłać ich do kraju i wytoczyć procesu. Nie stanowią również dobrej karty przetargowej, bo Sowieci nigdy się do nich nie przyznają. Więc... - Alevy podrapał się w głowę. - No nie wiem... Może ty masz jakiś pomysł, Sam? Co mam zrobić z Dickiem i Ann?

– Dlaczego nie strzelisz im po prostu w tył głowy i nie wrzucisz trupów do Moskwy?

– Świetny pomysł. Ciekawe, dlaczego sam na to nie wpadłem?

– Muszę już iść - powiedział Hollis.

Alevy położył mu rękę na ramieniu.

– Kiedy byłem młodym liberałem w college'u - zamyślił się - dziwiłem się, jak amerykańscy lotnicy mogą zrzucać bomby na Wietnamczyków. Teraz, kiedy dorosłem i stoję przed koniecznością popełnienia z zimną krwią morderstwa dla mojego kraju, lotnik patrzy na mnie i kręci nosem. Beznadziejna sprawa.

– Przedstawiłeś swój punkt widzenia. Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Rób, co uważasz za stosowne.

– Dziękuję. Zrobię to. To tyle, jeśli chodzi o przykre sprawy. Radosną jest to, że mikrofilm stanowi niewiarygodny sukces kontrwywiadowczy. Trzy tysiące agentów! Mój Boże, Sam, to największa pojedyncza wpadka w historii. Teraz, mając wszystkich tych rosyjskich Amerykanów w kieszeni, możemy uporać się z problemem Szkoły Wdzięku.

– Myślisz o wymianie?

Alevy kiwnął głową.

– Trzy tysiące Rosjan za trzystu naszych. To całkiem realna możliwość. A podziękować za to musimy tobie. To twoje dzieło, Sam. To właśnie dzięki tobie ci piloci wrócą do domu.

– Odniosłem jednak wrażenie, że nie wszyscy w Waszyngtonie chcą ich widzieć z powrotem.

– Popracujemy nad tym. Ty też będziesz miał teraz trochę więcej do powiedzenia. W Waszyngtonie zrobią z ciebie bohatera. Oczywiście, bez żadnej pompy. Po cichu. Ale najważniejsze szycy w CIA i Pentagonie mają zamiar odpowiednio cię uhonorować. Prawdziwymi odznaczeniami.

Poza tym będziesz rozmawiał z prezydentem i nie powinieneś się dziwić, jeśli przypnie ci generalską gwiazdkę. Wyczytałem to między wierszami. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym przy tym być.

– Oczywiście.

– Tym razem okazałeś się lepszy, Sam.

– Surikow sam się do mnie zgłosił, Seth. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Nie bądź taki skromny. Teraz... jeśli chodzi o sprawy osobiste... o Lisę... mogę tylko powiedzieć, że cieszę się, że to jesteś ty, a nie jakiś nadęty bubek z dyplomacji.

Hollis nie odpowiedział.

– Powodzenia. Życzę wam obojgu szczęścia.

– Dzięki - powiedział Hollis wyciągając dłoń. - I dziękuję, że wprowadziłeś mnie w tutejsze stosunki.

Alevy uściskał jego rękę.

– Spotkamy się jeszcze kiedyś w jakimś lepszym miejscu - powiedział.

Hollis odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę poczekalni dla dyplomatów.

– To będzie takie samo miejsce jak każde inne, Seth - mruknął pod nosem.

Pomyślał, że w głębi duszy także Alevy nie łudzi się, by było gdzieś jakieś lepsze miejsce. W rzeczywistości Seth lubił Moskwę albo precyzyjniej ujmując, potrzebował jej. Nie mógł się obejść bez moskiewskiego powietrza i bez zapachu nadrzecznej mgły. Nie mógł się obejść bez KGB i na mocy jakiegoś perwersyjnego układu on także był potrzebny Komitetowi, w przeciwnym razie już dawno wyrzuciliby go albo zabili.

Być może Alevy stanowił żywą legendę na Łubiance, a kagebiści czuli się w jakiś sposób dowartościowani, mając kogoś takiego za przeciwnika. Ale teraz cały ten *danse macabre* zbliżał się do końca.

Przyszło mu także do głowy, że to, co Seth opowiadał o Szkole Wdzięku, nie trzyma się właściwie kupy. Jeśli trzy tysiące Rosjan pojedzie na wschód, a trzystu Amerykanów na zachód, zamykając w ten sposób rachunek, to co z tego będzie miał Seth Alevy? Odpowiedź: nic.

Problem nie wydawał się więc bynajmniej rozwikłany.

.29.

Mężczyzna w grubym palcie otworzył drzwi, które prowadziły na płytę lotniska, i spojrzał na Lisę i Hollisa.

– PanAm. Frankfurt. Proszę za mną - powiedział.

Sam i Lisa założyli płaszcze i wzięli podręczny bagaż. Zbliżył się do nich Bert Mills.

– Idę z wami.

– Nie ma potrzeby - stwierdził Hollis.

– Takie mam rozkazy.

Minęli w trójkę żołnierza KGB z pistoletem maszynowym i ruszyli w ślad za Rosjaninem w grubym palcie, schodząc kilka stopni w dół, gdzie czekał na nich mały autobus. Z nieba prószył delikatny puszysty śnieżek, a spomiędzy chmur przeświecało blade słońce. Nad zaśnieżoną płytą lotniska unosiła się niezdrowa żółta mgiełka.

Wsiedli do autobusu, w którym byli jedynymi pasażerami, i ruszyli w stronę mamuciego boeinga 747, na którym widniały biało-niebieskie znaki PanAmu.

– Popatrz na to - zachłysnął się Mills. - Popatrz na to.

– Wygląda nieźle, chłopie - stwierdził Hollis.

– Zamieńmy się paszportami, Sam - powiedział Mills.

– Mogę wrócić do ambasady i przespać się z twoją żoną?

– Jasne. Zatelegrafuję do niej z Frankfurtu.

– Świnie - mruknęła Lisa.

Kiedy zbliżyli się do samolotu, Hollis zobaczył przy nim czterech uzbrojonych w pistolety maszynowe żołnierzy Straży Granicznej. Podjechali pod prowadzące do samolotu schody i wysiedli z autobusu.

– Trochę tu jeszcze postoję - powiedział Mills. - Ale moim zdaniem jesteście już w domu. Przyjemnie było - mówił podając dłoń Hollisowi - pracować z prawdziwym profesjonalistą. - Uścisnął także rękę Lisie. - Życzę bezpiecznej podróży.

Sam i Lisa wspięli się po schodkach. W drzwiach samolotu powitała ich z uśmiechem stewardesa.

– Cześć, jestem Jo - powiedziała nosowym głosem - wasza opiekunka w Clipper Class. Jak samopoczucie?

Hollis zauważył, że była mocno opalona - coś, od czego zdążył się już odzwyczaić.

– Czujemy się doskonale, Jo - odparł. - A ty?

– Świetnie. Podróżujecie razem?

– Tak - odpowiedziała Lisa.

Jo zerknęła na listę pasażerów.

– To wy jesteście naszymi dyplomatami, prawda?

– Zgadza się - odparł Hollis. - Dlatego właśnie dostaliśmy do dyspozycji autobus i obstawę.

Lisa dała mu kuksańca w zębra.

– Do Clipper Class wchodzi się z prawej strony tymi spiralnymi schodkami - powiedziała, uśmiechając się, Jo. - Może pomóc wam z bagażem?

– Nie trzeba - odparł Hollis.

– Jak długo tutaj byliście?

– Dwa lata - odrzekła Lisa.

– Dobry Boże! Założę się, że z radością wracacie do domu.

– Tak.

– Cieszę się, że pomożemy wam tam bezpiecznie dotrzeć.

Hollis uświadomił sobie, że minęło sporo czasu, odkąd ktoś obsługiwał go z uśmiechem. Trochę wytrącało go to z równowagi.

– Ja też się cieszę - odpowiedział.

– Rozgośćcie się tam na górze. Przyjdę do was, kiedy podjadą tu inne autobusy.

Hollis ruszył pierwszy spiralnymi schodkami na pięterko, na którym ulokowano w boeingu 747 Clipper Class. Powiesili płaszcze, schowali bagaż do szafek i zajęli dwa miejsca blisko dzioba. Naprzeciwko nich ustawione były tyłem do przodu dwa fotele.

W sklepionej kabinie panowała niesamowita cisza i Hollisowi przemknęło przez głowę, że cały ten boeing jest makietą, a Jo jedną z absolwentek Szkoły Wdzięku. Roześmiał się.

– Co cię tak śmieszy? - zapytała Lisa.

Hollis wziął ją za rękę.

– Myślę, że w końcu dotarło do mnie, gdzie jestem.

– Masz refleks.

Otworzyły się drzwi do kabiny pilotów i ukazał się w nich mężczyzna w błękitnym mundurze.

– Cześć. Jestem Ed Johnson, kapitan. Mam zapewne przyjemność z pułkownikiem Hollisem i panią Rhodes?

– Tak jest.

Johnson rozejrzał się po pustej kabinie, a potem pochylił do przodu, opierając ręce na oparciu fotela.

– Dostałem wiadomość z ambasady w Bonn, że mieliście tutaj małe kłopoty.

Hollis kiwnął głową.

– Poradzili po prostu członkom załogi - ciągnął dalej Johnson - żeby mieli na wszystko oko. Nie wiem o sprawie nic poza tym, co przeczytałem w gazetach.

– Napisali w zasadzie wszystko.

– Jest pan pilotem, pułkowniku?

– Zgadza się.

– Na czym pan latał?

– Przeważnie na F-4.

– Ładnie.

Johnson i Hollis rozmawiali przez chwilę o samolotach. Lisa przejrzała w tym czasie aktualny numer *Time'a*.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że nie możesz bez tego żyć - zauważyła, kiedy Johnson wycofał się do kabiny pilotów.

– Interesuje mnie tylko seks, sport i religia.

– Podjąłeś już jakąś decyzję w sprawie latania?

– Nie sądzę, żeby to do mnie należało podjęcie decyzji.

– Ale czy wróciłbyś, gdybyś mógł?

– Nie wiem. Wiem, że ostatni samolot, który pilotowałem, roztrzaskał się... beze mnie. Mimo to wciąż wydaje mi się czasami, że trzymam w ręku stery i czuję przechodzące przez kadłub drżenie silników. Potem pełny ciąg, migający pod kołami pas startowy, skłon na skrzydło i w górę... rozumiesz?

– Chyba tak. Jeśli tak to ujmujesz. - Lisa schowała nos w czasopismo, a potem ponownie podniosła wzrok. - Zawsze czuję się nieswojo, kiedy wracam na urlop do domu.

– Aklimatyzacja w każdym kraju, wliczając w to własny, musi zająć parę tygodni.

– Wiem. Wiesz co, Sam - dodała - czuję się prawie tak, jakby to Moskwa i ambasada była moim prawdziwym domem i jakbym jechała do jakiegoś

obcego kraju. Tęsknię za moim apartamentem, za moim biurem i przyjaciółmi. Chyba się znów popłaczę.

– Rozumiem - odparł.

I rzeczywiście rozumiał, bo i jego ogarnęła irracjonalna fala nostalgii. Dlaczego tęsknił za krajem, w którymomal nie zginął, było tajemnicą. Ale to samo pamiętał z Wietnamu. Przypuszczał, że tak jest w przypadku każdego miejsca na ziemi, gdzie człowiek ma oczy i uszy otwarte i przez cały dzień zasuwaw pełnym ciągu. Potem wszystko wydaje się banalne i nudne niczym lot z włączonym automatycznym pilotem.

– To normalne - stwierdził. - Prawdziwych przyjaciół poznaje się na trudnych placówkach. Daj spokój.

– Przepraszam - powiedziała, ocierając oczy serwetką.

Do samolotu zaczęli wchodzić inni pasażerowie i Hollis usłyszał kroki na schodach. Pierwszą osobą, która pojawiła się na górze, był Mike Salerno.

– Weszliście na pokład przed pierwszą klasą - powiedział, siadając w fotelu naprzeciwko nich.

– To taki mały przywilej - odparł Hollis. - Jak udało ci się tutaj tak szybko dostać?

– Rozpychałem się łokciami. Jestem reporterem.

– Wracasz do domu na stałe? - zapytała Lisa.

– Nie, tylko na dwa tygodnie. Urlop terapeutyczny.

Niżej, na płycie lotniska Hollis zobaczył dwóch mężczyzn w brązowych płaszczach, którzy stali na śniegu, rozmawiając z dwoma uzbrojonymi żołnierzami, ubranymi w zielone szynele Straży Granicznej KGB.

Lisa spojrzała na zegarek.

– Mam nadzieję, że ten śnieg nie opóźni startu.

Hollis zauważył, że do mieszczącej czternastu pasażerów kabiny Clipper Class weszło jeszcze tylko sześć osób. Blisko schodów usiadła para w średnim wieku, w której rozpoznał po akcencie Brytyjczyków, a po drugiej stronie przejścia, w ustawionych naprzeciwko siebie fotelach, czterech niemieccy biznesmeni. Jeden z nich zamienił po angielsku kilka słów z Jo.

Stewardesa stanęła z przodu kabiny.

– Mamy kilka minut opóźnienia - oznajmiła przez mikrofon. - Czekamy na pozwolenie na start. Z powodu pogody opóźnione są wszystkie loty. Zaraz po starcie podam państwu drinki. W porządku, panowie? - zapytała, zwracając się do czterech Niemców. Ten, który mówił po angielsku, kiwnął głową i przetłumaczył komunikat pozostałym.

Hollis wstał, przeszedł kilka kroków do tyłu i wyjrzał przez okno. Na dole wciąż stał ich autobus; opierał się o niego Bert Mills. Jeden z mężczyzn w brązowym płaszczu podszedł do niego z uzbrojonym strażnikiem i zamienił parę słów. Mills wyjął swój dyplomatyczny paszport i potrząsnął nim przed nosem agenta. Hollis dostrzegł, że wywarło to potężne wrażenie na kierowcy autobusu, który prawdopodobnie pierwszy raz w życiu zobaczył kogoś, kto ma odwagę spierać się z dżentelmenem z Komitetu. Mills bardzo słabo mówił po rosyjsku, co w tej sytuacji, pomyślał Hollis, stanowiło raczej jego atut. Pokazywał energicznie palcem na ziemię pod swoimi stopami i Hollis mógł sobie wyobrazić, jak mówi: „Będę stał w tym zasranym miejscu aż do odlotu samolotu”.

W końcu agent KGB w brązowym płaszczu powiedział coś kierowcy i autobus odjechał, zostawiając Millsa na zaśnieżonej płycie lotniska, pół kilometra od terminalu. Kagebista uśmiechnął się z satysfakcją, odwrócił i ruszył z powrotem do swojego samochodu.

Mills zrobił w jego stronę nieprzyzwoity gest i stał dalej z rękoma w kieszeniach. Agent obserwował go z samochodu.

Hollis wrócił na swój fotel.

– Wszystko w porządku? - zapytała Lisa.

– Tak.

– Zrobiliście się nerwowi? - skomentował Salerno. - Nie dziwię się wam.

Hollis zagłębił się w lekturze porannego *International Herold Tribune*. Salerno wyjął z kieszeni jakiś nędzny kryminał opisujący przygody nowojorskiego gliniarza, Joego Rykera, a Lisa zamieniła swój *Time* na *Voque*.

– Jeśli mamy mieszkać w Stanach - powiedziała do Sama - potrzebne mi będą takie stroje.

Zerknął na jej czasopismo.

– Może jednak powinniśmy zamieszkać gdzie indziej.

– Mogłam kupić tutaj za dziesięć tysięcy czarne futro z soboli i sprzedać je w Stanach za czterdzieści.

Hollis mruknął coś zza swojej gazety.

– Co nas zatrzymuje? - zapytała.

– Pogoda - odparł.

Usłyszał, jak silniki najpierw zwiększają, a potem zmniejszają moc. Z kabiny pilotów wyszła Jo.

– Mamy pozwolenie na start - powiedziała. - Proszę zapiąć pasy i nie palić.

Przedstawiła szybko zasady bezpieczeństwa i usiadła w wolnym fotelu. Boeing drgnął i ruszył z miejsca. Hollis zobaczył machającego w ich stronę Millsa i pomachał mu w odpowiedzi. Boeing dotarł do skraju pasa startowego i zakręcił. Silniki ryknęły, przykuty do ziemi hamulcami samolot zadrzał, a potem zaczął szybko toczyć się po zaśnieżonym betonie. Nikt się nie odzywał.

Boeing zadarł nos do góry i po chwili usłyszeli stuk zamykanego podwozia.

– Lecimy - stwierdził Salerno.

Wielka maszyna zaczęła piąć się do góry, ponad białymi pagórkami, wznoszącymi się na północny zachód od Moskwy.

– *Do swidanija* - szepnęła, prawie do siebie, Lisa.

Salerno parsknął głośno.

– No i chwała Bogu. Na dwa tygodnie.

Lisa spojrzała przez okno na przysypany śniegiem krajobraz. Zobaczyła biegnącą na południowy zachód drogę do Mińska, tkwiące w szczerym polu małe wioski i ciemnozielone plamy sosnowych, pokrywających ziemię lasów. Pobiegła oczyma wzdłuż rzeki Moskwa, w stronę Możajska i Borodina, ale w tej samej chwili samolot wszedł w warstwę chmur i wszystko zniknęło. Odsunęła się od okna.

– Nigdy już nie zobaczę tego kraju.

– Powinnaś się cieszyć - skomentował Salerno.

– Ona lubi Rosję - powiedział Hollis.

– Łatwo powiedzieć - mruknął Salerno - kiedy mieszka się w przyzwoitych warunkach i robi zakupy w sklepie w ambasadzie. Spróbujcie żyć tak jak Rosjanie. Zrobiłem to kiedyś specjalnie, żeby napisać reportaż.

– W porządku - zgodziła się Lisa. - Ale można polubić ludzi, niekoniecznie lubiąc system.

– To ludzie tworzą ten system. KGB to przecież Rosjanie.

– Mówi pan to samo co on.

Pokazała na Sama. Hollis odwrócił stronę gazety.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym rozmawiacie. Kto to są ci Rosjanie?

Salerno roześmiał się.

– To ci się udało, Sam. - Spojrzał na Lisę. - Posłuchaj, Liso, byłem korespondentem w półtuzinie krajów. W każdym z nich widziałem dobre i złe strony. Ale to miejsce jest naprawdę beznadziejne.

Lisa sapnęła zniecierpliwiona.

– No cóż, może złożycie apelację i przywrócą wam immunitet - dodał. - Sowieci rehabilitują czasami różnych ludzi z im tylko znanych powodów.

– Kto to są ci Sowieci? - zapytał Hollis.

Salerno znowu się roześmiał.

– Posłuchaj, Liso, rozumiem, że masz mieszane uczucia. Ale w głębi serca już teraz czujesz się bardziej rozluźniona. Zgadza się? W tym miejscu - wskazał kciukiem przez okno - żyje się bez przerwy w napięciu. Paranoja jest tu czymś normalnym. Dopiero kiedy człowiek stąd wyjeżdża, zaczyna swobodnie oddychać. Widziałem to w innych startujących stąd samolotach... i dotyczy to w równej mierze turystów co biznesmenów... ludzie uśmiechają się, wygłupiają. Wiesz, że pilot ogłasza, kiedy samolot wchodzi w przestrzeń powietrzną Niemiec Zachodnich. Co ci to mówi?

Hollis ziewnął. Lisa wzięła do ręki czasopismo.

– Opowiem wam, czego się jeszcze dowiedziałem w sprawie Fishera - oznajmił Salerno.

Ani Hollis, ani Lisa nie odezwali się.

– Jego rodzice powiedzieli mi - kontynuował - że miał rezerwację w „Rossiji” i pomyślałem sobie, że być może chłopak dojechał jednak do Moskwy. I wiecie co? Spotkałem angielskiego turystę, który pamięta zaparkowany przed „Rossiją” samochód z tablicami z Connecticut.

Lisa położyła na kolanach czasopismo.

– Co to może według ciebie znaczyć, Mike? - zapytał Hollis.

– Nie jestem pewien. Jaką macie na ten temat teorię w ambasadzie?

– Jak możemy mieć jakąś teorię, skoro dowiaduję się o tym od ciebie po raz pierwszy?

Salerno pochylił się do przodu.

– Doskonale wiecie, że Fisher dojechał do „Rossiji”. Tak się składa, moi drodzy, że zadzwonił z hotelu do ambasady. Rozmawiał z tobą, Liso.

– Skąd o tym wiesz? - zapytała.

– Macie przeciek. Więc co mają z tym fantem zamiar zrobić wasi ludzie? Co ma zamiar zrobić Seth Alevy?

– Seth Alevy - odparł Hollis - jest sekretarzem do spraw politycznych i nie ma nic wspólnego ze sprawą Fishera.

– Daj spokój, Sam.

Hollis przez chwilę się zastanawiał. Nie bardzo wyobrażał sobie, w jaki sposób mogło dojść do przecieku. O telefonie Fishera wiedzieli tylko on, Lisa, Alevy, Banks i ambasador. A może sypnął żołnierz, który odebrał telefon?

– Porozmawiam z tobą na ten temat, kiedy znajdziemy się poza granicami Związku - powiedział.

– Jesteś w amerykańskim samolocie, siedem tysięcy metrów nad ziemią i wciąż wznosisz się w górę - upierał się Salerno.

– Mimo to poczekam z tym do Frankfurtu.

Podeszła do nich Jo z szampanem i wszyscy wzięli do rąk kieliszki. Salerno podniósł swój w górę.

– *Na zdrowie!*

– Masz okropny akcent - skomentował Hollis, kiedy wypili.

– Naprawdę? Sądziłem, że ujdzie.

– Gdzie się nauczyłeś rosyjskiego?

– W szkole Berlitz.

– Każ sobie oddać pieniądze, skoro nie potrafisz prawidłowo wymówić najbardziej popularnego toastu.

– Czy mógłbym porozmawiać z tobą przez chwilę na osobności, Sam? - zapytał Salerno. - To nie ma nic wspólnego ze sprawą Fishera. Obiecuję.

Wskazał na dwa puste miejsca.

– Lisa Rhodes jest przedstawicielem rządu Stanów Zjednoczonych - odparł Hollis. - Ma również pełny dostęp do ściśle tajnych informacji. Wal śmiało, Mike.

Salerno kiwnął głową.

– Bez obrazy. W porządku. Otóż doszły mnie bardzo dziwne wieści. Dowiedziałem się mianowicie, że trzymacie w ambasadzie jakiegoś Amerykanina. Nie wiem, czy ten facet jest szpiegiem, czy wpadł w kłopoty w Moskwie, czy może jedno i drugie. To bardzo dziwna historia.

– Bardzo dziwna - zgodził się Hollis.

Lisa wyciągnęła z torebki papierosa.

– Nie będzie wam przeszkadzać, jak zapalę? Ty zdaje się też palisz, Mike. Nie krępuj się.

– Tak. - Salerno wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro i zapalił. - No, kochani? Uchylcie w końcu rąbka tajemnicy. Przetrzymujecie kogoś w ambasadzie? Wiem, że macie tam podziemne cele. Podobno to ktoś z personelu pomocniczego, tak słyszałem. - Zaciągnął się. - Powiedziano mi, że co najmniej jeden Amerykanin siedzi w izolatce. Może dwóch.

Hollis przez chwilę przyglądał się Mike'owi. Zastanawiał się, czy poluje na informacje o Kellumach, czy o Dodsonie. Ciekawiło go także, skąd facet ma te wszystkie wiadomości. Mike Salerno jeszcze o tym nie wiedział, ale jego podróż powinna się najprawdopodobniej zakończyć już we Frankfurcie.

– To absurd - stwierdziła Lisa.

– Bynajmniej - odparł Salerno. - Słyszałem, że tego faceta w izolatce poszukuje także KGB. Jest albo ich agentem, albo zdrajcą, albo kimś w tym rodzaju. Chcą go dostać w swoje ręce.

Hollis zauważył, że Mike wyprostował podświadomie trzymanego w palcach papierosa. A ponieważ marlboro nigdy się nie zgina, przyszło mu do głowy, że Salerno musiał palić kiedyś inne gatunki. Takie, które się zginają.

– Lubicie się oboje podtruwać nikotyną, prawda? - powiedział. - Palisz miejscowe gatunki? - zapytał Mike'a.

– Boże broń.

– Nigdy nie paliłeś?

Salerno rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Tak tylko.

Salerno zgasił papierosa i wsadził nos w książkę. Podeszła do nich stewardesa, Jo, trzymając w ręku brązową paczkę.

– Pani Rhodes?

– Tak?

– Proszono mnie, żeby przekazać to pani zaraz po starcie - powiedziała, wręczając paczkę Lisie.

– Kto prosił? - zapytała Lisa.

– Jakiś Rosjanin. Pracownik lotniska. Przepisy nie pozwalają nam na ogół przyjmować na pokład takich rzeczy, ale to był pracownik lotniska. Powiedział, że zostało prześwietlone i sprawdzone. Więc chyba nic się nie stało. - Rzuciła okiem na Hollisa. - Powiedział, że to prezent pożegnalny - dodała z uśmiechem, po czym odwróciła się i odeszła.

Lisa wlepiła oczy w leżącą na rozkładanym stoliku paczkę.

– To jest ikona, Sam - powiedziała. - Wysłana pod adresem Służby Informacyjnej Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie. - Przypatrywała się jej jeszcze przez chwilę, po czym spojrzała na niego. - Powiedziałeś, że nadasz ją na bagaż dyplomatyczny.

– Tak też zrobiłem - odparł Hollis. - Uprzedziłem ich w pokoju pocztowym. Co ci powiedzieli, kiedy ją tam zaniostaś?

– Nie zaniostałem... Zobaczyła ją pani Kellum. Powiedziała, że właśnie idzie do pokoju pocztowego i może zabrać ją ze sobą. Uprzedziłam ją, że to ma zostać wysłane bagażem dyplomatycznym. - Spojrzała na Hollisa. - Ktoś ją otwierał. Rozdarta jest taśma. - Dotknęła brązowego papieru. - Brakuje gumowej wkładki.

Hollis nie odezwał się ani słowem.

– Mam zamiar to otworzyć - powiedziała.

– Nie rób tego.

Naderwała papier i w tej samej chwili Hollis złapał ją za przegub. Odsunęła dłoń i rozdarła opakowanie. Z ust wydarł jej się stłumiony szloch.

– Och... och, mój Boże... Sam...

Hollis spojrzał na leżącą na stoliku ikonę. W miejscu, gdzie przedtem była twarz archanioła, widniały wyryte głęboko w drewnie sierp i młot.

Lisa popatrzyła na niego. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wykrztusić ani słowa. W oczach stanęły jej łzy.

Hollis zasłonił papierem ikonę i wziął Lisę za rękę.

– Co to takiego? Co się stało? - zapytał Salerno, podnosząc wzrok nad książki.

W głośnikach zatrzeszczało coś i odezwał się głos kapitana.

– Panie i panowie, mówi kapitan Johnson. Mamy drobne problemy z instalacją elektryczną i otrzymaliśmy w związku z tym polecenie lądowania w Mińsku. Nie ma powodu do obaw. Wylądujemy za mniej więcej

piętnaście minut i wkrótce potem, mam nadzieję, wystartujemy ponownie. Proszę zapiąć pasy. Dziękuję.

Zapaliły się napisy proszące o zapięcie pasów i niepalenie.

– Wygląda na to, że nasze pożegnanie z Moskwą było nieco przedwczesne - powiedział Salerno. Spojrzał na Hollisa i uśmiechnął się.

.30.

Boeing 747 wylądował na lotnisku w Mińsku, zatrzymując się prawie na samym końcu krótkiego pasa startowego. Niebo było wciąż zachmurzone, ale Hollis zauważył, że w Mińsku nie padał śnieg. Lisa ściągnęła papier z ikony i nie odrywała od niej wzroku.

– Dobrze się czujesz? - zapytał.

Nie odpowiedziała.

Samolot pokołował w stronę niedużego nowoczesnego dworca i Hollis spostrzegł, że na spotkanie wyjeżdżają mu cztery wózki ze schodami, co nie było normalne przy rutynowym awaryjnym lądowaniu. Za schodami jechały autobusy. Zauważył także, że boeing kołuje w pewnej odległości od dworca.

Spojrzał ponownie na Lisę.

– To da się odrestaurować. Poradzi sobie z tym każdy muzealny konserwator. Nie będzie nic znać.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem.

Salerno odkręcił do siebie ikonę.

– Co za draństwo! Kto mógł zrobić coś takiego?

– Nietrudno się domyślić - odparł Hollis.

– Masz na myśli KGB? - Salerno w zamyśleniu poskubał wargę. - To znaczy, że infiltrują ambasadę? Hej, a pamiętasz fortepian ambasadora? Co za banda sukinsynów! Ale myślałem, że teraz już się odpowiednio zabezpieczyliście. Może to ten wasz ogrodnik, Wania?

Lisa wzięła Hollisa za rękę.

– Czuję się taka... zbrukana. - Spojrzała na niego. - Dlaczego? Dlaczego, Sam?

– Wiesz dlaczego.

– Ale... to takie bezsensowne. Takie małostkowe i mściwe.

– Tacy właśnie są.

– To sukinsyny... to dopiero sukinsyny!

W ich stronę obejrzeni się czterej Niemcy.

– To się chyba da naprawić - powiedział Salerno. - Trochę wypełniacza i farby i będzie jak nowe. Mogło być gorzej.

Lisa przyjrzała się ikonie. Sierp i młot wyryte były w drewnie prymitywnym narzędziem. Zaokrąglone ostrze sierpa biegło wokół trzech brzegów malowidła, a trzonek młota przecinał na ukos postać archanioła. W miejscu gdzie kiedyś była twarz, widniał wydłubany w surowym drewnie prostokątny obuch młota.

Wzięła głęboki oddech.

– Zamierzam zachować to tak, jak jest.

Hollis ścisnął jej dłoń.

– Dobrze.

– Tak jak mi ją ofiarowali.

Salerno wzruszył ramionami i wyjrzał przez okno.

– Nigdy nie byłem w Mińsku. - Spojrzał na Hollisa. - A ty?

– Nie.

Na wargach Salerna błąkał się niewyraźny uśmiezek.

– Hej, kochani, czy na pewno chroni was tutaj immunitet dyplomatyczny?

Lisa podniosła wzrok znad ikony.

– Wiesz, że nasz immunitet obowiązuje na terytorium całego Związku. Dlaczego w ogóle miałby nam być potrzebny?

– Nigdy nic nie wiadomo.

Boeing kołował jeszcze, kiedy w drzwiach pomieszczenia służbowego pokazała się Jo.

– Panie i panowie - powiedziała - naprawa instalacji może trochę potrwać, w związku z czym musimy opuścić samolot. Proszę zabrać ze sobą wszystkie rzeczy osobiste.

Otworzyła szafkę i wyjęła z niej płaszcz i torby. Samolot zatrzymał się. W drzwiach między kabiną pilotów a kłitką dla stewardes pojawił się pilot, Ed Johnson. Dał znak Hollisowi.

– Idźcie pierwsi - powiedział Sam do Lisy i Salerna.

Podszedł do Johnsona, stając obok niego w wąskim przejściu.

– To nie instalacja - poinformował go Johnson. - Dostaliśmy bezpośrednio z Szeremietiewa wiadomość o tym, że na pokładzie jest bomba.

Hollis kiwnął głową.

– Sowieckie władze lotnicze poleciły mi lądować w Mińsku. To najbliższe w okolicy lotnisko zdolne przyjąć taką maszynę.

– Więc dlaczego nie ewakuujemy się kołnierzami?

– W tym właśnie rzecz. Kiedy podchodziliśmy do lądowania, Szeremietiewo połączyło się z nami ponownie i oznajmiło, że mają informację, iż bomba ma specjalny zapalnik wysokościowy i jesteśmy bezpieczni. To mi trochę nie pasuje. Czy to znaczy, że dorwali tego, kto ją podłożył? I czy wierzą mu na słowo, kiedy mówi, w jakiego rodzaju zapalnik jest wyposażona? Nie chcieli odpowiadać na żadne pytania, kazali po prostu lądować w Mińsku i nie zarządzać awaryjnej ewakuacji. Powiedzieli, że nie chcą niepokoić pasażerów i że mogłoby dojść do niepotrzebnych kontuzji przy zjeżdżaniu kołnierzami. Zażądałem czterech wózków ze schodami i dostałem je. - Johnson spojrzał Hollisowi prosto w

oczy. - Myślę, że to jeden wielki pic. Komuś zależało na tym, żeby ten samolot wylądował w Mińsku.

– Możliwe.

– Czy to może mieć coś wspólnego z wami?

– Niewykluczone.

– Czy ja albo załoga możemy dla was coś zrobić?

– Narazilibyście się tylko na niebezpieczeństwo. Jeśli nie polecę z wami dalej do Frankfurtu, proszę skontaktować się z generałem Vandermullenem w Pentagonie. To mój szef. - Hollis wziął z kuchennej lady papierową serwetkę i napisał na niej numer telefonu. - Niech pan mu po prostu przekaże swoją profesjonalną opinię na temat tego lądowania.

– Zrobię to.

– I ani słowa nikomu, dopóki będziecie się znajdować w przestrzeni powietrznej Bloku Wschodniego. Nawet do drugiego pilota.

– W porządku. Życzę powodzenia.

Uścisnęli sobie dłonie i Hollis zbiegł spiralnymi schodkami na dół. Przy drzwiach samolotu stały ruchome schody. Zszedł po nich na płytę lotniska i wskoczył do autobusu, w którym siedzieli już Lisa, Salerno, angielska para i czterej Niemcy z Clipper Class, a także kilkanaście osób z pierwszej klasy. Drzwi zamknęły się i autobus ruszył z miejsca.

– Czego chciał ten pilot? - zapytała Lisa.

– Żeby mu dać twój numer telefonu.

– Dlaczego w ogóle zadaję ci jakieś pytania?

– Nie mam pojęcia.

– Powiedział, co się tutaj, do diabła, dzieje? - zapytał siedzący za nimi Salerno.

– Nie.

Autobus zatrzymał się przed budynkiem dworca. Wprowadzono ich do poczekalni, tak małej, że z trudem się w niej pomieścili. Hollis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że razem z Lisą odizolowano go zgrabnie od ogółu pasażerów i że wkrótce ta izolacja pogłębi się, kiedy ktoś zaproponuje im należne dyplomatom specjalne traktowanie.

Do poczekalni wkroczył krępy człowieczek, ubrany w śmieszny garnitur koloru musztardy. Towarzyszyła mu atrakcyjna kobieta. Człowieczek podniósł do góry rękę.

– Proszę, proszę! - zawołał po angielsku, z wyraźnie obcym akcentem. Na sali zapadła cisza. - Nazywam się Marczenko - oświadczył człowieczek - i jestem tutejszym przedstawicielem Intouristu. Muszę państwa poinformować, że w samolocie nie nastąpiła bynajmniej awaria instalacji elektrycznej. Sowieckie władze otrzymały informację, że na pokładzie znajduje się bomba.

W tłumie rozległo się zbiorowe westchnienie.

– Proszę, proszę. Nie ma się czego obawiać. Niestety, musimy przeszukać cały samolot i bagaż. To zabierze dużo czasu. Dlatego też Intourist zabierze państwa wszystkich na lunch do hotelu „Sputnik”, gdzie być może będziecie państwo musieli przenocować.

Stojąca obok niego kobieta powtórzyła komunikat po niemiecku, a potem po francusku. Na Hollisie wywarła wrażenie wyjątkowa dla Sowieców sprawność, z jaką w tak krótkim czasie przeprowadzono całą operację. Najwyraźniej Intouristowi pomogła inna, bardziej sprawna sowiecka organizacja.

– Nie podoba mi się to, Sam - stwierdziła Lisa.

Salerno zapalił papierosa.

– Mam nadzieję, że w tym cholernym „Sputniku” jest jakiś bar - jęknął.

– Zaraz wracam - powiedział Hollis.

– Dokąd idziesz? - zapytał Salerno.

– Do toalety.

Hollis wyszedł z poczekalni na korytarz, ale stojący tam strażnik z tkwiącym w kaburze pistoletem pokazał mu, żeby wracał.

– Muszę iść do toalety - powiedział po rosyjsku Hollis.

Strażnik wydawał się zdziwiony jego znajomością języka.

– Toaleta jest w poczekalni - odparł.

– Zajęta.

– Nie może pan poczekać?

– Mam chory pęcherz.

Strażnik przepuścił go. Hollis wszedł do niewielkiej męskiej toalety, podniósł metalowy pojemnik na śmieci i cisnął nim o wyłożoną kaflami ścianę. Sekundę później drzwi toalety otworzyły się i do środka wpadł strażnik. Stopa Hollisa trafiła go prosto w krocze. Facet wydał z siebie stłumiony jęk i zgiął się wpół. Hollis złapał go jedną ręką za wysoki kołnierz munduru, drugą za pas i grzmotnął głową o ścianę. Strażnik stęknął i opadł na kolana. Hollis zaciągnął go za kołnierz do jednej z kabin i posadził na sedesie. Zamknął drzwi kabiny, po czym otworzył pojemnik na śmieci i wrzucił do środka czapkę strażnika.

Wyszedł na korytarz i ruszył szybkim krokiem w stronę głównej hali dworca. Odnalazł we wnęce automat telefoniczny, wrzucił w otwór dwie kopiejki i wykręcił numer mińskiej centrali międzymiastowej.

– Proszę z Moskwą, numer dwieście pięćdziesiąt dwa, zero zero, siedemnaście.

– Proszę przygotować sześćdziesiąt kopiejek.

Hollis usłyszał w słuchawce serię trzasków, oznaczających, że połączono go z centralą w Moskwie i że włącza się działający na linii ambasady

podłuch KGB. Telefon w jego własnym biurze odebrano po drugim dzwonku.

- Kapitan O'Shea - doszedł go odległy, ledwie słyszalny głos.
- Proszę wrzucić sześćdziesiąt kopiejek - wtrąciła się telefonistka.

Hollis wepchnął w otwór pierwsze dwadzieścia pięć kopiejek. O'Shea, poznając po głośnym szumie, że ktoś płaci za rozmowę międzymiastową, nie odkładał słuchawki. Hollis wepchnął pozostałe monety, przeklinając w duchu sowiecki system telefoniczny.

Szum ustał i Hollis usłyszał, że ma linię wolną.

- Halo...

Ktoś sięgnął zza jego pleców i nacisnął w dół widełki telefonu. Hollis odwrócił się i ujrzał przed sobą krępego pana Marczenkę, tym razem w płaszczu i w towarzystwie dwóch strażników KGB, którym nie sięgał nawet głową do naramienników.

– Pułkowniku Hollis, wszystko jest w całkowitym porządku - odezwał się Marczenko. - Nie ma potrzeby dzwonić.

- Jakim prawem przerwał mi pan rozmowę? - ryknął Hollis.

– Słucham?

– Odsuń się! - wrzasnął po rosyjsku Hollis. Odwrócił się i wrzucił do automatu kolejne dwie kopiejki.

– Proszę z nami, pułkowniku - powiedział Marczenko. - Czeka na pana pani Rhodes. Bardzo się o pana niepokoi.

Hollis odwrócił się.

- Gdzie ona jest?

– W samochodzie. Pozwoli pan, że ponownie się przedstawię. Nazywam się Marczenko i jestem kierownikiem miejscowego biura Intouristu. Dostałem telegram z Ministerstwa Spraw Zagranicznych z prośbą o

okazanie szczególnych względów panu i pani Rhodes. Czy pójdzie pan ze mną?

– Nie potrzebujemy żadnych szczególnych względów. Zostaniemy tutaj na lotnisku.

Marczenko pokręcił głową.

– Nie, pułkowniku. Otrzymałem wyraźne instrukcje. W samochodzie czeka na pana pani Rhodes.

Hollis ominął wzrokiem dwóch umundurowanych strażników i zauważył stojących pośrodku zatłoczonej hali trzech mężczyzn w brązowych skórzanych płaszczach. Trzymali ręce w kieszeniach i nie spuszczaali z niego oczu.

– Chcę, żeby przyprowadził pan tutaj panią Rhodes. Natychmiast. - Odwrócił się i ponownie wykręcił numer międzymiastowej. - Proszę połączyć mnie z Moskwą - powiedział po rosyjsku. - Numer dwieście pięćdziesiąt dwa, zero zero, siedemnaście.

– Nie ma potrzeby dzwonić, pułkowniku. Spóźnimy się!

– Na co?

Hollis usłyszał w słuchawce szumy, brzęczenie i stłumione głosy.

– Na helikopter, pułkowniku. Który ma pana zabrać z powrotem na Szeremietiewo. O piętnastej pięćdziesiąt pięć wylatuje do Frankfurtu samolot Lufthansy. Ten boeing już dzisiaj nie wystartuje. Proszę iść z” nami.

Hollis rozważał przez chwilę kilka wariantów postępowania, żaden z nich nie wydawał się jednak obiecujący.

– Nie ma pośpiechu - powiedział. - Powiedziałem już, że chcę, żeby przyprowadził pan tutaj panią Rhodes.

– Ale my nie mamy wyboru. Dostałem telegram z Moskwy.

– Jestem o tym przekonany. Pytanie tylko, czy telegram był z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, czy z placu Dzierżyńskiego.

– Nie rozumiem pana. Proszę, niech pan chociaż pójdzie z nami do samochodu i zapyta o zdanie pani Rhodes. Ona bardzo się o pana niepokoi.

– Centrala moskiewska - usłyszał głos w słuchawce.

– Chcę rozmawiać z numerem dwieście pięćdziesiąt dwa, zero zero, siedemnaście.

– A pan prawdopodobnie niepokoi się o nią - ciągnął zmartwionym tonem Marczenko.

– Ty sukinsynu...

– Nie mogę uzyskać połączenia - odezwała się ponownie telefonistka.

Hollis wiedział, jak spierać się z Towarzystwem Telefonicznym Bella, ale jeśli w centrali moskiewskiej oznajmiono, że nie mogą uzyskać połączenia, mogło to oznaczać wszystko - poczynając od zajętego telefonu aż po zablokowanie linii przez KGB. Hollis chętnie udałby, że rozmawia z O'Shea, ale jego moneta wciąż tkwiła, wsunięta do połowy w otworze i nie mogła wpaść do środka, dopóki ktoś nie odbierze telefonu. Odwiesił słuchawkę.

– Biuro Intouristu zatelegrafowało już do ambasady - oświadczył Marczenko - i poinformowało pańskich rodaków o nowej godzinie odlotu. Proszę, pułkowniku, pani Rhodes...

Z korytarza wynurzył się nagle Salerno.

– Tu jesteś. Co się tutaj dzieje?

– Masz odpowiedź na pytanie o mój immunitet - powiedział Hollis. - Wciąż obowiązuje.

– Ma pan paszport dyplomatyczny? - zapytał Marczenko, zwracając się do Salerno.

– Boże broń. Zarabiam na chleb jak zwykły śmiertelnik. - Salerno wyciągnął swoją sowiecką akredytację prasową. - *Żurnalist*.

– W takim razie musi pan wrócić do poczekalni - oświadczył Marczenko. - Wkrótce odjeżdża pański autobus.

– Nie pali się - odparł Salerno. - Powiedzieli Lisie, że chcesz się z nią widzieć - poinformował Hollisa. - Co tu się, u diabła, dzieje?

– Zaproponowano nam przejażdżkę helikopterem z powrotem na Szeremietiewo. Mamy tam złapać samolot Lufthansy do Frankfurtu.

– Szczęściarze... Lecicie sobie do Frankfurtu, a ja będę zajadał w „Sputniku” słoninę z grzybami. W następnym wcieleniu chcę być dyplomatą.

– A kim byłeś w poprzednim? - zapytał Hollis.

– Rosjaninem - odparł ze śmiechem Salerno. - Hej, może mnie też zabierzecie do Moskwy? - zapytał Marczenki.

– Niemożliwe.

– *Nielzia* - odparł po rosyjsku Salerno. - To wszystko, co można usłyszeć w tym kraju. - O cokolwiek zapytasz, odpowiedź brzmi: *nielzia*. Ktoś powinien ich nauczyć zwrotu: „to się da zrobić”.

Cierpliwość Marczenki była na wyczerpaniu.

– Proszę, pułkowniku! Pańska towarzyszka czeka.

– Nie sądzę, żebyś mógł im odmówić takiego zaszczytu, Sam - powiedział Salerno. - Zadzwoń zaraz do ambasady - dodał wskazując automat - i poinformuj ich, że Intourist rozwinął przed wami, przepraszam za wyrażenie, czerwony dywan. Wątpię, żeby chcieli zrobić wam coś złego, a jeśli nawet, to nie pozwoli na to ambasador. Więc nie masz się czego obawiać, Sam. Może spotkamy się jeszcze we Frankfurcie.

– Poznałem cię po papierosie, Michael - powiedział po rosyjsku Hollis. - Prostowałeś go bez przerwy palcami.

Salerno uśmiechnął się i puścił do niego oko.

– Będę ci wdzięczny, jeśli nie powiesz o tym nikomu - odparł również po rosyjsku. - A moja wdzięczność może ci się wkrótce przydać.

Poklepał Hollisa po ramieniu, odwrócił się i odszedł. Marczenko wskazał ręką drzwi terminalu. Eskortowany z obu stron przez żołnierzy Straży Granicznej Hollis minął niedużą sień i wyszedł przez szklane drzwi na zewnątrz. Marczenko otworzył tylne drzwiczki wołgi. Hollis zobaczył siedzącą na tylnym siedzeniu Lisę.

– Liso, wysiadaj z samochodu.

Zanim zdążyła zareagować, kierowca ruszył kilka metrów do przodu, a Marczenko zatrzaskał drzwiczki.

– Pułkowniku - powiedział - utrudnia pan tylko sprawę.

Do Hollisa zbliżyli się dwaj strażnicy KGB. Trzej faceci w skórzanych płaszczach, których widział przedtem w hali dworca, wyszli teraz na zewnątrz i stali przy szklanych drzwiach. Z pewnością poczułby się lepiej, pomyślał, gdyby dostarczył im trochę zajęcia, z drugiej jednak strony bójka zakończyłaby się dla niego najprawdopodobniej spałowaniem i użyciem chloroformu, a w konsekwencji zakuciem w kajdanki i fatalnym bólem głowy. Podszedł do samochodu.

Marczenko z uprzedzającą grzecznością otworzył przed nim drzwi i Hollis wsiadł do środka. Lisa zarzuciła mu ręce na szyję.

– Sam! Tak się martwiłam... co tu się dzieje?

– Wszystko w porządku.

Marczenko usiadł z przodu i samochód ruszył spod dworca.

Lisa wzięła w obie dłonie rękę Hollisa.

– Powiedzieli mi, że na mnie czekasz, a potem...

– Wiem.

– Wracamy na Szeremietiewo?

– Dobre pytanie.

Pociągnął za klamkę, ale posunęła się tylko o centymetr. Zadźwięczał dzwonek i zapaliło się światełko na tablicy rozdzielczej.

– Pułkownik Hollis - odezwał się Marczenko - oparł się pan o klamkę.

Hollis nie odpowiedział. Wyjrzał przez tylną szybę i zobaczył jadącą za nimi drugą wołgę. Siedzieli w niej trzej mężczyźni w skórzanych płaszczach.

– Czy zostaliśmy porwani? - szepnęła mu do ucha Lisa.

– W tym kraju trudno zgadnąć. Czasami trzeba po prostu zapytać. - Hollis pochylił się w stronę Marczenki. - Komitet?

Marczenko odwrócił się na siedzeniu i spojrzał na nich.

– Nie, nie. Proszę. Intourist - powiedział uśmiechając się. - Pan też jest przecież tylko attaché powietrznym. - Roześmiał się głośno. - Zawitała do nas zima. Jaka pogoda w Moskwie?

– Chłodniej.

– W Moskwie zawsze jest chłodniej. Wiecie dlaczego?

– Nie. Dlaczego?

– Osiem milionów zimnych serc. Oto dlaczego. Ja jestem Białorusinem. Wszyscy Wielkorusowie to w połowie Tatarzy. My tutaj jesteśmy bardziej zachodni. Podobała się panu Moskwa?

– Cudowne miasto.

– Naprawdę? Żartuje pan. Ja nienawidzę Moskwy. Ale czasami tam jeżdżę w sprawach zawodowych. Mińsk to przepiękne miasto. Niemcy zniszczyli je w dziewięćdziesięciu procentach i zabili jedną trzecią mieszkańców. Zginęła wtedy większość mojej rodziny. Sukinsyny. Ale wszystko odbudowaliśmy. Moskwa prawie nam nie pomagała. Rozumie pan? Aroganccy Niemcy i okrutni Moskale. A kto siedzi w potrzasku między nimi? My.

– Znam to uczucie.

Wołga skręciła w wąską betonową drogę biegnącą wzdłuż otaczającego lotnisko ogrodzenia z siatki. Marczenko odwrócił się do przodu.

– Ale kiedy Moskwa dostaje kataru, my zaczynamy kichać - ciągnął dalej. - Tak to się u was chyba mówi?

– Odwrotnie.

– Naprawdę? Kiedy Moskwa kichnie, my dostajemy kataru? - Wzruszył ramionami i odwrócił się z powrotem do nich. - Jedziemy oczywiście na lądowisko. Nie mieliśmy czasu zabrać waszego bagażu, więc poleci do Frankfurtu dopiero jutro. Możecie poprosić, żeby przesłali wam go prosto do hotelu. Ale bagaż podręczny kazałem wsadzić do bagażnika, więc dzisiaj w nocy będziecie mieli wszystko, co trzeba. Jeśli jest jeszcze coś, co mogę załatwić przez biuro Intouristu, nie krępujcie się, mówcie.

– Zrobił pan już dosyć - powiedziała Lisa.

Marczenko zachichotał.

Wołga skręciła w stronę szerokiego betonowego placu, na którym widniała wymalowana żółtą farbą litera „X”.

– No - oznajmił Marczenko. - Dojechaliśmy. Ale nie ma helikoptera. Niepotrzebnie się śpieszyliśmy.

– Może - powiedział Hollis - ktoś go ukradł?

– Tak, to jedna z naszych narodowych bolączek. Wie pan o tym? Ludzie za dużo kradną. Ale wydaje mi się, że tym razem to chyba co innego. Spóźniałstwo.

Wołga zatrzymała się na skraju lądowiska, nie gasząc silnika. Samochód z ochroną stanął z tyłu, a trzech jego pasażerowie wysiedli, nie oddalając się jednak od wozu.

Marczenko spojrział na zegarek, a potem pochylił się do przodu, żeby zerknąć przez przednią szybę na niebo.

– Już nadlatuje. Wygląda na to, że zdążycie na swój samolot - powiedział, nie starając się nadać swemu głosowi nawet pozorów wiarygodności.

Lisa przytknęła Hollisowi usta do ucha.

– Powiedz, że nie ma się czego bać - szepnęła. - Powiedz, że wszystko jest w porządku.

– Myślę, że trochę czujności nie zaszkodzi. Zobaczymy, jakie mają zamiary. Może chcą tylko pogadać.

– Osobiście nie lubię helikopterów - oświadczył Marczenko. - Traf chciał, że niedaleko stąd wydarzył się dzisiaj paskudny wypadek. Zginęło dwóch pilotów i dwójka pasażerów, mężczyzna i kobieta. Wszyscy doszczętnie spaleni, nie do rozpoznania. Jakby ich ktoś poddał kremacji, naprawdę. Pomyślcie o rodzinach. Skąd mają wiedzieć, czy grzebią właściwe zwłoki?

Hollis zorientował się, w jaki sposób zostało to wszystko zaplanowane. Usłyszał odgłos tnących ciężkie, wilgotne powietrze łopat wirnika. Wysoko, nad linią pozbawionych liści drzew pojawił się na tle szarego nieba czarny śmigłowiec. Zawisł przez chwilę nieruchomo w powietrzu, a potem zaczął schodzić w dół. Hollis rozpoznał w nim Mi-28, sześćoosobową maszynę, napędzaną silnikiem turboodrzutowym i przypominającą trochę model Jet Ranger Bella. Aerofłot istotnie używał tych śmigłowców do wożenia VIP-ów między moskiewskimi lotniskami a położonymi w centrum stolicy specjalnymi lądowiskami. Ten konkretny Mi-28 nosił jednak, jak zauważył Hollis, gdy tylko maszyna znalazła się dostatecznie blisko, znaki sowieckich sił powietrznych.

– Naprawdę bardzo się pan o nas troszczy, panie Marczenko - powiedział.

– O, tak - odparł Marczenko. - Bardzo ważne z was osoby. Do tego stopnia, że kazano mi wam towarzyszyć. Proszę wysiąść z samochodu.

Sam i Lisa wysiedli. Kierowca wyjął z bagażnika torbę i ikonę i położył wszystko na betonie u ich stóp. Za plecami Hollisa stanął jeden z tajniaków, którzy przyjechali drugą wołgą. Z boku podszedł do niego Marczenko.

– Ten dżentelmen z tyłu nazywa się Wadim - zawołał, starając się przekrzyczeć hałas lądującego helikoptera. - Poleci razem z nami!

Hollisowi przyszło na myśl, że mógłby spróbować swoich sił w pilotowaniu Mi-28, ale Marczenko chciał mu to najwyraźniej z góry wyperswadować.

Helikopter usiadł na wymalowanej żółtą farbą literze „X”.

– Chodźcie, chodźcie! - zawołał Marczenko.

Sam i Lisa ruszyli w stronę helikoptera, mając za plecami Marczenkę i Wadima. Drugi pilot odsunął niewielkie drzwiczki w kadłubie i Hollis wspiął się do środka, a potem pomógł wejść Lisie. Pilot pokazał im dwa tylne siedzenia. Wsadzili pod nie swoje bagaże i usiedli. Wadim, który wskoczył następny, usiadł na fotelu przed Lisą. Po nim próbował się wgramolić do środka Marczenko, ale pilot najwyraźniej nie kwapił mu się z pomocą i dopiero Wadim musiał wychylić się i wciągnąć grubasa do kabiny. Drugi pilot zasunął drzwi i usiadł na swoim miejscu. Helikopter uniósł się w górę.

Marczenko opadł z trudem na ostatni wolny fotel i próbował złapać oddech.

– Och... - jęknął, odwracając się do siedzącego za nim Hollisa. - Robię się stary...

– I tusty - dodał po rosyjsku Hollis.

Wadim odwrócił się do tyłu, mierząc Amerykanina nieprzyjemnym spojrzeniem, które utwierdziło go w przekonaniu, że tajniak jest

podwładnym Marczenki i że ani on, ani jego szef nie są przewodnikami Intouristu.

Helikopter zakręcił w powietrzu i skierował się na wschód, z powrotem w stronę Moskwy. Hollis zauważył, że obaj piloci byli oficerami sił powietrznych. Potem przyjrzał się z profilu Wadimowi.

Pomocnik Marczenki mógł liczyć około trzydziestu lat, sprawiał wrażenie dobrze umięśnionego pod swoim skórzanym płaszczem i miał jeden z najgrubszych karków, jakie Hollisowi zdarzyło się w życiu oglądać, wliczając w to wizyty w ogrodach zoologicznych. Wątpił, czy uda mu się objąć ten kark dłońmi; lepiej było chyba podduśnić Wadima krawatem, sięgając drugą ręką po pistolet. Nie powinien również lekceważyć tłustego Marczenki ani tym bardziej dwóch pilotów.

Zaczął układać w myśli plan działania.

Marczenko odwrócił się na swoim siedzeniu.

– Niech pan się odpręży - powiedział, jakby czytał w jego myślach - i poogląda sobie widoczki. Za trzy godziny będziemy w Moskwie. Zdążycie akurat.

– Przestań wstawiać ten kit, Marczenko - odezwała się Lisa.

– Kit?

Hollis ocenił, że helikopter leci prosto na wschód, na wysokości około siedmiuset metrów, trzymając się drogi Mińsk - Moskwa. Na ziemi zaczęły się pokazywać pierwsze połacie śniegu, a lodowaty północny wiatr zmuszał pilota do lekkiego przechyłu na lewo. Mi-28 mógł lecieć z szybkością prawie trzystu węzłów i Hollis pomyślał, że powinni bardzo szybko dotrzeć do celu podróży.

Objął ramieniem Lisę i pomasaował jej ramię.

– Jak się czujesz, dziecinko?

– Fatalnie. - Rzuciła okiem na leżącą na jej kolanach ikonę. - Na tym chyba polega autentyczna wiara, prawda? Na przekonaniu, że ktoś spogląda na ciebie z góry i pilnuje, żeby nie stało ci się nic złego.

– Tak.

Cały dowcip polegał na tym, pomyślał, żeby załatwić szybko Wadima i wyciągnąć jego pistolet, zanim Marczenko wyciągnie swój. Następnie zastrzelić Marczenkę i dwóch pilotów i posadzić Mi-28 na lądowisku ambasady. Cały plan opierał się oczywiście na założeniu, że Marczenko nie jest wbrew temu, co mówi, życzliwym facetem z Intouristu, któremu Ministerstwo Spraw Zagranicznych poleciło przewieźć helikopterem amerykańskich dyplomatów, żeby zdążyli na samolot Lufthansy do Frankfurtu. Ale Hollis musiał działać na podstawie tego, w co sam wierzył, a nie tego, co podawał do wierzenia Marczenko.

Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób szybko załatwić Wadima.

– W ciągu ostatnich trzystu lat tę ikonę pocałowano pewnie dziesięć tysięcy razy - powiedziała Lisa. - Ja nigdy jej nie całowałam...

– Zrób to teraz. Nie zaszkodzi.

Podniosła ikonę do góry i przycisnęła do niej wargi.

Wadim wyczuł za sobą ruch i obrócił się szybko w fotelu. Spojrzał na ciężkie drewniane malowidło i natychmiast domyślił się, co chodzi po głowie Hollisowi. Wyciągnął prawą rękę i złapał ikonę w tej samej chwili, kiedy Lisa opuszczała ją w dół. Hollis podstawiał lewe kolano pod jego przedramię i uderzył go kantem prawej dłoni w nadgarstek.

Usłyszał wrzask Wadima i trzask łamanej kości. Wyrwał ikonę z rąk Lisy i podniósł ją do góry, celując rogiem w czubek głowy Wadima, tam gdzie znajduje się szew koronowy.

Marczenko zareagował szybciej, niż Hollis się tego spodziewał. Ześlizgnął się w dół z fotela i ukląkł na jednym kolanie, mierząc z

ciężkiego pistoletu prosto w pierś Hollisa.

– Przestań! Przestań! - krzyczał.

Hollis zawahał się przez chwilę. Wadim także zsunął się ze swego fotela, po czym pojawił ponownie, z pistoletem w lewej dłoni. Hollis zauważył, że z twarzy odpłynęła mu cała krew, a prawe ramię zwisało nieruchomo. W kabinie pojawił się drugi pilot, trzymając w ręku małokalibrowy automat, poręczny przy walce na pokładzie helikoptera.

Celował z niego w Lisę.

– Odłóż to, powoli - powiedział Marczenko.

Hollis opuścił w dół ikonę, a Marczenko wyrwał mu ją z rąk.

– Schowaj pistolet - zwrócił się po rosyjsku do Wadima.

Wadim pokręcił głową.

– Wypruję z niego flaki.

– Wtedy ja wypruję flaki z ciebie. Schowaj broń - powtórzył władcym głosem Marczenko.

Wadim schował pistolet do kieszeni płaszcza.

Rosjanie, przypomniał sobie ponieważ Hollis, podobnie jak wielu Europejczyków, nie są entuzjastami kabur i wolą chować broń do kieszeni. Dlatego właśnie Marczenko tak szybko wyciągnął swój pistolet.

Marczenko podniósł się z fotela, prawie dotykając głową sufitu kabiny.

– Życie nauczyło mnie - powiedział, zwracając się do Hollisa - że ludzie wierzą chętnie w każde kłamstwo, które pocieszy ich strapione serca i pozwoli zachowywać się godnie w drodze na egzekucję. Ale widzę, że nie uwierzył mi pan, że lecimy na Szeremietiewo, żeby zdążyć na samolot Lufthansy, i muszę przyznać, że się pan nie myli.

– Nie wierzę również, że czeka mnie egzekucja. Tym mógł się pan zająć w Mińsku.

– Cóż, najpierw chcą z panem porozmawiać. I ma pan rację, otrzymałem rozkaz, żeby dowieźć pana żywego na miejsce przeznaczenia. Ale jeśli jeszcze raz spróbuje pan jakichś głupich sztuczek, zabiję panią Rhodes. To mi wolno. - Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kajdanki. - Nie używamy ich często, bo sowieccy obywatele robią przeważnie to, co im się każe. Ale zabrałem je, bo wiem, że Amerykanie nie szanują prawa. Niech pan je założy.

Sam spojrzął na Lisę. Była blada, ale opanowana.

– Nic mi nie jest - uspokoił ją.

Hollis zatrzasnął sobie kajdanki na przegubach i usiadł na fotelu. Marczenko także usiadł i dał znak pilotowi, żeby wrócił na swoje miejsce.

– Złamana? - zapytał po rosyjsku Wadima.

– Tak.

– Po wylądowaniu zobaczymy, co się da w tej sprawie zrobić.

Hollis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że nie chodzi im o założenie gipsu poszkodowanemu, ale o złamanie nadgarstka sprawcy.

Marczenko przyjrzał się ikonie, która leżała teraz na jego kolanach.

– Została sprofanowana. Czy zrobił to ktoś z naszej firmy? - zapytał.

– Któż inny? - odparła Lisa.

Marczenko cmoknął ustami.

– Nie podoba mi się całe to niszczenie zabytków kultury. Mam pewne zastrzeżenia do Rosjan, ale wszyscy w końcu jesteśmy Słowianami. To okropne.

Hollis domyślił się, że Marczenko wcale nie żartuje, wiedział jednak, że gdyby kazano mu spalić wszystkie cerkwie na Białorusi, zrobiłby to bez słowa protestu, cmokając co najwyżej ustami.

– Może byś się wreszcie zamknął? - rzucił.

Marczenko odwrócił się i spojrzął urażonym wzrokiem na Hollisa.

– Nie ma powodu, żebyśmy zachowywali się ordynarnie - stwierdził.

– Wprost przeciwnie, grubasie. Jesteś bardziej odrażający od tych świń w Moskwie, bo zdradziłeś swój własny kraj i idziesz na pasku Rosjan.

Przez krótką chwilę Marczenko walczył z samym sobą. W końcu wziął głęboki oddech i uśmiechnął się z przymusem.

– Widzisz? Opowiedziałem ci coś niecoś o sobie i od razu to wykorzystałeś. Typowy szalbierz z Zachodu. Wydaje ci się, że możesz nadużywać mojej cierpliwości, bo kazano mi cię dowieźć żywego. Wiesz, co ci powiem? Wytoczmy ci proces o zamordowanie dwóch strażników, a być może nawet trzeciego, jeśli umrze ten, którego zostawiłeś w toalecie. Tego rodzaju zbrodnie, jak świetnie sobie zdajesz sprawę, nie uchodzą u nas bezkarnie. Zostaniesz prawdopodobnie osądzony i skazany na śmierć. A potem powiedzą ci, żebyś napisał apelację do przewodniczącego Rady Najwyższej, ponieważ takie prawo przysługuje ci na mocy sowieckiej konstytucji. W trakcie pisania apelacji ktoś strzeli ci w tył głowy. Tak to się u nas robi. Bardzo humanitarny sposób. Człowiek do ostatniej chwili nie wie, co go czeka. Ale ty będziesz wiedział, Hollis. Jeśli powiedzą ci, żebyś napisał apelację, będziesz wiedział, że to koniec. Pomyślałem, że wyświadczę ci tę grzeczność i z góry uprzedzę, co cię czeka. Mimo że jesteś mordercą.

– Stul dziób, Marczenko.

Grubas po raz pierwszy sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Odwrócił się do Lisy.

– Pani nie jest taka zła, dlatego wcale nie chcę pani zastrzelić. Ale ten pani przyjaciel... cóż, nie spotkałem dotąd wielu ludzi z Zachodu. Może nie powinienem ich wszystkich sądzić po jednym szpiegu. Prawda?

– Odda mi pan z powrotem ikonę? - zapytała. - Obiecuję, że nie roztrzaskam jej panu o głowę.

Marczenko roześmiał się.

– Musi pani przysiąc na Boga.

– Przysięgam na Boga, że nie roztrzaskam jej panu o głowę.

– Dobrze. - Marczenko pochylił się do tyłu i podał jej ikonę. - Widzi pani? Całą tę nieprzyjemną scysję wywołała religijna relikwia. Ale szanuję wierzących. Mam kuzynkę, mniej więcej w moim wieku, która wierzy w Boga. Nie wiadomo, dlaczego została baptystką. Kolejna zachodnia dywersja wszyscy ci baptyści. Mogła przynajmniej nawrócić się na prawosławie, jeśli chciała już koniecznie zostać męczennicą. Czy religia przynosi pani pociechę nawet teraz?

– Tak.

– To dobrze. Być może któregoś dnia, na krótko przed śmiercią porozmawiam z popem o tym, jak dostać się do nieba. Bóg zrozumie. Nieprawda?

– Sądzę, że nawet Pana Boga wkurzają niektórzy ludzie.

– Wkurzają?

– Błagam cię, Marczenko - odezwał się Hollis - zamknij ten swój pieprzony dziób.

– Tak? Być może rzeczywiście za dużo mówię. W mojej pracy to wada. Być może powinienem naprawdę pracować w Intouriście. Mógłbym rozmawiać przez cały dzień z ludźmi z Zachodu. - Odwrócił się do Wadima. - Czy ja za dużo mówię? - zapytał po rosyjsku.

– Nie, proszę pana.

– Widzicie? No dobrze, postaram się przez chwilę być cicho - powiedział i usiadł wygodniej w fotelu.

Hollis spojrzał na Lisę.

– Odpręż się.

Uśmiechnęła się z przymusem i wzięła jego skute dłonie w swoje.

– Nie czuję się najgorzej.

– To dobrze.

Przez następne dwie godziny prawie ze sobą nie mówili, a i Marczenko, starając się dotrzymać obietnicy, niewiele się odzywał. Wadim coraz bardziej cierpiał. Co jakiś czas mruczał pod wąsem przekleństwa, a przegub spuchł mu jak bania. Drugi pilot przypomniał sobie poniewczasie, że ma apteczkę i Wadim znalazł w niej kodeinę. Łyknął parę tabletek.

Hollis był przekonany, że obaj piloci przez cały czas doskonale pamiętali, że mają apteczkę. Już wcześniej zaobserwował u Rosjan ten szczególny rodzaj bezinteresownego okrucieństwa, absolutną obojętność wobec cierpienia obcych. Jeśli z nimi wypijesz albo obnażysz własną duszę, wtedy oddadzą ci ostatnią koszulę, nie zważając na to, jak krótka łączy was znajomość. Ale jeśli nie jesteś przyjacielem ani krewnym, kochankiem ani kompanem od wypitki, nie powinieneś się spodziewać, że ktokolwiek poda ci środki uśmierzające, żeby złagodzić ból w złamanym nadgarstku. Podobna znieczulica panowała, jak słyszał, w szpitalach. W gruncie rzeczy drugi pilot zaproponował tabletki Wadimowi nie dlatego, żeby ten poczuł się lepiej, ale żeby uświadomić mu, że były dostępne już od dwóch godzin. Okrucieństwu towarzyszyła obelga. Być może nawet zamierzona, pomyślał, jeśli się weźmie pod uwagę, że pilotami byli oficerowie lotnictwa, a pasażerami ludzie z Komitetu. Co jeszcze dziwniejsze, Wadim nie wydawał się wcale żywić pretensji do pilotów za ich brak współczucia, spoglądał tylko coraz groźniej na sprawcę całego nieszczęścia.

Prymityw, pomyślał Hollis. Ale Rosjanie reagują na bezpośrednie bodźce, nie na abstrakcje. Nie powinien o tym zapominać w ciągu nadchodzących dni.

– Może chcesz się wycofać? - zapytał lekkim tonem Lisę.

Podniosła na niego wzrok.

– Właśnie się nad tym zastanawiam - powiedziała cicho, żeby nikt inny nie mógł jej usłyszeć. - Obiecaliście mi z Settem, że będziecie mnie o wszystkim informować.

– Cały czas cię informuję. Właśnie zostaliśmy porwani.

– To nie jest śmieszne, Sam. Uważam, że obaj wiedzieliście, że to się może zdarzyć.

Hollis przez chwilę milczał.

– Podejrzewaliśmy to - rzekł w końcu.

– Chyba więcej niż podejrzewaliście. Wiesz, że Seth nie chciał, żebym leciała tym samolotem?

– Nie, nic o tym nie wiedziałem. - Ale to bardzo interesujące, pomyślał. - Nikt nigdy nie obiecywał, że będzie cię o wszystkim informował, Liso - stwierdził poważnym tonem. - Nie w tym fachu. Ja też nie mam dostępu do pełnych informacji.

Kiwnęła głową.

– On starał się... starał się mnie o coś poinformować, ale chyba nie słuchałam uważnie.

– I nie powtórzyłaś mi, co powiedział.

– Przepraszam. Mówił, że jesteś na celowniku i powinnam trzymać się od ciebie z daleka.

– Ale mimo to poleciałaś razem ze mną.

– Kocham cię, ty głupcze.

– Słyszę jakieś szepty - wtrącił się Marczenko. - Żadnych szeptów. Żadnych tajemnic.

– Gdybym cię nie kochała - ciągnęła dalej Lisa, ignorując Marczenkę - byłabym na ciebie naprawdę wkurzona.

– Postaram ci się zrewanżować. Może obiad?

– U „Claridge'a”.

– Załatwione.

– Obiad? - odezwał się Marczenko. - Zgadza się, straciliśmy lunch.
Jestem głodny.

– Mógłbyś przeżyć miesiąc na swoim tłuszczu - powiedział Hollis.

Marczenko odwrócił się i wlepił w niego wzrok.

– A ty będziesz żarł szczury, żeby przeżyć w Gułagu.

– Idź do diabła.

– To ty się tam wybierasz, przyjacielu.

Prawie trzy godziny po starcie helikopter zaczął schodzić niżej. Hollis wyjrzał przez okno i zobaczył starą drogę do Mińska i kilkanaście małych wiosek, z których każda mogła być Jabłonią. A potem nagle zobaczył ich wioskę. Wiedział, że to musi być Jabłonia. Po obu stronach polnej drogi stały zwęglone czarne chaty. Tam gdzie kiedyś były przydomowe ogródki i stogi siana, leżał teraz szary popiół. Buldożer wykopał w czarnej ziemi długi dół, do którego zepchnięto już połowę wypalonych zabudowań. Hollis odwrócił się od okna. Do listy porachunków, które trzeba było wyrównać - Fishera, Billa Brennana i trzystu amerykańskich lotników - dochodziła teraz mała Jabłonia.

Po mniej więcej trzech minutach ponownie wyjrzał przez okno. Znajdowali się teraz na wysokości około stu siedemdziesięciu metrów. Zobaczył skraj pola bitwy, szanice, pomniki, a potem budynek muzeum. Po chwili w polu widzenia pojawił się sosnowy las i helikopter zaczął szybko schodzić w dół. Hollis ujrzał ogrodzenie z drutu i pas zaoranej ziemi, a potem lądowisko, które Alevy pokazywał mu na satelitarnej fotografii.

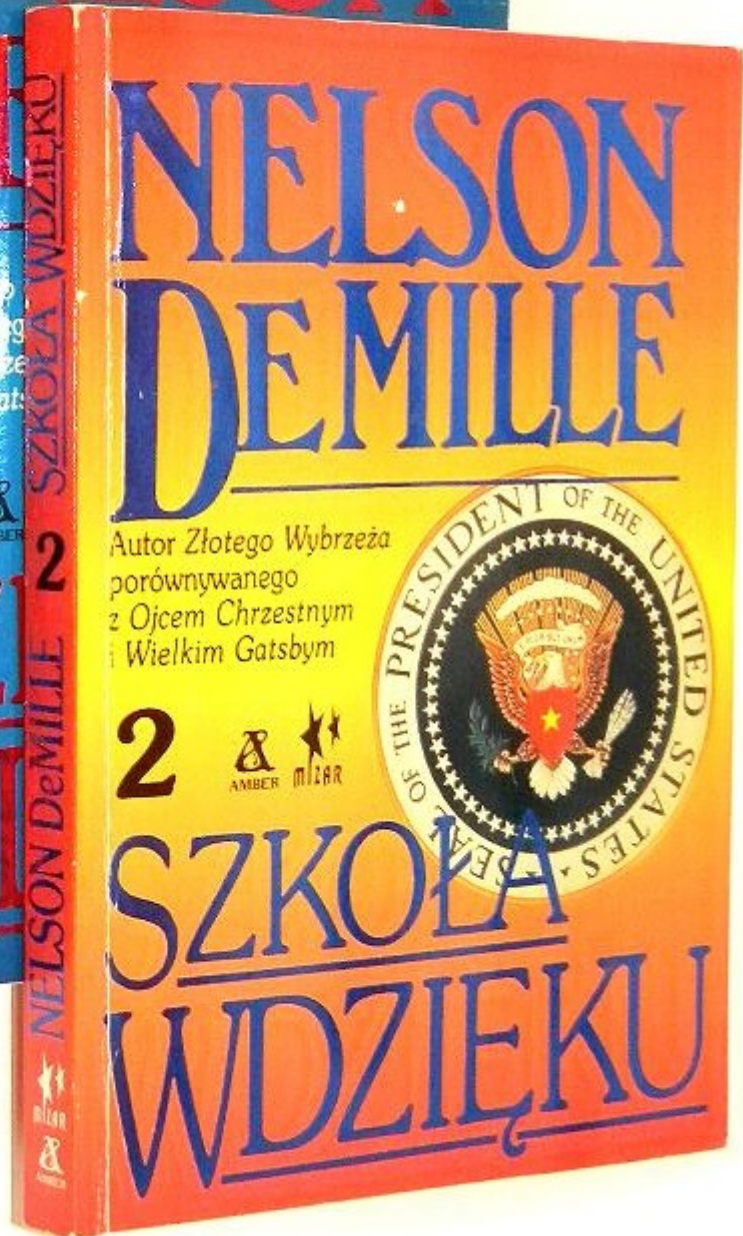
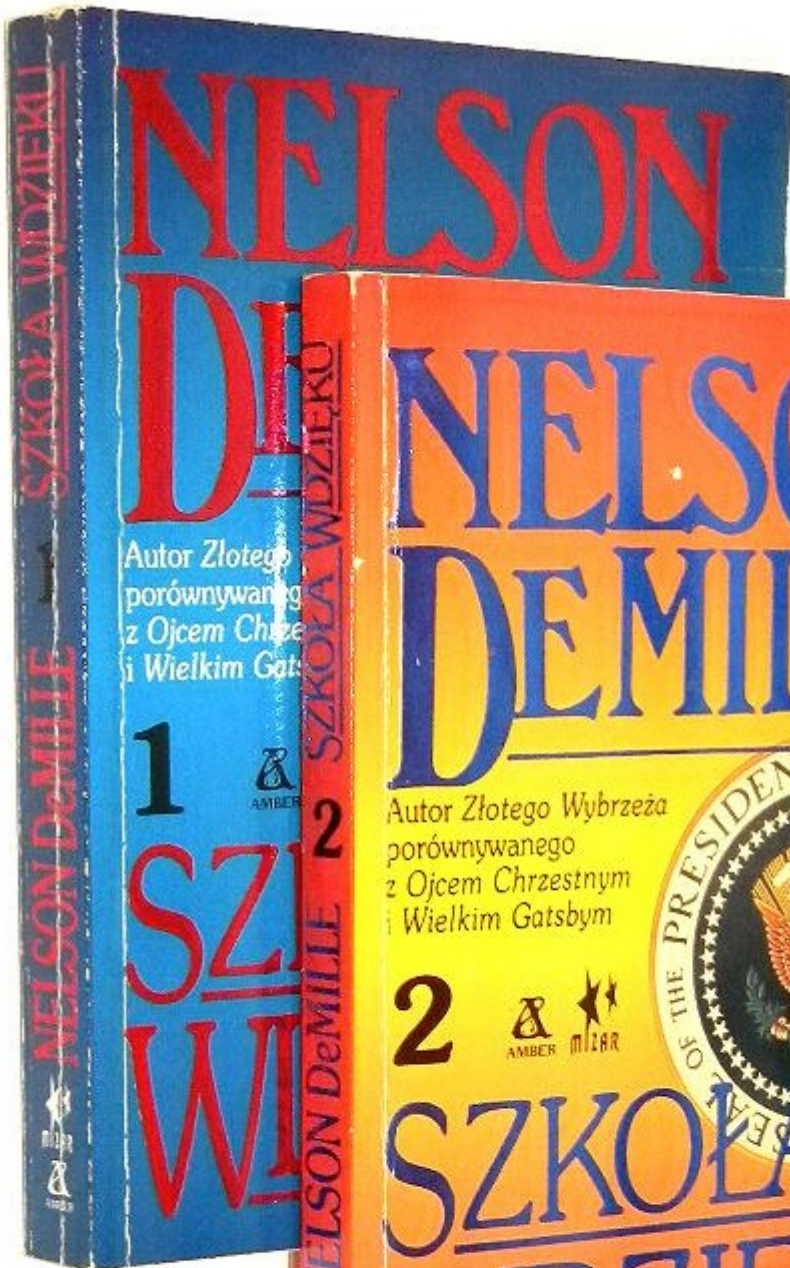
Lisa oparła się o niego i wyjrzała przez okno.

– Lądujemy? - zapytała.

– Tak.

– Gdzie?

– W Szkole Wdzięku.



NELSON DEMILLE

SZKOŁA WDZIĘKU

(THE CHARM SCHOOL)

TOM 2

Przekład: Andrzej Szulc



Wydawca światowych
bestsellerów

AMBER: 1993

TOM DRUGI

CZĘŚĆ IV

Gdziekolwiek trafisz, podróżując po Związku Sowieckim, zajrzyj do tego przewodnika. Znajdziesz w nim adresy najbliższych obozów, więzień i szpitali psychiatrycznych. Komunizm budują niewolnicy... Odwiedź ich!

Avraham Shifrin
Przewodnik po sowieckich więzieniach
i obozach koncentracyjnych

.31.

– Szkoła Wdzięku - powtórzyła Lisa. - Szkoła Wdzięku pani Iwanowej.

– Tak.

– Miejsce, o którym wspominał Gregory Fisher - mówiła dalej, jakby sama do siebie. - Miejsce, skąd uciekł major Dodson i o które zahaczyliśmy w drodze do Możajska... Teraz będziemy mieli okazję bliżej mu się przyjrzeć, prawda?

– Tak. Będą cię na pewno wypytywać - dodał Hollis - więc im mniej wiesz, tym lepiej.

– Wypytywać mnie? Będę przesłuchiwana?

– Tak. - Poczuł zaciskające się na jego dłoni jej palce. - Po prostu przygotuj się na pewne nieprzyjemności - powiedział. - Bądź dzielna.

Wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

Marczenko odwrócił się w fotelu i uśmiechnął.

– To nie Szeremietiewo - rzucił. - Ale i tak o tym wiedzieliście.

– *Job twoju mat'* - powiedział Hollis.

– *Job twoju mat'* - zgodziła się Lisa.

– *Fuck you* - zrewanżował się Marczenko.

Między fotelami pokazała się twarz Wadima. Popatrzył na Sama i Lisę i przeciągnął dłonią po gardle.

Helikopter wciąż zbliżał się do lądowiska, które jak zauważył Hollis, znajdowało się na porośniętej wysoką żółtą trawą naturalnej polanie. Na jej południowym skraju stała drewniana chata, którą oglądał na zdjęciu satelitarnym. Biegła od niej na południe ledwo widoczna między koronami

drzew wąska alejka, która kończyła się po mniej więcej stu metrach przy głównej obozowej drodze.

Większa część położonego na obszarze jednego kwadratowego kilometra obozu, zorientował się Hollis, nie była wcale lepiej widoczna z wysokości kilkuset metrów niż z satelity wiszącego kilkaset kilometrów nad Ziemią. Ale ponieważ nieraz już przyglądał się Ziemi z powietrza, mógł wyrobić sobie pewne zdanie o tym, co znajduje się na dole.

Wewnątrz ogrodzenia otaczała obóz zwirowana alejka, służąca prawdopodobnie zaopatrzeniu wież strażniczych. Środkiem biegła kręta, dwupasmowa asfaltowa droga, dzieląca obóz, z grubsza rzecz biorąc, na część wschodnią i zachodnią. Docierała do głównej bramy i stanowiła właściwie przedłużenie drogi, w którą skręcili, jadąc z pola bitwy pod Borodinem.

Kiedy zeszli na wysokość około trzydziestu metrów, zobaczył stojący przy głównej drodze, w środku obozu, ponury budynek z betonu, w którym mieściło się prawdopodobnie dowództwo. Trochę dalej stał długi drewniany, kryty zielonym dachem dom, którego przeznaczenia nie potrafił się domyślić.

W pewnej odległości od tych dwóch budynków ujrzał kolejną polanę, tym razem będącą dziełem ludzkich rąk - prostokątny plac wielkości boiska do gry w piłkę nożną, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa odbywały się mecze, a ponadto apele i parady, bez których nie sposób sobie wyobrazić życia w żadnej szkole ani obozie karnym.

Faktycznie, kiedy helikopter zszedł trochę niżej, dostrzegł trybuny, które mogły pomieścić około pięciuset osób.

Za boiskiem, tuż przy południowej granicy obozu widniały metalowe dachy długich, przypominających baraki budynków, w których mógł być zakwaterowany oddział Straży Granicznej KGB. Hollis naszkicował w

pamięci mapkę całego obozu, starając się nie zapomnieć o żadnym szczególe.

Kiedy znajdowali się na wysokości około piętnastu metrów, jego wzrok przykuło coś dziwnego. Patrząc na korony drzew między budynkiem dowództwa a barakami, zorientował się, że widzi wielką sieć kamuflażową, rozciągającą się na obszarze mniej więcej jednego akra i rozpiętą na żywych sosnach, których szczyty znajdowały się powyżej niej. Podstawowa zasada walki i rekonesansu powietrznego głosi, że ani zdjęcia, ani loty zwiadowcze nigdy nie zastąpią relacji naocznego świadka. Uświadomił sobie, że jemu właśnie przypadła ta rola.

Helikopter siadł na pokrytym śniegiem lądowisku. Drugi pilot wyciągnął pistolet i odsunął drzwi. Pierwszy wysiadł Marczenko, za nim Wadim. Drugi pilot machnął pistoletem w stronę Lisy. Wzięła swoją torbę i ikonę i zeskoczyła na dół, nie korzystając z pomocy Marczenki, który wyciągnął do niej rękę.

Drugi pilot utkwiał wzrok w Hollisie.

- Gdzie zamierzałeś porwać ten helikopter? - zapytał.
- Nie twój interes.
- Może do amerykańskiej ambasady? - Drugi pilot zerknął na swego kolegę. - Żaden z nas nie zgodziłby się tam lecieć.

Hollis wziął w skute kajdankami ręce swoją torbę. Wstał, chyląc głowę w niskiej kabinie.

- Wtedy zabiłbym was obu i sam poprowadził helikopter.
- Drugi pilot odsunął się od Hollisa.
- Prawdziwy z ciebie morderca.
 - Bynajmniej. Jestem oficerem amerykańskich sił powietrznych. Zostałem porwany.

Drugi pilot rozszerzył oczy ze zdumienia.

– Naprawdę?
– Wychodź! - wrzasnął z zewnątrz Marczenko.
– Zadzwoń do mojej ambasady i powiedz im, że jest tutaj pułkownik Hollis. Dopilnuję, żebyście obaj, ty i twój kolega, dostali po pięćdziesiąt tysięcy rubli.

Drugi pilot ponownie obejrzał się przez ramię.

– Ruszaj - powiedział.

Hollis stanął w otwartych drzwiach.

– Nie powinienes łamać nadgarstka temu facetowi - szepnął drugi pilot. - Wiesz, kim są ci dwaj?

– Przewodnikami Intouristu. Pamiętaj o mojej ofercie - powiedział Hollis i zeskoczył na ziemię.

Marczenko, Lisa i Wadim stali obok ziła-6, pojazdu Armii Czerwonej, który przypominał amerykańskiego jeepa, choć był od niego trochę większy. Hollis usłyszał warkot odlatującego helikoptera i poczuł popychający go do przodu podmuch łopat wirnika.

Marczenko otworzył tylne drzwi ziła.

– Najpierw pułkownik Hollis, potem Wadim, a potem pani Rhodes.

Hollis podsunął Marczenke pod nos swoje skute kajdankami ręce.

– Zdejmij je.

Grubas pokręcił głową.

– Niech pan wsiada - rozkazał.

– Wsiądź pierwsza - powiedział Lisie Hollis.

Wskoczyła do środka i kiedy Wadim chciał wsunąć się za nią, Hollis odepchnął go ramieniem i usiadł obok niej. Wadim usadowił się obok niego.

– Stłukę ci głęę na miazgę - powiedział po rosyjsku.

– Którą ręką?

– Ty gnoju...

– Proszę! - zawołał Marczenko. - Dosyć tego! - Usiadł obok kierowcy. -
Do dowództwa - polecił kierowcy.

Ził ruszył na przełaj w stronę oddalonego mniej więcej o sto metrów drewnianego domku. Hollis przyjrzał mu się dokładnie i domyślił się, że była to pierwotnie chatka trapera - pozostałość czasów, kiedy można było jeszcze spotkać w Rosji tych żyjących na marginesie cywilizacji samotników. Ale teraz sterczały nad nią dwie anteny i służyła prawdopodobnie jako obsługująca lądowisko stacja radiowa.

Ził wjechał w wąską alejkę, która biegła przez ciemny sosnowy las.

Lisa dotknęła ręki Sama.

– Będę dzielna - szepnęła mu do ucha.

– Już jesteś.

Dojechali do końca alejki i skręcili w główną obozową drogę. Hollis zauważył, że rosnące po jej obu stronach sosny były wysokie, sięgające piętnastu, dwudziestu metrów, a ich gałęzie tak gęste, że na dół docierało bardzo mało światła. Tu i tam widział odchodzące od głównej drogi, wyłożone drewnianymi palikami alejki. Prowadziły do zabudowań, których nie widział z helikoptera. Ze zdziwieniem, ale bez zbytniego zaskoczenia ujrzał wyłaniające się zza drzew amerykańskie ranczo, a zaraz potem biały drewniany bungalow. W tych właśnie domach, pomyślał, mieszkali najprawdopodobniej studenci Szkoły Wdzięku i ich amerykańscy instruktorzy. Wzniesione w rosyjskim borze miały stworzyć iluzję, która nadała temu miejscu tak niepowtarzalny charakter.

Lisa zauważyła jeden z amerykańskich domów.

– Popatrz tam! - zawołała.

– Widzę.

– Dziwne. Co to takiego?

– Żadnych pytań.

– Dobrze - odparła kiwając głową.

Marczenko także gapił się przez szybę.

– To rzeczywiście bardzo dziwne. - Zwrócił się do Hollisa. - Wie pan, co to za miejsce?

Hollis doszedł do wniosku, że Marczenko, poza tym, że kazano mu ich tu przywieźć, niewiele wie o całej sprawie.

– To tajny obóz szkoleniowy CIA - powiedział. - Jesteś aresztowany, Marczenko.

Grubas odwrócił się gwałtownie w fotelu i Hollis zorientował się po jego minie, że rzekomy przewodnik Intouristu prawie mu uwierzył. Co za kraj. W końcu twarz Marczenki wykrzywiła się w uśmiechu.

– Trzymają się pana żarty - powiedział. - Niech mi pan powie, co to za budowle stoją w tym lesie?

– Ludzie nazywają je domami.

– Tak? Widziałem kiedyś na filmie amerykańskie domy. To są amerykańskie domy.

– Bardzo dobrze.

Marczenko odwrócił się z powrotem do przodu i nie odrywał oczu od szyby.

– Nie rozumiem, co jest tutaj grane - mruknął.

Hollis zauważył, że śnieg zatrzymał się głównie na gałęziach drzew i niewiele spadło go na porośniętą mchem ziemię. W tym miejscu, pomyślał, panuje wieczny mrok. Nawet w letnie słoneczne południe dociera tutaj niewiele światła.

– Nie widzę ani jednego człowieka - powiedziała Lisa.

Hollis kiwnął głową. On także nikogo nie zauważył i zaczęła mu świtać myśl, że nikogo tu nie ma, że wszyscy przeniesieni zostali w inne miejsce,

tak jak to się zdarzyło, kiedy amerykańska ekspedycja ratownicza dotarła do obozu jenieckiego w Son Tay w Wietnamie Północnym.

Ale kiedy przyjrzał się uważniej domom, zobaczył zapalone tu i ówdzie światło i dym unoszący się z kominów. Nie, pomyślał, oni wciąż tutaj są. KGB błędnie oceniło sytuację i nie podjęło decyzji o likwidacji obozu.

Jadący powoli ził mijał po prawej stronie długi, kryty zielonym dachem parterowy budynek, który Hollis widział z helikoptera. Drewniany i pomalowany na biało, miał od frontu swojsko wyglądającą werandę. Wisiały na niej huśtawki, a przy ścianie niedaleko drzwi widać było czerwono-biały automat do coca-coli. Przez wielkie panoramiczne okno Hollis ujrzał stojących w środku ludzi i wiszącą na ścianie wielką amerykańską flagę. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ogląda małomiasteczkowy klub weteranów wojennych, Veterans of Foreign Wars, i po chwili zobaczył, że się nie myli. Nad podwójnymi drzwiami widniał napis: VFW POSTERUNEK 000

Po chwili ził zatrzymał się przed budynkiem dowództwa, szarym piętrowym gmachem z betonowych wielkich płyt, na których widniały znajome pęknięcia stanowiące znak firmowy miejscowego przemysłu budowlanego. Tu i ówdzie wystawały z betonu pręty zbrojeniowe, a zacieki rdzy zabarwiły na pomarańczowo pokruszone płyty. W zbitej z dykty budce, po lewej stronie wejścia, stał na posterunku żołnierz Straży Granicznej KGB. Obok, w zielonym szynelu z czerwonymi pagonami KGB czekał na nich pułkownik Burow.

Marczenko wyskoczył z samochodu.

– Chodźcie, chodźcie! - zawołał. - Nie wolno kazać pułkownikowi na nas czekać.

Wadim otworzył tylne drzwi i wysiadł. W ślad za nim wyszli Hollis i Lisa.

Burow zmierzył ich długim spojrzeniem.

– To właśnie miejsce chciał pan obejrzeć, prawda, Hollis? - zapytał.

Hollis nie odpowiedział.

– Dlaczego jest w kajdankach? - zwrócił się Burow do Marczenki.

– Próbował porwać helikopter.

Marczenko zrelacjonował mu drżącym głosem wydarzenia na lotnisku i w helikopterze, przekręcając nieco fakty. Burow spojrzał na spuchnięty nadgarstek Wadima, teraz wielkości sporej pomarańczy, a potem rzucił okiem na Hollisa, ale nic nie powiedział. Zauważył trzymaną przez Lisę ikonę.

– Gdyby była pani katoliczką albo protestantką - powiedział - wystarczyłby pani mały krzyżyk.

Roześmiał się, a Marczenko i Wadim zawtórowali mu.

– Idź do diabła - odpowiedziała po rosyjsku Lisa.

Burow uderzył ją mocno w twarz, przewracając na ziemię. Sam pochylił się, żeby pomóc jej wstać, i w tym samym momencie Burow uderzył go w szczękę, posyłając na chwiejnych nogach do tyłu.

Pod Hollisem ugięły się kolana. Usiadł na ziemi, ale szybko wstał. Burow rozprostował prawą dłoń, obserwując podnoszącego się Amerykanina.

– To było za Lefortowo - oznajmił. - W brzuch - powiedział po rosyjsku do Wadima.

Wadim kopnął go prawą stopą w splot słoneczny. Hollis zgiął się wpół, ale nie upadł. Po chwili wyprostował się i próbował złapać oddech. Jak w złym śnie zobaczył zbliżającą się do niego zwalistą postać Wiktora z „Lefortowa”.

– W jaja - usłyszał głos Burowa.

Stopa Wiktora trafiła go prosto w jądra. Usłyszał własny krzyk, a potem uświadomił sobie, że leży, skręcając się z bólu na zmarzniętej ziemi. Doszedł go krzyk Lisy, a potem krzyk ucichł ucięty przez odgłos uderzenia. Lisa, trzymając się za brzuch, upadła obok niego. Oczy miała zasnuwane bólem.

Wiktor dał przez niego krok i Hollisowi udało się owinąć jego prawą kostkę łańcuchem od kajdanek. Szarpnął do tyłu i olbrzym runął na ziemię, uderzając o nią z głuchym łomotem. Burow ruszył w stronę Hollisa, ale ominął go i kopnął w bok swoim ciężkim buciosem Lisę, która krzyknęła z bólu.

– Dalej chcecie udawać bohaterów? - zapytał. Postawił but na głowie Lisy. - Nie? To wstawajcie.

Hollis podniósł się jednocześnie z Wiktorem, który pociągnął Lisę za kołnierz stawiając ją na nogi.

– Rozepnij mu kajdanki - zwrócił się Burow do Marczenki.

Lisa ruszyła chwiejnym krokiem w stronę Hollisa, ale Burow odepchnął ją.

– Ten samochód - zwrócił się po rosyjsku do Marczenki - zawiezie was i waszego podwładnego do centrali, gdzie przedstawicie pełny raport. Jeśli kiedykolwiek piśnecie choćby słowo o tym, co tu widzieliście, czeka was kula w łeb. Odmaszerować.

Marczenko i Wadim zaszalutowali, zrobili w tył zwrot i wsiedli do ziła.

– Wejdźcie do środka - powiedział Burow, zwracając się do Sama i Lisy.

Strażnik otworzył drzwi. Eskortowani z tyłu przez Burowa i Wiktora Hollis i Lisa weszli do pomieszczenia przypominającego świetlicę albo raczej poczekalnię. Naprzeciwko drzwi siedział za biurkiem oficer dyżurny. Na widok Burowa wstał.

– Zostawcie tutaj wasze torby i ten przedmiot kultu - rozkazał Burow.

Stawiając na podłodze swoją torbę Hollis dostrzegł za otwartymi drzwiami z lewej strony centralę telefoniczną i radiostację.

– Zdejmijcie teraz płaszcze i buty - powiedział Burow.

Sam i Lisa wykonali polecenie. Oficer dyżurny położył płaszcze i obuwie na biurku i sprawdził je. Wiktor rozluźnił krawat Hollisa, zdjął go i schował do kieszeni. Rozpiął Hollisowi pasek, rzucił go na biurko, a potem zabrał mu zegarek i założył go sobie na rękę.

– Tędy - warknął Burow, ruszając długim korytarzem na tyły budynku. Eskortujący ich żołnierz Straży Granicznej z odbezpieczonym AK-47 otworzył jedno ze stalowych drzwi i wepchnął do środka Lisę.

– Rozbierz się - rzucił jej Burow - i czekaj na strażniczkę, która cię przeszuka. Albo jeśli masz truciznę, żeby ze sobą skończyć, zrób to przed jej przyjściem. Zostało ci tylko kilka minut.

– Jeszcze nie skończyłem z tobą, ty dziwko - syknął po rosyjsku Wiktor.

Burow otworzył następne drzwi. Wepchnął Hollisa do niewielkiej, pozbawionej okien celi i wszedł za nim do środka.

– Powinieneś wiedzieć - oznajmił - że jestem tutaj komendantem. Przez całe dziesięć lat, odkąd sprawuję tę funkcję, nikomu nie udało się stąd uciec. A potem zrobił to Dodson i dwóch moich ludzi zostało zamordowanych. - Rzucił groźne spojrzenie Hollisowi. - Wiem, że to ty ich zabiłeś, i sądzę, że ty i twój żydowski przyjaciel, Alevy, wiecie o tym miejscu zdecydowanie za dużo. Prawda?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, uderzył Hollisa w żołądek.

– Powiem ci coś jeszcze, cwaniaku - powiedział, kiedy Hollis się wyprostował. - Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem ciebie i twoją zasmarkaną przyjaciółkę, chciałem was tutaj mieć. W centrali twierdzili, że to niemożliwe, ale przedstawiłem im plan, w jaki sposób można porwać dwójkę amerykańskich dyplomatów. Ocenili go bardzo wysoko. Właśnie w

tej chwili zawiadamiamy ambasadę amerykańską o waszej śmierci w katastrofie helikoptera. Wasze spopielone szczątki... w rzeczywistości ciała dwojga więźniów... zbiera się teraz z miejsca wypadku. Nikt nie wie, że tutaj jesteście, Hollis. Nikt was nie szuka. Jesteście teraz w moim ręku i jesteście martwi.

Hollis próbował zebrać myśli. Doszedł do wniosku, że Burow wpadł w tarapaty i stara się teraz odkupić swoje winy wobec zwierzchników. Jak na razie, szło mu nieźle.

– Rozbierz się - warknął Burow - i oddaj ubranie Wiktorowi.

Hollis zdjął garnitur, koszulę i bieliznę, wręczając po kolei każdą sztukę garderoby Wiktorowi pod wycelowaną weń lufą kałasznikowa.

– Jeśli znajdę tu jakieś wasze głupie szpiegowskie gadgety - powiedział Burow - zaduszę cię własnymi rękoma. Niedługo przyślę kogoś, kto sprawdzi, czy nie chowasz niczego w tyłku. Witaj w Szkole Wdzięku, Hollis.

Rosjanie wyszli z celi. Drzwi zatrzasnęły się i Hollis usłyszał zgrzyt zasuwanego rygła. Stojąc nago w celi rozejrzał się wokoło. Z czterech stron otaczały go ściany z surowego betonu. W pomieszczeniu o powierzchni około dziewięciu metrów kwadratowych nie było żadnego okna, a jedyne oświetlenie dawała słaba, osłonięta kratą żarówka, schowana w zagłębieniu sufitu. Gdzieś tam na górze zainstalowana była także niewidoczna, śledząca go mikrokamera.

W całej celi nie było ani jednego mebla i z tego, co widział, nie działało żadne ogrzewanie. W kącie po lewej stronie na wysokości około metra wystawał ze ściany kran. Pod nim znajdował się otwór odpływowy. Hollis odkręcił kran i zmył krew z ust, a potem ochlapał twarz wodą. Poczuł, że ma spuchniętą szczękę i obluzowany jeden ząb. Zaczęły mu także puchnąć

jądra i poczerwieniał brzuch. Umył ręce, a potem wypił trochę wody, ale podeszła mu do gardła i wypluł ją z powrotem.

Drzwi otworzyły się i do środka weszli dwaj mężczyźni w cywilnych ubraniach. Jeden z nich przeszukał go, podczas gdy drugi celował do niego z pistoletu. Potem obaj wyszli.

Hollis stał pośrodku zimnej betonowej celi. Spędził kiedyś dziesięć nieprzyjemnych dni w więzieniu, mieszczącym się w bardzo podobnym do tego budynku, w ośrodku szkoleniowym wywiadu na północno-zachodnich obrzeżach Waszyngtonu. Nazywali je Łubianka Zachód. Przez pierwsze dni trwała tam, tak jak trwać będzie prawdopodobnie tutaj, „terapia szokowa”: upokarzające traktowanie, psychologiczne tortury i fizyczne znęcanie się. To zmiękcza delikwenta, pozbawia go godności własnej i przygotowuje na najgorsze.

Potem oprawcy zostawiają go w spokoju, żeby wszystko sobie przemyślał, ale upragniona samotność szybko zamienia się w ogłupiającą izolację. A kiedy więzień zaczyna marzyć o tym, żeby zobaczyć i usłyszeć jakąkolwiek ludzką istotę, prowadzą go na przesłuchanie, podczas którego zachowują się stosunkowo łagodnie. Człowiek zaczyna ich lubić za to, że w ogóle pozwalają mu jeszcze żyć. Zaczyna mówić, ciesząc się, że ktoś dotrzymuje mu towarzystwa. Kiedy powie wszystko, wysyła się go do normalnego obozu albo rozstrzeliwuje.

To, że wiedział, jaki czeka go los, pomyślał Hollis, było może przydatne, ale nie przynosiło żadnej ulgi. Zadowolony był, że Lisa nie przeszła pełnego szkolenia.

Podszedł do ściany, która dzieliła ich cele, i postukał w nią dłonią, ale beton był gruby i nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Usiadł w kącie opierając plecy o ciepłą ścianę. Podciągnął do siebie kolana, owinął je ramionami i zapadł w niespokojny sen.

Kiedy wydawało mu się, że minęły dwa dni, drzwi się otworzyły. Ktoś rzucił na podłogę zwinięte w kłęb ubranie i zamknął drzwi. Hollis odnalazł niebieski dres i skarpetki, ale żadnego obuwia. Ubrał się i wypił trochę wody. Czuł się bardzo osłabiony.

Żarówka nad jego głową zgasła i otoczyła go ciemność. Zauważył, że światło zapala się i gaśnie w nieregularnych odstępach i bez żadnej określonej przyczyny - chyba tylko po to, by rozregulować jego zegar biologiczny. Pochodził chwilę w ciemności, a potem zwinął się w kłębek i zasnął w nowym ubraniu.

Kiedy wydawało mu się, że minęły trzy dni, drzwi otworzyły się ponownie i do środka wleciał śpiwór, a w ślad za nim ugotowany, parujący w chłodnym powietrzu kartofel. Hollis wbił w niego oczy, ale nie poruszył się, dopóki w drzwiach stał Rosjanin.

– Jak się czujesz? - zapytał po rosyjsku strażnik.

– Doskonale.

Strażnik parsknął śmiechem.

– *Żit budiesz, no jebat nie zachociesz* - rzucił mu, powtarzając tradycyjne powitanie, z którym spotykają się więźniowie Gułagu. „Będziesz żyć, ale odechce ci się pieprzyć”. Nie przestając się śmiać zamknął drzwi.

Kiedy Hollis ruszył w stronę kartofla, zgasło światło i musiał go szukać na czworakach. Wsunął się do śpiwora, żeby zachować ciepło, i powoli żuł miękkiego miąższ.

Po kilku godzinach drzwi otworzyły się ponownie.

– Wstawaj! Wychodź! - krzyknął po rosyjsku strażnik.

Hollis podniósł się, wyszedł z celi i ruszył za strażnikiem, najpierw długim korytarzem, a potem wąskimi betonowymi schodami w górę. Wprowadzono go do małej sali i natychmiast zorientował się, że czeka go

proces. Po drugiej stronie sali siedziało za długim stołem, wlepiając w niego oczy, pięciu umundurowanych oficerów KGB. W środku zobaczył Burowa, który wydawał się tu najważniejszy. Na twarzach pozostałej czwórki malowała się typowo rosyjska obojętność.

Na ścianie nad stołem wisiał portret Feliksa Dzierżyńskiego, założyciela tajnej policji, a obok niego kolorowa fotografia człowieka, w którym Hollis rozpoznał obecnego przewodniczącego KGB. Wyżej znajdował się duży obraz przedstawiający miecz i tarczę, oficjalny emblemat Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego.

Hollis zauważył, że w pokoju nie było sowieckiej flagi ani portretu żadnego przywódcy państwowego czy partyjnego. Symbolika była oczywista: Komitet sam stanowił obowiązujące go prawa.

Spostrzegł sączące się przez okno słabe słoneczne światło; pora dnia była raczej późna niż wczesna.

– Siadaj! - warknął strażnik KGB.

Hollis usiadł na drewnianym krześle naprzeciwko pięciu mężczyznom.

– Obecny tutaj specjalny trybunał Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego - odezwał się po rosyjsku Burow ze swego miejsca - powołany został w celu osądzenia pułkownika Samuela Hollisa z amerykańskich sił powietrznych, oskarżonego o zamordowanie szeregowego Nikołaja Kulniewa oraz szeregowego Michaiła Kołotilowa, funkcjonariuszy Departamentu Straży Granicznej KGB.

Burow przedstawił daty i okoliczności.

– Pułkowniku Hollis, czy przyznaje się pan do winy? - zapytał.

Stojący za Hollisem strażnik kopnął w krzesło i Hollis wstał.

– Przyznaję się - powiedział.

Jeżeli nawet zaskoczyło to Burowa i czterech pozostałych, to nie dali po sobie nic poznać.

– Czy oskarżony chce złożyć jakieś wyjaśnienia albo powiedzieć coś na swoją obronę?

– Nie.

Burow odchrząknął.

– Bardzo dobrze - rzekł. - Skoro oskarżony nie ma nic na swoją obronę, w takim razie ten trybunał może wydać tylko jeden wyrok w sprawie o morderstwo funkcjonariusza KGB, a mianowicie wyrok śmierci przez rozstrzelanie.

Burow przyjrzał się bacznie Hollisowi, który nie spuścił oczu.

– Masz napisać pełne zeznanie na temat zbrodni, za którą zostałeś skazany - ciągnął dalej Burow. - Jeśli okaże się ono zadowalające, pozwolimy ci napisać apelację do przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Jeśli apelacja zostanie odrzucona, wyrok będzie ostateczny i odbędzie się egzekucja. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Zabrać więźnia do celi. Wprowadzić następnego więźnia.

Strażnicy popchnęli Hollisa w stronę wyjścia. Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich ubrana w szary więzienny strój Lisa. Była blada, roztrzęsiona i zdezorientowana.

– Przyznaj się do winy. Bądź dzielna. Kocham cię - powiedział jej Hollis.

Odwróciła ku niemu głowę, jakby próbowała zlokalizować jego głos, ale w tej samej chwili strażnicy wypchnęli Hollisa na korytarz.

Odprowadzono go z powrotem do celi na parterze. Panowała w niej ciemność, ale po chwili zapaliło się światło i zobaczył leżący na podłodze blok do pisania. Ukląkł i podniósł go. Obok leżał amerykański długopis.

Usiadł na śpiworze i położył na kolanach blok. Instrukcje, które otrzymał jako pracownik wywiadu, były ważniejsze od regulaminu, który

obowiązywał jeńca wojennego. Wolno mu było przyznać się do wszystkiego i napisać, co tylko sobie życzył przeciwnik, byle tylko nie narażał w ten sposób drugiego więźnia i nie wyjawiał informacji, które zagrażałyby bezpieczeństwu kraju bądź wystawiałyby na szwank bieżące operacje. Mówiąc w skrócie, miał, jeśli okaże się to konieczne, śpiewać tak, jak mu zagrają.

Jego pierwszym obowiązkiem była ucieczka, a żeby jej dokonać, musiał dbać o jak największą sprawność ciała i umysłu. Zapewniono go, że jeśli nie naruszy powyższych instrukcji, to nic z tego, co podpisał, napisał lub powiedział, nie będzie wykorzystane przeciwko niemu po ewentualnym udanym powrocie. Przeszło mu przez myśl, że wolałby moralną pewność i proste ograniczenie się do podania nazwiska, stopnia i numeru służbowego. Ale od dawna nie był już pilotem, a w tym nowym fachu nie mogło być mowy o pewności, zarówno moralnej, jak i każdej innej. Zaczął pisać zeznanie. Zdecydował się na rosyjski, by w razie gdyby pojawiły się jakieś niezgodności, móc złożyć je na karb niedostatecznej znajomości języka.

Wiedział, że jeśli tylko będą mieli czas, każą mu wielokrotnie pisać wszystko od nowa. Rosjanie traktowali słowo pisane bardzo poważnie i podobnie jak kiedyś prawosławni mieli prawdziwą obsesję na punkcie przyznania się do winy; stąd brały się legendarne pisemne zeznania, które wyciekały z Łubianki. Podejrzewał jednak, że Burowowi zależy przede wszystkim na szybkim przesłuchaniu, podczas którego będzie się starał dowiedzieć, jak daleko sięga wiedza Hollisa i Alevy'ego i co wiedzą w Waszyngtonie. Zadumał się nad specyficzną, obowiązującą tutaj kolejnością działań prawnych: najpierw proces, potem zeznanie, a na samym końcu przesłuchanie. Ale w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Na samym końcu i tak czekał go strzał w tył głowy.

Przerwał na chwilę, żeby zebrać myśli, a potem pisał dalej. Prawdę mówiąc, nie było tego tak dużo. Usiłując dowiedzieć się czegoś o Szkole Wdzięku trafił na dwóch strażników i zastrzelił ich. Przypadkowy widok spalonej Jabłonii sprawił, że nie odczuwał moralnych obiekcji, kiedy przyszło mu zdradzić ludzi, którzy i tak zostali już zlikwidowani. Wiedział także, że KGB oczekuje od niego nie tylko szczegółowego opisu, ale również filozoficznej motywacji własnego postępowania i uświadomienia sobie ułomności, wynikającej z faktu, że urodził się na zgniłym Zachodzie. No i oczywiście przeprosin.

Podczas pobytu w waszyngtońskiej Łubiance napisał kilka próbnych zeznań, ale nie chciał sprawiać wrażenia, że jest w tej dziedzinie kimś w rodzaju profesjonalisty. Zaczynając nową stronę pomyślał o Łubiance Zachód, Szkole Wdzięku i innych przykładach obsesji, jaką przejawiała i Moskwa, i Waszyngton na punkcie wzajemnego naśladownictwa. Od dawna podejrzewał, że gdyby któraś ze stron ostatecznie zwyciężyła w przyszłej wojnie, zwycięzca ostałby się z dotkliwym poczuciem straty, przekonany o bezcelowości dalszych wysiłków. Przypomniał sobie niemal rozczarowaną minę Burowa, kiedy Rosjanin wydawał na niego wyrok śmierci. Niewątpliwie obie strony wnosiły coś z całego konfliktu, czerpiąc zeń pewien rodzaj nienaturalnej psychicznej energii.

Zapisał cały blok, a potem przeczytał wszystko od początku. To było dobre zeznanie, mieszanina trudnych do obalenia faktów i trudnej do udowodnienia fikcji. Fakty, które opisał, i tak już były prawdopodobnie znane Burowowi. Fikcją stanowiło stwierdzenie, że telefon Grega Fishera do ambasady stanowił pierwszy sygnał na temat amerykańskich jeńców wojennych w Rosji. Burow uwierzył w to, ponieważ chce w to wierzyć.

Po dwóch godzinach pracy nad zeznaniem Hollis złożył pod nim podpis i wsunął się do śpiwora. Przed oczyma stanęła mu Lisa, a potem zmusił się,

żeby o niej nie myśleć. Ale i tak mu się w końcu przyśniła, kiedy zapadł w niespokojny sen.

Piątego albo szóstego dnia, kiedy napisał już trzecią wersję zeznania, drzwi do celi otworzyły się i do środka wszedł porucznik, który pełnił dyżur pierwszego dnia.

– Twoje zeznanie zostało zaakceptowane - powiedział po rosyjsku. - Teraz napiszesz apelację od wyroku śmierci. Chodź ze mną.

Na pół zagłodzony Hollis uniósł się na chwiejnych nogach i wyszedł za porucznikiem na korytarz. Ten wskazał mu drogę na tyły budynku i puścił przodem. Zwykle w tym właśnie momencie strzelano więźniowi w kark. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak długo przetrwał ten dziwny zwyczaj egzekucji na korytarzu, zapoczątkowany w latach trzydziestych na Łubiance. Można by go uznać za humanitarny, gdyby zachowano całą rzecz w tajemnicy, ale ponieważ była znana w całym Związku Sowieckim, równie dobrze, pomyślał Hollis, mógł stanąć za chwilę przed plutonem egzekucyjnym.

Wśluchiwał się w stukot butów porucznika na betonowej podłodze, czekając z napięciem na odgłos odpinanej kabury i zastanawiając się, czy nie ocenił błędnie sytuacji, sądząc, że Burow zechce go przesłuchać. Przypomniawszy sobie własną przestrożę, której udzielił Lisie w restauracji na Arbacie, mówiąc, że KGB nie zachowuje się racjonalnie. Niewykluczone, pomyślał, że emocje Burowa wzięły jednak górę nad rozsądkiem.

Zatrzymał się, słysząc odgłos otwieranych po prawej stronie drzwi.

– Do środka - powiedział porucznik.

Hollis wszedł do niewielkiego, pozbawionego okien pomieszczenia, które różniło się od jego własnej celi tylko tym, że stał w nim stół i krzesło. Na stole leżała kartka papieru i pióro.

– Siadaj.

Hollis usiadł, a porucznik stanął za jego plecami. Zobaczył, że stół jest z żółtego sosnowego drewna, a blat poplamiony czymś, co mogło być tylko krwią. Naprzeciwko niego stały oparte o ścianę słomiane bele, które zabezpieczały przed rykoszetem.

– Napisz teraz apelację do przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego.

Hollis wziął do ręki pióro.

– Po rosyjsku czy po angielsku? - zapytał.

– To nie ma znaczenia.

Hollis zaczął pisać. Porucznik tkwił nieruchomo za jego plecami. W przeciwieństwie do zeznania, apelacja od wyroku śmierci miała być najwyraźniej krótka, ponieważ miał do dyspozycji tylko jedną kartkę.

Usłyszał metaliczny trzask odpinanej kabury, szelest wysuwanego pistoletu i szcęk odciąganego kurka. Nie przestawał pisać. Zorientował się, że zaschło mu w ustach i ma spocone ręce. Starając się panować nad dłonią skończył ostatnią linijkę apelacji, podpisał ją i czekał. Zastanawiał się, czy usłyszy huk wystrzału i czy w ogóle coś poczuje.

Usłyszał odgłos zaciąganego z powrotem kurka, szelest ocierającego się o skórę pistoletu i trzask zapinanego zamka.

Porucznik zachichotał cicho.

– Zostaw to tutaj - powiedział. - Wstań.

Hollis wstał i Rosjanin zaprowadził go z powrotem do celi.

– Twoja apelacja - poinformował - zostanie rozpatrzona w ciągu dwudziestu czterech godzin. Niehumanitarne byłoby kazać ci dłużej czekać.

Zamknął drzwi i zasunął rygiel.

Światło było zapalone i Hollis domyślał się, że Burow bacznie go teraz obserwuje. Chciał się odlać, ale nie zrobił tego. Usiadł na śpiworze i zamknął oczy. Wiedział, że powinien zrobić to, czego oczekuje po nim

Burow: trząść się ze strachu nad otworem odpływowym i pić wodę, żeby zwilżyć zaschnięte gardło. Wiedział, że jeśli nie sprawi Burowowi żadnej przyjemności, rozgoryczony Rosjanin potraktuje go jak zepsutą zabawkę i spisie na straty.

Powoli wstał, podszedł do kąta i odlał się. Napił się wody z kranu, wyrzygał ją i napił się ponownie. Wziął głęboki oddech, po czym wsunął się do śpiwora i naciągnął go na głowę. Światło zgasło.

Ciemność przed jego oczyma wypełnił obraz Lisy, idącej obok niego Arbatem owego słonecznego sobotniego popołudnia. Wyobrażał sobie jej twarz, kiedy była radosna i smutna, zatrzymując każdy kadr na kilka sekund, tak jakby robił fotografie. Potem zapadł w płytki, niespokojny sen, jedyny, do którego od pewnego czasu był zdolny.

Coraz trudniej było mu odróżnić okresy jawy i przytłumionej świadomości i nie wiedział już, co jest snem, a co halucynacją. Potrzebny był mu długi, krzepiący sen, ale nie wiedział, czy się go jeszcze doczeka.

W końcu zasnął trochę mocniej i miał prawdziwy sen, sen, który, miał nadzieję, już nigdy mu się nie przyśni - siedział za martwymi sterami F-4 w kabynie wypełnionej niebieskim dymem i krwią. Widział przed sobą niebieską taflę morza, a potem, kiedy samolot wpadł w korkociąg, zobaczył niebo i znowu morze, niebo i morze, i zacisnął rękę na uchwycie katapulty. Skoczył na równe nogi z twarzą pokrytą potem i tłukącym się rozpaczliwie w piersi sercem.

– Simms! Simms! - krzyknął, a potem osunął się na podłogę, zakrył twarz i legł bez ruchu.

Drzwi otworzyły się.

– Chodź ze mną - powiedział obojętnym głosem strażnik.

Hollis wstał i wyszedł na korytarz. Za jego plecami stanął drugi strażnik i ruszyli w trójkę do przodu.

– Michaił Kołotilow był moim przyjacielem, ty śmierdzący morderco - odezwał się strażnik z tyłu.

Hollis nie odpowiedział. Strażnik idący przodem skręcił i weszli wąskimi, przylegającymi do ściany schodami na pierwsze piętro. Rosjanin zapukał do drzwi i otworzył je. Mężczyzna z tyłu uderzył Hollisa, popychając go w stronę drzwi.

W urządzonym po spartańsku gabinecie siedział za biurkiem pułkownik Burow. W pomieszczeniu znajdowało się jedno okno i Hollis zorientował się po panującej za nim ciemności, że jest wieczór. Betonowe ściany pomalowane były na żółto i przypominały fakturą wyschniętą śmietaną. Na betonowej podłodze leżał ceglastoczerwony dywan ozdobiony jakimś środkowoazjatyckim motywem. Na ścianie za pułkownikiem wisały te same dwie podobizny co na sali sądowej, tutaj jednak towarzyszył im obowiązkowy portret Lenina.

– Siadaj, Hollis.

Hollis usiadł na drewnianym, stojącym naprzeciwko biurka krześle i drzwi za nim się zamknęły.

Burow podniósł z biurka jego zeznanie.

– Fascynujące. Jestem pod wrażeniem sprytu, z jakim udało ci się wywinąć naszym agentom. Jak zapewne wiesz, odnaleźliśmy wasz samochód na stacji w Gagarinie. Nie wiedziałeś jednak, że otrzymaliśmy informacje o waszym noclegu w Jabłonii. Cieszę się, że nic nie ukrywałeś w tej sprawie.

Hollis podrapał się po zarośniętym podbródku i stłumił kaszlnięcie.

– Nie można tego niestety powiedzieć o twojej przyjaciółce. Prawdę mówiąc, jej zeznanie nie obfituje w tyle interesujących szczegółów co twoje.

– Ona niewiele wie.

– Niewiele? Była w Jabłonii i nie napisała o tym. Ona także została skazana na śmierć przez specjalny trybunał. Dopóki jej zeznanie nie będzie w pełni satysfakcjonujące, nie pozwolimy jej napisać apelacji.

Hollis nic nie odpowiedział.

– I zostanie rozstrzelana - dokończył Burow.

Przyglądał się przez chwilę Hollisowi, a potem wziął do ręki pojedynczą kartkę papieru i rzucił na nią okiem.

– Interesująca jest także twoja prośba o łaskę. Twierdzisz, że jeśli nie zostaniesz rozstrzelany, chcesz tutaj pracować.

– Tak.

– Co według ciebie tu robimy?

– Szkolicie agentów KGB, żeby udawali Amerykanów.

Pułkownik mierzył przez chwilę Hollisa wzrokiem.

– Skąd o tym wiesz? - zapytał.

– Domyśliliśmy się.

– Ty i Alevy?

– Tak.

– Rozumiem. Złapaliście może jakichś naszych absolwentów?

– Tak. Kellumów.

Burow przechylił się przez biurko.

– Kiedy ich zdemaskowaliście?

– Dopiero... chyba w zeszły czwartek albo piątek. Który mamy dzisiaj dzień?

– A Dodson? - zapytał pułkownik, ignorując jego pytanie. - Gdzie jest Dodson?

– Nie wiem.

Rosjanin wstał, podszedł do okna i utkwiał wzrok w ciemnym sosnowym lesie.

– Skoro wiecie o tym miejscu, dlaczego nie podejmujecie żadnych działań? - zapytał.

– Mój rząd prowadzi aktualnie politykę odprężenia.

– I nie chce tego nagłaśniać?

– Tak to rozumiem.

– A jeśli Dodson skontaktuje się w jakiś sposób z waszą ambasadą?

– Zamkną mu usta.

Burow uśmiechnął się.

– Naprawdę?

– Tak mi się wydaje. Nie wiem o wszystkim, co się tam dzieje.

– To prawda. Wolałbym mieć tutaj Alevy'ego. Ale póki co muszę się zadowolić tobą.

Hollis potarł oczy. Wiedział, że wszystko, co mówi, jest nagrywane i zostanie poddane analizie głosu. Później zadadzą mu te same pytania, kiedy będzie podłączony do wykrywacza kłamstw, i być może jeszcze raz, kiedy nafaszerują go narkotykami. Wszelkie zauważone niekonsekwencje zakończą się przesłuchaniem przy użyciu elektrowstrząsów.

Burow poddawał go dalej czemuś, co w fachowym języku nazywało się „miękkim” przesłuchaniem, a on odpowiadał zwięźle beznamiętnym głosem na zadawane pytania. Pułkownik radził sobie nieźle, ale daleko mu było do zawodowego śledczego ze Służby Specjalnej KGB. Fałszywi śledczy z Łubianki Zachód w Waszyngtonie, pomyślał Hollis, radzili sobie trochę lepiej. Z drugiej strony nie przewidywano, by jako attaché powietrzny z immunitetem dyplomatycznym mógł się kiedykolwiek znaleźć w podobnej sytuacji i może dlatego nie został w tej dziedzinie poddany bardziej intensywnemu szkoleniu.

Podejrzewał jednak, że Burow jest w swej próżności przekonany, że potrafi sobie poradzić ze wszystkim - dlatego również pojawił się we

własnej osobie w Możajsku i w restauracji „Lefortowo”. Nie zapominał także, że Burow i cała jego „Mała Ameryka” znajduje się pod ostrzałem ze strony polityków, a być może również szefów Łubianki. Obowiązkiem Hollisa było zatem upewnić go, że wszystko jest w całkowitym porządku. Nie chciał, by to miejsce zapadło się pod ziemię. Przynajmniej na razie.

– Nie wydaje mi się możliwe, żeby wasz rząd pozwolił na dalsze funkcjonowanie tego ośrodka. Nawet w imię pokoju. Już teraz działają w Ameryce tysiące naszych agentów, a co rok wypuszczamy nowych dwustu. Co Waszyngton zamierza zrobić w tej sytuacji?

To było, pomyślał Hollis, kluczowe pytanie.

– Wydaje mi się - odparł - że Departament Stanu pragnie wynegocjować jakieś porozumienie.

– Naprawdę? Dyplomaci to takie mięczaki. A czego chce CIA?

– Pójść na całość. Chcą podrzucić to światowej prasie.

– No tak. A Biały Dom?

– Zajmuje chyba stanowisko pośrednie.

– A twoi ludzie? Wojskowa Agencja Wywiadowcza?

– Interesuje ich los uwięzionych lotników. Mają wobec nich moralne zobowiązania.

– A ty? Pułkownik Sam Hollis?

Hollis pozwolił sobie na słaby uśmiech.

– Ja chciałbym po prostu cię zabić.

Pułkownik uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Czyżby? Myślałem, że masz zamiar dla mnie pracować.

– To zależy.

Burow kiwnął w zamyśleniu głową.

– Czy ktoś proponował podjęcie jakiejś bezpośredniej akcji przeciwko tej szkole? - zapytał.

- To znaczy?
 - Powiedzmy, wydobyć stąd jednego albo dwóch ludzi i zaprezentowanie ich w charakterze żywego dowodu światowej opinii publicznej.
 - O niczym takim nie wiem. Z tego, co tu widzę, to niemożliwe.
 - To prawda. Ucieczka Dodsona nastąpiła wyłącznie w wyniku wewnętrznego spisku. Nie było żadnej pomocy z zewnątrz. Zgadza się?
 - My nie maczaliśmy w tym palców.
 - A spotkanie Fishera z Dodsonem było całkiem przypadkowe?
 - Oczywiście. Słyszał pan chyba rozmowę telefoniczną Fishera. Nie należał do nas.
 - Dlaczego tutaj weszliście? Chodziło wam o to, żeby wydostać stąd jakiegoś więźnia?
 - Nie. Byłem tutaj tylko ja i Lisa Rhodes. Zrobiliśmy to na własną rękę.
 - Nie utrzymujesz kontaktów z żadnym z więźniów tego obozu?
 - Nie.
 - I z żadną osobą z jego personelu?
 - Nie.
 - Czy masz poza tym jakichś agentów wśród sowieckich obywateli?
 - Żadnego, który miałby jakiś związek z tym obozem.
 - Ale macie przecież na swoim żołdzie jakichś Rosjan.
- Hollis pomyślał, że czas już wyłożyć karty na stół.
- Nie są na naszym żołdzie. Nie biorą za to ani kopiejki. Robią to z nienawiści do komunistów i KGB.
- Burow przez jakiś czas się nie odzywał.
- Podaj mi ich nazwiska - powiedział w końcu.
 - Nie znam prawdziwych nazwisk. Tylko kryptonimy.
 - Zobaczymy.

- Dlaczego miałbym coś mówić, skoro i tak mnie rozstrzelacie?
 - Bo rozstrzelanie nie jest najgorszą rzeczą, jaka może ci się tutaj przytrafić.
 - Mogłem popełnić samobójstwo, zanim zdążył mi pan cokolwiek zrobić.
 - Nie sądzę, żeby udało ci się to zrobić gołymi rękoma.
 - Mogłem wepchnąć sobie ten długopis w tętnicę szyjną. Nie powinien pan dawać takich rzeczy wyszkolonemu pracownikowi wywiadu.
 - A tak... Długopis. Więc uważasz, że twój umysł pracownika wywiadu jest dla nas zbyt cenny, żebyśmy strzelili ci w łeb?
 - Być może.
 - Dobrze. Więc pozwól, że zapytam cię, na czym polega twoja propozycja. Porozmawiajmy jak oficer wywiadu z oficerem wywiadu.
 - Wyłuszczyłem to jasno w swojej apelacji. Rozumiem, że oficjalnie nie żyję. Zamiast jechać na Syberię albo umrzeć, wolałbym pracować tutaj, wśród moich rodaków. Chcę także, żeby była ze mną Lisa Rhodes.
 - Zgadza się, oficjalnie nie żyjesz. Pokażę ci, co piszą o twojej śmierci amerykańskie gazety. W centrali uważają, że po złożeniu zeznań powinieneś zostać zlikwidowany, ale być może uda mi się ich przekonać, że razem ze swoją przyjaciółką możesz nam się jeszcze na coś przydać. Być może dożywotni wyrok i współudział w działaniach wymierzonych przeciwko Ameryce będzie nawet czymś gorszym od kuli w łeb. Podoba mi się ta myśl, Hollis.
 - Wiedziałem, że się panu spodoba.
- Burow uśmiechnął się.
- Widzę, że wasi attaché wojskowi nie są nawet w połowie takimi twardzielami jak agenci CIA. Jeśli jednak zacznę podejrzewać, że cała ta

twoja kapitulacja jest tylko wybiegiem, zamęcę na śmierć twoją przyjaciółkę. Na twoich własnych oczach.

Hollis nie odpowiedział.

Pułkownik wstał, podszedł do Hollisa i przyjrzał mu się z góry.

– A myślałeś, że taki z ciebie chojrak, prawda? - zapytał. - W kostnicy w Możajsku, potem w tej restauracji „Lefortowo” i kiedy rozmawiałeś ze mną przez telefon. Ile ja się musiałem od ciebie nasłuchać...

– Chronił mnie immunitet dyplomatyczny.

Burow roześmiał się.

– Tak, zgadza się. Ważniak. Teraz mogę z tobą zrobić wszystko, co zechcę. - Złapał go za włosy i pociągnął do tyłu. - Popatrz no na mnie, ty elegancka amerykańska świnió. Wy, gnojki z ambasady, bez przerwy patrzycie na nas z góry. Przysłuchiwałem się naszym niektórym taśmom. Śmiesz was to, że się upijamy, uważacie, że nasze kobiety są nie domyte, kpicie sobie z Moskwy, naszego jedzenia, naszych domów, w ogóle ze wszystkiego, co nas otacza. - Pociągnął go mocniej za włosy. - Myślisz, że teraz wyglądasz albo pachniesz tak pięknie, ty sukinsynu? - Puścił jego włosy i uderzył go wewnętrzną stroną dłoni w czoło. - Myślisz, że twoja delikatna przyjaciółka wygląda teraz albo pachnie tak pięknie? Wydaje ci się, że wyglądasz teraz jak człowiek cywilizowany? Kim jesteście bez waszych dobrze skrojonych ubrań i dezodorantów? Kompletnym zerem. Rosjanin może znieść więcej, bo nie startuje z tak wysokiego poziomu. I ma w sobie więcej wewnętrznej siły. Wy łamiecie się, kiedy tylko nie możecie wziąć prysznic albo zabraknie wam kilku posiłków.

Zrobił kilka kroków po pokoju i wrócił do Hollisa.

– Wstawaj! - warknął.

Hollis wstał.

– Ręce na głowę!

Hollis położył ręce na głowę. Burow zmierzył go groźnym spojrzeniem.

– Potrafisz wyobrazić sobie, co mógłbym z wami zrobić? Nie pozostawiając najmniejszego śladu na waszych ciałach, ale kompletnie niszcząc waszą psychikę, wasze dusze i umysły?

– Tak, potrafię.

Pułkownik stanął z boku.

– Twoja przyjaciółka jest miłośniczką rosyjskiej kultury - powiedział. - Być może spodobałby jej się rosyjski przyjaciel. Być może nawet kilkudziesięciu.

Hollis nie odpowiedział.

– Wiedziałeś, że ona i Alevy byli kochankami? Odpowiadaj.

– Tak.

– Powiedziałem ci już, że twoją żonę widziano z angielskim dżentelmenem.

– Nie obchodzi mnie to.

– Pojechała teraz do Waszyngtonu na twój pogrzeb. Odbędzie się chyba jutro.

Hollis nie odezwał się.

– Kto to jest Simms?

– Nie wiem.

– Ale ja chyba wiem. - Spojrzał na zegarek. - No dobra, Hollis. Chcesz zobaczyć tę swoją dupę?

Hollis kiwnął głową. Burow otworzył drzwi. Powiedział coś strażnikowi, a potem odwrócił się do Hollisa.

– Możesz opuścić ręce. Wyjdź.

Hollis wyszedł na korytarz.

– Jeśli chcesz, możesz się z nią popieprzyć.

– Dziękuję.

Pułkownik uśmiechnął się i zamknął drzwi. Strażnik zszedł razem z Hollisem po schodach. Otworzył drzwi do celi Lisy i wepchnął go do środka.

Siedziała skurczona w kącie, w śpiworze. Popatrzyła na niego, ale nic nie powiedziała. Hollis ukląkł przy niej i przyjrzał się jej twarzy. Miała zapadnięte policzki i oczy i popękane, spierzchnięte wargi. Zauważył skaleczenie na szyi. Lewy policzek wciąż był zaczerwieniony i to zabolowało go bardziej niż cała reszta.

– Jak się czujesz?

Nie odpowiedziała.

– Potrzebujesz doktora?

Pokręciła głową.

Hollisowi zrobiło się słabo i usiadł koło niej obejmując ją ramieniem. Nie przysunęła się do niego ani nie odsunęła. Siedziała nieruchomo, patrząc prosto przed siebie.

Przez długi czas siedzieli w milczeniu, a potem Lisa ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

Hollis zapadł w drzemkę, ale mniej więcej co kwadrans budziło go przejmujące zimno i pusty żołądek. Światło zapalało się i gasło. Słychać było kroki na korytarzu, które zatrzymywały się przy drzwiach celi, a potem oddalały. Co jakiś czas ktoś odsuwał rygiel, ale drzwi nie otworzyły się ani razu. Po kilku minutach rygiel wracał na swoje miejsce.

Lisa wlepiała oczy w sufit.

– Skazano mnie na śmierć - powiedziała ledwo słyszalnym szeptem.

Hollis nie odpowiedział.

Podniosła coś z podłogi i pokazała mu. Nie zorientował się z początku, co trzyma w ręce, a potem rozpoznał popiół i kawałki spalonego papieru.

Fotografie. Jej fotografie Moskwy. Odwróciła rękę, pozwalając, by popiół sfrunął w dół, i wytarła dłoń o kolano.

– To nie ma znaczenia - szepnęła.

Hollis wiedział, że działające w celi mikrofony wychwytyują najmniejszy szept, a mikrokamera widzi ich nawet w ciemności. Chciał ją pocieszyć, ale wiedział, że lepiej nie mówić nic, co mógłby potem wykorzystać przeciwko nim Burow. Właściwie nie powinien mu nawet mówić, że chce się z nią widzieć.

– Dlaczego powiedziałaś im o Jabłonii?

– Przykro mi.

Wstała i podeszła chwiejnym krokiem do otworu odpływowego. Zsunęła spodnie i ukucnęła. Natychmiast uchyliły się drzwi, potwierdzając przekonanie Hollisa, że są bez przerwy obserwowani i podsłuchiwani. Lisa wstała i podciągnęła spodnie przed oczyma gapiącego się na nią strażnika. Ten spojrzał na Hollisa i rzucił do celi kawałek czarnego chleba.

– Mówiłem, że nie będziesz miał ochoty się pieprzyć - powiedział.

Roześmiał się i zamknął drzwi.

Lisa umyła się w zimnej wodzie, a potem przystawiła usta do kranu i napiła się. Podniosła z podłogi chleb i wróciła do śpiwora. Wślizgnęła się do środka, ugryzła kawałek chleba i żuła go powoli, bardziej, zauważył Hollis, jak ktoś przymierający głodem, a nie po prostu głodny.

Ocecił, że dostawali trzysta gramów chleba dziennie, około czterystu kalorii. Przebywali tutaj osiem dni, a może dłużej. Ta ilość kalorii wystarczała, żeby nie umrzeć, ale zgodnie z sugestią strażnika, nie miało się ochoty na nic więcej poza oddychaniem. Podejrzewał także, że chleb był nafaszerowany narkotykami, prawdopodobnie pentothalem sodu albo innym serum prawdy, co razem z deprawacją zmysłów i dotkliwym zimnem przyczyniało się do ich głębokiego letargu.

Lisa przez chwilę przyglądała się kawałkowi chleba, po czym podała mu go. Odłamał sobie mniej więcej jedną trzecią i oddał jej resztę.

– Lepiej się czujesz? - zapytał, kiedy skończyli jeść.

Wzruszyła ramionami. Po kilku minutach wzięła go za rękę.

– Musi ci być zimno - powiedziała. - Nie dali ci śpiwora.

– Nic mi nie będzie.

– Wejdz do mnie. Jest tutaj dużo miejsca.

Wślizgnął się do śpiwora obok niej.

– Nie winie cię za to - szepnęła. - Ostrzegalesz mnie.

Hollis nie odpowiedział. Zapadli w niespokojny sen. Lisa kilkakrotnie płakała przez sen, ale nie mógł zrozumieć, co mówi.

Po kilku godzinach wstał, żeby się napić. Ciśnienie wody było niskie, co jak wiedział z doświadczenia, oznaczało świt. Usłyszał na korytarzu kroki i drzwi się otworzyły.

– Wstańcie i chodźcie ze mną - nakazał im strażnik. - Żadnych rozmów.

Hollis pomógł Lisie wstać.

– Kocham cię, Sam - powiedziała.

– Ja też cię kocham.

– Żadnych rozmów!

Sam wziął Lisę za rękę, ale strażnik rozdzielił ich.

– Szybciej!

Po przejściu długiego korytarza inny strażnik otworzył drzwi do pomieszczenia, w którym Hollis pisał swoją apelację od wyroku śmierci - pomieszczenia z pochłapanym krwią stołem i ustawionymi pod ścianą belami słomy. Pomieszczenia, w którym dokonywano egzekucji. Lisa zawahała się, ale strażnik wepchnął ją do środka.

.32.

Na poplamionym krwią stole stała gorąca herbata, jaja na twardo, chleb i dżem.

– Możecie zjeść to wszystko - powiedział strażnik - ale jeśli się porzygacie, będziecie sami po sobie sprzątać. Żadnych rozmów.

Sam i Lisa usiedli. Hollis przyjrzał się plamom. Właściwie były koloru rdzy, nie jasnoczerwone, i podejrzewał, że Lisa nie domyśla się, skąd pochodzą. Zastanawiał się także, czy nie jest to przypadkiem krew zwierzęca, rozlana tutaj po to, żeby przestraszyć więźniów i dostarczyć uciechy strażnikom.

Jedli powoli, ale i tak obojgu żołądek podchodził do gardła. Kiedy skończyli, Rosjanin wyprowadził ich do szatni, z której korzystali prawdopodobnie, pomyślał Hollis, nocni strażnicy. Przy ścianach stały szafki, a w kącie toaleta, zlew i otwarty prysznic.

Strażnik pokazał ręką prysznic.

– Szybko! Umyjcie się.

Oboje rozebrali się i umyli, używając mydła, pod gorącym prysznicem. Strażniczka przyniosła ręczniki, przybory do golenia, bieliznę i czyste dresy. Hollis wytarł się, ogolił i ubrał. Zauważył, że nowa garderoba ma na sobie metki Jockeya. Lisa ubrała się szybko, unikając wzroku strażnika. Kobieta wskazała im pudło wypełnione adidasami i wybrali pasujące na nich numery.

– Chodźcie ze mną - powiedział strażnik.

Poprowadził ich do wschodniego skrzydła budynku, przez drzwi, na których widniał napis KLINIKA. Pielęgniarka, która wyszła im na spotkanie, zabrała ich do osobnych gabinetów. Strażnik pozostał razem z Hollisem. Po chwili do pokoju weszła pulchna kobieta w średnim wieku, która przedstawiła się jako obozowa lekarka. Poddała Hollisa pobieżnemu badaniu, najwięcej uwagi, jak mu się wydawało, poświęcając jego sercu. Przypomniawszy sobie obsesję, jaką mają Rosjanie na punkcie chorób serca.

– Byłem tutaj głodzony - powiedział po rosyjsku - i przetrzymywany przez mniej więcej dwa tygodnie w zimnej celi. Zostałem uderzony w szczękę i kopnięty w jądra oraz splot słoneczny. Poza tym czuję, że mam płyn w płucach.

Przytknęła mu z powrotem stetoskop do piersi i kazała głęboko oddychać. Słuchała przez chwilę, a potem opukała go.

– Tak - potwierdziła. - Mały krwiatek. Będzie pan zdrowy.

– Wystarczająco, żeby poddać mnie znowu dwutygodniowej głodówce?

– Żadnych rozmów! - wtrącił się strażnik.

– Rozmawiam z panią doktor - stwierdził, odwracając się w jego stronę, Hollis. - Sam się zamknij!

– Tylko na tematy medyczne! - warknął strażnik.

Lekarka podała Hollisowi tabletkę i szklanę, której czystość pozostawiała co nieco do życzenia.

– Co to takiego? - zapytał.

– Witamina.

– W takim razie niech ją pani sama zażyje - powiedział, wręczając jej z powrotem tabletkę.

Przez chwilę mu się przyglądała, a potem wsadziła tabletkę do ust i popiła ją wodą.

– Ja też jestem tutaj więźniem. Politycznym.

– Rozumiem. Przepraszam za to, że się tak zachowałem.

Dała mu następną witaminę, którą połknął.

– Nic panu nie będzie. Ma pan zdrowe serce.

Hollis wstał ze stołu zabiegowego i ubrał się.

– Co umiera tutaj najpierw? - zapytał. - Serce czy dusza?

– Dusza. Serce przestaje tylko bić.

Hollis przyjrzał się uważnie kobiecie. Powinien od razu się domyślić, że nie jest wolna, ale w Rosji te sprawy są względne i czasami trudne do określenia.

– Dziękuję - powiedział.

Strażnik zabrał go do poczekalni, gdzie po pięciu minutach dołączyła do niego Lisa. Ruszyli pod eskortą na górę, do gabinetu Burowa.

– Siadajcie - zwrócił się do nich Burow, kiedy weszli do środka.

Usiedli na krzesłach naprzeciwko biurka.

– Teraz znowu jesteście Amerykanami. Prawda, Hollis? - zapytał.

– Tak.

– Dobrze się czujecie?

– Tak.

– Poczujecie się jeszcze lepiej, kiedy wam powiem, że wasz wyrok śmierci został warunkowo zamieniony na dożywotnie więzienie.

– Pod jakim warunkiem? - zapytał Hollis.

– Pod dwoma. Pierwszym jest pozytywny wynik badania przy użyciu wykrywacza kłamstw. Drugim jest wasza zgoda na współpracę.

Ani Sam, ani Lisa nie odezwali się.

– Jeśli się nie zgodzicie - dodał Burow - czeka was pluton egzekucyjny.

– Żąda pan od nas, żebyśmy stali się zdrajcami. Odpowiedź brzmi: nie - powiedziała Lisa.

– Powinna pani wiedzieć - odezwał się pułkownik, nie reagując na jej słowa - że pani przyjaciel zgodził się pracować tutaj w zamian za darowanie mu życia.

Spojrzała na Hollisa.

– Nie powiedziałem, że poddam się badaniu za pomocą wykrywacza kłamstw - powiedział, zwracając się do Rosjanina, Hollis.

– Nie - zgodził się Burow - ale mimo to zostaniecie dokładnie przesłuchani. Jest kilka metod, żeby dowiedzieć się prawdy. Ja osobiście wolę wykrywacz kłamstw i pentothal sodu od elektrowstrząsów i pałki, zwłaszcza że rezultaty tych dwóch pierwszych metod są bardziej wiarygodne. Jestem przekonany, że podzielacie moje zdanie.

– Praca tutaj to jedno - powiedział Hollis. - Nie mogę jednak zdradzić panu sekretów wywiadowczych, których ujawnienie zdemaskowałoby lub naraziło na niebezpieczeństwo innych agentów.

Pułkownik zabębnił palcami po biurku i przez chwilę mierzył ich wzrokiem.

– Nie jesteście w sytuacji, żeby się targować. W gruncie rzeczy już nie żyjecie i nikt nie wie, że tutaj jesteście. A najważniejszym powodem waszego tutaj pobytu jest fakt, że posiadacie zdecydowanie zbyt dużo informacji o tym miejscu. Chcemy się dowiedzieć, co wiecie.

– Jesteśmy tutaj, bo zamordowaliśmy dwóch strażników - przypomniał mu Hollis. - Za to właśnie otrzymaliśmy wyrok śmierci.

– Za to także, oczywiście. - Burow przyglądał mu się przez chwilę krytycznym wzrokiem. - Kiedy we krwi wzrasta poziom cukru, ludziom wraca dawny animusz. W twoim przypadku, Hollis, bardziej podobała mi się twoja wczorajsza osobowość. Postaraj się na przyszłość kontrolować swój sarkazm.

– Tak jest, pułkowniku.

– W twoim przypadku - zwrócił się Burow do Lisy - przesłuchanie przyniesie prawdopodobnie skromne rezultaty i nie narazi nikogo na niebezpieczeństwo. Prawda?

Lisa kiwnęła z wahaniem głową.

– Więc wybór, przed jakim stoisz, jest następujący: życie i praca tutaj albo śmierć. Wybieraj.

– Chcę... chcę być razem z pułkownikiem Hollisem.

Rosjanin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tutaj czy w niebie?

– Gdziekolwiek.

Burow rzucił okiem na Hollisa.

– Taka lojalność... no więc jaka jest pańska decyzja?

– Zanim zgodzimy się zostać instruktorami w pańskiej szkole - odparł po chwili zastanowienia Hollis - chciałbym, aby wypuścił pan nas oboje z celi i pozwolił trochę się rozejrzeć.

Pułkownik kiwnął głową.

– W porządku. Sądzę, że kiedy zorientujecie się, jak luksusowe życie można tu prowadzić, przejdzie wam ochota na śmierć przed plutonem egzekucyjnym. Ale nie rozstrzygnęliśmy jeszcze kwestii waszego przesłuchania.

– Odłóżmy to do chwili - odparł Hollis - kiedy razem z panią Rhodes podejmiemy ostateczną decyzję. Potrzebujemy dziesięciu dni.

Burow uśmiechnął się.

– Grasz na zwłokę.

– Po co? Jestem przecież martwy. Oboje jesteśmy martwi.

Rosjanin wstał i podszedł do okna. Przez chwilę przyglądał się drzewom, a potem kiwnął głową.

– Daję wam tydzień. - Odwrócił się i zmierzył wzrokiem Hollisa. - Kiedy tylko zorientuję się, że coś knujesz albo że mnie okłamujesz, ona zginie - powiedział pokazując na Lisę. - Tak jak ci mówiłem: nie przed plutonem egzekucyjnym.

Ani Sam, ani Lisa nie odezwali się.

Burow podszedł do nich i popatrzył Hollisowi prosto w oczy.

– Jesteś wystarczająco inteligentny - powiedział - żeby wiedzieć, że pozwalam ci się ze mną targować, ponieważ w gruncie rzeczy wolałbym cię nie uśmiercać. Chcę zachować cię przy życiu, żeby móc cię przesłuchiwać, i to nie tylko teraz, ale za każdym razem, kiedy wyłoni się jakiś problem dotyczący amerykańskiego wywiadu, problem, w którego wyjaśnieniu mógłbyś okazać się pomocny. Chcę was zachować przy życiu, bo zadaliśmy sobie mnóstwo trudu, żeby was uśmiercić. Oboje możecie stać się wartościowymi nabytkami dla naszej szkoły. A ostatnim powodem, wcale nie najmniej ważnym, jest to, że chcę mieć was oboje pod swoim butem. Na zawsze. Bawicie mnie.

– Ale wcale się pan nie uśmiecha - zauważył Hollis.

Burow przyglądał mu się przez długą chwilę z kamiennym wyrazem twarzy, a potem odwrócił się i obszedł biurko. Wyjął z górnej szuflady ciężki sześciostrzałowy rewolwer i wyjął z niego pięć naboí. Podszedł do Sama i Lisy.

– Nie, to nie będzie to, co nazywacie rosyjską ruletką - powiedział. - Wstań - zwrócił się do Hollisa, podając mu rewolwer. - Sprawdź, czy rewolwer wypali, kiedy pociągniesz za spust.

Hollis sprawdził cylinder. Rosjanin dał krok do tyłu.

– No, na co czekasz?

Hollis stał nieruchomo z rewolwerem w ręku.

– Możesz teraz zrealizować swoje marzenie i zostać przy okazji bohaterem swojego kraju, niestety bezimiennym. Strzelaj.

Sam rzucił okiem na Lisę.

– No? - ciągnął dalej Burow. - Każ mi się przynajmniej przed sobą czołgać. Każ mi paść na kolana i błagać o życie.

Hollis milczał.

– Nie? A więc czegoś się już nauczyłeś? Co daje człowiekowi rewolwer? To zależy od tego, kto go trzyma w ręku. Ty czy ja. Władza nigdy nie opiera się na lufie rewolweru. - Spojrzał na Lisę. - Wstań!

Lisa wstała.

– Weź rewolwer.

Zawahała się, a potem wzięła broń od Sama.

– Widzisz - powiedział Burow - robicie, co wam każę, mimo że to wy teraz jesteście uzbrojeni. Zastrzel mnie.

– Nie.

– Aha, więc coś jednak zaczyna do ciebie docierać. Cywilizowani ludzie wybiegają myślą naprzód. Co się stanie, kiedy mnie zastrzelisz? Czy zakończą się dzięki temu wasze kłopoty? Nie, dopiero się zaczną. - Pułkownik uśmiechnął się z wyższością. - Ale prawdziwa patriotka poświęciłaby własne życie, żeby mnie uśmiercić.

Lisa spojrzała na trzymany w ręku rewolwer.

– Jest tylko jeden powód, dla którego pana nie zastrzelę. Nie wiem, czy potrafi go pan zrozumieć - powiedziała. - Wierzę w Boga. Nie wolno mi odbierać nikomu życia. Nawet panu.

Burow zabrał jej rewolwer.

– To coś nowego. Więc powiadasz, że chrześcijanie nie zabijają ludzi? Może powinienem na nowo zajrzeć do podręcznika historii. Jak brzmi ten

wierszyk?... „Po dwóch tysiącach lat modłów gorących doszliśmy do gazów trujących”. Ale z was hipokryci...

– Przynajmniej próbujemy. Pan nie.

Rosjanin usiadł na skraju biurka i spojrzał na nią z góry.

– Pozwoli pani, że udzielenie jej pewnej rady. Jeśli zdoła pani namówić swojego przyjaciela, żeby się nam podporządkował, nic pani nie grozi. Bez niego jest pani dla nas niczym. Tylko kobietą. Pamięta pani, jak w mozaikowej kostnicy odsunęła ode mnie ze wstrętem dłoń? No więc, jeśli ma pani ochotę, proszę wyobrazić sobie więcej rąk... więcej dotykających panią brudnych rosyjskich rąk... nie, niech pani nie próbuje mnie przeklinać. Wiem, że już nie jesteście tacy twardzi. Po prostu zamknijcie się i zastanówcie nad wszystkim, o czym tutaj rozmawialiśmy. Wstańcie. - Burow rzucił rewolwer na biurko. - Doskonale - powiedział prawie przyjaznym tonem. - Macie może ochotę na spacer na świeżym powietrzu? Jestem przekonany, że rozsadza was ciekawość.

Wskazał ręką drzwi i wyszli wszyscy na korytarz. Pułkownik zamienił kilka słów ze strażnikiem.

– Zaraz do was przyjdę - powiedział, zwracając się do Sama i Lisy.

Strażnik sprowadził ich na dół, wskazał ręką stojącą obok drzwi wyjściowych ławkę, po czym zostawił samych. Hollis rozejrzał się po holu. Urządzony był po spartańsku, podobnie jak wnętrza innych pomieszczeń, ale i tutaj, jak wszędzie, spoglądał na nich z góry Lenin. Portret wodza rewolucji wisiał nad biurkiem i Hollis spostrzegł, że dyżur za nim pełni ten sam porucznik, który zabawiał się pistoletem podczas pisania przez niego apelacji. Porucznik rzucił na niego okiem i uśmiechnął się.

Z miejsca gdzie siedział, Hollis mógł dostrzec otwarte drzwi do pokoju łączności i siedzącego przy centrali operatora. Łączył rozmowę ręcznie i Hollis zorientował się, że centrala nie jest automatyczna. Po lewej stronie

operatora znajdowała się konsola radiowa, którą widział, kiedy po raz pierwszy wszedł do tego budynku. Rozpoznał krótkofalówkę, ale nie potrafił dostrzec nic więcej.

– Trafiliście tutaj właśnie przez ciekawość - powiedział po rosyjsku porucznik. Wstał, zamknął drzwi do pokoju łączności i podszedł do Sama i Lisy, wyciągając w ich stronę paczkę papierosów.

– Zapalicie?

Oboje pokręcili głowami.

– Nazywam się Czeczow.

– Naprawdę głównie mnie to obchodzi - odparł po rosyjsku Hollis.

Porucznik Czeczow wzruszył ramionami i usiadł z powrotem za biurkiem. Nie odrywał od nich wzroku.

– Polubiłem Amerykanów - powiedział w końcu.

– A oni pana? - zapytał Hollis.

Porucznik uśmiechnął się.

– Wszyscy tu staramy się w miarę możliwości zaprzyjaźnić. To nie jest więzienie.

– Prawie się dałem nabrać.

– No cóż, sami się przekonacie. Pułkownik Burow to bardzo sprytny człowiek. Amerykanie cieszą się tutaj dużą swobodą. To dlatego, że są do niej przyzwyczajeni. Prawda?

– Z wyjątkiem amerykańskich komunistów.

– Nie powiedziałbym. My wiemy, co się dzieje w Ameryce.

– A jak się ma ta wiedza do tego, o czym uczą w waszych szkołach? Do tego, co wam mówią o prześladowaniach amerykańskich komunistów?

Młody oficer wzruszył ramionami.

– Partia wie najlepiej, co należy mówić ludziom.

– Pan z pewnością już w to nie wierzy - powiedziała Lisa.

Czelcow zapalił papierosa.

– Właśnie że wierzę. Więc będziecie tutaj instruktorami?

– Zastanawiamy się nad przyjęciem oferty - odparł Hollis. - Niech pan mi jeszcze opowie, jaki sprytny jest pułkownik Burow.

Porucznik uśmiechnął się.

– Wystarczająco sprytny, żeby pozwolić wam robić, co chcecie, dopóki osiągniecie dobre rezultaty. Ale kiedy odkryje, że jakiś amerykański instruktor wprowadza celowo rosyjskiego studenta w błąd, wtedy... - Porucznik przyłożył do skroni palec wskazujący i poruszył kciukiem. - Rozumiecie?

– A pan wykonuje wyrok, prawda, Czelcow? - zapytał Hollis.

Porucznik nie odpowiedział.

– Mówi pan po angielsku? - zapytała Lisa.

– Nie. Nikt z kadry... z KGB... nie mówi po angielsku.

– A amerykańscy instruktorzy? - zapytał Hollis. - Czy oni mówią po rosyjsku?

– W zasadzie nie powinni, ale trochę chwytają. Chodzi o to, że rosyjscy studenci i amerykańscy instruktorzy mogą się tutaj porozumiewać wyłącznie po angielsku. A strażnikom KGB nie wolno odzywać się ani do studentów, ani do instruktorów, chyba że jest to absolutnie konieczne.

– Więc skąd - zapytała Lisa - dowiedział się pan tyle o Ameryce?

Czelcow uśmiechnął się.

– Człowiek nadstawia ucha - odpowiedział.

– A co będzie, jeśli Burow dowie się, że pan nadstawia ucha? - zapytała, przytykając palec do skroni.

Porucznik pochylił się nad leżącymi na biurku papierami.

– Wasz rosyjski jest doskonały. Uważajcie na to, co mówicie - powiedział.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Rzuciłaś palenie? - zapytał po angielsku Hollis.

– Na to wygląda. Ale muszą być chyba łatwiejsze sposoby.

– Będziesz żyła dłużej.

– Jesteś pewien?

Zapadło milczenie.

– Sam... - odezwała się po kilku minutach. - Wiem, że jesteśmy w złej sytuacji. Ale... ja nie zamierzam im się podporządkować.

Hollis potarł kciukiem o palec wskazujący - gestem, którym posługiwali się w ambasadzie, przypominając rozmówcy o elektronicznym podsłuchu.

Dotknęła podbródka na znak, że rozumie.

– To była tylko gra, prawda? - szepnęła mu do ucha. - Mam na myśli tę twoją... twoją...

– Uległość.

– Tak.

– Porozmawiamy później.

Czekali już prawie pół godziny i Hollis podejrzewał, że Burow daje im trochę czasu na psychiczną adaptację; chce, by zakosztowali uroków relatywnej wolności i porównali je z piekłem, które przeżyli na tyłach budynku.

W końcu pojawił się w swoim szynelu. Porucznik Czelcow zerwał się na jego widok zza biurka i stanął na baczność.

– Daj im jakieś kurtki - powiedział Burow. - Wymagam od was dwu rzeczy - zwrócił się do Sama i Lisy. - Po pierwsze, po przekroczeniu progu tego budynku macie zapomnieć, co się z wami tutaj działo. Po drugie, macie o tym nigdy nie zapominać. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak jest - odparł Hollis.

– To dobrze.

Założyli białe puchowe kurtki, które wręczył im porucznik.

– Idziemy - oznajmił pułkownik i wyszli razem z nim na dwór, wdychając chłodne, pachnące żywicą powietrze. Zza chmur wyglądało słabe słońce i dopiero w jego świetle Hollis zobaczył, jak bardzo pobladła Lisa. Wziął głęboki oddech.

Burow także wydawał się cieszyć porankiem.

– Przyjemny dzień, chociaż trochę chłodny - powiedział. - Przypuszczam, że teraz, kiedy oboje straciliście trochę sadła, chłód bardziej będzie dawał wam się we znaki.

– Czy trudno będzie się panu odzwyczaić od robienia głupich aluzji do tego, co zdarzyło się w przeszłości? - zapytał Hollis.

Pułkownik uśmiechnął się lekko.

– Dziękuję, że mi pan przypomniał. Puszczamy tutaj wszystko w niepamięć. Przeszłość nie istnieje. To naczelna zasada tej instytucji. Instruktorzy nie mają żadnej przeszłości oprócz kulturowej, którą przekazują studentom. Studenci nie mają żadnej przeszłości oprócz politycznej, o której ani na chwilę nie zapominają, ale o której nigdy nie mówią.

Hollis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Rosjanin od dawna marzył o tej chwili i nie mógł się wprost doczekać, żeby pokazać im swoją szkołę i poznać ich reakcje.

– Fascynujące - powiedział.

– Zgadza się - przytaknął Burow. - Proszę, żebyście nie kryli przede mną niczego. Macie pełne prawo krytykować, skarżyć się, a nawet pozwalać sobie na sarkazm. Chodźcie, trochę się przejdziemy.

Obeszli razem budynek dowództwa i ruszyli wyłożoną drewnianymi palikami alejką na południe, gdzie z tego, co pamiętał Hollis, powinno się znajdować boisko. Wyszli z lasu zaraz za trybunami i pułkownik

oprowadził ich wokół porośniętego trawą boiska, na którym grały w touch football [5] dwie drużyny młodych ludzi. Rozgrywający wydawał właśnie ostatnie polecenia, a potem złapał piłkę i cofnął się. Minął linię obrony, zobaczył na prawym skrzydle wolnego zawodnika i rzucił. Tamten wyskoczył w stronę szybującej wysoko piłki, ale nie złapał jej i upadł.

– To trudna gra - powiedział Burow.

– Kiedy się ich ogląda, wydaje się jeszcze trudniejsza - zauważył oschle Hollis.

– Naprawdę?

Hollis dostrzegł na boisku czterech mężczyzn w średnim wieku. Dwóch stało za boczną linią po przeciwnej stronie, a dwóch na polu gry.

– To nasi trenerzy i dwóch sędziów - powiedział Burow. - Wolałbym, żeby instruktorzy mogli grać razem ze studentami, tak jak to miało miejsce dawniej. W swoim czasie rozegraliśmy tutaj parę ładnych meczów. Ale nasi instruktorzy niestety się starzeją.

– Ma pan na myśli Amerykanów.

– Amerykanami są zarówno instruktorzy, jak i ich studenci, w związku z czym nie stosujemy tutaj tego rozróżnienia.

– Rozumiem.

– Tak czy owak chodzi o to, żeby poznać podstawy. Uprawiamy tutaj wyłącznie sporty amerykańskie albo inne, znane na całym świecie. Niestety musimy się ograniczać z powodu waszych satelitów. Gramy trochę w baseball, ale gdybyśmy wytyczyli regularne boisko, wasi ludzie zastanawialiby się, co tu się wyprawia w środku Rosji. - Uśmiechnął się. - Ale teraz, kiedy odkryto, że to my właśnie wynaleźliśmy baseball, zamierzamy udoskonalić tę grę i być może wytyczę tu korty.

– Boisko.

– Nieważne.

– Musi to pana szczególnie irytować - zauważył Hollis. - Obecność satelitów.

– O tak. Bardzo nam przeszkadzają w wielu zajęciach. Chowamy się w związku z tym do lasu, tak jak to czyniliśmy przed Tatarami, Napoleonem, Hitlerem i całą resztą. - Spojrzał na niebo. - Ale wszyscy przychodzimy tutaj od czasu do czasu, żeby pokosztować trochę otwartej przestrzeni i słońca. Rozumie pan?

– Tak.

Burow kiwnął głową.

– Chodźmy dalej - powiedział. - Teraz, kiedy w Ameryce coraz popularniejszy staje się europejski futbol, moi studenci, jeśli tylko mają zacięcie do sportu, mogą wreszcie okazać się w czymś lepsi. Tak się składa - ciągnął dalej, kiedy przecinali na ukos boisko - że jedną z najlepszych amatorskich drużyn na północy New Jersey prowadzi nasz absolwent.

– Naprawdę? Wie pan, co się dzieje ze wszystkimi pańskimi absolwentami?

– Niestety nie. Przed wyjazdem do Stanów pieczę nad nimi przejmuje Dyrekcja S. Słyszał pan coś na jej temat?

– Tak. To jeden z oddziałów Pierwszej Dyrekcji Naczelnej.

Rosjanin rzucił Hollisowi szybkie spojrzenie.

– Ale co jakiś czas - ciągnął dalej - dociera do nas stamtąd trochę wiadomości i anegdot. To podnosi nasze morale.

– Co się dzieje ze studentami, którzy odpadają? - zapytała Lisa.

Burow przez chwilę nie odpowiadał.

– Cóż... - odezwał się w końcu. - Muszą podpisać oświadczenie, w którym zobowiązują się pod przysięgą nie mówić nikomu o tym, co tutaj zobaczyli. Tak samo jak w przypadku każdej innej operacji wywiadowczej.

– Wydaje mi się, że chyba jednak ich zabijacie - powiedziała Lisa.

– Niech pani da spokój, pani Rhodes. Naprawdę.

Dotarli w milczeniu do linii drzew i skręcili w kolejną, biegnącą przez las alejkę, która kończyła się przy małym betonowym, przypominającym bunkier budynku. Weszli do środka. Bunkier był kompletnie pusty i Hollis zaczął się zastanawiać, po co tutaj przyszli. Pułkownik pokazał im, żeby stanęli na zajmującej centralną część podłogi stalowej płycie, po czym nacisnął przycisk w ścianie i przyłączył się do nich. Po chwili podłoga drgnęła i zaczęła opuszczać się w dół.

Po kilku sekundach winda zatrzymała się. Drzwi rozsunęły się na boki i Burow wprowadził ich do eleganckiego pomieszczenia z chromowanymi meblami i ścianami wyłożonymi szwedzką boazerią. Za stojącym w rogu biurkiem siedział, czytając *New York Timesa*, młody mężczyzna w barwnej koszulce.

– Witajcie w naszym klubie odnowy biologicznej - powiedział Burow, zwracając się do Sama i Lisy.

Hollis rzeczywiście poczuł zapach chloru i zauważył unoszącą się w powietrzu parę. Gdzieś w pobliżu musiał znajdować się kryty basen, sauna albo łaźnia.

Młody człowiek za biurkiem odłożył gazetę.

– Cześć, pułkowniku! - zawołał wesoło po angielsku. - Kogo nam pan tu dzisiaj przyprowadził?

– Nowych członków, Frank. Pułkownika Hollisa i panią Rhodes.

– Wspaniale. - Młody człowiek wyciągnął do nich dłoń. - Jestem Frank Chapman. Czytałem w zeszłym tygodniu pański nekrolog, pułkowniku.

Hollis uścisnął po krótkim wahaniu jego rękę.

– Jeżeli ty jesteś Frank Chapman, to ja nazywam się Lew Tołstoj - rzekł. Chapman nie uśmiechnął się.

– Tylko ich oprowadzam - powiedział Burow do Chapmana.

– Jasna sprawa.

Pułkownik ruszył dalej, otwierając pokryte parą szklane drzwi.

– Tutaj mamy męską szatnię. Damska jest obok. Mamy niewiele studentek, bo w szkole jest tylko sześć instruktorek. Być może teraz siedem.

Lisa nie odpowiedziała.

– Ten ośrodek to nasze oczko w głowie. Sama budowa podziemnych pomieszczeń kosztowała ponad milion rubli. W środku zgromadziliśmy zachodni sprzęt wartości pół miliona dolarów. Po jego oddaniu morale studentów, instruktorów i personelu bardzo się podniosło.

Ruszyli w ślad za Burowem długim korytarzem.

– Mamy tutaj fińskie sauny - powiedział - łaźnie parowe, solaria i fale wodne. Tutaj jest sala do ćwiczeń. Siłownia. Te dwie kobiety są naszymi studentkami. Marzą o tym, żeby mieć amerykańską figurę, taką jak pani, pani Rhodes. - Pułkownik uśmiechnął się, obserwując Rosjanki pocące się na stacjonarnych rowerach. - Wiemy, jak wiele ważnych kontaktów zawiera się w klubach sportowych i że Amerykanie, którzy zrobili w życiu karierę, trenowali na ogół w młodości jakiś sport. Wiem, że tenis i golf są najbardziej popularne wśród klas wyższych i rządzących. Ale w całej Rosji nie mamy ani jednego pola golfowego, w związku z czym nasi studenci oglądają turnieje na taśmie wideo, a potem zapisują się na lekcje w Ameryce. Gramy także trochę w tenisa, ale najpoważniej traktujemy ćwiczenia siłowe. Uczymy, jak dbać o kondycję fizyczną ze względu na nią samą. Czas na sporty towarzyskie przychodzi później. Tędy, proszę.

Doszli do mieszczących się w końcu korytarza drzwi, za którymi znajdowała się duża sala gimnastyczna. Ćwiczyło tutaj na poręczach, drążkach i obręczach kilku młodych mężczyzn.

– To jest coś, w czym jesteśmy lepsi - powiedział Burow. - Gimnastyka wspaniale kształtuje ciało. Nasi studenci, obojga płci, dobierani są częściowo ze względu na warunki fizyczne. Wielu z nich, kiedy znajdzie się już na Zachodzie, nawiązuje romantyczne stosunki z Amerykankami i Amerykanami, którzy mogą się okazać użyteczni. Wiecie, co mam na myśli.

– Zdaje pan sobie sprawę, jak głęboko jest pan zdemoralizowany? - zapytała ostro Lisa.

– Tak, jeśli weźmie się pod uwagę wasze zasady. My mamy inne.

– Nie macie żadnych. Dlatego właśnie ten kraj stał się moralnym i duchowym bankrutem. Czy uczycie czasem waszych studentów judeochrześcijańskiej moralności?

– O ile mi wiadomo, za oceanem wcale się już nią nie kierujecie.

– Był pan kiedyś w Ameryce?

– Niestety nie. Sądzi pani, że pobyt tam coś by mi dał?

– Obawiam się, że nie.

Rosjanin uśmiechnął się. Wskazał ręką odległy koniec sali, gdzie rzucało piłkę do kosza sześciu młodych ludzi w szortach.

– Chodźmy do nich.

Ruszyli po parkiecie wzdłuż ściany w stronę sześciu koszykarzy. Hollis zauważył, że mieli typowo amerykańskie fryzury. Zaskoczyło go ich zachowanie: sposób, w jaki biegali i uśmiechali się, ich miny i ruchy rąk. Nie przypominali żadnego z Rosjan, których dotąd oglądał, i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w maksymalnym stopniu opanowali subtelności amerykańskiego sposobu bycia.

– Panowie - zwrócił się do nich Burow. - To jest Sam Hollis i Lisa Rhodes. Być może zostaną instruktorami. Przedstawcie się.

Sześciu młodych mężczyzn powitało ich wyjątkowo serdecznie, potrząsając mocno dłońmi i mówiąc takie rzeczy, jak: „Miło pana poznać”, „Świetnie, że pani wpadła” i „Witajcie na pokładzie”. Nazywali się Jim Hull, Stan Kuchick, John Fleming, Kevin Sullivan, Fred Baur i Vince Panzarello. Czysto angielskie względnie etniczne nazwiska przydzielono im chyba, pomyślał Hollis, ze względu na powierzchowność.

– Czy nie czytałem przypadkiem o was w gazetach? - zapytał Fred Baur.

– Zgadza się - odparł Burow. - Zginęli w katastrofie helikoptera.

Na twarzach młodych ludzi odmalowało się zrozumienie. Chwilę gawędzili ze sobą i Hollis był pod wrażeniem nie tylko ich znajomości angielskiego, ale także bezpośredniości, z jaką traktowali pułkownika Burowa. To musiało być zupełnie inne kulturalne doświadczenie zarówno dla nich, jak i dla pułkownika.

Lisa przez chwilę przysłuchiwała się rozmowie, a potem spojrzała na młodzieńca noszącego nazwisko Jim Hull. Raczej przystojny blondyn, mógł mieć koło dwudziestki i ubrany był tylko w szorty i sportowe buty. Lisa najpierw przyjrzała mu się z uwagą, a potem posłała niedwuznaczne spojrzenie. Hull wydawał się jednocześnie zawstydzony i podekscytowany. W końcu uśmiechnął się głupkowato i opuścił głowę.

Obaj, Hollis i Burow, zauważyli to i Hollis zorientował się, że Jim Hull nie wygląda już wcale na Amerykanina. Wiedział, że amerykańscy chłopcy w tym wieku mogą być nieśmiali i niezgrabni w stosunkach z kobietami, ale sposób, w jaki Hull wyraził swoją nieśmiałość i skrępowanie, zdemaskował go jako Rosjanina.

– Ten chłopak nie nauczył się zbyt wiele, prawda? - skomentowała Lisa zwracając się do Burowa.

Pułkownik sprawiał wrażenie podenerwowanego.

– Obawiam się, że moi studenci nie są przyzwyczajeni do agresywnych amerykańskich kobiet - skwitował oschle. - Chodźmy dalej.

– Wiesz co, Sam - powiedziała do Hollisa, kiedy szli z powrotem przez salę gimnastyczną - kiedy w człowieku wydzielają się hormony, serce tłucze się w piersi i czerwienieją policzki, wtedy nie potrafi się całkowicie kontrolować.

– Chyba to sobie zapamiętam.

– No, a poza tym, co o nich sądzicie? - zapytał Burow. - Szczerze.

– Sądzę - odparł Hollis - że pańskich sześciu koszykarzy śmierdziało kielbasą i kapustą.

– Dosłownie czy w przenośni?

– Jedno i drugie.

– Nie wydaje mi się.

– Więc niech pan mnie nie pyta.

Burow skręcił w krótki korytarz i otworzył szklane drzwi, za którymi znajdowała się duża kryta pływalnia. Wskazał basen, w którym robili kolejne nawroty dwaj mężczyźni i dwie kobiety.

– Tutaj skupia się w nocy aktywność towarzyska - objaśniał - a w piątkowe wieczory odbywają się raczej dzikie imprezy, łącznie, obawiam się, z pływaniem nago. Przychodzi tutaj raczej rozpasane towarzystwo. Nie wiem, czy mamy w tym przypadku do czynienia z amerykańską, czy raczej rosyjską dekadencją. - Zastanawiał się przez chwilę. - Powiem wam coś, co odkryłem - powiedział. - Zarówno w Ameryce, jak i w Rosji, w życiu publicznym można zaobserwować skłonność do purytanizmu i do stawiania ludziom wysokich wymagań moralnych. Ale w sferze prywatnej jest bardzo dużo luzu. Uważam, że nam, którzy żyjemy w wielkich imperiach, duchowa i moralna dekadencja kojarzy się z kryzysem politycznym, może nawet z upadkiem. Co na ten temat sądzicie?

Sprawowana przez Burowa funkcja, pomyślał Hollis, zmuszała go czasami do niezależnego myślenia. Był niezbyt inteligentny, ale sprytny - wystarczająco sprytny, żeby przeżyć - i z tego właśnie względu otwarty na rzeczywistość.

– Znam lepsze przykłady podobieństw łączących Amerykanów i Rosjan - podsumowała Lisa.

– Być może, ale żadne nie są tak interesujące jak ich stosunek do seksu. Proszę za mną.

Zwiedzili pozostałą część podziemnego kompleksu i Hollis pomyślał, że to właśnie miejsce stanowi między innymi przyczynę, dla której pułkownik nie chce zlikwidować obozu bądź przenieść go gdzie indziej. Łatwiej było przenieść Szkołę Wdzięku, kiedy istniała w swojej surowszej, bardziej rosyjskiej formie. Ale kiedy zbudowano tutaj porządne domy i ten podziemny kompleks, Burow ugrzązł w czymś, co gdyby się głębiej zastanowił, mógłby nazwać amerykańską dekadencją.

Wyjechali z podziemi windą i znaleźli się z powrotem w betonowym bunkrze. Burow wyprowadził ich na zewnątrz i wskazał ręką na południe.

– Za tym kolczastym drutem znajdują się koszary Straży Granicznej KGB. Kagebiści stanowią obsadę wież strażniczych i patrolują granice obozu. Wewnątrz obozu jest ich niewielu i przeważnie przebywają w budynku dowództwa. Nie powinniście zbliżać się do ogrodzenia ani z nimi rozmawiać. Nie pałają zresztą do was specjalną sympatią - dodał - bo zamordował pan ich dwóch kolegów. Czy wyraziłem się jasno?

– Najzupełniej - odparł Hollis.

Wiedział, że za kolczastym drutem i wieżami strażniczymi tego i pozostałych obozów Gułagu rozciąga się inny, większy obóz, którego pełna nazwa brzmi Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich. I że każdy metr otaczających go murów strzeżony jest przez elitarne paramilitarne

ramię KGB - Straż Graniczną. Licząca ponad pół miliona żołnierzy formacja była często lepiej wyszkolona i wyekwipowana od Armii Czerwonej, a jej istnienie dawało KGB sposobność terroryzowania nie tylko ludności, ale również wojskowych i partii, do której obrony został powołany Komitet.

– Ale pan nie jest oficerem Straży Granicznej? - zapytał Hollis, kiedy szli ścieżką.

– Pytał mnie pan o to już raz przez telefon, prawda? Teraz mogę panu odpowiedzieć. Pracuję w Departamencie Wykonawczym. Wie pan, oczywiście, czym się zajmujemy.

– Oczywiście. Politycznymi morderstwami, sabotażem, porwaniami i szantażem.

– Sami nie określamy tego w ten sposób. Ale w gruncie rzeczy chodzi właśnie o to. Pracuję w tym departamencie od momentu wstąpienia do KGB. Trochę czasu spędziłem w Skandynawii. Ale od dziesięciu lat, jak już powiedziałem, jestem w tym obozie, pięć lat jako zastępca komendanta i pięć lat jako komendant. Podobnie jak wszyscy pozostali będę służył tutaj do końca życia. Centrala nie daje zgody na przeniesienie gdzie indziej. Wielu osób z personelu pomocniczego, w tym cała służba medyczna, to więźniowie polityczni, których przenieśliśmy tutaj z innych obozów... Więc amerykańscy instruktorzy - dodał - nazywają to miejsce Szkołą Wdzięku pani Iwanowej? Dowiedziałem się o tym z taśmy Fishera. Czy amerykańscy piloci odznaczają się sarkazmem w jakimś szczególnym stopniu, czy Też przesiąknięte jest nim całe wasze społeczeństwo?

– U nas to prawdziwa zaraza - odparł Hollis. - Prowadzimy kursy wieczorowe sarkazmu.

– Teraz pan stara się być sarkastyczny.

Cała trójka szła spacerkiem przez las i komuś z zewnątrz mogliby się wydawać starymi znajomymi. Hollis wypytywał Burowa o różne rzeczy, a on odpowiadał, nie starając się owijać niczego w bawełnę i powtarzając parę razy, że w obrębie obozu niewiele jest rzeczy, które stanowiłyby tajemnicę.

– Prawdziwą bolączką tej szkoły - wskazał - jest fakt, że wszyscy instruktorzy są byłymi pilotami. Wykształcenie, jakie otrzymali przed pójściem do wojska, jest, na szczęście, nieco zróżnicowane, ale późniejsze doświadczenia są zbyt podobne i ograniczone, byśmy mogli na ich podstawie uzyskać prawdziwy przekrój amerykańskiego społeczeństwa. Posiadanie ludzi takich jak wy - dodał - ludzi z urozmaiconymi życiorysami, znakomicie rozszerzy nasz program nauczania.

– Proszę - odezwał się Hollis - niech pan mi oszczędzi tego uniwersyteckiego żargonu.

– Posługujemy się nim tutaj.

– A jak nazywacie facetów z pistoletami maszynowymi? Służbą porządkową kampusu?

– Nie. Oni są z całą pewnością dobrze wyszkolonymi żołnierzami Straży Granicznej KGB. Strzelają, żeby zabić.

– Więc być może - zauważył Hollis - zabijając dwóch z nich działałem w obronie własnej? Czy pan działał w obronie własnej, kiedy zamordował pan Gregory'ego Fishera?

Burow przez chwilę się zastanawiał.

– Tak - odparł. - Można to tak określić.

– Nie wydaje mi się, pułkowniku - stwierdziła ostro Lisa. - Myślałam o tym trochę. O tym, ile pan musiał sobie zadać trudu. Rozbijając jego głowę o przednią szybę i miażdżąc klatkę piersiową o kierownicę...

– Proszę, pani Rhodes, niech nam pani oszczędzi tych plastycznych szczegółów. Pani porywy moralnego oburzenia stają się poza tym nieco męczące.

– Powiedział pan, żebyśmy mówili, co myślimy. Nie chce pan się dowiedzieć, w jaki sposób wyrażamy na Zachodzie moralne oburzenie?

– Bynajmniej i moja cierpliwość też ma swoje granice.

– Moja też.

Burow zdawał się dosłownie przygryzać wargę i Hollis nie mógł się oprzeć wrażeniu, że pułkownik zaczyna się zastanawiać, czy dobrze zrobił, wypuszczając ich z celi.

Prześli ponownie boisko i wyszli na główną drogę niedaleko dowództwa. Burow skręcił na zachód, w stronę głównej bramy. W odległości jakichś stu metrów ujrzeli przy drodze długi drewniany budynek z przyjemną werandą i automatem do coca-coli. Weszli na werandę.

– Wyglądacie oboje na zmęczonych - zauważył Burow. Wyciągnął pięćdziesiąt kopiejek i wrzucił do maszyny. - Przyjmuje nasze pieniądze.

Wręczył puszkę coli Lisie i następną Hollisowi. Trzecią zachował dla siebie.

– To jest to - powiedział i roześmiał się.

Sam i Lisa otworzyli puszki i pociągnęli po łyku. Rzeczywiście to było to.

Usiedli, zachęceni przez pułkownika, na huśtawce i przyglądali się rosnącym po drugiej stronie drogi sosnom. Hollis przypomniał sobie, że siedział kiedyś na podobnej werandzie domku myśliwskiego w Karolinie Północnej. Siedział i popijał z puszki oranżadę, wdychając zapach żywicy i rozmawiając ze swoją żoną.

Burow kołysał się powoli, wlepiwszy wzrok w przestrzeń i Hollisowi przeszło przez głowę, że ich gospodarza także opanowała nostalgia, chociaż

nie potrafił sobie wyobrazić, za czym tęskni. Może za latami, które spędził jako morderca w Skandynawii.

– W tym kraju jest tylko jeden władca - rzekł Burow. - My. KGB. Mówi się o nas jako o mieczu i tarczy partii, ale w rzeczywistości nie służymy ani partii, ani państwu, ani z całą pewnością narodowi. Służymy samym sobie. Boją się nas nawet wojskowi, a oni też przecież mają broń. Ale odkryliśmy, że broń jądrowa to iluzja. My też stwarzamy iluzję, udając, że jesteśmy wszędzie, tak by ludzie bali się nawet szeptem wymówić nazwę naszej organizacji. To, co tutaj widzicie - powiedział, zataczając ręką krąg - to także iluzja. Co mówili o tym wasi analitycy? - zapytał Hollisa.

– Uważali, że tak właśnie wyobrażają sobie Rosjanie szkołę przetrwania na pustyni.

Lisa stłumiła śmiech. Rosjanin wydał wargi, wpatrując się w Hollisa i bębniąc rytmicznie palcami po poręczy fotela.

– Widzę, że się świetnie bawicie - zakończył. - Wejdzmy do środka.

Wprowadził ich do budynku, nad którym wisiała tablica z napisem VFW POSTERUNEK 000. Minęli hol, skręcili w prawo i stanęli w drzwiach dużej, jaskrawo oświetlonej świetlicy, w której znajdowało się około dwudziestu osób.

Na przeciwległej ścianie wisiała duża amerykańska flaga, którą Hollis widział już przedtem przez okno. Inne ściany ozdobiono dość przypadkowo i, zdaniem Hollisa, bez większego smaku tekturowymi dekoracjami z okazji Halloween: były tam dynie, strachy na wróble, czarny kot, kilka indyków i para Pielgrzymów. Wszystkie zabawki sprawiały wrażenie porządnie wykonanych i pochodziły prawdopodobnie ze Stanów.

Lisa przyjrzała się jesiennym dekoracjom.

– Jakie to przygnębiające - powiedziała.

Hollisowi przypomniała się choinka w świetlicy bazy lotniczej w Phu Bai. Niektóre święta rzeczywiście źle znosiły podróż. Zauważył przy ścianie stojak, na którym leżało kilkadziesiąt amerykańskich czasopism, od *Time'a* do *Road and Track* i od *Playboya* do *Ladies' Home Journal*. W kącie z tyłu wygospodarowano trochę miejsca na czytelną; na półkach stały setki książek. Były tu także stoliki do gry w karty i do gier planszowych, stół bilardowy i nawet gry wideo.

– Ci starsi panowie - powiedział Burow - to oczywiście wasi rodacy. Starają się nie tracić kontaktu z dzisiejszą Ameryką, oglądając taśmy wideo, które przysyłają w bagażu dyplomatycznym nasi ludzie z ambasad i konsulatów w Waszyngtonie, Nowym Jorku i San Francisco. Książki, czasopisma i gazety dostarczane są codziennie do Moskwy pocztą lotniczą.

Kilku starszych mężczyzn zerknęło na Sama i Lisę, ale żaden z nich, zauważył Hollis, nie spojrzął ani razu na pułkownika i żaden nie ruszył w ich stronę.

Zatrzymał wzrok na przystojnym, zadbanym mężczyźnie koło pięćdziesiątki. Ubrany w sztruksowe spodnie, wełniany zapinany sweter i koszulę z przypiętym guzikami kołnierzykiem siedział obok młodego chłopaka, oglądając razem z nim film na wideo. Hollis zerknął na ekran: Tony Randall i Jack Klugman kłócili się właśnie w kuchni swego apartamentu. Nie docierała do niego fonia, ale rozpoznał fragment *Dziwnej pary*.

W pewnej chwili młody mężczyzna zaniósł się śmiechem.

– Wciąż nie rozumiem - zwrócił się z nowojorskim akcentem do swego sąsiada - czy ci faceci są w końcu Żydami, czy nie.

– To trochę niejasne - odparł amerykański instruktor.

– Unger to żydowskie nazwisko, prawda?

– Tak.

– Więc Unger może być białym Żydem.
– Co to takiego biały Żyd? - zapytał Amerykanin.
– Nigdy nie zetknął się pan z tym określeniem? To Żyd, który zachowuje się jak Aryjczyk.

– Pierwsze słyszę - powiedział instruktor.

Student przez chwilę się zastanawiał.

– Powiedział mi o tym Bill - oznajmił. - Twierdził, że to komplement. Ale od kogoś innego słyszałem, że to obelga. Teraz pan mówi, że nigdy czegoś takiego nie słyszał.

Amerykanin wzruszył ramionami.

– Nie jestem wszytkowiedzący.

– Czy to obelga? Czy komplement? - zapytał Burow Hollisa.

– Raczej miły komplement - odparł Hollis.

Pułkownik uśmiechnął się.

– Wydaje mi się, że pan kłamie. Zdarzają się tu czasem kłamstwa - dodał. - Zawsze mieliśmy z tym kłopoty. Ale na ogół możemy to sprawdzić.

Hollis spojrział na siedzących w świetlicy Amerykanów. Przed wielu laty byli jak on lotnikami i poczuł, jak wyrywa się ku nim jego serce. Wziął Lisę pod ramię i wyprowadził ją za drzwi. Burow wybiegł za nimi i stanęli razem na werandzie.

– Najtrudniej jest - kontynuował swoją myśl Burow - wykryć oszustwa polegające na zatajeniu. Nasi instruktorzy nie są, jak wiecie, ochotnikami i... - podniósł wzrok na Hollisa. - Czy coś się stało?

– Nic.

– Ach tak, ci ludzie. Że też nie pomyślałem... Nic złego im się nie dzieje, Hollis. Przyzwyczaili się.

Lisa położyła Samowi rękę na ramieniu.

– Już dobrze - powiedział kiwając głową.

Burow postawił swoją puszkę na automacie.

– Zadzwoił do mnie z Mińska - zaczął mówić po krótkiej chwili - niejaki Feliks Wasiliewicz. Bardzo go zmartwiło coś, co usłyszał od pana na lotnisku, ale opowiadając o tym, plątał się w szczegółach. Pomyślałem, że może pan mi wyjaśni, o kogo i o co chodzi.

– Mówi pan o Mike'u Salerno?

– Zgadza się. Jak pan go zdemaskował?

– Stawał na baczność i salutował za każdym razem, kiedy mijał nas sowiecki oficer.

– Niech pan da spokój, pułkowniku. Pozwoliłem panu na sarkazm, ale nie na kłamstwa. Wie pan, co czeka pana za kłamstwa.

– Sposób, w jaki palił papierosa - powiedział Hollis i wyjaśnił w skrócie, o co chodzi.

Rosjanin kiwnął głową.

– Rozumiem.

Lisa spoglądała zaskoczona to na jednego, to na drugiego.

– Mike?... - zapytała Sama.

– Tak - odparł Burow. - Dała się pani nabrać, pani Rhodes? To dobrze. - Spojrzał na Hollisa. - Ale wie pan co, pułkowniku? Ludzie, którzy nie uświadamiają sobie, tak jak pan, zagrożenia, nie powinni zwrócić uwagi na takie drobne pomyłki. Och, nie pomniejszam bynajmniej pańskiej inteligencji. Ale moim absolwentom udało się nabrać mądrzejszych od pana. Przyjaciel tu obecnej pani Rhodes, Seth Alevy, dał się kilkakrotnie wywieść w pole naszym Amerykanom. Na przykład Kellumom, żeby wymienić tylko dwie osoby.

– Kellumom? - powtórzyła Lisa. - Dickowi i Ann?

Spojrzała na Hollisa, który kiwnął głową. Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Mój Boże... Mój Boże... nie mogę w to uwierzyć.

Burow uśmiechnął się zadowolony.

– I mamy ich trzy tysiące: w Ameryce, w waszych ambasadach i zagranicznych bazach wojskowych. Fantastyczne, prawda?

Lisa nie mogła oderwać od niego wzroku. Hollis popatrzył najpierw na nią, a potem na pułkownika. Miał nadzieję, że Burow zrozumie i uwierzy, że Lisa wie naprawdę niewiele. Miał również nadzieję, że i Lisa pojmie, dlaczego nie informował jej w takim zakresie, jak sobie tego życzyła.

– W jaki sposób zdemaskowaliście Kellumów? - zapytał Burow Hollisa.

– Prześwietliliśmy po prostu ich akta osobowe. Trzeba przyznać, że są całkiem niezłymi aktorami.

Rosjanin sprawiał wrażenie zamyślonego.

– Nie mamy z nimi kontaktu od dziesięciu dni, doszliśmy więc do wniosku, że przesłuchuje ich pan Alevy. Czy dobry z niego śledczy?

– Nie mam pojęcia - odparł Hollis. - Czy teraz, kiedy Dodson uciekł, a Kellumowie są w rękach Alevy'ego, myśli pan o przeniesieniu tej szkoły w inne miejsce? - zapytał.

Burow wzruszył ramionami.

– Chyba nie. Ale robi się, jak mówicie, gorąco. Co zrobiłby pan na moim miejscu?

– Cóż... powiedziałbym, że to mój kraj i że ja tu rządę, a nie zasrani Amerykanie. Nie pozwoliłbym, żeby jankesi albo ludzie z Kremla kazali mi chować się po kątach. Stworzyłbym kolejną iluzję - dodał kpiącym tonem Hollis.

Pułkownik skinął głową, jakby odpowiadał w myślach sam sobie.

– Być może to pan właśnie stara się stworzyć iluzję - powiedział. - No cóż, zobaczymy.

Lisa stanęła przy poręczy, przyglądając się kilkunastu studentom, którzy biegli truchtem wzdłuż piaszczystego pobocza drogi, śpiewając głośno *Anchors Aweigh*[\[6\]](#).

Burow rzucił na nich okiem.

– Tę piosenkę polubili wszyscy studenci. Ja osobiście wolę wasz hymn sił powietrznych. - Spojrzał na zegarek. - Przejdziemy się jeszcze trochę, jeśli nie jesteście za bardzo zmęczeni.

Zeszli z werandy i ruszyli asfaltową drogą. Po jakimś czasie pułkownik skręcił w wyłożoną drewnianymi palikami alejkę, która zaprowadziła ich do schowanego wśród drzew, krytego gontowym dachem domku, zaprojektowanego w bliżej nie określonym amerykańskim stylu.

– W jednym takim domku mieszka czterech studentów - powiedział Burow.

Zapukał i wszedł do środka. Na podłodze małego saloniku leżało, grając w Trivial Pursuit, czterech młodych ludzi. Hollisa ponownie uderzyło ich swobodne zachowanie i zupełnie nierosyjskie maniery. Leżeli na bosaka na podłodze, ubrani w dzinsy i bawełniane bluzy, i widać było, że nie jest to wcale przybrana na ich użytek poza. Byli sami i nie spodziewali się wcale gości. Zauważył, że na jednej z bluz widnieje napis: „Jezus jest Panem”. „Bombardujcie wieloryby” głosił napis na innej.

– Ta edycja Baby Boomer to prawdziwy syf - odezwał się jeden ze studentów do Burowa. Jego akcent mógł pochodzić, zdaniem Hollisa, z Wirginii albo Waszyngtonu. - Normalnie pytania dotyczą spraw ogólnych. Ale te są wyjątkowo wredne. Nie sądzę, żeby większość Amerykanów znała na nie odpowiedź.

– Naprawdę? - zadumał się pułkownik. - Gra pan w to? - zapytał Hollisa. Hollis pokręcił głową.

– Nigdy w życiu.

– A pani? - zapytał Lisy.

– Nie.

Burow wzruszył ramionami.

– Niech mi pan wyświadczy uprzejmość, pułkowniku. Proszę zadać jakieś trywialne pytanie moim studentom. Zobaczysz pan, dla pana to będzie również bardzo pouczające.

Hollis przez chwilę się namyślał.

– Jaka jest przybliżona liczba ofiar: mężczyzn, kobiet i dzieci, które zginęły w czasach stalinowskiego terroru? - zapytał w końcu czterech leżących na podłodze studentów.

Popatrzyli na siebie wzajemnie, a potem na Burowa. Komendant skinął głową.

– Odpowiedzcie, jeśli wiecie - powiedział.

– Czytałem o tym w książkach i czasopiśmie. Myślę, że przybliżona liczba wynosi dwadzieścia milionów - stwierdził jeden ze studentów.

– Wierysz w to? - zapytał Hollis.

Ponownie zapadła cisza.

– Ani ja, ani oni w to nie wierzymy - odezwał się Burow. - Ale kiedy znajdą się w Ameryce, będą mówili, że wierzą. Nie taki rodzaj pytań miałem na myśli - dodał chłodnym tonem. - Zapytajcie ich o coś trywialnego. Teraz pani, pani Rhodes. Proszę.

– Nie znam żadnych trywialnych pytań - zaprotestowała Lisa.

Pułkownik wręczył jej talię. Wzruszyła ramionami i przerzuciła kilka kart.

– Jakie państwo - przeczytała - zbudowało pierwszy na świecie ponaddzwiękowy samolot pasażerski, który rozbił się zaraz po starcie?

– Związek Sowiecki - odparł chłopak w bluzie z napisem „Bombardujcie wieloryby”.

Lisa znalazła kolejną kartę.

– Jaka rosyjska budowa rozpoczęła się w świetle reflektorów krótko po północy pamiętnego trzynastego sierpnia 1961 roku?

– Mur berliński - odpowiedział student z napisem „Jezus jest Panem”.

– Dziękuję, pani Rhodes. Na razie wystarczy - powiedział Burow.

– My, Amerykanie, nazywamy to „trivia” - zwrócił się do Lisy chłopak z wirgińskim akcentem - ale dla przeciętnego Ruskiego to prawdziwa czarna magia.

Lisa posłała bezradne spojrzenie Samowi. Poznał po jej oczach, że nie jest pewna, czy ma rzeczywiście do czynienia z Rosjanami. Burow także to spostrzegł.

– Złamiemy teraz regulamin - powiedział do studenta z napisem „Jezus jest Panem”. - Przez chwilę wolno ci być z powrotem Rosjaninem.

Młody człowiek poderwał się na nogi.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku - odezwał się po rosyjsku. - Nazywałem się kiedyś Jewgienij Piotrowicz Kornijenko - powiedział, zwracając się do Sama i Lisy. - Przed jedenastoma miesiącami przyjęto mnie do tej szkoły. Nazywamy ją „Kokonem”, bo właśnie w kokonie dokonuje się przepoczwarczenie gąsienicy w pięknego motyla. Jako motyl będę się nazywał Erik Larson. Być może zachowam jakieś mgliste wspomnienia z okresu, kiedy byłem gąsienicą, ale wyrosną mi piękne kolorowe skrzydła i będę fruwał w pełnym słońcu. Nikt, kto będzie mnie oglądał, nie pomyśli, że byłem kiedyś gąsienicą.

Burow skinął głową i student usiadł z powrotem na podłodze. Jako Jewgienij Piotrowicz Kornijenko wydawał się zdecydowanie bardziej przekonujący. Hollis musiał jednak przyznać, że zgodnie z tym, co powiedział pułkownik, większość kursantów odznacza się dobrymi warunkami fizycznymi i wysoką inteligencją. Ci, których do tej pory

oglądał, byli przeważnie przystojni, a wielu miało charakterystyczną dla nadbałtyckich Rosjan jasną cerę, co po dodaniu odpowiednich kostiumów i rekwizytów nadawało im wygląd typowych Amerykanów.

Burow podziękował czterem studentom i dał znak do wyjścia, ale Hollis miał jeszcze dla nich ostatnie pytanie.

– Może ktoś z was wie, kto wygrał bitwę pod Borodinem?

– Nie jestem zbyt mocny w historii - odparł Larson - ale wydaje mi się, że wygrał w końcu Napoleon, chociaż nie przyszło mu to łatwo. Prawda, chłopaki?

Wszyscy kiwnęli głowami.

– Powinien pan jednak przeczytać na nowo swój podręcznik historii, pułkowniku - zwrócił się Hollis do Burowa.

Rosjanin nie odpowiadając wyprowadził ich na dwór. Ruszyli dalej przez las. Zabudowania obozu były rozrzucone na dużej przestrzeni i bywały chwile, kiedy wydawało się, że znajdują się w kompletnej głuszy, ale potem wyrastał przed nimi nagle jakiś dom albo spacerowicz. Hollis zauważył trzech ubranych w płaszcze mężczyzn, którzy zmierzali w ich stronę wyłożoną palikami alejką.

– Instruktorzy - powiedział Burow.

Hollis patrzył, jak szli pogrążeni w rozmowie, i przyszło mu do głowy, że rzeczywiście przypominają trzech uniwersyteckich profesorów, którzy wyszli na leśną przechadzkę, żeby podyskutować o czyjejś nominacji albo o Chaucerze. Spotkali się na ścieżce i Burow dokonał prezentacji.

– Komandorze Poole, kapitanie Schuyler, pułkowniku Mead, chciałbym przedstawić wam byłego attaché powietrznego, pułkownika Hollisa z amerykańskich sił powietrznych, oraz pannę Lisę Rhodes ze Służby Informacyjnej Stanów Zjednoczonych, również była pracownicą ambasady.

Pięciu Amerykanów zmierzyło się baczny spojrzeniem.

– Jak się tu, do diabła, dostaliście? - przerwał milczenie pułkownik Mead.

– Porwano nas.

– Chryste Panie, tym razem naprawdę przesadziliście - powiedział Mead, zwracając się do Burowa.

Rosjanin uśmiechnął się słabo.

– Gdybyście, panowie, dokładniej czytali gazety, do czego zresztą jesteście zobowiązani, dowiedzielibyście się, że pułkownik Hollis i pani Rhodes zginęli w katastrofie helikoptera.

Komandor Poole pokiwał głową.

– Zgadza się. Jest pan attaché powietrznym.

– Byłem.

– To znaczy, że oboje jesteście prawdziwi? - zapytał kapitan Schuyler. - A już myślałem, że jesteście parą farbowanych lisów pułkownika Burowa, tyle że ze znacznie wcześniejszych kursów.

– Nie - odparł Hollis. - Jesteśmy prawdziwi.

Pułkownik Mead wciąż nastawiony był sceptycznie.

– Czytałem o was, ale czy to rzeczywiście wy?

– Jutro dostaniecie czasopisma z zeszłego tygodnia, z fotografiami - stwierdził Burow. - A także taśmy z nagraniami zeszłotygodniowych dzienników telewizyjnych.

Schuyler pokiwał ze smutkiem głową.

– Cóż, w takim razie przykro nam was tu widzieć.

– A nam przykro, że tu jesteśmy - odparł Hollis.

Czuł, że chcą mu zadać mnóstwo pytań, między innymi na temat Dodsona, ale nie był to odpowiedni moment.

– Wkrótce będziemy mieli okazję porozmawiać - powiedział.

Pokiwali głowami. Burow pośpiesznie się pożegnał i poprowadził Sama i Lisę dalej.

– Jak pan widzi - powiedział - większość domów jest w stylu amerykańskim. W innym podziemnym kompleksie odtworzyliśmy w celach szkoleniowych typową amerykańską kuchnię, różne biura i inne pomieszczenia wypełnione waszymi gadżetami. Pokażę wam to któregoś dnia. Ale przede wszystkim koncentrujemy się na niuansach języka i kultury: interesuje nas wyraz twarzy, ubiór, stosunki międzyludzkie... tego rodzaju rzeczy. Do supermarketów i stacji benzynowych przyzwyczajają się szybko, kiedy już wylądują w Stanach.

– I do tego, jak palić papierosa - skomentował Hollis.

Burow szedł przez chwilę w milczeniu.

– Czasami nawet drobne błędy mogą się okazać fatalne - powiedział. - Jednym z naszych największych problemów jest mimika. Jak niepowtarzalne potrafią być nieraz twarze i jak różnie reagują ludzie na różne rzeczy w różnych kulturach.

– Na twarzach moskwian - stwierdziła Lisa - maluje się zawsze wyraz cichej desperacji. A kiedy są pijani, desperacja ustępuje miejsca melancholii. Nigdy się nie uśmiechają, chyba że do własnych dzieci.

– Naprawdę? - zapytał Burow. - Wie pani, nigdy tego nie zauważyłem. Ale w tym tkwi chyba sedno sprawy. Wy się uśmiechacie. Innym wielkim problemem jest język angielski. Sama liczba słów jest przytłaczająca. Macie ich prawie pół miliona. W języku rosyjskim nie ma więcej niż sto tysięcy. Angielski to bardzo bogaty język, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zazdrościłbym wam go, gdyby nie wymowa i gramatyka.

Pułkownik wyraźnie się rozgadał.

– Przypomniałem sobie właśnie historię - powiedział, prowadząc ich dalej przez las - o jednym z naszych absolwentów, który niedawno przybył

do Ameryki i miał przykrą przygodę ze zgniataczem puszek w supermarkecie. Włożył, zdaje się, do środka pełną puszkę coli, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. - Uśmiechnął się. - Przypuszczam - dodał - że przypomina to trochę czytanie map sporządzonych przez satelity. Żeby dobrze poznać dany kraj, trzeba w nim trochę pomieszkać, pooddychać jego powietrzem, poznać jego rytm.

– A co się dzieje, jeśli ktoś go pozna i pokocha? - zapytała Lisa.

– To może stanowić pewien problem - zgodził się Burow. - Ale podjęliśmy środki zapobiegawcze. Ponownie polegające na iluzji. Nasi absolwenci odznaczają się lojalnością, ale niezależnie od tego każemy im wierzyć, że podczas pobytu w Ameryce są bez przerwy obserwowani. Pamiętają także, że ich rodziny pozostają pod naszą troskliwą opieką. Rozumiecie?

– Pan, pułkowniku, z całą pewnością posiadał wszelkie niuanse naszego języka - zauważył Hollis.

– Dziękuję.

Przecięli ponownie główną drogę i skręcili w alejkę, która omijając z tyłu dom weteranów, biegła w głąb lasu, opadając lekko w dół.

– Próbuje teraz czegoś nowego - powiedział Burow. - Absolwenci, którzy spędzili w Ameryce co najmniej sześć lat, powracają tutaj jako instruktorzy. Ta operacja musi trwać dalej i rozwijać się; nie możemy przez cały czas polegać na zagranicznych instruktorach. Zdał sobie w końcu z tego sprawę Piotr Wielki. Z początku sprowadził zbyt wielu cudzoziemców. Taka jest właśnie historia mojego kraju: próbujemy przeszczepić zachodnie wzory edukacji i kultury na ten surowy grunt. Ale w ostatecznym rozrachunku musimy wziąć z Zachodu to, czego potrzebujemy, i sami zająć się edukacją. Ta szkoła nie przestanie działać, dlatego że wymrą jej zagraniczni wykładowcy, jak to się zdarzyło za Piotra. Nie, my nauczymy

innych, jak uczyć, i oni nauczą następnych. Któregoś dnia tę szkołę będzie opuszczać dwa tysiące Amerykanów rocznie. Do końca stulecia będziecie mieli w swoim kraju piątą kolumnę, której wielkość i wpływy każą Związkowi Sowieckiemu uważać się za ważnego, choć cichego udziałowca w Ameryce. A któregoś dnia możemy zasiąść w radzie nadzorczej.

Ani Hollis, ani Lisa nie odpowiedzieli.

Pułkownik zbliżył się do małego, wzniesionego w stylu Cape Cod domku, z zielonymi okiennicami i cedrowym spadzistym dachem.

– To jest kwatery majora Dodsona - oznajmił. - Możecie tutaj zamieszkać przez ten tydzień, zanim podejmiecie decyzję. Wejdźcie do środka.

Otworzył drzwi, poprosił, żeby zdjęli kurtki, i włączył kilka przenośnych elektrycznych grzejników. Hollis rozpałił na prośbę Burowa ogień w kominku i rozejrzał się po pokoju. Urządzony w rustykalnym stylu, wydawał się dość przytulny.

Przyglądając się stojącym na półce obok kominka książkom stwierdził, że zainteresowania Dodsona sięgały od literatury biblijnej po brytyjskie opowieści niesamowite.

– Za tymi drzwiami jest mała kuchenka - powiedział Burow, zwracając się do Lisy. - Znajdzie tam pani szklanki i coś do picia.

– Naprawdę?

Rosjanin zawahał się przez chwilę.

– Czy mogłaby pani zrobić nam coś do picia? - wykrztusił wreszcie.

Lisa rzuciła mu gniewne spojrzenie i zniknęła w drzwiach kuchni.

– Ta kobieta jest bardzo... niezależna - odezwał się cicho do Hollisa. - Ach, te amerykańskie kobiety... - dodał. - Jak dochodzicie z nimi do ładu?

– Są całkiem interesujące - powiedział Hollis.

– Rozkapryszone dziwki - stwierdził Burow, siadając w fotelu obok kominka. - No i mamy tutaj zimę. Jak pan znosi rosyjskie zimy?

– Całkiem nieźle. Dostałem Nagrodę Joela Barlowa.

Burow kiwnął głową.

– Słuchałem taśmy.

Hollis nie odpowiedział.

– Nie wszystko można było zrozumieć, ale muszę panu powiedzieć, że byłem oburzony. To było obraźliwe, wstrętne i ociekające nienawiścią.

– Rzeczywiście w trochę złym guście - zgodził się Hollis. - Może nie powinniście po prostu podsłuchiwać naszych rozmów.

– Pańska przyjaciółka lubi Rosję.

– Ale nie ludzi, którzy nią teraz rządzą.

– Teraz i zawsze.

– Bardzo w to wątpię, pułkowniku Burow.

– Niech pan będzie realistą, pułkowniku Hollis.

– Staram się nim być.

Rosjanin wzruszył ramionami.

– Dam panu dobrą radę - powiedział. - Niech pan trzyma język za zębami. Jesteśmy tutaj bardzo wyrozumiali, ponieważ tylko w ten sposób możemy was rok po roku wykorzystywać. Ale kilku instruktorów posunęło się zbyt daleko.

– I rozstrzelał ich pan.

– Robimy to tylko w ostateczności. Niech pan usiądzie. Nie jest pan już taki agresywny jak kiedyś. Siadaj!

Hollis usiadł na małej sofie naprzeciwko kominka. Do pokoju weszła Lisa z trzema kieliszkami na małej metalowej tacy. Podała jeden z nich Hollisowi.

– To brandy.

Wzięła do ręki swój kieliszek i postawiła tackę na stole. Burow wziął trzeci kieliszek i uniósł go w górę.

– Za wasz nowy dom - powiedział i wypił sam. - No więc? Nie uważacie, że to lepsze od tortur, głodu i śmierci?

– Jeszcze się nie zdecydowaliśmy - odparła Lisa.

Pułkownik przyglądał się jej przez chwilę.

– Seks - powiedział w końcu. - Na pewno nie daje wam to spokoju. Widzieliście kilka kobiet. Niektóre z nich to studentki, jest poza tym tych sześć amerykańskich instruktorek, których jeszcze nie spotkaliście. Mieszka tu również dużo kobiet, które dostarczyliśmy instruktorom. Rosyjskich kobiet. Oczekiwanie, że ci mężczyźni będą przez wszystkie te lata prawidłowo funkcjonować bez kobiet, byłoby przejawem braku realizmu. Choć na przykład Dodson nigdy nie interesował się panienkami. Niektórzy twierdzili, że zachowywał całkowity celibat, słyszałem też, że dochowywał wierności żonie. Potraficie w to uwierzyć?

Burow łyknął trochę brandy.

– Na początku - ciągnął dalej - większość Amerykanów skakała z kwiatka na kwiatek. Ale teraz się na ogół ustatkowali i zawarli związki monogamiczne. Wszystkie kobiety są z Gułagu. Przeważnie polityczne, chociaż jest i parę kryminalistek, skazanych na ogół za przestępstwa gospodarcze. Wywodzą się z klas wykształconych i Amerykanie mają z nimi dobry kontakt. Większość kobiet nastawionych jest antysowiecko. Za to właśnie przede wszystkim trafiły do obozów karnych. Wiele już przedtem skazanych było na dożywocie, a te z krótszymi wyrokami otrzymały dożywocie teraz.

– Czy te pary zawarły legalne związki małżeńskie? - zapytała Lisa.

– Nie. Z punktu widzenia sowieckiego prawa to nie są małżeństwa. Poza tym, jak już powiedziałem, mamy tutaj nadal niespokojne duchy, ludzi,

którzy odwiedzają w piątkowe noce nasz podziemny klub. Wyprawiają tam dzikie orgie. To, jakie będzie tutaj wasze życie, zależy od was samych. Uważam - dodał - że choć to zakrawa na paradoks, mniej będziecie tutaj tęsknić do kraju niż podczas pobytu w ambasadzie.

Hollis stwierdził, że alkohol uderzył mu do głowy i że ma śmiertelnie dosyć Burowa.

– Chcielibyśmy zostać sami - powiedział.

Pułkownik wstał.

– Oczywiście - rzekł. - Ostatnie tygodnie były dla was męczące. - Podszedł do drzwi. - Jeśli będziecie czegoś potrzebować, zwróćcie się do kwatermistrza w budynku dowództwa. Przy wschodnim końcu drogi jest centrum handlowe. Wszyscy dostają tutaj pensję. Załatwię, żebyście dostali z góry wasze tygodniowe wynagrodzenie. Bagaż podręczny znajdziecie w sypialni za tymi drzwiami. Niestety bagaż, który nadaliście na lotnisku, przekazany został waszym najbliższym krewnym.

– A ikona pani Rhodes? - zapytał Hollis.

– Jeśli chcecie, mogę wam ją przysłać. Kto wyrzył w niej ten sierp i młot?

– Chyba Kellumowie - odparł Hollis.

– Naprawdę? Pamiętam ich sprzed dziesięciu lat, kiedy się tutaj uczyli. Rzadko wysyłamy agentów razem, ale oni twierdzili, że znajdą pracę jako służący w jakiejś wpływowej politycznie rodzinie. Z tego, co słyszałem, w Ameryce wcale nie jest łatwo o służbę domową i dlatego zdobycie takiej posady nie powinno nastęczyć większych trudności. A służący ma nieograniczony dostęp do wszystkich zakamarków. Uczymy tutaj także - dodał Burow - indywidualnej inicjatywy, która nie jest niestety najczęściej spotykaną cechą Rosjan. Ale w szpiegowskim fachu to połowa sukcesu. Chyba się pan ze mną zgodzi, pułkowniku?

– Jeśli profanacja świętego obrazu jest dla pana przejawem indywidualnej inicjatywy, to chyba nie rozumie pan tego pojęcia.

– To było raczej okrutne z ich strony. Ale jeśli chcecie, mogą wam ją przysłać. Coś jeszcze? Nie? Cóż, muszę przyznać, że to był przyjemny poranek. Mam nadzieję, że dla was także - powiedział Burow i wyszedł.

Hollis zbadał dokładnie pokój, a potem zajrzał do sypialni.

– Niezupełnie w moim guście.

Lisa objęła go w pasie.

– Chcę, żebyś wiedział i nigdy nie zapomniał, że cię Kocham.

– Taką mam nadzieję. Wygląda na to, że spędzimy tu resztę życia.

– Nie spędzimy tutaj reszty życia! Nie! Uciekniemy do domu albo zginiemy podczas próby ucieczki.

– Nie bądź głupia - powiedział, pocierając kciukiem o palec wskazujący.

Kiwnęła głową.

– Później wybierzemy się na spacer.

– Dobrze. Teraz zupełnie opadłam z sił. Mój Boże, to było okropne, Sam... Ta cela... Nienawidzę tego człowieka.

– Połóż się na sofie.

Pomógł jej się położyć, przykrył kurtką i usiadł w fotelu.

– Czy byłam dzielna? - zapytała.

– Bardzo.

– Nie chcę tak mocno nienawidzić.

– Teraz śpij. Porozmawiamy później.

– Dobrze.

Hollis przez chwilę wpatrywał się w ogień. Nie dawała mu spokoju schizofreniczna osobowość Burowa: chwilami okrutna i sadystyczna, a chwilami niemal ujmująca. Podejrzewał, że żadna z twarzy tego człowieka nie jest fałszywa. Rosjanin szczerze i głęboko nienawidził Hollisa i całego

zachodniego świata. Ale kiedy tylko okazało mu się trochę sympatii i zainteresowania, potrafił być grzeczny, a nawet przyjazny.

Hollis próbował się jakoś pogodzić ze swoją śmiercią - tą zainscenizowaną i tą, która mu groziła. Pomyślał o trzech amerykańskich oficerach, których spotkał na spacerze. Wydawali się zagubieni i samotniczymi nieszczęśliwymi duchami, potępionymi duszami, zawieszonymi w pustce między żywymi i zmarłymi. Próbował wyobrazić sobie prawie dwa dziesięciolecia, spędzone w tym miejscu, ale nie potrafił.

Próbował zrozumieć, jakiego rodzaju potworny system mógł stworzyć to miejsce, ale nie był w stanie. Próbował znaleźć jakieś wyjście, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

.33.

Krótko przed zmierzchem Hollis i Lisa wyszli na spacer w stronę boiska.

– Możemy tutaj rozmawiać? - zapytała.

– Nie, kiedy idziemy alejką. Później.

Na boisku nie było nikogo i ruszyli dalej na południe, mijając betonowy bunkier ośrodka sportowego.

– Czy idziemy na pływalnię? - zapytała Lisa.

– Nie, tylko na spacer.

– Jak ostatnim razem, kiedy zabrałeś mnie do lasu?

– Tym razem nie jest to aż tak niebezpieczne. Tym razem jesteśmy po drugiej stronie drutów.

Ścieżka skończyła się i Hollis wdrapał się po przypominających drabinę gałęziach na wysoką sosnę. Nie było go jakieś dziesięć minut, a potem zszedł na dół i otrzepał ubranie.

– Co zobaczyłeś? - zapytała Lisa.

– Koszary Straży Granicznej.

– Dlaczego chciałeś je obejrzeć?

– Bo tutaj są. Tak zostałem wyszkolony. Nie mogę się po prostu oprzeć - powiedział z uśmiechem.

– Nie wydaje mi się.

Ruszyli z powrotem ścieżką. Po kilku chwilach Hollis skręcił w bok, w głąb małego wąwozu. Usiedli obok siebie na pochyłym zboczu.

– Mogą mieć urządzenia podsłuchowe przy alejkach - powiedział cicho - i być może ruchome mikrofony kierunkowe. Ale tutaj możemy mówić

swobodnie, jeśli tylko nie będziemy podnosić głosu.

– Już od dwóch tygodni powinniśmy być w kraju, gdzie nikt nie przejmuje się takimi rzeczami. Niech to wszyscy diabli! - Lisa podniosła gałązkę i zaczęła grzebać nią w dywanie z sosnowych igieł. - Czy zostaniemy tutaj do końca życia?

– Mam nadzieję, że nie.

– Seth wie, że tu jesteśmy?

– Sądzę, że wie, że nie zginęliśmy w katastrofie śmigłowca. Ma prawdopodobnie nadzieję, że jesteśmy tutaj, a nie gdzie indziej. Właściwie mamy szczęście, że znaleźliśmy się w Szkole Wdzięku, a nie na Łubiance.

– To znaczy, że zostaniemy stąd odbici lub wymienieni na kogoś innego?

– Nie wiem.

– Wiesz. Dlaczego nie chcesz dać mi trochę nadziei?

Hollis wziął ją za rękę.

– Już ci mówiłem: im mniej wiesz, tym lepiej. Pamiętaj o wykrywaczu kłamstw i serum prawdy. Burow w żadnym przypadku jeszcze z nami nie skończył.

Kiwnęła głową.

– Powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam, Sam. Nie mogłam na to nic poradzić. Ale nie zdradziłam mieszkańców Jabłonii - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Objął ją ramieniem.

– Nie ma już Jabłonii. Widziałem wioskę z helikoptera. Spalili ją.

Przez chwilę grzebała patykami w ziemi.

– To sukinsyny... - powiedziała cicho.

– Byłaś bardzo dzielna próbując ich kryć.

Pokręciła głową.

– Nie byłam wcale dzielna... - umilkła na moment. - Zawsze wydawało mi się, że potrafię stawić opór... ale po tygodniu stałam się nikim. Nie byłam sobą. Wstyd mi za siebie.

– To zawodowcy, Liso - odparł Hollis. - Potrafią złamać każdego. Zanim zabrali się za ciebie, przeciwicyli to na milionach ludzi. Nie bądź wobec siebie taka surowa.

Pokiwała wolno głową.

– Nie miałam pojęcia, co potrafią zrobić z człowieka...

– Chyba wiedziałaś.

Spojrzała na niego.

– Tak. Teraz to rozumiem. KGB było zawsze dla mnie czystą abstrakcją, opowieścią, którą straszycie mnie, ty i Seth, żeby uważała w kontaktach z moimi rosyjskimi przyjaciółmi i chodząc na nabożeństwa... ale teraz... mój Boże, jacy oni są bezwzględni. A my naiwni.

– Nie rozpamiętuj tego wszystkiego.

– Wciąż się trzęsę.

Objął ją mocniej, a ona przytuliła głowę do jego ramienia.

– Burow starał się, żebyś cię znienawidziła. Mówił, że znalazłam się tutaj, ponieważ byłam współniczką popełnionych przez ciebie morderstw. Ale wiedziałam, że to kłamstwo. Ich wcale nie interesowali ci dwaj zabici. Interesowało ich to, co wiemy i kim jesteśmy.

– Zgadza się. Musisz pamiętać, że oni nie uznają naszej moralności. Wykorzystują tylko każdą sposobność, żeby ją obrócić przeciwko nam. Nie jesteś kryminalistką. Jesteś więźniem politycznym.

– Tak, więźniem politycznym.

– Ci strażnicy zginęli, bo prowadzili działalność sprzeczną z prawem.

– Tak. Zapamiętam to sobie. - Wzięła głęboki oddech. - Modliłam się - powiedziała - ale wydaje mi się, że kilka razy traciłam wiarę.

– Tak samo jak Chrystus na krzyżu. On też był człowiekiem.

Wzięła go za rękę.

– Dzięki tobie poczułam się trochę lepiej.

– To dobrze. A poczujesz się znacznie lepiej, jeśli uda nam się kiedykolwiek wyrównać z nimi rachunki.

– Nie chcę o tym słyszeć, Sam. Mam dość tej ustawicznej wendety. Chcę tylko wyrwać się stąd i uwolnić naszych ludzi.

– To dobrze - powiedział podnosząc się. - Porozmawiajmy w takim razie z więźniami i zorientujmy się, w jaki sposób możemy im pomóc.

Lisa także wstała i położyła mu rękę na ramieniu.

– Sam... mam nadzieję, że zrozumiesz... uważam, że nie powinniśmy ze sobą sypiać... przynajmniej na razie.

– Rozumiem.

– Naprawdę? To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Nie ma sprawy.

– Kocham cię.

Pocałowała go i objęci ramionami ruszyli z powrotem w stronę ścieżki.

– Myślisz, że dadzą mi Biblię? - zapytała.

– Myślę, że dadzą ci prawie wszystko, o co poprosisz. Na tym polega cała szopka. Nie próbują tutaj robić nam prania mózgow. Wprost przeciwnie. Chcą, żebyś pozostała Lisą. I chcą, żebyś stworzyła tutaj swojego sobowtóra.

– Nie zrobię tego.

– Zrobisz, z całą pewnością.

– Nigdy nie mówiłam, że zrobię. To ty mówiłeś, w moim imieniu.

– Chcesz, żeby cię rozstrzelali?

– Być może.

Hollis rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Liso, po prostu graj na zwłokę. Dobrze?

– Wiesz, wydaje mi się, że to właśnie robią ci piloci. Od dwudziestu lat grają na zwłokę.

– Jeden tydzień. Obiecuj mi.

Kiwnęła głową.

– Jeden tydzień.

Wyszli na ścieżkę i kontynuowali spacer. Sosnowy las był raczej przyjemny, pomyślał Hollis, prawdziwy rosyjski bór, pełen, ptaków i małych zwierząt. Na wyłożonej palikami alejce leżały sosnowe szyszki, a ziemię obok pokrywał dywan igieł. Rude wiewiórki zbierały żołędzie spod rosnących między sosnami karłowatych dębów. Nagle zza zakrętu wyłonił się porośnięty żółtą trawą pagórek, na którego szczycie stało w promieniach zapadającego słońca kilka białych rosyjskich brzoź. Lisa wzięła Sama za rękę, wspięli się razem na górę i przystanęli między brzozami.

– Urocze miejsce, jeśli nie brać pod uwagę okoliczności - powiedziała. - Co to takiego? - zapytała pokazując ręką.

Hollis odwrócił się w stronę zachodzącego słońca i przysłonił dłonią oczy. W odległości mniej więcej stu metrów stała między sosnami wysoka drewniana wieża strażnicza.

– To jest coś, co zastąpiło w rosyjskim pejzażu cebulaste cerkiewne kopuły - powiedział. - Wieża strażnicza.

Nie widział drutów kolczastych ani zaoranego pasa ziemi, ale wiedział, że tam są. W odległości dwustu metrów od pierwszej zobaczył drugą wieżę. Obliczył, że jeśli obóz położony jest na planie kwadratu o boku mniej więcej dwóch kilometrów, a wieże rozmieszczone w odległości dwustu metrów od siebie, może ich być około czterdziestu. Na każdej z nich musiało pełnić ośmiogodzinną straż co najmniej dwóch wartowników, co oznaczało, że tylko do obsady wież potrzebnych było dwustu czterdziestu

żołnierzy. Do tego dochodziło kolejnych dwustu, patrolujących granice obozu, oraz personel w budynku dowództwa i obsługa lądowiska. Opierając się na tym, co widział z helikoptera i krótko po wylądowaniu, ocenił, że w obozie może się znajdować około sześciuset żołnierzy Straży Granicznej KGB. Całkiem silny oddział, jeśli wzięło się pod uwagę, że wszyscy ci ludzie pilnowali raptem trzystu Amerykanów. Ale uniemożliwienie stąd ucieczki stanowiło dla KGB sprawę bezwzględnie priorytetową. I przez dwa dziesięciolecia faktycznie nikomu nie udało się uciec.

A potem Dodson zrobił to, co wydawało się niemożliwe, i wszyscy, poczynając od Burowa aż po Biuro Polityczne, wpadli w panikę. Hollis zastanawiał się, w jaki sposób udało się Dodsonowi stąd wydostać.

Lisa przyjrzała się wieży.

– To są teraz granice naszego świata, prawda? - zapytała.

– Na to wygląda.

– Chciałabym mieć skrzydła.

– Jestem pewien, że uwięzieni tu lotnicy często wspominają czasy, kiedy je mieli.

Zeszli z pagórka na ścieżkę, kierując się z powrotem w stronę domu.

– Wciąż jestem bardzo słaba - powiedziała Lisa.

– Chcesz trochę odpocząć?

– Potem. Chcę pospacerować, dopóki świeci słońce. Oprę się o twoje ramię.

Wychodząc z zakrętu zobaczyli zmierzających w ich stronę chłopaka i dziewczynę w dżinsach i narciarskich kurtkach.

– Bądź wobec nich przyjazna i zachowuj się tak, jakbyś była instruktorką - powiedział Hollis.

– Tylko przez tydzień.

Podchodząc bliżej, młodzi ludzie uśmiechnęli się.

– Cześć, nazywam się Jeff Rooney, a to jest Suzie Trent - odezwał się chłopak. - Pan musi być pułkownikiem Hollisem, a pani Lisa Rhodes. - Wyciągnął ku nim rękę.

Hollis podał mu dłoń i poczuł mocny, pewny uścisk. Rooney uścisnął dłoń Lisie.

– Dobrze, że was spotkaliśmy.

Hollis zmierzył go wzrokiem. Mógł mieć dwadzieścia kilka lat i prawdopodobnie odsłużył dwa albo trzy lata w siłach powietrznych. Studiował kilka lat na uniwersytecie i być może w szkole wywiadu sił powietrznych. Z całą pewnością spędził rok w Instytucie Studiów Kanadyjskich i Amerykańskich w Moskwie.

Niskiego wzrostu i czarnowłosey nie przypominał specjalnie Irlandczyka, co sugerowało jego nazwisko, ale można się było spodziewać, że w sfabrykowanym życiorysie przewidziano dla niego słowiańską matkę.

– Właściwie, to was szukaliśmy - odezwał się Rooney. - Byliśmy w waszym domu, ale ktoś powiedział, że widział, jak szliście w tę stronę.

Ani Sam, ani Lisa nie odezwali się jeszcze ani słowem, ale nie zbiło to bynajmniej z tropu przyjaźnie nastawionego Rooneya.

– Pułkownik powiedział, żebyśmy was poszukali. Chciał, żeby Suzie spotkała się z Lisą.

Suzie Trent uśmiechnęła się. Była drobną, dwudziestoletnią kobietą, z pryszczatą twarzą, brudnymi blond włosami, zadartym nosem i trochę za dużym jak na swój wzrost biustem.

– Dobrze, że się tutaj zjawiłaś, Liso - powiedziała po angielsku z wyraźnie obcym akcentem. - Jestem tutaj od sześciu miesięcy i chodzę do klasy żeńskiej. Jest bardzo mała. Dwanaście studentek i tylko sześć instruktorek. Czas już, żebym zaczęła się uczyć indywidualnie, ale za mało

mamy nauczycielek. Więc mam nadzieję, że ty nią zostaniesz i nauczysz mnie, jak być tobą.

Lisa zaczerpnęła powietrza.

– Jeśli masz na to ochotę - odparła, uśmiechając się z przymusem. - Nie wolno będzie ci tylko spać z moim chłopakiem.

Jeff i Suzie wybuchnęli hałaśliwym śmiechem.

– Czy mogłabyś wpaść do nas na herbatę dziś po południu, Liso? - zapytała Suzie. - Spotykamy się o piątej trzydzieści, po zajęciach. Wszystkie dziewczęta.

– Kobiety.

– Tak. Spotykamy się na antresoli. Każdy ci tu może powiedzieć, gdzie to jest.

– Potrafi powiedzieć.

– Tak, dziękuję. Potrafi. Znam ogólną zasadę, ale wciąż nie zawsze wiem, jakiego słowa mam użyć.

– Zawsze kiedy masz wątpliwości, używaj „potrafi”. Większość Amerykanów ma skłonność do mylenia się w tę właśnie stronę. Uczący się angielskiego Rosjanie odwrotnie: zbyt często używają „może” i to jest rażący błąd.

– Zapamiętam to sobie.

– Pamiętaj również, że rozmawiając, Amerykanie nie stoją tak blisko siebie.

– Ach tak. Przepraszam. - Suzie dała krok do tyłu. - Czy w poprzednim życiu byłaś bogata? - zapytała. - Czy będę musiała się nauczyć manier i zwyczajów bogatych?

Lisa rzuciła szybkie spojrzenie Hollisowi.

– Moja rodzina należała do klasy średniej.

– Gdzie się wychowałaś?

- Na Long Island, niedaleko Nowego Jorku.
- Och... więc wyślą mnie gdzie indziej. A tak chciałam pojechać do Nowego Jorku.
- Nie sądzę, Suzie - wtrącił Jeff Rooney - żeby Lisę to obchodziło. Nie masz wycucia sytuacji.
- Oczywiście. Przepraszam.
- Mój staruszek - zwrócił się Rooney do Hollisa - pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, więc podłapałem trochę żargonu w domu. Myślę, że przez tych kilka ostatnich miesięcy będziemy mogli podszlifować słownictwo i zwroty, którymi posługujecie się w ambasadzie. Mam powyżej dziurek w nosie żargonu amerykańskich lotników i marynarzy. Jest tutaj także paru facetów z wojsk lądowych. To w większości piloci helikopterów. Co pan sądzi o naszej ewentualnej współpracy?
- Nie widzę przeszkód.
- To świetnie - ucieszył się Rooney, jakby Hollis mógł go odrzucić. - Ale słyszałem - dodał - że możecie się jeszcze wycofać. - Przyjrzał się bacznie Hollisowi i na chwilę opadła mu z twarzy maska. - To byłby poważny błąd - stwierdził.
- Hollis nie odpowiedział. Rooney uśmiechnął się.
- Jeśli o mnie chodzi - ciągnął swoim poprzednim tonem - to myślę o karierze w wywiadzie wojskowym, a potem ewentualnie o stanowisku attaché. W ostateczności mógłbym wylądować w NATO.
- Trafny wybór.
- Jasne. Ale według miejscowych kadrowców mogę nie przejść przez sito kwalifikacyjne. Mam na myśli moje pochodzenie. No wie pan: to, że urodziłem się w Moskwie, że mój staruszek należy do partii i w ogóle. - Rooney roześmiał się. - Cóż, trzeba będzie sobie wymyślić całkiem nowy

życiorys. Ale gdyby udało mi się dostać do wywiadu wojskowego, to byłby naprawdę niezły numer. Służyłem trochę w lotnictwie i przeszedłem odpowiednie testy... mam na myśli oczywiście testy amerykańskie... z całkiem dobrym wynikiem. Myślę, że z pańską pomocą poradzę sobie.

Hollis odchrząknął.

– Widzę, że jesteś bardzo ambitny. Ale nie chce mi się wierzyć, żeby nie sprawdzili dokładnie twojej przeszłości. Jak zamierzasz przez to przebrnąć?

– Cóż, teraz, kiedy mamy tam naszych ludzi, zrobiło się to trochę łatwiejsze. Zacznę jako sierota, rozumie pan. Przedstawię papiery z jakiegoś zlikwidowanego domu dziecka, ewentualnie nieżyjących już przybranych rodziców. Zdobycie świadectwa urodzenia nie stanowi wielkiego problemu. Mamy naszych ludzi w kilku urzędach stanu cywilnego w wielkich miastach i oni to wszystko załatwiają.

– A osobiste referencje?

– Nasz program trwa już od piętnastu lat, pułkowniku. Mogę przedstawić referencje od facetów, którzy cieszą się tam jak najlepszą opinią. To coś jak stara sitwa. Znajomi ze szkolnej ławy, i tak dalej. Faceci z pierwszego desantu mieli gorzej. Na nas, nowych, czekają już gotowe przyczółki.

– Słyszałem, że absolwenci ze względów bezpieczeństwa nigdy nie kontaktują się ze sobą.

– O? Kto panu to powiedział?

– Nie pamiętam.

Jeff Rooney pokręcił głową.

– Są małe komórki. Podobnie jak wszędzie na świecie. W ten właśnie sposób przygotowaliśmy rewolucję tutaj i gdzie indziej. Komórki odizolowane są jedna od drugiej ze względów bezpieczeństwa, ale wszystkie pracują na rzecz wspólnej sprawy. Rosjanie wpadli na ten pomysł

jeszcze przed wybuchem rewolucji i wciąż się sprawdza. Dzięki temu niemożliwa jest likwidacja całej organizacji. Tak to, moim zdaniem, wygląda. A zadaniem komórki jest pomaganie w zawodowej karierze każdego z członków.

– Interesujące.

– Zgadza się. Więc naprawdę nie musi pan zamartwiać się o to, czy przejdę przez sito kwalifikacyjne, pułkowniku. Wystarczy, że wprowadzi mnie pan w świat wywiadu wojskowego, nauczysz żargonu, jakim posługujecie się w ambasadzie, i powie, jak się zakręcić, żeby dostać tam posadę. Z resztą sobie poradzę. Okay?

– Okay.

– Żałuję, że mój stary nie jest generałem sił powietrznych tak jak pański ojciec. Ale nie szkodzi. Któregoś dnia to ja zostanę generałem i moje dzieciaki będą miały łatwiej. Wielkie amerykańskie marzenie... zgadza się, pułkowniku? Chociaż nam, imigrantom, zawsze trochę trudniej je zrealizować. - Roześmiał się. - Legalnym i nielegalnym. Ale damy sobie radę. Jesteśmy pracowitsi.

Hollis zmierzył wzrokiem Rooneya. Szkoła Wdzięku, pomyślał, urzeczywistniała w skrajnej formie odwieczny szpiegowski ideał podwójnej tożsamości; a czyniła to zaprzeczając wszelkiemu pojęciu tożsamości, którą ludzie przyjmują jako coś oczywistego. Każdy żyjący na tej ziemi człowiek stanowi, myślał dalej, skomplikowaną matrycę języka, nawyków, niuansów, gestów i wspólnej mitologii - i dopiero suma tego wszystkiego czyni go członkiem danego narodu, kultury czy społeczeństwa. Pomyślał, że uda się sporządzić jego replikę, był bardzo niebezpieczny. Ale jednocześnie bardzo rosyjski, zakorzeniony w przeszłości. Pomyślał o rosyjskiej szlachcie i klasach wyższych - mówiących po francusku, myślących po niemiecku i naśladowujących w stroju Anglików; o odwiecznej obsesji Rosjan, żeby stać

się kimś innym, kimś, kim nie byli. To miejsce, uświadomił sobie, stanowiło jakby rozwiniętą wersję szkoły Stanisławskiego - dziwną i groteskową scenę, z której aktorzy schodzili, żeby grać dalej swoją rolę w innej części świata. Scenę, na którą należało wreszcie spuścić kurtynę.

– Pułkowniku? - zapytał Rooney. - Jest pan tutaj?

Hollis spojrział mu prosto w oczy.

– Jestem - odparł.

Rooney uśmiechnął się.

– Chcecie jeszcze na pewno trochę się powłóczyć, więc nie będziemy was zatrzymywać. Ale w piątek wieczorem urządzamy przyjęcie. Będziecie mieli okazję spotkać tam mnóstwo ludzi. W sprawie masek skontaktujcie się z Chuckiem.

– Jakich masek?

– Świątecznych. W piątek jest Halloween.

– Racja.

Suzie przyjrzała się badawczo Lisie.

– Uśmiechnij się - powiedziała. - Tu nie jest tak źle.

Lisa nie uśmiechnęła się ani nie odpowiedziała.

– Jeśli będziecie z nami szczerze współpracować, nie spadnie wam włos z głowy - stwierdził Rooney. - Zapytajcie innych instruktorów. Do zobaczenia na sabacie czarownic.

Suzie pomachała im na pożegnanie.

– Miło się z wami rozmawiało. Nie zgubcie się.

– Witajcie w naszej szkole - dodał Rooney. - I nie podchodźcie za blisko do ogrodzenia.

Oddalili się oboje ścieżką. Sam i Lisa nie odzywali się przez dłuższą chwilę.

– Miłe dzieciaki - wykrztusił w końcu Hollis. - Ile w nich ambicji.

– Niech Bóg mi wybaczy - stwierdziła Lisa - ale miałam ochotę poderżnąć im gardła.

– A oni prawdopodobnie mieli ochotę poderżnąć je nam - odparł Hollis.
- Przerazające - dodał po chwili.

– Ciarki chodzą mi po grzbiecie - zgodziła się Lisa.

Popatrzyła, jak ich przyszli uczniowie znikają za zakrętem alejki.

– On stanowi już prawie gotowy produkt, ale ona jest jeszcze bardzo surowa. Przypuszczam, że to ja mam jej nadać ogłady. Nie potrafię w to uwierzyć, Sam.

– Rzeczywiście trochę to nierealne.

Hollis rozejrzał się wokół siebie. Głębokie purpurowe cienie kładły się między drzewami, a wydeptana drewniana alejka wiodła znikąd donikąd. Wiatr umilkł i zapadła wokół nich głucha cisza. A więc jednak się tutaj znalazłem, pomyślał. Umarły dla świata, poddany wariackiemu eksperymentowi i uwięziony za kolczastym drutem w samym środku Rosji. Spóźniłem się piętnaście lat, ale w końcu tu jestem.

Przez jakiś czas szli w stronę swego domu, a potem skręcili na wschód.

– Jak mi poszło? - zapytała Lisa. - Mam na myśli tę historię z „może” i „potrafi”?

– Wspaniale. Ale nie sądzę, żeby oni choć przez sekundę wierzyli, że chcemy z nimi szczerze współpracować.

– To dobrze. Nie bardzo potrafię kłamać.

– Zgadza się.

Zbliżyli się do małego rancza, ukrytego zgrabnie między drzewami. Zbudowane z czerwonej cegły, miało białe futryny i dach z zielonej papy. Wysypany żwirem podjazd prowadził do przeznaczonego na jeden samochód garażu, ale nie znać było na nim śladów opon. Po prawej stronie garażu układał drzewo na opał mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna,

a na zawieszanej na drzewie oponie huśtał się pięcioletni chłopczyk. Hollis wszedł razem z Lisą na podjazd i mężczyzna odwrócił się do nich.

– Cześć - powiedział Hollis. - Jestem tutaj nowy.

Mężczyzna przyjrzał im się dokładnie.

– Sam Hollis! Słyszałem, że pan tu jest. A pani to na pewno Lisa Rhodes. - Wytarł dłonie o sztruksowe spodnie i podał rękę Hollisowi. Miał teksaski nosowy akcent. - Jestem Tim Landis. My się chyba znamy, Sam.

Hollis na chwilę zaniemówił.

– Tak... na Boga... byłeś dowódcą naszej eskadry.

– Zgadza się. Uczestniczyliśmy razem w kilku odprawach. Pamiętam, że dawałeś nieźle popalić staremu generałowi Fullerowi. Sam miał powyżej dziurek w nosie tych wszystkich ograniczeń dotyczących bombardowań - dodał Landis zwracając się do Lisy - i raz nawet oznajmił Fullerowi, że skoro tak bardzo nie chcemy, żeby ktoś się na nas pogniewał, powinniśmy rzucić w dół wypełnione wodą baloniki.

Hollis przedstawił Lisę, która wymieniła z Landisem uścisk dłoni.

– Czy to przypomina śmierć i czyściec, czy raczej piekło na ziemi? - zapytała.

Landis wydawał się rozumieć zawarty w pytaniu podtekst.

– To zależy - odparł - w jakim nastroju budzi się człowiek rano i o czym śnił w nocy. - Potarł czoło. - Widzi pani, jestem tutaj od dwudziestu lat i bynajmniej się nie zadomowiłem. Ale z drugiej strony nie wiem już, co to znaczy czuć się jak w domu. Z wyjątkiem tych chwil w środku nocy, kiedy budzę się i wszystko sobie przypominam.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, a potem Landis uśmiechnął się do Hollisa.

– Hej, Sam, cieszę się, że cię nie zestrzelili.

– Zestrzelili, Nad Hajfongiem. Pod koniec wojny. Ale nasi wyłowili mnie z morza. Moim drugim pilotem był Ernie Simms - dodał po chwili wahania. - Nie ma go tutaj?

– Już nie - odparł Landis.

– A był?

– Tak.

– I co?

– Cóż... niech no sobie przypomnę... to było w siedemdziesiątym czwartym. Wtedy przywieźli go z Hanoi. Teraz przypominałem sobie, że rzeczywiście razem lataliście. Mówił, że wyskoczyliście obaj, ale nie wiedział o tobie nic więcej. Nieźle się wykrwawił, ale żółtki poskładały go do kupy i kiedy tu przyjechał, czuł się całkiem dobrze.

– Co się z nim tutaj stało?

– Rozstrzelali go.

– Za co?

– Cóż... - Landis zrobił nagle niewyraźną minę. - Kazał im się po prostu odpierdolić. Powiedział temu ważniakowi z sowieckich sił powietrznych, którego nazwiska nie mogę sobie teraz przypomnieć, że nie będzie grał w te klocki. Więc go rozstrzelali.

Hollis kiwnął głową.

– Dostawali wtedy od żółtków tylu pilotów, ilu chcieli - powiedział Landis - więc jeżeli któryś z nimi zadzierał, rozwalali go. A potem wojna się skończyła i kontrolę nad obozem zaczęło przejmować KGB. Ale pewnie o tym wszystkim wiesz?

– Nie.

– Interesuje cię to?

– Może innym razem.

– W porządku. Słuchaj, przykro mi z powodu Simmsa. Ale znajdziesz tu prawdopodobnie innych znajomych z naszej starej paczki. Znałeś Lessie Gatesa?

– Szalonego Gatesa?

– Zgadza się. - Landis wymienił kilkanaście innych nazwisk i Hollis rozpoznał trzy albo cztery. - Słuchaj, przedstawię ci mojego małego - powiedział i odwrócił się do chłopca. - Timmy! - zawołał. - Chodź tutaj, przywitaj się z moim starym przyjacielem.

Chłopiec zeskoczył z opony i podbiegł do nich.

– Timmy - powiedział Landis - to jest... kim teraz jesteś, Sam? Generałem?

– Pułkownikiem.

– Wspaniale. Timmy, to jest pułkownik Hollis i pani Rhodes. Przedstawiam wam Timothy'ego Juniora.

Wszyscy uścisnęli sobie dłonie. Chłopczyk uśmiechnął się nieśmiało.

– Niedługo skończy sześć lat - powiedział Landis. - Ma tu paru rówieśników, ale niezbyt wielu. Zresztą i tak lubi starsze dzieci. Zgadza się, mały?

Chłopczyk kiwnął głową.

– Moim najlepszym przyjacielem jest Joey Reeves - stwierdził. - Ma dziewięć lat. Przyjechał pan z Ameryki? - zapytał, przypatrując się Hollisowi.

– Tak.

– Któregoś dnia i ja pojedę do Ameryki.

– To dobrze. Na pewno ci się spodoba.

– Będę tam walczył o pokój.

Hollis nie odpowiedział.

– Ameryka to dobry kraj - ciągnął dalej mały.

– Tak, zgadza się.

– Ale rządzą nim źli ludzie.

Hollis rzucił szybkie spojrzenie Landisowi.

– Mówisz po rosyjsku? - zapytała chłopca Lisa.

– Nie. Uczymy się o Rosji, ale po angielsku.

– Czego się uczycie?

– Rosja to wielki kraj, który walczy o pokój. Któregoś dnia Rosja i Ameryka zostaną przyjaciółmi. Wtedy tata, mama i ja będziemy mogli stąd wyjechać i zamieszkać w Ameryce. Albo jeżeli będziemy chcieli, w Rosji. Rosja jest blisko stąd, Ameryka daleko.

Lisa uklękła i ujęła w dłonie jego rękę.

– Ameryka też pragnie pokoju - powiedziała.

– Ale rządzą nią źli ludzie.

Sam dotknął jej ramienia i Lisa wstała.

– Idź się bawić - zwrócił się do syna Landis.

Chłopczyk pobiegł z powrotem w stronę huśtawki. Landis popatrzył w ślad za nim.

– Z początku uważali - powiedział - że wystarczy nam sam seks, ale potem zrozumieli, że niektórzy z nas pragną zostać ojcami, a nasze kobiety mają silny instynkt macierzyński. I pozwolili nam mieć dzieci. Chcą, żebyśmy byli zadowoleni, żebyśmy zajęli się codziennymi sprawami. Ale rozwiązując jedne problemy, stwarza się inne. Na przykład dzieci. Jest ich teraz koło sześćdziesięciu. Najstarszy, Rick Brewer, ma teraz dziesięć lat. Żona Teda Brewera, Swietłana, pierwsza zaszła w ciążę, kiedy zniesli zakaz.

– Na czym polega problem? - zapytał Hollis.

– Nie wiedzą, jak wychowywać te dzieci. Stworzyli w związku z tym coś w rodzaju hybrydy. W szkole obowiązuje zmodyfikowany program

amerykański i język angielski, ale uczą tam poza tym rosyjskiej historii i sowieckiej ideologii. To nie zdało egzaminu. Oni liczą, że za kilkanaście lat będą mogli wysłać te dzieci do Ameryki podobnie jak rosyjskich studentów. Ale bardzo w to wątpię. Obawiam się, że kiedy podrosną i uświadomią sobie, że siedzą w więzieniu, pomiesza się im po prostu w głowie. - Landis spojrział w stronę swego syna. - Mój biedny mały.

Lisa przez chwilę obserwowała chłopca.

- Nie mówi mu pan prawdy w domu? - zapytała.

- Nie.

- Dlaczego? Mógłby pan w dyskretny sposób...

- Powiedzieli, że jeśli odkryją, że to próbuję robić, zabiją go. Nie odbiorą, ale zabiją. Razem z moją żoną.

- Mój Boże... przepraszam...

Landis wzruszył ramionami.

- Cały czas mamy do czynienia ze stalową pięścią w aksamitnej rękawiczce. - Spojrzął na Hollisa. - Powiedz, Sam, nie słyszałeś czegoś przypadkiem o mojej żonie? To znaczy o mojej amerykańskiej żonie. O Maggie?

- Nie, nie wydaje mi się. Może sobie jeszcze przypomnę.

- Naprawdę? Byłbym ci bardzo zobowiązany. Miałem dwóch chłopaków: Timothy'ego... starszego Timothy'ego... i Josha. Są teraz dorosłymi mężczyznami. Tim powinien mieć trzydzieści lat, a Josh dwadzieścia cztery. Jestem przekonany, że im się w życiu powiodło. I mam nadzieję, że Maggie kogoś sobie znalazła.

Landis przesunął dłonią po twarzy. Hollis poczuł dziwną pustkę w żołądku.

- Słuchaj, Tim - powiedział. - Moja obecność wytrąca cię trochę z równowagi, więc może lepiej będzie, jeśli sobie pójdziemy...

– Nie, nie. Nie przejmuj się, nie będę ci zadawał więcej takich pytań. Wy też na pewno jesteście trochę zdezorientowani. Wejdźcie i przywitajcie się z Jane. To znaczy z moją żoną. Jest Rosjanką, ale podoba jej się to imię.

– Może innym razem...

– Wejdźcie. Spodoba wam się. To polityczna. Bardzo cięta na czerwonych. Dostała trzydzieści lat... w tych obozach to tak jak wyrok śmierci. Odsiedziała dwa lata, a ponieważ uczyła się kiedyś w szkole angielskiego, zaproponowano jej przejście tutaj. Chciałbym, żebyście ją poznali.

Lisa i Sam wymienili szybkie spojrzenia.

– Bardzo chętnie - powiedziała Lisa.

– To świetnie - ucieszył się Landis. Obeszli dom dookoła i stanęli przed frontowymi drzwiami. - Przywieźli ją tutaj... niech pomyślę... jakieś piętnaście lat temu - stwierdził. - Przez pierwsze dwa lata nie miała stałego partnera, tak jak zresztą my wszyscy. To był szalony okres. A potem większość osób się ustatkowała.

Otworzył drzwi.

– Kochanie, przyprowadziłem gości! - zawołał.

– Och, Tim, mamy w domu straszny bałagan - usłyszeli kobiecy głos z obcym akcentem.

Hollis i Lisa spojrzeli na siebie, nie wiedząc, czy się roześmiać, czy wyjść.

Landis wskazał im drogę do kuchni. Przechodząc przez salon Hollis zauważył, że jest raczej obskurny i niespecjalnie w amerykańskim stylu. Skandynawskie meble z jasnego drewna mogły pochodzić z lat pięćdziesiątych, a na typowo rosyjskim, modrzewiowym, nie dębowym parkiecie leżał orientalny dywan z jednej z sowieckich republik

środkowoazjatyckich. Zobaczył także wieżę stereo i telewizor Sony razem z magnetowidem.

Weszli do nowocześnie urządzonej, wyposażonej w kącik śniadaniowy kuchni i dopiero tutaj Hollis poczuł się jak w Ameryce. Brakowało chyba tylko maszyny do zmywania. Na białym plastikowym blacie perkotał ekspres marki General Electric. Przy zlewie stała, obierając buraki, pani Landis.

– Jane - powiedział Landis - to są nasi nowi sąsiedzi, Lisa Rhodes i mój stary towarzysz broni, kapitan... nie, pułkownik Sam Hollis.

Jane Landis wytarła dłonie o fartuch, przyjrzała się im obojgu, po czym podała rękę Lisie.

– Cześć.

Hollis uznał, że ma około czterdziestki. Raczej atrakcyjna, z szarymi nitkami w czarnych, ostrzyżonych krótko włosach, ubrana była w golf, plisowaną spódnicę i tanie sportowe buty. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że cała scena ma miejsce gdzieś na północnym wschodzie Stanów. Jest późne jesienne popołudnie, pan domu ułożył właśnie drzewo na opał, a jego małżonka, nie taka już młoda, ale wciąż zachowująca dziewczęcą sylwetkę, parzy kawę. Przez okno w kuchni widać ich bawiącego się w sosnowym lesie synka. Iluzja.

Jane Landis podała mu rękę.

– Więc ci dranie porwali was oboje? - zapytała.

Hollis uśmiechnął się. Przez krótką chwilę miał ochotę ją uściskać.

– Tak - odparł - ci dranie porwali nas.

– Za co? A zresztą oni nie potrzebują żadnego pieprzonego powodu. - Postawiła energicznym ruchem na stole cztery kubki i podała cukier i śmietankę. - Co oznacza dla nas wasza obecność? Jesteśmy uratowani czy skazani?

– Wydaje mi się, że ani jedno, ani drugie - odpowiedział, siadając, Hollis. Pokazał kciukiem sufit, mając nadzieję, że Jane zrozumie, o co mu chodzi.

– Och! - zawołała. - Nie wydaje mi się, żeby po piętnastu latach nadal ich obchodziło, co między sobą mówimy. Nie mówimy zresztą niczego, o czym oni by i tak nie wiedzieli. Ale może teraz, kiedy się pojawiliście, znowu zaczęli podsłuchiwać. Więc odpowie mi pan innym razem. - Nalała kawę do kubków. - Nie jest amerykańska, ale etiopska. Za każdym razem, kiedy opanują jakiś kraj, wysyłają do niego broń i dostają w zamian jakieś świństwo. Nie tak dawno zaczęli sprowadzać banany z Nikaragui. Ale z Afganistanu przywożą tylko pokrowce z trupami.

Landis usiadł naprzeciwko Hollisa.

– Mówiłem ci, że jest cięta na czerwonych - powiedział. - Któregoś dnia wpadnie w tarapaty. Słyszysz, Jane?

– Pierdolę ich. Mam nadzieję, że podsłuchują. Spędziłam dwa lata w obozie w Kandałakszy w obwodzie murmańskim, niedaleko kręgu polarnego. I za co? Za to, że napisałam do tego wieprza Breżniewa, protestując przeciwko wysyłaniu sowieckich wojsk do Polski. To było w grudniu 1970 roku. Mam męża i dwie córki. Napisali im, że umarłam w Kandałakszy. Już nigdy ich nie zobaczę.

– Przykro mi.

– Jasne. Wszystkim nam jest przykro. Mnie też jest przykro, że tutaj przyjechałam. Gdybym została w Kandałakszy, już bym pewnie odwalila kite. Flaki mi się przewracają, kiedy pomyślę, że wciąż dla nich pracuję. Tutejsi Amerykanie, Tima nie wyłączając, nienawidzą ich, ale w specyficzny amerykański sposób... na pół gwizdka i z idiotycznym wisielczym poczuciem humoru. Nie rozumieją, jak potrafi ich nienawidzić Rosjanin.

– Moja babka była Rosjanką - odparła po rosyjsku Lisa. - Ja chyba rozumiem.

W oczach Jane zaświeciły się ogniki.

– Czuję - powiedziała po angielsku - że się zaprzyjaźnimy.

– W żyłach Lisy płynie błękitna krew - odezwał się po angielsku Hollis.

Jane wyduła wargi.

– Nie szkodzi. Wybaczam jej.

Wszyscy uśmiechnęli się. Hollisa zawsze dziwiło, dlaczego nawet nastawieni antysowiecko Rosjanie nauczyli się nienawidzić Romanowów i starej arystokracji. To był prawdopodobnie jedyny trwały sukces, jaki odnieśli władcy Kremla w dziele tworzenia nowego sowieckiego obywatela-człowieka, który odczuwał instynktowny lęk przed przyszłością i nie miał przeszłości, do której chciałby powrócić. Kogoś takiego łatwiej było oczywiście kontrolować.

Nikt nie miał tutaj najmniejszego pojęcia, kto i co nastanie po komunistach. To był kraj, pomyślał, w którym ludziom brakowało wyobraźni.

– Nie powinnaś mówić po rosyjsku - powiedział Tim Landis do Lisy. - To poważne wykroczenie.

– Nie wydaje ci się to paradoksalne? - zapytała.

– Nie wolno mi uczyć Tima rosyjskiego - powiedziała Jane. - Chcą w ten sposób odizolować strażników od Amerykanów. Boją się zachodniej zarazy.

– Czy ufają studentom? - chciała wiedzieć Lisa.

– Muszą ufać, przynajmniej do pewnego stopnia. Ale muszą też mieć sposoby kontrolowania ich w Stanach. Jestem przekonana - dodała - że przed wyjazdem przyłączają ich na cały tydzień do wykrywacza kłamstw. Jedno wahnięcie pisaka i facet jest spalony.

Tim Landis zabębnił palcami w stół i pokazał sufit. Jane wzruszyła ramionami.

– Mam ich w dupie.

Przez chwilę pili w milczeniu kawę.

– Ten dom... - odezwała się w końcu Lisa. - Czy po prostu w nim mieszkanie, czy odbywa się w nim również szkolenie?... Tak to się chyba nazywa.

– Zgadłaś - odparła Jane. - Tu też odbywa się szkolenie. Obecnie mieszkają u nas dwaj sublokatorzy. Tak każą nam ich nazywać. Dwóch młodych gnojków. Wprowadzają się zawsze na parę miesięcy przed wyjazdem do Stanów, więc nie siedzą tu, dzięki Bogu, przez cały czas. Ale kiedy tu są, trudno ze mną wytrzymać, prawda, Tim?

– Prawda.

– Uczycie ich dobrych manier? - zapytał Hollis.

Jane uśmiechnęła się.

– Zgadza się. I tego, jak używać toalety - powiedziała i wybuchnęła śmiechem.

– Jane gotuje im i pierze - wtrącił się Tim Landis - a oni pomagają mi w drobnych domowych naprawach i przy sprzątanii. Przyzwyczajają się w ten sposób do domowych obowiązków, uczą majsterkowania, i tak dalej.

– Ci dwaj to prawdziwe dupki - stwierdziła Jane. - Jeden z nich dowalał się do mnie, a kiedy popędziłam mu kota, przyznał się, że to tylko w ramach szkolenia.

Lisa uśmiechnęła się.

– Gdzie są teraz? - zapytała.

Landis spojrzał na zegarek.

– Mają dzisiaj naukę jazdy. Zasuważą w tę i z powrotem główną drogą. Sowietci odkupują od ambasady wasze stare samochody i sprowadzają je

tutaj.

Hollis kiwnął głową.

– Zawsze zastanawiało mnie, co z nimi robią. Nigdy nie widziałem żadnego na ulicach Moskwy.

– No to teraz wiesz - stwierdził Landis. - Większość Rosjan, jak pewnie wiecie, nie potrafi prowadzić. Nawet tacy jak ci młodzi chłopcy, których większość, co nie mieści się w głowie, chce zostać pilotami. Tak czy owak jeśli macie ochotę się z nimi spotkać, zaraz tutaj będą. Nazywają się Sonny i Marty.

– W porządku - odparł Hollis.

– Sonny to ten, który się do mnie dowalał - poinformowała Lisę Jane. - Uważaj na tego wieprza. Ma kłopoty z hormonami.

– Dobrze.

Hollis wypił kawę i wyjrzał przez okno. Próbował postawić się na miejscu Tima Landisa, próbował wyobrazić sobie życie w wietnamskim obozie jenieckim, przeniesienie do obozu sowieckich sił powietrznych, w którym odbywało się szkolenie pilotów, i metamorfozę obozu w Szkołę Wdzięku. A potem żonę i syna. Prawie dwadzieścia lat. Kim był teraz Tim Landis? Sam tego chyba nie wiedział. Czy chciał wrócić do domu? Jak zareagowałyby na to Maggie Landis? Wyszła ponownie za mąż ponad dziesięć lat temu. Hollis wiedział o tym, bo znał oficera, który poleciał do San Diego na wesele. Czy nowe żony i dzieci miały też pojechać do Ameryki, zakładając, że udałoby się uwolnić ich mężów?

Z każdą spędzoną tutaj godziną w głowie Hollisa rodziło się coraz więcej pytań i coraz mniej znajdował na nie odpowiedzi. Być może, pomyślał, po prostu umrą tutaj wszyscy ze starości.

Tim Landis wstał od stołu, znalazł blok i ołówek, napisał coś i podał kartkę Hollisowi. Wiesz coś o Dodsonie? Czy udało mu się dotrzeć do

ambasady? - przeczytał Hollis.

Dowiedzieliśmy się o nim od Gregory'ego Fishera - napisał w odpowiedzi. - O Fisherze pisały amerykańskie gazety. Los Dodsona nadal nieznany.

Landis przeczytał, kiwnął głową i odwrócił się. Hollisowi wydawało się, że płacze. Zmiał kartkę i schował ją do kieszeni.

Jane Landis właśnie miała coś powiedzieć, kiedy otworzyły się kuchenne drzwi i do środka weszło dwóch młodzieńców w wieku dwudziestu kilku lat.

– Cześć. A to kto? - zapytał jeden z nich.

Tim Landis opanował się i dokonał prezentacji. Hollis przyjrzał się przybyszom. Niezbyt wysoki Marty ubrany był w szary dres i narciarską kurtkę. Miał przyjemną, uśmiechniętą twarz i sprawił na nim wrażenie osoby raczej nieszkodliwej. Sonny był za to wyjątkowo przystojny. Miał kręcone czarne włosy, ciemne oczy, a z ust nie schodził mu kpiący uśmiezek, który pewne kobiety mogły uznać za zmysłowy.

Uśmiechnął się do Lisy.

– Miło panią poznać. Wszyscy tu mówią tylko o pani - powiedział.

– Czyżby?

Sonny spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie żartuję. Poza panią mamy tu tylko sześć prawdziwych Amerykanek.

– Dlaczego nie zrobicie sobie po prostu ich fotokopii?

Sonny roześmiał się.

– Powiedz, Liso, czy z Samem wiąże cię, jak to mówią, coś głębszego, czy jesteście tylko starymi kumplami?

– Uspokój się, Sonny - wtrącił się Marty.

Lisa zmierzyła Sonny'ego groźnym spojrzeniem.

– To nie jest twój zasrany interes.

– Obawiam się, że jest. Zanim wybiorę się za ocean, chcę przelecieć chociaż jedną prawdziwą Amerykankę.

Hollis trafił Sonny'ego prosto w brzuch. Rosjanin zgiął się wpół, przez chwilę zataczał się po kuchni, wydając dziwne odgłosy, a potem opadł na kolana, próbując złapać oddech.

– Czy będziecie mieli z tego powodu jakieś kłopoty? - zapytał Hollis Landisa.

Tim pokręcił głową.

– Dawno się o to prosił. Załatwię to z jego rosyjskim oficerem kontrolnym.

– To dla niego dobra szkoła - stwierdziła Jane. - Nie rozumiał, w jaki sposób mężczyzna powinien się zwracać do kobiety.

– Tego faceta załatwi kiedyś w Stanach jakiś rozwścieczony rogacz - dodał Marty, pomagając Sonny'emu wyjść z kuchni.

– Dziękujemy za kawę - powiedział Hollis.

Tim Landis wyjął z kredensu elektryczną latarnię.

– Będziecie jej potrzebować, żeby dojść do domu.

– Spotkamy się jeszcze i pogadamy - powiedziała Lisa, zwracając się do Jane.

– Już was oboje polubiłam - stwierdziła żona Landisa.

Tim wyszedł razem z nimi i wręczył Hollisowi latarnię.

– Dziękuję za odwiedziny. Wpadnijcie któregoś wieczoru na kolację. Jane gotuje amerykańskie potrawy.

– A Lisa rosyjskie - odparł Hollis.

Landis uśmiechnął się.

– Dobranoc - pożegnał się. Ruszył z powrotem do domu, a potem odwrócił się. - Przypomniałem sobie coś, Sam. Coś, co opowiadał Simms.

Nie mówił, że nie wie, co się z tobą stało. Pomyliło mi się to z kimś innym.

Hollis stał w milczeniu w ciemności, trzymając latarnię. Landis podszedł do niego bliżej.

– Simms mówił, że obaj unosiliście się na wodzie. Powiedział, że żółtki wysłały po niego swoje kutry, ale ciebie wyłowiła Wielka Zielona Ważka. Przeznaczenie, prawda?

– Tak.

Landis przysunął się jeszcze bliżej.

– Ernie Simms - powiedział cicho - opowiadał, że płynąłeś w jego stronę, wrzeszcząc, żeby on robił to samo. Opowiadał, że machał do ciebie, żebyś się nie zbliżał, bo wydawało mu się, że już po nim, ale ty płynąłeś dalej i krzyczałeś. Powiedział, że ucieszył się, widząc, jak zabiera cię helikopter: dlatego że się uratowałeś i dlatego, że miał świadka, że żywy poszedł do niewoli. Wyrażał się o tobie bardzo dobrze, Sam - dodał Landis.

Hollis kiwnął głową.

– Dziękuję.

Odwrócił się i ruszył razem z Lisą w drogę powrotną do domu. Lisa ścisnęła jego rękę.

– W porządku? - zapytała.

Ponownie kiwnął głową. Mogę teraz, pomyślał, dokonać ostatniego wpisu w dzienniku pilota i na zawsze go zamknąć.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Chcesz być sam? - zapytała w końcu Lisa.

– Nie, nie odchodź. Mów do mnie.

– W porządku. Mam pytanie: czy uderzyłeś Sonny'ego dlatego, że jest Rosjaninem, czy dlatego, że się do mnie przystawiał?

– Nie wiem. Chyba przede wszystkim z męskiej próżności. Szczerze mówiąc, postrzeganie tych ludzi jako Rosjan przychodzi mi z pewną

trudnością. Widziałem po prostu młodego bubka, który zachowywał się jak cham.

– Był całkiem przystojny.

– Dziwka.

Uśmiechnęła się i dotknęła ręką jego ramienia. Objęli się i pocałowali.

– Sam... Sam... - powiedziała.

– Tak?

– Nie opuszczaj mnie. Gdybyś ode mnie odszedł, chyba bym umarła.

Jeśli tu zostaniemy, nie bierz sobie rosyjskiej żony.

– A co powiesz na kochankę?

– Nie dokuczaj mi.

– Przepraszam.

Doszli do ścieżki, która prowadziła do ich domu.

– Jak ludzie się tutaj żenią? - zapytała.

– Myślę, że po prostu ogłaszają to publicznie.

– Ożenisz się ze mną?

– Tak. Czy to oznacza, że zgodzisz się dla nich pracować?

– Będę tu żyć. A pracować będę przeciwko nim. Któregoś dnia odzyskamy wolność. Wiem, że to się stanie.

Wziął ją pod ramię.

– Ja czuję się wolny. To biedny Tim Landis zwrócił mi moją wolność.

– Wiem.

Szli dalej pogrążoną w mroku ścieżką. Hollis widział inne, poruszające się w ciemności światła niczym, pomyślał, błądzące w nocy, szukające bazy samoloty. Nagle przypomniał sobie napis, który wisiał w kaplicy bazy powietrznej w Phu Bai. Był to fragment noworocznego posłania, które wystosował do swoich żołnierzy u zarania drugiej wojny światowej król Jerzy. Zdał sobie sprawę, że może go teraz przytoczyć słowo w słowo: Daj

mi światło, abym mógł wkroczyć w nieznane, rzekłem do człowieka stojącego u progu nowego roku. Pozwól, by prowadziła cię ręka Pana, odpowiedział. Pewniej się poczujesz, aniżeli trzymając w dłoni światło, i bezpieczniej, niż podążając drogą, którą dobrze znasz.

.34.

Hollis ukląkł, żeby rozpalić ogień w kominku.

– Zawsze uwielbiałam patrzeć na ogień w długie zimowe wieczory - powiedziała Lisa. - To jedna z rzeczy, których brakowało mi w Moskwie i na innych placówkach.

– Na tej placówce z całą pewnością nie będzie ci jej brakować - stwierdził dmuchając w ogień.

Przyjrzała się strzelającym w górę płomieniom.

– Udawanie wcale nie jest takie trudne. Przynajmniej kiedy jesteście w tym pokoju, tylko ty i ja. Możemy udawać, że jesteście w domu, a nie w odległości stu kilometrów od Moskwy. Może w ten właśnie sposób udało się nie zwariować tym więźniom.

Hollis nie był wcale pewien, czy udało im się nie zwariować. Pamiętał także, co Tim Landis opowiadał o ponurych porannych godzinach.

– Mogłabyś włączyć magnetowid?

Podeszła do stojącej obok kominka półki i przyjrzała się kasetom.

– Masz jakieś szczególne życzenie?

– Coś głośnego.

Wybrała *Rocky'ego IV*. Przesunęła taśmę na scenę walki z Rosjaninem, po czym usiadła razem z Hollisem na niewielkiej sofie.

– Jak udała się herbatka z Suzie i jej przyjaciółkami? - zapytał cicho, obejmując ją ramieniem.

– Było okropnie. Nie mogłam się powstrzymać, żeby w pewnym momencie nie wstać i nie wyjść. Przepraszam.

– Nic się nie stało.

– Jest tutaj sześć innych Amerykanek. Dwie porwano w Finlandii, kiedy wybrały się na narty. Inna, Samantha, chodziła po górach w Rumunii. Pozostałe trzy oficjalnie utonęły podczas kąpieli, dwie w Morzu Czarnym, a jedna w Bałtyku, we wschodnich Niemczech. Były jeszcze dwie inne, ale popełniły samobójstwo.

Hollis nie odezwał się ani słowem.

– Sam, czułam niemal, jak pęka mi serce. Jak ci dranie mogą robić ludziom coś takiego? Odrywać ich od własnych rodzin... niszczyć całe życie?...

Hollis przez chwilę wpatrywał się w ogień.

– Uważają nas za swojego głównego wroga. Wroga przez duże „W” - powiedział w końcu. - Takiego, z którym walczy się na śmierć i życie. I mają rację. Wiedzą, że jeśli uda im się pokonać głównego wroga, skończą się prawie wszystkie ich kłopoty. Tymczasem Ameryka poświęca Sowiетom około dziesięciu procent swojej uwagi.

Lisa rzuciła okiem na ekran. Rocky i Rosjanin weszli w zwarcie i tłum bliski był hysterii.

– Ten film jest chory - stwierdziła. - Wiem, że jest chory. Ale dlaczego teraz wydaje mi się mniej idiotyczny niż za pierwszym razem?

– Wiem, co chcesz powiedzieć - odezwał się Hollis.

– Czy ty też uważasz ich za swojego głównego wroga? - zapytała.

Oparł stopy o stolik.

– Wiesz, czasami lubię wyobrażać sobie, że robię dla nich coś pozytywnego. Nie dla partii, oczywiście, ani dla KGB, ale dla narodu, dla rosyjskich mas i innych narodów zdychających w tym jednym wielkim więzieniu, które rozciąga się za naszymi drutami. Wciąż wracam pamięcią do Jabłonii, Liso. Do tego, co tam czuliśmy, do tego, co zobaczyłem z

helikoptera, i do tego, jak mógłby wyglądać ten kraj, gdyby w Moskwie rządził kto inny.

Przyjrzała mu się uważnie, a potem przytuliła głowę do jego ramienia.

– Jak wy dostał się stąd major Dodson? - zapytała po chwili.

– Jeszcze tego nie wiem.

– Co robiłeś, kiedy byłam na herbatce?

– Wpadł tutaj Burow.

– Czego chciał?

– Zobaczyć, jak się aklimatyzujemy.

– Sukinsyn!

– Nie pozwól, żeby ci ludzie zaleźli ci za skórę.

– Nie mogę o nim spokojnie myśleć. Ten człowiek cię uderzył... spoliczkował mnie i... i...

– Co zrobił?

– Był w mojej celi, kiedy przeszukiwała mnie strażniczka...

– W porządku. Nie myśl o tym. Musisz zrozumieć, że on od samego początku liczył, że będziemy dla niego pracować. Dlatego jesteśmy tutaj, a nie na Łubiance. I dlatego nie zrobił nam niczego, czego jego zdaniem nie moglibyśmy mu wybaczyć.

– Rozumiem.

– Podrzucił nam także trochę gazet - dodał Hollis. - Masz ochotę poczytać o własnej śmierci?

Przez chwilę wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w przestrzeń, a potem kiwnęła głową. Hollis wstał i podszedł do biblioteczki. Zabrał stamtąd stertę gazet i czasopism i wrócił na sofę. Wręczył jej *Newsday* z Long Island otwarty na stronie, gdzie znajdowały się nekrologi. Lisa przyjrzała się własnemu zdjęciu. Ofiara wypadku, Lisa Rhodes, głosił podpis. Odchrząknęła.

– To stare zdjęcie musiała im dać moja matka - powiedziała. - Zawsze jej się podobało.

Hollis usłyszał kapnięcie łyżki na papier i zabrał jej z rąk gazetę. Wstał i nalał dwa kieliszki brandy. Wręczył jej jeden i Lisa wypila. Po jakimś czasie opanowała się.

– Moja rodzina już mnie pogrzebała - powiedziała. - Biedny tato... prawie widzę, jak usiłuje powstrzymać łyżki. - Spojrzała na Hollisa. - A ty? Twoja rodzina?...

Hollis rozpostarł *Washington Post* na stronie z nekrologami.

– Pochowali mnie z pełnymi honorami na Arlington. Moim rodzicom pewnie nie w smak było, że musieli jechać aż z Japonii.

Przyjrzała się nekrologowi i przeczytała go po cichu.

– Nie wiedziałam, że byłeś taki ważny.

– Rozdmuchali tę sprawę wyłącznie z powodu okoliczności, w których doszło do naszej śmierci. Przeczytaj sobie...

Otworzył późniejsze wydanie *Washington Post*. „Stany Zjednoczone przyjmują do wiadomości wersję sowiecką. Katastrofę określa się mianem fatalnego wypadku”, głosił tytuł artykułu. Lisa rzuciła okiem na Hollisa, a potem zaczęła czytać.

Departament Stanu oświadczył wczoraj, że jest „w zasadzie usatysfakcjonowany” wyjaśnieniami złożonymi przez stronę sowiecką w sprawie śmierci dwojga Amerykanów, którzy zginęli w zeszłym tygodniu w katastrofie helikoptera niedaleko rosyjskiego miasta Mińsk. W oświadczeniu, wydanym jednocześnie w Waszyngtonie i w Moskwie, Departament Stanu określa katastrofę mianem „tragicznego wypadku” i twierdzi, że nie ma powodów, by podejrzewać „nieczystą grę”. Ambasada Stanów Zjednoczonych domagała się wcześniej przeprowadzenia pełnego dochodzenia w sprawie śmierci attaché wojskowego, pułkownika sił

powietrznych Samuela G. Hollisa, oraz zastępczyni attaché prasowego, pracownicy Służby Informacyjnej Stanów Zjednoczonych, Lisy Rhodes.

Oboje opuszczali właśnie Związek Sowiecki, kiedy wiozący ich helikopter rozbił się z nie znanych dotąd przyczyn. Fakt, że Hollis i Rhodes, uznani za *persona non grata*, odbywali podróż rosyjskim helikopterem wojskowym, w którym nie towarzyszył im żaden inny obywatel państwa zachodniego, wzbudził poważny niepokój Departamentu Stanu. We wczorajszym oświadczeniu cytowano stwierdzenie wysokiego urzędnika ambasady w Moskwie, Charlesa Banksa, iż ambasada jest „w zasadzie usatysfakcjonowana” wyjaśnieniami, jakie Sowieci złożyli w sprawie katastrofy. Banks stwierdził również, że „nie ma powodów podejrzewać, by Hollis albo Rhodes padli ofiarą nieczystej gry”.

(Sowiecka gazeta *Prawda* opublikowała wczoraj w Moskwie liczącą trzy akapity relację na temat katastrofy helikoptera. Mówi się w niej, że obaj piloci helikoptera również zginęli w wypadku. Ponieważ *Prawda* rzadko publikuje wzmianki o wypadkach, które mają miejsce na terenie Związku Sowieckiego, relacja ta przyjęta została przez amerykańskich dyplomatów jako coś w rodzaju publicznych wyrazów ubolewania ze strony Sowietów).

Departament Stanu wydał swoje wczorajsze oświadczenie w kilka godzin po wojskowym pogrzebie pułkownika Hollisa na cmentarzu w Arlington. Lisa Rhodes pochowana została w *Sea Cliff*, małej miejscowości na Long Island. Wysoki urzędnik Departamentu Stanu stwierdził wczoraj, że oświadczenie zostało wydane, aby uspokoić rodziny Hollisa i Rhodes i zakończyć „nieuzasadnione spekulacje”, jakie pojawiły się w prasie na temat ich śmierci.

Przed mniej więcej dwoma tygodniami władze sowieckie poleciły Hollisowi i Rhodes opuścić kraj, oskarżając ich o podróżowanie po kraju bez zezwolenia. Departament Stanu nie zaprzeczył temu ani nie potwierdził

sowieckich zarzutów, ale rzecznik ambasady amerykańskiej w Moskwie stwierdził wówczas, że Hollis - za zgodą władz sowieckich - wysłany został przez ambasadę do Możajska, aby odebrać zwłoki Gregory'ego Fishera, dwudziestotrzyletniego amerykańskiego turysty z New Canaan w stanie Connecticut. Fisher poniósł śmierć w wypadku samochodowym, który wydarzył się wcześniej na terytorium Związku Sowieckiego, i Hollis prowadził w tej sprawie dochodzenie, oświadczył rzecznik. Lisa Rhodes towarzyszyła pułkownikowi Hollisowi, ponieważ była jego przyjaciółką, dodał rzecznik, zaprzeczając, by wysłała ją ambasada. Niemniej oboje uzyskali od władz sowieckich przepustki, bez których nie wolno personelowi ambasady wyjeżdżać poza Moskwę.

W odpowiedzi na wydalenie Hollisa i pani Rhodes Departament Stanu polecił opuścić kraj dwóm pracownikom sowieckiej ambasady w Waszyngtonie. Departament Stanu oficjalnie zaprzeczył, jakoby działania te, po kilku latach względnie poprawnych stosunków, stanowiły sygnał, że kończy się dyplomatyczna odwilż. „To był odosobniony incydent”, stwierdził wysoki urzędnik, „i nie pociągnie za sobą żadnych dalszych kroków ze strony obu państw”.

Członkowie rodziny Fishera oświadczyli wczoraj, że nie usatysfakcjonowały ich wyjaśnienia, jakich udzielili w sprawie śmierci ich krewnego sowieckie władze i Departament Stanu. Jeden z członków rodziny powiedział, że wydaje mu się „dziwne”, że Hollis i Rhodes zostali wydalenii, a następnie zginęli bezpośrednio po tym, kiedy zajęli się dochodzeniem w sprawie śmierci Fishera. Departament Stanu nie widzi jednak związku między tymi sprawami.

Amerykańscy dyplomaci uznali decyzję Kremla o wydaleniu Hollisa i Rhodes za surową, normalnie bowiem w przypadku naruszenia przez dyplomatę przepisów dotyczących podróży składa się jedynie rutynowe

zażalenie. Ostra reakcja Sowietów skłoniła niektórych zachodnich dyplomatów do snucia spekulacji, iż Hollis i Rhodes mogli wykorzystać podróż do Możajska, żeby bliżej przyjrzeć się znajdującym się w tej okolicy ściśle strzeżonym obiektom wojskowym.

Zarówno Pentagon, jak i Służba Informacyjna Stanów Zjednoczonych kategorycznie zaprzeczyły, jakoby Hollis i Rhodes byli zaangażowani w jakąkolwiek działalność związaną ze zbieraniem informacji o charakterze wywiadowczym. Służba Informacyjna Stanów Zjednoczonych wydała oświadczenie, w którym używając dobitnych słów, stwierdza, że jej personel „nigdy nie był i nigdy nie będzie” zaangażowany w działalność szpiegowską. Służba Informacyjna „nie ma nic wspólnego ze światem wywiadu”, oświadczył jej rzecznik.

Rzecznik Pentagonu przyznał, że attaché wojskowi niektórych krajów - wliczając w to Związek Sowiecki - „zbierają niekiedy informacje o charakterze wywiadowczym”, ale zaprzeczył, jakoby Hollis prowadził tego rodzaju działalność.

Przyjaciele rodziny Hollisa twierdzą, iż jego ojciec, emerytowany generał sił powietrznych Benjamin Hollis, zażądał od Pentagonu wszczęcia oficjalnego śledztwa w sprawie śmierci pułkownika. Przyjaciel rodziny powiedział nam, iż generała Hollisa niepokoi fakt, że zwłoki jego syna są do tego stopnia spalone, iż nie sposób dokonać ich pozytywnej identyfikacji.

(Wysoki urzędnik ambasady w Moskwie, który odwiedził miejsce katastrofy, oznajmił Geraldine Callahan z moskiewskiego biura Postu, że helikopter „spłonął zadziwiająco szybko” zaraz po katastrofie. Pożar był tak intensywny, że doszczętnie strawił ciała czterech znajdujących się na pokładzie osób, stwierdził urzędnik. „Pozostały wyłącznie popioły i fragmenty kości, których nie sposób było zidentyfikować”, powiedział).

Pentagon nie wypowiedział się na temat stanu zwłok ani żądania generała Hollisa. Rzecznik Pentagonu, generał Earle Vandermullen, oświadczył jednak wczoraj, że helikopter, który uległ katastrofie, wyposażony był w silnik turboodrzutowy i że „tego rodzaju maszyna pali się niezwykle szybko, zwłaszcza jeśli pełne są zbiorniki paliwa”.

Rodzina Hollisa nie wydała żadnego oświadczenia i nie rozmawiała z obecnymi na pogrzebie reporterami. Według Departamentu Stanu Sowietów przedstawili następującą wersję wydarzeń: Hollis i Rhodes wylecieli w zeszły poniedziałek z Moskwy samolotem PanAmu, rejs 415, do Frankfurtu. Boeing zmuszony jednak został do awaryjnego lądowania w Mińsku po otrzymaniu przez pilota od Sowietów wiadomości, że na pokładzie znajduje się bomba. Hollisowi i pani Rhodes oświadczone, że z racji swego dyplomatycznego statusu mogą natychmiast wrócić do Moskwy na pokładzie wojskowego helikoptera - tak aby zdążyć na następny lot do Frankfurtu, tym razem Lufthansy. Jak podają Sowietów, helikopter wiozący Hollisa i Rhodes rozbił się piętnaście minut po starcie z mińskiego lotniska. Moskiewski korespondent agencji Pacific News Bureau, Mike Salerno, oświadczył, że siedział w samolocie PanAmu tuż obok Hollisa i Rhodes. Powiedział, że oboje ucieszyli się z możliwości powrotu do Moskwy na pokładzie helikoptera i że poprosili go, aby zawiadomił amerykańską ambasadę o zmianie w ich planie podróży, co też uczynił. „Sowieckie władze proponowały, abym także poleciał tym helikopterem”, stwierdził Salerno, „ale wolałem zostać w Mińsku. Sam i Lisa (Hollis i Rhodes) śpieszyli się, żeby zdążyć na przesiadkę we Frankfurcie”. Rzecznik PanAmu oświadczył, że władze sowieckie dopiero następnego ranka zezwoliły na start samolotu z Mińska. Pasażerowie umieszczeni zostali w miejscowym hotelu. Sowietów nie udzielili odpowiedzi na pytanie, czy odnaleziono bombę.

Przyjaciele rodziny Hollisów twierdzą, że generał Hollis odebrał trumnę ze szczątkami swego syna w środę w bazie lotniczej Andrews. Pułkownik Hollis był żonaty, ale jak oznajmił przyjaciel rodziny Hollisów, od sześciu miesięcy pozostawał ze swoją żoną w separacji. W dniu wczorajszym Katherine Hollis przybyła do Waszyngtonu ze swego domu w Londynie, ale nie chciała rozmawiać z reporterami.

Lisę Rhodes pochowano w zeszłym tygodniu w Sea Cliff, w stanie Nowy Jork. Według jej matki Evy, Lisa była energiczną osobą, „dumną ze swojej pracy” i „rozkochaną w rosyjskiej kulturze i języku”. Rzecznik Służby Informacyjnej Stanów Zjednoczonych oświadczył, że Rhodes cieszyła się wśród swoich kolegów opinią osoby bardzo pracowitej i że żywo interesowała się rosyjską historią. Pracowała w Służbie Informacyjnej od sześciu lat, w tym przez ostatnie dwa lata w Moskwie.

Hollis, udekorowany wysokimi odznaczeniami weteran wojny wietnamskiej, wstąpił do lotnictwa w roku 1962 i ukończył Akademię Sił Powietrznych. Do jego obowiązków należało utrzymywanie kontaktów z sowieckimi siłami powietrznymi w sprawach będących przedmiotami zainteresowania obu krajów.

Departament Stanu oświadczył, że uważa sprawę za zamkniętą, chyba że doszłoby do ujawnienia „zasadniczo nowych informacji” w sprawie katastrofy helikoptera.

Lisa złożyła gazetę i wlepiła wzrok w palące się szczapy. Sam nalał dwa kolejne kieliszki brandy. Zauważył, że policzki Lisy są mokre od roztartych łez.

- Nic nie podejrzewają - powiedziała w końcu.*
- Oficjalnie.*
- Ale przecież Seth...*

Hollis poczuł, że ogarnia go zniecierpliwienie.

– Tak, Seth prawdopodobnie wie - odparł.

– Wcale go nie potrzebujemy, żeby się stąd wydostać - powiedziała, odgadując chyba jego myśli. - Damy sobie radę sami. Wiedziałaś przecież, jak uciec z Możajska i tego sowchozu.

– Zgadza, się. Zajmiemy się tym wspólnie.

Spojrzała na rozrzucone na stoliku gazety, a potem wstała, zebrała je wszystkie i wrzuciła do ognia. W kominku buchnął jasny płomień i Hollis przyjrzał się w jego świetle jej twarzy. Wydawała się wracać do siebie. Zauważył także, że gdzieś między Arbatem a Szkołą Wdzięku zrobiła się znacznie dojrzalsza.

Usiadła przy nim ponownie na sofie i wzięli się za ręce. Magnetowid grał dalej, w kominku palił się ogień i zaczęła im w końcu szumieć w głowach brandy. Oboje zasnęli.

Sama obudziło pukanie do drzwi. Wyprostował się. Taśma skończyła się, a ogień przygasał. Stojący na kominku zegar wskazywał piętnaście po dziesiątej. Hollis wstał.

Lisa obudziła się.

– Gdzie idziesz? - zamruczała.

Rozległo się kolejne pukanie. Hollis podszedł do drzwi i otworzył je. Na chłodzie stał ubrany w narciarską kurtkę mężczyzna. Mógł mieć koło pięćdziesiątki.

– Przepraszam, że pana niepokoję, pułkowniku - powiedział. - Spotkaliśmy się wcześniej w lesie. Nazywam się Lewis Poole. Mogę na chwilę wejść?

– To zależy, czy urodził się pan jako Lewis Poole, czy jest pan jednym z farbowanych lisów Burowa...

Komandor uśmiechnął się.

– Rozumiem, że nasze spotkanie w lesie może uważać pan za z góry ukartowane. Ale jeśli pan mi nie wierzy, mogę pana zaprowadzić do pięćdziesięciu facetów, z którymi siedziałem w Hiltonie w Hanoi.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Komandor skorzystał z zaproszenia. Przywitał się z Lisą i stanął przy kominku, żeby się ogrzać.

– Czy mogłaby pani włączyć jakąś muzykę? - poprosił.

Lisa wsunęła do małego magnetofonu jedną z należących do Dodsona kaset i pokój wypełniły głosy śpiewaków gospel.

– Przestają już powoli zakładać pluskwy w domach - powiedział Poole - bo je odnajdujemy i rozgniatamy. Puszczamy także muzykę albo po prostu piszemy na kartkach bądź porozumiewamy się na migi. Każdy zna tutaj język migowy. Dawno temu ktoś odnalazł w tutejszej bibliotece podręcznik i zanim Rosjanie się połapali, nabraliśmy całkiem niezłej wprawy.

Lisa kiwnęła głową.

– W ambasadzie używaliśmy kilku prostych znaków - powiedziała.

– No więc wiecie, o co chodzi. Ze względu na was cały ten domek jest prawdopodobnie naszpikowany mikrofonami. Sowiecka technologia. Ale nie wydaje mi się, żeby udało im się do tej pory wynaleźć sprawny system ogrzewania jednorodzinnego domku.

– Brandy? - zapytał Hollis.

– Bardzo proszę.

Hollis nalał mu.

– Musicie także bardzo uważać - ciągnął dalej Poole, biorąc do ręki kieliszek - na mikrofony kierunkowe. Są zainstalowane na wieżach strażniczych. Kiedy chcecie porozmawiać poza domem, chowajcie się w jarach i wąwozach i poruszajcie gałęziami.

– Wydaje mi się, że musimy się tu nauczyć mnóstwa rzeczy - skomentował Hollis.

– Ma pan rację. Jutro albo pojutrze mogę zorganizować dla was krótkie szkolenie.

– To bardzo miło z pana strony, komandorze.

– Mów mi Lew. Pozwólcie, że przedstawię się nieco dokładniej. Jestem adiutantem generała Austina. Mówi wam coś to nazwisko?

– Naturalnie - odparł Hollis. - Był dowódcą Ósmej Eskadry w Cu Chi. Jedyny zestrzelony przez Wietnamczyków generał amerykańskich sił powietrznych. Oficjalnie zaginiony, nieoficjalnie uznany za zabitego.

– Tak. W rzeczywistości żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Regulamin tego obozu nie pozwala nam wyłaniać spośród siebie najwyższego stopniem, przydzielać mu adiutanta i w ogóle tworzyć jakiegokolwiek struktury dowódczej. Ale wszyscy jesteśmy żołnierzami, nieprawdaż? Więc zgodnie z tym, czego nas uczono, założyliśmy podziemną organizację. Rozumie pan?

Hollis kiwnął głową.

– Nie wiem, może to pana zaskoczy, a może nie, pułkowniku Hollis - powiedział Poole - ale nawet po dwudziestu latach wciąż żywy jest wśród nas duch oporu.

Hollis nic nie odpowiedział.

– Jednak szczerze mówiąc - ciągnął dalej komandor - nie udało nam się dokonać wiele z wyjątkiem sabotowania przy każdej nadarzającej się okazji programu nauczania. Jeśli chodzi o realne sukcesy, do których można zaliczyć ucieczki, major Dodson był dopiero drugą osobą, którą udało nam się stąd wyekspediować. Nasz tajny komitet próbował prawie wszystkich sposobów, które odnotowano w annałach światowych ucieczek, łącznie z balonem wypełnionym ogrzanym powietrzem. Niestety... albo mamy wśród

nas kilka wtyczek, albo winę trzeba złożyć na rosyjskie żony, chociaż teoretycznie nic nie powinny wiedzieć o naszych planach. A może to po prostu wynik dobrej pracy KGB. Tak czy owak mieliśmy do tej pory cholernego pecha.

– Co stało się z pierwszym uciekinierem? - zapytała Lisa.

– To był Gene Romero, kapitan sił powietrznych. Złapano go i rozstrzelano na boisku razem z pięcioma innymi dla przykładu. To było dziewięć lat temu.

– A Dodson? - zapytał Hollis. - Jak udało mu się stąd uciec?

– Nie wolno mi tego zdradzić.

– W porządku.

Poole spojrzał na Sama i Lisę.

– Pańska obecność obudziła w nas olbrzymie nadzieje - powiedział. Poszukał oczyma wzroku Hollisa. - Słusznie czy niesłusznie?

– W tej chwili nie jestem w stanie udzielić na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi, komandorze - odparł Hollis.

Odniósł wrażenie, że Poole potraktował to jako odpowiedź twierdzącą.

– Właściwie przyszedłem tu po to - powiedział komandor - żeby zaprosić was do generała Austina.

– Teraz?

– Tak. Teraz.

Hollis przez chwilę się zastanawiał.

– Rozumie pan, że w tych okolicznościach nie mogę uznać władzy generała Austina.

– Chyba rozumiem.

– Cóż, komandorze, będę z panem brutalnie szczery, żeby zrozumiał pan do końca. Jestem pułkownikiem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych i

na razie nie uczyniłem nic, co pozwoliłoby komukolwiek zwolnić mnie z tej służby. Nie można tego niestety powiedzieć o was.

Poole popatrzył przez chwilę na Hollisa, a potem odwrócił się i wlepił oczy w ogień.

– W porządku. Generał Austin przypuszczał, że może pan powiedzieć coś takiego. Jego zaproszenie nie jest rozkazem. Właściwie, jeśli pan sobie życzy, mogę poprosić go, żeby przyszedł do was.

– To nie będzie konieczne, jeśli uzna pan mój punkt widzenia.

– Uznaję.

Hollis zdjął z wieszaka kurtki.

– Niech pan prowadzi, komandorze.

Cała trójka wyszła w chłodną noc. Pierwszy kroczył, z latarką w ręku, Poole.

– Nie ma tutaj godziny policyjnej? - zapytał Hollis.

– Nie. Kiedyś obowiązywało mnóstwo zakazów. Teraz nie ma ich zbyt wiele - odparł Poole. - Rosjanie nie są zbyt bystrzy, ale w końcu zdali sobie sprawę, że totalitaryzm nie służy dobrze celom, jakie chcą tutaj osiągnąć, a poza tym zabiera dużo czasu. Resztą tego pogrążonego w mroku kraju mogą rządzić za pomocą strachu i terroru, ale ten kilometr kwadratowy jest najbardziej wolnym skrawkiem ziemi na terenie całego Związku Sowieckiego.

– Rozumiem. Czy to był pomysł Burowa?

– W dużym stopniu. Kilka lat spędził w Skandynawii i zobaczył, że dobrze odkarmione i wolne społeczeństwo może być równie produktywne i chętne do współpracy jak społeczeństwo sterroryzowane. To duży krok naprzód jak na Rosjanina.

Komandor roześmiał się niezbyt szczerze.

Dotarli do pogrążonej w mroku głównej drogi, niedaleko klubu weteranów, i skręcili w prawo, idąc poboczem na wschód, w stronę dowództwa.

– Pilnie śledzimy bieg wydarzeń na świecie - powiedział Poole - i jesteśmy prawdopodobnie lepiej zorientowani w aktualnym stanie stosunków sowiecko-amerykańskich niż normalny mieszkający w Stanach Amerykanin. A z całą pewnością wiemy więcej od przeciętnego Rosjanina, z wyjątkiem władców Kremla.

Na drodze przed nimi pokazały się światła reflektorów. Jadący w ich stronę pojazd zwolnił, a potem stanął, nie gasząc oślepiających świateł. Sam, Lisa i Poole zeszli na bok i Hollis zobaczył, że stoi przed nimi metalicznie błękitny pontiac trans am. Za jego kierownicą siedział pułkownik Burow.

– Dobry wieczór, pani Rhodes - powiedział przez otwartą szybę. - Witam panów, komandorze Poole i pułkowniku Hollis.

Tylko Poole odwzajemnił pozdrowienie. Hollis przyjrzał się dokładnie pontiacowi. Przednia szyba była nietknięta, podobnie zresztą jak cała karoseria.

– Zgadza się, to samochód pana Fishera - potwierdził Burow. - Chyba jednak nie miał żadnego wypadku. W każdym razie nie w tym samochodzie. - Poklepał kierownicę. - Niezła maszyna.

Lisa stanęła obok Sama.

– Ty sukinsynu.

Rosjanin zignorował to.

– Siedzenia są z prawdziwej skóry - zwrócił się do Hollisa - i mam tu nawet klimatyzację. Wszyscy jeździecie takimi wozami?

Hollis popatrzył na niski lśniący samochód, stojący na pustej drodze gdzieś w rosyjskiej kniei z mruczącym cicho silnikiem i siedzącym za

kierownicą nie umundurowanym oficerem KGB.

– Wybieram się na przejażdżkę - ciągnął dalej Burow, widząc, że nie doczeka się odpowiedzi. - Chętnie zabrałbym was ze sobą, żebyście udzielili mi kilku wskazówek, ale wyjeżdżam poza teren obozu. Przejadę się nim po szosie do Mińska i zobaczę, czy rzeczywiście wyciąga sto czterdzieści mil na godzinę. Niestety - dodał - mogę to robić tylko w nocy, kiedy po drogach nie szwendają się cudzoziemcy. W przeciwnym razie ktoś mógłby mnie zobaczyć i dośpiewać sobie, jak to mówicie, resztę.

– Mam nadzieję, że się pan w nim rozbije - powiedziała Lisa.

Pułkownik spojrzał na nią.

– Och nie, niech pani tego nie mówi. Jestem najlepszym komendantem, jaki mógł przytrafić się temu obozowi. Kto wie, co się stanie, kiedy mnie zabraknie? Przypuszczam - zwrócił się z powrotem do Hollisa - że wybiera się pan z grzecznościową wizytą do generała Austina? Czy może idzie pan na grzyby?

– Idziemy do generała Austina - odparł Hollis. - Może nas pan podrzuci?

Burow roześmiał się.

– Obawiam się, że gdybym wpuścił was do środka, nie oparłby się pan pokusie, żeby zrobić coś głupiego. Miałem okazję się przekonać, jakie z pana ziółko. - Podniósł prawą dłoń, pokazując tkwiący w niej pistolet. - Dlatego będziecie musieli iść na piechotę. Dobrze to wam zrobi na serce. Dobranoc.

Zdjął nogę ze sprzęgła i wcisnął gaz. Pontiac zawarczał, skoczył do przodu i zgasł. Burow uruchomił go ponownie. Tym razem udało mu się pozostawić trochę gumy na asfalcie. Hollis patrzył na oddalające się tylne światła. Pod oświetloną tablicą rejestracyjną widniała nalepka: „Pamiętajmy o jeńcach wojennych i zaginionych w akcji”.

– Wciąż mam nadzieję, że się rozbije - powiedziała Lisa. Odwróciła się do Sama. - To upiorne. Jeździ samochodem człowieka, którego zamordował.

– Czy to był samochód tego młodego Amerykanina, który zginął w wypadku? Fishera? - zapytał Poole.

– Tak.

– Czytaliśmy o tym w amerykańskich gazetach. A Landis powiedział nam, że dowiedzieliście się o Dodsonie od Fishera. Spotkali się? I Fisher skontaktował się z ambasadą?

– Nie mogę o tym teraz mówić - odparł Hollis.

Komandor kiwnął głową.

– Gdzie właściwie znajduje się ten obóz? - zapytał.

Hollis przyjrzał mu się uważnie.

– A waszym zdaniem gdzie?

– Kilka kilometrów na północ od pola bitwy pod Borodinem - odparł Poole.

Hollis kiwnął głową.

– Lecąc tu samolotem z Hanoi, zorientowaliśmy się, że lądujemy w europejskiej części Rosji - ciągnął dalej komandor. - Potwierdziła to obserwacja Słońca i gwiazd. Również klimat nie jest syberyjski, ale raczej taki, jaki panuje w środkowej części Rosji. Najwięcej dały nam do myślenia samoloty, lecące na południowy wschód i schodzące do lądowania. W ciągu ostatnich lat było ich coraz więcej. Doszliśmy do wniosku, że lądują w Moskwie.

– A Borodino?

– Armatnie wystrzały - odparł Poole. - Co roku, siódmego września oraz piętnastego i szesnastego października słyszeliśmy w odległości kilku

kilometrów na południe dwadzieścia jeden salw artyleryjskich. To są rocznice obu bitw pod Borodinem. Zgadza się?

Hollis ponownie kiwnął głową. We wrześniu poprzedniego roku uczestniczył jako gość w obchodach rocznicy.

– Wydaje mi się - odezwał się Poole - że najważniejsze jest to, czy Jackowi Dodsonowi udało się dotrzeć do ambasady.

– Oto jest pytanie - odparł Hollis.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Spędziliście trochę czasu w tutejszych celach? - zapytał komandor, kiedy mijali szary zwalisty budynek dowództwa.

– Niezbyt długo jak na rosyjskie zwyczaje - odparł Hollis.

– Prawie każdy z nas odwiedził je na krócej albo dłużej. Ale Burow potrafi prześladować nas w bardziej wysublimowany sposób. Trzymanie w izolatkach instruktorów odbiłoby się negatywnie na funkcjonowaniu szkoły, więc kiedy tylko któryś z nas popełni wykroczenie, komendant zamyka nasze rosyjskie żony albo przyjaciółki. Większość instruktorów ma teraz żony i dzieci i fakt, że w każdej chwili mogą oni posłużyć jako zakładnicy, bardzo utrudnia nam działanie.

Za zakrętem droga zaczęła opadać w dół i Hollis uświadomił sobie, że nagle zrobiło się ciemniej. Spojrzał na niebo, ale widział nad sobą tylko smolistą czerń.

– Siatka kamuflażowa - powiedział Poole.

Hollis zdał sobie sprawę, że znaleźli się na przykrytym siatką terenie, który widział z helikoptera.

– Spójrz, Sam! - zawołała Lisa.

Zobaczył przed sobą zapalone latarnie. Kiedy podeszli bliżej, ujrzał w ich niewyraźnym świetle asfaltowy parking, na którym wymalowano białą farbą stanowiska dla samochodów. Dalej widać było ciemne witryny około

dziesięciu sklepów, do złudzenia przypominających podmiejskie amerykańskie centrum handlowe. Nad największym z nich, samoobsługowym supermarketem Seven-Eleven, wisiał oryginalny biało-zielono-czerwony znak firmy.

– Wiec to tutaj jest ten Seven-Eleven, którego szukaliśmy w drodze do Możajska - powiedział Hollis, zwracając się do Lisy.

Lisa wpatrywała się w witryny.

– Niewiarygodne.

Ruszyła przez skąpo oświetlony parking w stronę wzniesionego z czerwonej cegły kompleksu. Hollis i Poole podążyli w ślad za nią. Po lewej stronie Seven-Eleven mieściła się automatyczna pralnia, dalej oddział Bank of North America, sklep z alkoholami, opatrzony szyldem Sweeney's Liquors, salon fryzjerski o nazwie Mane Event i salon piękności Tresses. Po prawej sklep z artykułami żelaznymi Krugera, a dalej kiosk z papierosami i artykułami piśmiennymi, apteka oraz księgarnia, w witrynie której można było dostrzec kasety audio i wideo. Obok księgarni mieściło się bistro o nazwie „Dunkin' Donuts”.

– Czy wszystkie te lokale mają legalne koncesje? - zapytał Hollis.

Komandor roześmiał się.

– Nie. Ale chcemy tutaj założyć biuro podróży American Express.

Hollis minął bistro i zajrzał do księgarni.

– W zasadzie wszystkie te sklepy prowadzą normalną działalność - powiedział Poole. - Żeby coś kupić, trzeba mieć obozowe kartki. Wszędzie z wyjątkiem księgarni. Książki i kasety można jedynie wypożyczać, ale dla celów szkoleniowych urządzono lokal tak, żeby nie różnił się od normalnej księgarni. Mamy tu bogaty wybór publikacji, taśmy wideo i trochę niezłych albumów i kaset magnetofonowych.

Lisa spojrzała na leżące na wystawie najnowsze wydania amerykańskiej i brytyjskiej beletrystyki oraz literatury faktu.

– Są tu książki, których nie mogłam dostać w księgarni w ambasadzie - powiedziała. Wśród wydanych w twardej oprawie tomów leżało klasyczne dzieło Johna Barrona *KGB*, a obok *Zrywając z Moskwą* - słynna autobiografia zbiegłego z Rosji Arkadija Szewczenki. - I oni pozwalają wam... i tym tak zwanym studentom to czytać?

– Nie mają wielkiego wyboru - odparł Poole. - Jeśli kursanci nie przeczytają tego teraz, zrobią to w Stanach, a tam może to zachwiać ich przekonania. Uodparniają ich tutaj na prawdę.

Hollis zerknął przez szybę do środka apteki i sklepu z artykułami piśmiennymi.

– Nie brakuje wam tutaj niczego.

– W materialnym sensie niczego. Pan wie, czego nam brakuje, pułkownik.

Hollis nie odpowiadając zbliżył się do witryny sklepu z artykułami żelaznymi.

– Same amerykańskie firmy.

– Zgadza się - odparł komandor. - Większość sprzętu i artykułów gospodarstwa domowego jest tutaj amerykańska. Żyjemy dzięki temu na nie najgorszym poziomie, no i nie musimy wzywać hydraulików.

– Sami dokonujecie napraw?

– Tak, razem ze studentami. Jak pan wie, Sowieci mają na ogół dwie lewe ręce. Chyba dlatego, że wszyscy mieszkają w rozsypujących się państwowych blokach. Uczymy ich niedzielnego majsterkowania. - Poole uśmiechnął się. - Żeby potem, kiedy amerykańska żona każe wymienić któremuś z nich ciekący kran, facet mógł się sprawdzić. Albo i nie. Wie pan, ilu Rosjan potrzebnych jest do wymiany żarówki? - zapytał. -

Dziesięciu. Dziewięciu wypełnia druki o zapotrzebowaniu, a dziesiąty wkręca żarówkę.

Podeszli w trójkę do szklanych ścian Seven-Eleven.

– Tutaj kupujemy produkty, które się nie psują - powiedział Poole. - Sprowadza się je częściowo z Ameryki, częściowo z Finlandii, ale są i towary miejscowe. Dostawy zmieniają się. Świeże mięso i warzywa kupujemy w sklepie przy głównej bramie. Tamten nie różni się wyglądem i zaopatrzeniem od innych w tym kraju.

– Ale jakoś wam tutaj płacą? - zapytał Hollis.

– Oczywiście. Tak wyglądają te ich kartki - odparł komandor, wyjmując z portfela banknot i wręczając go Hollisowi.

Sam i Lisa przyjrzeni mu się w niewyraźnym świetle latarni. Banknot przypominał pięć dolarów i był w rzeczywistości kolorową fotokopią amerykańskiego oryginału. Różnił się od niego tylko nędzną jakością papieru i faktem, że nadruk był wyłącznie jednostronny.

– To jest jedna z ich psychologicznych zagrywek, za pomocą których chcą wyciągnąć nas z marazmu. Musimy racjonalnie wydawać pieniądze. Studenci także. Płacą nam na przykład za mieszkanie. Transakcje bankowe i finanse stanowią jedną z najważniejszych części programu nauczania. Wpojenie tym ludziom poczucia finansowej odpowiedzialności jest trudniejsze, niż może to pan sobie wyobrazić. Zdarza im się wydać całą miesięczną pensję na pierwszy atrakcyjny towar, który zobaczą w drodze z zajęć do domu. Ale i nasz obozowy system ekonomiczny nie jest całkiem prawdziwy - dodał z uśmiechem. - Nie płacimy na przykład podatków.

– Skąd biorą te wszystkie amerykańskie akcesoria? - zapytała Lisa. - Na przykład znak Seven-Eleven?

– Z Mosfilmu - odparł Poole. - Z ich rekwizytorni. Stamtąd pochodzi także cały wystrój banku. Mniejsze przedmioty i towary sprowadzają

pocztą dyplomatyczną albo za pośrednictwem Centrum Międzynarodowego Handlu w Moskwie. Widziałem zdjęcie tego gmachu w jednym z czasopism. Zbudował go Armand Hammer. Przypomina wieżowiec Trumpa w Nowym Jorku. Szkło, mosiądz i marmury. To jest dopiero prawdziwa „Mała Ameryka”, prawda? Byliście tam może?

– Tak - odparła Lisa. - Robi wrażenie. Okno na Zachód.

– Bardziej, niż się wam wydaje - skomentował komandor. - Wysyłają tam w nagrodę naszych absolwentów. Mieszkają przez miesiąc w hotelu, ocierając się o zachodnich biznesmenów i polityków. Coś w rodzaju stacji przesiadkowej. A potem lecą na Zachód.

Hollis minął pralnię oraz bank i zatrzymał się przed Sweeney's Liquors, przyglądając się przez szybę bogatemu asortymentowi i stojącym na wystawie zachodnim alkoholom i winom. Wśród plakatów ze słonecznej Italii i włoskich kartonowych flag czyjaś fachowa ręka ustawiła światowej klasy włoskie wina. W wiklinowym koszyku leżały butelki Banfi Brunello di Montalcino i Principessa Gavi - oba gatunki sprowadzane w dużych ilościach do Ameryki.

– To bardzo dobre wina - zauważyła Lisa. - Możecie je kupować?

– Zanim skwaśnieją - odparł Poole. - Czasami pozwalają nam kupić jakiś zachodni wysokoprocentowy alkohol. Zależy od tego, jak częste są dostawy. Miejscowe gatunki możemy za to kupować do woli. Wszystkich nas rozśmieszyło, kiedy dowiedzieliśmy się z gazet, że ludzie w Stanach zaczynają pić stoliczną, że to teraz modne. Dla mnie nie umywa się do Kentucky Bourbon.

– Powiedziano mi - przerwał mu Hollis - że gdzieś tutaj znajduje się kolejny ośrodek szkoleniowy. Kuchnie, biura, i tak dalej.

– A tak, zgadza się. Dokładnie pod nami. Duże podziemne centrum. Schody są za sklepami. Jest tam coś w rodzaju biura z salą przyjęć

interesantów. Chodzi przede wszystkim o to, żeby nauczyć studentów, jak się mają zachowywać, no i zapoznać ich ze sprzętem. Mają tam komputery, fotokopiarki, elektryczne zszywacze i kraniki z pitną wodą. Gadgets. Jest także sala kinowa, gdzie wyświetlają filmy, które nie ukazały się jeszcze na kasetach. Nie wiem, skąd je biorą. Poza tym dwie supernowoczesne kuchnie, katalogi biblioteczne, recepcja hotelowa i motelowa, stanowisko odprawy celnej i biuro wydziału komunikacji, w którym siedzą dwie opryskliwe Rosjanki. Nie muszą nawet udawać. Obie były kiedyś państwowymi urzędniczkami. Studenci uważają to za śmieszne, że amerykański wydział komunikacji przypomina pod wieloma względami Rosję. - Uśmiechnął się. - Ćwiczą tam także sprzedaż i wynajmowanie domów, rozmowy z ewentualnym pracodawcą, i tak dalej. Najbardziej popularnym lokalem rozrywkowym tam, na dole - dodał - jest firma maklerska E. F. Huttona.

- Gracie tutaj na giełdzie? - zapytała Lisa.

Poole uśmiechnął się.

- Naśladując kapitalistycznych pasożytów. Grają wszyscy: studenci, instruktorzy i ich żony. Rosjanie przywożą pocztą lotniczą wideokasetę z najnowszymi notowaniami, dzięki czemu Szkoła Wdzięku ma tylko dwa dni opóźnienia w stosunku do Wall Street. Wszyscy ucierpieliśmy w wyniku załamania w roku 1987 - powiedział i roześmiał się bez przekonania. - Ale teraz znów jestem sześć tysięcy dolarów do przodu.

Sam i Lisa spojrzeli na siebie.

- Program nauczania jest tutaj bardzo urozmaicony - ciągnął dalej - ale z wyjątkiem języka i *savoir-vivre'u* przerabiamy wszystko po łebkach. Nie sposób wtłoczyć wiedzy i życiowego doświadczenia dwudziestopięcioletniego Amerykanina w głowę jego rosyjskiego rówieśnika w ciągu trzynastu czy czternastu miesięcy. Tyle właśnie trwa tu

nauka. Oczywiście ci, którzy tu przyjeżdżają, dobrze znają język i wiedzą to i owo o Ameryce. Wszyscy są absolwentami mieszczącej się pod Moskwą lotniczej szkoły wywiadowczej i Instytutu Studiów Amerykańskich i Kanadyjskich.

Hollis kiwnął głową. Jako pracownik wywiadu potrafił rozpoznać dobry program szkoleniowy. Podczas gdy kierownictwo wywiadu amerykańskiego coraz większy nacisk kładło na satelity, analizę statystyczną i inne pasywne metody gromadzenia informacji, Sowieci wciąż bardziej wierzyli w czynnik ludzki. Zakrawało to na paradoks, pomyślał, wzięwszy pod uwagę, jak odmienny był w obu społeczeństwach stosunek do spraw jednostki. Zawsze uważał, że to Sowieci reprezentują właściwe podejście. Alevy także wierzył w czynnik ludzki i to właśnie było prawdopodobnie przyczyną, dla której on i Lisa znaleźli się w Szkole Wdzięku.

Lisa zerknęła do środka salonu fryzjerskiego i salonu piękności.

– Czy mieszkające w obozie kobiety rzeczywiście przychodzą tu, żeby się czesać? - zapytała Poole'a.

– Naturalnie. Fryzjerki w obu lokalach pochodzą z Gułagu. Wszystkie zatrudnione tu osoby, przeważnie kobiety, siedziały przedtem w obozach i teraz większość wyszła za mąż albo żyje na kocią łapę z Amerykanami. Tak wygląda nasz dziwny mały światek. Otoczenie, jak widzicie, przypomina amerykańskie przedmieście. Może dlatego, że wszyscy pochodzimy z przedmieścia.

– Ale nie ma samochodów i komitetu rodzicielskiego - zauważył Hollis.

– Tak. I biura podróży. - Komandor wydawał się przez chwilę zatopiony w myślach. - Ludność naszego miasteczka - ciągnął dalej - liczy trochę więcej niż tysiąc osób. Mamy tu dwustu osiemdziesięciu dwóch byłych amerykańskich pilotów... to dane z ostatniego spisu... i mniej więcej

podobną liczbę rosyjskich żon i dzieci. Do tego trzeba doliczyć sześć porwanych amerykańskich kobiet... teraz siedem... i rosyjski personel techniczny i medyczny, również z Gułagu. Poza tym oczywiście studenci... jest ich zawsze około trzystu... i około pięćdziesięciu rosyjskich, jak ich nazywają, wychowawców, czyli oficerów kontrolnych, po jednym na sześciu studentów. Są pracownikami KGB dobrze znającymi język angielski. Następnie mamy batalion Straży Granicznej KGB, w sile około sześciuset żołnierzy, którzy przebywają przeważnie na terenie zamkniętych koszar i patrolują granice obozu. W zasadzie nie traktujemy ich jako członków naszej społeczności. Nie mamy z nimi nigdy do czynienia, a im nie wolno się z nami kontaktować.

Poole przez chwilę milczał, a potem odetchnął głęboko.

– Tak to wygląda. Tysiąc dusz stłoczonych na tym nieszczęsnym skrawku ziemi, tysiąc dusz, których życie upływa na ciągłym udawaniu. Udają tak długo, aż otaczający ich pozór wydaje im się rzeczywistością, a rzeczywistość, o której czytają i którą oglądają na kasetach wideo - relacją z jakiejś nie istniejącej planety sobowtórów. Mówię wam, czasami wydaje mi się, że jestem autentycznym wariatem. Innym razem myślę, że są nimi Rosjanie. - Spojrzał na Sama, a potem na Lisę. - Jesteście tutaj nowi. Co o tym sądzicie?

Hollis odchrząknął.

– Pełną ocenę rezerwuję sobie na później, nie wydaje mi się jednak, żeby fakt, że nie jesteście przy zdrowych zmysłach, miał tutaj jakieś większe znaczenie. Ważne jest to, że ta szkoła spełnia swoje zadanie.

Komandor Poole kiwnął głową.

– To prawda. Wyhodowaliśmy tutaj tysiące małych potworów. Niech Bóg nam wybaczy.

Ruszyli przez parking z powrotem do głównej drogi.

– Pozwoli pan, że go o coś zapytam, komandorze - powiedziała Lisa. - Czy nie odniósł pan nigdy wrażenia, że tym studentom... podoba się nasz sposób życia?

Poole dał znak, żeby się do niego zbliżyli.

– Tak - odparł cicho. - Ale uważam, że to tylko powierzchowna fascynacja. W podobny sposób Amerykanina może zafascynować Paryż albo Tahiti. Nie wszystkie z tych rzeczy pragną koniecznie przenieść na grunt własnego kraju. Niektórym by się to może i podobało, ale pod warunkiem, że to oni dyktowaliby warunki.

Lisa kiwnęła głową.

– Dla Rosjan materialny dobrobyt i wygodne życie wciąż oznaczają duchową deprawację.

Komandor rzucił na nią okiem.

– Zna pani Rosjan. Ale jest w tym jakaś schizofrenia. Nie wierzą w Boga, a jednak martwią się o swoje życie duchowe; żyją w ubóstwie, które odpowiada ponoć ich rosyjskiej duszy, ale równocześnie kupują albo kradną wszystko, na czym zdołają położyć rękę, i wciąż im mało. A ci nieliczni, którym udało się wzbogacić, szybko popadają w hedonizm i toną, bo brakuje im światła, za którym mogliby podążać. Rozumiecie, o co mi chodzi?

– To nie jest postawa typowa dla Rosjan - powiedział Hollis.

– Nie - zgodził się Poole. - Ale powiem wam, co nią jest. Większość ma w sobie ciemne jądro, nieprzenikniony rdzeń, do którego nie dociera żadne światło. Nie ma znaczenia, ile przeczytają książek i ile obejrzą kaset wideo. Nic nie słyszą i nic nie widzą. Oczywiście jest kilku, właściwie więcej niż kilku, być może dwadzieścia pięć procent, którzy pękają. Ale kiedy to się stanie, szybko wyłuskują ich wychowawcy, mimo że staramy się ich kryć. Zabiera ich KGB. Być może udało nam się wysłać kilku nawróconych. Nie

wiem jednak, czy zdali egzamin ustny. Tak nazywamy wielogodzinne sesje z wykrywaczem kłamstw. Wciąż mamy nadzieję - zwrócił się cichym głosem do Sama i Lisy - że któryś z nich zaraz po przyjeździe do Ameryki zgłosi się w najbliższym biurze FBI i uraczy ich największą szpiegowską sensacją stulecia. A może to się już stało? - zapytał.

Hollis pokręcił głową.

– Niewiarygodne - stwierdził Poole.

Słuchając go Hollis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że uwięzieni tutaj Amerykanie nadal uważają się za żołnierzy i traktują Rosjan trochę z góry. Podniosło go to na duchu.

– Ilu jeńców przebywało łącznie w tym obozie? - zapytał.

– Trudno powiedzieć. We wczesnym okresie od 1965 do grudnia 1973 roku, kiedy skończyły się naloty na Wietnam Północny, przez obóz przewijały się setki jeńców. Większość już nie żyje. Sporządziliśmy listę około czterystu pięćdziesięciu lotników, którzy zostali rozstrzelani, zmarli wskutek braku opieki albo popełnili samobójstwo. To był gorący okres i nie bardzo mogliśmy robić tajne zapiski - szepnął Poole - ale sporządziliśmy tę listę i ukryliśmy jej kilka kopii w obozie.

Hollis zatrzymał się i cała trójka stanęła w ciasnym kręgu, twarzami do siebie.

– Czy mogę dostać jedną z nich? - zapytał Hollis.

– Tak, oczywiście.

– I spis więźniów, którzy obecnie przebywają w obozie?

– Tak.

– Czy Jack Dodson miał przy sobie te listy?

– Oczywiście. Czy będzie pan mógł przekazać stąd te informacje?

– Nie twierdzę, że mi się to uda, ale z całą pewnością taki właśnie mam zamiar.

Komandor kiwnął głową.

– Jest jeszcze coś, co powinien pan wiedzieć - powiedział. - Po traktacie paryskim, na mocy którego mieli zostać uwolnieni wszyscy jeńcy, wciąż przywożono tutaj z wietnamskich więzień amerykańskich lotników. Ci ludzie byli w strasznym stanie... może pan sobie wyobrazić. Było ich około pięćdziesięciu, ostatni trafił tutaj w roku 1979. - Poole popatrzył Hollisowi prosto w oczy. - Powiedzieli nam, że w północnowietnamskich obozach wciąż siedzą Amerykanie. Mamy listę tych, którzy nas o tym poinformowali, i nazwiska jeńców, którzy zostali w Wietnamie - ciągnął dalej komandor, spoglądając na Lisę. - Dokładnie rzecz biorąc, mamy ich podpisane zeznania. A także wszystkie podpisy przebywających obecnie w obozie dwustu osiemdziesięciu dwóch jeńców złożone pod oświadczeniem, potwierdzającym fakt ich uwięzienia w Związku Sowieckim i wyjaśniającym w skrócie, jaki charakter nosi ta szkoła. Byłoby bardzo dobrze, gdyby wszystkie te dokumenty dotarły jakoś do Waszyngtonu.

Hollis pokiwał głową. Byli w Waszyngtonie ludzie, którzy z całą pewnością nie podzielali zdania komandora.

– Dostałem się tutaj w czerwcu 1971 roku - ciągnął dalej Poole. - Przedtem siedziałem przez sześć miesięcy w północnowietnamskim więzieniu. - Przez chwilę milczał. - Jak już powiedziałem, przywieziono mnie tutaj sowieckim samolotem transportowym, który wystartował z Hanoi i wylądował w bazie powietrznej niedaleko stąd. Nie miałem pojęcia, dokąd lecimy. Było nas dziesięciu. Wydawało się nam, że Rosjanie pośredniczą między Amerykanami i Wietnamczykami... że zostaniemy wymienieni na jakichś wietnamskich jeńców wojennych, rosyjskich szpiegów albo kogoś w tym rodzaju. Nawet kiedy przewożono nas tutaj w zamkniętych ciężarówkach, nie mieściło nam się w głowie, że będziemy

uczyć sowieckich pilotów. Ale kiedy to w końcu do nas dotarło, zdaliśmy sobie sprawę, że zabierzemy swoją tajemnicę do grobu.

Hollis kiwnął głową. Tajemnica się wydała, ale ci ludzie wciąż żyli. Zastanawiał się, czy Poole i inni uświadamiają sobie, w jakiej znaleźli się sytuacji.

Ruszyli dalej, ramię przy ramieniu, mówiąc przez cały czas szeptem.

– Czy jest tutaj jakiś kościół? - zapytała Lisa. - Czy wolno wam odprawiać nabożeństwa?

– Nie. Tego jednego nam nie pozwalają, co jest bardzo wymowne. Możemy teraz wspólnie czytać Biblię, bo zdecydowanie się tego domagaliśmy. Ale nie wolno w tych spotkaniach uczestniczyć studentom, nawet w ramach szkolenia. W Ameryce mogą, jeśli chcą, zostać kapitalistami albo pravicowymi politykami, ale słyszałem, że nie wolno im chodzić do kościoła, chyba że jest to absolutnie konieczne.

– To kłóci się z zasadą, że mają tam korzystać z amerykańskiej wolności - zauważyła Lisa.

– Ja też tego do końca nie rozumiem - odparł komandor. - Tyle robią szumu wokół ateizmu i tak agresywnie atakują religię, że czasami wydaje mi się, że w głębi duszy wierzą w Boga.

Po jakimś czasie skręcili z głównej drogi w wąską, wyłożoną palikami ścieżkę. Gęsto zalesiony teren wznosił się lekko w górę. Ta część obozu, zauważył Hollis, wydawała się kompletnie nie zamieszкана. Ścieżka kończyła się przy drewnianej zaniedbanej chacie, w której jedynym małym oknie paliło się przyćmione światło. Z kamiennego komina unosił się w górę dym.

– To jeden z ostatnich zachowanych tutaj w oryginalnym stanie budynków - wyjaśnił Poole. - Generał Austin woli go od tak zwanych

amerykańskich domów, mimo że nie podoba się to wcale komendantowi. Burow chciałby, żeby generał sprzedał się tak jak inni.

Zbliżyli się do drzwi chaty.

– Generał nie wziął sobie rosyjskiej żony - ciągnął dalej komandor. - Twierdzi, że jego żoną jest wciąż pani Austin. Wydaje mi się, że pozostał jej wierny. Ma więcej ode mnie siły woli. Powinniście także wiedzieć, że nie prowadzi zajęć.

– Więc dlaczego go nie wykończyli? - zapytał Hollis.

– Daliśmy jasno do zrozumienia, że jeśli to zrobią, zastrajkujemy albo zbuntujemy się. Przedstawiamy w końcu dla nich pewną wartość, jak wszyscy niewolnicy, kiedy wyschną źródła zaopatrzenia. Ale podejrzewam, że pozwolili nam na to jedno małe zwycięstwo, żeby wydawało nam się, że wciąż jesteśmy mężczyznami - dodał Poole, po czym zapukał.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich zbliżający się do siedemdziesiątki wysportowany mężczyzna z krótko przyciętymi szarymi włosami i stalowymi oczyma. Miał bardzo bladą cerę, ale w większym stopniu wydawało się to wynikiem braku słońca niż objawem jakiejś choroby.

Wywarł na Hollisie wrażenie człowieka, który cierpiał zbyt wiele, zbyt długo i w kompletnej samotności.

Generał Austin przyglądał się im przez chwilę, a potem zaprosił gestem dłoni do środka. Podeszedł do ustawionego na rozchybotanej ławie sprzętu stereo i położył płytę na talerzu gramofonu. Z głośników popłynęły, wypełniając niewielką izbę, dźwięki *Czterech pór roku* Vivaldiego. Austin wskazał dwa drewniane krzesła stojące obok popękanego kamiennego kominka. Sam i Lisa usiedli.

Poole spoczął na takim samym sosnowym krześle naprzeciwko ognia. Generał usiadł w brzozowym bujanym fotelu.

Hollis rozejrzał się po izbie. Miała ściany z drewnianych bali i nie różniła się rozmiarami od kuchni w chacie Pawła i Idy, chociaż więcej tu było przestrzeni. Oprócz bujaka i zestawu stereo nie było ani śladu komfortu - żadnego fotela, dywanu ani kącika kuchennego. Do pojedynczego elektrycznego gniazdka biegły przewody kilku stojących przy ścianach lamp. Za przepierzeniem z surowych desek widać było wojskowe łóżko, przy którym żarzył się elektryczny grzejnik. Obok łóżka piętrzyły się sterty książek, czasopism i gazet.

- Dobrze, że pan przyszedł, pułkowniku - odezwał się generał Austin cichym głosem, który ledwie do nich docierał przez dźwięki muzyki. Spojrzał na Lisę. - I pani też, panno Rhodes - dodał.

- Wolałby pan, żeby mnie tu nie było? - zapytała.

- Gdybym wolał, nie zapraszałbym pani.

- Tak jest, sir - odparła, ku własnemu zaskoczeniu.

- Pułkownik Hollis chce, żeby pan wiedział - odezwał się Poole - że przychodzi tutaj z własnej woli.

Austin nie komentując tego kiwnął głową.

- Wiecie o ucieczce majora Dodsona? - zapytał, zwracając się do Sama i Lisy.

Hollis kiwnął głową.

- Macie od niego jakieś wiadomości?

- Nie, panie generale - odparł Hollis, uznawszy, że tak właśnie powinien zwracać się do gospodarza.

- Co, pana zdaniem, uczyni nasz rząd, jeżeli Dodson skontaktuje się z ambasadą albo którymś z zachodnich reporterów?

- Nie mogę dyskutować na ten temat z człowiekiem, którego dopiero co spotkałem, panie generale. Człowiekiem, którego swoboda postępowania

jest w znacznym stopniu ograniczona. I człowiekiem, który, wybaczy pan, poszedł na ugodę.

Austin przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, bujając się na swoim fotelu.

– Rozumiem pańskie zastrzeżenia - odezwał się w końcu. - Mimo to spodziewałem się, że dostarczy pan nam przynajmniej jakichś wiadomości z zewnątrz.

– Nie przynoszę żadnych wiadomości. Jestem oficerem wywiadu i polecono mi nie rozmawiać z ludźmi o rzeczach, o których, bez względu na posiadaną rangę, nie muszą wiedzieć.

– Wydaje mi się, że sam lepiej potrafię ocenić, co powinienem wiedzieć.

– Podano mi narkotyki i byłem przesłuchiwany przez Burowa, panie generale - powiedział Hollis, nie odpowiadając bezpośrednio na jego stwierdzenie - a mimo to nie wyjawiałem mu więcej, niż było to absolutnie konieczne, żeby sprawić na nim wrażenie potencjalnego zdrajcy. Dlatego tylko znajduję się tutaj, a nie w celi. Poza tym to, co wiem, nie na wiele się panu przyda.

– Może nam pan przynajmniej powie, czy nasz rząd wie, że się tutaj znajdujemy? - zapytał Poole.

– Nie, nie mogę - odparł Hollis. - Chcę natomiast, żeby mi pan powiedział, jak wyekspediowaliście stąd Dodsona.

– Wie o tym tylko kilka osób - odparł Austin. - Zgodnie z pańskim własnym rozumowaniem, nie musi pan o tym wiedzieć.

– Jeśli złapią Jacka Dodsona - dodał kiwając głową Poole - będą go torturować, tak jak torturowali kapitana Romero, i zmuszą do ujawnienia nazwisk członków komitetu, który zajmował się ucieczką. Potem poddadzą torturom członków komitetu, żeby dowiedzieć się, czy nie było innych. Tymi innymi będziemy między innymi ja i generał Austin. Jeśli zatem

powiemy wam, w jaki sposób uciekł stąd Dodson, możemy, torturowani, poinformować KGB, że wy również znacie sekret. Wtedy mogą wziąć na tortury i rozstrzelać pana i panią Rhodes. Na wiele nam pozwalają, ale nie tolerują żadnych prób ucieczki. Jeśli zatem nadal chcecie wiedzieć, jak wydostał się stąd Jack Dodson, musicie zdawać sobie sprawę, że możecie paść ofiarą represji, które nastąpią po jego ewentualnym ujęciu.

Hollis spojrział na Lisę, która kiwnęła głową.

– W porządku - stwierdził generał. - Zbudowaliśmy katapultę. Wolno nam samym zbierać drzewo na opał - wyjaśnił. - Zaprojektowaliśmy katapultę, wykonaliśmy jej części składowe i ukryliśmy je w lesie. Któregoś dnia przed kilku tygodniami, zanim zrobiło się zimno, złożyliśmy katapultę, owinęliśmy majora Dodsona w kilka warstw koców i przrzuciliśmy go nad drutami. - Generał wyjaśnił im szczegóły techniczne. - Zamierzaliśmy wysłać tą samą drogą - dodał - trzech następnych, a potem pociąć katapultę i spalić ją w naszych kominkach. Ale pech chciał, że między drutami pojawił się zmotoryzowany patrol i skierował w naszą stronę reflektor, który oświetlił katapultę. Udało nam się wrócić do domów, ale wkrótce potem zarządzono alarm i prawdę mówiąc nie dawaliśmy Jackowi Dodsonowi wielkich szans. Jak widzicie - stwierdził Austin, spoglądając na Sama i Lisę - Rosjanie wiedzą już, jak uciekł stąd Dodson. Poddąłem tylko próbie waszą odwagę.

– Nie musi pan nas poddawać próbom, generale.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, co przywiodło tutaj was oboje.

– Przywiodły nas tutaj los i przeznaczenie - odparł Hollis.

Generał kiwnął głową.

– Traktujemy waszą obecność jako pomyślny znak. Coś panu powiem, pułkownik - oznajmił, pochylając się ku Hollisowi w fotelu. - Wszyscy pragniemy wrócić do domu, ale z równą chęcią oddalibyśmy wszyscy

życie, żeby wysłać stąd kogoś, kto powiedziałby światu, co się tutaj dzieje. Jeśli to pan ma być tym człowiekiem, niech pan powie tylko jedno słowo. Jesteśmy gotowi na wszystko.

Hollis kiwnął głową.

– Jesteście bardzo odważni - powiedziała Lisa i spojrzała na Hollisa. - Sam?

Hollis nie odpowiedział.

– Co się tyczy katapulty, pułkownika - odezwał się Poole - to leży teraz za budynkiem dowództwa. Strażnicy pilnują jej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nikomu z nas nie powiedziano, po co ją zachowali, ale my wiemy, nauczyliśmy się bowiem do tej pory czytać w rosyjskich duszach. Domyśla się pan? A może pani, panno Rhodes?

Żadne z nich się nie odezwało.

– Jeżeli znajdą Dodsona - ciągnął dalej komandor - on będzie pierwszy... tym razem bez koców. A jeśli go nie złapią i nie dowiedzą się, kto wchodzi w skład komitetu, wybiorą po prostu na chybił trafił dziesięciu więźniów. Więc nawet jeśli pogardza pan nami i uważa za zdrajców, proszę nie myśleć, że jemy Rosjanom z ręki. Zrobiliśmy coś, za co gotowi jesteśmy umrzeć.

– Wcale was nie osądzam - powiedział Hollis, zwracając się do Poole'a. - Przypominam wam tylko, że kolaborując z wrogiem naruszyliście wszyscy regulamin obowiązujący jeńców wojennych. Do pewnego stopnia odnosi się to również i do mnie. Jeśli nie ma w tej kwestii sporu, możemy porozmawiać na temat ucieczki, która na mocy artykułu trzeciego tego samego regulaminu stanowi wasz pierwszy obowiązek. Nie wydaje mi się, żeby dwie próby w ciągu dwóch dziesięcioleci stanowiły imponujący wynik.

Twarz komandora poczerwieniała.

– Nie wydaje mi się, pułkowniku, żeby miał pan prawo...

– Pułkownik ma rację - przerwał mu Austin. - Rosjanie dawno temu wyeliminowali tych, którzy nie chcieli kolaborować, a inni popełnili samobójstwo. Wszyscy, których tutaj widzicie, pułkowniku Hollis i panno Rhodes, to zdrajcy. Dlatego żyją. I dlatego między innymi nie żyje Ernie Simms. Mam rację, pułkowniku?

– Tak jest, panie generale.

Poole wstał.

– Pozwoli pan, pułkowniku, że zacytuję niektóre inne punkty tego regulaminu. „Artykuł pierwszy: Żołnierz, który dostał się do niewoli, nadal znajduje się pod szczególną troską Stanów Zjednoczonych. Artykuł drugi: Rząd podejmie wszelkie działania, aby skontaktować się z nim, udzielić pomocy i uwolnić”. Koniec cytatu. Niech pan spojrzy mi prosto w oczy, pułkowniku, i powie, że nasz rząd wypełnił wobec nas swoje zobowiązania. Niech pan mi powie, że nie zostaliśmy zapomniani i pozostawieni własnemu losowi. Niech pan mi powie, że oni nic o nas nie wiedzą.

Hollis spojrzał mu prosto w oczy.

– Gdyby wiedzieli, komandorze, z całą pewnością zrobiliby coś, żeby was stąd wydostać.

Poole przez chwilę wpatrywał się w Hollisa, a potem wziął głęboki oddech.

– W takim razie, pozwoli pan, że powiem, czego dokonaliśmy poza tymi dwiema ucieczkami. Sabotujemy na każdym kroku program nauczania. Fakt, że nadal żyjemy, usprawiedliwiamy sami przed sobą, mówiąc, że jeśli uda nam się zorganizować zakończoną powodzeniem ucieczkę, ostrzeżemy przynajmniej Amerykę o tym, co się tutaj dzieje. I jest w tym trochę prawdy, pułkowniku. Ponieważ, jak pan widzi, nie jest to zwyczajny obóz jeniecki i obowiązują tu trochę inne zasady. A jednak próbowaliśmy

zachować nasze poczucie wspólnoty i oficerski honor. Mogę panu na przykład powiedzieć, że nigdy nie zdemaskowaliśmy wśród nas żadnego donosiciela. Ufamy sobie wzajemnie i nigdy nie zaprzyjaźniliśmy się z żadnym Rosjaninem. Znajdujemy się w bardzo dziwnej sytuacji i próbujemy jakoś jej sprostać. Generał Austin powołał w tym celu specjalny komitet etyczny. - Komandor spojrzął na Sama i Lisę. - Mam nadzieję, że nie będziecie tu musieli spędzić następnych dwudziestu lat, ale jeżeli do tego dojdzie, ufam, że dochowa pan wierności własnemu honorowi i poczuciu obowiązku.

– Rozumiem, że chętnie zobaczyłby pan, jak to wszystko odszczekuję.

– Zgadza się - odparł krótko Poole.

Hollis wstał.

– Cóż, może to jeszcze zrobię.

Lisa wstała także.

– Z tego, co tu widzę i słyszę - powiedziała, zwracając się do Poole'a i Austina - uważam, że zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy.

Generał Austin podniósł się z fotela.

– Wiemy, że tego nie zrobiliśmy - powiedział. - I pani przyjaciel też zdaje sobie z tego sprawę. - Spojrzął na Hollisa. - Od prawie dwudziestu lat śledzimy z oddali amerykańskie klęski i upokorzenia. Upadek Wietnamu, Watergate, poddanie Pueblo, aferę Iran-Contras, żalony epizod z zakładnikami w Iranie, Liban, i tak dalej, i tak dalej. Ale żadne z tych wydarzeń nie usprawiedliwia naszej własnej słabości.

– Nie musi pan się tłumaczyć przede mną i przed nikim innym - odparł Hollis - poza powołanym legalnie sądem, przed którym stanie pan, jeśli kiedykolwiek wróci do domu.

Austin sprawiał wrażenie, jakby myślał o czymś innym, i Hollis zastanawiał się, czy go w ogóle słucha.

– Do domu... - powtórzył generał. - Wie pan... wszyscy widzieliśmy taśmy, na których pokazywali jeńców wracających z Wietnamu do domu. Widzieliśmy ludzi, których znamy. Niektórzy z nas widzieli nawet swoje własne żony i bliskich, którzy przyszedli tam, żeby cieszyć się razem z innymi rodzinami, poznanymi podczas tych wszystkich lat, kiedy łączył ich wspólny smutek. - Austin spojrział na Lisę. - Oglądaliśmy te taśmy i nie wydaje mi się, żeby Rosjanie potrafili wymyślić dla nas gorszą torturę.

Lisa odwróciła się i szybko wyszła.

Hollis ruszył ku drzwiom.

– Czytaliśmy także o ciągłych wysiłkach podejmowanych w celu zlokalizowania zaginionych jeńców - powiedział Poole. - Podejmowanych, muszę dodać, w większości przez prywatne organizacje i rodziny, a nie przez rząd. Wiecie, jakie to było dla nas frustrujące? Dlaczego nikt nie był dość sprytny, żeby dokonać prostej dedukcji? Rakiety SAM za amerykańskich pilotów. Mój Boże, przecież Rosjanie i północni Wietnamczycy byli sojusznikami. Ile trzeba mieć oleju w głowie, żeby na to wpaść? Dlaczego nikt nie pomyślał, że możemy być tutaj? W Rosji! - Komandor przez chwilę przypatrywał się bacznie Hollisowi. - A może już dawno na to wpadliście? Ale Waszyngton bał się międzynarodowych reperkusji i nie podjął żadnych działań? Czy to prawda? Pułkowniku?

– Nie mogę odpowiedzieć na żadne z tych pytań - odparł Hollis. - Ale ma pan moje słowo, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, żebyście wrócili do domu. Dobranoc, panie generale, dobranoc komandorze.

Wziął do ręki latarkę i wyszedł. Odnalazł Lisę na ścieżce i zobaczył, że płacze. Wziął ją pod ramię i ruszyli pogrążoną w ciemności wąską ścieżką. Doszedłszy do głównej drogi, skręcili w prawo, do swojego domu.

Po jakimś czasie Lisa doszła do siebie.

– Byłeś okrutny - powiedziała.

– Wiem o tym.

– Ale dlaczego... jak mogłeś być taki bezwzględny wobec tych ludzi?

Oni tyle wycierpieli.

– Nie pochwalam tego, co zrobili.

– Nie rozumiem cię. Nie rozumiem twoich zasad ani twojego świata...

– Nie musisz. To jest mój świat, a nie twój.

– Niech cię wszyscy diabli! To właśnie twój świat sprawił, że się tutaj znalazłam.

– Nie. Sprawilo to KGB. Dzieje się tutaj wiele złych rzeczy - dodał - i trzeba je naprawić, Liso. Nie jestem sędzią ani ławnikiem, ale nie mogę, do jasnej cholery, zamykać oczu na to, co widzę. I wiem, że nie jestem jednym z tutejszych przestępców. Pamiętaj o tym.

Przyjrzała mu się uważnie i zdała sobie sprawę, że całe to spotkanie bardzo go zdenerwowało.

– Starasz się postawić na ich miejscu, prawda? - powiedziała. - To byli kiedyś twoi koledzy. I to, co do nich czujesz, to nie jest złość ani pogarda. Jest ci ich po prostu żal, tak bardzo, że nie potrafisz tego zrozumieć. Mam rację?

– Tak - odparł, kiwając głową. Objął ją ramieniem. - Nie mogę dać im nadziei, Liso. To byłoby okrutniejsze od wszelkich zarzutów, jakie mógłbym im postawić. Rozumieją to.

Przysunęła się do niego bliżej.

– Ernie Simms nie żyje i został pogrzebany, Sam. Musisz odnaleźć spokój.

.35.

Ranek Wszystkich Świętych był chłodny i rześki. Hollis wstał z łóżka i wszedł do łazienki - zbudowanego z prefabrykatów sześcianu, który montowano normalnie w blokach mieszkalnych, a tutaj dostawiono po prostu do ich sypialni. Woda była zaledwie letnia, co oznaczało, że znowu nawaliła propanowa terma.

Lisa założyła na nocną koszulę pikowany szlafrok i przeszła do salonu. Rozpaliła ogień w kominku, a potem poszła do kuchni zrobić kawę. Hollis ogolił się, wziął prysznic i założył jeden z czterech dresów, który mu wydano. Zajrzał do Lisy do kuchni, wziął swój kubek z kawą i razem usiedli przy ogniu w salonie.

– Jutro ty robisz kawę i rozpalasz ogień - zapowiedziała Lisa.

– Wiem.

– Dobrze spałeś?

– Chyba tak.

– Nie przeszkadza ci, że śpimy razem i się nie kochamy? - zapytała.

– Nie. Ale masz zimne stopy.

– Czy nie moglibyśmy zamontować w sypialni prawdziwego pieca?

– Nie planuję tutaj dłuższego pobytu.

– Racja. Myślę, że przy całym swoim prymitywie - dodała - to miejsce jest prawdziwym pałacem w porównaniu z chłopską chatą. Mamy elektryczny ekspres, toster, kuchenkę, lodówkę, kanalizację, gorącą wodę...

– Letnią wodę.

– Znowu?

- Sprawdzę to później.
- Dobrze jest mieć w domu mężczyznę.
- Żeby mógł naprawić termę.
- Przepraszam cię z powodu seksu.
- Ja też. Ale mówiąc szczerze, wcale nie jestem w nastroju, żeby to robić. To miejsce stłamsiło moje libido.

Spojrzała na niego z troską w oku.

– Serio?

– Serio. Straciłem zupełnie ochotę.

Odstawiła kubek na stolik.

– Jesteś pewien?

– Jak najbardziej.

Przez chwilę się zastanawiała.

– Nie... - odezwała się w końcu - tego nie mogą nam zrobić.

– Mnie to nie przeszkadza.

– Ale mnie tak. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Może wrócimy na chwilę do łóżka?

– Nie wiem, czy będziesz ze mnie miała jakiś pożytek.

– Poradzisz sobie jakoś, Sam.

– No dobrze.

Wstał i ruszyli z powrotem do sypialni. Hollis spojrzał na ikonę, wiszącą teraz nad podwójnym łóżkiem.

– Czy to odpowiednie miejsce na obraz o treści religijnej? - zapytał.

– Naturalnie. Rosjanie wieszają je wszędzie. Katolicy też umieszczają krzyże nad łózkami.

– Jeśli tak mówisz... - odparł, rzucając okiem na łóżko. Stanęli skrepowani obok siebie, jakby to był ich pierwszy raz. Lisa zdjęła szlafrok, a potem podeszła do elektrycznego grzejnika, ściągnęła przez głowę nocną

koszulę i rzuciła ją na podłogę. Jasnopomarańczowy blask rozżarzonej spirali odbijał się na jej bladej skórze.

Hollis zrzucił z siebie dres i objęli się. Zaczął całować jej usta i piersi, a potem ukląkł i przesunął językiem po jej brzuchu i dalej w dół aż do kępy włosów i warg sromowych.

– Ooooch... słowo daję...

Uklękła naprzeciwko niego i zaczęli się pieścić w ciepłe grzejnika.

– Jest wielki jak pałka policjanta - stwierdziła. - Wszystko z tobą w porządku.

– Co za ulga.

Spojrzała na niego surowym wzrokiem.

– Użyłeś podstępny, żeby mnie zwabić do łóżka.

– Przyszłaś tutaj sama.

Wstali z podłogi i przenieśli się na łóżko. Hollis wspiał się na nią, a ona pomogła mu wejść do środka i oplótła jego plecy nogami.

– To było takie głupie z mojej strony, Sam - wyszeptła - przecież tego właśnie potrzebowałam... twojej miłości.

– To wszystko, co nam tu zostało, Liso.

– Chcę żyć, Sam. Potrzebujemy oboje więcej czasu. Za wcześnie jeszcze, żeby umierać.

– Tak, za wcześnie. Kocham cię, Liso. Pamiętaj o tym.

Poruszali się powoli, bez pośpiechu, jak ludzie, którzy wiedzą, że mają dla siebie wiele godzin, ale niezbyt wiele dni; jak żołnierze na krótkiej przepustce, kiedy - jak pamiętał Hollis - liczy się każda minuta uciekającego czasu, ważna jest każda drobna przyjemność, która w normalnych okolicznościach mija nie zauważona.

Lisa gładziła go powoli po karku i ramionach, a potem po plecach - w dół i z powrotem w górę. Sam ujął w dłonie jej pośladki i podniósł je,

wchodząc w nią jeszcze głębiej. Doszedł do szczytu i jego spazm doprowadził do orgazmu Lisę.

Leżeli potem nieruchomo wsłuchani w panującą w pokoju absolutną ciszę, we własny oddech i pulsującą w uszach krew.

Lisa objęła go mocno ramionami.

– To było nasze zwycięstwo - powiedziała.

* * *

Hollis i Lisa biegli, ubrani w dresy, główną drogą. Mijający ich joggerzy, przeważnie mężczyźni, machali ręką na powitanie.

– Przyjaźnie nastawieni - stwierdziła Lisa. - Zupełnie jak w Sea Cliff w sobotni poranek. Ale gdzie się podziały kobiety?

– Mam wrażenie, że Rosjanki nie uprawiają joggingu.

– Zgadza się. W Moskwie nie widziałam ani jednej.

Główna droga skręciła w prawo. Sam i Lisa zwolnili i przeszli normalnym krokiem kilkaset metrów.

– Dokąd idziemy? - zapytała.

– Złożyć Burowowi wizytę w domu.

– Możesz tam iść beze mnie. - Odwróciła się, ale wziął ją pod ramię. - Nie wejść do domu tego człowieka.

– Poprosił, żebyśmy wpadli.

– Nie obchodzi mnie to. Nie rozumiesz? Spróbuj wyobrazić sobie, że jesteś kobietą, i postawić się na moim miejscu. Nie jestem martwym przedmiotem. On stał tam w celi, kiedy przeszukiwała mnie strażniczka.

Hollis kiwnął głową.

– Rozumiem. Powiem mu, że się źle poczułaś.

– Dlaczego chcesz tam iść?

– Na tym polega moja praca. Jeśli mam okazję coś zobaczyć, robię to.

– Ale po co?

– Nie wiem dokładnie, ale chcę być przygotowany na wszystko.

Lisa przez chwilę milczała, a potem odwróciła się i ruszyła razem z nim w stronę domu Burowa. Droga kończyła się przy szerokim rondzie, za którym widać było stróżówkę, ogrodzenie z drutu kolczastego i bramę z siatki. Przypatrywało im się bacznie dwóch żołnierzy Straży Granicznej. Jeden z nich zdjął z ramienia karabin i wymierzył go w ich stronę.

– Stój! - zawołał.

Sam i Lisa zatrzymali się i strażnik podszedł do nich.

– Idźcie stąd - powiedział po angielsku. - Już!

– Zaprosił nas do siebie pułkownik Burow - oznajmił po rosyjsku Hollis.
- Jestem pułkownik Hollis.

Strażnik przyjrzał im się od stóp do głów.

– Jesteście nowymi Amerykanami? - zapytał po rosyjsku.

– Zgadza się. Chociaż mówię po rosyjsku trochę lepiej od ciebie.

Żołnierz zmierzył go marsowym spojrzeniem, zrobił w tył zwrot i wszedł do stróżówki. Przez chwilę rozmawiał z kimś przez telefon, po czym dał znak, że mogą iść dalej. Minęli bramę i znaleźli się na wąskiej alejce, na której mógł się zmieścić najwyżej jeden samochód.

Do stróżówki przylegała zagroda, w której biegało sześć owczarków alzackich. Na widok obcych natychmiast zaczęły ujadać i skakać na siatkę.

Sam i Lisa ruszyli dalej. Dacza Burowa stała wśród wysokich sosen, z których część wycięto, żeby dopuścić trochę słońca do domu i otaczającego go terenu. Spomiędzy brązowych igieł i gałązek sterczało kilka pniaków.

Sama dacza była piętrowym drewnianym budynkiem z trochę zbyt dużymi oknami, które nadawały jej bardziej współczesny wygląd. Pod świeżo wzniesioną wiatą stał na wysypanym żwirem podjeździe pontiac trans am. Hollis podszedł do drzwi wejściowych i zapukał.

Drzwi otworzyły się i pełniący za nimi służbę strażnik zaprosił ich gestem do środka. Znaleźli się w obszernej sieni, w której stało biurko wartownika, krzesło i wieszak. Strażnik wprowadził ich do dużego, przyjemnego salonu o ścianach wyłożonych sosnową boazerią, na której odbijały się wyraźnie słoje i sęki. Pośrodku stał pułkownik Burow, ubrany tylko w spodnie od munduru, koszulę i buty.

– Dzień dobry - odezwał się.

Hollis ignorując go rozejrzał się po pokoju. Wszystkie meble były rosyjskie, ale nie przypominały byle jak skleconych sprzętów, którymi musiały się zadowolić masy. Wyposażenie pokoju wydawało się żywcem przeniesione z hotelu „Ukraina” - ciężkie i solidne, zrobione tak, żeby przetrwać sto lat. Lakierowane meble z lat trzydziestych utrzymane były w stylu, który na Zachodzie uchodziłby za *Art Deco*, ale który tutaj oficjalnie określano mianem realizmu socjalistycznego, a normalni ludzie nazywali stylem stalinowskim.

Ściany przyozdobione były wielkimi płótnami przedstawiającymi niezwykle przystojnych wieśniaków, szczęśliwych robotników fabrycznych i gotujących się do walki żołnierzy Armii Czerwonej. W tej przeniesionej z lat trzydziestych kapsule czasu brakowało tylko uśmiechniętego batiuszki Stalina albo przynajmniej jego fotografii.

Burow podążał cierpliwie za wzrokiem Hollisa.

– Nie robi się już takich rzeczy - powiedział. - Ostatnio poświęciliśmy jakość na rzecz ilości. Ale wielu ludzi chętnie powitałoby powrót czasów, kiedy producenci buble i budowniczo wie rozsypanych się bloków stawali przed plutonem egzekucyjnym.

– Są chyba mniej drastyczne metody kontroli jakości - oświadczył oschle Hollis. - Więc jest pan stalinistą?

– Nie używamy tego słowa - odparł pułkownik. - Ale z całą pewnością podziwiałem tego człowieka, jeśli nie wszystkie jego metody. Siadajcie, proszę - powiedział, wskazując kąć pokoju, w którym stał jedyny w całym salonie antyk - zabytkowy kaflowy rosyjski piec, w którym palił się ogień. Sam i Lisa usiedli w fotelach, których rama zrobiona była z polakierowanego na czarno drewna i nierdzewnej stali.

Burow dał znak strażnikowi, żeby wyszedł.

– Gdybym miała zgadywać, jaki ma pan gust, pułkowniku - odezwała się Lisa - powiedziałabym, że właśnie taki.

Komendant uśmiechnął się z powątpiewaniem. Przyjrzała się wielkiemu obrazowi przedstawiającemu zbierających plon wieśniaków, potężnie zbudowanych mężczyzn o rumianych twarzach i kobiety z czerwonymi chustkami na głowach.

– Nie widziałam ani jednej takiej sceny w tym kraju - powiedziała - i podejrzewam, że to samo można powiedzieć o autorze tego płótna.

– To jest coś, co nazywamy idealizacją rzeczywistości - stwierdził Burow, siadając naprzeciwko nich na utrzymanej w tym samym stylu sofie. - Jak samopoczucie?

– Jesteśmy w więzieniu - odparł Hollis. - Jakie, pana zdaniem, można tutaj mieć samopoczucie?

– To nie jest więzienie - oświadczył stanowczym tonem pułkownik. - Dobrze, niech mi pan w takim razie powie, co pan myśli o naszej szkole.

– Jestem pod wrażeniem - stwierdził Hollis.

Burow kiwnął głową, jakby takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał.

– Najpierw sprawy bieżące - powiedział. - Pańska napaść na Sonny'ego Aimesa.

– Dlaczego nie porozmawiamy najpierw o pańskiej napaści na mnie i na panią Rhodes? Napaści, w której brał także udział Wiktor i Wadim?

– To nie była napaść. To była sprawa służbowa, a ponieważ miała miejsce, zanim wkroczyliście w świat tej szkoły, pozostaje poza wszelką dyskusją. Dlaczego uderzył pan Sonny'ego? Bo obraził panią Rhodes?

– Nie, to była sprawa służbowa.

– Ja ustanawiam tutaj prawa, pułkownik Hollis. Zależy mi bardzo na zachowaniu ładu i porządku i jestem bezstronny. Za bójki, dobieranie się do kobiet, kradzież i podobne wykroczenia wsadzam studentów do paki. Rozstrzelałem kiedyś jednego z nich za gwałt. Jeśli ten obóz ma funkcjonować prawidłowo, musi panować w nim ład i porządek. Nie tak jak w Ameryce. Jeżeli zdecydujecie się tutaj zostać - dodał - przeprowadzę w sprawie tego zajścia pełne dochodzenie i ustalę, kto ponosi za nie odpowiedzialność.

– Na pewno nie są winni Landisowie - oświadczyła Lisa. - Postawiliśmy ich w trudnej sytuacji. To było pomiędzy mną a Sonnym. Ten facet to wyjątkowa świnia.

Burow uśmiechnął się.

– Czyżby? Był całkiem sympatyczny, zanim nie zaczął oglądać amerykańskich filmów - powiedział i roześmiał się.

Lisa wstała z fotela.

– Do widzenia.

Pułkownik nakazał gestem, żeby siadła z powrotem.

– Nie. Proszę. Dostyc kłótni. Mam z wami do omówienia ważne sprawy.

Lisa niechętnie usiadła. Burow przyglądał im się przez chwilę w milczeniu.

– Dowiedzieliście się prawdopodobnie paru rzeczy o mnie i o tym, jak prowadzę ten obóz - powiedział w końcu. - I zastanawiacie się pewnie, co stanowi moją siłę motoryczną. Zawsze to robicie, kiedy traficie na silną osobowość.

– Zgadza się. A kiedy trafiamy na chorą osobowość, zastanawiamy się, jaki rodzaj psychozy wywołał niezdrowe objawy - odparł Hollis.

Na wargach Rosjanina pojawił się niewyraźny uśmiech.

– Niech pan nie próbuje się pocieszać, myśląc, że brakuje mi piątej klepki. To nieprawda. Stworzyłem tutaj najwspanialszą szkołę szpiegowską na świecie. Od dziesięciu lat moje nazwisko zna każdy premier i każdy członek Komitetu Centralnego.

– To się może kiedyś obrócić przeciwko panu - zauważył Hollis.

– Na razie mi pomaga. Ale powiem panu, co mnie pcha do przodu. Dwie rzeczy. Po pierwsze moja głęboka nienawiść do Zachodu, o której zapewne już wiecie. To być może paradoks, ale nauczyłem się nienawidzić Amerykanów, dopiero kiedy zacząłem mieć z nimi do czynienia. Nienawidzę ich kultury, ich sprośnych książek i czasopism, ich płytkich filmów, ich egoizmu, ahistoryczności i kompletnego braku wrażliwości na cierpienie, nienawidzę niepohamowanej żarłoczności, z jaką konsumują towary i usługi, a nade wszystko niewiarygodnie głupiego szczęścia, które pozwala im unikać wszelkich katastrof.

Hollis uśmiechnął się.

– To mniej więcej wyczerpuje temat. Ale z pewnością nie dowiedział się pan o tym wszystkim od swoich więźniów?

– Instruktorów. Nie, dowiedziałem się o tym, obserwując cały ten brud, na który siłą rzeczy byłem wystawiony. Zakrawa to na paradoks, ale ci lotnicy stanowią zapewne największą wartość, którą ma do zaoferowania wasze dziecienniałe społeczeństwo. Ale wasz rząd i wasz naród zmarnowały ich, tak jak marnują każde swoje bogactwo. Rozmawialiśmy już o tym w restauracji i sądzę, że powinien pan się ze mną zgodzić.

– Może i powinienem, ale nie godzę się. Wszystko to już sobie przemyślałem, pułkowniku. Nie czuję się zdradzony ani wykorzystany.

Więc jeśli to ma być standardowa psychologiczna zagrywka, którą wykonuje pan po to, żebym poczuł się obrażony na własny kraj, niech pan o tym zapomni.

Burow rozparł się wygodniej na sofie i założył nogę na nogę.

– W porządku. Ale proszę się jeszcze nad tym zastanowić. Zdradzę panu kolejny paradoks, który mnie bawi. Moi studenci, kiedy już wylądują w Ameryce, stają się lepszymi obywatelami, niż jesteście w stanie wyprodukować tam sami. Wydajniej pracują, są lepiej wykształceni i bardziej praworządni.

– Prawdopodobnie płacą też wyższe podatki.

Pułkownik przez kilka sekund wpatrywał się w Hollisa.

– Drugi mój motyw jest czysto intelektualnej natury - podjął wreszcie przerwany wątek. - Fascynuje mnie po prostu samo zadanie przekształcania Rosjan w Amerykanów. Nie sądzę, żeby dokonano kiedykolwiek czegoś podobnego na tak wielką skalę. A my planujemy dalszy rozwój. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Obawiam się, że tak.

– Wkrótce otworzymy następne szkoły.

– Skąd weźmiecie następnych instruktorów?

– Będziemy ich porywać, tak jak porwaliśmy was i te sześć Amerykanek. Tym razem na większą skalę. Sądzę, że w akcji porywania jachtów pomocne mogą się okazać nasze łodzie podwodne. - Uśmiechnął się. - Być może będziemy to robić w Trójkącie Bermudzkim.

– Jak może się pan jeszcze uśmiechać? - wtrąciła Lisa. - Nie zdaje pan sobie sprawy, jakie to okrutne?

– Toczy się wojna - odparł Burow. - My o tym wiemy. Wy nie. Za dziesięć lat - kontynuował, zwracając się ponownie do Hollisa - będziemy mieli szkołę obsługującą każdy większy naród należący do naszej rasy. We

wszystkich państwach Europy, w Ameryce Południowej, Kanadzie, Afryce Południowej, Australii, Nowej Zelandii - wszędzie tam, gdzie etniczny Rosjanin może uchodzić za kogoś miejscowego - będziemy mieli naszych agentów funkcjonujących jako normalni obywatele. Do końca stulecia zalejemy świat ludźmi, którzy wyglądają i postępują jak Niemcy, Francuzi i Anglicy, ale którzy pracują dla Moskwy. I co pan o tym sądzi? - zapytał Hollisa.

– Bardzo ambitne plany jak na społeczeństwo, które od siedemdziesięciu lat próbuje bezskutecznie stworzyć nowego sowieckiego człowieka.

Rosjanin pochylił się w jego stronę.

– Nie powinien pan zawsze mówić tego, co pan ma na końcu języka.

– Wiem. Zawsze wpędza mnie to w kłopoty.

Burow kiwnął głową.

– Więc to właśnie pobudza mnie do działania.

– Doskonale. Czy możemy już iść?

– Nie. Mam jeszcze kilka innych spraw.

Do pokoju weszła starsza kobieta, niosąc tacę, na której stał dzbanek z herbatą i filiżanki. Postawiła tacę na piecu, przez chwilę wpatrywała się w Sama i Lisę, po czym wyszła.

– Czestujcie się - powiedział Burow.

– Jeżeli ta kobieta jest pańskim więźniem - odezwała się Lisa - nie dotknę niczego, co zostało przez nią przyrządzone.

Pułkownik zacmokał głośno ustami.

– Ach, naprawdę, jakie pani ma skrupuły. To była moja matka. - Wstał i nalał herbatę do trzech filiżanek. - Tak, wyobraźcie sobie, że mam matkę. A także żonę i małą córeczkę, Natalię.

Wręczył Lisie filiżankę, którą przyjęła, a potem podał następną Hollisowi, ale nie siadał z powrotem na sofę. Przyglądał się przez chwilę

Lisie.

– Zastanawiam się - powiedział - czy nie zechciałyby pani tu pracować. W tym domu. Uczyć moją Natalię angielskiego. Ma teraz dziesięć lat. Być może mogłaby pani zostać kimś w rodzaju jej guwernantki.

– Chyba pan żartuje, pułkowniku.

– Bynajmniej. Chce pani zobaczyć Natalię?

– Nie.

– Do tego stopnia budzimy w pani wszyscy wstręt?

– Mam wśród Rosjan wielu przyjaciół. Ale pan do nich nie należy.

Burow wzruszył ramionami.

– Zobaczymy. Czas leczy wiele ran.

Hollis postawił filiżankę na podłodze obok fotela.

– Czy to jedyny powód, dla którego nas pan tu zaprosił?

– Nie. Niestety wyłoniła się pewna nowa okoliczność. Moi zwierzchnicy w Moskwie nie zgodzili się z moją decyzją, żeby zostawić wam cały tydzień na zastanowienie. Musicie więc podjąć waszą decyzję już teraz. Ufam, że będziecie woleli zostać tutaj, niż znaleźć się w anonimowym grobie.

Hollis wstał z fotela.

– Moja odpowiedź brzmi: nie.

Rosjanin wlepił w niego z niedowierzaniem oczy.

– Nie? Nie będzie pan dla nas pracował?

– Słyszał pan chyba.

– W takim razie zostanie pan poddany wnikliwemu przesłuchaniu i rozstrzelany.

– Zatem nie mam nic do stracenia, jeśli zabiję cię już teraz.

Pułkownik odstawił filiżankę na piec i odsunął się od Hollisa. Hollis dał krok w jego stronę. Lisa wstała z fotela. Na twarzy Burowa odbiło się

wahanie. Zastanawiał się, czy ma wezwać strażnika.

– Jesteś uzbrojony? - zapytał Hollisa.

– Nie potrzebuję broni, żeby cię zabić.

– Czyżby? Taki jesteś silny? Ja też jestem w dobrej formie.

– To dobrze. Walka będzie bardziej interesująca - syknął Hollis, ruszając w jego stronę.

– Stój w miejscu - warknął Burow.

– Sam. Proszę cię! - zawołała Lisa. - Będę dla pana pracować - zwróciła się do Burowa. - Proszę cię, Sam. Rozmawialiśmy o tym. Nie warto płacić za to naszym życiem. Powiedz mu „tak”. Proszę. - Złapała go za ramię. - Jakie to ma znaczenie, że będzie o dwóch instruktorów więcej? - Odwróciła się do Rosjanina. - On się zgodzi. Niech pan mi po prostu da trochę czasu.

Pułkownik przez chwilę się zastanawiał.

– Mam rozkaz uzyskać od was odpowiedź dzisiaj - powiedział, wpatrując się uważnie w Lisę. - Jeśli nie powiecie „tak” do godziny szóstej wieczorem, wylądujecie z powrotem w celach. Rozumie pani?

Lisa kiwnęła głową.

– Jestem dzisiaj w dobrym humorze - dodał Burow - i powiem wam dlaczego. Złapaliśmy majora Dodsona. Udało mu się dotrzeć na odległość dwustu metrów od muru waszej ambasady. I po czyjej stronie jest szczęście?

Hollis nie odpowiadając ruszył ku drzwiom.

– Tak, teraz wolno ci odejść - rzucił za nim Rosjanin. - Masz się do mnie zgłosić przed godziną szóstą, żeby zakomunikować swoją odpowiedź.

Oczekujący w sieni strażnik wypuścił ich na zewnątrz. Idąc ścieżką dotarli do stróżówki i jeden z żołnierzy KGB otworzył przed nimi bramę.

– Chcesz zyskać na czasie, prawda? - zapytała Lisa, kiedy znaleźli się z powrotem na głównej drodze.

Hollis kiwnął głową.

– Tak. Ale ty nie musiałaś tego robić.

– Zrobiłam to dla ciebie, Sam. Zorientowałam się, że krew uderzyła ci do głowy i przestajesz racjonalnie myśleć. Nigdy nie sądziłam, że do tego stopnia potrafisz stracić nad sobą panowanie.

– Kiedy tam wchodziłem, byłem spokojny - odparł. - Ale potem zacząłem o nim myśleć...

– O tym, co mi zrobił? Nie powinnam ci o tym opowiadać.

Hollis nie odpowiedział.

– Zezłościło cię także to, co opowiadał o Ameryce?

– Wszystko razem. Dziękuję, że zapanowałaś nad sytuacją. Jestem pewien, że udawanie potulnej nie przyszło ci z łatwością.

– Jesteś mi winien kolejkę.

– Zgadza, się. I kolację.

Oddalali się coraz bardziej od dacy pułkownika.

– Złapali Dodsona - powiedziała Lisa.

Hollis kiwnął głową.

– Miał cholernego pecha. Ale może to osłabi presję, którą wywierają na Burowa w sprawie przeniesienia obozu.

– Skoro zależy ci na tym, żeby nie przenieśli tej szkoły, to znaczy, że wierzysz, że ktoś tu się po nas pofatyguje.

– Interesujący wniosek. Zaczynasz rozumować jak prawdziwy oficer wywiadu.

– A ty wymigiwać się od odpowiedzi. Odpowiedz wprost na moje pytanie, Hollis.

Uśmiechnął się.

– Myślę, że gdyby podjęto jakąś misję ratunkową, lepiej, żebyśmy znajdowali się tu, a nie gdzie indziej. Nie próbuj ze mnie wyciągnąć

niczego więcej, Liso. Mówię pewne rzeczy na głos tylko dlatego, że nie mam z kim porozmawiać. Muszę się teraz zastanowić.

Był przekonany, że Alevy ponad wszelką wątpliwość wie, iż zostali porwani i że w gruncie rzeczy nawet to przewidywał - dlatego w niezwykłym dla niego porywie uczucia próbował wyperswadować Lisie lot do Frankfurtu. Podczas dwóch porannych sesji z Hollisem wskazał na możliwość zorganizowania jakiejś misji ratunkowej, być może, jak podejrzewał słusznie Burow, w celu wyzwolenia dwóch albo trzech więźniów, którzy posłużyliby później jako świadkowie. Z tym właśnie związane były wszystkie pytania na temat sowieckiego helikoptera Mi-28, za pomocą którego najwyraźniej Alevy chciał przeprowadzić całą operację.

Ale później, na lotnisku, wspomniął o możliwości wymiany - i teraz, kiedy mieli na widelcu trzy tysiące przebywających w Stanach absolwentów Szkoły Wdzięku, było to całkiem realne. Alevy nigdy nie okłamywał swoich współpracowników; dawał im po prostu zawsze dziesięć prawidłowych odpowiedzi na jedno pytanie.

Hollis próbował na chwilę wejść w skórę Seta, co nie było zupełnie niemożliwe, ponieważ obaj pracowali w tym samym fachu i w gruncie rzeczy powinni myśleć w podobny sposób, rozwiązując podobne problemy. Doszedł do wniosku, że Alevy nie tylko wie, że on i Lisa zostali porwani, ale domyśla się, że wylądowali prawdopodobnie w Szkole Wdzięku. Co więcej, Alevy był nie tylko oficerem wywiadu, ale przede wszystkim zakochanym mężczyzną - i dlatego nie chciał, by Lisa pozostawała zbyt długo w rękach Burowa. Nie chciał również, by w rękach pułkownika pozostawał zbyt długo Hollis, jego umysł zawierał bowiem zdecydowanie zbyt wiele informacji interesujących Rosjan.

– Myślę, że nie docenialiśmy intelektu Burowa - przerwała jego myśli Lisa.

– Tak, jego mowa wywarła na mnie wielkie wrażenie. Tym, co pobudza go do działania - dodał - jest łańcuch obciążony kulą. To świr.

Lisa roześmiała się.

– Widzę, że powiedziałeś mu to, co miałeś na końcu języka, dla własnego dobra. Chodź, powtórzmy mu to, do czego doszedłeś po namyśle.

– Później.

– Co zamierzasz robić do szóstej wieczorem?

– Odkrywać nowe lądy. Zdobywać nowe szczyty. Masz ochotę na długi dzień?

– Jasne. Uwielbiam patrzeć, jak pracujesz. Intrygujesz mnie.

Nie zwalniając kroku objął ją ramieniem. Minęli centrum handlowe i budynek dowództwa i podeszli do klubu weteranów.

– O dziesiątej rano mam tutaj przypadkowo natknąć się na Poole'a - powiedział Hollis.

Wbiegli po schodkach na werandę i weszli do środka klubu. W świetlicy było kilkunastu instruktorów i dwa razy tyle studentów. Część obecnych oglądała na wideo *Pluton*, a czterech mężczyzn grało z boku w bilard.

Odnaleźli komandora przy karcianym stoliku, grającego w pokera z trzema studentami. Piętrzył się przed nim stos żetonów i kupka obozowych kartek. Jednym z jego partnerów był Jim Hull, chłopak, którego Lisa wprawiła w zakłopotanie na sali gimnastycznej. Uśmiechnął się do Lisy, ale ona posłała mu lodowate spojrzenie, które sprawiło, że czym prędzej wlepił wzrok w karty.

Poole zerknął w ich stronę.

– Cześć, pułkowniku. Dzień dobry, pani Rhodes. Chcecie się przysiąść?

– Nie, dziękujemy. Ktoś powiedział mi, że jest pan w Komitecie organizującym ognisko.

– A tak, zgadza się. Zaraz będę do waszej dyspozycji. Wyłożę tylko karty.

Sam i Lisa usiedli przy sąsiednim stoliku. Gracze wyłożyli karty i pulę zgarnął student, który miał dwa asy i dwie szóstki.

– To się nazywa „martwa ręka” - poinformował Poole trzech kursantów.

– Dlaczego? - zapytał jeden z nich.

– Takie właśnie karty miał na ręku Dziki Bill Hickock - wyjaśnił komandor - kiedy ktoś strzelił mu w plecy w Deadwood. To takie miasteczko gdzieś na amerykańskim Zachodzie. Nie pamiętam już w jakim stanie. To pechowa karta, nawet jeśli wygrywa. Kiedy ktoś dostaje ją w pokerze, mówimy, że ma „martwą rękę”. - Poole wstał od stolika. - Zaraz wracam. Nie zwińcie mojej forsy.

Trzej studenci uśmiechnęli się.

Poole wyprowadził Sama i Lisę na zewnątrz i stanęli na skraju drogi w pewnej odległości od klubu weterana.

– Martwa ręka to asy na ósemkach - zauważył Hollis.

– Naprawdę? Ale jestem nierozgarnięty. - Komandor uśmiechnął się. - Jeśli nie zamieszam im w głowie przynajmniej raz na dzień - powiedział szeptem - ogarnia mnie depresja.

– Złapano pana kiedyś? - zapytała Lisa.

– Jasne. Kilkanaście razy. Zamykają wtedy na tydzień w izolatce Lenę... to moja żona. - Spojrzał na Sama, a potem na Lisę. - Ona się tym wcale nie przejmuje. Kiedy ją zabierają, jest ze mnie dumna. Zanim tu przyjechała, przesiedziała cztery lata w obozie, gdzie prowadzono wyrąb lasu, W porównaniu z tamtym, tutejsze cele przypominają sanatorium, a poza tym w izolatce nie muszą robić prania ani słać łóżka, bo nie ma tam żadnych łóżek. Na jej powrót przygotowuję zawsze jakąś ekstrapotrawę.

– Ale jeśli tylko zechcą, mogą ukarać pana i ją bardziej dotkliwie - stwierdziła Lisa.

– Mogą. Ale wahają się. Wyjaśniłem wam, że częściej posługują się marchewką niż kijem. Któregoś dnia proporcje z powrotem się odwrócą. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że stanie się to prędzej, niż myślimy.

– A mimo to wciąż będzie pan sabotować program nauczania? - zapytała cichym głosem Lisa.

– Absolutnie. Może na was nie wywiera to specjalnego wrażenia... te wszystkie małe kłamstwa, jak to o szóstkach i asach. Ale pamiętam autentyczną historię, którą przeczytałem kiedyś o brytyjskim lotniku uwięzionym podczas drugiej wojny światowej w jakimś niemieckim zamku. Siedział tam tylko kilka lat, nie piętnaście ani dwadzieścia jak my, ale fakt, że nie może w żaden sposób zaszkodzić przeciwnikowi, stał się dla niego źródłem prawdziwej udręki. Wycinał więc spróchniałe drzazgi z belek stropowych zamku i wbijał je w zdrowe belki, wiedząc, że za pięćdziesiąt albo sto lat cały zamek legnie w gruzach. Możecie wyobrazić sobie frustrację tego człowieka?

– Tak - odparł Hollis. - Słyszałem podobne historie.

Poole zarzucił im ręce na ramiona i przyciągnął do siebie.

– No więc tak właśnie się tutaj czujemy i tak zachowujemy - powiedział cicho. - Wbijamy nasze własne spróchniałe drzazgi w zdrową tkankę. Czasami porównuję te nasze lekcje z krzemowymi chipami. Mamy wytłoczyć na tych chipach właściwe mikroobwody, tak żeby pasowały do dużego komputera, jakim jest mózg rosyjskiego studenta. Ale produkując te chipy, robimy na nich małe rysy. Niewielkie nacięcia, które przechodzą przez kontrolę techniczną. Potem Rosjanin jedzie na Zachód z tymi drobnymi defektami i być może jego komputer będzie długo pracował bez zarzutu albo zawiedzie w niezbyt ważnym momencie. Ale któregoś dnia

znajdzie się w krytycznej sytuacji, jak wtedy, kiedy człowiek zasuwa z podwójną szybkością macha na wysokości dwudziestu tysięcy metrów i musi wykonać właściwy manewr, i wtedy właśnie zawiedzie go wadliwy mikroelement. W odpowiednim miejscu i czasie nawet mały defekt może okazać się zgubny. Powiedzmy na przykład, że któryś z tych frajerów, grając w pokera z facetem z CIA, dostanie na rękę asy na szóstkach i skomentuje to. Rozumie pan?

– Oczywiście.

– Robimy, co możemy.

– Wiem.

– Pali pan hawańskie cygara?

– Nie.

– No to teraz pan zacznij.

Komandor wyjął z kieszeni dresu dwie aluminiowe tubki po cygarach i wręczył je Hollisowi, który natychmiast schował je do własnej kieszeni.

– Są tam wszystkie nazwiska Amerykanów - powiedział Poole - którzy kiedykolwiek przebywali i którzy przebywają obecnie w Szkole Wdzięku. Tam gdzie to możliwe, z podpisami i datami przyjazdu, a także datami śmierci przy nazwiskach zmarłych. To prawdziwy dynamit, pułkowniku, jeśli uda się panu stąd wydostać i dostarczyć to do ambasady.

– Wiem o tym.

– Ale może w ambasadzie nie chcą mieć dynamitu.

– Może nie chcą. Ale zrobią to, co będą musieli.

– Na pewno? Ma pan jakąś nadzieję... no dobrze, nie będę pana znowu wypytywał. Jak udał się dzisiejszy ranek?

– Wie pan zapewne, że odwiedziliśmy Burowa w jego domu. Często otrzymuje się tutaj takie zaproszenie?

– Kiedyś całkiem często. Chodziło się do niego niczym na sherry do dyrektora szkoły. Ale przed kilku laty zakazał tego komitet do spraw etycznych. Stawiamy się tam tylko na wyraźny rozkaz. Odmawiamy poczęstunku, nawet szklanki wody. Chyba poczuł się obrażony i przestał nas zapraszać.

– I bardzo dobrze.

– Może mi pan powiedzieć, czego chciał?

– Cóż, w zasadzie miał ochotę nas rozstrzelać. Ale gotów jest zmienić zdanie, jeśli zgodzimy się tutaj pracować.

– Gdyby można było mieć pewność, że tylko was rozstrzela, doradzałbym odrzucenie oferty. Najprawdopodobniej jednak podda was przed śmiercią niezbyt przyjemnemu przesłuchaniu.

– Wiem o tym - odparł Hollis. - Właściwie nie mamy wyboru. Kiedy przyjmiecie ofertę, czeka nas tylko trochę przyjemniejsze przesłuchanie z zastosowaniem narkotyków i wykrywacza kłamstw. Tak czy owak dowie się ode mnie rzeczy, o których wolałbym, żeby nie wiedział.

Poole przyglądał się przez chwilę Hollisowi, a potem spojrzał na Lisę.

– Pani też pracuje w wywiadzie?

– Tak. Ale od bardzo niedawna. Przedtem pisałam komunikaty dla prasy.

– Muszę mu dać odpowiedź do godziny szóstej - ciągnął dalej Hollis. - Powiem mu „tak”, ale będę próbował grać na zwłokę, zanim podłączy mnie do wykrywacza.

Poole wlepił w niego oczy.

– Dlaczego próbuje pan grać na zwłokę?

To, pomyślał Hollis, było bardzo trafne pytanie. Gdyby chciał udzielić na nie odpowiedzi, powiedziałaby: „Żeby dać ludziom w Waszyngtonie trochę czasu na podjęcie odpowiednich kroków”. Wiedział, że Seth Alevy przedstawi prezydentowi bardzo przekonujące dowody na to, że Lisa

Rhodes i Sam Hollis nie spłonęli w katastrofie helikoptera, ale zostali porwani i przetrzymuje się ich w Szkole Wdzięku. Alevy przekona także Radę Bezpieczeństwa Narodowego, że pułkownik Hollis wie o rzeczach, o których Rosjanie nigdy nie powinni się dowiedzieć. Będzie apelował do ciemnych instynktów, przymilał się, prosił i straszył. Niewykluczone także, że podczas wizyty w Białym Domu towarzyszyć mu będzie generał Surikow, który przedstawi zdumionemu prezydentowi i jego doradcom do spraw bezpieczeństwa fascynujący mikrofilm z nazwiskami trzech tysięcy sowieckich agentów. W końcu nawet w Waszyngtonie uświadomią sobie, że coś trzeba zrobić z tym fantem i że do diabła z odprężeniem.

– Dlaczego próbuje pan grać na zwłokę? - powtórzył komandor.

– Burow twierdzi, że złapali Dodsona - oznajmił, nie odpowiadając na jego pytanie, Hollis.

– Złapali... Jacka?

– Tak mówi Burow.

Poole przez chwilę wytrzeszczał z niedowierzaniem oczy, a potem wziął się w garść.

– No to teraz czeka nas krwawa łaźnia.

– Dziś wieczorem porozmawiam z Burowem. Zobaczę, co się da zrobić.

– Nic pan nie zdoła.

– Ale będę się starał.

– Dobrze... dziś wieczorem mamy to idiotyczne przyjęcie z okazji Halloween. Zaczyna się o siódmej. Mamy tam się wszyscy stawić, razem z naszymi kobietami.

– Wtedy z panem porozmawiam. Czy nie za wcześnie na drinka, komandorze? - dodał Hollis.

– Normalnie, tak. Ale dzisiaj rano zrobię wyjątek.

– Do zobaczenia.

Poole zawrócił, idąc jak w transie, w stronę klubu.

.36.

Sam Hollis i Lisa Rhodes siedzieli w gabinecie Burowa. Za ich krzesłami stali w pozycji spoczynnej dwaj żołnierze Straży Granicznej KGB.

– Co postanowiliście? - zapytał Burow.

– Pracować tutaj - odpowiedziała Lisa.

Rosjanin kiwnął głową i spojrzał na Hollisa.

– Chcę to usłyszeć od pana, pułkowniku.

– Będę tutaj pracował - potwierdził Hollis.

– Dobrze. Oboje poddacie się także przesłuchaniu z zastosowaniem serum prawdy i wykrywacza kłamstw? Tak czy nie?

– Tak.

– Rozumiecie również, że nie wolno wam oszukiwać i zakłócać skalowania maszyny. Macie odpowiadać zgodnie z prawdą natychmiast po zadaniu pytania. Po pierwszym kłamstwie czekają was elektrowstrząsy. Po drugim staniecie przed plutonem egzekucyjnym. Czy to jasne?

– Tak.

– A teraz odpowiecie na kilka moich pytań bez wykrywacza kłamstw i narkotyków. I ostrzegam, że odpowiedzi powinny się potwierdzić, kiedy będziecie podłączeni do maszyny. Pierwsze pytanie: czy amerykański wywiad wie o istnieniu i charakterze tego ośrodka? Pułkowniku?

– Tak - odparł Hollis.

Burow mierzył go przez chwilę wzrokiem.

– Wiedzą, że są tutaj przetrzymywani amerykańscy lotnicy?

– Tak.

– Wiedzą, ilu ich jest?

– Nie.

– Jakie mają plany wobec przebywających tu Amerykanów?

– Nie wiem.

– Nie wie pan? Lepiej, żeby odpowiedź na to pytanie nie spowodowała wychylenia pisaka, bo przekona się pan, jak bolą poddawane elektrowstrząsom genitalia. - Burow rzucił okiem na Lisę. - Czy znalazł się pan tutaj, bo okazałem się sprytniejszy od pana - zwrócił się ponownie do Hollisa - czy dlatego, że sprytniejszy okazał się Seth Alevy?

– Nie rozumiem.

– Ależ tak, rozumie pan. Czy pan albo Alevy wiedzieliście, że może pan zostać porwany?

– Nie.

Pułkownik utkwiał oczy w Hollisie i przez dłuższy czas milczał.

– Czy wywiad amerykański - zapytał w końcu - planuje przeprowadzenie jakiejś operacji przeciwko temu ośrodkowi?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Wie pan, Hollis, że jeśli choćby dwie pańskie odpowiedzi były fałszywe, pójdzie pan od razu pod ścianę, zaoszczędzając sobie w ten sposób elektrowstrząsów. Ale być może nie wbiłem tego panu wystarczająco mocno do głowy. Zadam więc te same pytania po raz drugi.

Burow powtórzył, używając tych samych słów, pytania, a Hollis udzielił identycznych odpowiedzi. Tylko ostatnie pytanie Rosjanin sformułował inaczej.

– Czy Seth Alevy wspomniał panu kiedykolwiek o możliwości zorganizowania przeciwko temu obozowi akcji zbrojnej?

– Nie, nie wspomniał.

Pułkownik uśmiechnął się kwaśno.

– Mam nadzieję, że mówi pan prawdę. W przeciwnym razie nie chciałbym być w skórze was obojga. - Spojrzał na Lisę. - Teraz pani. Czy jest pani w jakiś sposób związana z pracą wywiadowczą?

– Nie.

– Nie? Związała się pani tylko z pracownikiem wywiadu?

Lisa kiwnęła głową.

– Tak.

– Miała pani wyjątkowego pecha. Jeśli trafi się pani jeszcze kiedyś jakaś okazja, proszę kłaść się do łóżka z kimś mniej niebezpiecznym.

Lisa chciała coś odpowiedzieć, ale potem skinęła po prostu głową.

– Wpakowali panią w to wszystko pani dwaj przyjaciele szpiedzy - kontynuował Burow. - Nie mogę teraz pani z tego wyciągnąć. Ale jeśli będzie pani robiła, co każę, mogę zadbać, żeby niczego pani nie brakowało.

Ponownie kiwnęła głową.

– Słyszała pani odpowiedzi pułkownika Hollisa na moje pytania. Czy z tego, co pani wie, były prawdziwe? Czy wie pani, co to są elektrowstrząsy?

– Chyba tak.

– To świetnie. Następne pytanie, pani Rhodes. Czy pani i pułkownik Hollis rozmawialiście wieczorem dwa dni temu z generałem Austinem?

– Tak.

– Czy rozmawialiście wtedy również z komandorem Poole'em i czy spotkaliście się z nim ponownie dzisiaj rano w klubie weterana?

– Tak.

– Czy tematem pierwszej i drugiej rozmowy była ewentualna misja ratunkowa albo plany ucieczki?

– Nie.

– Nie? Dobrze, zobaczymy, ile trafień zaliczy pani, kiedy podłączymy panią do wykrywacza. W baseballu - ciągnął dalej Burow, zwracając się do

Hollisa - gra się do trzech trafień. Prawda? Ale my tutaj gramy w softball. Gra jest łatwiejsza, lecz zawodnik jest wyeliminowany już po dwu trafieniach - powiedział, uśmiechając się.

– To zła analogia - stwierdził Hollis.

– Metafora - poprawiła go Lisa.

– Nigdy nie potrafię odróżnić jednej od drugiej - przyznał Hollis.

Oczy Burowa zwięziły się.

– Uwielbiam wasz język - powiedział, wydymając wargi. - Naprawdę. Język mówiony. Ale ludzie mówiący po angielsku uważają każdego, kto nie włada ich językiem, za kretyna. Stanowi to dla was źródło nieustannej uciechy. Ale wiecie, co wam powiem? Kiedy ktoś leży podłączony do elektrod, tylko jeden dźwięk wydobywa się z jego gardła i nie przypomina on żadnej ludzkiej mowy, którą zdarzyło się wam w życiu słyszeć.

Przyjrzał się im obojgu.

– Jutro rano - ciągnął dalej - przyjedzie tutaj z Moskwy dwóch śledczych. Pierwszy jest specjalistą od wykrywania kłamstw i narkotyków. Wasze sesje z nim potrwać kilka tygodni i oprócz lekkiego kaca po narkotykach nie będą dla was szczególnie przykre. Drugiego śledczego nazywamy między nami elektromonterem. Przebywa normalnie w podziemiach Łubianki i widział rzeczy, od których wam obojgu zrobiłoby się niedobrze. Wybór, z którym z tych dwu panów będziecie mieli do czynienia - dodał - należy do was, nie do mnie.

– Dokonaliśmy już wyboru - oznajmiła Lisa.

Burow przez dłuższy czas patrzył jej prosto w oczy.

– Zastanawiam się, co się stało z pani temperamentem - powiedział i wzruszył ramionami. - Tak czy owak gratuluję pani rozsądnej decyzji.

– Co czeka majora Dodsona? - zapytał Hollis.

– Och, wie pan, że decyzja nie należy do mnie.

– Dlaczego? Czy to nie pan rządzi tym obozem?

Rosjanin sprawiał wrażenie zniecierpliwionego.

– Musi pan zrozumieć, pułkowniku, że Dodson nie tylko popełnił zagrożone tutaj najwyższą karą wykroczenie, ale poznał całkiem dobrze miejscowe okolice. Nie mogę pozwolić, żeby podzielił się swoimi doświadczeniami z innymi. Ten człowiek zostanie stracony.

– Kiedy?

– Jutro rano.

Hollis wstał z krzesła.

– Ty...

Stojący z tyłu strażnik złapał go za ramiona i wcisnął z powrotem w krzesło.

Burow wzruszył ramionami.

– Nie wolno nam po prostu dopuścić do żadnych ucieczek. Skutki byłyby opłakane dla nas wszystkich. Dla światowego pokoju. A także dla przebywających tu Amerykanów. Zostaliby przeniesieni gdzie indziej i prawdopodobnie rozstrzelani. Rozumie pan, jakie to ważne.

– Rozumiem - odparł Hollis - że gdyby Dodsonowi udało się uciec, to pan stanąłby przed plutonem egzekucyjnym. Wiem, że ten system nagradza okrucieństwo i traktuje terror jako narzędzie kontroli.

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Ja też o tym wiem. Ale tak było tutaj zawsze, Hollis, nawet przed nastaniem władzy carów. Ja terroryzuję ludzi, którzy są pode mną, a Łubianka terroryzuje mnie. Terror karmi się terrorem. I co z tego? Grunt, że system jest skuteczny. - Przyjrzał się bacznie Hollisowi. - Własną głowę cenię sobie znacznie wyżej od głowy majora Dodsona. No i mam na utrzymaniu rodzinę.

– Nie mógłby pan go po prostu uwięzić? - zapytała Lisa.

- Nie. Trzeba dać przykład innym.
 - Jeśli pan go zabije, może pan mieć tutaj kłopoty - odezwał się Hollis.
 - Czyżby? - zapytał, spoglądając na niego, Burow. - Tak pan słyszał? Cóż, może pan powtórzyć swoim rodakom, że gotów jestem rozstrzelać odpowiednią liczbę ich żon i przyjaciółek, żeby wybić im z głowy wszelką myśl o ruchawce. Powtórzy im pan to w moim imieniu, pułkowniku Hollis?
 - Tak, zrobię to, pułkowniku Burow. Ale myślałem również o pańskich rodakach. Tych młodych studentach. Jak ta egzekucja odbije się na ich nowej amerykańskiej wrażliwości?
 - Niech pan nie próbuje mnie prowokować ani straszyć. Moi studenci mogą śmiało oglądać egzekucję majora Dodsona. Nawet tym, którzy go znali, nie drgnie powieka.
 - Proszę tylko, żeby wziął pan pod uwagę wszelkie możliwe konsekwencje swoich działań, pułkowniku Burow.
 - To powinien zrobić wcześniej major Dodson i jego przyjaciele.
- Hollis wziął głęboki oddech.
- Czy możemy już odejść?
 - Za moment. Natychmiast po jutrzejszej egzekucji macie się zgłosić w budynku dowództwa. Egzekucja będzie publiczna i odbędzie się o godzinie ósmej rano na boisku. Niech pan zawiadomi innych. Każdy nieobecny instruktor może być pewien, że rozstrzelamy jego żonę. Każda nieobecna kobieta może być pewna, że sama stanie przed plutonem egzekucyjnym. Dzieci są zwolnione z obowiązku uczestnictwa. Na placu stacjonować będzie dwustu silnie uzbrojonych żołnierzy Straży Granicznej. Niech pan to przekaże generałowi Austinowi. Wspólnie postarajmy się uniknąć krwawej łaźni. Dobrze?
 - Czy zostanie stracony ktoś jeszcze?

– Tak. Dziesięć osób. Major Dodson jest w tej chwili przesłuchiwany. Jeśli nie poda żadnych nazwisk, wyznaczę dziesięć przypadkowych osób spośród instruktorów i ich żon. Niech pan ich nie żałuje - dodał pułkownik.

- Wiedzieli, jakie są reguły gry. Jestem pewien, że po jutrzejszej egzekucji przez co najmniej dziesięć lat nie będzie tutaj żadnej próby ucieczki. Do widzenia.

Sam i Lisa wstali.

– Dziś wieczorem - powiedział Burow - uczestniczycie w bankiecie z okazji Halloween. A jutro rano wszyscy, niezależnie od kaca, macie zgromadzić się o ósmej na boisku. Teraz możecie odejść.

Hollis ruszył szybko ku drzwiom, a w ślad za nim Lisa i dwóch strażników. Wyszli z budynku dowództwa, mijając stojących na straży wartowników. Wieczór był bardzo chłodny i przez korony drzew przeświecały gwiazdy, ale nie było widać księżyca. Oboje ruszyli w milczeniu w stronę klubu weterana. Nagle Hollis zatrzymał się i kopnął w bezsilnej złości sosnową gałąź.

– Niech go wszyscy diabli!

Lisa położyła mu rękę na ramieniu.

– Ten skurwysyn wie! Wie, jaka jest różnica między dobrem i złem, a mimo to wybiera zło. Zło stanowi tutaj prawdziwy przemysł. Facet musi utrzymywać rodzinę. Jesteś w stanie uwierzyć w to, co słyszałaś? Bo ja się chyba przesłyszałem. Jezu Chryste.

– Przejdźmy się, Sam. Chodź. Spacer dobrze ci zrobi.

Ruszyli dalej.

– Czy jutro... spodziewasz się tutaj jakichś zamieszek? Buntu? - zapytała Lisa.

– Nie wiem. Wiem tylko, że sześćset bezbronnych osób nie ma żadnych szans w starciu z dwustu uzbrojonymi żołnierzami.

– Ale czy możesz to wykorzystać, żeby wywołać bunt?

– Może... dla tych ludzi zstąpiliśmy po prostu z nieba, przynosząc ostatnie boskie przykazanie. Ale... czy wolno mi podzegać do buntu, który doprowadzi do masakry?

Szli powoli w stronę klubu weterana, jasno oświetlonego przed zbliżającym się bankietem.

– Co zrobimy w związku z przesłuchaniem? - zapytała Lisa. - Jeszcze zanim tam wejdziemy, mamy zaliczone dwa trafienia.

– Wygląda na to, że kończy nam się czas, prawda? - odparł.

Pomyślał o sekretach, których nie powinien zdradzić. Musiał chronić Surikowa na wypadek, gdyby generał nie zdążył jeszcze stąd wyjechać. Musiał zataić fakt, że lada dzień zdemaskowanych zostanie trzy tysiące absolwentów Szkoły Wdzięku i że zaoferuje się ich w zamian za trzystu Amerykanów Burowa. Nie mógł pozwolić Burowowi sądzić, że Alevy zamierza porwać stąd paru więźniów, żeby pokazać ich światu. Ale czas kiedy udawało mu się oszukiwać pułkownika, kończył się. Rosjanin dowie się od niego wszystkiego, czego potrzebuje, za pomocą narkotyków, pałki, wstrząsów elektrycznych albo po prostu wykrywacza kłamstw. A wtedy obóz zostanie ewakuowany, a KGB zaalarmuje swoich agentów w Ameryce. W ten sposób zakończy się cała operacja i ostatni amerykańscy zaginieni w akcji żołnierze nieodwołalnie pożegnają się z życiem.

Lisa milcząc szła u jego boku.

– Nina Sturges i Mary Auerbach - powiedziała w końcu.

– Co?

– Tak nazywały się dwie Amerykanki, które popełniły tutaj samobójstwo.

Hollis nie odpowiedział.

– Sam... jutro każą nam przyglądać się śmierci jedenastu przyzwoitych ludzi. A potem przez długie tygodnie poddawani będziemy przesłuchaniom. Może już nigdy nie wyjdziemy z tego betonowego budynku. Wiesz o tym.

Hollis dalej nie odzywał się ani słowem.

– Myślałam... - powiedziała cicho Lisa - że gdybyśmy położyli się dzisiaj do łóżka... i po prostu się już nie obudzili... razem... ty i ja... na zawsze. Czy tak nie byłoby lepiej? Trzymając się w ramionach. Używają tutaj propanowych grzejników - dodała.

Popatrzył na nią. Po raz pierwszy, odkąd się spotkali, poczuł się całkowicie odpowiedzialny za jej los. Ale teraz to ona próbowała wziąć w swoje ręce ich przyszłość.

– Było wiele ranków, których nie wyczekiwałem ze specjalną ochotą - powiedział. - Ale tego powinniśmy doczekać. Razem. Nie chcę o tym więcej słyszeć.

– Przepraszam... Nie chcę tego robić bez ciebie... ale to będzie taka długa noc.

– Może znajdziemy rozwiązanie przed świtem.

CZEŚĆ V

Jeśli mieszkasz niedaleko żywego smoka, niewiele ci pomoże wyłączenie go ze swoich kalkulacji.

J. R.R. Tolkien

.37.

Seth Alevy założył trencz, wziął do ręki dyplomatkę i wyszedł ze swego mieszczącego się na dwunastym piętrze hotelowego pokoju. Hotel wchodził w skład niedawno wzniesionego w Moskwie kompleksu gmachów znanego pod nazwą Centrum Handlu Międzynarodowego.

Wysiadł z windy i znalazł się w przestronnym marmurowym holu, w którym tłoczyli się, jak zauważył, głównie zachodni i japońscy biznesmeni. Przecinając na ukos hol usłyszał głośny wystrzał i szybko odwrócił się w jego stronę. Dwóch facetów w eleganckich garniturach rzuciło się na przechodzącego obok barczystego mężczyznę i przyparło go do kamiennej kolumny.

– Jesteśmy z CIA! - krzyknął po rosyjsku jeden z nich. - Juriju Siergunow, jest pan aresztowany.

Barczysty mężczyzna, Siergunow, zdzielił jednego z agentów potężnym ciosem w kark i facet zwałił się na podłogę. Drugi napastnik wyciągnął pistolet, ale Siergunow był szybszy i władował w niego dwie kule. Agent padł na fiołkowo-różowy dywan, a na jego białej koszuli pojawiła się krwawa plama.

Siergunow pobiegł w stronę szklanych drzwi, wymachując pistoletem i mijając kilka osób, które krzyżąc rzuciły się na jego widok do ucieczki. Przewrócił zagradzającego mu drogę portiera i zniknął w ciemnościach.

– Stój! - krzyknął ktoś.

W ogrodzonej sznurami części holu zapanował spokój. Z podłogi podniósł się uderzony w kark agent CIA.

– Nie możecie wyjaśnić temu kretynowi, żeby zamarkował cios?! - zawołał. - O mało nie złamał mi szyi.

– Mówi pan po angielsku? - zapytał Alevy'ego stojący obok niego mężczyzna. - Powinni uprzedzić, że kręcą film, nie uważa pan? - powiedział mężczyzna. Miał brytyjski akcent.

– Prawdę mówiąc, jest tutaj informacja.

– Po rosyjsku.

– To rosyjski film - zwrócił mu uwagę Alevy.

– Potrafi pan to przeczytać?

– Z trudem. Proszę nas o wyrozumiałość podczas kręcenia filmu.

– Co to za film? Chyba o policjantach i złodziejach.

– Dokładnie rzecz biorąc o szpiegach. Pozytywnym bohaterem był chyba ten facet, który uciekł. Jak się domyślam, agent KGB.

– Nie mów pan. To zupełnie inaczej niż normalnie.

– Jesteśmy w Rosji - przypomniał mu Alevy.

– Kim, w takim razie, byli ci dwaj? Mam nadzieję, że nie agentami MI 6.

– Nie. Facetami z CIA.

– Aha. - Anglik przez chwilę się zastanawiał. - To znaczy, że CIA próbowało aresztować tego faceta. Ale Amerykanie nie mogą przecież robić takich rzeczy w Rosji.

– Za dobrze by było. Ale akcja filmu dzieje się w Ameryce. Mosfilm używa tego miejsca jako amerykańskiego pleneru. Widziałem ten hotel już w dziesięciu filmach.

Anglik roześmiał się.

– Czy Rosjan nie męczy oglądanie w kółko tego samego miejsca?

– Rosjan, przyjacielu, nie męczy nic prócz ciężkiej pracy.

– Ma pan rację. Cóż, będę miał chociaż o czym opowiadać po powrocie do domu. Wsiadłem właśnie z windy i przez moment nie wiedziałem, co

jest grane. W tym kraju człowiek może dostać kręćka.

– Dlaczego? - zapytał Alevy.

Jego rozmówca nie odpowiedział.

Reżyser ustawił wszystkich na swoich miejscach, a agent CIA zmienił koszulę, żeby jeszcze raz nakręcić tę samą scenę.

– Jeśli się nad tym zastanowić, cała historia nie wydaje się w najlepszym guście - oświadczył Anglik. - To znaczy, prawie wszyscy tutaj są przecież z Zachodu. To dla nas trochę obraźliwe.

– To ich kraj.

– Tak, ale to jest naprawdę bardzo drogi hotel. Nie muszą nam urządzać tego rodzaju przedstawień. Strzelać do Amerykanów, i tak dalej. Chociaż z drugiej strony pewnie nikt nie domyśla się, o co chodzi. Chyba że zna trochę rosyjski.

– Sztuka naśladowuje rzeczywistość - stwierdził Alevy.

– Zawsze myślałem, że jest odwrotnie. Cóż, muszę już iść. Do widzenia.

Alevy obserwował jeszcze przez chwilę filmowców, ale potem uznał, że nie interesuje go widok dziurawionego po raz wtóry kulami faceta z CIA. Odwrócił się i odszedł. Skręcił w wyłożony gęstym dywanem korytarz, przy którym mieściło się sześć specjalistycznych sklepów Bieriozki. Na szklanych szybach widniały nalepki American Express, Eurocard i pięciu innych rozpowszechnionych na całym świecie kart kredytowych. Szkło było czyste.

Alevy wszedł do sklepu jubilerskiego i przyjrzał się wystawionym na sprzedaż bursztynowym naszyjnikom. Po eleganckim lokalu kręciło się czterech dobrze ubranych japońskich biznesmenów.

– Gdyby maszy zobaczyły to miejsce - powiedział do swojej towarzyszki stojący tuż obok Alevy'ego Amerykanin - doszłoby tutaj do kolejnej rewolucji.

Alevy zdjął z wieszaka naszyjnik, zaniósł go ekspedientce i wręczył jej Eurocard wydany na nazwisko Thorntona Burnsa. Dziewczyna wsadziła naszyjnik do wyściełanego satyną pudełka i wsunęła je do kolorowej papierowej torby.

– Życzę udanego wieczoru - powiedziała po angielsku, uśmiechając się, ale Alevy nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przeczytała po prostu wiszący za jego lewym ramieniem napis.

Wyszedł z powrotem na korytarz i minął następny sklep, w którym pod szyldem „Dla pań i panów” oferowano rosyjskie futra, hafty, porcelanę i kryształy. Zerknął na zegarek i zobaczył, że jest wpół do dziesiątej. Minął kolejne dwa sklepy opatrzone szyldami „Sprzęt radiowy” i „Księgarnia” i ruszył obniżającym się korytarzem w stronę sklepu spożywczego.

Nawet o tak późnej porze, zauważył Alevy, supermarket wypełniał gęsty tłum. Byli tutaj goście hotelowi, dyplomaci i ich żony z prawie wszystkich mieszczących się w Moskwie ambasad, a także wysocy dygnitarze partyjni, mający dostęp do twardej waluty, oraz przedstawiciele czarnego rynku, którzy płacąc zachodnimi pieniędzmi ryzykowali od dwóch do pięciu lat na Syberii.

Sklep był dobrze zaopatrzony w sprowadzaną z Europy paczkowaną żywność, mięso i ryby, a także sowieckie, pochodzące ze szklarni warzywa i owoce tropikalne, które większość moskwian oglądała wyłącznie na ilustracjach albo filmach.

Zauważył świeżą dostawę ananasów, wciąż w kartonach z napisem „Nicaragua”. Owoce zniknęły szybko w kilkunastu wózkach. Kupił kilka szwajcarskich batonów, amerykańską gumę do żucia i fińskie landrynki. Zapłacił za wszystko amerykańskimi dolarami i wyszedł z powrotem na korytarz, gdzie odnalazł umieszczone za szklaną szybą stanowisko obsługi Intouristu. Położył na biurku paszport, wizę i bilety lotnicze.

– Chciałbym potwierdzić swój lot do Helsinek i połączenie helikopterowe z lotniskiem Szeremietiewo - powiedział po angielsku.

Atrakcyjna, siedząca za biurkiem blondynka przyjrzała się jego papierom.

– Wszystko jest w porządku. Co pan chciał potwierdzić? - spytała opryskliwym tonem. Miała nienaganny akcent.

– Wiem, że wszystko jest w tym kraju znakomicie zorganizowane - odparł - ale mimo to chciałem upewnić się, czy zdążę na czas.

Przez chwilę mu się przyglądała.

– Wiem, że pański helikopter już czeka, panie Burns - powiedziała nieco grzeczniej. - Odlatuje za piętnaście minut. Proszę wrócić do głównego holu i odszukać kierownika bagażowych. Nie słyszałam, żeby były jakieś problemy z pańskim lotem.

– Dziękuję.

Alevy zabrał z powrotem swój paszport, wizę i bilety i włożył je do kieszeni płaszcza. Zobaczył, że dostarczono już do holu jego bagaż. Ekipa filmowa zwijała manatki, a portier usiłował zmyć sztuczną krew z dywanu.

Alevy zbliżył się do starszego bagażowego.

– Helikopter? - zapytał, kręcąc palcem młynka. - Helikopter? - powtórzył głośniej. Pamiętał obiegową opinię o Amerykanach, którzy wydzierają się po angielsku do cudzoziemców wierząc, że jeśli tylko uda im się dostatecznie podnieść głos, tubylcy zrozumieją, o co chodzi. - He-li-kop-ter!

– A, *wiertolot*.

Bagażowy wyciągnął rękę w stronę stojącego za szklanymi drzwiami białego mikrobusu Aerofłotu.

– Wspaniale - odparł Alevy, pokazując mu swój bagaż i hotelowy rachunek z wypisanym numerem pokoju.

Kierownik bagażowych kiwnął głową i zawołał jednego ze swych podwładnych.

– Nie myślałeś chyba - odezwał się do niego po rosyjsku - że pan Amerykanin będzie taskał dwadzieścia metrów swoje manele. Bądź dla niego grzeczny, to może zabierze cię do Ameryki w swojej walizce.

Alevy uśmiechnął się nieśmiało do kierownika bagażowych i wręczył mu rubla.

– *Do swidanija* - odparł tamten, dotykając palcami czapki.

– Do widzenia - powiedział mu Alevy i ruszył za bagażowym w stronę drzwi. Odźwierny życzył mu przyjemnej podróży i Alevy pomyślał, że przynajmniej niektórzy z nich zaczynają załapywać, o co chodzi.

Wsiadł do mikrobusu, pozdrawiając skinieniem głowy trzech siedzących już w środku pasażerów. Bagażowy umieścił z tyłu jego torbę i walizkę. Dyplomatkę Alevy zatrzymał przy sobie. Kierowca zapalił silnik.

– Amerykanin? - zapytał Alevy'ego mężczyzna siedzący po drugiej stronie przejścia.

– Tak.

Facet uśmiechnął się.

– Uwierzyłyby pan, że będziemy kiedyś latać helikopterem na Szeremietiewo? Kiedy byłem tu pięć lat temu, nawet o tym nie śnili.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że to był sowiecki hotel. Prawie nie miałem zastrzeżeń - dodał mężczyzna siedzący za plecami Alevy'ego.

Wszyscy się roześmieli.

Czwarty, siedzący przed Alevym pasażer odwrócił się w ich stronę.

– Widzieliście ten film o policjantach i złodziejach, który kręcili w holu?
- zapytał.

Wszyscy kiwnęli głowami.

– Właściwie to nie było o policjantach i złodziejach - powiedział Alevy - ale o CIA i KGB. Typowa hollywoodzka szmira. Nigdy nie słyszałem, żeby takie rzeczy działały się w rzeczywistości.

Mikrobus ruszył spod hotelu, a czterej mężczyźni, wszyscy Amerykanie, wdali się w pogawędkę na temat swojego pobytu w Moskwie. Okazało się, że wszyscy lecą o godzinie 22.45 do Helsinek, samolotem Finnairu, ostatnim startującym tego dnia z Moskwy.

Mężczyzna siedzący przed Alevym przyznał, że bywa w Moskwie całkiem często.

– Zawsze oddycham z ulgą, kiedy stąd wyjeżdżam - dodał. - Całowałem płytę lotniska w Helsinkach tak często, że poczerniały mi wargi.

Wszyscy uśmiechnęli się ze zrozumieniem.

Mikrobus zawiózł ich wokół zachodniej ściany hotelu na oświetlone reflektorami betonowe lądowisko tuż obok Hali Wystaw Międzynarodowych, niedaleko biegnącego brzegiem rzeki Moskwa bulwaru. Czekał tam już na nich, grzejąc silnik, helikopter Mi-28.

Alevy przez dłuższą chwilę przyglądał się maszynie. Jak większość sowieckich helikopterów, zaopatrzone był w koła, a nie płozy. Cztery łopaty głównego wirnika umieszczone były na dwóch czterystukonnych turbinach Izotowa. Helikoptera Mi-28 używało wojsko, a także Aerofłot do przewozu ważnych osobistości. Był szybki, wygodny i niezawodny. Tak przynajmniej poinformowano Alevy'ego. Podobnie jak inne sowieckie maszyny również Mi-28 miał w NATO swój własny kryptonim, który zaczynał się, jak w przypadku innych helikopterów, od litery „H”. Brzmienie kryptonimu było zupełnie przypadkowe i nie należało do niego przywiązywać żadnego znaczenia.

Alevy miał nadzieję, że okaże się to prawdą. Nazwa, którą nadano Mi-28 w NATO, brzmiała Headstone [7].

Mikrobus zatrzymał się w odległości dziesięciu metrów od helikoptera i czterej Amerykanie wyszli na zewnątrz, trzymając w rękach swój bagaż. Kierowca wyniósł za nimi torby z Bieriozki. Pilot otworzył drzwi kabiny i odebrał od nich torby i walizki, upychając je w wąskiej przestrzeni za dwoma ostatnimi fotelami.

Amerykanie wręczyli kierowcy napiwek w rosyjskiej walucie i wspięli się na pokład helikoptera. Alevy usiadł tuż za fotelem pilota. Miejsce drugiego pilota było puste, jak zwykle podczas krótkich przelotów na lotnisko.

Jego trzech współtowarzysze podróży usadowili się w pozostałych fotelach.

– O tej porze taksówka dowiozłaby nas na Szeremietiewo w ciągu pół godziny - oświadczył jeden z nich, ten, który często bywał w Moskwie. - Ruscy mają nas prawdopodobnie za pomyłonych, skoro wydajemy tyle forsy, żeby skrócić ten czas do dziesięciu minut.

– Szybko się uczą, jak oskubać nas z zielonych - dodał inny. - Za dziesięć lat otworzą nocne kluby ze striptizem na ulicy Gorkiego.

Wszyscy się roześmieli.

Helikopter uniósł się pionowo nad Centrum Handlu i Alevy zerknął w dół, na elegancki, piętnastopiętrowy hotel, dwa jeszcze wyższe biurowce i stojące obok hale wystawowe.

– Prawdziwe okno na Zachód - powiedział. - Na cały świat. Nie odczuwa się tutaj nawet tak bardzo słynnej sowieckiej paranoi na punkcie wszystkiego co zachodnie.

Nikt nie odpowiedział.

Alevy pochylił się do przodu i przyjrzał tablicy przyrządów helikoptera, jego wskaźnikom i jarzącym się czerwono światelkom radiostacji.

– Mówi pan po angielsku? - zapytał pilota.

Ten zerknął do tyłu, biorąc kurs na północ, w stronę Szeremietiewa.

– *Czto?*

– *Anglijskij?*

– *Niet.*

Alevy kiwnął głową i wyprostował się w fotelu.

– Wskaźnik paliwa pokazuje pełne zbiorniki - zakomunikował pozostałym.

Siedzący obok Alevy'ego kapitan O'Shea kiwnął głową.

– Mówiłem ci już, Seth, takie mają przepisy. Żeby, w razie kiedy bomba pójdzie w górę, móc natychmiast zmobilizować wszystkie maszyny, nawet cywilne.

– Dobre przepisy - zauważył Alevy.

Póki co, wszystko idzie dobrze, pomyślał. Jeden pilot i pełne zbiorniki. On sam, a także adiutant Hollisa, kapitan O'Shea, i zastępca szefa placówki CIA, Bert Mills, wylecieli w zeszłym tygodniu do Helsinek, a potem wrócili, każdy oddzielnie, z nowymi paszportami i podrobionymi wizami, do Moskwy i zameldowali się w hotelu Centrum Handlu. Oficjalnie byli w Rosji nieobecni i jeśli misja zakończyłaby się niepowodzeniem, ambasada nie powinna być narażona na szczególne kłopoty.

– Chciałem podziękować za to, że dał mi pan okazję wyrównania z nimi rachunków - powiedział siedzący za Alevym Bill Brennan, jedyny, który przyleciał bezpośrednio z Londynu, po zakończeniu leczenia w tamtejszym szpitalu.

– Pomyślałem, że musisz się strasznie nudzić w Londynie - odparł Alevy. - Nieźle ci rozkwasili nochał - dodał.

Wyjrzał przez okno i dostrzegł zbliżające się z lewej strony światła Szeremietiewa.

– No, panowie, gotowi?

Wszyscy odpowiedzieli twierdząco. Siedzący z tyłu, obok Brennana, Bert Mills pochylił się do przodu.

– Przyjrzałeś się wszystkiemu? Dasz radę poprowadzić go ze stanowiska drugiego pilota? - zapytał kapitana O'Shea.

– Nie będzie to łatwe, ale spróbujemy.

– Okay - podsumował Alevy. - Zaczynamy.

Wyjął z kieszeni tampon z chloroformem, rozerwał foliowe opakowanie i przycisnął go pilotowi do ust. O'Shea skoczył na miejsce drugiego pilota i złapał za stery tracącej stateczność maszyny.

Pilot miotał się na wszystkie strony, kopiając pedały i szarpiąc dźwignię skoku. Helikopter zaczął się niebezpiecznie przechylać. O'Shea nie potrafił go opanować.

– Zabierzcie go stąd! - wrzasnął.

Alevy wstał i zerwał pilotowi z głowy słuchawki, a potem z pomocą Brennana wyciągnął go z fotela i rzucił na podłogę. Pilot jęknął i legł nieruchomo. Alevy odetchnął głęboko i pochylił się do przodu.

– Okay, kapitanie. Może pan się przesiąść.

– Świetnie. - O'Shea podniósł się ostrożnie z fotela drugiego pilota. - Trzymajcie się.

Zmniejszył moc i helikopter zaczął opadać w dół. O'Shea przeskoczył na sąsiedni fotel, łapiąc za stery i szukając jednocześnie stopami pedałów. Opadająca maszyna zboczyła z kursu i zaczęła się kręcić wokół własnej osi. Dopiero po dłuższej chwili O'Shea odzyskał nad nią panowanie. Otworzył przepustnicę i helikopter uniósł się w górę.

– W porządku.

Alevy usiadł na fotelu drugiego pilota, a Bert Mills i Bill Brennan zajęli miejsca za nimi.

– Rzeczywiście tak łatwo się tym lata? - zapytał Alevy.

O'Shea wykrzywił usta w uśmiechu.

– Kurewska maszyna. Nie latałem na śmigłowcach od dziesięciu lat. Wirnik w sowieckich helikopterach - dodał - obraca się w odwrotną stronę niż na Zachodzie. Dlatego pedały też umieszczone są odwrotnie.

– Czy to dlatego zataczamy w powietrzu te zygzaki, kapitanie?

– Tak. Potrwa chwilę, nim się przyzwyczają. Co tu jest napisane? - zapytał O'Shea, pokazując na przełącznik.

Alevy pochylił się do przodu i przeczytał rosyjski napis.

– Ruchome... światła... lotniskowe...

– Światła, które zapala się przy lądowaniu - powiedział O'Shea i wyłączył je. - Widziałem, że pilot włączył je przed kilkoma minutami. Nam nie są potrzebne.

Pchnął w lewo drążek sterujący i odpowiednio naciskając pedały, żeby maszyna nie przechyliła się za bardzo na bok, skrzył na zachód, oddalając się od Szeremietiewa i od Moskwy.

– Będę potrzebował piętnastu minut, żeby zapoznać się z systemem sterowania - powiedział.

– Spróbuj zmieścić się w dziesięciu. Potrzebna nam jest każda kropla paliwa. Pomógł ci trochę ten podręcznik?

– Tak, ale nic nie zastąpi praktyki w powietrzu. Wszystko jest w porządku - dodał O'Shea. - Odprężcie się. Idzie mi coraz lepiej.

Alevy założył na głowę słuchawki i przez chwilę przysłuchiwał się głosom dobiegającym z wieży kontrolnej Szeremietiewa.

– Nie leć zbyt daleko na zachód - polecił kapitanowi. - Niedługo muszę skontaktować się z wieżą.

– Dobrze - odparł O'Shea i spróbował kilku prostych manewrów.

Alevy spojrział na wschód i zobaczył w oddali unoszącą się nad Moskwą lunę. Niebo było wyjątkowo bezchmurne, bardzo gwieździste, ale z

księżycyca został tylko wąski blady sierp, co sprzyjało ich planom. Lasy i pola spowijała kompletna ciemność.

Seth Alevy wlepił oczy w szybę. Widział przed sobą Rosję - niezmierny, tajemniczy kraj jego dziadków, czarną, pozbawioną granic przestrzeń, tak ciemną, głęboką i lodowatą, że całe narody - dońscy Kozacy, nadwołżańscy Niemcy i krymscy Tatarzy - mogły zniknąć w niej bez śladu i nawet echo ich krzyku nie przedostało się poza odległe granice.

Spojrzał na zachód, tam gdzie ciemne niebo dotykało czarnego horyzontu. Wkrótce dadzą nurka w tę pustkę i chociaż czuł czający się wokół niego strach, nic nie przerażało go bardziej od myśli, że ich misja może się okazać spóźniona.

– Chce pan, żebym go wyrzucił? - zapytał Bill Brennan, siedzący teraz za kapitanem O'Shea i opierający stopy o nieprzytomnego pilota Aerofłotu.

– Nie ma takiej potrzeby.

– W porządku. Mogę złamać mu nos?

– Nie. Po prostu go zwiąż.

Brennan związał ręce i nogi pilota metalowym przewodem.

Bert Mills zerknął na zegarek.

– Pięć minut temu mieliśmy lądować na Szeremietiewie.

– Zgadza się - potwierdził Alevy. - Zgasimy teraz wszystkie światła.

O'Shea sprawdził tablicę przyrządów, zerkając jednocześnie na schemat Mi-28, który przed kilkoma tygodniami zaopatrzył w angielskie podpisy pułkownik Hollis.

– Tutaj - powiedział Alevy. - „Światła nawigacyjne”.

– Tu cię mam.

Alevy nacisnął wyłącznik i światła na zewnątrz helikoptera zgasły. Wziął schemat od kapitana O'Shea, znalazł wyłącznik oświetlenia wewnętrznego i przesunął go, zatapiając całą kabinę w ciemnościach. Paliły

się tylko kontrolki przyrządów, rzucając bladoczerwoną poświatę na ręce i twarze Alevy'ego i O'Shea.

Otoczająca ich prawie kompletna ciemność sprawiała trochę niesamowite wrażenie. Przez odgłos kręcących się łopat wirnika dobiegało Alevy'ego głośne sapanie trzech niewidocznych mężczyzn. Położył schemat na kolanach i przez chwilę mu się przyglądał. Przycisk radia znajdował się w uchwycie drążka sterującego.

– W porządku - mruknął i wcisnął przycisk. - Kontroler! Kontroler! - krzyknął po rosyjsku do przymocowanego do słuchawek mikrofonu.

– Kontroler - odpowiedziała po kilku sekundach wieża kontrolna Szeremietiewa.

– Tu Aerofłot, sto trzynaście - zawołał Alevy po rosyjsku. Głos załamywał mu się z przejęcia. - Tracimy moc... - umilkł, ale dalej naciskał przycisk radia tak, jak to czyni pilot na widok zbliżającej się gwałtownie ziemi. - Boże!... - krzyknął po rosyjsku i zdjął palec z przycisku.

– Sto trzynaście, zgłoś się, sto trzynaście, zgłoś się - usłyszał w słuchawkach wezwanie wieży. Wyłączył radio i zdjął z głowy słuchawki.

– To sprawi - powiedział - że przez jakiś czas zajmą się poszukiwaniem wraku. I być może pomyślą, do kogo zwraca się człowiek, któremu zostało tylko kilka sekund życia. W porządku, kapitanie, lecimy na zachód.

O'Shea zakręcił ogonem i skierował Mi-28 na zachód, a potem otworzył przepustnicę i zmienił skok wirnika.

– Ta rzecz działa.

Alevy wyjrzał na zewnątrz.

– Zejdźmy trochę w dół, kapitanie, żeby poszukać miejsca, gdzie moglibyśmy na chwilę zaparkować.

O'Shea zaczął schodzić z wysokości tysiąca dwustu metrów. Alevy, Brennan i Mills uważnie lustrowali teren.

– Tam jest las - stwierdził Brennan. - A tu otwarte pole. Zbyt otwarte. Widzę coś dalej... co to może być?

Wszyscy popatrzyli w prawo, tam gdzie w odległości mniej więcej pięciuset metrów widniała na ziemi jaśniejsza plama.

– Podlec trochę bliżej, kapitanie - powiedział Alevy.

O'Shea przechylił helikopter na prawo i podleciał bliżej.

– To jakieś wykopy - domyślił się. - Kopalnia żwiru albo kamieniołomy.

– Pasuje - stwierdził Alevy.

O'Shea zatoczył krąg nad wykopaną w płaskim terenie i zajmującą powierzchnię około jednego akra, dużą płytką odkrywką.

– W porządku - powiedział. - Zobaczmy teraz, czy ta maszyna potrafi lądować.

Spojrzał w dół, wypatrując kominów, z których unoszący się dym mógłby wskazać kierunek wiatru. Nie dostrzegł jednak żadnych. Domyślał się, że jak zwykle o tej porze roku wieje z północnego zachodu, i zatoczył krąg, starając się podejść do lądowania pod wiatr. Utrzymywał stałe obroty wirnika, żeby moment reakcyjny nie spowodował obracania się helikoptera wokół własnej osi. Największe problemy miał z umieszczonymi odwrotnie pedałami; to, co powinien wykonywać zupełnie automatycznie, wymagało za każdym razem zastanowienia jak przy prowadzeniu brytyjskiego samochodu lewą stroną drogi.

– Świetnie sobie radzisz - stwierdził Alevy.

– Mówisz do mnie? - upewnił się O'Shea.

Przyzwyczajenie podpowiadało mu, żeby schodzić w dół pod łagodnym kątem, tak jakby prowadził samolot, wiedział jednak, że do ostatnich kilku sekund powinien zachować odpowiednią wysokość. Tylko w takim przypadku mógł w razie zawinionej przez siebie awarii silnika spróbować lądowania autorotacyjnego - oczywiście pod warunkiem, że zdąży

jednocześnie ustawić przekładnię w pozycji neutralnej i zmienić skok wirnika, dzięki czemu helikopter osiadzie na wytworzonej przez łopaty poduszce powietrznej.

Schodził pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Wysokościomierz pokazywał pięćset metrów. Zmniejszył trochę prędkość, przesuwając dźwignię skoku i zmniejszając ciąg, a potem nacisnął prawy pedał, żeby nie zejść z kursu, i z powrotem otworzył przepustnicę, żeby nie zmniejszyły się obroty. Zmieniając moc i skok wirnika, starał się nie tracić z oczu innych przyrządów i zachować jednocześnie właściwą prędkość. Żałował, że nie ma trzeciej ręki.

Helikopter minął skraj wykopu na wysokości stu metrów i O'Shea zdał sobie sprawę, że odkrywka jest głębsza, niż się spodziewał, i że do jej przeciwnego skraju ma nie więcej niż sto metrów. Jeśli będzie dalej schodził pod tym samym kątem, trafi prosto w ścianę wykopu. Poczul pot pod pachami.

Szybko zwiększył moc i nacisnął lewy pedał, tak jakby ściągał lejcami konia. Nos helikoptera poszedł w górę i prędkość lotu zmniejszyła się. O'Shea opanował pokusę przymknięcia przepustnicy, co wydawało się w tej sytuacji czymś naturalnym, ale mogło spowodować zatarcie się silnika.

– Niech to diabli... głupi helikopter...

Maszyna leciała coraz wolniej, ale O'Shea wiedział, że jej belka ogonowa znajduje się niżej i może dotknąć ziemi, zanim zrobią to koła podwozia.

Obracające się śmigło podniosło wielkie tumany kurzu i żwiru, które zasłoniły widoczność, i O'Shea musiał spojrzeć na sztuczny horyzont, żeby sprawdzić, czy maszyna opada poziomo. Podmuch z dołu spowodował turbulencje, które dodatkowo utrudniły sterowanie. Nie widział teraz ani

dna, ani ściany wykopu i pozostało mu tylko mieć nadzieję, że siądzie na ziemi, zanim dziób zderzy się ze ścianą.

– Nic nie widzę... czy ktoś coś widzi?

– Odpręż się - odparł Alevy. - Świetnie ci idzie.

O'Shea wiedział, że ma za wysoko zadarty nos i za nisko wiszący ogon, że helikopter przechylił się teraz w lewo i że leci do przodu szybciej, niż schodzi w dół. Zdecydował się wreszcie zamknąć przepustnicę, mając nadzieję, że grawitacja dokona tego, z czym on sam nie potrafił sobie poradzić.

– Trzymajcie się!

Dziób helikoptera obniżył się i wisząca blisko metr nad ziemią maszyna runęła w dół. Gruntu dotknęły najpierw dwa lewe koła.

– Niech to diabli!

O'Shea wyłączył silnik, a helikopter zachybotał się cały, niemal dotykając łopatami ziemi. Po chwili osiadł w zalegającym dno wykopu żwirze, a wirnik przestał się obracać.

Siedzieli w milczeniu, aż opadły tumany kurzu i mogli coś zobaczyć. Znajdowali się rzeczywiście na terenie kamieniołomów. Alevy zobaczył po prawej stronie kilka drewnianych szop, koparki i spychacze.

– Dasz radę go podnieść, Ed? - zapytał.

O'Shea odetchnął głęboko i wytarł spoczone ręce o spodnie.

– Już go rozgryzłem - odparł, kiwając głową.

Brennan odsunął drzwi i wraz z Millsem wynieśli nieprzytomnego pilota Aeroflotu na zewnątrz. Odciągnęli go po żwirze od helikoptera i zdjęli mundur, zostawiając w samej bieliźnie, ze związanymi rękoma i nogami.

Alevy i O'Shea wynieśli na zewnątrz bagaże i ułożyli je w pewnej odległości od helikoptera. Alevy otworzył kluczem jedną z walizek i wyjął z niej trzy mundury Straży Granicznej KGB, łącznie z czarnymi butami,

czapkami, czterema sowieckimi zegarkami, pistoletami i wojskowymi płaszczami. Alevy, Mills i Brennan przebrali się w mundury KGB, a O'Shea założył mundur pilota.

Zapinając guziki płaszcza, Alevy przyjrzał się krawędzi wykopu. Niewiele było widać w ciemności.

– Wydaje mi się, że możemy poczekać właśnie tutaj.

Mills także omiół spojrzeniem wykop.

– Nie widziałem w okolicy żadnych świateł ani śladów życia. - Spojrzał na sowiecki zegarek. - Jeżeli ta rzecz działa, jest dziesiąta trzydzieści dwie. Nie zdążymy już na samolot do Helsinek.

Brennan zachichotał, przypinając do pasa kaburę, w której tkwił zaopatrzony w tłumik pistolet Makarow kaliber 9 mm. Alevy i Mills również przypięli kabury, a O'Shea wsunął swój pistolet do kieszeni munduru. Zsynchronizowali zegarki, a potem rzucili na stos walizek swoje cywilne ubrania, paszporty, wizy, zegarki i portfele, a także torby z zakupami z Bieriozki i teczki. Alevy wyciągnął z kieszeni trenca pudełko z bursztynowym naszyjnikiem i wsunął je do kieszeni płaszcza KGB.

W otwartej walizce pozostały tylko dwa cylindryczne fosforowe granaty zapalające. Brennan wyjął je, nastawił zapalniki na trzy godziny i wepchnął w środek sterty bagaży i ubrań.

– Chodźmy - powiedział Alevy i wrócili wszyscy do helikoptera.

O'Shea usiadł z powrotem w fotelu pilota, a Alevy obok niego. Brennan i Mills zajęli miejsca z tyłu.

– Jak oceniasz nasz maksymalny czas lotu? - zapytał Alevy, zwracając się do kapitana.

– Tak jak już powiedziałem, kiedy dyskutowaliśmy o tym po raz pierwszy - odparł po chwili zastanowienia O'Shea - czas lotu jest bardzo trudny do ustalenia. Parametry samolotów są o wiele dokładniejsze. Startuje

się, leci i ląduje. Helikopterem można robić dużo innych rzeczy. Na przykład unosić się nieruchomo w miejscu, co pochłania mnóstwo paliwa.

Alevy pozwolił kapitanowi mówić, bo wiedział, że ten musi to z siebie wyrzucić. A także dlatego, że mieli przed sobą trzy godziny oczekiwania.

– Dużo zależy od wiatru, temperatury powietrza, obciążenia, a także wysokości i rodzaju manewrów, które będziemy musieli wykonać. Ważne są również umiejętności pilota, a ja nie jestem dostatecznie obeznany z tą maszyną, żeby dużo zaoszczędzić. - O'Shea przez chwilę się nie odzywał. - W najgorszym razie mamy dwie godziny lotu. W najlepszym koło czterech - odpowiedział wreszcie na pytania Alevy'ego.

– Ile to będzie kilometrów w linii prostej?

– Przy szybkości stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę od trzystu do sześciuset kilometrów.

– Nawet w najlepszym razie mamy cholernie wąski margines bezpieczeństwa - stwierdził Bert Mills.

Brennan sprawdzał swój pistolet, tak jakby nie interesował go problem paliwa. Wyjął i włożył z powrotem magazynek, a potem odciągnął zamek jak człowiek, który miewał w przeszłości przykre doświadczenia z cudzą bronią.

– Niech wszyscy sprawdzą swoje pistolety - polecił.

Wszyscy go posłuchali - pełnił on funkcję zbrojmistrza wyprawy. Brennan sięgnął do środka pozostawionej w helikopterze dużej torby Alevy'ego, wyjął stamtąd części karabinu snajperskiego Dragunowa i złożył go szybko w ciemności. Przymocował do lufy lunetę, załadował karabin, po czym wycelował go przez szybę i włączył elektroniczny noktowizor.

– Nieźle jak na „made in USSR” - powiedział.

– Czasami udaje im się wyprodukować całkiem porządną broń - stwierdził Mills.

Brennan wyłączył noktowizor i położył karabin na podłodze.

– W torbie są jeszcze dwie mapy powietrzne - poinformował Alevy.

Bili odnalazł mapy i podał je do przodu. Alevy wręczył jedną z nich kapitanowi O'Shea, który położył ją sobie na kolanach i zaczął studiować, używając czerwonej minilatarki.

Brennan wciąż grzebał w torbie.

– Granaty fosforowe, dodatkowa amunicja, trochę tego i owego. Inwentaryzacja zakończona. To nie moja sprawa - zwrócił się do Alevy'ego - ale skąd pan wziął te mundury i sprzęt? I jak udało się panu ukryć to wszystko przed pokojówką w hotelu?

– W podziemiach tego małego antykwariatu na Arbacie jest magazyn z różnymi kostiumami. Resztę sprzętu dostarczono w bagażu dyplomatycznym. A co się tyczy wścibskich pokojówek, bagaż przyniesiono do holu hotelowego z zewnątrz, tuż przed odjazdem naszego mikrobusu.

– Chcę, żeby pan coś wiedział, panie Alevy - powiedział Brennan. - Mam do pana duże zaufanie i wcale nie uważam tej misji za samobójczą. Poza tym lubię pułkownika Hollisa. Równy z niego chłop. I lubię jego panią. Dlatego właśnie jestem tutaj, a nie w Londynie.

Przez parę minut nikt się nie odzywał.

– Nie musicie się przejmować pilotażem - mruknął w końcu O'Shea. - Myślcie o tym, co macie robić. Ja zajmę się sterami. Zasady pozostają takie same, nawet jeśli śmigło odwraca się w złą stronę - dodał. Próbował się roześmiać, ale niezbyt mu się to udało.

– Ten cholerny mundur pije mnie w kroczu - stwierdził Bert Mills.

– To dlatego, że krawcy KGB nie szyją spodni dla facetów z jajami - zauważył Brennan.

– Słuchaj, Bill - zwrócił się Alevy do Brennana. - Tam z tyłu leży niebieska torba z Bieriozki. Jest tam guma do żucia Bazooka i trochę innych rzeczy. Poczęstuj chłopaków.

– Bazooka? Dzięki.

Brennan znalazł gumę i wręczył torbę Millsowi, który wyjął z niej baton i podał dalej. O'Shea odmówił, a Alevy wziął kilka landrynek. Bill wypuścił z ust wielkiego balona, który pękł.

– Słuchajcie, mamy dzisiaj Halloween - powiedział. - Wszystkiego najlepszego.

Nikt nie odpowiedział.

– Oglądałem już z okazji Halloween różne przebrania - dodał Brennan - ale na widok tych mundurów naprawdę przechodzą mnie ciarki.

Mills roześmiał się z przymusem.

– Tam, dokąd lecimy, zobaczysz ich więcej.

– Dziękuję pięknie - odparł Bill.

Dziesięć minut upłynęło w ciszy przerywanej tylko cykaniem stygnącego silnika i trzaskiem pękającej gumy.

– Odprężcie się - zwrócił się do wszystkich Alevy.

.38.

W klubie weterana zgromadziło się prawie tysiąc osób, ale był to najcichszy tłum, jaki zdarzyło się kiedykolwiek oglądać Hollisowi. Budynek otoczyli uzbrojeni żołnierze Straży Granicznej i nikomu nie wolno było opuścić go przed północą. Świetlica pogrążona była w mroku rozjaśnionym tu i ówdzie przez czarne świece i oświetlone od środka dynie. W barze i przylegających doń pomieszczeniach słychać było gniewne, stłumione głosy. Co jakiś czas rozlegał się krótki szloch. Mimo obfitości jedzenia i picia nikt nie był pijany, a półmiski z potrawami stały nie tknięte, nawet przez studentów, którzy, jak zauważył Hollis, również mieli nietęgę miny.

Z twarzy opadły maski, dosłownie i w przenośni, nikt bowiem nie nosił halloweenowych masek i nikt nie grał dłużej przypisanej mu roli. Pośrodku świetlicy stała na marach udrapowana na czarno trumna - świąteczna dekoracja, która nabrała nagle nowego, dosłownego znaczenia. Nikt się do niej nie zbliżał.

Burow w ogóle nie pojawił się na bankiecie i Hollis wyobrażał go sobie, jak siedzi razem z żoną przy kaflowym piecu, czytając Puszkina albo może oglądając na wideo amerykański film.

Hollis wiedział, że nie znajdzie się wśród wybranych losowo dziesięciu ofiar i świadomość, że jest obok Lisy jedynym obecnym w klubie Amerykaninem, nad którym nie wisi groźba rychłej śmierci, sprawiała, że czuł się w jakiś absurdalny sposób winny. Wiedział, że Lisa czuje to samo.

Kiedy opowiedział Lewisowi Poole'owi o planowanej przez Burowa zbiorowej egzekucji, przez chwilę zastanawiali się, czy mają o niej

zawiadomić wszystkich. Ale w końcu, wspólnie z Lisą, doszli do wniosku, że każdy ma prawo wiedzieć.

Podczas „bankietu” zdarzyło się kilka incydentów: Jane Landis napluła w twarz jakiemuś studentowi, a jedna z porwanych Amerykanek, Samantha Wells, roztrzaskała na kawałki grający ponurą halloweenową muzykę zestaw stereo. Ted Brewer i jeszcze jeden lotnik wyszli na dwór i próbowali przedrzeć się przez kordon Straży Granicznej, ale zostali siłą zawróceni do środka.

Kapitan Schuyler, którego Hollis spotkał w lesie razem z komandorem Poole'em i podpułkownikiem Meadem, uderzył jednego ze studentów, lecz bójka została szybko zażegnana. Trzeba było przyznać studentom, że prawie nie bronili się przed słownymi zniewagami i wyglądali raczej na zagubionych. Z całą pewnością, pomyślał Hollis, po tej szalonej nocy szkoła nie wznowi działalności wcześniej niż po paru tygodniach, a może nawet miesiącach.

Siedzący w niewielkim gabinecie generał Austin przyjął u siebie większość dwustu osiemdziesięciu dwóch Amerykanów wraz z ich żonami i przyjaciółkami. Wchodzili do niego w niewielkich, dwudziestokilkuosobowych grupkach, a generał zwracał się do każdej z nich z krótką przemową.

– Myśl o ucieczce powinna przyświecać wszystkim naszym działaniom - usłyszał Hollis, kiedy wszedł na moment do środka. - Będziemy więc próbować ponownie, aż do skutku. Do podjęcia kolejnej próby na pewno nie minie dziesięć lat. Nie minie nawet dwanaście miesięcy. I nie zastraszą nas, rozstrzeliwując za każdym razem dziesięciu więźniów. Ta szkoła definitywnie zakończyła swoją działalność.

Hollis słuchał jeszcze przez chwilę, po czym wyszedł do baru i poprosił o szklanekę piwa. Lisa znalazła go tam i dotknęła jego ramienia.

– Nie mogę już tego dłużej znieść, Sam.

Hollis zerknął na zegarek.

– Jeszcze tylko kilka minut. O północy się skończy.

Rozejrzał się po długim barze i spostrzegł rozmawiających w kącie Sonny'ego i Marty'ego. Obok, przy niewielkim stoliku, siedzieli czterej kursanci, których odwiedził razem z Lisą i Burowem. Ten, który nazywał się Erik Larson, o wiele bardziej przypominał teraz, pomyślał, Jewgienija Piotrowicza Kornijenkę. W ogóle wszyscy studenci wyglądali, jakby nie bardzo wiedzieli, co ze sobą począć, i Hollis zastanawiał się, dlaczego Burow poddał ich tej próbie. Być może miała to być lekcja i dla nich. Może chciał im pokazać, że państwo jest wszechpotężne i wszystkich, którzy okażą się nielojalni, czeka śmierć. Ale oni przecież i tak o tym wiedzieli.

Podszedł do nich komandor Poole.

– Amerykanie, a także ich kobiety - powiedział - zdecydowani są działać solidarnie. Możemy wszcząć bunt, tu i teraz. Możemy odmówić opuszczenia tego budynku i zatrzymać studentów w charakterze zakładników. Możemy pomaszerować na dom Burowa. Możemy zaatakować wszyscy główną bramę i być może kilku z nas zdoła się przedrzeć i dostać do ambasady.

Hollis popatrzył Poole'owi prosto w oczy. Obaj wiedzieli, że żadna z przedstawionych przez komandora opcji nie ma jakichkolwiek szans powodzenia - stanowiły one po prostu różne formy zbiorowego samobójstwa.

– Oni mają karabiny, komandorze - przypomniał Hollis. - Na tym właśnie polega nasz wiek dwudziesty. Władzę ma ten, kto ma karabiny maszynowe.

Poole pokiwał głową i spuścił oczy.

– Mamy więc pogodzić się ze stratą jedenastu naszych i udawać, że nic się nie stało? - zapytał.

– Tak. Musimy żyć i podejmować kolejne próby ucieczki. Ktoś musi się stąd w końcu wydostać. To właśnie mówi generał Austin, a on jest tutaj szefem. I wie pan co? Nie wydaje mi się, żeby po dzisiejszej nocy ten obóz pozostał taki sam.

– Nie - przytaknął komandor. - I wie pan, co jeszcze panu powiem? - dodał po chwili zastanowienia. - Może to i lepiej. Wszyscy za bardzo się tutaj rozkleiliśmy. Żyliśmy w luksusie, mieliśmy żony i dzieci, cieszyliśmy się intelektualną wolnością. Niełatwo nam było wpaść w złość. Teraz to się wszystko zmieniło. - Spojrzał na Sama i Lisę. - Wydaje mi się, że to właśnie wasze pojawienie się stanowiło coś w rodzaju policzka, który wyrwał nas z odrętwienia.

Hollis odchrząknął.

– To, co mówiłem u generała Austina - mówił - mogło się wydawać zbyt surowe, ale zapewniam pana, że nie zmieniłem swoich zapatrywań. Z drugiej strony nie chciałbym, żeby odniósł pan wrażenie, że nie zależy mi na waszym bezpieczeństwie.

– Rozumiem.

Minęła północ i ludzie zaczęli wychodzić w milczeniu z klubu.

– Dziś w nocy będziemy się modlić - powiedział do Lisy Poole. - Burow zarządził godzinę policyjną od wpół do pierwszej - zwrócił się do Hollisa - więc aż do świtu zamknięci będziemy praktycznie w areszcie domowym. Nie zdążymy zatem spotkać się, żeby przedyskutować szerzej tę sprawę. Za naruszenie godziny policyjnej grozi rozstrzelanie na miejscu. Życzę wam obojgu dobrej nocy. Do zobaczenia jutro rano na boisku.

Komandor odwrócił się i odszedł. Hollis poprosił Lisę, żeby zaczekała, aż wyjdą wszyscy Amerykanie i ich żony. Co dziwne, większość studentów

nie ruszała się z miejsca. Zauważył, że dopiero teraz zaczęli pić. Zgodnie z jego oczekiwaniami, po chwili zbliżył się do nich jeden z kursantów. Rozpoznał w nim Jeffa Rooneya.

Jeff powitał ich z mniejszą wylewnością niż za pierwszym razem. Ani Sam, ani Lisa nie odwzajemnili pozdrowienia.

– Chciałem po prostu powiedzieć, że strasznie nam przykro z powodu tej sprawy - oznajmił Rooney.

Hollis popatrzył mu prosto w oczy.

– Zrobi ci się jeszcze bardziej przykro, kiedy po przyjeździe do Stanów zgarnie cię FBI - odparł. - A potem będziesz mógł do woli rozmyślać o tym, jak ci przykro, odsiadując dożywotni wyrok w więzieniu federalnym. Każ się już teraz zamknąć w celi w budynku dowództwa, to lepiej zdasz amerykańskie testy, generale - dodał szyderczym tonem.

Rooneyowi najwyraźniej zabrakło języka w gębie. Kilku studentów zaczęło się gromadzić wokół nich.

– Nie powiedzieli wam oczywiście o tym, że rocznie wyłapujemy was w Stanach około dwustu? - kontynuował Hollis.

– Nie... oni... nie czytałem o tym w żadnej gazecie...

– Nawet zachodnie gazety nie piszą wszystkiego, ty głupcze - warknął Hollis. - Zejdź mi z oczu.

– Przykro mi...

– Ty dobrze wiesz, Rooney - powiedziała Lisa. - Wiesz dobrze, w jakim monstrualnym systemie żyjesz. Wszyscy o tym wiecie i nie ma dla was żadnego usprawiedliwienia. Zasługujecie tylko na pogardę. Odejdźcie!

Rooney najwyraźniej nie miał ochoty odejść, podobnie jak rosnący wokół nich tłum studentów.

– Naprawdę bardzo mi przykro - powtórzył. - Naprawdę. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego pułkownik Burow...

– W takim razie - przerwał mu Hollis - dlaczego nie zorganizujesz studentów i nie pójdziecie do Burowa, żeby zaprotestować?

– Nie możemy...

– Nie możecie, bo nie różnicie się niczym od Dżyngis-chana i pułkownika Burowa. Tacy z was Amerykanie, jak ze mnie chiński mandaryn. Nie macie najmniejszego pojęcia, co to znaczy być wolnym człowiekiem, nie wiecie, co to znaczy mieć prawa i obowiązki.

– Ja wiem! Nauczyłem się tutaj tego! - krzyknął Rooney.

Lisa podeszła do niego bliżej.

– Nie można się tego nauczyć - powiedziała, pukając go w pierś. - Trzeba się z tym urodzić i przestrzegać tego każdego dnia. Idź, Rooney, idź i skorzystaj z wolności słowa, zagwarantowanej w obu naszych konstytucjach. Skorzystaj ze swoich praw, by domagać się sprawiedliwości. To będzie dla ciebie bardzo pouczające. - Rozejrzała się dookoła. - Dla was wszystkich.

Nikt się nie odezwał i Hollis odniósł wrażenie, że na mniej więcej stu obecnych w barze studentach słowa Lisy wywarły pewne wrażenie. Wielu innych miało neutralny, nieobecny wyraz twarzy, jaki przybierają na ogół ludzie, słysząc wezwanie do broni i udając, że skierowane jest do kogoś innego. Mniej więcej połowa studentów gotowa była jednak podjąć jakąś akcję.

– Nie rozumiecie - zwrócił się do nich - że wasze prawa do życia, do osobistego szczęścia i wszelkie inne nie różnią się wcale od tych, które przysługują obecnym tu więźniom? Czy zastanawialiście się kiedyś, co się dzieje ze studentami, którzy są usuwani z tej szkoły?

– Próbujecie nas omotać w typowo zachodni sposób! - krzyknął John Fleming, jeden ze studentów, których spotkali na boisku koszykówki. - Nie będziemy słuchali zachodnich kłamstw.

– Jeżeli chcesz się z nimi spierać! - zawołał sublokator Landisów, Marty - spieraj się jak Amerykanin, a nie jak durny Rosjanin.

Rozległo się kilka okrzyków za i przeciw. Z tłumu wysunęła się Suzie Trent.

– Co się dzieje ze studentami, którzy są stąd usuwani? - zapytała, podchodząc do Lisy.

– Zamknij się! Chcesz mieć kłopoty? - warknął na nią Jeff Rooney, zanim jeszcze Lisa zdążyła otworzyć usta.

– Chcę wiedzieć - upierała się Suzie.

Z tłumu wysunął się drugi sublokator Landisów, Sonny.

– Ja będę mówił jak Amerykanin - zwrócił się do studentów. - Tych dwoje nadużywa wolności zgromadzeń i wolności słowa. Podżegają do zamieszek i stanowią bezpośrednie zagrożenie dla spokoju publicznego. Proponuję, abyśmy dokonali obywatelskiego aresztowania i doprowadzili ich do budynku dowództwa.

Hollisa zdumiała sprawność, z jaką Sonny posługiwał się prawniczym żargonem, jednocześnie go nadużywając.

– Twój pan i władca - zwrócił się do niego - ma zamiar nielegalnie stracić...

– Nie ma w tym nic nielegalnego! - wrzasnął Sonny. - W tym miejscu obowiązują konstytucyjnie ustanowione prawa i Dodson złamał jedno z nich. Wiedział, że to przestępstwo zagrożone jest najwyższą karą.

Hollis i Sonny stanęli naprzeciwko siebie twarzą w twarz.

– A co powiesz na dziesięciu przypadkowych więźniów, którzy mają zostać straceni razem z nim? To są środki odwetowe, niedozwolone w żadnym cywilizowanym społeczeństwie.

Sonny przysunął się jeszcze bliżej do Hollisa.

– Twierdzi pan, że jesteśmy niecywilizowani?

– A jak inaczej nazwiesz egzekucję jeńca wojennego, który wypełnia swój obowiązek i korzysta z przysługującego mu na mocy Konwencji Genewskiej prawa do ucieczki? - zapytała Lisa, pchając Sonny'ego w pierś.

Sonny zmierzył Lisę groźnym spojrzeniem, obserwując równocześnie kątem oka Hollisa.

Na sali zrobiło się nagle bardzo cicho.

– Ona ma rację - odezwał się ktoś półgłosem. - Z punktu widzenia prawa międzynarodowego ta egzekucja jest nielegalna.

Kilka osób mruknęło potakująco, a Erik Larson głośno odchrząknął.

– Większość z nas służy w siłach powietrznych - powiedział. - Wiemy, że nie powinno się w ten sposób pozbawiać życia oficera bratniej służby. Może powinniśmy wystosować apel do Burowa...

– Nie ma takiej potrzeby - oznajmił, wkraczając na salę, pułkownik. Towarzyszyło mu sześciu uzbrojonych strażników. Popatrzył na studentów, a potem na Hollisa i Lisę.

– Widzę, że próbujecie tu powtórzyć amerykańską rewolucję. Mieliśmy swoją własną, dziękujemy.

– Wydaje mi się, pułkowniku, że ci studenci nigdy już nie będą tacy sami - powiedział Hollis, podchodząc do Burowa.

– Chyba ma pan rację.

– Niech pan odwoła egzekucję.

– Wprost przeciwnie. Jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że jest potrzebna. Nam wszystkim. - Burow zmierzył wzrokiem Marty'ego, a potem Jeffa Rooneya, Suzie Trent i kilku innych. - Gratuluję wam znakomitej gry. Ktoś z zewnątrz mógłby odnieść wrażenie, że naprawdę wierzycie w to, co mówicie - powiedział, uśmiechając się nieprzyjemnie.

– Ja wierzę w to, co słyszałam na temat tej strasznej egzekucji - odezwała się cicho Suzie Trent.

Pułkownik spojrział na nią, a potem potoczył wzrokiem po innych.

– Czy ktoś jeszcze chce coś dodać do komentarza tej młodej damy? - zapytał.

Przez chwilę panowała cisza.

– Tak, pułkowniku - odezwał się w końcu John Fleming. - Uważam, że Suzie Trent od dawna wygłaszała poglądy, które nie licują z godnością socjalistycznej studentki.

Tym razem nikt nie zwrócił Flemingowi uwagi, że mówi jak durny Rosjanin, więc Hollis musiał zrobić to sam.

– Pierdolisz głupoty, Fleming - powiedział.

Burow spojrział na zegarek.

– Jest dwadzieścia pięć po dwunastej, pułkowniku - zauważył. - Jeśli razem z panią Rhodes natychmiast pan stąd nie wyjdzie, możecie nie zdążyć do domu przed godziną policyjną. Grozi wam śmierć z ręki pierwszego lepszego patrolu. Dobranoc.

Sam wziął Lisę pod ramię i ruszył z nią w stronę drzwi.

– Przez wzgląd na nas wszystkich, niech pan się jeszcze zastanowi - rzuciła Lisa.

– Lepiej się pośpieszcie. Jutro rano wolałbym was oglądać u siebie w biurze, a nie w kostnicy - odparł pułkownik. - Bawcie się dalej - zwrócił się do kursantów.

Hollis przeszedł razem z Lisą do świetlicy, przy której drzwiach tłoczyło się kolejnych dwustu studentów. Na ich widok szybko się rozstąpili.

Sam i Lisa wyszli na chłodne wilgotne powietrze i ruszyli alejką do swojego domku. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie odzywało się ani słowem.

– Mój Boże - odezwała się wreszcie Lisa. - Jestem z ciebie naprawdę dumna, Samie Hollis.

Dotarli do domu i weszli do środka. Lisa zamknęła drzwi na zasuwę, usiadła w fotelu i wlepiała oczy w wygasły kominek.

– Iskra - powiedziała. - Czy tego właśnie potrzebują? A może raczej lampy lutowniczej. - Odetchnęła głęboko i spojrzała na sufit. - Po prostu nie rozumiem tych ludzi. Nikt ich nie rozumie.

– To dlatego, że oni nie rozumieją samych siebie - odparł Hollis. - Ale kiedy to się stanie, kiedy przestaną się przejmować tym, co myśli o nich Zachód, i uświadomią sobie, kim są naprawdę, wtedy pierwsza rosyjska rewolucja stanie się zaledwie prologiem do następnej.

– Ale kiedy do tego dojdzie?

– Kiedy będą gotowi. Kiedy nie będą mogli dłużej odwracać się plecami od rzeczywistości.

– Mam nadzieję, że tego dożyję. - Uśmiechnęła się smutno. - Mam nadzieję, że dożyję jutra - powiedziała i wstała z fotela. - Chodźmy do łóżka.

– Idź pierwsza. Chcę być przez chwilę sam.

– Dobrze.

Pocałowała go i wyszła do sypialni zamykając za sobą drzwi.

Hollis zgasił lampę i usiadł w ciemności. Nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że po wszystkim, co zostało powiedziane i zrobione, Alevy po prostu zdradził ich i pozostawił samym sobie. Co więcej, potrafił wyobrazić sobie profesjonalne powody, dla których Seth mógł tak postąpić - powody w stylu Alevy'ego.

Z drugiej strony nie mógł pozbyć się przekonania, że przy całej swojej przebiegłości i krętactwie, Alevy nie był zdolny do popełnienia takiej zdrady. Chyba że sam poczuł się zdradzony. Być może Lisa rzeczywiście zdradziła Seta - swego kochanka. Hollis nie był w stanie tego przesądzić. Być może Alevy uważał, że zdradził go również Hollis. Zazdrość o podłożu

seksualnym była zawsze jednym z najsilniejszych motywów w stosunkach międzyludzkich i doprowadziła już do zguby niejeden naród i władcę.

Hollis wpatrywał się w ciemność. Czas mijał i chociaż był zmęczony, nie chciało mu się spać. Ogarnęła go dziwna pewność siebie. Wiedział, że niezależnie od tego, jak potoczą się dalej ich losy, jutrzejszy dzień będzie ostatnim w historii Szkoły Wdzięku.

.39.

W kabinie Mi-28 zrobiło się zimno. Alevy, Mills, Brennan i O'Shea obejmowali po kolei warty na zewnątrz, lustrując krawędź wykopu przez noktowizor zamontowany na lufie dragunowa. Mills zmienił za pomocą kawałka czarnej taśmy numer identyfikacyjny helikoptera z P-113 na P-413, na wypadek gdyby pilot jakiejś innej maszyny albo nawet radiotelegrafista Szkoły Wdzięku podsłuchiwał rozmowę na temat katastrofy P-113.

Pilot Aerofłotu zaczął jęczeć w ciemnościach i Brennan, który trzymał akurat wartę na zewnątrz, wsadził głowę do środka kabiny.

– Powinniśmy pomyśleć o zabraniu dla niego koca - powiedział Alevy'emu.

Setha zdziwiło współczucie, jakie Bill okazywał człowiekowi, którego nie tak dawno gotów był zrzucić z wysokości tysiąca metrów.

– Nie ma mrozu - odparł. - Przez noc nic mu się nie stanie, a rano ktoś go tutaj znajdzie. - Wyjął z kieszeni kolejny tampon nasycony chloroformem i podał go Brennanowi. - Uśpij go z powrotem.

Brennan zniknął w ciemności i po paru minutach wrócił. Jęki pilota ustały.

Następna godzina minęła spokojnie. Pełniący wartę kapitan O'Shea wpatrywał się przez noktowizor w wąską polną drogę, biegnącą w dół wykopu. Nagle opuścił karabin i wspiął się na szczebel helikoptera.

– Ktoś się zbliża! - zawołał.

Brennan wyskoczył z kabiny i wziął karabin od kapitana. Przyklęknął, skierował broń w stronę oddalonej mniej więcej sto metrów drogi i poprawił ostrość lunety. O'Shea wgramolił się na fotel pilota i szykował do startu.

Bill odnalazł cel, wymierzył i pociągnął za cyngiel. Broń kaszlnęła lekko, a zaopatrzona w tłumik płomienia lufa rozjarzyła się na krótką chwilę. Brennan wstał i podszedł z powrotem do otwartych drzwi helikoptera.

– Duży jeleni. Położyłem go - ucieszył się. - Bardzo dobra broń.

Dokładnie o wpół do drugiej Alevy poruszył się w fotelu.

– Ruszamy - powiedział.

Bert Mills, który pełnił akurat wartę, wskoczył do środka i oddał Brennanowi karabin. O'Shea uruchomił dwie turbiny i czekał przez kilka minut, aż się zagrzeją, obserwując wskaźniki.

– Nie zapomniałeś już, jak się lata? - zapytał siedzący w fotelu drugiego pilota Alevy.

– Nie zapomniałem - odparł, uśmiechając się z przymusem kapitan. - Ale nie wiem, jak się startuje.

Umieścił drążek sterujący w pozycji neutralnej i przesunął dźwignię skoku maksymalnie w dół. Zwiększając stopniowo moc, pociągnął dźwignię do siebie. Helikopter zachybotał się, a moment reakcyjny zaczął przesuwać jego dziób w lewo. O'Shea wcisnął prawy pedał, żeby wyrównać kurs, i helikopter w chmurze piasku i żwiru uniósł się w górę. Wznosił się pionowo, wystawiony na wiejący nad wykopem północny wiatr. Kapitan kontrolował wskaźniki momentu obrotowego i liczby obrotów.

Na dole błysnęły jaskrawym płomieniem wsunięte między ich bagaże granaty fosforowe.

O'Shea pociągnął do siebie drążek sterujący i Mi-28 skierował się, wciąż wznosząc w górę, na północ. Na wysokości ośmiuset metrów kapitan zmienił kurs na zachód i ustawił przyrządy na lot poziomy.

– Latanie z tobą przestało być już takie emocjonujące - skomentował Alevy.

O'Shea poprawił się w fotelu.

– Udało mi się poskromić tego diabła - odparł.

– Bardzo się z tego powodu cieszę.

– Bill i Bert - powiedział O'Shea - uważajcie na samoloty i helikoptery. Bez świateł jesteśmy dla nich niewidoczni. Ty, Seth, znajdź mi szosę do Mińska albo rzekę Moskwa.

Alevy wyjrzał przez przednią szybę. Chociaż księżyc prawie już zaszedł, noc była nadal jasna i w świetle gwiazd widać było rozciągającą się pod nimi równinę. Po jakimś czasie dostrzegł rzekę. Przypominała wijącą się między ciemnymi polami i lasami wstęgę matowej cyny.

– Odbij na południe od rzeki - polecił kapitanowi.

O'Shea zmienił kurs na południowy zachód.

Alevy nie przestawał wpatrywać się w dół.

– Tam! - powiedział po kilku minutach. - Widzisz szosę?

Kapitan pochylił się do przodu.

– Okay, widzę.

Skierował maszynę dokładnie na zachód, trzymając się drogi.

– Godzina jedenasta, równo z nami! - zawołał nagle Mills.

W ich stronę zbliżały się światła nawigacyjne. Szybkość obu idących kolizyjnym kursem maszyn była duża i migające światła znalazły się nagle bardzo blisko. O'Shea skręcił gwałtownie na prawo. Tuż obok nich przemknął z lewej strony mamuci helikopter transportowy Mi-8.

– Jezu...! - zawołał O'Shea i odetchnął głęboko. - Jeśli zobaczył nas lecących bez świateł - powiedział do Alevy'ego - na pewno złoży raport. Wzbudzilibyśmy mniej podejrzeń, lecąc z włączonymi światłami. Jeżeli w ogóle nas szukają, Seth - dodał - to za pomocą radaru.

– Mam nadzieję, że jeżeli nas w ogóle szukają, to robią to w lasach wokół Szeremietiewa - odparł Alevy. - Żadnych świateł.

Lecieli dalej na zachód, trzymając się kursu, który wyznaczały biegnące równoległe rzeka i szosa. Alevy popatrzył na szybkościomierz, który pokazywał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

– Wkrótce powinniśmy zobaczyć światła Możajska - powiedział.

– Nie widzę w dole żadnych świateł. Niemożliwe, żeby ktoś tam w ogóle mieszkał - skomentował Brennan.

Mills pochylił się do przodu i pokazał ręką na lewo.

– Tam. Czy to nie Możajsk?

Alevy wyteżył wzrok, spoglądając w stronę jaśniejących w odległości około pięciu kilometrów świateł. O tej porze nie było ich zbyt wiele, ale wyraźnie widział jasne odbijające się w wodzie punkty. To musiał być most w Możajsku.

– Nie widać w okolicy żadnych innych świateł - stwierdził - więc to na pewno Możajsk. Lecimy tam, kapitanie.

– W porządku - odparł O'Shea, kierując dziób śmigłowca prosto na Możajsk.

Po kilku minutach dostrzegli oświetlone centrum miasteczka, w którym krzyżowały się dwie ulice. Jedna, biegnąca z południa na północ, przecinała rzekę, druga, biegnąca ze wschodu na zachód, stanowiła fragment starej szosy z Mińska do Moskwy.

– Zejdź na pięćset metrów - powiedział Alevy - i trzymaj się rzeki.

Kapitan zmniejszył pułap, zbliżając się do rzeki Moskwa i mijając most. Z tej wysokości woda wydawała się bardziej błyszcząca - odbijało się w niej zimne światło gwiazd i rąbek zachodzącego księżyca.

– Uwielbiałem kiedyś latać nad rzekami - mruknął O'Shea. - Przeleciałem w swoim czasie w górę Hudsonu na piperze cherokee. Pokonałem cały kanion Kolorado na cessnie... a teraz lecę nad rzeką Moskwa w pożyczonym Mi-28... kryptonim Headstone.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał.

– Zredukuj szybkość - powiedział w końcu Alevy.

O'Shea zwolnił do dziewięćdziesięciu. Alevy zerknął na zegarek, a potem na swoją mapę.

– Panowie - odezwał się - niedługo lądujemy.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy, pomyślał Alevy, byli profesjonalistami i każdy, wykonując swój zawód, stawał kiedyś na granicy życia i śmierci. Byli, każdy na swój sposób, chłodni, opanowani i rzeczowi. Wszyscy ocenili już wcześniej, jakie mają szansę - były trochę większe niż w rosyjskiej ruletce przy użyciu pięciostrzałowego rewolweru. Wszyscy nielecho się bali, ale byli także bardzo podekscytowani. Alevy wyczuwał prawie promieniującą z nich energię. Podobnie jak oni ciekaw był, czy wymyślony za biurkiem plan sprawdzi się w rzeczywistości.

Przyjrzał się południowemu brzegowi rzeki.

– To jest gdzieś w tym sosnowym lesie - zwrócił się do kapitana O'Shea.
- Niżej i wolniej, Ed. Zawróć nad las.

– W porządku.

O'Shea oderwał się od rzeki i zredukował szybkość, schodząc jednocześnie dwieście metrów niżej. Alevy obejrzał się do tyłu. Brennan i Mills siedzieli w pogrążonej w mroku kabinie, lustrując teren przez boczne okna. Nigdy nie zapytał o motywy, które skłoniły ich do wzięcia udziału w

wyprawie, ani nie próbował ich do niej zachęcać. Przedstawił im tylko plan i zadał dwa pytania. Po pierwsze, czy uważają go za możliwy do zrealizowania, po drugie, czy chcą lecieć razem z nim. Odpowiedzieli dwa razy tak. I o to chodziło.

Spojrzał przez przednią szybę na rosnący w dole ciemny sosnowy las. Nagle drzewa skończyły się i zobaczył pofałdowany teren, na którym wznosiły się niewyraźne bryły, w których rozpoznał kamienne pomniki. Pole bitwy pod Borodinem.

– Minęliśmy obóz - powiedział do kapitana O'Shea. - Zawracaj.

O'Shea zatrzymał helikopter w miejscu, okręcił go o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył z powrotem. Po chwili ponownie minęli skraj lasu. Nie ponaglany przez Alevy'ego kapitan sam zmniejszył szybkość i zszedł na wysokość dwustu metrów.

Mills pierwszy zobaczył obóz.

– Tam! Godzina dziesiąta, jeden kilometr.

Wszyscy spojrzeli na lewo i zobaczyli biegnący środkiem gęstego lasu zaorany pas ziemi. Alevy zauważył cień wieży strażniczej. Ogrodzenie nie było oświetlone ani jednym reflektorem. Żyli w epoce elektronicznych sensorów ruchu, superczułych radarów i noktowizorów. Przy wznoszeniu więziennych murów korzystano z najnowocześniejszej technologii - zwłaszcza w tym kraju.

– Sprawdźmy kierunek wiatru - zwrócił się Alevy do Brennana.

– W porządku.

Bill sięgnął do skórzanej torby i wyjął z niej świecę dymną. Odsunął na kilka centymetrów boczną szybę z pleksiglasu, wyciągnął zatyczkę ze świecy i wyrzucił ją przez okno.

O'Shea zatrzymał helikopter w miejscu na wysokości dwustu metrów i przyglądał się gęstemu, unoszącemu się nad drzewami dymowi.

– Wiatr północny. Prędkość około pięciu węzłów - stwierdził. - Czyli osiem kilometrów na godzinę. Na wieżach strażniczych mogą słyszeć łopaty wirnika - dodał. - Jeśli mamy lądować, musimy zapalić światła.

– W porządku - odparł Alevy. Wcisnął przełącznik świateł nawigacyjnych. - Wiesz, co masz robić - powiedział do kapitana.

– Tak jest.

O'Shea znowu ruszył do przodu, utrzymując stałe obroty i ustawiając skok śmigła w maksymalnym położeniu, żeby uzyskać jak największą siłę nośną przy minimalnej szybkości. Przechylił helikopter na prawą burtę i lecąc z zachodu na wschód zbliżył się do północnej granicy obozu. Widzieli teraz wszyscy wieże strażnicze, ustawione mniej więcej co dwieście metrów wzdłuż zaoranego pasa ziemi.

– Daj mi pojemniki - powiedział Alevy, zwracając się do Billa.

Brennan wyjął z torby Alevy'ego cztery nieoznakowane metalowe kanistry i podał je do przodu. Alevy przez chwilę się im przyglądał, a potem oderwał ochronne żółte paski z pokrywek i nastawił przymocowane do każdego z kanistrów zegary. Odsunął boczną szybę i kiedy znaleźli się w odległości mniej więcej pięciuset metrów od północnej granicy obozu, wyrzucił na zewnątrz pierwszy kanister, a po paru sekundach drugi i trzeci. Ostatni, czwarty, spadł na ziemię pięćset metrów od wysuniętej najdalej na wschód wieży.

Alevy był przekonany, że żaden ze strażników nie zauważył wyrzucanych z helikoptera przedmiotów.

– W porządku, kapitanie. Możemy schodzić do lądowania.

O'Shea ponownie przechylił maszynę na prawą burtę i zawrócili na zachód, mijając na wysokości stu pięćdziesięciu metrów wieże i ogrodzenie z drutu kolczastego.

– Lądowisko jest w zachodniej części obozu - powiedział Alevy. - Nie zmieniaj kursu.

Włączył ruchomy, służący do lądowania reflektor i spod kadłuba błysnął jaskrawy snop światła. Przesunął specjalną dźwignię i reflektor omiótł szczyty drzew. Wiedział, że Sowieci na pewno próbują się już z nimi skontaktować przez radio, ale nie miał pojęcia, na jakiej operują częstotliwości. Rosjanie bardzo serio traktowali ochronę zamkniętych obszarów powietrznych, ale Alevy miał nadzieję, że tutaj, w samym sercu Rosji, najpierw zapytają, a potem dopiero zaczną strzelać. Miał również nadzieję, że nawet jeśli zobaczyli świecę dymną, to doszli do mylnego wniosku, że pilot ustala za jej pomocą najlepsze podejście do lądowania. W rzeczywistości chodziło o dokładne zorientowanie się, gdzie zrzucić cztery pojemniki, tak aby po ich otwarciu gaz rozprzestrzenił się na cały teren obozu.

Po raz pierwszy od wielu lat, pomyślał, paranoiczna obawa, jaką żywili Sowieci przed zdradzieckim imperialistycznym atakiem, była w pełni uzasadniona.

– Nie powinni do nas z dołu strzelać - powiedział do kapitana O'Shea. - Ale gdyby któregoś z nich zaswędziało palec na cynglu, bądź gotów do szybkiego zwiększenia mocy.

– Wiem - odparł O'Shea.

Nagle w odległości jakichś stu metrów przed nimi błysnął w powietrzu jasny snop światła. Przez chwilę przecinał ciemność, a potem znalazł ich i przesunął się powoli po kadłubie, oświetlając kabinę i - taką miał przynajmniej nadzieję Alevy - znajomy znak Aerofłotu. Aerofłot i sowieckie siły powietrzne stanowiły w zasadzie jedność, nie sądził więc, żeby ich pojawienie się wzbudziło większe podejrzenia.

Schodzili coraz niżej w świetle wycelowanego w nich reflektora.

– To prawdopodobnie z lądowiska - powiedział O'Shea.

– Okay - odparł Alevy.

Skierował swoje światło w stronę reflektora i zobaczył w odległości jakichś trzystu metrów dużą polanę. Nacisnął kilka razy wyłącznik swojego reflektora, sygnalizując kodem międzynarodowym awarię radia i prosząc o pozwolenie na lądowanie.

– W porządku, Ed, siadamy - zwrócił się do kapitana.

Reflektor ześlizgnął się z nich i zjechał w dół, omiatając porośniętą trawą polanę. Rosjanie pokazywali im drogę.

Brennan przytknął oko do noktowizora.

– Czy czeka na nas komitet powitalny? - zapytał go Bert Mills.

– Na lądowisku nie ma nikogo - odparł Brennan. - Na skraju polany widzę drewniany domek. Jakiś facet obsługuje tam stojący na platformie reflektor. Ma przy sobie AK-47. Nic więcej nie widać.

O'Shea przechylił maszynę na prawo, żeby podejść pod wiatr do lądowania.

– Czy to będzie tak samo ekscytujące jak za pierwszym razem? - zapytał go oschle Mills.

– Nie.

Kapitan zredukował moc. Minął na wysokości pięćdziesięciu metrów drewniany domek i leciał dalej, kierując się w stronę środka polany. Nikt się nie odzywał.

Alevy poczuł, jak zasycha mu w ustach i szybciej bije serce. Odchrząknął głośno.

– Nie dostaniemy za to żadnych pieniędzy, panowie - powiedział. - Nie oczekujcie medali, sławy, oficjalnego uznania i wspólnych fotografii z panem prezydentem. Tam na dole czeka na nas po prostu niezły syf i być

może anonimowy grób w rosyjskim lesie. Dziękuję więc jeszcze raz, że zgodziliście się wziąć udział w tej wyprawie.

Żaden z nich nie odpowiedział.

Alevy spojrział na zegarek. Była 2.03. Mieszkańcy obozu pogrążeni byli we śnie - nieświadomi, że tylko krok dzieli ich od wyzwolenia z długiej niewoli.

O'Shea odciągnął do tyłu drążek sterujący i helikopter warcząc głośno zawisł na chwilę w powietrzu, a potem osiadł miękko na trawiastym lądowisku Szkoły Wdzięku.

– Ładnie wylądowałeś, Ed - powiedział głośno sam do siebie kapitan.

.40.

Helikopter siadł dokładnie na środku lądowiska. O'Shea nie gasił silnika, a Brennan i Mills skulili się pod oknami. Seth Alevy spojrział na zegarek. Była 2.05.

– Wystartujesz stąd nie później niż za piętnaście czwarta - powiedział do kapitana O'Shea - z pasażerami albo sam, przy czym mówiąc o pasażerach mam na myśli również naszą trójkę. Wszystko jasne?

– Jasne.

– Wyłącz go.

O'Shea zgasił silniki i po chwili łopaty wirnika przestały się obracać. Umieszczony w odległości około stu metrów reflektor omiatał helikopter, wyłuskując kolejno z ciemności kokpit, okna kabiny, znak Aerofłotu i na samym końcu wymalowany na ogonie numer maszyny, P-413.

Alevy wdrapał się z powrotem do kabiny pasażerskiej i odsunął boczne drzwi.

– Powodzenia - powiedział Brennan.

– Wyglądasz jak prawdziwy Rosjanin - dodał Mills.

Alevy zeskoczył na ziemię, założył na głowę wojskową czapkę i ruszył energicznym krokiem w stronę domku. Żołnierz obsługujący reflektor wyłączył go, zeskoczył z platformy i ruszył na jego spotkanie. Kiedy był w odległości dziesięciu metrów, Alevy zobaczył, że ma na sobie mundur Straży Granicznej KGB i trzyma gotowy do strzału AK-47.

– Stój! Kto idzie?! - zawołał Rosjanin, stając w miejscu.

Alevy zatrzymał się.

– Jestem major Woronin - rzucił po rosyjsku i ruszył dalej.

Młody żołnierz wyprężył się w pozycji na baczność, ale wciąż nie zdejmował palca z cyngla. Alevy zatrzymał się w odległości kilkudziesięciu centymetrów od niego.

– Chcę się zobaczyć z waszym pułkownikiem - powiedział, nie wiedząc, czy Burow używa tutaj swego *nom de guerre*, czy może raczej nazwiska Pawliczenko, które, jak utrzymywał generał Surikow, było prawdziwe. - Jesteś głuchy, człowieku?! - ryknął na żołnierza. - Chcę się zobaczyć z waszym pułkownikiem!

– Tak jest, towarzyszu majorze.

– Czy wysłał po mnie jakiś samochód?

– Nie, majorze. I nie otrzymałem żadnych rozkazów w związku z waszym przyjazdem.

– No to masz pecha - stwierdził Alevy, używając popularnego wśród funkcjonariuszy KGB powiedzonka. - Jak się nazywasz, żołnierzu?

– Frolew.

– Doskonale, Frolew. Masz zadzwonić i sprowadzić dla mnie jakiś samochód.

– Tak jest, majorze.

Frolew zrobił w tył zwrot i pomaszerował z powrotem w stronę domku. Alevy ruszył w ślad za nim. Frolew minął platformę, na której zamocowany był reflektor, i Alevy zauważył, że nie jest ruchoma. Domek zbudowany był z grubo ciosanych belek i kryty wszechobecną tutaj blachą falistą. Nad dachem wznosił się komin i dwie anteny. Spod jednej ze ścian biegły w stronę najbliższej sosny dwa kable: elektryczny i telefoniczny.

Frolew otworzył drzwi do jednoizbowej chaty i odsunął się na bok, wpuszczając Alevy'ego do środka. Na przymocowanym do środkowej belki drucie wisiała goła żarówka. W środku było dwóch mężczyzn - o jednego

więcej, niż spodziewał się zastać Alevy. Jeden z nich spał na stojącym przy przeciwległej ścianie łóżku. Na jego piersi wznosił się i miarowo opadał egzemplarz powieści Rybakowa *Dzieci Arbatu*. Drugi z żołnierzy, niezbyt już młody sierżant, siedział przy biurku, wpatrując się w szachownicę. Sądząc po liczbie figur, gra zbliżała się do końca.

– Baczość! - wrzasnął Frolew, zamykając za sobą drzwi.

Sierżant skoczył na równe nogi, a śpiący żołnierz zerwał się z łóżka i również stanął w postawie zasadniczej.

Alevy rozejrzał się po izbie. W przeciwległym kącie stał kaflowy piec, na którym grzał się czajnik z herbatą. Na długim stole z prawej strony znajdowała się krótkofalówka, radiostacja VHF i dwa telefony.

Alevy podszedł do szachownicy i przyjrzał się figurom.

– Grasz białymi? - zapytał Frolewa. - Jak udało ci się tak spieprzyć tę partię?

Frolew grzecznie się roześmiał. Stojący przy biurku sierżant odchrząknął.

– Przepraszam, towarzyszu majorze... - zaczął.

Alevy zmierzył go surowym spojrzeniem.

– Tak, sierżancie?

– Niestety, nic nam nie wiadomo o waszym przyjeździe.

– To jest major Woronin - pospieszył z wyjaśnieniem Frolew. - Chce się zobaczyć z pułkownikiem Burowem i potrzebuje samochodu.

Sierżant kiwnął głową.

– Nie mogliśmy się z wami skontaktować przez radio, towarzyszu majorze - powiedział.

– A mój pilot nie mógł się skontaktować z wami. Będziecie musieli sprawdzić nawzajem łączność. Czy zawiadomiliście już o moim przybyciu oficera dyżurnego?

– Nie, majorze, ale zaraz to zrobimy - odparł sierżant. - Kaniawski - zwrócił się do żołnierza stojącego przy łóżku - zadzwoń do porucznika Czalcowa.

Kaniawski ruszył w stronę stojących na stole telefonów. Alevy dyskretnie odetchnął. Jak na razie wszystko szło po jego myśli. A może po prostu spędzone w tym kraju lata pozwoliły mu przewidzieć, jak zareagują ci ludzie w pewnych określonych sytuacjach. Sierżant nie zawiadomił jeszcze oficera dyżurnego o nadlatującym helikopterze, nie chcąc się narazić na odpowiedź w stylu: „I co mam, do cholery, z nim zrobić? Pofrunąć na jego spotkanie i zapytać, o co chodzi? Dowiedźcie się, kto to jest, i zadzwońcie z powrotem!”

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Alevy odsunął się na bok, żeby mieć wszystkich trzech mężczyzn na oku.

Kaniawski podniósł słuchawkę polowego telefonu i zaczął kręcić korbką. Nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, Alevy wyciągnął swój zaopatrzonej w tłumik rewolwer i wpakował pierwszą kulę w pierś wciąż stojącego przy drzwiach i trzymającego AK-47 Frolewa.

Frolew zachwiał się i wytrzeszczył oczy, jakby nie mógł uwierzyć, że został postrzelony. Alevy odwrócił się i strzelił w bok Kaniawskiemu. Ten krzyknął zaskoczony, puścił słuchawkę i złapał się za klatkę piersiową.

Sierżant zareagował szybko, wyrwijąc z kabury rewolwer, ale Alevy wypalił pierwszy, trafiając go w brzuch. Rosjanin zgiął się wpół i zwałił na biurko, zrzucając figury z szachownicy. Alevy strzelił ponownie, trafiając go w ciemię i sierżant runął na podłogę.

Alevy podszedł do wciąż stojącego przy stole Kaniawskiego i strzelił mu w głowę, a potem zbliżył do Frolewa, który próbował podnieść się z podłogi. Stanął w odległości kilkudziesięciu centymetrów, żeby nie ochlapała go krew, i strzelił prosto w skroń młodego kagebisty.

Odłożył na widełki słuchawkę i zdjął czajnik z pieca. Wziął suszącą się wełnianą rękawiczkę i otarł nią pot z prawej dłoni, a potem wyczyścił z krwi buty. Załadował nowy magazynek, odetchnął głęboko i pomyślał przez chwilę o kilkuset Amerykanach, którym przez prawie dwie dekady przyszło tu żyć i umierać. Opanował się i wyszedł na zewnątrz.

Brennan i Mills już tam byli, Brennan z dragunowem, a Mills z czarną skórzaną torbą.

– Bill, ty posprzątasz w środku i nie będziesz się ruszał z miejsca - powiedział cicho Alevy.

– Jest pan pewien, że nie powinienem iść razem z wami? - zapytał Brennan.

Alevy lubił go, a Brennan był bardzo odważny i rozpierał go entuzjazm. Miał jednak zdecydowanie zbyt mało podzielną uwagę.

– Mówiłem ci już, Bill, że kapitan O'Shea będzie potrzebował wcześniejszego ostrzeżenia, jeśli wszystko weźmie w łeb. Poza tym nie wiemy, czy ci faceci nie byli zobowiązani do składania w pewnych odstępach czasowych raportu sytuacyjnego i czy ktoś do nich co jakiś czas nie dzwoni. Więc jeżeli ktoś zatelefonuje, powiedz tylko *niczewo*: nic się nie dzieje. To ich standardowa odzywka. *Niczewo*.

– *Niczewo*.

– Postaraj się sprawiać wrażenie znudzonego i zmęczonego. Ziewnij.

Brennan ziewnął.

– *Niczewo* - powtórzył z otwartymi ustami.

– Świetnie. Jeśli ten ktoś się rozgada, powtórz to jeszcze raz z naciskiem. Bądź niegrzeczny i odwieś słuchawkę. Zakładam, że centrala znajduje się w dowództwie, więc postaram się szybko zwolnić ze służby siedzącego tam telefonistę. Potem do ciebie zadzwonię. Odpowiadaj *da*. Nie allo. *Da*.

– *Da. Niczewo.*

– Doskonale. Jeśli ktoś przyjdzie sprawdzić cię na posterunku, wpuść go do środka, ale nie wypuszczaj na zewnątrz.

Brennan uśmiechnął się.

– Dragunow przemówi do niego po rosyjsku - powiedział.

– Jeśli usłyszysz długą strzelaninę, nie wahaj się i wskakuj do helikoptera.

Brennan nie odpowiedział.

Alevy poklepał go po ramieniu.

– Powodzenia, Bill.

– Nawzajem.

Brennan wziął od Millsa skórzaną torbę i wszedł do środka. Alevy i Mills ruszyli szybkim krokiem wąską, wyłożoną sosnowymi palikami alejką.

– Mieliście wyjść z helikoptera dopiero po moim sygnale - powiedział Alevy.

– Dłużyło nam się. Zawiadomili dowództwo?

– Powiedzieli, że nie.

– Myślisz, że Brennan poradzi sobie z telefonami?

– Jest w tym tak samo dobry jak O'Shea w prowadzeniu helikoptera.

– Czasami zdarza się, że jakaś operacja jest zbyt szczegółowo zaplanowana - skomentował Mills - ale w tym przypadku to nam z pewnością nie grozi.

Alevy uśmiechnął się z przekąsem. Mieli pilota, który nie potrafił prowadzić powierzonej mu maszyny, i obsługującego telefony człowieka, który nie potrafił mówić po rosyjsku. Przebrany za kagebistę Bert Mills w niczym nie przypominał Rosjanina i również nie mówił po rosyjsku. Ale byli to najlepsi ludzie, których miał do dyspozycji Alevy, zważywszy

trudności, na jakie natrafił, montując operację w samym sercu Związku Sowieckiego. Słowem, które miało obowiązywać tej nocy, była „improvizacja”.

– Będziemy improwizować - powiedział.

– I blefować - dodał Mills.

Wyszli na pokrytą asfaltem główną obozową drogę i Alevy wyjął z kieszeni płaszcz kompas. Wiedział, że po prawej stronie powinna się znajdować brama i pole bitwy pod Borodinem. Droga w lewo prowadziła do centrum obozu. Na fotografiach satelitarnych widać tam było duży betonowy budynek i Alevy miał nadzieję, że mieści się w nim dowództwo. Skręcili w lewo i ruszyli szybko skrajem biegnącej przez las drogi.

Po paru minutach zobaczyli światła w oknach długiego drewnianego budynku, którego nie było widać na zdjęciach satelitarnych. Podeszli bliżej, zachowując ostrożność. Przed domem znajdowała się weranda, a ze środka dobiegały dźwięki muzyki. Alevy wskazał na wiszącą nad drzwiami tablicę, na której widniał napis VFW POSTERUNEK 000.

Mills kiwnął głową i pokazał automat do coca-coli. Weszli razem na werandę. Przez okno zobaczyli dużą świetlicę, w której przebywało około dwudziestu mężczyzn i kilka kobiet, wszyscy w wieku dwudziestu paru lat.

– Studenci - szepnął Alevy.

Większość oglądała na półtorametrowym ekranie wideo *Draculę* Beli Lugosiego. Pozostali siedzieli w małych grupkach, pijąc i rozmawiając. Na ścianie wisiały dekoracje z okazji Halloween, a pośrodku sali stała duża trumna.

– Obchodzą Halloween - szepnął Mills.

Alevy kiwnął głową. Nie przewidział tego, ale przyjęcie i tak zbliżało się do końca. Utkwił oczy w wielkiej, wiszącej przy ścianie amerykańskiej fladze.

– Dziwne.

Kiedy odwrócili się, żeby odejść, drzwi frontowe otworzyły się nagle i na werandę wyszedł ubrany w narciarską kurtkę mężczyzna w średnim wieku. Stał jak wryty, wpatrując się w Alevy'ego i Millsa, którzy również spoglądali na niego jak na zjawę.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał.

– Mówicie po angielsku? - zapytał w końcu po angielsku facet w kurtce.

Alevy kiwnął głową. Mężczyzna odchrząknął.

– Dobra, możecie mnie rozstrzelać - powiedział załamującym się z przepicia głosem.

– Rozstrzelać?

Drzwi otworzyły się ponownie i ukazał się w nich młody mężczyzna.

– Ja biorę odpowiedzialność za tego Amerykanina, towarzyszu majorze - powiedział szybko po rosyjsku.

Alevy próbował dojść, o co tutaj chodzi i w jakim języku ma się odezwać. Obydwaj mężczyźni byli najwyraźniej zalani w pestkę.

– Nazywam się Marty Sambach - ciągnął dalej po rosyjsku młody mężczyzna. - A to jest Tim Landis. Mieszkam u niego. Zabiorę go do domu.

– Straciłem po prostu poczucie czasu - tłumaczył po angielsku Landis. - Nic się chyba, kurwa, nie stało.

Alevy zaczynał rozumieć. Landis był Amerykaninem, naruszającym prawdopodobnie godzinę policyjną, a Sambach rosyjskim Amerykaninem.

– Mogę przymknąć oczy na wykroczenie tego Amerykanina - powiedział po rosyjsku do Marty'ego - jeśli dopilnujesz, żeby bez przeszkód trafił do domu.

– Dziękuję, towarzyszu majorze - odparł po rosyjsku Marty. Przyjrzał się Alevy'emu w przyćmionym świetle. - Jesteście tutaj nowi?

– Tak. Może byście tak wrócili do środka? Chcę przez chwilę porozmawiać z tym człowiekiem.

Marty zawahał się.

– On nie mówi po rosyjsku - wyjaśnił.

– Do środka!

– Tak jest, towarzyszu majorze - odparł Marty. - Wszystko w porządku, Tim - zwrócił się do Landisa w nienagannej angielszczyźnie, która wprawiała w zdumienie Alevy'ego i Millsa. - On chce tylko z tobą porozmawiać. Potem odprowadzę cię do domu.

Marty odwrócił się i chwiejnym krokiem wszedł do środka budynku. Landis zatoczył się na skraj werandy i oparł o poręcz. Rozpiął rozporek i odlał się.

– Pierdolę ten obóz - stwierdził. Zapiął rozporek i chwiejąc się ruszył z powrotem w stronę drzwi.

Alevy złapał go za ramię.

– Niech pan na chwilę usiądzie - powiedział po angielsku z wyraźnym cudzoziemskim akcentem.

– Puszczaj mnie!

– Niech pan mnie przez chwilę posłucha. Czy jest tutaj pułkownik Sam Hollis?

Landis wytrzeszczył oczy na Alevy'ego, ale nic nie odpowiedział.

– Hollis i Lisa Rhodes. Czy są tutaj?

– Hollis... żal mi go... poszedł do domu - wybełkotał Landis, potrząsając głową.

– Niech pan mówi dalej.

– Wyłowili go wtedy z morza... ale w końcu dołączył do nas, biednych sukinsynów... po dwudziestu latach... w końcu do nas dołączył... - Landis spróbował nagle oddać wojskowy salut. - Kapitan Timothy Landis, z Sił

Powietrznych Stanów Zjednoczonych, do pańskich usług, majorze. Hej, kiedy to się wszystko skończy?

– Bardzo niedługo.

– Tak? To najlepsza wiadomość, jaką ostatnio słyszałem.

– Gdzie jest Hollis?

– Moja żona, Jane, mówi, że to twardziel.

– Żona?

– Ale ma ze sobą swoją kobietę. Pieprzone baby. Chyba ją rozstrzelają.

Za dużo miele jęzorem.

– Kogo? Kogo mają zamiar rozstrzelać?

– Co?

– Lisę Rhodes? Mają zamiar rozstrzelać Lisę Rhodes?

– Możliwe. Ona też za dużo mówi. Ona i moja żona. Dynamiczny duet. -

Landis opadł na huśtawkę i wlepił oczy w sufit.

– Gdzie jest Hollis?

– Och... - jęknął Landis i rozejrzał się dookoła, jakby próbował ustalić, gdzie się znajduje. - Dali mu domek Dodsona. Kilkaset metrów stąd.

– A ta kobieta, którą przywieźli razem z nim? Lisa Rhodes?

Landis przyjrzał się bacznie Alevy'emu i Millsowi.

– Po co chcecie to wiedzieć? Tych dwoje ma już dość tego waszego syfu.

– Jakiego syfu?

– Pierdolonego bunkra. Wszyscy jesteście, kurwa, tacy sami. Ty, Burow i każdy sukinsyn z naszymi KGB.

– Czy Burow jest tutaj?

– A gdzie, do diabła, miałby być?

Mills położył rękę na ramieniu Alevy'ego.

– Musimy już iść - szepnął.

– Zaczekaj - odparł Alevy. - Ta kobieta - zwrócił się do Landisa. - Lisa. Czy jest razem z Hollisem? W domku Dodsona?

Landis wstał, chwiejąc się na nogach.

– Zostawcie ich w spokoju! - Zamierzył się nagle na Alevy'ego, który dał krok do tyłu. - No dalej, sukinsynu - wrzasnął Landis. - Zastrzel mnie! Zastrzel! Chcę umrzeć!

Zatoczył się i oparł o słupek werandy, kryjąc twarz w dłoniach. Z ust wydarł mu się szloch.

Alevy i Mills zbiegli szybko z werandy.

– Boże, zabierz mnie stąd! - usłyszeli z oddali krzyk Landisa.

– Jezu... - szepnął Mills. - Seth, tu jest naprawdę strasznie.

– Nie sądziłem, że będzie przyjemnie, Bert. Teraz rozumiesz, prawda?

– Zaczynam rozumieć. Nie żałuję, że tu przyjechałem. Co to za żony? - dodał.

Alevy wzruszył ramionami.

– Obozowe dziwki.

Odnaleźli ścieżkę, która biegła za klubem weterana i zeszli nią w dół, w gęsto zadrzewioną kotlinę.

– Ten drugi facet, Marty Sambach - szepnął Mills. - To był Rosjanin. Jego angielski był bez zarzutu.

Alevy kiwnął głową.

– I bronił Landisa.

– Trudno sobie nawet wyobrazić - odparł Alevy - jakiego rodzaju surrealistyczny świat tutaj stworzono. Ale wiemy, że mają więzienie i godzinę policyjną i że rządzi tutaj KGB.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął stamtąd mały odbiornik radiowy. Włączył go i wysunął antenę. Włożył do ucha słuchawkę i przez chwilę nasłuchiwał.

– Mamy sygnał - powiedział w końcu. - Nadajnik jest gdzieś blisko.

Przeszli kilkanaście kroków.

– Coraz mocniejszy - stwierdził Alevy.

Rozejrzał się i zobaczył schowany za drzewami, kryty gontowym dachem domek. W oknie nie paliło się światło.

– Czuję się tak, jakbym był w Ameryce, na Cape Cod - szepnął Mills. - To niesamowite.

Alevy wszedł między drzewa i sygnał zabrzmiał jeszcze głośniejsze. Cisnął odbiornik w krzaki i zbliżył do drzwi domku. Nie miały zamku, tylko klamkę, ale kiedy Alevy nacisnął ją, nie otworzyły się. Przycisnął ramię do drzwi i ostrożnie pchnął. Poczuł, jak coś ustępuje pod naporem, a potem usłyszał brzęk spadającego na podłogę metalu.

– Zostań tutaj - szepnął do Millsa.

Wślizgnął się do pogrążonego w ciemności domu, zamykając za sobą drzwi. Włączył latarkę na podczerwień i przesuwając przez chwilę snopem światła po meblach i ścianach, a potem zobaczył po prawej stronie otwarte drzwi. Widać było za nimi jarzący się elektryczny grzejnik. Alevy przeszedł przez próg i znalazł się w sypialni. W świetle latarki zobaczył wiszącą nad podwójnym łóżkiem ikonę. Stąpając cicho po drewnianej podłodze podszedł do łóżka i spojrzał na zagrzebaną pod stosem kołder Lisę Rhodes. Mimowolnie wysunął dłoń, żeby dotknąć jej policzka.

Na jego szyi zacisnęło się nagle czyjeś przedramię i zobaczył wymierzony we własne serce długi ząbkowany nóż do chleba. Zdołał odwrócić lekko głowę.

– Cześć, Sam - powiedział cicho.

Hollis rozluźnił uścisk.

– Cześć, Seth.

Wskazał gestem drzwi i przeszli obaj do salonu. Hollis zapalił stołową lampę i Alevy zobaczył, że ma na sobie dres podobny do tego, który nosili Landis i Sambach. Hollis potarł kciuk o palec wskazujący i Alevy skinął głową. Sam położył na talerzu gramofonu płytę z pieśniami gospel.

– Cholernie długo jechałem, żeby spotkać się z przyjacielem - powiedział cicho Alevy.

– Ubiorem nie przypominasz żadnego z moich przyjaciół.

Alevy uśmiechnął się.

– Twardy z ciebie klient, pułkownika.

– Właściwie to przyjemnie cię widzieć. Dla samej odmiany - rzekł po krótkim wahaniu Hollis, wyciągając rękę. Alevy uściskał ją.

– Zaczynałem się już niepokoić - dodał.

– Przyjechałem tak szybko, jak mogłem, Sam. Spędziłem pięć dni w Waszyngtonie, przekonując ich do tej operacji.

– Jaki masz plan?

– Powiem ci po drodze. Może byś tak obudził Lisę?

Hollis wszedł z powrotem do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Alevy podszedł do drzwi frontowych i otworzył je.

– Są tutaj. Kilka minut - powiedział do Millsa, który tkwił skulony za pniem drzewa, trzymając w ręku pistolet. Zamknął drzwi i rozejrzał się po salonie. Podszedł do stolika i podniósł leżące na nim czasopisma, a potem przyjrzał się stojącym na półce kasetom wideo.

– Niewiarygodne.

Do pokoju wszedł z powrotem Hollis.

– Zaraz przyjdzie.

Alevy kiwnął głową i wskazał gestem pokój.

– Całkiem nieźle się tutaj urządziłeś.

– Nie powiedziałbym.

- Słyszałem, że dali ci w kość.
- Od kogo?
- Od kapitana Landisa. Znasz go?
- Tak.
- Wyglądał, jakby był wypalony od środka.
- Oni wszyscy są wypaleni. Gdzie spotkałeś się z Landisem?
- Przy klubie weterana - odparł Alevy, wyjaśniając krótko okoliczności.
Hollis kiwnął głową.
- Mógłbym spędzić cały tydzień - powiedział - opowiadając ci o tym domu wariatów, ale podejrzewam, że mamy mało czasu. Jak się tutaj dostałeś?
- Przywłaszczyłem sobie helikopter Aerofłotu z Centrum Handlu. Mi-28.
- Zgadza się. Ten sam, o który mnie wypytywałeś. Kto go pilotuje?
- Twój adiutant. Chyba cię lubi, a poza tym chce, żebyś napisał na nowo jego ocenę okresową.
- Zastanowię się. Kogo masz jeszcze?
- Mojego zastępcę, Berta Millsa. Czeka za drzwiami. I Billa Brennana.
- Brennana? Wrócił?
- Tylko na ten jeden dzień.
- Powiedz mi, jaki masz plan.
- Zrzuciłem z helikoptera cztery pojemniki z czymś, co nazywa się THX. Nowy gaz usypiający...
- Sandman[8].
- Tak, taki ma kryptonim. Bardzo silny. Pojemniki otworzą się za godzinę i piętnaście minut. Tyle mamy czasu.
- Na co?
- Na to i owo.

– Kogo chcesz stąd zabrać?

– Ciebie, Lisę i jeszcze dwie osoby. Tylko tylu ludzi mogę zabrać do Mi-28 i tylko tylu potrzebuję, żeby uwolnić potem pozostałych.

Hollis skinął głową.

– W takim razie wolę tu zostać.

– Wiem o tym, Sam. Ale zbyt wiele wiesz i nie mogę zostawić cię w ich rękach. Przypiekali cię? - zapytał po chwili wahania.

Hollis kiwnął głową.

– Burow. Straty minimalne. Ciężki sprzęt przyjeżdża jutro z Łubianki. Wykrywacz kłamstw i elektrowstrząsy.

– Przyjechałem w samą porę.

– Zgadza się. Czy Surikow i jego wnuczka już wyjechali?

– Tak. W zeszłą sobotę. Trasą leningradzką.

Hollis przyjrzał mu się badawczo w przyćmionym świetle.

– Na pewno?

– Tak.

– Musisz również wywalczyć uwolnienie żon i innych więźniów, Seth.

– Landis wspominał coś o żonie. Co to za żony?

– To Rosjanki. W większości polityczne. Jest także około sześćdziesięciorga dzieci...

– Dobry Boże... - Alevy pokręcił głową. - Spodziewałem się, że dostarczą im jakieś kobiety. Ale żony... dzieci... czy są do nich przywiązani?... Domyślam się, że tak. Próbuję to sobie wszystko poukładać w głowie...

– Jest tutaj także sześć porwanych Amerykanek i inni rosyjscy więźniowie Gułagu, jak choćby lekarka i pielęgniarki. Ich także musi dotyczyć umowa.

Alevy przyjrzał się Hollisowi.

– Wiesz co, Sam, prawdziwy z ciebie Amerykanin. Nie żartuję. Naprawdę chcesz zbawić cały świat albo przynajmniej tych jego mieszkańców, których miałeś okazję osobiście spotkać i polubić. Ale w porządku, wydaje mi się, że po dzisiejszej nocy będziemy mieli dobrą pozycję przetargową.

– Jak daleko zamierzasz dolecieć Mi-28 z ośmioma osobami na pokładzie? - zapytał Hollis.

– To zależy od kierunku wiatru.

– Nie sądzę, żeby ambasador albo Charlie Banks ucieszyli się widząc lądujący na skwerze obok ambasady porwany sowiecki helikopter.

– Porozmawiamy o tym, kiedy będziemy w powietrzu.

– Z ośmioma osobami na pokładzie nie dotrzesz stąd tą maszyną do żadnego kraju, należącego do wolnego świata. Masz jakieś miejsce, gdzie zatankujesz paliwo? A może chcesz się przesiąść w inny helikopter?...

Do pokoju weszła Lisa, ubrana w niebieski dres i sportowe buty, i Alevy domyślił się, że tak właśnie wygląda obozowy uniform. Przez chwilę stała jak wryta, wpatrując się w ubranego w mundur KGB Alevy'ego, a potem podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Seth. O mój Boże...

Seth wyzwolił się z jej uścisku.

– Musimy działać szybko - powiedział.

Skinęła głową i zdjęła z wieszaka kurtkę.

– Muszę zabrać moją ikonę...

Alevy przytrzymał ją za ramię.

– To nie jest twoja ikona.

– Co masz na myśli?

– To reprodukcja, Liso. Ma zamontowany w środku nadajnik. Dzięki temu cię odnaleźliśmy.

Lisa popatrzyła najpierw na niego, a potem na Hollisa.

– Zrobiliśmy to na wszelki wypadek - powiedział Alevy. - Na wypadek gdyby zdarzyło się to, co się zdarzyło. Obszedłem z odbiornikiem Łubiankę i Lefortowo. Nie było sygnału. Miałem nadzieję - dodał - że z tym sierpem i młotem pozwolą ci ją zatrzymać. Myślą pewnie, że zrobili to Kellumowie. Prawdziwa ikona jest w bezpiecznym miejscu.

Lisa stała przez chwilę w milczeniu, spoglądając na nich obu, a potem podeszła do Alevy'ego.

– Wiesz, co tutaj przeszłam? - zapytała.

– Obawiam się, że wiem. O to właśnie chodzi: o to, jak oni traktują ludzi. Na zewnątrz jest Bert Mills - poinformował Lisę. - Ja, on i Sam mamy tutaj do załatwienia parę spraw. Będziesz musiała sama dojść do lądowiska. W budce radiotelegrafisty jest Brennan. Może potrzebować twojej pomocy, jeśli zadzwoni do niego jakiś Rosjanin. Kapitan O'Shea siedzi w helikopterze. Wkrótce będziemy z powrotem.

– Zapomnij o tym, Seth - powiedziała. - Przeszłam przez to wszystko razem z Samem i nie mam zamiaru się z nim rozdzielać.

– Nie próbuj nawet się z nią kłócić - ostrzegł go Hollis.

Seth kiwnął głową.

– Wiem - odparł.

Wyciągnął z wewnętrznych kieszeni płaszcza dwa rewolwery Tokariewa, kaliber 6,35 mm, i podał je Hollisowi i Lisie.

Hollis zdjął z wieszaka kurtkę i ruszył ku drzwiom.

– Jeszcze jedna sprawa - powiedział, przytrzymując go za ramię, Alevy. - Wydaje mi się, że możemy poświęcić na nią sześćdziesiąt sekund. - Wyciągnął z kieszeni małe skórzane pudełko i wręczył je Hollisowi.

Sam otworzył je. W środku leżały srebrne gwiazdki generała brygady.

– Prezydent podpisał specjalny rozkaz - wyjaśnił Alevy - ale ze względów bezpieczeństwa nie mogłem go naturalnie ze sobą zabrać. Moje gratulacje, generale.

Hollis zamknął pudełko, zastanawiając się przez chwilę, czy ma uważać ten awans za pośmiertny, czy może raczej pośmiertny z wyprzedzeniem. Ciekawiło go także, czy jeśli uda mu się wrócić do domu, władze odbiorą Katherine wypłacone z okazji śmierci męża odszkodowanie i czy ewentualnie je powiększą, jeśli nie wróci. Ostatnią rzeczą, która przemknęła mu przez głowę, było pytanie, czy generalskie gwiazdki stanowią nagrodę czy łapówkę.

– Dziękuję, że to dostarczyłeś - powiedział.

Lisa pocałowała go w policzek.

– Moje gratulacje, Sam. Generale Hollis.

– Dziękuję.

Lisa wyłączyła gramofon i lampę i wyszli cicho na dwór. Czekał tam na nich z rękoma wetkniętymi w kieszenie zielonego szynela KGB Bert Mills.

– Cześć, kochani. Gotowi do powrotu? Tym razem bez lipy.

– Cześć, Bert.

– Lisa idzie z nami - powiedział Alevy.

Ruszyli szybko alejką, kierując się z powrotem w stronę głównej drogi.

– Mikrofony kierunkowe - szepnął Hollis. - Mówcie cicho i po rosyjsku.

Alevy kiwnął głową.

– Czy możemy natknąć się na patrole? - zapytał.

– Dzisiaj tak - odparł Hollis.

Poinformował go w skrócie o godzinie policyjnej, a także o porannej egzekucji. Alevy pokręcił głową.

– To sukinsyn. Jedenaście osób?... Przybyliśmy akurat na czas.

– Ale dziś trzeba uważać na patrole - stwierdził Hollis.

Dotarli do głównej drogi w pobliżu klubu weterana, teraz już cichego i pogrążonego w mroku.

– Gdzie chcecie iść? - szepnął Hollis.

– Do budynku dowództwa - odparł Alevy.

Hollis wskazał na prawo. Ruszyli truchtem i po kilku minutach spostrzegli oświetloną fasadę z szarego betonu. Zatrzymali się i przykucnęli w rowie po drugiej stronie drogi.

– Nie ma tam sowieckiej flagi i żadnych oznaczeń - zauważył Alevy.

– Jesteśmy w Ameryce. Ale w środku budynku, oczywiście, sprawa wygląda inaczej.

– Jaki masz plan, Seth? - zapytał Hollis.

– Jeśli ta operacja ma się udać, musimy opanować budynek i sparaliżować całą ich łączność i aparaturę podsłuchową. Potem poszukamy dwóch dodatkowych pasażerów.

Hollis pomyślał o Landisach - ich syn nie stanowiłby wielkiej różnicy dla i tak już przeciążonego helikoptera. Pomyślał także o generale Austinie i komandorze Poole'u.

– Niełatwo będzie wybrać. Ale mam paru kandydatów.

– Trochę ci ułatwię. Czy Burow jest w obozie?

Hollis spojrzał Alevy'emu prosto w oczy i kiwnął głową.

– Mam nadzieję, że powodują tobą względy czysto profesjonalne - powiedział.

– Żebyś wiedział. Nie wspominając o osobistej urazie, jaką żywię do niego za uwagę na temat „brudnego Żydka”. Założę się, że wy dwaj również macie do wyrównania pewne rachunki.

– To nie jest wendeta, Seth - odezwała się Lisa - ale jeśli go potrzebujesz, wiemy, gdzie go szukać.

– Następną osobą, którą chcę stąd zabrać, jest najwyższy stopniem amerykański oficer.

– Generał Austin - odparł Hollis.

– Wiesz, gdzie go znaleźć?

– Tak.

– Doskonale.

Alevy wystawił głowę z rowu i przyjrzał się budynkowi dowództwa.

– Jak tam jest w środku? - zapytał.

– W budce przed wejściem stoi prawdopodobnie wartownik - odparł Hollis. - Zaraz za drzwiami siedzi za biurkiem oficer dyżurny. Po lewej stronie jest pokój łączności. - Poinformował Alevy'ego o rozkładzie pomieszczeń. - Cele są na parterze - dodał na koniec - na tyłach budynku. W jednej z nich trzymają Jacka Dodsona i jego właśnie chcę stąd zabrać.

– Nie - odparł Alevy. - Zabieramy generała Austina.

– Mylisz się.

– Bez naszej pomocy nie zdołasz odnaleźć Austina ani Burowa, Seth - odezwała się Lisa. - Jeżeli Sam chce Dodsona, zabierzesz Dodsona.

– Nie zabiorę go - odezwał się zdenerwowany Alevy - jeżeli nie jest w stanie chodzić o własnych siłach.

– Zabierzesz go, jeśli kołacze się w nim resztką życia - stwierdził Hollis. - Podobnie jak ty, Seth, nie znam tego człowieka, ale z całą pewnością zasłużył sobie na to, żeby wyjechać stąd razem z nami. Temat uważam za zamknięty.

– W porządku - zgodził się Alevy. - Ile osób może, twoim zdaniem, przebywać o tej porze w budynku dowództwa?

– Z tego, czego dowiedziałem się od adiutanta generała Austina, komandora Poole'a, powinien tam być oficer dyżurny, łącznościowiec, sierżant w przylegającym do cel pokoju strażników, a także jeden albo

dwóch żołnierzy Straży Granicznej KGB oraz jeden albo dwóch kierowców, których można zastać w budynku o każdej dowolnej porze dnia i nocy. Poza tym jest także sześciu albo siedmiu techników obsługujących obozowe detektory i aparaturę podsłuchową. Jeśli chcemy poruszać się swobodnie po obozie, musimy opanować pomieszczenie, w którym pracują.

– Opanujemy cały budynek - odparł Alevy. - Ponieważ trudno wam udawać oficerów KGB - zwrócił się do Sama i Lisy - zostaniecie tutaj...

– Możemy udawać więźniów - przerwała mu Lisa. - Chodźmy, Seth.

Alevy spojrzał na Millsa, który kiwnął głową. Szybko ustalili plan działania, po czym wstali i ruszyli w stronę budynku - Lisa i Hollis, z rękoma na karku, z przodu, Alevy i Mills z tyłu. Wartownik śledził ich wzrokiem z budki, a kiedy weszli w krąg światła, wyszedł na zewnątrz z przewieszonym przez pierś karabinem.

Alevy pokazał frontowe drzwi.

– Dwoje do paki - powiedział. - Otwieraj.

Wartownik zawahał się, a potem podszedł do drzwi i otworzył je. Przyjrzał się bacznie Alevy'emu i Millsowi w jasnym świetle i było oczywiste, że nie rozpoznaje w nich żadnego z należących do miejscowego batalionu oficerów. Alevy dał mu znak, żeby im towarzyszył.

Mills wszedł ostatni i zamknął za sobą drzwi. Oficerem dyżurnym był porucznik Czelcow, ten sam, z którym Sam i Lisa rozmawiali w dniu, kiedy opuścili cele. Na widok Alevy'ego wyprężył się na baczność za biurkiem.

– Znowu? - zapytał, rzucając okiem na Hollisa i Lisę.

Spojrzał pytającym wzrokiem na wartownika, który wzruszył ramionami.

– Słucham, towarzyszu majorze? - zwrócił się do Alevy'ego.

Mills wyciągnął opatrzony tłumikiem rewolwer i strzelił wartownikowi prosto w głowę. Porucznik Czelcow wytrzeszczył oczy, wpatrując się w

padającego na podłogę żołnierza, ale najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Przez chwilę patrzył na trupa, a potem odwrócił się do Alevy'ego, który wpakował mu kulę w czoło. Porucznik upadł z powrotem na swoje krzesło rozpościerając ramiona. Szeroko otwarte oczy utkwiał w suficie, a z rany na czole trysnęła mu krew.

Lisa dotknęła dłonią ust i odwróciła się do drzwi.

– Zaryglujcie frontowe drzwi - zwrócił się do pozostałej trójki Alevy - odczekajcie pięć sekund i zaciągnijcie trupy do pokoju łączności.

Przeszedł przez sień i otworzył drzwi z lewej strony. Łącznościowiec siedział przy centrali telefonicznej, czytając jakieś czasopismo. Odwrócił się i widząc Alevy'ego, wstał z krzesła.

– Słucham, towarzyszu majorze? - zapytał i w tej samej chwili zobaczył wymierzony w siebie rewolwer.

Alevy dał mu znak, żeby odsunął się od centrali, a potem posłał mu dwie kule w pierś. Rosjanin runął na konsolę radiową, a Alevy podszedł do centrali. Była ręczna i bez telefonisty nie sposób było uzyskać żadnych połączeń.

Do pokoju weszli Hollis i Mills, ciągnąc za sobą zwłoki porucznika Czelcowa i wartownika. Wepchnęli trupy pod stół.

Alevy przyjrzał się tabliczkom na centrali. Na jednej z nich widniał skrót: *Wierto* - „helikopter”. Wsunął wtyczkę, przycisnął guzik i przystawił do ucha słuchawkę.

– *Da. Niczewo* - odezwał się znudzony, zmęczony głos, w którym słychać było zdenerwowanie.

– Bill, to ja.

– To dobrze.

– Czy dzwonił ktoś inny?

– Nie, dzięki Bogu...

- Masz coś do przekazania?
- Nie. Spokojnie. *Niczewo*.
- W porządku, od tej pory nie będziesz miał żadnych telefonów, chyba że od nas.
- Bez przerwy szczekają w obu radiach.
- Poczekaj chwilę. - Alevy zbliżył się do radiostacji, nastawił je głośniej i przez kilka sekund słuchał. - Normalny ruch w eterze. Nie musisz się przejmować.
- Świetnie. Opanował pan sytuację?
- Jestem w trakcie.
- Znalazł ich pan?
- Tak, oboje są razem z nami.
- Wspaniale. Niech ich pan ode mnie pozdrowi.
- Dobrze. Słuchaj, Bill, jeśli ty i O'Shea będziecie mieli jakieś kłopoty, musicie sobie radzić sami. A jeśli o trzeciej czterdzieści pięć wciąż tam będziecie, a my się nie pojawimy, startujcie, zanim dotrze do was gaz. W porządku?
- W porządku.
- Od tej pory centralę będzie obsługiwać Lisa.
- Dobrze.
- No to na razie - powiedział Alevy. - Nie rozłączaj się jeszcze przez chwilę z Brennanem - zwrócił się do Lisy. - Łącz wszystkie rozmowy, które idą przez tę centralę, i słuchaj, o czym mówią. Drugim uchem słuchaj obu radiostacji. W porządku?
- Lisa kiwnęła głową.
- Nie powinno nam to zabrać więcej jak piętnaście minut. Jeśli usłyszysz, że mamy kłopoty, zadzwoń do Brennana i biegnij na lądowisko.

Chciałbym, żeby wy dostał się stąd przynajmniej jeden świadek. W porządku?

Spojrzała na Hollisa, który kiwnął głową.

– W porządku - odparł za nią Alevy. - Sam, chcę, żebyś zaprowadził mnie teraz do pomieszczenia, w którym prowadzą nasłuch.

Hollis uściskał jej rękę, podszedł do drzwi i powoli je uchylił.

– Droga wolna - powiedział i wyszedł z pokoju. Alevy i Mills ruszyli w ślad za nim.

Hollis poprowadził ich krótkim korytarzem w stronę czarnych metalowych drzwi, na których widniał napis STACJA MONITORINGU. Nacisnął powoli klamkę. Wszyscy trzej trzymali gotowe do strzału pistolety. Po chwili puścił klamkę i pokręcił głową.

– Zamknięte.

Podniósł dłoń, żeby zapukać, ale w tej samej chwili zobaczył zamontowany w futrynie przycisk i nacisnął go.

– Kto tam? - odezwał się po kilku sekundach czyjś głos.

– Czelcow - odparł Hollis.

– Już otwieram, towarzyszu poruczniku.

Hollis skrył się za drzwiami, a Alevy i Mills schowali pistolety.

– Zostań tutaj i pilnuj korytarza - powiedział do Hollisa Alevy.

Drzwi uchyliły się i ukazał się za nimi młody człowiek w samej koszuli. Na widok Alevy'ego i Millsa dał krok do tyłu i zasalutował, szukając jednocześnie wzrokiem porucznika Czelcowa.

Alevy i Mills weszli do środka małego, pozbawionego okien pomieszczenia. Jego ściany stanowiły betonowe płyty, a oświetlenie jarzeniówki. Przy indywidualnych konsolach siedziało ze słuchawkami na uszach sześciu mężczyzn, wsłuchanych, jak domyślał się Alevy, w odgłosy,

które docierały do nich z różnych, rozmieszczonych na terenie całego obozu mikrofonów. Co jakiś czas zmieniali kanały.

Naprzeciwko drzwi stała bateria magnetofonów szpulowych. Na ścianie po lewej stronie Alevy zobaczył dużą mapę obozu. Widniały na niej numery oznaczające, jak się domyślił, lokalizację urządzeń podsłuchowych.

– Czym mogę wam służyć, towarzyszu majorze? - zapytał młody mężczyzna w koszuli, wciąż wyprężony w postawie na baczność.

– Nie przeszkadzajcie sobie - odparł krótko Alevy.

Młody człowiek pospieszył do swojej konsoli i założył na głowę słuchawki.

Alevy i Mills stanęli pośrodku pokoju i rozejrzeli się dookoła. Alevy zauważył umieszczone nad drzwiami czerwone światelko, które musiało się zapalać, kiedy ktoś naciskał przycisk za drzwiami.

– Jak chcesz ich załatwić? - zapytał cicho.

Mills odchrząknął.

– Oni są nie uzbrojeni, Seth. Nie moglibyśmy zrobić tego bez rozlewu krwi?

– Chętnie, Bert. Gdybyśmy tylko mieli trochę więcej czasu.

Alevy zauważył, że kilku techników zerka na nich z zaciekawieniem. Posłał im surowe spojrzenie i z powrotem pochylili się nad swoimi konsolami.

– Ty załatwisz tych trzech, a ja trzech z drugiej strony i spotkamy się w środku. Liczę do trzech. Raz, dwa, trzy...

Alevy i Mills wyciągnęli zaopatrzone w tłumiki pistolety i otworzyli ogień. Stojący za drzwiami Hollis usłyszał łomot walących się na podłogę ciał. Ktoś krzyknął. Hollis dotknął klamki, ale w tej samej chwili drzwi otworzyły się i wypadł zza nich Mills wyglądający tak, jakby sam stracił sporo krwi. Po chwili ze stacji nasłuchu wyszedł Alevy.

– Teraz cele - powiedział.

Hollis zaprowadził ich z powrotem do sieni, a potem skręcił w długi korytarz, który biegł na tyły budynku. Doszli do celu i sprawdzali kolejno ich zasuwki, aż znaleźli tę, która była zamknięta. Hollis otworzył ją i zajrzał do środka. Na podłodze leżał jakiś mężczyzna. Nawet w przyćmionym świetle widać było, że ma na sobie porwane ubranie i jest straszliwie zmaltratowany.

– To chyba Dodson - stwierdził Alevy.

Hollis ukląkł obok mężczyzny i zbadał jego puls.

– Żyje.

– Zabierz go do pokoju łączności - powiedział Alevy, zwracając się do Hollisa. - Zaczekaj tam na nas razem z Lisą.

– Gdzie się wybieracie? - zapytał Hollis, wstając z klęczek.

– Gdzie możemy zdobyć jakiś pojazd?

– Na tyłach budynku powinien stać jeden albo dwa ziły - odparł Hollis, podchodząc do drzwi celi. - Idźcie dalej tym korytarzem.

– W porządku - odparł Alevy. - Zajedziemy od frontu. Jeśli nie zjawimy się w ciągu dziesięciu minut - dodał - biegnijcie razem z Lisą na lądowisko. Okay? Nie próbujcie taskać ze sobą Dodsona. Gdzie mogę znaleźć Burowa, jeśli nie zobaczę się z wami później?

– Przy wschodnim końcu głównej drogi - odparł Hollis. - Mieszka w dużej dacy. Są tam strażnicy i psy. Pomyśl o tym. Nie zapomnij - dodał - o pokoju strażników przy końcu korytarza.

Wrócił do Dodsona i zarzucił go sobie na ramię.

Alevy i Mills podeszli szybkim krokiem do drzwi, na których widniał napis POKÓJ STRAŻNIKÓW. Alevy otworzył je i razem z Millsem weszli do środka małego pomieszczenia. Pod ścianami stało sześć piętrowych wojskowych łóżek, a na niewielkim biurku zobaczyli telefon. W pokoju nie

było nikogo oprócz nagiego mężczyzny i kobiety leżących na dolnym posłaniu jednego z łóżek. Na podłodze leżały porozrzucone części munduru sierżanta KGB i ubranie kobiety. Sierżant usiadł szybko na łóżku, waląc się głową o górne posłanie, a potem stanął nagi w postawie na baczność. Kobieta naciągnęła kołdrę na głowę.

– Gdzie są inni wartownicy i kierowcy, sierżancie? - zapytał Alevy.

Sierżant przez chwilę nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Jeden wartownik i kierowca sprawdzają posterunki razem z kapralem - wykrztusił wreszcie. - Drugi wartownik i kierowca są na posterunku za budynkiem dowództwa.

– Kto jeszcze jest w budynku?

– Oficer dyżurny, łącznościowiec i technicy na stacji nasłuchu. Towarzyszu majorze, chciałbym wyjaśnić...

– W tył zwrot, sierżancie.

Sierżant zrobił w tył zwrot, a Alevy wyjął pistolet i strzelił mu w tył głowy. Rosjanin upadł na porozrzucone na podłodze sztuki garderoby. Mills wpakował trzy kule w skurczoną pod kołdrą postać. Ciało kobiety zadygotało i zastygło w bezruchu. Mills i Alevy przez chwilę popatrzyli na siebie, a potem odwrócili się i wyszli na korytarz.

Odnaleźli drogę do mieszczącej się na tyłach budynku sieni i otworzyli metalowe drzwi. Na betonowym, oświetlonym silną lampą rtęciową podwórku stał żół-6. Trochę dalej Alevy zobaczył maszynę, która przypominała średniowieczną katapultę.

Siedzący na stopniu żółta kagebista palił papierosa, a obok niego stał barczysty żołnierz Straży Granicznej z przewieszonym przez ramię AK-47. Dwaj Rosjanie zobaczyli, że drzwi do budynku otworzyły się i kierowca wstał ze stopnia. Żołnierz odwrócił się i stanął przodem do Alevy'ego i Millsa.

Alevy ruszył biegnącą w dół rampą w ich stronę. Kiedy zobaczyli, że mają do czynienia z oficerem, stanęli na baczność.

– Jestem major Woronin, z Moskwy, a to jest kapitan Molew - zwrócił się Alevy do kierowcy, który uzbrojony był w tkwiący w kaburze rewolwer.
- Sprawdzamy stan gotowości bojowej obozu.

– Tak jest, towarzyszu majorze.

– Czy to wasz stały posterunek?

– Tak jest, towarzyszu majorze.

– Jak się nazywacie?

– Strachow, towarzyszu majorze.

– Co należy do waszych obowiązków?

– Razem z szeregowym Filenko pilnujemy tylnego wejścia do dowództwa. Na żądanie sierżanta zapewniamy mu środek transportu.

Alevy zerknął na Filenkę, który wciąż trzymał w pełnej gotowości swojego kałasznikowa.

– Kiedy spodziewacie się przyjazdu drugiego kierowcy? - zapytał Strachowa.

– Nie ma ustalonego czasu, towarzyszu majorze. To zależy, ile czasu zajmie kapralowi sprawdzenie posterunków.

– Czy sprawdza obsadę stacji radiowej przy lądowisku?

Rosjanin przyjrzał się uważnie Alevy'emu i widać było, że się nad czymś intensywnie zastanawia. Alevy wiedział, że jego rosyjski jest dobry, dopóki używa krótkich prostych zdań i nie musi posługiwać się specyficznym wojskowym żargonem. Najwyraźniej coraz mniej przypominał dokonującego nieoczekiwanej inspekcji majora KGB z Moskwy.

Zauważył też, że Filenko nie patrzy już prosto przed siebie, ale przygląda się z zainteresowaniem Millsowi. Wiedział, że Bert w bardzo małym stopniu jest podobny do oficera KGB. Przypomniał sobie pytanie,

które zadawali sobie stale z Hollisem: do jakiego stopnia Amerykanin może przedzierzgnąć się w Rosjanina i *vice versa*.

– Pokażcie mi swoją broń - zwrócił się do Filenki.

Szeregowy zsunął, zgodnie z rozkazem, karabin maszynowy z ramienia i wyciągnął go przed siebie, stając w postawie prezentuj broń. Alevy złapał prawą dłoń za magazynek, ale Filenko nie puszczał broni z ręki. Dwaj mężczyźni mierzyli się przez chwilę wzrokiem.

– Czy może pan podać hasło na dzisiejszą noc, majorze? - zapytał Filenko.

Mills nie zrozumiał Rosjanina, ale nie podobało mu się to, co widział. Jego ręka powędrowała powoli do kabury.

Nagle drzwi, przez które wyszli, otworzyły się na oścież i stanęła w nich naga kobieta, cała we krwi. Zatoczyła się w progu i słaniając się ruszyła rampą w ich stronę, pokazując ręką na Alevy'ego i Millsa.

– Mordercy! Mordercy! - krzyczała po rosyjsku.

Zanim Alevy zdążył zareagować, Filenko wyrwał mu karabin z dłoni i wcisnął lufę w brzuch.

– Ręce na kark! - krzyknął.

Alevy położył ręce z tyłu głowy, a zaraz po nim uczynił to Mills. Strachow wyjął mu z kabury rewolwer. Kobieta zrobiła kilka kroków w ich stronę, a potem upadła na kolana, czepiając się płaszcza Millsa. Alevy odnotował położenie ran: jednej między pośladkami i drugiej powyżej prawej nerki. Trzecia kula musnęła jej prawą skroń. Zauważył także, że Bert zrobił się nagle bardzo blady i wygląda, jakby miał za chwilę wymiotować. Kobieta osunęła się na ziemię tuż przy jego stopach.

– Kim jesteście? - zapytał Strachow Millsa.

Mills nie zrozumiał go i gapił się bez słowa na Rosjanina.

– Odpowiadaj, bo zastrzelę cię na miejscu! - wrzasnął Strachow, mierząc z pistoletu w jego twarz.

– On nie może mówić - odezwał się Alevy. - Operacja gardła.

– Na kolana! - wrzasnął Strachow.

Alevy i Mills uklękli.

– Pilnuj ich - powiedział Strachow do Filenki. - Idę po porucznika Czalcowa.

Pobiegł z pistoletem w rękę w stronę drzwi i zniknął w środku budynku.

* * *

Hollis przeszedł szybko przez sień z przewieszonym przez ramię Dodsonem.

– To ja, Liso. Wchodzę do środka - powiedział, stając przed drzwiami do pokoju łączności.

Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich trzymająca w rękę pistolet Lisa.

Hollis położył Dodsona na podłodze.

– To jest Jack Dodson?... - zapytała.

– Z całą pewnością.

– Torturowano go... Będzie żył?

– Jestem pewien, że Burow zostawił w nim dość życia, żeby dobrze się prezentował podczas egzekucji. Puls i oddech ma w porządku. Jest prawdopodobnie naszpikowany dużą ilością narkotyków po to, żeby nie próbował zrobić sobie coś złego. Wyjdzie z tego. Zabierzemy go do domu.

Kiwnęła głową i przytuliła się do niego.

– Uciekajmy stąd, Sam.

– Już niedługo. Co u Brennana?

– Właśnie z nim rozmawiałam. - Uśmiechnęła się. - Mówi, że się nudzi.

– To dobrze. Co słyszeć w radiu?

Spojrzała na dwie stojące na stole radiostacje.

– Niewiele. Jak na razie normalny ruch. Rozmawiają ze sobą wieże i zmotoryzowane patrole.

– Czy ktoś chciał się skontaktować z dowództwem?

– Nie było żadnych meldunków.

Hollis kiwnął głową. Normalna procedura wojskowa polega na tym, że dowództwo łączy się z posterunkami, żądając raportów sytuacyjnych. Łączność w odwrotną stronę posterunki nawiązują tylko wtedy, jeśli zetkną się z jakimś problemem. Zastanawiał się, czy martwy łącznościowiec nie musiał o określonej porze łączyć się z wieżami i patrolami.

– Czy ktoś próbował telefonować? - zapytał.

– Nie. Pełna cisza.

– Doskonale.

Pomyślał, że jak na razie misja spełnia wszystkie warunki udanej tajnej operacji - był w niej moment zaskoczenia, odznaczała się szybkością i dyskrecją. Ale jeśli zabraknie tego ostatniego elementu, będą mieli przeciwko sobie sześciuset żołnierzy Straży Granicznej. Zerknął na dwa leżące na podłodze trupy. Bardzo rozgniewanych żołnierzy Straży Granicznej.

– Świetnie sobie radzisz - powiedział do Lisy.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Dziękuję. Gdzie są Seth i Bert?

– Organizują jakiś pojazd - odparł, wyglądając przez wysokie, wąskie okno, które wychodziło na główną drogę. - Powinni tutaj być za minutę albo dwie. Wyjdę do sieni, żeby odryglować drzwi wejściowe i rozejrzeć się. Ty zostań tutaj. Będę miał na oku drzwi do tego pokoju. Weź po prostu głęboki oddech i pomyśl... pomyśl o jesieni w Nowym Jorku.

– Razem z tobą.

Hollis uściskał jej rękę, wyszedł do sieni i odryglował frontowe drzwi. Nagle usłyszał dobiegające z korytarza echo czyichś kroków i odwrócił się. Do sieni wpadł pędem, trzymając w ręku pistolet, mężczyzna w szynelu KGB.

– Poruczniku Czelcow! - krzyknął, nie widząc Hollisa. Stał przed biurkiem oficera dyżurnego, a potem jego wzrok przykuło poplamione krwią krzesło i ślady, które pozostawiły wleczone po podłodze trupy Czelcowa i strażnika. Przez chwilę przyglądał się biegnącym w stronę pokoju łączności krwawym smugom, a potem odwrócił się i zobaczył stojącego, przy drzwiach Hollisa.

Hollis mierzył do niego ze swego tokariewa. Wiedział, że odległość jest zbyt duża, żeby zagwarantować celny strzał, a kaliber pocisku zbyt mały, żeby zabić.

– Rzuć broń! - zawołał po rosyjsku.

Rosjanin odwrócił się nagle na pięcie i rzucił do ucieczki. Hollis strzelił dwa razy ze swego zaopatrzonego w tłumik pistoletu, ale obie kule trafiły w betonową ścianę nad głową uciekającego, który zniknął w korytarzu.

Hollis rzucił się w pogoń. Rosjanin był dobre dziesięć metrów przed nim i zmierzał w stronę cel, ale potem nagle przyhamował, poślizgnął się na malowanej betonowej podłodze i skreślił pod kątem prostym w inny korytarz. Hollis wypalił do niego dwa razy. Kagebista odwrócił się, oddał jeden strzał i zniknął mu z oczu. Hollis dobiegł do przecinających się korytarzy i nie zwalniając kroku skreślił w bok. Jego sportowe buty dobrze trzymały się podłogi.

Zobaczył, jak Rosjanin znika w pokoju strażników.

– Sierzancie! Sierzancie! - usłyszał jego głos.

Pchnął ramieniem nie domknięte drzwi, przeturlał się dwa razy i padł na podłogę. Rosjanin odwrócił się i strzelił w stronę drzwi, ale w tej samej chwili Hollis wpakował mu w pierś trzy ostatnie naboje. Kagebista opuścił w dół pistolet i mierzył przez chwilę w twarz Hollisa, a potem nagle stracił równowagę i przewrócił się do tyłu.

Hollis zerwał się i rzucił w jego stronę, a potem zatrzymał się, widząc, o co tamten się potknął: na podłodze leżał z głową w kałuży krwi nagi mężczyzna.

Pochylił się, wyjął pistolet z dłoni kagebisty i rozejrzał się po skąpo oświetlonym pokoju. Zobaczył walający się po podłodze mundur KGB i ubranie kobiety. Zauważył, że dolne posłanie jednego z piętrowych łóżek zalane jest krwią i domyślił się, że byli już tutaj Alevy i Mills.

Mężczyzna, którego postrzelił, zajęczał i Hollis ukląkł obok niego. Rosjanin miał na sobie płaszcz, wciąż chłodny w dotyku, co oznaczało, że niedawno wszedł do budynku - przez te same tylne drzwi, przez które musieli wyjść Alevy i Mills. Hollis wyprostował się, trzymając w ręku jego pistolet.

Kagebista spojrzał na niego i w jego oczach pokazały się łzy. Hollis rozpoznał w nim jednego ze strażników, który pilnował go podczas pobytu w celi; tego, który powiedział, że nie będzie miał ochoty się pieprzyć.

– Tak mi przykro... - jęknął mężczyzna. - Tak mi przykro...

– Podobnie jak mnie - stwierdził Hollis. Wyjął magazynek z pistoletu kagebisty i wsunął go do własnego. Przystawił mu lufę do głowy, a potem zawahał się, odwrócił i wyszedł szybko na korytarz.

* * *

Fileenko ukląkł i odwrócił nagą Rosjankę na plecy.

– To kobieta sierżanta. Dlaczegoś ją zastrzelił? Ty! - krzyknął na Alevy'ego. - Odpowiadaj!

– Zabiję i ciebie, Filenko... - odparł Alevy.

– Zamknij się! Nie jesteś Rosjaninem. Kim jesteś?

– Estończykiem.

– Więc mów po estońsku. Znam kilka słów w tym języku.

– Proszę bardzo - odparł po rosyjsku Alevy. - Liczę do trzech, Bert - odezwał się po angielsku, wciąż wpatrując się w Filenkę. - Raz, dwa...

Drzwi do budynku otworzyły się, ale Rosjanin nie spuszczał z oczu Alevy'ego i Millsa.

– To ty, Iwan?!... - zawołał.

Nagle zachwiał się, upuścił broń i osunął na ziemię, przyciskając ręce do boku.

Hollis zbiegł w dół po rampie, a Alevy i Mills podnieśli się z klęczek. Bert podniósł karabin Filenki.

– Jeden z nich wszedł do środka... - poinformował Hollisa Alevy.

– Załatwiłem go.

– Dobrze. Zaciągnijmy tych dwoje do budynku.

Hollis zobaczył, że leżący na plecach Filenko wciąż żyje i nie spuszcza z niego wzroku. Ukląkł przy półprzytomnej nagiej kobiecie, która pojękując leżała na zimnym betonie.

– To Jane Landis...

– Znasz ją? - zapytał Alevy.

– Tak. To żona tego Amerykanina, którego spotkaliście. Tima Landisa. Ty do niej strzelałeś? - zapytał wpatrując się w Alevy'ego.

– Zostałem ją w łóżku z dowódcą straży - odparł Alevy.

– Nie...

– Tak.

- Była nastawiona bardzo antysowiecko.
- Nie kiedy ją zobaczyłem.
- Może zbierała od nich informacje.
- Albo im przekazywała - zauważył Alevy.
- Może robiła to, żeby pomóc mężowi... Nie wiem.
- Ja też nie wiem, Sam.

Hollis spojrzał na Jane Landis, która wlepiła w niego oczy i poruszyła wargami, próbując coś powiedzieć.

- Sam... pomóż mi...

Mills chrząknął głośno.

- Mój Boże, tak mi przykro - powiedział.
- To nie ma znaczenia - stwierdził Alevy. - Wnieście ją do środka.
- Co to za machina, Sam? - zapytał Bert.

– Za jej pomocą wydostał się stąd Dodson - odparł Hollis, biorąc Jane Landis na rękę. - Myślę, że jutro rano Burow chciał za jej pomocą stracić Dodsona i dziesięciu innych.

- Chryste Panie... - zachłysnął się Mills.

Alevy kiwnął głową.

- Muszę dostać tego faceta w swoje ręce - powiedział.

Hollis zarzucił sobie Jane Landis na ramię i wniósł ją do środka budynku. Mills i Alevy ruszyli za nim, wlokąc za rękę Filenkę. Skręcili w korytarz, do którego przylegały cele. Wciągnęli do jednej z nich Rosjanina i zaryglowali drzwi.

– Musisz ją tu zamknąć - zwrócił się Alevy do Hollisa. - Nie wiem, kim ona jest, i nie obchodzi mnie to.

- Ona umiera, Seth.

- Nie obchodzi mnie to! - Alevy otworzył drzwi do kolejnej celi. - Tutaj.

Hollis niechętnie położył Jane Landis na zimnej podłodze i ukląkł obok niej.

– Nie zostawiaj mnie, Sam.

Chciał zapytać ją, jak do tego doszło, ale pomyślał, że Jane Landis, czy jakkolwiek brzmiało kiedyś jej nazwisko, podobna była do *matriuszki*, składającej się z wielu wkładanych jedna do drugiej lalek. Każda z nich była prawdziwa i każda pusta, każda dokładnie pasująca do następnej.

Alevy położył mu rękę na ramieniu. Hollis wstał i rozejrzał się po celi.

– Tutaj właśnie mnie trzymali - powiedział. - Lisa siedziała obok.

Alevy nie odezwał się ani słowem. Hollis wyszedł z celi, a Alevy zamknął i zarygłował drzwi.

– Jeżeli przeżyje, wejdzie w skład grupy, którą wymienimy za agentów - oświadczył.

Hollis nie bardzo wierzył zarówno w jedno, jak i drugie.

– Dziękujemy, że po nas wróciłeś - powiedział Mills.

– Zastanawiam się, po co uzgadnialiśmy wcześniej plan, skoro i tak się go nie trzymasz - burknął Alevy, który najwyraźniej nie poczuwał się do szczególnej wdzięczności.

– Czy to, że dałeś się załatwić tym dwóm facetom, było zgodne z planem? - zapytał Hollis.

– Wracaj do pokoju łączności - polecił Alevy Millsowi. - Zadzwoń jeszcze raz do Brennana, a potem zagłusz obie radiostacje i zniszcz centralę. Sam, ty idziesz ze mną. Weźmiemy ziła i zajedziemy nim od frontu. Nie ma czasu do stracenia.

Hollis i Alevy pobiegli z gotowymi do strzału pistoletami na tyły budynku i otworzyli metalowe drzwi. Ził wciąż stał na betonowym podjeździe, oświetlony jaskrawym światłem lampy.

– Idę pierwszy. Kryj mnie - powiedział Alevy.

Podbiegł do ziła i wskoczył na siedzenie kierowcy. Jak większość pojazdów wojskowych ził nie miał stacyjki i żeby go uruchomić, wystarczyło nacisnąć przycisk. Silnik zaskoczył za pierwszym razem.

Hollis wskoczył na sąsiedni fotel, a Alevy wrzucił bieg i ruszył.

– Nie życzę sobie, abyście razem z Lisą kwestionowali sposób, w jaki prowadzę tę operację - powiedział.

– Myślę, że tym, co należy zakwestionować, jest twoja poczytalność - odparł Hollis.

Alevy przyjrzał mu się z ukosa.

– Wiem, co robię, Sam.

– Ja też wiem, co robisz. Rób to beze mnie.

– Więc idź. Nie potrzebuję ani ciebie, ani jej.

– Odejdę, jeśli pozwolisz mi zabrać Millsa. Nie powinien ginąć tylko po to, żebyś ty zasłużył sobie na nieśmiertelność.

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– O twoim pragnieniu, żeby zapisać osobny rozdział w tajnych annałach Langley i Łubianki.

– Wydaje ci się, że mnie rozgryłeś, prawda? - zapytał Alevy.

– Chyba jestem blisko.

– Nie mam zamiaru popełniać samobójstwa. Jutro po południu chcę być w Londynie.

Hollis nie odezwał się ani słowem.

* * *

Mills przeszedł szybko przez sień i stanął przy drzwiach pokoju łączności.

– Liso, to ja, Bert Mills - powiedział cicho.

– W porządku, Bert.

Mills wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Gdzie jest Sam? - zapytała. - Wszedł do sieni...

– Jest razem z Sethem. Podjadą samochodem od frontu.

Lisa kiwnęła głową. Mills zauważył Dodsona, leżącego na podłodze obok dwóch martwych Rosjan. Ukląkł i spojrzał na jego poobijaną twarz.

– Mój Boże... - Sprawdził mu puls. - Żyje - powiedział i popatrzył na Lisę. - Rozumiem, dlaczego Sam chce go zabrać, Liso, ale taskając tego faceta znacznie obniżamy nasze szanse.

– Skoro Sam chce go wziąć, zrobimy to.

Mills zerknął na nią, a potem wzruszył ramionami i wstał.

– Dlaczego was tak długo nie było? - zapytała.

– Mieliśmy małe komplikacje - odparł, nie wspominając o Jane Landis. - Ale wszystko jest już w porządku.

– Bert... - powiedziała, spoglądając na niego. - Cała ta jatka... Robi mi się od tego niedobrze.

– Porozmawiamy o tym, kiedy będziemy poza zasięgiem KGB. Mnie od nich się robi niedobrze.

Kiwnęła głową. Mills podszedł do centralki, założył na głowę słuchawki i nacisnął przycisk.

– *Da. Niczewo* - odezwał się głos w słuchawkach.

– Bill, to ja, Bert Mills.

– Aha... wszystko w porządku?

– Na razie tak. Co u ciebie?

– Nie wiem...

– O co chodzi?

– Z jednej z wież skierowali na parę sekund reflektor na helikopter. O'Shea pewnie narobił w portki. Ale poza tym nic się nie dzieje. Wciąż gadają przez radio, ale to dla mnie chińska magia.

– Powiedz, na jakie częstotliwości masz nastawione oba radia.

– Poczekaj chwilę.

Po paru sekundach Brennan odezwał się ponownie i podał pasma.

– Teraz ucichli - dodał.

Mills sprawdził radiostacje w pokoju łączności i stwierdził, że częstotliwości są takie same.

– W porządku, Bill, teraz zagłuszę oba radia i ty zrób to samo. Potem zniszczę centralkę, więc to nasza ostatnia rozmowa. Zobaczymy się później. Nie zaśnij tam.

Brennan zachichotał.

– *Da.*

Mills wyjął rewolwer i strzelił w połączenia centralki. Posypały się iskry, a pokój wypełnił się zapachem spalonej izolacji. Podszedł do obu trzeszczących radiostacji i zwiększył moc głośników.

– Co mówią? - zapytał.

Lisa przez chwilę przysłuchiwała się głosom dobiegającym z głośnika krótkofalówki.

– Ktoś, kto przedstawia się jako „wieża numer jeden”, wzywa lądowisko - powiedziała.

– Tego się właśnie obawiałem - stwierdził Mills.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej taśmę, której użył do zmiany numeru identyfikacyjnego helikoptera, i oblepił nią przyciski na obu mikrofonach.

– Teraz oba radia są zagłuszone? - zapytała Lisa.

– Tylko na tych częstotliwościach.

Przyglądał się przez chwilę obu radiom, a potem wskazał metalową tabliczkę na odbiorniku wysokich częstotliwości.

– Co tu jest napisane?

– Automatyczne strojenie... - przeczytała. - Coś w tym rodzaju.
– Tego szukałem. - Wcisnął przycisk nad tabliczką i wskaźnik częstotliwości zaczął jeździć po całej skali. - Używa się tego do łapania najsilniejszego sygnału, który występuje na danym obszarze... działa tak samo jak skaner w radiu samochodowym - powiedział. - A kiedy mikrofon włączony jest na stałe, radio staje się potężną zagłuszarką. - Włączył automatyczne strojenie krótkofalówki. - To powinno całkowicie sparaliżować ich łączność.

– Ale jednocześnie zorientują się, że dzieje się coś niedobrego - powiedziała Lisa.

Mills nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w koszarach KGB zdają już sobie z tego sprawę.

– Niedługo się stąd zwijamy - powiedział.

– Naprawdę?

– Niedługo - odparł Mills.

Spojrzał na zegarek, a potem na Lisę. Żadne z nich się nie odezwało.

* * *

Hollis i Alevy zaparkowali ziała przed budynkiem dowództwa i weszli do sieni.

– To my! - zawołał Alevy, stając przed drzwiami pokoju łączności. Weszli do środka i Lisa rzuciła się Samowi na szyję.

Alevy ukląkł przy Dodsonie i dokładnie mu się przyjrzał. Major był nieogolony i brudny; miał pokaleczoną i spuchniętą twarz, skołtunione włosy i prawdopodobnie złamany nos. Ubrany był w podarty i pochlapany krwią dres. Alevy podniósł do góry jego powieki.

– Jest naprawdę w fatalnym stanie - stwierdził.

– Nic dziwnego - odparł Hollis. - Spędził kilka tygodni w szczerym polu, a potem był przez kilka dni torturowany. Ale przede wszystkim jest naszpikowany narkotykami. Wyjdzie z tego. Jedzie z nami.

Alevy wstał.

– W porządku - powiedziała. - Ruszajmy.

– Do helikoptera? - zapytała Lisa.

– Nie. Po Burowa.

– Dlaczego, Seth?

– Ponieważ po to właśnie tutaj przyleciałem.

Złapała go za rękę.

– Po to tutaj przyleciałeś?!

– To znaczy... przyleciałem po ciebie i po Sama. Ale...

– Seth, w tym miejscu roi się od Rosjan! - Spojrzała na Hollisa. - Ilu ich jest, Sam? Sześciuset czy siedmiuset?

– To nie ma najmniejszego znaczenia - oświadczył krótko Alevy. - I tak nie mam zamiaru wdawać się z nimi w wymianę ognia. Chcę być po prostu daleko stąd, zanim się obudzą. Nie mam czasu na kłótnie. Dlaczego nie weźmiesz razem z Samem Dodsona - zwrócił się do Lisy - i nie pojedziecie zimą na lądowisko?

– Zostajemy z tobą - stwierdził Hollis. - Nic ci nie jest? - zapytał Lisę.

– Po prostu umieram ze strachu.

– Ja też - przyznał Alevy w niezwykłym u niego przyпыwie szczerości. - Więc skończmy to jak najszybciej i wracajmy do domu.

Mills pomógł Hollisowi wziąć Dodsona na plecy i przeszli szybko przez sień. Alevy otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

– Droga wolna.

Zbiegli szybko po schodkach. Bert opuścił tylną klapę zia i pomógł Hollisowi umieścić majora za tylnymi fotelami. Potem usiadł obok

Alevy'ego, a Sam i Lisa wskoczyli na tylne siedzenia.

– Nie może was być widać - powiedział Alevy.

Hollis i Lisa usadowili się na podłodze, a Alevy ruszył spod budynku dowództwa i skręcił w prawo, w stronę dachy Burowa.

.41.

Jechali wolno pogrążoną w ciemności drogą.

– Nie potrzebujemy Burowa, Seth - powiedziała z tyłu Lisa. - Weźmy po prostu drugiego Amerykanina. Po prawej stronie drogi stoi dom generała Austina. Chciałeś go zabrać.

– Ale wy chcieliście zabrać Dodsona. Zostało miejsce tylko dla jednego i będzie nim pułkownik Piotr Burow. Prawda. Sam?

Hollis nie odpowiedział.

– Mamy problemy na lądowisku, Seth - odezwał się Mills.

Opowiedział o skierowanym z wieży reflektorze i próbach wywołania załogi lądowiska przez radio.

Alevy przez chwilę milczał.

– Nie wpadajmy w panikę - powiedział wreszcie. - Jeszcze trochę, a doprowadzimy do końca najbardziej efektowną operację tego dziesięciolecia. Co o tym myślisz, Sam?

Hollis pomyślał, że człowiek rozsądny rozważyłby wszystkie za i przeciw i doszedł do wniosku, że operacja zaczyna się sypać. Ale Alevy był człowiekiem nawiedzonym, a nawiedzonym Hollis nie ufał.

– Sam?

– Sądzę, że wszyscy i tak żyjemy na kredyt - odparł Hollis. - A ty, Bert? Co sądzisz?

Bert wydawał się rozdarty pomiędzy lojalnością wobec Alevy'ego a tym, co podpowiadał mu rozsądek. Spojrzał z ukosa na swego szefa.

– Seth... mamy Sama i Lisę, mamy Amerykanina... helikopter będzie i tak przeciążony. Myślę, że powinniśmy się zwijać.

Alevy odwrócił się do tyłu i spojrzał na Hollisa.

– Ty licytujesz, Sam. Czy chcesz mieć Burowa, czy pozwolisz mu działać dalej? Może jutro, kiedy obudzi się po Sandmanie, zamorduje nie dziesięciu, a dwudziestu Amerykanów.

– Nie będziemy się licytować, kto jest większym chojrakiem - odparł krótko Hollis.

– Nie kwestionuję twojej odwagi. Chcę tylko wiedzieć, czy masz do wyrównania jakieś osobiste rachunki. W naszym fachu osobista motywacja pomaga w podjęciu właściwej decyzji. Więc jak?

Sam spojrzał na Lisę.

– Jedź dalej - powiedział do Alevy'ego.

– Myślę, że teraz obaj wiemy, co o sobie sądzić - zauważył Alevy.

Lisa oparła się o drzwi i wlepiała wzrok w Hollisa. On nie spuścił oczu. Przypomniał sobie wycieczkę do klasztoru Nowodziewiczego, kiedy kulili się na podłodze, a na przednich siedzeniach siedziały Jane Ellis i Betty Eschman. To było małe piwo, pomyślał, w porównaniu z tym, co działo się teraz. Ale to, co działo się teraz, było nieuniknionym rezultatem tego, w co wdepnęli w Moskwie.

Lisa trąciła go stopą i uśmiechnęła się z przymusem.

– Pamiętasz Nowodziewiczy?

Hollis kiwnął głową. Ich wspólna historia była krótka, ale bogata w wydarzenia.

– Nie przekraczaj dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę, bo zwrócisz na siebie uwagę - zwrócił się do Alevy'ego.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu. Droga skręcała w lewo.

– Co to jest, do diabła? - zapytał nagle Alevy.

Hollis uniósł się trochę i wyjrzał przez okno.

– To Pine Corners Shopping Plaza. Nigdy przedtem nie widziałeś pasażu handlowego?

Mills roześmiał się.

– Jezu Chryste...

Alevy spojrział w górę, na siatkę kamuflażową, która zasłaniała nocne niebo, a potem skręcił w stronę parkingu i przejechał powoli obok witryn sklepowych.

– Seven-Eleven!

– Rekwizytów dostarcza Mosfilm.

– Serio? - Alevy przyjrzał się dokładnie wystawom i pokiwał głową. - Całkiem nieźle... Czy mają tutaj...

– Opowiem ci wszystko - przerwał mu Hollis - w Londynie. Jedźmy dalej.

Nagle na drodze pokazały się światła i zobaczyli potężną ciężarówkę, Ził-131, która mijala parking, kierując się w stronę dowództwa.

– Jeżeli zatrzymają się przy dowództwie - powiedział Mills - nie spodoba im się to, co tam zobaczą.

Alevy dodał gazu, wjechał z powrotem na drogę i ruszył w ślad za ziłem. W świetle jego reflektorów ukazało się około dwudziestu siedzących na skrzyni ciężarówki, uzbrojonych w AK-47 żołnierzy.

Alevy nacisnął klakson i zamrugał światłami. Kierowca ziła wystawił rękę przez okno i zatrzymał ciężarówkę. Po chwili wysiadł i ruszył w ich stronę.

– Strachow?! - zawołał.

– Nie wychylajcie się - powiedział Alevy do Sama i Lisy i otworzył drzwiczki samochodu. - Siądź za kierownicą - polecił Millsowi.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę kierowcy ciężarówki, który osłaniał dłonią oczy przed oślepiającym światłem reflektorów.

– Kto idzie? - zapytał kierowca.

– Major Woronin.

Rosjanin zasalutował i wyprężył się na baczność.

– Dokąd wieziecie tych ludzi? - zapytał Alevy.

– Żeby wymienić obsadę posterunków.

– Jakich posterunków?

– Na wieży numer jeden i dwa, towarzyszu majorze, w dowództwie, przy bramie i przy lądowisku. Właśnie zmieniłem wartę przy dacy.

– Daczy pułkownika Burowa?

– Tak jest, towarzyszu majorze.

– Ilu zostawiliście tam ludzi?

– Trzech.

Alevy rzucił okiem na dwudziestu siedzących z tyłu ciężarówki, uzbrojonych mężczyzn. Wszystkie głowy skierowane były w ich stronę.

– Obsada posterunków w dowództwie i przy lądowisku - zwrócił się do kierowcy - będzie pełniła służbę dwie godziny dłużej za okazany brak czujności.

– Tak jest, towarzyszu majorze. Z czyjego rozkazu?

– Mojego, kapralu. Jedźcie bezpośrednio pod wieże i pod bramę, a potem odwieźcie swoich ludzi na kwatery.

– To znaczy do koszar, towarzyszu majorze?

– Tak, do koszar. - Alevy poczuł, jak po czole spływają mu spod czapki krople potu. - Odmaszerować.

Kierowca wahał się przez chwilę, a potem zasalutował i zrobił w tył zwrot.

Alevy wrócił do samochodu i usiadł obok kierowcy.

– Zawróć, Bert.

Mills miał pewne kłopoty z wrzuceniem wstecznego biegu, a potem puścił zbyt szybko sprzęgło i ził zgasł.

– Niech to diabli!

Wielka, stojąca przed nimi ciężarówka nie ruszała z miejsca. Bert ponownie uruchomił silnik i szarpiąc ził zakręcił na trzy razy. Ciężarówka zaczęła się powoli oddalać. Nikt się nie odzywał. Mills ruszył z powrotem w stronę dachy Burowa.

– Nie umiem prowadzić rosyjskich wozów - powiedział cicho.

– Słyszałem, jak rozmawiałeś z tym kierowcą - odezwał się z tyłu Hollis, zwracając się do Alevy'ego - i nie wydaje mi się, żeby to kupił.

– Nie rozumiesz rosyjskiej duszy.

– Rozumiem duszę wojskowego. Żołnierze wykonują rozkazy otrzymywane od własnych oficerów, ale niekoniecznie od oficera, którego pierwszy raz widzą na oczy.

– Moim zdaniem poradziłem sobie z nim całkiem nieźle. Chcesz wracać, czy jedziemy po Burowa?

– Jedziemy - odparł Hollis.

Lisa prychnęła zdenerwowana.

– Proszę, Bert, może ty spróbujesz przemówić tym dwóm do rozsądku?

– Nie uda mi się - odparł po chwili zastanowienia Mills.

– Czy to nie budka strażnika, tam przed nami? - zapytał po minucie Alevy.

Hollis wyjrzał przez przednią szybę.

– Zgadza się. Dach otoczona jest ogrodzeniem z drutu kolczastego. W środku spuszczone są psy. W budce powinno być dwóch kagebistów. Trzeci pełni straż w środku dachy. Ale nigdy nic nie wiadomo.

– Kierowca potwierdził, że jest ich trzech - powiedział Alevy. - Ty zajmiesz się strażnikiem, który do nas podejdzie - zwrócił się do Millsa. - Ja załatwię tego w budce.

– W porządku.

– Zwolnij trochę.

Mills zdjął nogę z gazu. Alevy przyjrzał się zarysowi stojącej w ciemności, w odległości jakichś stu metrów od bramy niezbyt dużej daczki. Bert ostro zahamował i silnik ponownie zgasł.

– Nie daję sobie rady z tym drążkiem zmiany biegów - powiedział, wciskając z powrotem starter. Wyjął pistolet i położył go sobie na kolanach.

Jeden z wartowników podszedł do samochodu od strony kierowcy i przyjrzał się Millsowi przez otwartą szybę.

– Słucham, towarzyszu kapitanie? - zapytał.

Mills władował mu pojedynczą kulę między oczy, a Alevy otworzył drzwiczki i stanął na stopniu ziła. Drugi wartownik wciąż znajdował się w niewielkiej budce i Alevy widział, jak wściekle kręci korbą polowego telefonu, sięgając jednocześnie po karabin. Oparł pistolet o dach samochodu i wpakował wszystkie osiem pocisków w budkę. Posypało się szkło i drewniane drzazgi. Wartownik runął na podłogę.

Bert zgasił reflektory ziła. Alevy ruszył w stronę bramy. Hollis wysiadł z samochodu, dogonił go i złapał za ramię.

– On jest mój.

– W porządku. Ale nie zabijaj go.

– Wiem.

Alevy spojrział na zegarek.

– Za trzydzieści cztery minuty musimy być na lądowisku - powiedział.

– Pozwól mi iść ze sobą - poprosiła Sama Lisa. - Pomogę ci załatwić strażnika w środku daczki.

Hollis kiwnął głową i otworzył bramę.

– Po lewej stronie domu stoi trans am Gregory'ego Fishera - powiedział do Alevy'ego. - Wyjedziemy nim stąd.

Alevy przez chwilę nie rozumiał, o co chodzi.

– Trans am Fishera? Tutaj?...

– Jeździ nim Burow. Kluczyki są najprawdopodobniej w stacyjce.

Alevy kiwnął głową.

– Dobry pomysł, Sam. Do tej pory mogli już zacząć szukać ziła. A jeśli trans am należy teraz do Burowa, nie będzie wzbudzał podejrzeń.

– Poza tym potrzebny nam będzie szybki, zwrotny samochód - dodał Mills. - Ził to rzęch.

– Wszystko to może i prawda - stwierdził Hollis. - Ale ja pojedę pontiakiem, bo... taką po prostu mam ochotę.

Wziął Lisę pod ramię i pobiegli asfaltową alejką w stronę daczy. Z ciemności wynurzyły się nagle, atakując ich z dwu różnych kierunków, dwa niemieckie owczarki. Hollis padł na ziemię i wziął na cel psa, który nadbiegał z lewej strony. Broń kaszlnęła cicho, a pies głośno zaskowyczał. Hollis przeturlał się w prawo. Drugi owczarek był tuż przy nich; strzelając mu w otwarty pysk poczuł na twarzy jego oddech.

Podniósł się i pomógł wstać Lisie.

– Nic ci się nie stało?

– Nic.

Dobiegli do frontowych drzwi daczy i Hollis dał jej znak głową. Lisa nacisnęła klamkę i stwierdziła, że drzwi są otwarte. Schowała pistolet do kieszeni kurtki i wślizgnęła się do środka. W przyćmionym świetle lampy zobaczyła siedzącego w obszernej sieni wartownika. Mierzył do niej z pistoletu maszynowego. Lisa przymknęła za sobą drzwi i nie ruszała się z miejsca.

– Kim jesteś? - zapytał wartownik.

Lisa przyłożyła palec do ust.

– Jestem Lisa Rhodes - powiedziała szeptem po rosyjsku. - Nowa Amerykanka. Pułkownik chciał się ze mną widzieć.

– Nic mi nie mówił - stwierdził wartownik.

– Powiedział strażnikom przy bramie.

Twarz wartownika wykrzywiła się w uśmiechu.

– I po co, twoim zdaniem, pułkownik chce cię widzieć w środku nocy?

– Chce się ze mną kochać.

Wartownik uśmiechnął się głupkowato i położył na biurku swój automat.

– Muszę iść na górę go obudzić - powiedział i zdjął buty. - Wejdz do salonu i rozbierz się - zwrócił się do niej. - Na piętrze śpi jego stara, więc będziecie to musieli robić na dole - stwierdził, obchodząc w skarpetkach biurko.

Lisa otworzyła na oścież drzwi i usunęła się na bok. Do środka wpadł Hollis. Strzelił do sięgającego po automat wartownika, a potem podbiegł bliżej i złapał go wpół, nie dając upaść na podłogę i sadzając z powrotem na krześle. Na ustach Rosjanina pojawiła się krwawa piana. Przy każdym oddechu z rany na piersi dochodził odgłos ssania.

Sam wziął Lisę pod ramię i odprowadził ją w stronę frontowych drzwi.

– Wyjdz stąd - szepnął. - Żadnych kłótni.

– Proszę cię, Sam... bądź ostrożny...

Hollis otworzył drzwi i wypchnął ją na zewnątrz, a potem odwrócił się i spojrzał na wartownika, który nie odrywał od niego wzroku. Minął go, a potem odwrócił się, złapał za ramię i strzelił w tył głowy, nie dając zsunąć się z krzesła.

Minął sień i ruszył po schodach na górę. Schody zaskrzypiały, ale nie zatrzymał się.

– Natalio, czy to ty, kochanie? - dobiegł go kobiecy głos.

Hollis zamarł w bezruchu. Usłyszał czyjeś kroki.

– Piotrze, Natalia jest w swoim pokoju - odezwała się znowu kobieta.

– To strażnik. Wracaj do łóżka - odpowiedział jej Burow.

Hollis ponownie usłyszał kroki, a potem odgłos zamykanych drzwi. Pokonał ostatnie stopnie i znalazł się w dużym holu na piętrze. Po lewej stronie zobaczył dwoje uchylonych drzwi. Jedne prowadziły prawdopodobnie do sypialni matki Burowa, a drugie do pokoju jego córki, Natalii. Po prawej stronie, za zamkniętymi drzwiami mieściła się zapewne główna sypialnia. Hollis skierował się na prawo. Przez chwilę nasłuchiwał, a potem nacisnął klamkę. Otworzył drzwi na oścież i skoczył do środka, padając na ziemię, robiąc obrót i mierząc z pistoletu w stronę łóżka.

– Nie ruszaj się!

W pokoju panowała ciemność, tylko w jednym miejscu paliła się czerwona żarówka. Kiedy oczy przyzwyczyły mu się do mroku, stwierdził, że w rzeczywistości jest to czerwona gwiazda jarząca się na szczycie drewnianej makiety kremlowskiej Wieży Spasskiej. To wydało mu się dziwne, ale jeszcze dziwniejszy był widok pustego pojedynczego łóżka, na którym leżała szmaciana lalka. Hollis zrozumiał, że wpadł w pułapkę, ale było już za późno.

Usłyszał za sobą trzask odbezpieczanego rewolweru.

– Rzuć broń - powiedział Burow.

Hollis wykonał polecenie.

– Nie wstawaj. Odwróć się do mnie na kolanach.

Hollis powoli odwrócił się do pułkownika, który zapalił górne światło. Stał boso w drzwiach mierząc do niego z wielkiego rewolweru. Ubrany był we flanelową piżamę.

– Niektóre rodziny ćwiczą próbne alarmy przeciwpożarowe - powiedział. - My tutaj ćwiczymy inne alarmy. A wy uważacie Rosjan za głupców.

Hollis nie odpowiedział.

– Głupi jest ten - ciągnął dalej - kto klęczy na kolanach, gapiąc się w lufę pistoletu. - Przyjrzał się z ciekawością Hollisowi. - Po co tutaj przyszedłeś?

– Żeby cię zabić, ty idioto.

– Nie, w takim przypadku strzeliłbyś po prostu w puste łóżko. A ty zawołałeś „nie ruszaj się!” Chciałeś mnie wziąć do niewoli. Skąd wziąłeś pistolet?

– Nie twój interes.

– Jesteś sam?

– A jak myślisz?

– Myślę, że nie. Zabiłeś strażników?

– Tak.

– I moje psy?

– Tak.

Rosjanin pokiwał w zamyśleniu głową.

– Mój telefon nie działa i myślę, że na dole są twoi ludzie. Jesteśmy więc obaj w nie najlepszej sytuacji.

Hollis nie odezwał się.

– Wszczęliście bunt? To czyste szaleństwo. Mam tutaj sześciuset uzbrojonych żołnierzy. Chcecie, żebym odwołał egzekucję Dodsona?

– Chcę, żebyś się dowiedział, ile władzy ma ten, kto trzyma w ręku rewolwer. Władza zależy od czego innego. A autorytetu nigdy nie zdobywa się siłą. Wiesz już teraz?

– Wyłaź stąd - warknął pułkownik. - Na czworakach.

Cofnął się, a Hollis wyszedł na czworakach do holu.

– Na prawo - powiedział Burow. Zrównał się z nim i kopnął bosą piętą w głowę. - Pokażę ci, kto ma tutaj władzę i autorytet. Z powrotem do sypialni! Kładź się na plecy!

Hollis wszedł na czworakach do sypialni i położył się na plecach. Pułkownik zniknął mu na chwilę z oczu, a potem przydeptał twarz stopą.

– Zdejmij kurtkę i bluzę. I ściągnij spodnie pod kolana.

Hollis powoli usiadł i wykonał polecenie. Stojący za nim Burow podniósł kurtkę z podłogi.

– Kładź się. Ręce pod tyłek.

Hollis położył się i schował pod siebie ręce. Rosjanin zaczął przeszukiwać jego kurtkę. Odrzucił na bok zapasowy magazynek.

– A to co? - zapytał po chwili, rzucając na nagą pierś Hollisa generalską gwiazdę. Hollis nie odpowiedział i Burow kopnął go w ciemność. - A co masz w tych aluminiowych tubkach. Hollis? Nazwiska... aha, lista więźniów, żywych i umarłych. Komu chciałeś to przekazać?

– Jedna kopia pojedzie do Waszyngtonu, druga do Moskwy.

– Tak ci się wydaje? Osobiście w to wątpię.

Hollis wyczuł w głosie pułkownika napięcie. Usłyszał, jak Rosjanin przechodzi w drugi kąt pokoju i zadarł głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. W alkowie niedaleko okna stała radiostacja. Burow włączył ją i skala rozbłysła światłem.

– Mam zamiar wezwać tutaj cały batalion Straży Granicznej - powiedział, biorąc do ręki słuchawkę mikrotelefonu. - Gdzie jest twoja żona, córka i matka?

Burow odwrócił się do niego.

– Dlaczego pytasz?

– Dom jest otoczony i dojdzie do strzelaniny. Gwarantuję im bezpieczne wyjście z daczki.

– Nie jesteś w stanie niczego gwarantować, gnojku.

– Mogą wyjść już teraz. Zanim zaalarmujesz straż.

Pułkownik podszedł do Hollisa trzymając w ręku słuchawkę mikrotelefonu.

– Nikt nie otacza tego domu - powiedział i kopnął go w policzek.

– Wiesz, że mówię prawdę. Wartownicy nie żyją, a twój telefon jest odcięty.

– Ale nie moje radio.

– Więc wezwij ich, głupi dupku - odezwał się po rosyjsku Hollis - i niech diabli wezmą ciebie, twoją żonę, córkę i twoją brzydką starą matkę.

Rosjanin ponownie kopnął go w twarz. Przystawił słuchawkę do ucha i słuchał przez chwilę przerywanego szumu, który emitowały zablokowane mikrofony w dowództwie i na lądowisku. Zaklął cicho, podszedł z powrotem do radiostacji i zmienił częstotliwość. Usłyszał strzępy rozmów przecinane szumem przesuwanego się po skali skanera.

– Wszystkie stacje, wszystkie stacje, mówi pułkownik Burow - powiedział do mikrofonu, zerkając na Hollisa. - Ogłaszam pełny alarm. Pełny alarm! Przyślijcie oddział straży do mojego domu. Uważajcie na uzbrojonych więźniów.

– Studenci! - krzyknął Hollis. - Studenci!

– Zamknij mordę!

– A może ty byś zamknął swoją? Zresztą i tak nikt cię nie usłyszy. Nie widzisz, że łączność jest zablokowana, głupolu? Czy Rosjanie zupełnie nie znają się na elektronice? - dodał po rosyjsku.

Pułkownik puścił słuchawkę i skoczył ku Hollisowi, chcąc go kopnąć w głowę. Hollis usiadł szybko i stopa Rosjanina przecięła powietrze. Burow stracił na chwilę równowagę, a Hollis oparł się na dłoniach i zatoczył nogami krąg, przewracając go na podłogę. Zacisnął prawą dłoń na

rewolwerze Rosjanina, nie dając mu obrócić cylindra, a potem wbił mu palce lewej ręki najpierw w oczy, a potem w krtań.

Burow jęknął, ale nie rozluźnił uścisku, w którym trzymał broń. Podniósł lewą rękę i uderzył Hollisa dwa razy w szyję, zanim ten zdążył złapać go za przegub. Hollis zrzucił z nóg spodnie i buty i kopnął pułkownika kolanem w jądra.

Tarzali się i przewracali po podłodze, próbując przybrać pozycję, która pozwalałaby im zadać kolejne uderzenie kolanem w jądra przeciwnika, i zdając sobie sprawę, że obaj wyszkoleni są w tym samym morderczym rzemiośle. Trzymając w jednej dłoni nadgarstek Burowa, a w drugiej jego rewolwer, Hollis uderzył go czołem w nos i usłyszał trzask łamanej kości. Rosjanin ugryzł go w policzek, tam gdzie biegną nerwy szczękowe, i wbił w niego zęby, zanim Hollis zdołał się wyrwać. Amerykanin zagłębił paznokieć kciuka w nadgarstek Burowa, poszukał żyły i w końcu otworzył ją, czując tryskającą między palcami krew. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem i nie wydał jednego jęku.

Hollis zdał sobie sprawę, że pułkownik nie kłamał, mówiąc, iż jest w dobrej formie. On sam niestety nie był w tak dobrej kondycji jak przed kilkoma tygodniami. Czuł, jak opuszczają go siły. Nie był już w stanie przewrócić Burowa na plecy i nagle znalazł się pod jego potężnym ciałem. Poczł, jak Rosjanin oswobadza rękę, w której trzymał rewolwer. Obaj mężczyźni przyjrzeni się sobie w przyćmionym świetle i Hollis zobaczył, że pułkownik krwawi z nosa i prawego oka.

– Przestrzelę ci jaja - powiedział cicho Rosjanin.

Hollis puścił nagle jego nadgarstek i zdzielił w kark wolną dłonią, a potem objął za kark, złapał za podbródek i pociągnął do tyłu, przekręcając w bok głowę. Rozległ się trzask pękających chrząstek.

Burow sięgnął ręką za siebie, próbując się oswobodzić, zanim Hollis złamie mu kark. Hollis nie puszczał go. Z ust Rosjanina wysunął się język, a lewe oko zaczęło wychodzić z oczodołu. Lewą ręką szarpał Hollisa za ramię. Amerykanin kopnął go dwukrotnie kolanem w krocze. Uświadomił sobie, że Burow wyraźnie traci siły. Próbował wyrwać mu z ręki rewolwer, ale Rosjanin zacisnął mocno palce na kolbie.

Nagle, ratując się przed złamaniem karku, wypuścił z dłoni broń i przewrócił na plecy, wyzwalając z morderczego uścisku. Obaj zerwali się na nogi i stanęli naprzeciwko siebie, zdyszani i pochyleni. Hollis rzucił rewolwer pułkownika na podłogę.

– No chodź!

Ale Burow nie ruszał się i Hollis zorientował się, że jego przeciwnik ma już dosyć. Oczy podeszły mu krwią i z trudem łapał powietrze. Krew sączyła mu się z nosa i płynęła strumieniem z nadgarstka. Hollis podszedł do niego bliżej i głęboko odetchnął.

– Za Dodsona i Fishera, za lotników, ich żony i dzieci - powiedział i uderzył go pięścią w twarz.

Rozległ się trzask wybijanych zębów. Rosjanin przewrócił się na plecy i legł bez ruchu na podłodze. Hollis ukląkł obok i przewrócił go na twarz, żeby nie udusił się własną krwią. Oderwał kołnierzyk piżamy Rosjanina, obwiązał nim jego nadgarstek powyżej otwartej żyły, a potem osunął się na podłogę, czekając, aż uspokoi mu się oddech i rozjaśni się w głowie. Dotknął dłonią prawego policzka, tam gdzie ugryzł go Burow, i poczuł pod czaszką rozdzierający ból.

W drzwiach ukazała się czyjaś postać i Hollis spostrzegł zmierzające w jego stronę podkute buty. Przekręcił głowę i ujrzał nad sobą Seta Alevy'ego. Za Alevym stała Lisa. Hollis próbował wstać, ale Alevy położył mu rękę na ramieniu.

– Posiedź jeszcze chwilę - powiedział.

Podniósł rewolwer z podłogi i podszedł do Burowa. Lisa ukucnęła przy Hollisie.

– Nic ci się nie stało, Sam?

Hollis kiwnął głową.

– Radio - rzekł do Alevy'ego, wyciągając rękę w stronę niszy.

Alevy podszedł szybko do radiostacji, wyrwał sznur z plastikowej słuchawki, a potem rozbił ją o stalową obudowę radia.

– Czy udało mu się z kimś połączyć? - zapytał.

– Nie sędzę.

Hollis wsunął nogi w spodnie, a Lisa pomogła mu założyć bluzę i kurtkę. Wzwał buty, ale nie potrafił zawiązać sznurowadeł i musiała to za niego zrobić Lisa. Wstał, chwiejąc się na nogach, i wetknął do kieszeni luźne kartki z tubek po cygarach. Lisa podała mu jego gwiazdę.

Alevy przewrócił Burowa na plecy i przyjrzał się jego twarzy.

– Musicie się bardzo nie lubić - powiedział, zerkając na Hollisa.

Ten nie odpowiedział.

– Dlaczego zrobiliście krzywdę mojemu ojcu? - zapytał nagle ktoś po rosyjsku.

Wszyscy odwrócili się w stronę otwartych drzwi. W progu stała w nocnej koszuli przestraszona, mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka. Z tyłu zobaczyli ubraną w gruby pikowany szlafrok niezbyt ładną kobietę w średnim wieku, a za jej plecami starszkę, którą Burow przedstawił kiedyś jako swoją matkę.

Kobieta w średnim wieku przyglądała się Hollisowi, Lisie i ubranemu w mundur KGB Alevy'emu.

– Czy mój mąż nie żyje? - zapytała.

– Nie, jest tylko nieprzytomny - odparł po rosyjsku Alevy.

– Nie rozumiem, co się tutaj dzieje - załkała.

Alevy i Hollis wymienili między sobą spojrzenia.

– Nie zabijecie ich - zwróciła się do nich po angielsku Lisa.

– Czy mój ojciec wyzdrowieje? - zapytała dziewczynka.

– Tak - odpowiedziała po rosyjsku Lisa.

Nagle staruszka odsunęła na bok synową i wnuczkę i wbiegła do sypialni. Płacząc uklękła przy swoim synu i dotknęła palcami jego twarzy.

– O Boże, mój biedny mały - załkała. - Piotrze! Piotrze! Niech Bóg ma cię w swojej opiece, mój maleńki.

Hollis przypomniał sobie kroniki filmowe z drugiej wojny światowej, na których pokazywano podobne staruszki, lamentujące nad zwłokami swoich synów i mężów. Ilu Burowów, pomyślał, wykarmiły własną piersią te nobliwie wyglądające matrony?

– Nie możemy ich ze sobą zabrać i nie możemy tutaj zostawić... - powiedział po angielsku Alevy.

– Nie, Seth! - przerwała mu Lisa.

– Chcę, żeby Burow wiedział, że one żyją - powiedział Hollis, zwracając się do Alevy'ego. - To może nam się później przydać.

Alevy kiwnął głową.

– W porządku - odparł. - Musicie wszystkie pozostać w domu - zwrócił się po rosyjsku do żony Burowa - w przeciwnym razie mogą was pogryźć psy. Niedługo zjawią się tutaj żołnierze.

Ukląkł, żeby podnieść Burowa, ale Hollis odsunął go na bok. Zarzucił sobie Rosjanina na plecy i chwiejąc się na nogach ruszył w stronę drzwi. Staruszka szła za nim, wciąż gładząc po twarzy swego syna.

Lisa położyła dłoń na głowie Natalii.

– Zabieramy twojego ojca do szpitala - uspokajała ją. - Niedługo wróci do domu.

Żona i matka Burowa chciały zejść na dół, ale Alevy zatrzymał je.

– Nie martwcie się. Wszystko będzie dobrze - powiedział i zbiegł razem z Lisą po schodach.

– Byłeś dla nich bardzo uprzejmy - stwierdziła.

Alevy nie odpowiedział. Przy frontowych drzwiach stał już z otwartym bagażnikiem pontiac. Mills wysiadł z samochodu i razem z Hollisem umieścili Burowa w bagażniku, obok siedzącego już tam Dodsona. Bert związał Rosjaninowi ręce kawałkiem stalowego drutu. Hollis przyjrzał się obu pobitym ciężko mężczyznom. Dodson miał na sobie podarty dres, a Burow pochłapaną krwią piżamę; twarze obu zmienione były nie do poznania. Koło zamyka się, pomyślał, historia, której początek dała ucieczka Dodsona, zbliża się do rozwiązania.

– Ja poprowadzę - poinformował Alevy'ego. - Bert, daj mi swój płaszcz i czapkę i siądź z tyłu, razem z Lisą.

Założył szynel KGB i czapkę, po czym usiadł za kierownicą i uruchomił samochód. Mills i Lisa wskoczyli na tylne siedzenia, a Alevy usiadł obok niego. Hollis wrzucił bieg i ruszył szybko ścieżką. Po chwili minął bramę i wjechał na pogrążoną w ciemności główną drogę.

– Mamy jeszcze dwadzieścia minut do otwarcia pojemników z gazem. Mnóstwo czasu - poinformował ich, kiedy mijali pasaż handlowy.

– Na pewno, Seth? Możemy już lecieć? - zapytała Lisa.

– Tak. Helikopter jest pełen.

– Jak wszyscy diabli - dodał Hollis, wciskając pedał gazu i rozpędzając pontiaca do sześćdziesięciu mil na godzinę.

Kiedy zbliżali się do budynku dowództwa, w powietrzu zabrzmiało przeraźliwe wycie syreny.

– Wydaje mi się, że to ma coś wspólnego z nami - powiedział Alevy.

Przed sobą zobaczyli oświetlony betonowy budynek, przed którym stało kilka żółwów i kręciło się kilkunastu żołnierzy Straży Granicznej. Jeden z nich stanął na drodze i zaczął machać na Hollisa, pokazując mu, żeby zjechał na parking.

Hollis wcisnął gaz do dechy i kontury budynku zatarły się w powietrzu.

– Czego, twoim zdaniem, mógł chcieć ten facet? - zapytał Alevy.

– Nie mam pojęcia - odparł Hollis.

Wskazówka szybkościomierza sięgnęła dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Minęli pogrążony w mroku klub weterana.

– Uważajcie na skręt na lądowisko - powiedział Hollis.

– Nie wiedzą jeszcze, kto jest kto, ani co się naprawdę dzieje - skomentował Mills.

– Mam nadzieję, że połapią się w tym wszystkim, kiedy już będziemy w powietrzu - odparł Alevy.

Hollis spojrzął w tylne lusterko.

– Jadą za nami dwa samochody.

Alevy obejrzał się przez ramię i napotkał wzrok Lisy.

– Jesteś dzisiaj niezwykle spokojna - stwierdził.

Lisa uśmiechnęła się nerwowo.

– Myślę o helikopterze - odpowiedziała.

– Za kilka minut będziemy w powietrzu.

– Wciąż za nami jadą - powtórzył Hollis.

– Granat zapalający - powiedział Alevy, zwracając się do Millsa. Podał mu swoją czapkę. - Użyj tego.

– Tak jest.

Bert wyjął granat fosforowy z przyczepionego do kostki futerału. Nastawił zapalnik na zero i wsadził granat do czapki.

– Jakie jest opóźnienie w stosunku do zera? - zapytał Alevy'ego.

– Siedem sekund.

– W porządku. Mógłbyś uchylić trochę drzwi? - Mills wyciągnął zatyczkę z granatu, policzył do czterech, po czym wyrzucił czapkę za drzwi. - Pięć, sześć.

Pierwszy pojazd, ził-6, był mniej więcej dwieście metrów za nimi. Jego szofer naciskał klakson i mrugał światłami.

– Siedem.

Granat rozerwał się pod pierwszym ziłem, który stoczył się z drogi i rozbił o drzewa. Po chwili wybuchł w nim zbiornik paliwa. Od fruwających w powietrzu płonących kul fosforu zajęły się gałęzie sosen. Jadąca z tyłu ciężarówka nie zatrzymała się, ale w dalszym ciągu nikt do nich nie strzelał.

– Zastanawiają się, skąd przyszło uderzenie. Nie mają odwagi otwierać ognia do samochodu pułkownika - powiedział Mills.

– Sam! - zawołała Lisa. - Skręt na lądowisko!

Hollis wcisnął hamulec i skręcił ostro w prawo. Pontiaca zarzuciło w bok, ale nie wypadł z drogi. Hollis zmienił bieg na niższy, a potem znowu przyspieszył. Szybkościomierz mknącego po wysypanej żwiru, wąskiej alejce samochodu pokazał najpierw sześćdziesiąt, a potem siedemdziesiąt mil.

W odległości mniej więcej dwustu metrów przed sobą Hollis zobaczył zarys budki i przyćmione, palące się w jej oknie światło. Nie widział jednak helikoptera.

Syrena wciąż wyła, a umieszczone na wieżach reflektory przeczesywały teren za ogrodzeniem. Obóz ożył, a sześciuset żołnierzy Straży Granicznej deptało im po piętach.

– Możemy zabrać Brennana po drodze - powiedział Hollis.

Alevy obejrzał się do tyłu.

– Ta cholerna ciężarówka wciąż jest za nami. Zatrzymaj się tutaj i zablokuj drogę, bo inaczej będą nas ścigać aż do helikoptera.

– Dobrze.

Hollis wcisnął ostro hamulec i trans am wpadł w poślizg, zatrzymując się w poprzek drogi. Hollis wyjął kluczyki ze stacyjki i zgasił światła. Wszyscy wyskoczyli z samochodu. Ził zatrzymał się w odległości około stu metrów za nimi, oświetlając pontiaca światłami. Hollis zarzucił sobie na plecy Burowa, a Alevy Dodsona.

– Liso, pobiegnij przodem i powiedz Brennanowi, że już idziemy - zwrócił się do niej Alevy.

Lisa wyciągnęła z kieszeni pistolet i pobiegła w stronę budki.

Hollis dostrzegł sylwetki co najmniej dziesięciu wyskakujących z ciężarówki i ruszających ku nim żołnierzy.

– Kim jesteście?! - zawołał jeden z nich po rosyjsku.

– Zatrzymaj ich tu przez kilka minut, Bert - zwrócił się Alevy do Millsa.

– W porządku.

Mills wyciągnął rewolwer, wczuł się pod pontiaca i czekał, aż Rosjanie podejną bliżej. Hollis i Alevy ruszyli biegiem alejką, dźwigając na plecach Burowa i Dodsona. Mills oparł o ziemię kolbę pistoletu i posłał wszystkie osiem kul w stronę nadbiegających. Ktoś krzyknął i powietrze natychmiast wypełnił suchy, przypominający wybuchy ogni sztucznych grzechot strzelających ogniem ciągłym kałasznikowów. Z okien pontiaca posypało się szkło, a ciemność zaczęły przecinać zielone smugi pocisków świetlnych. Mills zmienił magazynek i posłał w stronę atakujących kolejne osiem kul.

Hollis i Alevy biegli, stawiając ostrożnie stopy na żwirze i coraz bardziej chyląc się pod dźwigany na plecach ciężarem. Hollis nadal nie widział helikoptera.

Lisę dzieliło od budki nie więcej jak dwadzieścia metrów.

– Bill! Bill Brennan! - zawołała.

– Lisa Rhodes? - rozległ się głos ze środka. - Wskakuj! Biegiem!

Lisa przebiegła sprintem ostatnie dwadzieścia metrów, wpadając wprost w objęcia Brennana.

– Już dobrze, już dobrze - powiedział. - Złap oddech. Co się dzieje?

Wskazała ręką w stronę alejki.

– Seth i Sam... niosą Dodsona i Burowa.

– Kogo? Ach, tak. Dobrze. A Mills?

– Mills ich osłania. Zaraz tu będą. Ścigają nas.

– Domyślam się. W porządku, wskakuj do helikoptera, stoi na polanie.

– Nie, zaczekam.

– Dobrze, w takim razie wejdź do budki i nie wychylaj się. Zaraz wracam.

Brennan pobiegł alejką na spotkanie Alevy'ego i Hollisa. Kiedy do nich dotarł, seria z pistoletu maszynowego ścięła gałęzie nad ich głowami i wszyscy padli na ziemię. Brennan przyjrzał się Burowowi i Dodsonowi.

– Trafieni? - zapytał.

– Nie - odparł Alevy. - Zmęczeni. Czy Lisa?...

– Tak, jest w budce.

– W porządku. Zabierz Dodsona i wracaj do budki.

Bill ukląkł na jedno kolano i Alevy zarzucił mu Dodsona na plecy.

– Nie mogliście znaleźć ludzi, którzy potrafią chodzić o własnych siłach? - zapytał.

Serie z AK-47 ścinały gałęzie nad ich głowami i usłana nimi była teraz cała alejka. Hollis zobaczył obok siebie trafioną wiewiórkę. Nie wiedział, czy Mills nadal się ostrzeliwuje, bo jego pistolet zaopatrzony był w tłumik,

ale Rosjanie wydawali się coraz bliżej i widział już między drzewami błyski z luf.

Brennan przykucnął i ruszył biegiem w stronę budki, dźwigając na plecach Dodsona.

– Biegnij, Sam - powiedział Alevy. - Ja jestem odpowiedzialny za Millsa. Uciekaj.

Hollis poprawił sobie Burowa na ramieniu.

– Postaraj się przeżyć, żebyśmy zdążyli złożyć ci skórę - uśmiechnął się i ruszył pochylony za Brennanem.

Alevy ukląkł za stojącym przy skraju alejki dużym pniem sosny, wyjął pistolet i zaczął strzelać na chybił trafił między drzewa. Nagle w powietrzu zabrzmiał huk eksplozji. Zobaczył unoszącą się nad alejką ognistą kulę i domyślił się, że w pontiacu wybuchł zbiornik paliwa. Zawołał Millsa, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Załadował ostatni magazynek i zaczął się wycofywać, strzelając co jakiś czas do tyłu.

Hollis pokonał ostatnie dzielące go od budki metry i osunął się w progu na kolana. Bill zdjął mu z ramienia nieprzytomnego Burowa. Zaciągnął Rosjanina do środka i oparł o ścianę przy drzwiach, tuż obok Dodsona. Hollis podniósł się. W budce było teraz ciemno, ale zauważył skuloną pod oknem Lisę i poukładane elegancko przy ścianie trzy trupy.

– Nie jesteś ranny, Sam? - zapytała.

– Nie. Nie wychylaj się - powiedział.

Zdjął płaszcz i zarzucił go na Dodsona.

Brennan wziął do ręki swój zaopatrzonego w tłumik snajperski karabin i podszedł do okna, nastawiając ostrość noktowizora na linię drzew.

– Na ścieżce nie ma Alevy'ego ani Millsa - stwierdził - ale widzę przemykające się między drzewami postaci.

Wycelował i strzelił. Metaliczny trzask iglicy zabrzmiał głośniejsze od samego wystrzału. Brennan wziął na cel kolejnego Rosjanina i pociągnął za cyngiel.

Hollis zobaczył przy drugim oknie metalową skrzynkę, w której leżały trzydziestozrzałowe magazynki. Obok niej stały trzy AK-47. Wziął jeden z nich, ukląkł przy oknie i wybił szybę.

– Na razie niech pan nie strzela, pułkowniku. Nie namierzyli jeszcze tego miejsca - odezwał się Brennan.

– Masz rację - odparł Hollis i spojrzał na skuloną obok niego Lisę. - Pójdę po Seta i Berta - powiedział.

– Nie jesteś mi przypadkiem czegoś winien? - zapytała, łapiąc go za ramię.

Brennan obejrzał się na nich.

– Hej, może by tak jedno z was sprawdziło, czy O'Shea jeszcze tutaj jest. Opowiedzcie mu, co się tutaj dzieje.

Sam wziął Lisę za rękę i ruszył w stronę drzwi.

– Schył się - powiedział.

Wybiegli z budki i uklękli oboje w wysokiej do kolan trawie. W odległości około stu metrów, na tle ciemnej linii drzew Hollis zobaczył białą plamę helikoptera. Przez odgłosy strzelaniny słychać było szum turbin.

– Widzisz go? - zapytał.

– Tak.

– Powiedz kapitanowi O'Shea, że żyjemy i że idziemy do niego.

Zmierzyła go długim spojrzeniem.

– Chodź razem ze mną - prosiła.

– Później.

– Teraz.

Hollis złapał ją za ramiona i spojrzał prosto w oczy.

– Musisz tam pobiec i powiedzieć mu, że idziemy, w przeciwnym razie odleci. Ja muszę wracać po innych, Liso.

– Wskoczę, Sam. Przysięgam, że wskoczę. Jeśli nie będzie cię w helikopterze, wrócę po ciebie... - powiedziała drżącym głosem.

W jej oczach zalśniły łzy. Hollis odwrócił ją w stronę helikoptera.

– Schył się i biegnij. Już!

Obejrzała się na niego, a potem pobiegła przez trawę do helikoptera, oglądając się co kilka kroków. Hollis obserwował przez jakiś czas jej malejącą na tle helikoptera sylwetkę, a potem odwrócił się z powrotem w stronę budki, o mało nie wchodząc na Alevy'ego.

Seth patrzył przez chwilę na znikającą w ciemności Lisę, a potem spojrzał na Hollisa.

– Biegnij za nią, Sam.

– Muszę zabrać Burowa - rzucił Hollis i mijając go ruszył w stronę budki.

Alevy zrównał się z nim krokiem.

– Przynajmniej się ciebie słucha - powiedział. - Mnie się nigdy nie słuchała.

Hollis nie odpowiedział. Odgłosy strzelaniny były coraz bliższe, a las rozświetlały zielone smugi pocisków świetlnych, w większości trafiających w drzewa.

Ostatnie kilkanaście metrów dzielących ich od budki Hollis i Alevy przebiegli sprintem. Wpadli do środka i rzucili się na podłogę.

– Jest ich teraz znacznie więcej - poinformował ich Brennan. - Idą tyralierą przez las, od drzewa do drzewa. Są bardzo ostrożni, ale i tak będą tutaj najdalej za dziesięć minut. Kiedy dotrą do skraju lasu - dodał - i zobaczą helikopter, będziemy mieli kłopoty.

Alevy kiwnął głową.

– Musimy ich trochę przyhamować - powiedział.

Wziął do ręki AK-47, wystawił przez okno lufę i posłał kilka serii w pobliskie drzewa, zużywając cały magazynek. Żołnierze pochowali się i na parę chwil ogień z lasu osłabł. Kiedy otworzyli go na nowo, skierowany był przede wszystkim w budkę. Kule uderzały z głuchym odgłosem w belki, a co jakiś czas przez pozbawione szyb okna wpadały do środka zielone pociski świetlne, wbijając się z błyskiem w przeciwległą ścianę. Kule grzechotały o falisty blaszany dach i z krokwi nad ich głowami zaczęły sypać się drzazgi.

– Czy chcecie bronić tej fortecy, aż zobaczycie białka ich oczu? - zapytał Brennan.

Alevy załadował kolejny magazynek.

– Okay, Bill, weź Burowa i biegnij do helikoptera.

– Nie, pierwszeństwo ma Dodson - zaprotestował Hollis. - Ja wezmę Burowa.

Alevy kiwnął potakująco głową. Brennan podał mu swój snajperski karabin.

– Będzie ich pan lepiej widział przez noktowizor, a poza tym ta broń nie robi hałasu i nie widać błysku z lufy. Niech pan z niej strzela, dopóki nie podejda bliżej. Potem może pan użyć AK-47 i rzeczy, które są w tej torbie. A najlepiej - dodał - wynośmy się stąd wszyscy już teraz.

Alevy wystawił przez okno karabin, wycelował w miejsce, w którym zobaczył błysk lufy, i nacisnął spust.

– Muszę jeszcze trochę poczekać na Berta - powiedział. - Niedługo się zobaczymy.

Brennan klęczał już przy Dodsonie.

– Ma niezły puls, ale wygląda fatalnie - stwierdził. Przewiesił sobie Dodsona przez ramię i ruszył w stronę drzwi, które nie znajdowały się pod bezpośrednim ostrzałem. - Okay, do zobaczenia na pokładzie - powiedział bez większego przekonania.

Wybiegł na zewnątrz i Hollis obserwował przez moment, jak oddala się szybko w stronę polany i znika w ciemności. Przyklęknął na jednym kolanie przy Burowie i sprawdził mu puls i oddech.

– Żyje. A już myślałem, że nie warto go zabierać.

Pułkownik poruszył się i próbował podnieść głowę, ale Hollis pchnął go z powrotem w stronę ściany. Rosjanin wymamrotał coś przez spuchnięte wargi i powybijane zęby, a potem wypluł trochę krwi i kawałek dziąsła.

– Zabiję cię, Hollis - wybełkotał po rosyjsku. - Zajebię na śmierć twoją kobietę.

– Będziesz żyć, ale odechce ci się pieprzyć - odpowiedział mu Hollis.

– *Job twoju mat'!*

Alevy przysunął się do Burowa.

– Wie pan, dokąd pan jedzie, pułkowniku? Do Ameryki. Prawdziwy z pana szczęściarz.

– Nie... nie... - jęknął Burow i zamachnął się słabo związanymi rękoma, usiłując dosięgnąć Alevy'ego. Ten wyciągnął z kieszeni samoczynną strzykawkę z pentothalem sodu i wbił igłę w szyję Rosjanina.

– Będziesz mógł posyłać kartki Natalii - powiedział.

– Ty sukinsynu.

– I kto to mówi.

Burow usłyszał chyba odgłosy strzelaniny.

– Widzicie... idą po was... - wymamrotał.

– No, Sam - odezwał się Alevy - nadeszła twoja kolej. Zabieraj do domu swoją zdobycz.

– Dlaczego nie idziesz ze mną? - odparł Hollis. - Przecież Mills nie żyje.

– To nie ma znaczenia.

– Wracaj do domu, Seth. Zasłużyłeś sobie na to. Prezydent zaprosi cię na lunch.

– Ja tutaj dowodzę, generale Hollis. Ruszaj.

Hollis i Alevy mierzyli się przez jakiś czas wzrokiem.

– Za parę minut otworzą się pojemniki z gazem usypiającym - odezwał się w końcu Alevy. - Nic mi nie będzie. Lepiej już idź.

Usłyszeli na zewnątrz tupot stóp i obaj złapali za broń.

– To ja! - rozległo się wołanie.

Do środka, głową naprzód, wpadł Mills, zderzając się z Burowem. Rosjanin stęknął głucho, a Bert usiadł na podłodze i przez chwilę próbował złapać oddech.

– Są blisko - wysapał. - Nie dalej jak sto metrów. - Spojrzał na zegarek. - Jezu... najwyższy czas się stąd zwijać.

Hollis zauważył, że Mills ma zakrwawione ręce i kark. Śmierdział spaloną benzyną i miał osmalone ubranie.

– Jesteś ranny?

– Nie, nic mi nie jest. Kiedy wybuchł samochód, mnie już tam nie było. Na co tutaj czekamy?

– Czekaliśmy tylko na ciebie - odparł Alevy. - Weź Burowa. Puścimy zasłonę dymną.

– W porządku.

Hollis zarzucił Millsowi na ramiona nieprzytomnego Burowa, a Alevy otworzył czarną skórzaną torbę i wyjął z niej świecę dymną. Stanął przy drzwiach i wyjrzał na zewnątrz.

– Są cholernie blisko.

Wyciągnął zatyczkę ze świecy, zamachnął się i cisnął ją na zewnątrz. Kłęby czarnego dymu popłynęły z wiatrem na południe, w stronę atakujących żołnierzy Straży Granicznej. Alevy wyjął z torby granat z gazem bojowym i cisnął go w ślad za świecą. Gaz zasyczał w powietrzu i mieszał się z zasłoną dymną.

– W porządku, Bert - powiedział Alevy. - Dołączymy do ciebie za minutę albo dwie.

Mills stanął pochylony przy drzwiach, trzymając na plecach Burowa i obserwując ścielącą się po ziemi zasłonę dymną, która oddalała się od budki, płynąc w stronę linii drzew. Strzały były teraz coraz rzadsze i słyszeli, jak Rosjanie krztuszą się i wymiotują.

– Powodzenia! - zawołał.

Poprawił sobie na ramieniu Burowa i wybiegł z budki. Hollis położył się w progu z AK-47 i posłał długą serię w kierunku linii drzew. Zużył cały magazynek, ale ogień ze strony atakujących nie był zbyt silny. Wturlał się z powrotem do środka i usiadł, opierając plecami o drewnianą ścianę. W czasie gdy zmieniał magazynek, Alevy ukląkł przy oknie i zaczął strzelać krótkimi seriami w zasłonę dymną. Na podłogę posypały się, grzechocząc, puste łuski, a powietrze wypełniła woń spalonego kordytu.

– Mills i Burow są już na pokładzie - powiedział Hollis. - Chcesz iść pierwszy? Będę cię krył.

Alevy spojrział na zegarek.

– Nie, ty idź pierwszy. Zostało jeszcze kilka minut.

Hollis ruszył w stronę drzwi, a potem obejrzał się do tyłu.

– No idź - powiedział z uśmiechem Alevy.

Hollis słyszał dochodzący z polany warkot helikoptera.

– Zaraz odleci - stwierdził. - Chodź ze mną.

Alevy siedział obok drzwi, opierając się o ścianę, i nie odpowiadał. Wydawał się, pomyślał Hollis, wyjątkowo odprężony i po raz pierwszy, odkąd go znał, pogodzony z samym sobą.

– To, co zrzuciłeś z helikoptera, to nie był gaz usypiający, prawda? - zapytał.

– Nie.

– Gaz paralityczny?

– Tak. Użyłem sarinu. Tabun jest także dobry, ale...

– Dlaczego? Dlaczego, Seth?

– Och, sam wiesz dobrze dlaczego.

– Ale... Jezu Chryste, człowieku... tu jest prawie trzystu Amerykanów... kobiety, dzieci...

– Oni nie mogą wrócić do domu, Sam. Nigdy. Oni nie mają żadnego domu. Tu jest ich dom. Wiesz o tym.

Hollis wyjrzał przez okno i zobaczył, że zasłona dymna zaczyna się przerzedzać. Pogrzebał w skórzanej torbie i wyjął z niej ostatnią świecę dymną i ostatni granat z gazem bojowym. Wciąż prowadzono w ich stronę ogień, ale przede wszystkim dochodził go odgłos wymiotów i przekleństwa.

– A więc Departament Stanu i Biały Dom postawiły na swoim - powiedział Hollis. - To miejsce ma zostać wymazane z pamięci. I ty podjąłeś się to wykonać?

Alevy spojrzał na zegarek.

– Idź, Sam. Nie proszę cię, żebyś tutaj umarł.

– A ty masz zamiar to zrobić?

– Mam na sumieniu blisko tysiąc ludzi - stwierdził, nie odpowiadając wprost na jego pytanie, Alevy. Spojrzał na Hollisa. - To był mój pomysł. Gaz trujący. Trzeba to było zrobić. Dla dobra kraju.

– Co może z tego wyniknąć dobrego dla kraju?

– Zawarliśmy kompromis. CIA i Pentagon nie będą torpedować inicjatyw pokojowych i wszystkich tych bzdur, ale w zamian za to zatrzymamy dla siebie dowolną liczbę agentów Szkoły Wdzięku, których zaczęliśmy już zgarniać w Ameryce. Reszty możemy pozbyć się po cichu, bez konieczności wytaczania im procesów. A wszystko to stało się możliwe dzięki tobie i materiałom dostarczonym przez Surikowa. Dzięki tobie udało nam się wyjść z impasu. Zakładamy własną Szkołę Wdzięku w Ameryce. Rozumiesz?

– Obawiam się, że tak.

– Nie bądź takim cholernym skautem. Tym razem obracamy przeciwko nim ich własną broń. Stworzymy pierwszorzędną szkołę dla naszych agentów. Burow i Dodson będą w niej pełnili funkcje dziekanów. Genialny pomysł, nie sądzisz?

– Ty na to wpadłeś?

– Oczywiście - odparł Alevy. - Ale powiem ci o czymś, co nie było bynajmniej moim pomysłem. Ani ty, ani Lisa nie mieliście wydostać się stąd żywi. Zgodzili się na to, aczkolwiek muszę przyznać, niezbyt chętnie, twoi własni ludzie z wywiadu wojskowego. Łącznie z generałem Vandermullenem.

– Więc dlaczego?...

– Och, nie jestem aż taki niehumaniczny, Sam. Naprawdę sądzisz, że mógłbym ją tutaj zostawić?

– Nic, co zrobisz, nie jest już mnie w stanie zadziwić.

– Dziękuję. Ale tego nie mógłbym zrobić. A co do ciebie... cóż, lubię cię i daję ci szansę. Możesz się stąd jeszcze wydostać.

Hollis przysłuchiwał się coraz głośniejszemu warkotowi turbin.

– A co z Surikowem i jego wnuczką? - zapytał. - Okłamałeś mnie?

– Niestety tak. Zostaną w Moskwie trochę dłużej. Muszą zostać, w przeciwnym razie KGB dowiedziałyby się, że Surikow wydał nam absolwentów Szkoły Wdzięku. A my nie możemy do tego dopuścić, dopóki nie wyłapie ich FBI. Wiesz o tym.

– Prawdziwy z ciebie sukinsyn.

– Prawdziwy patriota.

Pociski znowu zaczęły uderzać w ściany budki, a po chwili dał się słyszeć głęboki terkot ciężkiego karabinu maszynowego. Z drewnianych belek zaczęły się sypać drzazgi i Hollis rzucił się płasko na podłogę.

– Kładź się! - krzyknął do Alevy'ego.

Kule rozbiły radiostacje i kaflowy piec, z którego buchnęły na środek izby kłęby dymu i popiołu. Kilka pocisków trafiło w oparte o przeciwległą ścianę trzy trupy kagebistów. Hollis usłyszał syk wydzielających się z nich gazów i poczuł rozchodzący się po izbie zapach śmierci. Przyciągnął do siebie automat i przeturlał się w stronę drzwi. Ciemność rozświetlały jasne błyski z luf. Posłał w ich stronę krótką serię.

– Podeszli pod samą budkę!

Alevy nie wydawał się tym zainteresowany. Nadal siedział, opierając się plecami o ścianę.

– A żeby było jeszcze śmieszniej, Sam, moi ludzie zamierzają przeszmyglować stąd Kellumów. Dostaną posady nauczycieli w amerykańskiej Szkole Wdzięku. Okazało się, że są całkiem sprytni i aż się palą, żeby z nami współpracować.

Hollis kolejny raz zmienił magazynek.

– Co za krewstwo. Ludzie, których mieliśmy uratować, zginą...

– Tak jest. Ale całkiem bezboleśnie. Sarin działa bardzo szybko.

– Lisa i ja też mieliśmy zginąć. Ten sadysta Burow i w dupę kopani Kellumowie przeżyją, gdy tymczasem ryzykujący dla nas życie Surikow

zostanie tutaj razem ze swoją wnuczką. A Dodson, którego wszyscy chcieliście uciszyć na wieki, ucieknie z jednego piekła tylko po to, żeby znaleźć się w następnym: w tej twojej cholernej nowej Szkole Wdzięku.

– Wszystko się zgadza. Oprócz tego, że wydostanie Dodsona było twoim pomysłem. Ja chciałem generała Austina. Ale i tak Charlie Banks i jego koledzy będą bardzo zadowoleni. Twój zwierzchnicy też będą zadowoleni, ponieważ nic już nie splami honoru zaginionych lotników. Ciężko byłoby wyjaśnić, dlaczego tylu z nich okazało się zdrajcami.

– Oni nie byli...

– Byli. Nie muszę chyba dodawać, że również CIA dostało to, czego chciało.

– A ty, Seth? Czy osiągnąłeś to, czego chciałeś?

– Chyba tak. Może osiągnąłem po prostu to, na co zasługiwałem.

Hollis przyjrzał się w przyćmionym świetle Alevy'emu.

– Rozumiesz, jakie to wszystko jest potworne?

– Naturalnie. A ty rozumiesz, jakie to genialne? Klasyczne przekształcenie wielkiej, wymierzonej przeciwko nam operacji szpiegowskiej w ich totalną klęskę. Znowu kupiliśmy trochę czasu dla obrastającego tłuszczem, dekadentckiego Zachodu. Ludzie będą mogli dalej ubierać się w dżinsy, bawić się w demokrację, głądzić o pokoju i wzajemnym zrozumieniu i pisać książki dietetyczne...

Hollis skoczył przez izbę i przewrócił Alevy'ego na podłogę. Złapał go za ramiona i zbliżył twarz do jego twarzy.

– Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? Czy wszyscy tam w Waszyngtonie dostali małego rozumu?

– Oni boją się jak wszyscy diabli! - wrzasnął Alevy. - Zejdz w końcu z wysokiego konia, generale. Tu chodzi o przetrwanie.

Odepchnął Hollisa i usiadł.

– W takim razie wszyscy zapomnieliście, o co tu w istocie chodzi! - krzyknął Hollis. - Nie możemy przetrwać, upodabniając się do nich. Weź Surikowa i jego wnuczkę... byliśmy dla nich światełkiem w ciemności... nie rozumiesz, Seth? Przeżyłem w tym miejscu na własnej skórze dwa kurewskie tygodnie totalitaryzmu. Ty i ja mieszkaliśmy tutaj przez dwa lata. Jezu Chryste, człowieku, czy ty niczego się nie nauczyłeś?...

Alevy wyciągnął pistolet i wycelował go w Hollisa.

– Nie mam ochoty wysłuchiwać dalej twoich pieprzonych kazań - powiedział. - Wiem dobrze, co zrobiłem. Przyznaj przynajmniej, że to było konieczne. Albo się zamknij.

Hollis położył się płasko na podłodze i nasłuchiwał zbliżających się odgłosów strzelaniny. Słyszał głosy wydających rozkazy oficerów i domyślał się, że atakujący szykują się do przebycia otwartej przestrzeni między drogą a budką. Wziął głęboki oddech.

– W porządku... - powiedział do Alevy'ego. - Rozumiem.

Pomyślał o Jane Landis, a potem o Timie Landisie i ich małym synku. Przypomniał sobie ciche cierpienie generała Austina, odwagę Lewisa Poole'a i tragedię wszystkich Amerykanów, których tutaj spotkał, a także tragedię ich rosyjskich żon i dzieci. Przypomniał sobie lekarzkę, która badała go po wyjściu z celi, i innych więźniów politycznych, którzy padli ofiarą tego obłędu. Pomyślał nawet przez chwilę o studentach, zwłaszcza tych, którzy podnosili głos w klubie weterana. O pięciuset albo sześciuset żołnierzach, którzy nie ponosili przecież winy za wszystko, co się tutaj działo. O żonie, matce i córce Burowa.

– Niech to wszyscy diabli!

Alevy odrzucił na bok pistolet i sięgnął po jeden z pozostałych automatów. Stanął przy oknie i posłał z niego długą serię, aż broń przegrzała się i zacięła. Rzucił ją na podłogę i pochylił się, sięgając po

kolejny automat. W tej samej chwili pociski rozbiły framugę i tkwiące w niej jeszcze kawałki szkła.

Hollis wziął do ręki trzeci AK-47 i podczołgał się do okna, które nie znajdowało się pod bezpośrednim ostrzałem. Podniósł kolbę i stłukł szybę.

Alevy spojrzał na niego.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Do domu.

– Bynajmniej - odparł Alevy, odwracając broń i celując z niej w Hollisa.

- Za dużo teraz wiesz.

– Dlatego właśnie wybieram się do domu.

Hollis uniósł się trochę i wyjrzał przez okno.

– Chodź ze mną - powiedział.

Alevy posłał krótką serię w ścianę nad głową Hollisa.

– Stój!

– Nie. Zrobię to po swojemu, Seth. Nie po twojemu.

– Jesteś mi coś winien, Sam. Uratowałem życie Lisie. Osłaniaj mnie.

– Nic ci nie jestem winien. Cześć, Seth.

– Co?

– To ty mnie osłaniaj. W porządku?

Siedzący w mrocznym wnętrzu budki Alevy posłał mu długie spojrzenie.

– Jasne. Zawsze to robiłem.

Hollis kiwnął głową.

– Dziękuję, Seth.

– Nie ma za co. Idę zaraz za tobą, Sam. Zobaczymy się na pokładzie helikoptera.

Hollis wyskoczył przez okno i zastygł bez ruchu na ziemi. Nagle doszło go zbiorowe Uuura. Powietrze wypełnił ogłuszający terkot strzelających

ogniem ciągłym AK-47. Rosjanie poderwali się do ostatecznego ataku, pokonując otwartą przestrzeń między drogą a budką.

Hollis zerwał się i ruszył biegiem w stronę polany. Wokół niego przelatywały zabłąkane pociski, ale nie zwracał na nie uwagi, wpatrując się prosto przed siebie. Dopadł wysokiej trawy i runął na ziemię. Usłyszał z tyłu tupot ciężkich, stąpających po mokrej ziemi butów. Obejrzał się i zobaczył biegnącego za nim Alevy'ego. W pewnej chwili Seth zachwiał się i zniknął w wysokiej trawie. Falująca polana zmieniła się nagle we wzburzone morze koło Hajfongu, a człowiekiem, który usiłował się z niego wynurzyć, nie był Alevy, ale Ernie Simms.

– Sam! Sam! - zawołał ktoś i Hollis nie potrafił powiedzieć, czy to Alevy, czy docierające doń po latach echo głosu Simmsa.

Podniósł się i pobiegł z powrotem. Alevy czołgał się przez żółtą trawę. Złapał przebiegającego Hollisa za nogę, a kiedy ten usiadł na ziemi, przysunął się do niego bliżej.

– Sam...

Hollis rozdarł mu mundur na plecach. Na śnieżnobiałej koszuli widać było rozszerzającą się ciemną plamę.

– Niech to diabli, Seth.

Alevy przekręcił się na plecy i Hollis zakrył dłonią otwartą, zasysającą powietrze ranę na jego piersi.

– Leż spokojnie, Seth. Oddychaj płytko - powiedział, ale widział już pojawiającą się na wargach Alevy'ego krwawą pianę. - Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Oczy Alevy'ego zaszyły mgłą. Kurczowo łapał powietrze.

– Idź... idź... - wyszeptał. - Czekają na ciebie... nie każ im tak długo czekać...

Hollis wahał się tylko ułamek sekundy.

– Nie tym razem - odparł. - Idziemy na dno albo płyniemy razem, przyjacielu.

Złapał Alevy'ego pod pachy i czołgając się, zaczął wlec go za sobą, ale po chwili poczuł, że ciało tężeje, a potem zwisa bezwładnie. Spojrzał w martwe oczy Setha i pozwolił mu osunąć się na wilgotną rosyjską ziemię.

– Chyba będzie mi ciebie brakowało, przyjacielu - powiedział i wziął głęboki oddech.

Przyszło mu na myśl, że kiedy kagebiści odnajdą ciało Setha Alevy'ego, uznają, że rachunki zostały wyrównane. Może tym razem nie będzie wendety.

Podniósł się powoli na jedno kolano i rzucił okiem w stronę polany. Helikopter zniknął. Podniósł wzrok i zobaczył, że maszyna unosi się pionowo w górę. Spojrzał na zegarek; była 3.48. Czekali i tak trzy minuty dłużej. Miał nadzieję, że O'Shea, Brennan i Mills przytrzymali Lisę i nie dali jej wyskoczyć na zewnątrz. A może czekała na niego gdzieś na pogrążonej w mroku polanie?

Wstał i trzymając przed sobą broń ruszył do przodu, tam gdzie jeszcze przed chwilą stał helikopter. Usłyszał za sobą głośny huk. Obejrzał się i zobaczył, że budka stoi teraz w ogniu. Na tle pożaru widać było pochylone sylwetki ścigających go żołnierzy. Odwrócił się i szedł dalej, chociaż z każdym krokiem coraz mniej wierzył, że Lisa została na dole. Był z tego powodu zadowolony, choć z drugiej strony żałował, że już jej nigdy nie zobaczy.

Doszedł do miejsca, gdzie stał helikopter, i zatrzymał się, przyglądając się zgniecionej trawie. Zadarł głowę, ale na tle ciemnego nieba nie było nic widać. Usłyszał hałas i dostrzegł, że z drugiej strony lasu również zbliżają się do niego żołnierze. Umieszczone na najbliższych wieżach strażniczych reflektory nie przeszukiwały już terenu za ogrodzeniem, ale skupiły się

wewnątrz obozu. Światło dwu z nich przesuwalo się po polanie i w końcu odnalazło Hollisa.

– Poddaj się! Jesteś otoczony. Podnieś ręce do góry! - krzyknął ktoś po rosyjsku od strony budki.

Hollis przyklęknął na jedno kolano i posłał serię w kierunku budki, a potem odwrócił się i ostrzelał grupę żołnierzy, zbliżających się z drugiej strony. Nacierający padli na ziemię, ale nikt nie otwierał ognia, ponieważ atakując z obu stron, mogli powystrzelać się wzajemnie. Patrzył, jak podrywają się z ziemi i przebiegają po kilka kroków, coraz bardziej zacieśniając wokół niego pętlę okrążenia. Wciąż tkwił w jasnym snopie światła. Podniósł broń w górę i posłał długą serię w stronę reflektora. Światło zgasło.

– Poddaj się! Wstań!

Hollis wystrzelał ostatnie naboje z AK-47, a potem wyciągnął pistolet i czekał. Obie grupy zbliżyły się do niego na odległość mniej więcej pięćdziesięciu metrów i nawoływały się wzajemnie. Ktoś wydał rozkaz i żołnierze nacierający od strony budki padli na ziemię. Ci z naprzeciwka uklękli, mierząc do niego z karabinów niczym pluton egzekucyjny. Hollis strzelił do nich z pistoletu i czekał, kiedy rozerwie go seria pocisków.

Czekał, ale nic się nie działo. Spojrzał w stronę klęczących żołnierzy, ale nikogo nie dostrzegł. Doszedł do wniosku, że ci również musieli paść na ziemię.

– Nie poddam się! - krzyknął po rosyjsku. - Chodźcie tutaj i weźcie mnie!

Czekał, ale nikt nie odpowiadał. Usłyszał, jak ktoś się krztusi, a potem jęczy, i zrozumiał. Sunący z północy gaz dotarł do pierwszej grupy atakujących. Zauważył także, że reflektory na wieżach nie przeczesują już terenu, ale tkwią nieruchomo, celując w powietrze.

Spojrzał na Rosjan, którzy nacierali od strony budki. Wciąż się zbliżali. Wyciągnął w ich stronę pistolet i czekał, co dotrze do niego pierwsze: opary gazu czy ostatni atakujący. Kolejność nie grała roli.

Niebo było bezchmurne i wiał słaby wietrzyk z północy. Nie czuł specjalnego lęku przed śmiercią, wiedząc w głębi duszy, że gdyby nie kilkuminutowe spóźnienie Wietnamczyków, ostatnie piętnaście lat swego życia mógłby równie dobrze spędzić tutaj. Los podarował mu dodatkowy czas, ale był to czas pożyczony i teraz musiał spłacić stary dług - tak jak się tego zawsze spodziewał.

Na cmentarzu Arlington postawiono mu już grób i nie miało najmniejszego znaczenia, że leżące tam zwłoki należały w rzeczywistości do jakiegoś nieszczęsnego Rosjanina. Wszyscy zdążyli go już odżałować i wrócili do codziennego kieratu. Jego obecna śmierć była więc właściwie czymś zbytecznym, podobnie jak śmierć przebywających tu lotników. Biorąc udział w prowadzonej przez Alevy'ego grze, sam przyczynił się w gruncie rzeczy do takiego rozwiązania i pomyślał, że właściwie słuszne wydaje się, aby tutaj pozostał - razem z Amerykanami, którym nie dano szansy powrotu do domu.

I wiedział również, że prawdę mówiąc, mógł wybiec z budki parę minut wcześniej. Ale z przyczyn, które Alevy znał chyba lepiej od niego, został tam - tak bardzo związany był z tym człowiekiem i tak bardzo udzieliło mu się jego szaleństwo.

Ale Alevy'emu mógł wybaczyć, bo on gotów był umrzeć za swoje przekonania. Co innego ludzie tacy jak Charlie Banks i jego koledzy - ludzie, którzy rozgrywali światową partię szachów w Waszyngtonie i Moskwie. To właśnie im potrzebny był, żeby wrócili do rzeczywistości, zapach prochu, trupy i trujący gaz.

Zamknął oczy i próbował sobie wyobrazić Lisę wtedy, kiedy po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę - w pokoju oficera dyżurnego, tej nocy, kiedy zaginął Fisher. Spoglądając wstecz uświadomił sobie, że już wtedy coś między nimi zaszło i że już wtedy wiedział, jaki będzie finał - podobnie, jak wiedział, do czego doprowadzi go cała historia zapoczątkowana przez Dodsona. I to właśnie z powodu dotyczących Dodsona złych przeczuć starał się z początku trzymać od Lisy z daleka. Jeśli czegoś żałował, to że nie kochał jej wystarczająco mocno, że nie dał jej tego, czym ona go z takim entuzjazmem obdarowała.

Powiał silniejszy wiatr i Hollis nabrał pełne płuca powietrza. Wciąż czuł czysty zapach żywicy i wilgotnej ziemi, nie skażony śmiertelnymi, wyprodukowanymi przez człowieka miazmatami. Zrobiło mu się lekko niedobrze i zaczęła go swędzieć skóra. Usłyszał w oddali czyjś krótki krzyk, a potem ktoś inny zajęczał. Zdziwiło go, że gaz zabija stojących dalej Rosjan, podczas gdy on sam jeszcze żyje.

Usłyszał nad sobą dźwięk, który przypominał trzepot ptasich skrzydeł. Dźwięk nie ustawał i przeszło mu przez głowę, że to przyszły zabrać jego duszę czarne anioły. Wiatr wzmógł się i Hollis otworzył oczy. Niebo nad nim było czarne jak smoła i zobaczył, jak ciemność zapada się i zbliża - niczym coś, czego można dotknąć ręką. A potem ujrzał obracające się na tle nocnego nieba anielskie skrzydła i zrozumiał, że to nie wywołana trucizną wizja, ale helikopter.

Jego łopaty oczyszczały wokół niego powietrze, tworząc niewielką enklawę życia w skażonej gazem strefie.

Pokręcił głową.

– Nie! Odlatujcie!

Po raz drugi otwierała się przed nim szansa, z której skorzystał kiedyś na wodach Zatoki Tonkińskiej. Zasłużył na nią wtedy, ale nie teraz.

– Odlatujcie!

Helikopter przechylił się na bok i Hollis zobaczył ją, jak klęczy w otwartych drzwiach, wyciągając ku niemu rękę. Obok niej stał Brennan, a w oknie widać było twarz Millsa. Za sterami siedział O'Shea, prowadząc maszynę znacznie lepiej, niż pozwalały mu na to jego umiejętności.

Hollis pokręcił głową i dał im znak, żeby lecieli bez niego.

– Sam! Proszę!

Lisa wychyliła się jeszcze bardziej przez drzwi i Brennan wciągnął ją do środka, a potem rzucił mu zakończoną pętlą linę. Helikopter przechylił się ponownie i Hollis zorientował się, że maszyna traci stateczność pod wpływem odbitej od ziemi fali powietrza. Zrozumiał, że O'Shea będzie nad nim wisiał tak długo, aż się rozbije albo uśmierci go gaz. Założył sobie pętlę pod pachy. Poczł, jak unosi się i kręci w powietrzu, a potem stracił przytomność.

.42.

Hollis poczuł, jak jego ciało kołysze się w czarnej pustce. Wrażenie nieważkości i ruchu było kojące i przyjemne i nie miał nic przeciwko temu, by trwało dłużej, stopniowo jednak uświadamiał sobie, że nie unosi się w próżni, ale siedzi w fotelu.

Otworzył oczy i ujrzał w ciemności odległe światła, które po chwili przypłynęły bliżej i przybrały znajomą formę kabiny. Wlepił oczy w zegar i zobaczył, że dochodzi szósta. Coś podpowiadało mu, że to szósta rano. Odwrócił głowę i zobaczył kapitana O'Shea, siedzącego obok niego w fotelu pilota.

– Dokąd lecisz, do diabła? - zapytał.

O'Shea rzucił mu krótkie spojrzenie.

– Cześć. Dobrze się czujesz?

– Czuję się znakomicie. Odpowiedz na moje pytanie, kapitanie.

Lisa pochyliła się między siedzeniami i pocałowała go w policzek.

– Witaj, Sam.

– Witaj. Witajcie wszyscy z tyłu. Dokąd, do diabła, lecimy? Ambasada jest tylko dwadzieścia minut...

– Nie możemy lecieć do ambasady z takim ładunkiem, generale - powiedział siedzący za nim Bert Mills. - Kapitan O'Shea, Bill i ja przebywamy oficjalnie w Helsinkach. Ty i Lisa oficjalnie nie żyjecie. Dodson zmarł przed dwudziestu laty, a największy problem stanowi Burow.

Hollis kiwnął głową. O wszystkim tym doskonale wiedział.

– Lecimy w kierunku zatoki - powiedział.

– Tak jest, generale - odparł O'Shea. - Zatoki Fińskiej. Na spotkanie ze statkiem. Gratulacje z okazji awansu - dodał.

Typowy wojskowy, pomyślał Hollis. Ważne były gratulacje z okazji awansu, nie z okazji ujęcia z życiem. Odchrząknął.

– Dziękuję.

– Jak się czujesz? - zapytał Mills.

Hollis poruszył nogami, a potem rękoma, ale nie stwierdził żadnych zakłóceń w koordynacji. Widział wszystko wyraźnie; inne zmysły też wydawały się działać prawidłowo. Poczul słabą woń wymiotów i odkrył, że zabrudził nimi bluzę. Nie wypróżnił jednak pęcherza ani kiszek, co stanowiło dobry znak. Zdał sobie sprawę, że nie czuje prawej strony twarzy i dotknął palcami policzka. W miejscu w którym ugryzł go Burow, ktoś założył mu opatrunek z gazy. Odrętwienie spowodował środek znieczulający, a nie gaz.

– Nic mi nie jest - odparł.

Odwrócił się i popatrzył Bertowi prosto w oczy.

– Podalesz mi pralidoxime? - zapytał.

Mills kiwnął głową, przyznając tym samym, że zastosował odtrutkę na gaz paralityczny, a nie usypiający.

– Miałem konwulsje?

– Lekkie. Ale skoro czujesz się dobrze, to znaczy, że nic ci nie jest. Tak to działa.

– Nie wydaje mi się, żeby gaz usypiający mógł spowodować takie objawy - powiedziała Lisa.

Nikt się nie odezwał. Hollis odwrócił się i rozejrzał po pogrążonej w ciemności kabinie. Lisa klęczała na podłodze między fotelami. Mills siedział bezpośrednio za nim, a w fotelu za kapitanem O'Shea drzemał spokojnie Brennan.

Na dwóch tylnych siedzeniach siedzieli obok siebie Dodson i Burow. Dziwni towarzysze podróży, pomyślał. Obu utrzymywały w pozycji siedzącej pasy.

– Dodsonowi nic nie będzie - powiedział Mills. - Potrzebuje po prostu kilku porządných posiłków. Co do Burowa... jego twarzą będzie musiał się zająć chirurg. Mam nadzieję, że nie doszło do uszkodzenia mózgu.

– On urodził się z uszkodzonym mózgiem - odparł Hollis.

Poczuł, jak Lisa ściska go za rękę i odwzajemnił uścisk, pamiętając, o czym myślał przed swą niedoszłą śmiercią.

– Miło cię widzieć - powiedział.

– Czekaliśmy na ciebie - odparła - ale...

– Nie powinniście czekać, a potem nie powinniście po mnie wracać, wystawiając na szwank powodzenie całej misji.

– Głosowaliśmy - odezwał się Mills - i przegrałem. Bez obrazu, generale. Mówię po prostu, żebyś wiedział. Moim zdaniem, nie powinniście też razem z Sethem czekać na mnie w budce. Mimo to dziękuję.

Hollis odwrócił się do przodu i przebiegł oczyma tablicę przyrządów, zatrzymując wzrok na wskaźniku paliwa.

– Jak daleko mamy do zatoki? - zapytał.

– Biorąc pod uwagę średnią prędkość i czas podróży - odparł O'Shea - oceniam, że zostało nam jakieś dwieście czterdzieści kilometrów. Mam mapę powietrzną, ale na dole nie widać żadnych punktów orientacyjnych. Trzymamy kurs na Leningrad. Zmienimy go, kiedy zobaczymy światła miasta.

Hollis spojrział na wskaźnik prędkości i wysokościomierz. Lecieli z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę na wysokości tysiąca sześciuset metrów. Odczytał wskazania obrotomierza i momentometru, a potem sprawdził temperaturę i ciśnienie oleju, temperaturę akumulatorów i

temperaturę gazów przy wylocie dyszy. Biorąc pod uwagę obciążenie i przebyta do tej pory odległość, helikopter sprawował się całkiem nieźle. Jedyny widoczny problem stanowiła ilość paliwa. Postukał we wskaźnik, żeby sprawdzić, czy porusza się igła.

O'Shea pomyślał, że Hollis chce w ten sposób zwrócić jego uwagę na problem.

– Nie wiem - powiedział cicho. Uśmiechnął się z przymusem. - Być może ostatnie sto metrów będziemy musieli przepłynąć w pław - dodał, powtarzając stary lotniczy dowcip.

– Spaliłeś dużo paliwa, wracając po mnie - powiedział Hollis.

Kapitan nie odpowiedział.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał i Hollis zauważył, że mimo całej euforii, w jaką musiała ich wprowadzić udana ucieczka, nastroju w kabinie w żadnym wypadku nie można było określić mianem radosnego. Podejrzewał, że myśli wszystkich wracały ku Szkole Wdzięku i wybiegały naprzód ku Zatoce Fińskiej. To, co działo się tutaj i teraz, nie miało, jak demonstrował Brennan, większego znaczenia.

– Jeśli dobrze zrozumiałem - zwrócił się do Millsa - ty, Brennan i mój były adiutant przebywacie wciąż w Helsinkach i najprawdopodobniej nie wrócicie już do Moskwy, żeby objąć tam swoje obowiązki, dyplomatyczne i inne.

– Całkiem trafne przypuszczenie - odparł Mills.

– Burow i major Dodson znikną w amerykańskiej Szkole Wdzięku.

Bert kiwnął niezobowiązująco głową.

– A na cześć Lisy i mnie odbędzie się uroczysta parada w Nowym Jorku.

Mills przez chwilę milczał.

– Czy Seth rozmawiał z tobą? - zapytał w końcu.

– Tak. Wiem, że ja i Lisa nie mieliśmy się znaleźć w tym helikopterze. Ale skoro już jesteśmy...

– Cóż... Przypuszczam, że możemy powiedzieć, że doszło do pomyłki i w katastrofie helikoptera zginął zupełnie ktoś inny. Myślę, że uda nam się zainscenizować coś w rodzaju waszego zmartwychwstania.

– Dziękuję. Naszą śmierć zainscenizowaliście całkiem nieźle.

Bert uśmiechnął się z zakłopotaniem. Lisa potoczyła po nich wzrokiem.

– Nie bardzo za wami nadążam, jak zwykle zresztą.

Hollis spojrzał jej prosto w oczy.

– To nie był gaz usypiający, ale paralityczny. Trucizna.

– Co?...

– Nie będzie żadnych negocjacji. Żadnej wymiany. Zginęli wszyscy, którzy tam zostali, łącznie z, Sethem.

– Nie!

– Tak. Ty i ja też mieliśmy tam zginąć.

– Dlaczego?... - Spojrzała na Millsa. - Seth... nie żyje? Nie, on nie mógł zginąć. Bert powiedział, że wzięli go do niewoli i że wymienimy go za Burowa. Bert?

Mills uniósł się z fotela.

– Usiądź tutaj. - Wziął ją za ramię i posadził na swoim miejscu. Ukucnął i wziął głęboki oddech. - Wszystko to bardzo trudno wyjaśnić, Liso.

– Nieprawda, Bert - odezwał się Hollis. - To bardzo proste. Nie chcesz tylko tego głośno powiedzieć. Departament Stanu, Biały Dom, wywiad wojskowy i CIA zawarły ze sobą porozumienie - powiedział, zwracając się do Lisy. - Ustalono, że Szkoła Wdzięku pani Iwanowej zostanie zamknięta, a zamiast niej powstanie Szkoła Wdzięku pani Johnson.

– Nie powinieneś mówić nic więcej, generale - odezwał się Mills. - Moim zdaniem, Seth nie życzyłby sobie, żeby ona o tym wszystkim

wiedziała.

– Trzeba było jednak rozwiązać dwa problemy - ignorując go ciągnął dalej Hollis. - Po pierwsze, jak zidentyfikować działających w Ameryce rosyjskich szpiegów. Po drugie, co zrobić z Amerykanami trzymanymi w Rosji w niewoli. Niejaki generał Surikow pomógł nam rozwiązać pierwszy problem i to pozwoliło Sethowi zaproponować rozwiązanie drugiego.

Opisał w skrócie, czego dowiedział się od Alevy'ego.

Lisa wpatrywała się w odbijającą się w szybie z pleksiglasu jego twarz.

– I to wszystko był pomysł Seta? - zapytała zadziwiająco silnym głosem.

Hollis kiwnął głową.

– Muszę jednak przyznać, że odczuwał pewne wyrzuty sumienia z powodu wynikających z niego konsekwencji. I nie chciał pozwolić ci umrzeć. Co do mnie, do samego końca miały nim sprzeczne uczucia. Nie powinienem ci tego mówić - dodał - ale masz prawo wszystko wiedzieć. Tego przecież zawsze chciałaś.

– Nie wydaje mi się, żeby to zmieniało to, co do niego w tej chwili czuję - powiedziała. - Nie potrafię sobie wyobrazić - dodała po krótkim zastanowieniu - że ci wszyscy ludzie nie żyją... Wszyscy ci lotnicy, ich żony i dzieci... Jane i porwane Amerykanki... - Pokręciła głową. - Nie mogę uwierzyć, że oszukał nas, mówiąc o gazie usypiającym i wymianie jeńców. - Spojrzała na Hollisa. - Wiedziałaś, że to kłamstwo, prawda?

– Wydawało mi się to trochę zbyt piękne, a poza tym nie trzymało się kupy.

Kiwnęła w milczeniu głową.

– Domyślałem się, że życiu mojemu i Lisy wciąż zagraża niebezpieczeństwo - powiedział Hollis, zwracając się do Millsa.

Bert sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Nie z mojej strony - odparł. - Coś dla was znajdziemy.
- Co na przykład? Dożywotnie posady w nowej Szkole Wdzięku?
- Uważam, że jedyną rzeczą, której oczekiwał od was Seth, było to, żebyście nie pisnęli nikomu o tym wszystkim ani słowa.

Hollis usłyszał w głosie Millsa ton, którego używa się, mówiąc o niedawno zmarłych bohaterach. Zaczynała się legenda. Spojrzał na Lisę i zobaczył, że zakryła dłońmi twarz i łzy płyną jej po policzkach.

Odwrócił się do przodu i skoncentrował na sprawach bieżących. Sprawdził ponownie wskaźniki i zauważył, że zwiększyła się nieco temperatura i ciśnienie oleju. Wskazówka paliwa tkwiła na czerwonym polu, ale nie zapaliło się jeszcze ostrzegawcze światełko.

- Udało ci się w genialny sposób zużyć maksymalną ilość paliwa - powiedział do kapitana O'Shea. - Zredukuj szybkość.

- Nie mogę.
- Dlaczego?
- Zgodnie z instrukcjami, które dopiero otworzyłem, kiedy znaleźliśmy się w powietrzu, nasze spotkanie ze statkiem musi nastąpić przed świtem. Potem załoga usunie znaki identyfikacyjne. W pobliżu mogą się kręcić sowieckie jednostki.

- Rozumiem.
- Na tej szerokości geograficznej zaczyna się rozjaśniać nie wcześniej niż o siódmej dwadzieścia dwie. Przy tej szybkości jest szansa, że zdążymy.

Hollis kiwnął głową. Dotychczas sądził, że jedynym ich problemem jest paliwo. Teraz dochodził do tego czas. Spojrzał na szybkościomierz powietrzny, a potem na bardziej dokładny wskaźnik prędkości lądowej. Pierwszy z nich wciąż wskazywał sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, drugi tylko sto trzydzieści. Najwyraźniej lecieli pod silny wiatr.

Popatrzył przez przednią szybę. Mijali postrzępione, rzadkie chmury, a co jakiś czas maszyna chwiała się w podmuchach północnego wiatru. Niebo nad nimi było zachmurzone i bezgwiazdne. Niżej nie widać było żadnych świateł. Leciał kiedyś do Leningradu Aerofłotem i znał te rejony Rosji. W większości składały się ze słabo zaludnionych lasów, jezior i bagien. Zeszłej jesieni wracał z Leningradu do Moskwy ekspresem „Czerwona Strzała” i stwierdził, że krajobraz jest podobny do tego, który widział z powietrza. Wsie były wyludnione, a gospodarstwa w opłakanym stanie. Niegościnnie, chłodny kraj, w którym lepiej było nie myśleć o awaryjnym lądowaniu.

– Nie próbowałeś lecieć wyżej? - zapytał kapitana.

– Nie - odparł O'Shea. - Nie chciałem zużyć więcej paliwa.

Hollis wziął do rąk stery po swojej stronie.

– Zrób sobie przerwę - powiedział. - Odpocznij.

Kapitan puścił stery i rozprostował nogi i ramiona.

– Chcesz prowadzić z mojego fotela?

– Nie, ale nie chcę również, żebyś mi przeszkadzał. Pozwolę ci siedzieć w fotelu pierwszego pilota tak długo, jak nie będziesz tego brał serio.

– Tak jest.

Hollis wiedział, że prowadzenie helikoptera wymaga ciągłej koncentracji, a także bezustannego trzymania rąk na sterach i jest w stanie zmęczyć pilota już po godzinie. O'Shea siedział za sterami dwie godziny, wpatrując się w opadający wskaźnik paliwa.

– Wejźmy trochę wyżej - powiedział Hollis.

Przesunął lekko w górę dźwignię skoku, zwiększył moc i wyrównał poziom drążkiem sterującym. Zwiększony moment reakcyjny sprawił, że dziób przesunął się w lewo.

– Tutaj jest wszystko odwrotnie - przypomniał mu O'Shea.

– Dziękuję, kapitanie. Czy to oznacza, że poziom paliwa się zwiększa?

– Nie, generale.

Hollis wcisnął prawy pedał i wyrównał kurs.

– Prowadzi się całkiem, dobrze. Ale nie próbowałbym nim lądować w ciemności przy silnym wietrze na rozkołysanym statku.

O'Shea zerknął na niego, żeby zobaczyć, czy żartuje.

– Spędziłem za jego sterami dość czasu - mówił - żeby spróbować tej sztuczki. Ale jeżeli chcesz go posadzić, proszę bardzo, ty jesteś tutaj szefem.

– Będziemy walczyć o ten zaszczyt na krótko przed zejściem do lądowania.

Mills popatrzył najpierw na Hollisa, a potem na O'Shea. Piloci, pomyślał, podobnie jak agenci CIA, miewają ataki wisielczego humoru, kiedy już naprawdę nie ma się z czego śmiać.

Hollis obserwował wznoszącą się wskazówkę wysokościomierza. Przy trzech tysiącach metrów przesunął z powrotem w dół dźwignię skoku. Szybkościomierz powietrzny pokazał znowu sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, ale prawie tyle samo widniało na wskaźniku prędkości lądowej.

– Tak jest lepiej.

– Może powinienem to zrobić wcześniej - powiedział O'Shea.

– Może. Ale może wcześniej wiatr był tutaj silniejszy.

– Ciężko się zorientować, jeśli człowiek nie może zapytać ziemi o pogodę.

– Racja - odparł Hollis i przyjrzał się bliżej przyrządom i wskaźnikom. Mógł z nich odczytać prędkość, wysokość, obciążenie i ilość paliwa, a także, ile czasu znajdują się w powietrzu i ile w przybliżeniu mogą jeszcze przelecieć - ale mając do dyspozycji wszystkie te dane, nadal nie potrafił

powiedzieć, czy zobaczą przed świtem Zatokę Fińską i czy w ogóle zobaczą zatokę albo doczekają świtu.

Myśli O'Shea biegly najwyraźniej w tym samym kierunku.

– Gdybyśmy zobaczyli jakiś punkt orientacyjny, moglibyśmy ocenić, ile nam zostało do celu. Nie mam jakoś zaufania do tego wskaźnika paliwa.

– Lecimy z szybkością - odparł Hollis - która wystarczy, żeby dotrzeć na czas tam, gdzie mamy wylądować. Margines bezpieczeństwa jest bardzo wąski i w tej chwili nie możemy zrobić nic więcej.

– Może złapiemy wiatr z tyłu - pocieszał się kapitan.

– A co będzie, jeśli znowu będziemy musieli lecieć pod silny wiatr? - wtrącił Mills, który przysłuchiwał się im z uwagą.

– Nie ma sensu martwić się z góry o coś, na co nie mamy żadnego wpływu - powiedział, oglądając się do tyłu, O'Shea.

– Podstawowe pytanie, generale - zwrócił się Mills do Hollisa. - Jakie mamy szansę?

– Ja dosiadłem się tylko po drodze. Nie zamierzam oceniać szans waszego planu.

– A może powinniśmy zmniejszyć trochę obciążenie? - zapytał Bert.

– Zakładam, że już to zrobiliście.

– Tak - odparł O'Shea. - Wyrzuciliśmy płaszcze, bagaże, wodę pitną i trochę sprzętu. Zmniejszyło to nasze obciążenie o jakieś sto funtów.

– Miałem na myśli coś innego - oznajmił Mills.

– Kogo miałeś na myśli, Bert? - zapytał Hollis.

– Cóż... myślę, że w grę wchodzi Dodson albo Burow.

– Przecież są wam potrzebni - odparł Hollis. - Może chcesz, żebym to ja wyskoczył?

– Nie. Nie chcę, żeby O'Shea znowu siadł za sterami. Kiedy on prowadzi, nie czuję się pewnie. - Mills uśmiechnął się. - Jeśli poprawiłoby

to nasze szansę - dodał - moglibyśmy pozbyć się Burowa.

Ani Hollis, ani O'Shea nie odpowiedzieli.

– Dobra, zapomnijmy o tym - stwierdził Bert. - Nie będę już o tym mówił. Decyzja należy do ciebie, generale.

Hollis właściwie lubił Millsa, kiedy ten zachowywał się jak Mills. Kiedy starał się naśladować swego szefa, rezultatem był afektowany cynizm, pozbawiony jednak stylu i stanowczości Alevy'ego.

– Nie chcę więcej słyszeć o żadnych morderstwach - odezwała się, pierwszy raz od dłuższego czasu, Lisa.

Nikt się nie odezwał i przez jakiś czas słyszeli tylko warkot turbin i szum obracających się łopat.

– Widzieliście jakieś inne samoloty albo helikoptery? - zapytał Hollis.

– Nie - odparł O'Shea.

Hollis kiwnął głową. Nie wydawało mu się, żeby ktoś ze Szkoły Wdzięku zdążył połączyć się ze światem zewnętrznym. Ale do tej pory Sowieci mogli odkryć, że obóz został starty z powierzchni ziemi, i połączyć informację o zaginionym Mi-28 z likwidacją Szkoły Wdzięku. A jeśli to zrobili, przyszło im również na myśl jedyne, poza ambasadą amerykańską, bezpieczne miejsce, do którego mógł dotrzeć Mi-28: Zatoka Fińska.

– Czy układając ten plan - zapytał, zwracając się do Millsa - konsultowaliście się z jakimiś ludźmi z sił powietrznych?

– Oczywiście - odparł Bert lekko urażonym tonem.

– W jaki sposób zamierzaliście się schować przed sowieckimi radarami?

– Faceci z sił powietrznych, z którymi rozmawialiśmy - odparł Mills - doszli do wniosku, że zanim Rosjanie się pokapują, znajdziemy się poza zasięgiem radaru moskiewskiego. Wiedzieliśmy, że bez świateł nawigacyjnych jesteśmy optycznie niewidzialni. Ed - zwrócił się do kapitana O'Shea - dostałeś przecież pisemne instrukcje, prawda?

– Miałem zejść bardzo nisko - odparł O'Shea - żeby schować się przed radarami pokładowymi... żeby nasze echo nie różniło się od szumu odbitego od ziemi... i lecieć okrężnym kursem w stronę zatoki. Ale pomyślałem sobie, że przy tej ilości paliwa to niemożliwe.

– Pomyślałeś sobie całkiem słusznie - stwierdził Hollis. - Ale nawet jeśli nas nie szukają, na pewno pokażemy się na czyimś ekranie, kiedy tylko wejdziemy w obszar powietrzny Leningradu.

– Zbliżając się do Leningradu, mamy zejść maksymalnie nisko, poniżej zasięgu radaru. To, że ktoś nas z dołu zobaczy, nie będzie miało większego znaczenia, ponieważ i tak będziemy blisko celu. Powinniśmy wylądować, zanim wyślą samolot, żeby nas przechwycił. - O'Shea spojrzał na Hollisa. - Co o tym sądzisz? - zapytał.

– Sądzę, że ktoś zapomniał o radarze marynarki wojennej, który kontroluje wszystko, co dzieje się w zatoce. Sądzę także, że jeśli szukają naszego helikoptera, to go znajdą. Zakładam, że skojarzyli już zaginięcie śmigłowca Aerofłotu o konkretnym numerze identyfikacyjnym z użyciem gazu trującego przeciwko ośrodkowi szkoleniowemu pod Borodinem.

– Opieramy się na założeniu - powiedział Mills - że o zagładzie Szkoły Wdzięku nikt jeszcze nie wie i nie dowie się aż do chwili, kiedy dotrze tam jakaś poranna dostawa albo zadzwoni ktoś z Moskwy. Co się tyczy helikoptera, zmieniłem jego numer identyfikacyjny, a oni prawdopodobnie wciąż jeszcze szukają miejsca, w którym rozbił się P-113. Ten kraj jest wyjątkowo zbiurokratyzowany i obieg informacji podlega najróżniejszym ograniczeniom. To działa na naszą korzyść, bo niełatwo jest w tej sytuacji dokonać właściwych skojarzeń.

– Może masz rację - odparł Hollis. - W jaki sposób mamy się spotkać ze statkiem w zatoce? - zapytał kapitań O'Shea.

O'Shea zerknął na kartkę przyklejoną do tablicy przyrządów.

– Najpierw mamy odszukać lotnisko Pułkowo. Powinniśmy je rozpoznać z powietrza. Zaraz potem zejdziemy poniżej dwustu metrów, żeby schować się przed radarem. Mniej więcej na kilometr przed wieżą kontrolną zmieniamy kurs na trzysta dziesięć stopni, mijamy wybrzeże na zachód od Leningradu i lecimy dalej, aż zobaczymy stojącą na końcu długiego mola latarnię morską. Dokładnie nad nią zmieniamy kurs na trzysta czterdzieści stopni. Szybkość lądowa osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Zgodnie z tym, co tu jest napisane, gdzieś na głównym torze wodnym powinniśmy zobaczyć tworzące trójkąt trzy żółte światła przeciwmgielne. Umieszczone będą na pokładzie płynącego z Leningradu frachtowca. Światła nie będą migąły, bo mogłoby to zwrócić niepotrzebną uwagę na statek. Ale powinny świecić się wystarczająco jasno, żebyśmy zobaczyli je z wysokości dwustu metrów i z odległości pół kilometra od frachtowca, nawet jeśli nad zatoką będzie unosić się mgła. Lądujemy w środku trójkąta, wrzucamy helikopter do morza i płyniemy do Liverpoolu. Jeśli dojedziemy do Londynu - dodał O'Shea - stawiam wszystkim obiad.

Hollis posłał mu krótkie spojrzenie, ale nie odezwał się ani słowem.

Lecieli na północ przez kolejne piętnaście minut i Hollis zauważył, że prędkość lądowa spada, co oznaczało, że znowu mają przeciwko sobie silny wiatr czołowy. Wskazówka poziomu paliwa tkwiła głęboko na czerwonym polu. Z podręcznika pilotażu Mi-28, który nabył pośrednio od mechanika Aerofłotu za parę dzinsów i karton amerykańskich papierosów, dowiedział się między innymi, że nie można ufać wskaźnikowi paliwa. I rzeczywiście, mimo że strzałka zbliżała się prawie do zera, nie zapaliło się jeszcze ostrzegawcze światełko.

– Chcesz, żebym cię zmienił? - zapytał O'Shea.

– Nie. Muszę nabrać wprawy.

Minęło kilka minut.

– Powinniśmy już widzieć światła Leningradu - odezwał się kapitan.

Hollis kiwnął głową.

– Czy będziemy mieli jakieś ostrzeżenie, zanim skończy się paliwo? - zapytał Mills.

– Potrzebujesz ostrzeżenia? - odpowiedział pytaniem Hollis.

– Co masz na myśli?

– Chcesz lądować w Rosji?

– Chyba nie. Będziemy chyba lecieć tak długo, aż spadniemy.

– Na to wychodzi - odparł Hollis.

Pięć minut później zapaliło się światło.

– Wasze rezerwy paliwa są na ukończeniu - odezwał się po chwili po rosyjsku piskliwy głos.

– Odwał się - odparł O'Shea.

– Przygotujcie się do zakończenia lotu - kontynuował głos z taśmy.

Hollis i O'Shea wymienili między sobą spojrzenia.

– Co on mówi? - zapytał Mills.

– Że zostało nam tylko czterdzieści dwa dni na bożonarodzeniowe zakupy - odparł Hollis.

– Kończy się paliwo - poinformowała Berta Lisa.

– Tak mi się też wydawało - odparł, kiwając głową.

Lecieli dalej przez ciemną noc. Nikt się nie odzywał, tak jakby wszyscy czekali, pomyślał Hollis, na pierwsze odgłosy krztuszącego się silnika. Po jakimś czasie Lisa pochyliła się do przodu i położyła mu rękę na ramieniu.

– Jak się masz? - zapytała.

– Świetnie. Co słychać z tyłu, w klasie dla biznesmenów?

– Zgadnij. Ile nam zostało paliwa po tym ostrzeżeniu?

– Należałoby raczej zapytać, na ile nam wystarczy to paliwo, które mamy. To zależy od obciążenia, temperatury, wilgotności powietrza, wiatru,

wysokości, szybkości, stanu silników, rodzaju manewrów oraz łaski Bożej.

– Czy powinnam się modlić?

– Nie zaszkodzi.

– Ty zajmij się sterami.

– W porządku. Ty się módl, a ja zajmę się sterami. Potem się zamienimy.

Lisa przyjrzała się jego spoczywającym na przyrządach dłoniom. Sam Hollis, którego widziała teraz, różnił się od człowieka, którego poznała w Moskwie i Szkole Wdzięku. Uderzyło ją, jak bardzo wydawał się związany z maszyną, i przypomniała sobie, co o świecie pilotów mówił jej na lotnisku Szeremietiewo Seth Alevy. Hollis był ulepiony z innej gliny, to prawda, ale nie kochała go przez to ani trochę mniej.

– Wasze rezerwy paliwa są na ukończeniu - odezwał się ponownie głos. -
Przygotujcie się do zakończenia lotu.

Przez kilka minut nikt nic nie mówił.

– Hej - odezwał się w końcu O'Shea - słyszeliście o tym pilocie Aerofłotu, który lecąc nad oceanem stwierdził, że ma za mało paliwa i zrzucił je, żeby odciążyć maszynę?

Nikt się nie roześmiał.

– Wydawało mi się to śmieszniejsze, kiedy stałem obiema nogami na ziemi - stwierdził O'Shea.

Hollis spojrział na tablicę przyrządów. Była 6.59. Słońce powinno wzejść za dwadzieścia trzy minuty i o tej samej godzinie ich frachtowiec zgasi swoje światła, upodabniając się do innych płynących przez zatokę statków. Przy obecnej prędkości mogą przelecieć przed świtem sześćdziesiąt kilometrów. Ale przez ostatnie dziesięć minut mieli, zgodnie z instrukcją, poruszać się z prędkością zredukowaną do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Mamy dwie opcje - powiedział, zwracając się do O'Shea. - Możemy zmniejszyć szybkość i oszczędzać paliwo. Dolecimy wtedy prawdopodobnie na miejsce spotkania, ale będzie już dawno po świcie. Możemy też zwiększyć szybkość i zużycie paliwa, dzięki czemu dotrzemy na umówione miejsce przed świtem. Oczywiście jeśli będziemy zużywać więcej paliwa, możemy w ogóle tam nie dolecieć. Jaka jest twoja profesjonalna opinia, kapitanie?

– Założę się, że mamy więcej paliwa, niż nam się wydaje - odparł O'Shea, jakby to sobie wcześniej przemyślał. - Takie mam przeczucie. Moim zdaniem powinniśmy zwiększyć szybkość.

– Głosuję za zredukowaniem szybkości i oszczędzaniem paliwa - odezwał się Mills. - Naszym głównym zadaniem nie jest dotarcie przed świtem do tego frachtowca, ale wydostanie się ze Związku Sowieckiego, poza zasięg KGB. Powinniśmy zrobić wszystko, żeby dolecieć do zatoki. Wolę, żebyśmy poszli na dno, niż dostali się w ich łapy. Za dużo wiemy.

– Nie masz prawa głosu, Bert. To kwestia techniczna. Ale twoja opinia zostanie wzięta pod uwagę. Lisa?

– Jestem tego samego zdania co Bert. Wolę pójść na dno, niż lądować w Rosji.

Hollis kiwnął głową.

– Może powinniśmy obudzić Brennana i jego też zapytać o zdanie?

Z tyłu rozległ się trzask pękającej gumy do zucia.

– Czy jesteśmy już na tamtym świecie? - zapytał Brennan.

– Przygotowujemy się do przejścia - odparł Mills.

Bill przeciągnął się i odchrząknął.

– Cześć, pułkowniku. Miło pana znowu widzieć. Jak się pan czuje?

– Znakomicie. Tak *a propos*, jestem generałem.

– Ach, prawda. Przepraszam. Więc jak, generale, wyrównaliśmy chyba z nimi w końcu rachunki? Dostali niezłego łupnia, prawda?

– Prawda. Słyszałeś, jaki mamy problem?

– Tak. Niełatwo rozstrzygnąć. Godzę się na wszystko, co postanowicie. Hollis żałował, że wszyscy nie są tacy zgodni.

– Nienawidzę latania - dodał Brennan. - Cieszę się, że już wkrótce będziemy na dole.

– Pańska kolej, generale - powiedział O'Shea.

– Wasze rezerwy paliwa są na ukończeniu - odezwał się ponownie głos z taśmy. - Przygotujcie się do zakończenia lotu.

– Zwiększamy szybkość - powiedział Hollis.

Pchnął do przodu drążek sterujący, otwierając jednocześnie przepustnicę i korygując skok ogólny. Dziób helikoptera pochylił się w dół, a szybkość powietrzna wzrosła do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Razem z nią zwiększyła się prędkość lądowa.

– Nigdy nie wierz Rosjaninowi - skomentował Hollis.

Lecieli dalej na północ. Światelko sygnalizujące brak paliwa paliło się teraz bez przerwy, a głos powtarzał co jakiś czas bezdusznym tonem swoje ostrzeżenie. Hollis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że te nagrane na taśmie komunikaty powinny brzmieć za każdym razem bardziej przejmująco. Ale facet, który dokonywał nagrania, nie musiał bać się śmierci.

– Popatrzcie! - krzyknął O'Shea.

Cała czwórka spojrzała w stronę, w którą wskazywał kapitan. Daleko na północnym wschodzie widać było na tle czarnego horyzontu niewyraźną poświatę.

– Leningrad - powiedział Hollis.

– Jakies dwadzieścia kilometrów przed nami - stwierdził O'Shea. - Może siedem minut lotu.

Hollis spojrział na zegar. Była 7.04. Osiemnaście minut do świtu. Jeśli dolecą w ciągu siedmiu minut do lotniska Pułkowo i zmienią kurs, powinni po kolejnych pięciu minutach znaleźć się nad latarnią. Kolejnych dziesięć minut zajmie im dotarcie do frachtowca. To dawało w sumie dwadzieścia dwie minuty.

– Ścigamy się teraz ze słońcem, generale - powiedział O'Shea.

– Myślałem, że ze wskaźnikiem paliwa. Zawstydzasz mnie.

Kapitan uśmiechnął się ponuro.

Hollis zwiększył prędkość do dwustu kilometrów na godzinę.

– Dajemy mu ostro popalić pod koniec długiego lotu - zauważył O'Shea.

- Ufasz tym turbinom?

Hollis rzucił okiem na tablicę przyrządów. Wskaźniki temperatury gazów wydechowych i temperatury oleju tkwiły na czerwonym polu.

– Nigdy nie ufaj czerwonym - mruknął. - Więc co cię skłoniło do powrotu, Bill?! - zawołał, zwracając się do Brennana.

– Och, sam nie wiem. Seth Alevy twierdził, że wpadł pan w tarapaty. Z tego samego powodu zgodził się także lecieć O'Shea. Prawda, kapitanie?

– Prawda. Chciałem - zwrócił się O'Shea do Hollisa - żebyś napisał na nowo moją ocenę okresową.

– Pomyślę o tym - odparł Hollis.

Zaczął powoli schodzić w dół.

– Ile czasu spędził pan za sterami helikoptera, generale? - zapytał O'Shea.

– Godzinę, wliczając w to ostatnie trzydzieści minut.

– Poważnie.

– Nie wiem. Może dziesięć, może dwanaście godzin. Czy to test?

– Nie. Zastanawiam się tylko, kto powinien lądować.

– Jeżeli będziemy lądować z wyłączonymi silnikami na zamarzających wodach zatoki, mogę ci ustąpić miejsca. Jeśli silniki będą działać, a pod nami będzie pokład frachtowca, ląduję ja.

– W porządku.

Mi-28 wciąż schodził w dół i Hollis zauważył, że zmniejsza się prędkość lądowa, co oznaczało, że mają przeciwko sobie silny wiatr. Na wysokości pięciuset metrów szybkość powietrzna nadal wynosiła dwieście kilometrów na godzinę, ale ta rzeczywista, mierzona w stosunku do mijanego lądu, była mniejsza niż sto trzydzieści kilometrów.

Uświadomił sobie, że weszli w strefę słynnych, wiejących od Zatoki Fińskiej wiatrów, które podnosiły nieraz poziom wody o dwa metry, doprowadzając do tego, że morze zalewało Leningrad. Wyobraził sobie wzburzone fale i unoszący się na nich, rozkołysany frachtowiec.

Widać już teraz było główne, wiodące do miasta arterie i jadące po nich samochody. Leningrad. Najbardziej nierosyjskie miasto w całej Rosji. Miasto, które miało swój styl, kulturę i liberalne pretensje, i które - jakby w odwecie za swą prozachodniość - zaznało najbrutalniejszych represji ze strony KGB. Hollis uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy lubi Leningrad i z żalem ogląda go po raz ostatni.

– To chyba szosa do Moskwy. Jeśli tak, to Pułkowo powinno być po lewej stronie.

– Od jakiegoś czasu nie słychać już nagrania - zauważył Mills.

– Myślę, że stracił do nas cierpliwość - odparł Hollis.

– Czy to nie samolot? - zapytał O'Shea, wskazując dłonią na lewo.

Hollis wyjrzał przez szybę i zobaczył mijające ich znajome niebiesko-białe światła pozycyjne.

– Tak - odparł. - Z nawigacją poradziłeś sobie znakomicie, kapitanie.

– Dziękuję. Wziąłem małą poprawkę na wiatr, ale nie wiedziałem dokładnie, z jaką siłą spycha nas z kursu.

– Nie była jak widać dość duża, żebyśmy minęli całe miasto.

Hollis pochylił helikopter w lewo i zaczął szybciej schodzić w dół. Kiedy zeszli na dwieście metrów, wyrównał pułap. Oceniał, że znajdują się kilometr na południe od wieży kontrolnej lotniska, i zmienił kurs na trzysta dziesięć stopni. Lecieli teraz tak nisko, że widać było pasażerów w jadącym drogą autobusie. Hollis zobaczył przesuwające się w dole fabryczne budynki, a potem wyjeżdżający z miasta pociąg.

Na północy z każdą minutą coraz wyraźniej jaśniały światła wielkiego miasta, budzącego się do życia po długiej jesiennej nocy.

– Wydaje mi się, że widzę zatokę - odezwał się O'Shea.

Hollis wyteżył wzrok i ujrzał miejsce, w którym kończyły się porozrzucane z rzadka światła nabrzeża i zaczynała czarna tafla morza.

– Jeszcze tylko kilka minut - powiedział. - Wypatruj latarni na końcu mola.

Minuty płynęły w milczeniu. Minęli nabrzeże i nagle znaleźli się nad wodą. Hollis spojrział na zegar. Była 7.14.

– Nareszcie - powiedział Mills. - Teraz już nie ma powrotu.

Hollis kiwnął głową. Gdyby nawet wydostali się jakoś z tonącego helikoptera, czas przetrwania w zamarzających wodach zatoki nie powinien przekroczyć piętnastu minut.

O'Shea wskazał dłonią przed siebie.

– Latarnia.

– Widzę - odparł Hollis.

W odległości pół kilometra od latarni zmniejszył moc i zadarł w górę dziób helikoptera. Kiedy mijał skraj długiego na dwa kilometry betonowego mola, wskaźnik prędkości lądowej pokazywał dokładnie

osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Hollis zmienił kurs na trzysta czterdzieści stopni i rzucił okiem na zegar. Była 7.17.

– Kapitanie, kontroluj czas.

– Tak jest.

Hollis obserwował kompas, starając się nie schodzić z kursu, ale zdawał sobie sprawę, że spycha ich w bok silny północny wiatr. Próbował obliczyć w pamięci, jaką powinien wziąć poprawkę, zważywszy, że lot potrwa około dziesięciu minut, a siła wiatru może wynosić od trzydziestu do czterdziestu węzłów. Zapragnął nagle spotkać się ze specjalistami, którzy doradzali Millsowi.

– Z jakiej byli jednostki? - zapytał Berta.

– Słucham?

– Faceci, z którymi się konsultowałeś?

– Aha... a z czym mamy problem? To znaczy, nie licząc paliwa.

– Z nawigacją. Dwa poruszające się obiekty. On musi walczyć z morzem, my z wiatrem.

– To tak, jakby trzeba było nawlec poruszającą się igłę - skomentował O'Shea.

– Po ciemku - dodał Hollis.

Mills nie odpowiedział.

– Domyślam się - odezwał się Brennan - że musimy trafić w ucho za pierwszym razem.

– Jeśli w ogóle będziemy mieli okazję spróbować - dodał O'Shea.

– Pierdołę was... - usłyszeli nagle po rosyjsku. - Pozabijam was wszystkich...

– Czy to nagranie z taśmy? - zapytał Hollis.

Brennan zachichotał.

– Wydaje mi się, że to nasz pasażer z tyłu - powiedział. - Co on mówi?

– Mówi, żeby mu dać kolejną dawkę pentothalu sodu - odparł Hollis. -
Uciszyć go, Bert.

Mills przeszedł do tyłu i przyjrzał się Burowowi.

– Jest naprawdę w kiepskim stanie, generale. Nie chcę go zabić.

– Wszystkich was powadam z powrotem do celi - wymamrotał przez opuchnięte wargi Burow.

– Wasze rezerwy paliwa są na ukończeniu - odezwał się ponownie głos z taśmy.

– Widzicie! - ożywił się Rosjanin. - Musicie natychmiast lądować.

– Zamknij się, Burow - zawołał po rosyjsku Hollis - bo wyrzucę cię na zewnątrz!

Pułkownik umilkł.

– Nasz drugi pasażer dochodzi chyba do siebie - oznajmił Mills, przypatrując się Dodsonowi.

– Jest siódma dziewiętnaście, minęły dwie minuty - stwierdził O'Shea.

Mills wyjrzał przez tylne okienko, na południowy wschód.

– Wschodzi słońce - powiedział. - Jeśli będzie jasno, nie wezmą nas na pokład.

– A jaki mają inny wybór? - zapytała Lisa.

– Mogą po prostu zgasić światła - odparł. - Wtedy nie zgadniemy, że to nasz statek. Wiem tylko tyle, że to frachtowiec. Nie mam pojęcia, pod jaką płynie banderą. Nie podano nam tego ze względów bezpieczeństwa i domyślam się, że nie powinniśmy także lądować w świetle dnia, żeby nie narażać załogi. Mamy wypatrywać trzech żółtych świateł, to wszystko.

– Może twoi przyjaciele w Waszyngtonie - odezwał się Hollis - wybrali dla nas statek pod banderą sowiecką.

Mills słabo się uśmiechnął.

– To wcale nie jest śmieszne.

– Słuchajcie, co wam powiem - odezwał się po angielsku Burow, sepleniąc przez powybijane zęby. - Wylądujcie i wypuście mnie. Nikt nie będzie wam przeszkadzał w dalszej ucieczce. Gwarantuję, że nic złego nie stanie się więźniom w obozie. Macie na to moje słowo.

W kabinie zapadła cisza.

– Przejmij ode mnie stery - powiedział w końcu Hollis do kapitana O'Shea. Przeszedł do tyłu i stanął nad Burowem. Ręce Rosjanina przywiązane były stalowym drutem do fotela. Przez krótką chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Chcesz może jakieś środki przeciwbólowe? - zapytał Hollis.

Pułkownik przez moment nie odpowiadał, a potem pokręcił głową.

– Chce ci się pić?

– Tak. Bardzo.

Hollis odwrócił się.

– Zostało nam coś do picia?

– Tylko to. Koniak. Prawdziwy - odparł Mills, wręczając mu butelkę.

Hollis odkorkował ją i przytknął Burowowi do pokrwawionych warg. Rosjanin wlepił w niego oczy, a potem otworzył usta. Hollis wlał mu do gardła pół butelki. Burow krztusił się i pluł zakrzepłą krwią, ale udało mu się wypić większość koniaku. W oczach zalśniły mu łzy i Hollis domyślił się, że alkohol pali go w pokaleczone wargi i dziąsła.

– Nie mamy wody - powiedział.

Pułkownik nie odpowiedział. Hollis zakorkował z powrotem butelkę.

– Gra skończona, wiesz o tym.

Rosjanin milczał dalej.

– Za parę minut znajdziesz się na pokładzie naszego statku albo pójdiesz razem z nami na dno. Nie czeka cię nic innego.

Burow kiwnął głową.

– Potrafisz się modlić?

– Nie.

– Uczyła cię chyba matka?

Pułkownik nie odpowiedział.

– Może jeszcze zmienisz zdanie.

Burow skurczył się w fotelu i opuścił głowę.

– Gratuluję ci - mruknął. - I wam wszystkim. A teraz zostaw mnie w spokoju.

Hollis przyjrzał się poobijanej twarzy Dodsona i ponownie zmierzył wzrokiem Burowa.

– Jest mnóstwo rzeczy, za które będziesz musiał odpokutować - powiedział. - A ja dopilnuję, żeby w imieniu innych lotników zapytał cię o nie osobiście major Dodson.

Podszedł do okienka po lewej stronie i popatrzył na południowy wschód. Nad płaskim horyzontem pojawiła się, rzucając różowy blask na Leningrad, wąska czerwona smuga. Ale tutaj, pod helikopterem, wody zatoki były nadal czarne jak smoła. Hollis usiadł z powrotem na miejscu drugiego pilota.

– Przejmuję stery - oznajmił i spojrział na zegar.

Była 7.21. Do miejsca spotkania zostało im jeszcze sześć minut, ale tylko dwie dzieliły ich od brzasku. Było oczywiste, że nie zdążą przed świtem.

O'Shea wlepił wzrok w przednią szybę. Mills i Brennan tkwili u okien z lewej strony, a Lisa z prawej. Wszyscy wpatrywali się w ciemne morze. Na dole mrugały co jakiś czas zamocowane na statkach i bojach światła, ale nigdzie nie było widać złotego trójkąta.

Morze stopniowo stawało się coraz jaśniejsze i Hollis widział teraz jego pofałdowaną powierzchnię i szczyty fal, od których odbijało się słońce.

Przeszło mu przez głowę, że doczekał przynajmniej świtu i niezależnie od wszystkiego, co się wydarzyło, okazał się on lepszy od tego, który czekał go w Szkole Wdzięku.

– Jest siódma dwadzieścia siedem - przypomniał O'Shea. - Minęło dziesięć minut.

– Nic nie widzę - stwierdziła Lisa.

– Chyba zgasili światła - powiedział Brennan. - Może wylądujemy po prostu na pierwszym lepszym statku? Widzicie ten tankowiec? Godzina dziesiąta, pół kilometra.

W szarym świetle poranka Hollis zobaczył szeroki płaski pokład. Sprawiał zachęcające wrażenie, ale podobnie jak stojąca w ciemnej bramie kobieta, mógł okazać się pułapką.

– Może należy do Sowietów albo do któregoś z krajów Bloku Wschodniego - rzekł. - Trudno powiedzieć.

– Zgodziliśmy się już - dodał Mills - że nie wolno nam wpaść w ich ręce. Jesteśmy to winni naszemu krajowi i sobie samym.

– Masz rację - stwierdził, kiwając głową, Brennan. - To może być statek komuchów. Musi się ich tu kręcić całe mnóstwo. Wolę już pójść na dno.

– Nie mówicie serio - odezwał się Burow. - Lepiej chyba żyć, niż zginąć straszliwą śmiercią w lodowatej wodzie.

– Nie wydaje mi się - odparła Lisa.

– Nie chcę cię więcej słyszeć - powiedział Brennan, odwracając się do Rosjanina.

Minęło kilka minut. Niebo rozjaśniało się coraz bardziej. Hollis zobaczył przed sobą szeroki wał chmur, a w dole unoszącą się nad zatoką mgiełkę. Nad falami zataczały kręgi mewy i rybitwy, a w oddali widać było przelotny szkwał. Typowy ponury dzień na Zatoce Fińskiej.

– Do tej pory - odezwał się Mills - na pewno zgasili już światła. Boją się, że z jakiegoś sowieckiego statku dostrzegą lądujący na ich pokładzie helikopter Aerofłotu. Trudno mieć o to do nich pretensję.

– Ale nie widać na dole żadnej jednostki, która choć w przybliżeniu przypominałaby frachtowiec. Jest parę tankowców i parę statków rybackich. Przedtem minęliśmy jeden okręt wojenny. Naszego frachtowca po prostu nie ma.

– Może wciąż stoi w Leningradzie - powiedział O'Shea - i czeka na dokumenty wywozowe. Może albo on, albo my zeszliliśmy z kursu. Kiedy nie można użyć radia, takie spotkanie na morzu to prawdziwa loteria.

Hollis spojrzął na przyrządy. Mi-28 sprawował się lepiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. To, że ostatni sowiecki produkt, z którym miał do czynienia, okazał się najlepszy, zakrawało na swoisty paradoks. Wszystkie mechanizmy pracowały bez zarzutu, wszystkie z wyjątkiem wskaźnika paliwa.

– Miałeś rację z tym paliwem - zwrócił się do kapitana O'Shea. - Pomyślałem sobie, że ten wskaźnik oddaje w jakiś sposób sowiecką umysłowość. Oni nie wierzą, że człowiek jest w stanie podejmować racjonalne decyzje, więc okłamują go dla jego własnego dobra. - O'Shea uśmiechnął się. - Ale teraz - dodał smutnym tonem - zbiorniki są chyba naprawdę puste.

Mills przestał wyglądać przez szybę i usiadł na podłodze między fotelami.

– Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy - skwitował.

Wyjął butelkę koniaku, pociągnął z niej łyk i oddał Brennanowi. Bill wypił i podał Lisie. Lisa poczęstowała Hollisa i O'Shea, którzy odmówili.

– Prowadzę - powiedział O'Shea.

Lisa, Brennan i Mills wykończyli butelkę.

Hollis spojrział w dół. Morze było wzburzone i widział toczące się z północy na południe spienione fale. Z wysokości dwustu metrów obejmował wzrokiem wystarczający obszar, żeby dostrzec frachtowiec, nawet jeśli zszedł on o dwa lub trzy kilometry z kursu. Musiało się stać coś bardzo złego i przez chwilę rozważał, czy nie jest to być może kolejne oszustwo Alevy'ego, który zakpił sobie z nich w ten sposób z za grobu. Ale nawet jeśli Seth chciał w ten sposób zamknąć usta Brennanowi, Millsowi i O'Shea, to przecież obiecał dostarczyć do Ameryki Burowa i któregoś z Amerykanów, więc nie miało to żadnego sensu. Hollis uprzytomnił sobie, do jakiego stopnia sposób myślenia Alevy'ego stał się jego własnym, skoro w ogóle rozważa taką możliwość. Mimo to przekonany był, że ta sama myśl tłucze się po głowie pozostałym.

– Widzisz te boje? - zapytał O'Shea. - Minęliśmy tor wodny.

Hollis kiwnął głową. Nie odzywając się położył maszynę w ostry prawy skręt i zawrócił na południowy wschód, prosto w stronę wschodzącego słońca i Leningradu.

– Co robisz? - zapytał Mills.

Hollis zaczął schodzić w dół. Przed sobą w odległości jakichś piętnastu kilometrów widział światła Leningradu.

– Co robisz? - powtórzył Mills.

– Opieram się na dwóch założeniach - odparł Hollis. - Po pierwsze, że nasz frachtowiec nie dopłynął na czas na miejsce spotkania i wychodzi dopiero z portu. Po drugie, że jego kapitana gryzie z tego powodu sumienie i że zrobi to, co powinien zrobić każdy wilk morski na widok tonącego statku albo samolotu: to znaczy przyjdzie nam z pomocą.

Zszedł na wysokość stu metrów i zmniejszył prędkość do czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Osobiście czuję się świetnie. Zrobiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy - odezwał się bez związku O'Shea.

– Wykonaliśmy prawie cały plan - zgodził się Mills. - Dotarliśmy aż tutaj.

– Ukradliśmy ten helikopter - powiedział Brennan - wylądowaliśmy w Szkole Wdzięku, uratowaliśmy Dodsona, porwaliśmy Burowa, wydostaliśmy się stamtąd, przelecieliśmy pół Rosji i dotarliśmy tam, gdzie mieliśmy dotrzeć. Do diabła, jeśli o mnie chodzi, uważam, że nam się udało.

– Trudno odmówić ci racji, Bill - stwierdził Hollis. - Gdybyśmy mieli szampana, strzeliłbym na wiwat.

– Cholera, Seth miał kupić szampana w Centrum Handlu! - zawołał Mills.

Na wzmiankę o Alevym zapadło krótkie milczenie i Hollis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszyscy na przemian przeklinają i błogosławią Seta. Taki już jest los ludzi, pomyślał, którzy prowadzą innych na szczyty i ściągają ich w ciemne otchłanie.

– Zamieńmy się miejscami - poprosiła Berta Lisa. Wstała ze swego fotela i uklękła na podłodze obok Hollisa. - Wiem, że nie możesz mnie teraz trzymać za rękę. Ale czy mógłbyś to zrobić, kiedy nie będziesz musiał przez minutę albo dwie trzymać sterów?

– Oczywiście.

O'Shea położył dłonie na drążkach.

– Przejmuję stery, generale. Możesz się zrelaksować.

Sam puścił stery i wziął za rękę Lisę. Helikopter leciał dalej w stronę Leningradu. Nikt się nie odzywał. Kabinę wypełniał równomierny warkot turbin; wszyscy wsłuchiwali się w ten jeden dźwięk, czekając na chwilę, kiedy umilknie.

O'Shea odchrząknął nagle.

– Godzina dwunasta, jeden kilometr - powiedział, starając się panować nad swoim głosem.

Brennan, Mills i Lisa poderwali się z miejsc i wlepili wzrok w przednią szybę. W ich stronę szedł pełną parą średniej wielkości frachtowiec, z trzema zapalonymi na pokładzie żółtymi światłami.

Hollis puścił rękę Lisy i objął z powrotem stery. Obliczył, że za trzydzieści sekund powinni się znaleźć dokładnie nad dziobem statku. Ale jeśli skończyłoby im się w tym czasie paliwo, mogli runąć z wysokości stu metrów na pokład, a nie zasługiwał na to ani frachtowiec, ani jego załoga.

Odbił w prawo, schodząc z toru, którym płynął statek, a potem skręcił na północ, zbliżając się do frachtowca z boku i lecąc pod wiatr, dzięki czemu zwiększał siłę nośną. Zauważył, że trzy światła zgasły, co mogło oznaczać, że ich zauważono.

– Żeby zejść pod ostrym kątem, będziemy musieli wspiąć się trochę wyżej, generale - stwierdził O'Shea.

Hollis wiedział, że zejście pod łagodnym kątem ze stu metrów nie jest najlepszą metodą posadzenia helikoptera na poruszającym się pokładzie. Ale zatrzymanie pracy turbin podczas nabierania wysokości również nie należało do przyjemności. A cały instynkt i to, co nazywa się intuicją pilota, podpowiadały mu, że paliwa starczy najwyżej na kilkadziesiąt sekund.

– Spokojnie - powiedział.

– W porządku, decyzja należy do ciebie - odparł kapitan.

Przyjrzał się po kolei wskaźnikom i podał wyglądającemu przez szybę Hollisowi odczyty z szybkościomierza, wysokościomierza oraz licznika obrotów i momentu.

– Szybkość lądowa mniej więcej trzydzieści - dodał.

Hollis uświadomił sobie, że rufa frachtowca ucieknie mu, zanim do niej doleci, i skręcił w lewo, nadal schodząc pod łagodnym kątem w dół. Zrównoważył pedałami moment reakcyjny i lecąc bokiem, ustawił helikopter równoległe do osi statku. Koordynując kurs, skok ogólny i obroty starał się zachować stałą prędkość lądową.

– Prędkość lądowa czterdzieści! - zawołał O'Shea.

Hollis poderwał do góry dziób maszyny, żeby zmniejszyć szybkość.

– Wysokość pięćdziesiąt metrów.

Dziób helikoptera nadal skierowany był w tę samą stronę co dziób statku. Dzielilo go od niego może sto metrów i Hollis ocenił, że przy tym kącie schodzenia wyląduje na rufie.

– Prędkość lądowa trzydzieści. Wysokość trzydzieści.

Zadźwięczał sygnał alarmowy.

– Spada ciśnienie oleju - powiedział O'Shea. - Musiał pójść przewód albo uszczelka.

– Awaria silnika - odezwał się głos, który z nie wyjaśnionych przyczyn milczał przez ostatnie kilkanaście minut. - Przygotujcie się do lądowania autorotacyjnego.

Byli teraz dziesięć metrów nad górnym pokładem statku i Hollis poderwał jeszcze bardziej dziób helikoptera, żeby zredukować prędkość do zera. Frachtowiec przesunął się i nagle ukazała się pod nimi rufa. Rozkołysany pokład zapadał się i podnosił, ale nigdy w życiu lądowisko nie wydawało się Hollisowi tak piękne. Widział już na uciekającym pokładzie miejsce, na którym siądzie. Zawisł nad nim i w tej samej chwili helikopter podskoczył w górę podniesiony własną poduszką powietrzną.

– Niech to wszyscy diabli!

Rufa zniknęła i znów mieli pod sobą wodę. Pozbawiony poduszki powietrznej Mi-28 opadał w dół. Hollis szybko zwiększył ciąg i skok

ogólny wirnika, podnosząc maszynę w górę na sekundę, nim jej ogon otarł się o spienione fale. Skierował dziób w stronę rufy i puścił się w pogoń za statkiem, wpatrując się w jego tylne światło i pilnując, żeby silny boczny wiatr nie zepchnął go z kursu. Czuł się jak ktoś, kto próbuje wskoczyć na tylny stopień uciekającego pociągu.

Na rufie widniała wymalowana białymi literami nazwa statku i Hollis machinalnie zanotował ją w pamięci: „Lucinda”.

– Awaria silnika - odezwał się głos z taśmy. - Przygotujcie się do lądowania autorotacyjnego.

Hollis pchnął do przodu dźwignię skoku, zwiększył moc i dosłownie skoczył do przodu, mijając o parę centymetrów reling rufy. Pociągnął z powrotem dźwignię i helikopter zadarł nos na kilka metrów przed nadbudówką.

O'Shea wyłączył silniki. Tylne koła dotknęły pokładu i Mi-28 podskoczył jak piłka w górę. Rozkołysany pokład na chwilę uciekł w dół, a potem podniósł się i wyrznął w prawe koło helikoptera, o mało nie przewracając go na bok. Hollis zaciągnął hamulce.

W końcu śmigłowiec stanął wszystkimi czterema kołami na kołyszącym się pokładzie. Hollis spojrzał na maszt statku i zobaczył powiewającą na nim brytyjską flagę.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. W uszach milkł im powoli warkot turbin i wirnika. Zastąpił go odgłos łamiących się fal. Kabinę wypełnił słony zapach morza, a poczucie zawieszenia w przestrzeni ustąpiło miejsca kołysaniu szarpanego wiatrem statku. Wokół nich nie było widać nikogo i Hollis domyślił się, że cała załoga otrzymała rozkaz zejścia pod pokład.

O'Shea odchrząknął.

– Nienawidzę podróży statkiem - powiedział cicho. - Dostaję zawsze morskiej choroby.

- A ja kocham statki jak jasna cholera! - krzyknął Brennan.
- Obaj sprawiliście się znakomicie - powiedział Mills, zwracając się do Hollisa i O'Shea. - Jesteśmy wam winni kielicha.
- Jeśli mówiąc „my” masz na myśli swoją skromną osobę - odparł krótko Hollis - w takim razie my wszyscy też jesteśmy ci winni kolejkę.
- Lisa rzuciła się nagle Samowi na szyję.
- Kocham cię! Udało ci się! Obu wam się udało! - Złapała w ramiona kapitana O'Shea i pocałowała go w policzek. - Kocham was obu.
- O'Shea poczerwieniał na twarzy.
- Ja nie prowadziłem... zresztą dobra, porozmawiaj z nim na temat mojej oceny.
- Hollis uśmiechnął się.
- Chyba ją zmienię.
- Na sekundę, zanim wyłączyłem turbiny... - zaczął kapitan.
- Słyszałem - odparł Hollis.
- Co? - zapytał Mills.
- Zgasł jeden z silników - odparł. - Paliwem w zbiornikach nie zdołałbyś napęłnić zapalniczki.
- Ale już go nie potrzebujemy. Helikopter spisał się na medal - stwierdził Bert. Sięgnął pod fotel, wyciągnął plastikową torbę z czarnymi kominiarkami i podał ją Brennanowi. - Niech każdy ją założy. Żadnych nazwisk i żadnych rozmów z załogą.
- Przeszedł do tyłu, nasunął kominiarkę na twarz Dodsonowi i spojrzał na Burowa.
- Cóż, pułkowniku - powiedział. - Dobro zwyciężyło.
- Że co? - odparł, wybuchając nieoczekiwanie śmiechem, Burow. - CIA ma mieć monopol na dobro? Nie wierzą w to nawet pana rodacy, w nie większym przynajmniej stopniu, niż Rosjanie uważają za aniołów dobra

funkcjonariuszy KGB. Pan i ja jesteśmy pariasami, panie Mills. Stoimy poza nawiasem społeczeństwa.

– Możliwe. Cieszę się, że nauczył się pan czegoś w swojej szkole.

Mills wyciągnął z kieszeni strzykawkę i wbił igłę w szyję pułkownika.

– Za dużo pan mówi. - Naciągnął Rosjaninowi na głowę kominiarkę. - Tak jest dużo lepiej.

Brennan odsunął drzwi i nagrzaną kabinę wypełniło chłodne morskie powietrze. Cała piątka wyskoczyła na rozkołysany pokład. Mills wysiadł ostatni.

– Poproszę, żeby zaopiekowali się Dodsonem i Burowem - powiedział i spojrzał na powiewający dumnie na maszcie Union Jack. - Miałem przecucie, że to będą Brytyjczycy. Wśród naszych nieustraszonych sojuszników w NATO nie ma już zbyt wielu takich, na których moglibyśmy naprawdę liczyć.

– Jeśli chodzi o tę akcję, Bert - stwierdził Hollis - nie ufałbym nawet naszym sojusznikom w Waszyngtonie.

– Trafna uwaga.

– Czy jesteśmy już bezpieczni? - zapytała Lisa.

Hollisowi przeszło przez głowę, że nie będą bezpieczni do końca życia.

– Znaleźliśmy się w nieco bezpieczniejszej okolicy - odparł.

Otworzyły się drzwi nadbudówki i na pokład wyszło sześciu marynarzy w ciemnych swetrach. Zbliżyli się do helikoptera, przypatrując się ciekawie jego kryjącym twarze za czarnymi maskami pięciu pasażerom. Trzej mężczyźni mieli na sobie rosyjskie mundury, a czwarty dres. Kobieta ubrana była w dres i kurtkę. A w kabinie, o czym jeszcze nie wiedzieli, leżało dwóch nieprzytomnych i zmalretowanych mężczyzn w czarnych maskach: jeden w pokrzwawionej piżamie, drugi w podartym dresie. Gdyby

ci marynarze mieli zgadywać, kto tu jest dobry, a kto zły, pomyślał Hollis, doszliby najprawdopodobniej do zupełnie fałszywych wniosków.

Jeden z marynarzy pokazał ręką, że trzeba zepchnąć helikopter do morza. Nie mieściło mu się zapewne w głowie, że którykolwiek z przybyszów może mówić po angielsku. Mills pokręcił głową, pokazał helikopter i podniósł w górę dwa palce. Marynarze weszli do kabiny, wynieśli stamtąd Dodsona i Burowa i położyli ich na zimnym, mokrym pokładzie.

Hollis wskoczył do środka i zwolnił hamulce, a potem razem z O'Shea, Brennanem i marynarzami popchnęli helikopter w stronę lewej burty. Jeden z Brytyjczyków zdemontował szybko fragment relingu. Stanęli przy tylnej ścianie kadłuba i zepchnęli helikopter dziobem w dół do morza. Długi ogon podniósł się pionowo w górę, a kabina zniknęła za burtą. Wiedzeni nagłym impulsem podbiegli do relingu i patrzyli, jak helikopter unosi się przez chwilę na wzburzonych falach, a potem, w miarę jak do otwartej kabiny wdzierało się coraz więcej wody, zanurza powoli w ciemnych odmętach. Śmigło na ogonie zdawało się machać im na pożegnanie i Hollis zorientował się, że bezwiednie saltuje idącej na dno maszynie. Zauważył, że O'Shea robi to samo.

Marynarze podbiegli szybko do lamp przeciwmgielnych, które były przenośne i podłączone kablami do elektrycznych gniazdek. Odłączyli je i wyrzucili za burtę. Hollisa trochę to zaniepokoiło. Zepchnięcie do wody helikoptera było czymś oczywistym. Ale pozbycie się tych trzech małych lamp wskazywało, że kapitan liczy się z możliwością przeszukania statku przez sowiecką straż przybrzeżną lub bliską obserwacją z powietrza. Zastanawiał się, jakie jeszcze dowody kapitan gotów jest wyrzucić za burtę.

Popatrzył za lewą burtę i zobaczył daleko na horyzoncie dwa statki. Można było z nich łatwo zobaczyć lądujący helikopter, a potem przez

lornetkę jego zepchnięcie za burtę. Jeżeli statki należały do Sowietów albo do któregoś z krajów Bloku Wschodniego, mogły nadać przez radio odpowiedni raport. Jeszcze bardziej prawdopodobne było, że wykrył ich radar sowieckiej marynarki wojennej, a obsługa domyśliła się po charakterystyce lotu, że poruszającym się obiektem jest helikopter. Rosjanie widzieli, jak sygnał schodzi coraz niżej, i mogli dojść do wniosku, że helikopter wylądował na statku, który również pojawił się na ich ekranie. A władze sowieckie nie przejmowały się bynajmniej trzymilowym zasięgiem wód terytorialnych i całą tę część zatoki traktowały jak swoje wewnętrzne morze.

Mills domyślał się chyba, co trapi Hollisa.

– Dlatego właśnie chcieliśmy lądować w nocy - powiedział, pokazując głową dwa statki na horyzoncie.

– Tak, ale radar działa również po ciemku.

– Powiedziano mi, że na radarze będzie to wyglądać na katastrofę.

– Nie wiem. To zależy od Iwana, który wpatruje się w ekran.

– Dobrze, więc może to jest test na to, czy rzeczywiście mamy po naszej stronie opatrność.

Hollis uśmiechnął się smutno.

– Po tym, co zrobiliśmy w Szkole Wdzięku, jesteśmy chyba zdani na samych siebie - zakończył. Odwrócił się i odszedł od relingu.

Czterech marynarzy niosło na noszach Dodsona i Burowa w stronę nadbudówki.

– Punkt medyczny - powiedział jeden z nich do Millsa.

Inny Brytyjczyk dał im znak, żeby weszli do środka. Wspięli się po wąskich schodkach na wyższy pokład i ruszyli, nie napotykając po drodze nikogo, w stronę dzioba. Marynarz wszedł jeszcze wyżej i wprowadził ich do położonej tuż za mostkiem, pomalowanej na biało kabiny nawigacyjnej,

z dużymi, wychodzącymi na prawą burtę iluminatorami. Brytyjczyk wyszedł bez słowa, zamykając za sobą drzwi i Hollis zdjął z twarzy maskę. Lisa, O'Shea, Mills i Brennan zrobili to samo.

Spoglądali przez chwilę na siebie, nie wiedząc, jak się zachować. Zmęczenie, zdenerwowanie i smutek tak dały im się we znaki, że Hollis nie zdziwiłby się wcale, gdyby wszyscy wyciągnęli się na długich stołach i natychmiast zasnęli.

W końcu twarz Millsa wykrzywiła się w uśmiechu.

– Cóż, przyjaciele, następny przystanek czeka nas w Liverpoolu - oznajmił triumfalnym tonem.

Brennan wydał z siebie długi indiański okrzyk.

– Udało nam się! - wrzasnął.

Przez dłuższą chwilę klepali się po plecach i ściskali nawzajem dłonie. Bert, Bili i O'Shea ucałowali kolejno Lisę.

– Cholernie dobrze prowadzisz helikopter, generale - oznajmił nagle rozluźniony kapitan. - Gdzieś się tego nauczył?

– Gdzieś między Nowogrodem a Leningradem - odparł Hollis.

Mills roześmiał się.

– Nabierasz mnie. Hej, zobaczcie, mamy tutaj kawę i brandy - powiedział, podchodząc do długiego stołu, na którym stał elektryczny ekspres. Nalał pięć filiżanek kawy, dolał do każdej z nich trochę brandy i rozdał im. Podniósł w górę swoją filiżankę.

– Wznoszę toast za...

– Za Seta Alevy'ego - dokończył za niego Hollis - i za wszystkich tych ludzi, których zostawiliśmy za sobą.

Wszyscy wypili, ale treść toastu przyćmiła nieco radosny nastrój. Naleli sobie jeszcze kawy i brandy i usiedli na krzesłach - wszyscy oprócz Hollisa, który stanął przy jednym z iluminatorów i wlepił wzrok w morze. Zatoka

Fińska, a widział ją już kilka razy, przypominała mu zawsze roztopiony ołów i teraz również toczyła powoli ciężkie, obrzmiałe wody - dziwnie matowe i nasycone wszystkimi odcieniami szarości. Zobaczył sunącą z północy rzadką mgłę i przelotny szkwał, który błysnął nagle na jej tle niczym prześwitujący przez kłęby dymu welon z gazy. Szare niebo, szare morze i porośnięty szarozielonymi lasami, wiecznie skąpany w deszczu ląd. Miał przed sobą wyjątkowo ponury i mokry zakątek świata - w porównaniu z nim okolice Moskwy mogły się wydać słoneczne i malownicze.

Potał oczy i zarost na podbródku. Znieczulenie przestawało działać i czuł, jak zaczyna rwać go policzek. Przyszło mu do głowy, że spotkanie ze statkiem można zaliczyć do rzędu autentycznych cudów - tuż za ich udaną ucieczką ze Szkoły Wdzięku.

Drzwi do kabiny nawigacyjnej otworzyły się i do środka wszedł wysoki, rudobrody mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Miał na sobie gruby biały wełniany sweter i niebieskie dżinsy. Nie mówiąc ani słowa nalał sobie kawy, a potem przysiadł na skraju krzesła.

– Witajcie na pokładzie „Lucindy” - odezwał się w końcu z brytyjskim akcentem. - Nazywam się Hughes, jestem tutaj kapitanem. Powiedziano mi, że wasze nazwiska nie powinny mnie interesować.

– Chciałbym panu podziękować za pozostawienie świateł po świcie - powiedział Hollis.

Kapitan Hughes przyjrzał mu się uważnie.

– Przyznam się panu, że były już zgaszone, ale kazałem was wypatrywać marynarzowi. Kiedy zobaczył helikopter, stoczyłem ze sobą krótką walkę wewnętrzną i zapaliłem je z powrotem.

– To miło z pańskiej strony - Mills skinął głową.

Hughes wzruszył ramionami.

– Mieliśmy małe opóźnienie. Cholerni Rosjanie zawsze przeciągają papierkową robotę, a na dodatek spóźnił się nasz pilot - powiedział. Spojrzał na ubranych w mundury KGB Millsa, Brennana i O'Shea, a potem na Sama i Lisę. - Założę się, że macie do opowiedzenia niezwykłą historię. Swoją drogą, to wasze lądowanie było albo najlepsze, albo najgorsze, jakie w życiu widziałem. Sami chyba wiecie, co o nim sądzić. Jeśli was to interesuje - dodał - wieziemy drewno. Sosnę, brzozę i osikę. Produkują tu dobre drewno, bo to nie oni, ale Pan Bóg ma w swojej opiece lasy. - Hughes uśmiechnął się. - Przywieźliśmy im w zamian świeże warzywa. Chcą rzucić ludziom trochę delikatesów na rocznicę ich słynnej rewolucji. Nie mogę powiedzieć, żebym pochwalał handel z Ruskimi, ale człowiek musi jakoś zarobić na życie. Co przypomina mi o następnej sprawie. Za to, że w ogóle powiedziałem „tak”, dostałem dziesięć tysięcy funtów. Kiedy was przekażę, otrzymam kolejne pięćdziesiąt tysięcy. Jesteście więc, jak widzicie, całkiem dużo warti.

– Mam nadzieję, że nie będziemy pana kosztować więcej, niż jesteście warti, kapitanie - odparł Hollis. - Czy pański radar nie sygnalizuje żadnych zbliżających się do „Lucindy” jednostek?

– Nie, ale możecie być pewni, że uważnie obserwujemy bazę morską w Kronsztadzie. Odetchnę z ulgą dopiero, kiedy ją minimy i wypłyniemy na szersze wody.

– My też, kapitanie.

– To nie są aż tak duże pieniądze, żebym zgodził się to zrobić tylko z ich powodu - dodał Hughes. - Powiedzieli mi, że to ważne dla obu naszych krajów.

– Z całą pewnością, kapitanie.

– Zanim wypłynąłem dziś rano z Leningradu, jakiś doker wcisnął mi to do ręki.

Hughes podał Hollisowi kartkę papieru. Hollis rozwinął ją i zobaczył, że wyrwana została z bloczku szyfrów jednorazowego użytku. Widniała na niej aktualna data, częstotliwość i odręcznie sporządzona notatka. „Raport sytuacyjny, do rąk własnych C.B.” - przeczytał.

Mills zajrzał Hollisowi przez ramię.

– To nasz szyfr dyplomatyczny - szepnął.

Hollis kiwnął głową.

– Czy byłby pan tak dobry, kapitanie - powiedział, oddając kartkę Hughesowi - i kazał swojemu radiotelegrafiście wysłać następującą depezę: „Banks, do rąk własnych. Wylądowaliśmy na miejscu. Wkrótce raport sytuacyjny”. Bez podpisu. Niech zaszyfruje to za pomocą tego kodu i nada na podanej częstotliwości.

Hughes kiwnął głową.

– Waszymi dwoma przyjaciółmi - powiedział - zaopiekował się nasz medyk. Chce wiedzieć, co im się stało.

– Obaj doznali licznych urazów - odpowiedział Mills. - Obu podano również ostatnio pentothal sodu. Ten ubrany w dres jest przyjacielem, ten drugi nie. Na czas trwania podróży powinien być trzymany w zamknięciu.

Hughes wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Przyślę wam stewarda ze śniadaniem - rzekł. - Zajmę się także przygotowaniem kwater. Tymczasem oddaję wam do dyspozycji tę kabinę.

– Dziękujemy.

Hughes wyszedł, Hollis podszedł z powrotem do iluminatora, ale za szybą widać było tylko gęstniejącą mgłę.

– Wszyscy wykonaliśmy dobrą robotę - powiedział. - Nie podoba mi się to, co zrobiliśmy, ale wykonaliśmy to dobrze.

Mills nalał sobie więcej brandy.

– Tak - potwierdził. - Jeśli ma to w ogóle jakieś znaczenie, ja osobiście chciałem, żeby ci ludzie wrócili do domu... razem z ich nowymi rodzinami. Nie jestem człowiekiem religijnym - dodał - ale być może lepiej jest im teraz tam, gdzie się znajdują. Nie wydaje mi się, żeby tak naprawdę zależało im na powrocie do domu.

Nikt nie odpowiedział.

Hollis wrócił myślami do domu Landisa. Przypomniał sobie jego synka, Timmy'ego, i sposób, w jaki wyrażał się o nim ojciec: „Mój biedny mały”. Być może, pomyślał, choć nie jest to wcale pewne, odnaleźli teraz wszyscy spokój.

Usiadł przy stole i znalazł papier i ołówek.

– Napiszę teraz liścik do Charliego - powiedział.

Bert uśmiechnął się.

– Bądź dla niego miły. Nie zmrzył pewnie oka przez całą noc, tak się o nas martwił.

Hollis przysunął do siebie kartkę i zaczął pisać:

Drogi Charlesie,

Przesyła Ci te słowa Sam Hollis, nie z za grobu jednak, lecz z pokładu „Lucindy”. Razem ze mną są Lisa Rhodes, Bill Brennan, Bert Mills i kapitan O'Shea, a także major Jack Dodson z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych i nasz więzień, pułkownik Piotr Burow z KGB. Seth Alevy nie żyje. Przed śmiercią opowiedział mi o porozumieniu, jakie zawarłeś z CIA, Białym Domem, wywiadem wojskowym i innymi instytucjami. W wyniku tego porozumienia Szkoła Wdzięku została na zawsze zamknięta. Trzeba przyznać, Charlesie, że Ty i Twoi koledzy jesteście o wiele bardziej perfidni i bezwzględni niż ja, Alevy i w ogóle jakikolwiek walczący na pierwszej linii generał czy szpieg, którego zdarzyło mi się poznać. Chciałbym zabrać Cię któregoś dnia na prawdziwą akcję, żebyś mógł poszerzyć trochę swoje horyzonty. Ponieważ jednak nieprędko nadarzy nam się taka okazja, chcę, abyś za cztery dni licząc od dzisiaj spotkał się ze mną w

Londynie. Moi towarzysze są świadkami morderstwa, jakiego dopuścił się rząd amerykański na blisko trzystu swoich obywatelach. Musimy przedyskutować, jak pogodzić ten czyn z naszym osobistym poczuciem moralności i mieszczącymi się w granicach prawa wymogami bezpieczeństwa narodowego.

Przygotuj się na dłuższą sesję.

(Podpisano) Hollis.

Hollis wręczył list Millsowi, który przeczytał, kiwnął głową i dał do przeczytania pozostałym.

– Pójdź do kabiny radiotelegrafisty i zaszyfruj to - powiedział Hollis, zwracając się do kapitana O'Shea. - Zostań razem z radiotelegrafistą, kiedy będzie nadawał, a potem poczekaj na odpowiedź.

– Tak jest.

O'Shea zabrał list i wyszedł.

Lisa objęła Sama.

– Czy brytyjscy kapitanowie mają prawo udzielać ślubu na morzu?

Hollis po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Tak, ale ślub jest ważny tylko podczas rejsu.

– Mnie wystarczy.

Bert usiadł na krześle i ziewnął.

– W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin - mruknął sam do siebie - podróżowałem moskiewską taksówką, autobusem i helikopterem Aeroflotu, zikiem, pontiakiem i, dzięki Bogu, brytyjskim statkiem handlowym.

Brennan wyjął z kieszeni opakowanie gumy do żucia. Zaczął je odwijać, a potem nagle przyjrzał się z uwagą gumie.

– Kupił ją dla mnie w Centrum Handlu Seth Alevy - powiedział. - Ciekawy był z niego facet. Ludzie uważali go za oschłego, takiego, co to myślami jest zawsze gdzie indziej. Ale kiedy wpadłeś na niego gdzieś w

ambasadzie, zawsze zwracał się do ciebie po imieniu i zamienił parę słów o twoich sprawach. Zauważyłem, że wyżsi urzędnicy nigdy nie wdawali się z nim w dłuższe rozmowy, ale ochroniarze, sekretarki i marines bardzo go szanowali.

Billi zawiązał z powrotem gumę i schował ją do kieszeni.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Po kilku minutach do kabiny wrócił O'Shea i wręczył Hollisowi kartkę papieru.

– „Od Charlesa Banksa” - przeczytał na głos Hollis. - „Wiadomość od was sprawiła mi prawdziwą radość. Gratulacje z okazji udanej akcji. Przykro mi z powodu Setha. Będzie nam go brakowało. W Liverpoolu odbiorą was nasi ludzie. Z wielką niecierpliwością oczekuję spotkania w Londynie. Ja płacę za drinki. Specjalne wyrazy uszanowania dla Lisy”. Podpisano „Charles”.

Hollis spojrział na O'Shea, Millsa, Brennana i Lisę. Radiowa odpowiedź była tak kompletnie w stylu Charlesa Banksa, że wszyscy z trudem powstrzymywali się od śmiechu.

– Co za uroczy sukinsyn - powiedział w końcu Mills. - Miałbym ochotę kopnąć go tak, żeby się nie pozbierał, ale nie wiem, jak to zrobić. Więc zamiast tego wychylimy z nim parę głębszych.

– Zawsze go lubiłam - dodała Lisa. - I chyba lubię go dalej. Ale już mu nie ufam.

Hollis uświadomił sobie, że nigdy nie ufał Banksowi. Tym bardziej nie będzie mu ufać w Londynie.

Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich niezbyt młody steward z dzbankiem soku pomarańczowego i tacą gorących biskwitów.

– Kapitan Hughes życzy państwu smacznego - oświadczył, stawiając wszystko na stole. Jego akcent przypominał Hollisowi filmy Horatia Hornblowera. - Pierwszy oficer oddaje pani w użytkowanie swoją kajutę -

dodał. - Dla panów przygotowano posłania w kajucie wieloosobowej. Kapitan pragnie państwa poinformować, że nasz radar nie odebrał żadnych niepokojących sygnałów. Jeśli będziecie mieli jakieś dalsze życzenia, proszę dać znać na mostek.

Mills podziękował stewardowi, który wyszedł.

– Przebywając w Rosji, traciliśmy czasami z oczu, za co i za kogo walczyliśmy - powiedział Mills. - I dopiero wyjeżdżając na urlop czy w sprawach służbowych na Zachód i spotykając londyńskiego taksówkarza albo kogoś takiego jak ten steward, przypominamy sobie słowo „uprzejmość” i dochodzimy do wniosku, że nigdy nie doświadczyliśmy jej w tym robotniczym raju.

Usiedli wszyscy wokół stołu.

– Prawdziwy sok pomarańczowy - ucieszył się O'Shea.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Lubię Londyn - odezwał się bez związku Brennan. - Podoba mi się akcent, z jakim mówią tamtejsze kobiety.

– Nie sądziłem - stwierdził, uśmiechając się O'Shea - że latanie helikopterem może być aż taką frajdą. W przyszłości może zapiszę się na kurs śmigłowcowy.

– Kurs rzeczywiście bardzo by ci się przydał - przytaknął Hollis.

Mills żuł w zamyśleniu posmarowany masłem biskwit.

– Nie mogę się doczekać, żeby przesłuchać Burowa i Dodsona - powiedział. - To może być cholernie interesujące. Ciekaw jestem, jak będą się do siebie odnosić w zmienionych warunkach.

Lisa rozejrzała się dookoła.

– Nie śmiecie się - rzekła - ale któregoś dnia wrócę jeszcze do Rosji. Przysięgam, że to zrobię.

Nikt się nie roześmiał.

– Ja też - dodał Hollis.

O'Shea wstał i rzucił okiem na Millsa i Brennana.

– Może byśmy tak poszukali tej kabiny i trochę się zdrzemnęli - powiedział.

Bert i Bill wstali.

– Zajrzę do izby chorych - zwrócił się Mills do Hollisa - a potem będę w kontakcie z mostkiem na wypadek, gdyby odebrali coś przez radio albo zauważyli nieprzyjazne ruchy na radarze. Ale coś mi mówi, że nam się udało. Daliśmy im radę.

– Należało nam się - odparł Hollis.

Mills wziął do ręki kominiarkę i ruszył w stronę drzwi.

– Kiedy byłeś nieprzytomny na pokładzie helikoptera - rzekł, stając w progu - zauważyłem, że strasznie chrapiesz. Więc może lepiej będzie, jak znajdziesz sobie inną kwaterę - powiedział i wyszedł.

Lisa i Sam spojrzeli na siebie przez stół.

– Jesteś smutny - zauważyła.

Hollis nie odpowiedział.

– Wszyscy jesteśmy smutni, Sam. Cieszymy się, że udało nam się unieść własne głowy, ale smutno nam z powodu pozostałych.

Hollis kiwnął głową.

– Zostali zdradzeni po raz ostatni - powiedział. - Nasz rząd zdradził ich już kiedyś i teraz zrobił to ponownie. Na zawsze i bezpowrotnie pozbyliśmy się ostatnich pozostałości wojny.

– Czy spróbujesz odsunąć to wszystko od siebie?

– Spróbuję. Kiedy człowiek zatoczy pełny krąg, wszelkie próby poruszania się dalej tą samą drogą prowadzą do tego, że kręci się w kółko. Spróbuję pójść do przodu.

Lisa wyjęła z kieszeni satynowe pudełko, położyła je na stole i otworzyła. Popatrzyła na leżący wewnątrz bursztynowy naszyjnik, a potem podniosła go i trzymała przez chwilę między palcami.

– Dał mi go Seth, kiedy czekaliśmy na ciebie przed daczą Burowa. Mogę go zatrzymać?

– Oczywiście. Jeśli tylko nie będziesz go nosić.

Spojrzała na niego i nie potrafiła zgadnąć, czy żartuje, czy mówi serio. Schowała z powrotem naszyjnik do pudełka i zamknęła je.

Hollis wyjął z kieszeni kilka pogniecionych kartek papieru i rozprostował je na stole, używając ołowianych przycisków do map.

– Są tutaj nazwiska wszystkich więźniów, żywych i umarłych... to znaczy teraz już wyłącznie umarłych... którzy przebywali w Szkole Wdzięku od samego początku.

– To właśnie dał ci Lew Poole?

– Tak - skinął, wpatrując się w pogniecione papiery. - Simms... jest tutaj Simms. - Podniósł oczy, wlepiając wzrok w przestrzeń. - Na pomniku poległych w Wietnamie przy nazwiskach zaginionych wyryte są krzyże... - powiedział.

– Tak, widziałam.

– A kiedy potwierdzi się śmierć zaginionego, otaczają krzyż kołem. - Spojrzał na Lisę. - Chcę, żeby ci ludzie zostali oficjalnie uznani za martwych i żeby zawiadomiono ich rodziny. Chcę zrobić z tej listy dobry użytek.

Kiwnęła głową.

– Czyjej posiadanie nie jest niebezpieczne? - zapytała. - Szkoły Wdzięku przecież nigdy nie było.

– Wydaje mi się, że niebezpiecznie byłoby jej nie mieć. To jedyny posiadany przez nas realny dowód, że jednak istniała. Nasze

zabezpieczenie.

Kiwnęła ze zrozumieniem głową.

– Przekażę te kartki razem z odpowiednim listem memu ojcu w Japonii - powiedział. - Poproszę jakiegoś marynarza, żeby je wysłał, zanim jeszcze zejdziemy na ląd w Liverpoolu. A potem udamy się do Londynu, żeby porozmawiać z naszym przyjacielem Banksem. - Spojrzał na Lisę. - A co ty chcesz mieć z tego wszystkiego? - zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Ja mam już to, czego chciałam. Ciebie.

Odwzajemnił jej uśmiech.

– Mamy poza tym mordercę Gregory'ego Fishera, prawda? - dodała. - To znaczy wiem, że Burow nie jest jedynym mordercą. Największym mordercą jest system. Ale choć w części wymierzona zostanie sprawiedliwość.

Hollis pociągnął łyk kawy. Lisa ziewnęła. Spomiędzy chmur przeświecały co jakiś czas promienie słońca i jeden z nich padł na stół. W drzwiach pojawił się marynarz.

– Kapitan Hughes - powiedział - pragnie państwa poinformować, że wpłynęliśmy właśnie na niekwestionowane wody międzynarodowe.

– Dziękujemy.

Lisa spojrzała na Sama.

– Kolejny krok na drodze do domu.

– Dopłyniemy tam.

Hollis wstał i podszedł do iluminatora. Przez jakiś czas wpatrywał się w morze, a potem odwrócił się i zobaczył, że Lisa stoi tuż za nim. Przez chwilę patrzyli na siebie, a potem zarzuciła mu ręce na szyję.

Drzwi do kabiny znowu się otworzyły i stanął w nich steward. Na ich widok zamruczał coś i szybko się wycofał.

Przytuliła twarz do piersi Hollisa.

– Mój Boże, Sam, taka jestem zmęczona... Czy możemy się teraz pokochać?... Moi rodzice już mnie pochowali... Oszaleją chyba z radości, kiedy mnie zobaczą... Pojedź ze mną do mojego domu... Chcę także poznać twoich dziwnych rodziców... Sam, czy mogę płakać z powodu Setha? Czy to w porządku?

– Oczywiście. Cała drżysz. Zaprowadzę cię do twojej kabiny.

– Nie, lepiej mnie przytul. Czy możemy udać, że po lunchu na Arbacie poleciliśmy do Nowego Jorku i nic się w tym czasie nie zdarzyło?

– Nie, nie możemy. Ale możemy spróbować wyciągnąć z tego, co się stało, jakieś wnioski. Zrozumieć wszystko to, co dzieli nasz kraj od ich kraju. Może ja opowiem ci o sowieckich siłach powietrznych, a ty mnie o Gogolu. Oboje nauczymy się czegoś, o czym inni nie mają ochoty wiedzieć.

Roześmiała się.

– Podoba mi się to - powiedziała i przytuliła się do niego mocniej. - A potem opowiem ci do poduszki rosyjską bajkę.

Stali przez długi czas w milczeniu, słuchając szumu morza i skrzypienia wręgów. Pod stopami czuli zapadający się i unoszący w górę rozkołysany pokład statku, który płynął na zachód, coraz dalej od Rosji.

[1] Softball - gra zbliżona do baseballu (przyp. tłum.).

[2] Trivial Pursuit - amerykańska gra towarzyska (przyp. tłum.).

[3] Little League - młodzieżowa liga baseballu (przyp. tłum.).

[4] Przekład Andrzeja Drawicza.

[5] Touch football - odmiana amerykańskiego futbolu (przyp. tłum.).

[6] Dosł.: „Podnieśmy kotwicę” - pieśń amerykańskiej marynarki wojennej (przyp. tłum.).

[7] Headstone - (ang.) nagrobek (przyp. tłum.).

[8] Dosł.: „Piaskowy Człowiek” - baśniowa postać, która usypia dzieci sypiąc im piaskiem w oczy (przyp. tłum.).